

**PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI**

**RYTUAL
ŁOWCY**

**GDY ZAWODZI ROZUM,
W LUDZIACH BUDZĄ SIĘ PIERWOTNE INSTYNKTY.**



RYTUAL
LOWEY

PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI

RYTUAŁ
ŁOWCY

 CZWA
RTA
STR
ONA

Copyright © Przemysław Borkowski, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Marta Akuszczyńska

Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Fotografie na okładce:

briantagalog / Unsplash

Olga_i / Shutterstock

Nordams Sans Serif / Envato Elements

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej; Dariusz Nowacki

Fragment *Iliady* Homera przytoczono w tłumaczeniu Franciszka Ksawerego Dmochowskiego.

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66570-16-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Gniew Achilla, bogini, głoś obfity w szkody,
Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody,
Mnóstwo dusz mężnych wcześniej wtrącił do Erebu
A na pastwę dał sępom i ptakom bez pogrzebu
Walające się trupy rycerskie wśród pola...*

Homer, *Iliada*

ROZDZIAŁ 1

Był jednocześnie zimny i gorący. Czuł, jak ogarnia go wściekłość, jak zasnuwa mu oczy czerwoną mgiełką, jak wysusza mu śluzówkę w ustach i podnosi włoski na ciele; a jednocześnie zupełnie na chłodno pomyślał w pewnym momencie – w zasadzie czemu nie? To była doskonała okazja. Jedyna i niepowtarzalna. Nic go z tym człowiekiem nie łączyło, nie było między nimi żadnej wspólnej płaszczyzny; niczego, co pozwoliłoby powiązać ich obu za pomocą jakiegokolwiek motywu, jakiegokolwiek rozumowania. Spotkali się przypadkiem – tu, na tym parkingu na tyłach nieczynnego w niedzielę supermarketu, wieczorem, w strugach deszczu, w okolicy, w której nigdy nie bywał – i jeśli nic się za chwilę nie stanie, rozejdą się i nigdy więcej się nie spotkają. Ich światy – widać to było na pierwszy rzut oka – były kompletnie nieprzystawalne. Gdyby trafili na siebie w innych okolicznościach, minęliby się bez słowa.

Nikt go też nie widział, nikt nie wiedział, że tutaj jest. Znalazł się tu, bo źle zinterpretował polecenie nawigacji w swoim samochodzie, a potem, gdy już zorientował się w pomyłce, nie chciało mu się zawracać, pozwolił więc urządzeniu wytyczyć nową trasę wiodącą przez te małe, podwarszawskie miejscowości. Zatrzymał się na tym parkingu, bo chciało mu się sikać, a po drodze nie było żadnej stacji benzynowej. Był więc w tym miejscu po raz pierwszy w życiu i zapewne ostatni.

Rozejrzał się dookoła. Biała ściana blaszanej hali supermarketu nie miała tu żadnych okien, jedynie zamknięte na głucho podwójne

drzwi. Po drugiej stronie tej części parkingu, przeznaczonej zapewne raczej dla dostawców niż klientów, wznosił się tylko przemoczony las. Nigdzie żadnego chodnika, którym ktoś mógłby nadejść, ani budynku, z którego ktoś mógłby wyjrzeć. Tylko ta ścieżka wśród drzew, którą przytoczył się ten pijany facet. Akurat wtedy, gdy on próbował się odlać.

Nie powinien był mówić tego, co powiedział. Ani się śmiać. Ani sugerować tego, co zasugerował. Ani tym bardziej żądać pieniędzy. Stał teraz przed nim, lekko się chwiejąc, z tym pogardliwym półuśmieszkiem na wargach i groził mu. Nie wiedział, że strach jest ostatnim uczuciem, które on mógłby dziś odczuwać.

Zbyt wielu było wcześniej takich jak ten. Lekceważących go, wyśmiewających, traktujących z pobłażaniem, widzących w nim łatwą, potulną ofiarę. Najpierw w szkole podstawowej, potem w liceum, a później na studiach. Nawet w jego pracy, tak – wydawałoby się – dalekiej od wszelkich tego typu zachowań, zawsze znalazł się ktoś, kto traktował go jak popychadło. Nie wprost; zawsze było to chamstwo w białych rękawiczkach, ukryte za zasłoną uprzejmego uśmiechu i okrągłych, kurtuazyjnych sformułowań. Lecz przecież ani dla niego, ani dla pozostałych nigdy nie było tajemnicą, co się za nimi kryje.

A on nigdy się temu nie przeciwstawiał, nigdy nie reagował. Tłumaczył to sobie tym, że nie warto, że jest ponad to, lecz gdzieś w głębi duszy kipiał ośleplą z upokorzenia żądzą zemsty. Chciał ich wszystkich zabić, wypruć im flaki, odciąć genitalia i umazać sobie twarz ich krwią. Chciał, żeby cierpieli, błagali go o litość, pełzali w pyle u jego stóp; by zrozumieli w ostatnim przedśmiertnym przebłytku myśli, ile naprawdę jest wart. Wyobrażał to sobie czasem, leżąc w łóżku nocą, gdy kolejna doznana zniewaga nie pozwalała mu zasnąć. Ale to były tylko fantazje. Wiele osób ma takie myśli, lecz nigdy ich nie zamienia w czyn, prawda?

Prawda?

Pijany facet podszedł bliżej. Poczuł teraz odór jego oddechu zmieszany z zapachem wilgotnego powietrza. Mężczyzna pchnął go lekko w pierś, potem splunął mu pod nogi. Wpatrywał się w niego spod półprzymkniętych powiek swoimi przekrwionymi, nieruchomymi oczami, bez jednego nawet mrugnięcia.

„Co jest, pajacu? Ogłuchłeś?” – usłyszał zachrypnięty głos.

Czy i tym razem będzie tak samo? Czy i tym razem nie zareaguje? Przełknie upokorzenie i gniew, zejdzie temu facetowi z drogi i zgodzi się na wszystko? Nie, dziś był dzień inny niż wszystkie. Szkoda, że ten biedny dureń tego nie wiedział. Dziś on również był pijany. Nigdy, przez całe swoje grzeczne i poukładane życie, nie wsiadł do samochodu po alkoholu; nigdy by nawet nie pozwolił sobie o tym pomyśleć. Aż do dziś. Dziś miał naprawdę dobry powód. Pomylił drogę właśnie dlatego. Łać mu się chciało także przez to. Ale alkohol nie tylko upośledza koncentrację, nie tylko działa moczopędnie, lecz także rozhamowuje. Sprawia, że mamy ochotę robić rzeczy, o których na trzeźwo balibyśmy się nawet pomyśleć. I to akurat bardzo dobrze. To się naprawdę świetnie składało.

Przymknął powieki; poczuł kolejne pchnięcie w pierś. Tym razem mocniejsze; takie, po którym musiał cofnąć się o krok. Otworzył oczy. Facet przed nim wciąż coś krzyczał. Kropelki śliny wylatywały mu z ust i błyszcząc w świetle latarni, lądowały łukiem na skórze jego twarzy. Czuł to nawet mimo deszczu. Wyobraził sobie wtedy, że jest pistoletem. Jego gniew jest nabojem, a on trzyma palec na spuście. Tylko od niego zależy, czy go naciśnie.

A potem pozwolił sobie – zupełnie na chłodno, w wyniku racjonalnej w pewnym sensie decyzji – wpaść w szal.

*

Już miał wsiąść do samochodu, gdy nagle przypomniał sobie o czymś. Wciąż chciało mu się sikać. Zapomniał o tym z tego wszystkiego. Wrócił do leżącego na mokrym asfalcie,

zmasakrowanego ciała i po raz drugi rozpiął rozporek. Potem skierował strumień moczu na twarz tamtego. Patrzył z rozbawieniem, jak jego otwarte usta wypełniają się żółtym płynem, jak odbija się on od wyszczerzonych w niebo zębów.

Podobało mu się to. Podobało mu się to wszystko. Mógłby polubić siebie takiego.

ROZDZIAŁ 2

Policyjna taśma odgradzała sporą część parkingu. Tuż za nią kłębił się tłum przemoczonych gapiów. Na środku tej pustej przestrzeni, ochranianej przez zrezygnowanych policjantów w ociekających wodą czarnych mundurach, stał namiot osłaniający miejsce zbrodni. Wraz z rzędem parasoli za taśmą tworzył konstrukcję przypominającą obwoźną świątynię jakiejś nomadycznej religii. Światło lamp zapalonych w jego wnętrzu rzucało na ściany cienie przebywających w środku postaci.

– Cholerny maj! – Jeden z policjantów, zapewne wyższy rangą, bo trzymający nad sobą parasol, dał wyraz swojej frustracji. – Osiem stopni i leje! Widział ktoś kiedyś coś podobnego?

Odpowiedzi stojącej obok kobiety już nie dosłyszał. Stał w rzędzie gapiów. Jego twarz osłaniały czapka z daszkiem i naciągnięty na nią kaptur kurtki przeciwdeszczowej. Musiał tu znowu przyjechać, nie potrafił się powstrzymać. Słyszał, że mordercy często wracają na miejsce zbrodni; zdawał sobie też sprawę, że policja również wie o tym i dlatego ze szczególnym zainteresowaniem przypatruje się takim jak on, stojącym za policyjną taśmą i gapiącym się na to, co się dzieje. Policja może tak, ale nie ci tutaj.

Podwarszawscy policjanci z podwarszawskiego komisariatu zapewne już sklasyfikowali zdarzenie jako podbicie ze skutkiem śmiertelnym w czasie pijackiej sprzeczki. W sumie nie było to aż tak dalekie od prawdy. Na ich twarzach w każdym razie nie było widać ekscytacji. Działali rutynowo i nie zamierzali poza tę rutynę

wykraczać. W stronę rosnącego z każdą minutą tłumu nie był skierowany żaden obiektyw, czy to aparatu, czy kamery.

Ten tłum też był jego sprzymierzeńcem, coraz większy i większy. Wszyscy ci, którzy przyjechali do supermarketu głodni zakupów po niedzielnej przerwie, trafiali prędzej czy później właśnie tutaj. I to pomimo pulsującego ze zmienną intensywnością deszczu. W takim tłumie łatwo się schować. Miejscowość była mała, ale nie na tyle, by wszyscy się tu znali. I by zauważyli obcego.

Woda z parasola stojącego obok niego mężczyzny spłynęła mu na ramię z głośnym chlupotem. Ci z dalszych rzędów, którym widok zasłaniały głowy i rozpięte na metalowych stelażach czapki, dopytywali tych z przodu, co się dzieje. No więc nic się nie działo. Rozstawiony namiot skutecznie zasłaniał wszystkie przeprowadzane właśnie czynności.

Wyobraził sobie leżącego tam trupa. W odróżnieniu od wszystkich tych ludzi wokół dobrze wiedział, jak on wygląda. Wciąż miał jego widok pod powiekami. Dziś rano, gdy się obudził, wymiotował. I to nie z powodu wypitego wczoraj alkoholu. Zresztą nie było go znowu aż tak dużo. Wymiotował na wspomnienie tego, co się stało. Przeżył wręcz chwilę paniki, przerażenia i obrzydzenia samym sobą. Przynależał sobie nawet, że nigdy więcej. Że zapomni o tamtym, wyprze to ze świadomości i będzie żył tak jak wcześniej.

Teraz po tamtych uczuciach nie było nawet śladu. Zamiast nich pojawiło się coś innego, coś, czego doświadczał po raz pierwszy w życiu i co niewątpliwie bardzo mu się podobało: ekscytacja, duma i poczucie mocy. Aż miał ochotę trącić łokciem stojącego obok niego mężczyznę i wyznać: „Hej, to ja! To ja go zabiłem! To dzięki mnie tu stoicie!”. Szkoda, że nie będzie mógł nikomu nigdy o tym opowiedzieć. Opisać, jakie to uczucie: patrzeć na leżące u swoich stóp charczące ciało, z którego ust wypływa gęsta, ciemna krew; obserwować tę ogromnie zabawną przemianę, gdy hardy, pełen pogardy, napastliwy, pewny swego typ zamienia się nagle w patrzącą przerażonym, nierozumiejącym wzrokiem, trzęsącą się

kupe gnoju. Szkoda, że nie będzie mógł pokazać swoich poobijanych, obolałych kłykci, wciśniętych teraz razem z dłońmi głęboko w kieszenie, wszystkim tym, którzy w przeciągu całego jego życia mieli go za frajera; wszystkim tym dziewczynom, które nim wzgardziły, które przyjmowały jego zaloty ze zniecierpliwieniem albo z uśmiechem politowania; szkoda, że nie będzie mógł podsunąć ich im pod nos i wykrzyknąć: „Ty też?! Też chcesz tak?! Tobie też to zrobić?!”. A potem obserwować, jak zaczynają się bać.

Musiał stąd odejść. Odwrócił się i odszedł. Jeszcze chwila, a zacząłby się śmiać albo naprawdę by się przyznał. Przecisnął się przez zmoknięty tłum i ruszył w stronę drzew. Potem przystanął i odetchnął głęboko. I dziwna sprawa, poczuł się lepiej. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł się dobrze. Jakby życie tamtego wniknęło weń i go uzdrowiło, przekazując mu swoją moc. Wiedział, że to nieprawda, ale tak się właśnie czuł. Dobrze, na granicy euforii.

Nie było sensu z tym dyskutować.

ROZDZIAŁ 3

Wnętrze policyjnego namiotu parowało od wilgoci. Woda skraplała się na białych ścianach i spływała w dół, w stronę ziemi. Było gorąco i parno od deszczu oraz światła lamp, mimo że na zewnątrz wciąż panował raczej chłód. Ubrany po cywilnemu policjant rozpiął kurtkę, a potem jeszcze dwa guziki koszuli. Czuł, jak kropelki potu rosna mu pod włosami na głowie.

– Coś ciekawego? – spytał dwóch mężczyzn w białych kombinezonach. Tym to dopiero musiało być gorąco.

– Klasyka – odpowiedział jeden z nich. Widać było, że najchętniej zdjąłby z siebie tę polipropylenową zbroję i wyszedł na powietrze. – Nie znaleźliśmy śladów po nożu ani po żadnym tępych narzędziu. Przyczynę śmierci ustali oczywiście patolog, ale, jak sądzę, gościa po prostu załuczono.

– Gołymi rękami? – spytał policjant.

– I nogami. Moim zdaniem pierwsze ciosy były zadawane pięścią, potem, gdy już się przewrócił, kopano go, a nawet po nim skakano. Dość długo się na nim wyżywali.

– Myślisz, że sprawców było kilku?

– Nie, nie wiem. Tak mi się powiedziało. Taka ilość obrażeń wiąże się zazwyczaj z pobiciem przez paru napastników. Ale nie wiem. Można by oczywiście spróbować zdjąć odciski podszew z jego twarzy i sprawdzić, czy zostawił je jeden typ obuwia, czy kilka, ale sądzę, że może to być trudne.

– A co z pozostałymi śladami?

Mężczyzna w białym kombinezonie wzruszył ramionami.

– Sam wiesz. Deszcz padał całą noc.

– No tak.

Policjant po raz kolejny popatrzył na twarz leżącego u ich stóp trupa. Wyglądała naprawdę upiornie. Zmasakrowana, z powybijanymi zębami, złamanym nosem i rozdziawioną w stronę nieba szczęką, a jednocześnie pozbawiona jakichkolwiek śladów krwi, przypominała przerażającą, nowoczesną rzeźbę. Tylko oczy – jedno przymknięte, a drugie wybałuszone, lśniące wciąż z powodu wilgoci – świadczyły o tym, że to coś było kiedyś człowiekiem.

– W sumie typowa sprawa – powiedział drugi z mężczyzn w białych kombinezonach, klęczący ciągle jeszcze nad zwłokami. – Popili się, a potem pobili. Ten z jakiegoś powodu wkurzył pozostałych.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – odparł policjant, choć w zasadzie pomyślał to samo. Na coś takiego to właśnie wyglądało. Chyba nawet miał kilku dobrych kandydatów na sprawców.

– W każdym razie szukajcie kogoś, kto ma krew na butach – dodał pierwszy z techników. – I to raczej sporo. Jak będziecie mieli szczęście, znajdziecie nawet fragmenty skóry i włosy na podszewkach.

Policjant skrzywił się lekko.

– Deszcz by tego nie spłukał?

– Nawet jeśli umyli buty, powinniśmy coś znaleźć. Krew zostawia bardzo trwałe ślady.

ROZDZIAŁ 4

Pomacał ręką ubranie – już wyschło. Zdjął je ze sznurka w suszarni i wraz z butami zaniósł do kotłowni. Otworzył żeliwne drzwiczki do pieca i wepchnął to wszystko do środka na dobrze rozpalony żar. Potem zamknął drzwiczki i dla pewności włączył elektryczną dmuchawę. Dobrze, że maj był taki chłodny. Dym z jego komina nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Ani smród. Mieszkał w jednej z obrzeżnych dzielnic Warszawy, niedaleko Wisły, na osiedlu, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu bardziej przypominało wieś niż miasto i gdzie wciąż jeszcze obok willi i nowoczesnych apartamentowców można było znaleźć stare domy wyposażone w piece opalane węglem. Takie właśnie jak ten. Ich właściciele w sezonie grzewczym palili w nich czym popadnie, wzbudzając irytację mieszkańców ogrzewanych gazem budynków. Oszczędni gospodarze ładowali do pieców, co tylko im przyszło do głowy: trociny, miał, śmieci, zdechłe psy i koty, zużyte pieluchy i podpaski swoich żon. Wszystko, co tylko dało się spalić i było tańsze od węgla. Czarny dym nad jego domem nie będzie więc niczym dziwnym. W sumie mógłby tu spalić nawet zwłoki i nikt nie powinien tego zauważyć. Warto o tym pamiętać na przyszłość.

Usiadł na starym taborecie stojącym obok pieca i zapatrzył się na jego drzwiczki. Szkoda, że nie było widać ognia. Zawsze lubił na niego patrzeć. Mógłby wtedy obserwować, jak palą się jego buty. Ich było mu najbardziej szkoda; kupił je niedawno i nie kosztowały mało, a w jego sytuacji na drugie takie nie będzie go stać. W przyszłości musi zakładać na takie akcje tańsze rzeczy.

W przyszłości... Już po raz drugi coś takiego pomyślał. Jakby decyzja była już podjęta, choć przecież wcale jeszcze nie była. Jakby coś myślało tak za niego, wbrew jego własnym postanowieniom. A postanowienia te były takie, że nie powtórzy tego więcej. Że potraktuje to jako jednorazowy wyskok... Choć nie, wyskok to nie jest jednak dobre słowo. Że potraktuje to jako jednorazową przygodę. O, tak lepiej. Kolejne doświadczenie; jedno z tych, które ostatnio kolekcjonował, robiąc te wszystkie rzeczy, których bał się lub wstydził robić wcześniej. Takie jak to ostatnie pójście do burdelu.

Ale nie, to jednak nie było to samo. Nie można tego mimo wszystko porównywać. Tamto było realne, czasami nawet aż za bardzo. To, co się wydarzyło na parkingu, przypominało bardziej sen albo halucynację. Jakby nie stało się naprawdę, choć przecież się stało; świadczyły o tym buty płonące w piecu przed nim. Jakby mu się to tylko przyśniło, choć wciąż nie mógł zdecydować, czy był to koszmar, czy wręcz przeciwnie.

Wzdrygnął się, pomimo bijącego od pieca żaru. Znowu było mu zimno. Otarł ręką czoło – było wilgotne. Pocił się z gorąca, a mimo to marzył. Czyli to wraca, nie minęło.

Wstał i poszedł na górę. Na stole w kuchni czekał na niego stos opakowań. Te leki rano, te leki wieczorem. I jeszcze ten ostatni, by wątroba nie wysiadła mu wcześniej niż cała reszta. Wycisnął tabletki z listków i włożył je sobie do ust. Sporo tego było. Nalał wodę do szklanki i popił. Nie było łatwo przełknąć. Kolejne nowe doświadczenie, choć tego akurat wolałby nie mieć w swojej kolekcji.

Kiedyś zastanawiał się, jak pewnie wszyscy czasem się zastanawiają, co by zrobił, gdyby zostało mu parę miesięcy życia. Myślał wtedy o podróżach, skokach ze spadochronem, kolacjach w dobrych restauracjach i życiu na kredyt, którego przecież nie będzie trzeba spłacać. Dziś wiedział, że to wszystko bzdura. Takie plany może snuć tylko ktoś, kto ma w perspektywie długie życie, a myśl o śmierci jest dla niego jedynie wywołującą lekki dreszczyk

zabawą. Prawda jest taka, że gdy rzeczywiście staje się przed tym problemem, nie ma się ochoty na żadną z tych rzeczy. Szczerze mówiąc, nie ma się ochoty na nic. No, może oprócz jednego: żeby to wszystko rozpierdolić.

Poczuł, jak znowu wzbiera w nim złość. Jak wściekłość zalewa mu oczy, zupełnie jak wtedy, na tamtym parkingu. Przypomniawsobie swoje gówniane, gówniane, po trzykroć gówniane życie. Zawsze był grzeczny, już od dziecka. Odrabiał prace domowe, słuchał się rodziców i nauczycieli, nie chodził na wagary ani nie palił papierosów za garażami przy szkole. Potem też: uczył się pilnie, oszczędzał, pracował ciężko i dawał drobne bezdomnym. Nie pił zbyt wiele, nie uganiał się za dziewczynami ani nie korzystał z usług prostytutek. Czekał na miłość, tę jedną jedyną, która – jak wiedział – nigdy już nie nadejdzie. Ani ona, ani kariera, ani sława. Mimo poświęceń, wyrzeczeń, uporu w dążeniu do celu, wiary w sukces na przekór przeciwnościom, niepoddawania się i przestrzegania reguł. Pomimo niejedzenia mięsa w piątek, nienoszenia skarpetek do sandałów i niemiaskania przy jedzeniu. Pomimo wystrzegania się rasistowskich i antysemickich żartów, pomimo żegnania się przed kościołem i spluwania przez lewe ramię na widok czarnego kota. Pomimo segregowania odpadów, noszenia własnej torby na zakupy i nieużywania jednorazowych naczyń i sztućców. Pomimo tego wszystkiego żadna nagroda nigdy nie została mu przyznana ani żadna zapłata wypłacona. I nigdy już nie zostanie.

To akurat wiedział aż nazbyt dobrze. Nigdy nic. To już wszystko. Niczego więcej nie będzie. Jakby odkładał całe życie na wymarzoną emeryturę w tropikach, a potem dowiedział się w biurze podróży, że ma w portfelu same pocięte gazety. Powiedzieć, że się jest rozczarowanym taką sytuacją, to naprawdę nie powiedzieć nic.

Coś ukłuło go w środku. Gdzieś tak pomiędzy sercem a żołądkiem. Zastygł w przerażeniu. A może to tylko mu się zdawało? Od czasu tamtej wizyty w gabinecie lekarskim był

przewrażliwiony na sygnały płynące z wnętrza swojego organizmu. Czy to, że coraz gorzej się czuł, stanowiło realne odzwierciedlenie stanu jego zdrowia, czy było rodzajem autosugestii, wyolbrzymiającej, a nawet wymyślającej objawy postępującej destrukcji ciała? Mógłby oczywiście pójść to zbadać, ale postanowił, że już nigdy więcej nie przekroczy progu żadnej instytucji medycznej. Pamiętał aż nazbyt dobrze swoją matkę, która ostatnie trzy lata życia spędziła w poczekalniach przychodni i na szpitalnych łózkach. On nie miał zamiaru tak skończyć. Może będzie żył przez to krócej, ale przynajmniej na swoich warunkach.

Przypomniał sobie naraz tamten parking pod supermarketem. Nie, nie wieczór, gdy zrobił to, co zrobił, ale następnego dzień, kiedy stał wśród tłumu gapiów. I tamto uczucie, które wtedy go napełniło. Uczucie mocy, siły i... zdrowia. Tak, przez tamten dzień i cały następny czuł się zdrowy, zupełnie. Nic go nie bolało, umysł miał jasny, był pełen energii. Czuł się dobrze, bardzo dobrze, nawet lepiej niż przed chorobą. Wiedział, że było to złudzenie, ale nie mógł przestać o tym myśleć. Ani za tym tęsknić. Bo właśnie teraz to się kończyło.

Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd podłużny przedmiot. Nóż sprężynowy, który tamten wyjął o wiele za późno. Wtedy, gdy już leżał i wystarczyło stanąć mu na nadgarstku, by go wypuścić z dłoni. Nacisnął metalowy okrągły przycisk; długie ostrze otworzyło się z cichym szczękiem. Jego też powinien się pozbyć, ale nie potrafił. To był jego łup, jego trofeum, symbol zwycięstwa, które odniósł po raz pierwszy w życiu. Trzymając go, znowu poczuł tamtą moc. Nie, nie wyrzuci noża; umyje go tylko, a może nawet wygotuje, żeby pozbyć się wszelkich śladów. I zatrzyma. Uśmiechnął się lekko. To będzie jego fetysz.

ROZDZIAŁ 5

– No dobrze, wiemy już przynajmniej, kim on był. – Młodszy aspirant Paweł Masłowski pomasował się po karku. Odkąd jakiś dureń ze Skierniewic wjechał na rondzie swoim dostawczym mercedesem w drzwi jego opla, bolała go szyja. – Sebastian Janik, lat dwadzieścia osiem. Niezatrudniony, trójka dzieci, beneficjent programu pięćset plus i jeszcze kilku innych zasiłków socjalnych. Znany nam już trochę z powodu skłonności do awantur. Żona założyła mu niebieską kartę w zeszłym roku. Niekarany jednak, jak do tej pory.

– Dowiedziałeś się, co tam robił? – zapytał naczelnik wydziału kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Grójcu, lecz nie sprawiał wrażenia przesadnie zainteresowanego odpowiedzią.

– Wracał do domu. Na skróty. Dlatego szedł przez ten parking. Podobno zawsze tamtędy chodził.

– „Kto drogi skrótuje, ten w domu nie nocuje” – zauważył filozoficznie komisarz. – Skąd szedł?

– Pił z kolegami w mieszkaniu jednego z nich. Prawdopodobnie wyszedł, bo skończył się alkohol. Prawdopodobnie, bo gospodarz nie jest w stanie tego potwierdzić. Ani o której to się stało.

– A ci inni?

– Jeden został na miejscu; właściciel mieszkania i jego żona twierdzą, że gdy się obudzili, był tam jeszcze. Dwaj pozostali także wrócili do siebie, choć nie pamiętają jak.

– Jasne. – Komisarz wzruszył ramionami. – Weekend. Połowa miasta tak się zabawiała. Co tu innego robić? Jeszcze w taką

pogodę... – Spojrzał na spływające po okiennej szybie krople deszczu.

– Sprawdziliśmy ich oczywiście – kontynuował referowanie swoich ustaleń młodszy aspirant.

– I co?

– I nic. Twierdzą, że nic nie pamiętają ze swojego powrotu. Jeden teoretycznie mógłby wracać razem z denatem, bo mieszkają mniej więcej w tym samym kierunku. Ale nie musiał. Krótszą drogę ma po prostu ulicą. Drugi mieszka zupełnie gdzie indziej.

– Jakies ślady? – spytał komisarz.

– Nic. Ani na ich butach, ani na ubraniu nie stwierdzono śladów krwi.

– Mogli je wyrzucić.

– Mogli. – Masłowski kiwnął głową. – Kazałem sprawdzić śmietniki w ich blokach. Nic.

– Nie były opróżniane od tamtego czasu?

– Nie.

– Może... – Komisarz podrapał się po brodzie.

– Kosze na śmieci przy ulicach też kazałem sprawdzić – uprzedził jego sugestię aspirant. – Przynajmniej w najbliższej okolicy. Z podobnym skutkiem. Mam sprawdzić resztę miasta? Lasy, dzikie wysypiska?

– Czekaj... – Komisarz lekko się skrzywił. – Nie wydamy całego rocznego budżetu na zwykłą bójkę.

– Ze skutkiem śmiertelnym.

– Ale bójkę. Spróbuj to załatwić prostszymi metodami. Żaden nie miał poobijanych kłykci?

– Nie. Jeden ma otarcia na twarzy. Twierdzi, że się przewrócił, jak wracał.

Komisarz zmarszczył brwi.

– Niczego nie pamięta, a to akurat pamięta, co? Który to z nich?

– Ten, który teoretycznie mógłby iść razem z denatem – wyjaśnił Masłowski.

– O, widzisz! – Twarz komisarza rozjaśniła się nieco. – Mamy coś na niego?

– Parę lat temu był zamieszany w handel dopalaczami.

– Przyciśnij go trochę. Przesłuchaj parę razy. Popytaj żonę, rodzinę, teściową. Jak to taki pijaczek, może będą mieli ochotę go sypnąć.

– Ćwiczył karate. – Aspirant spojrział w swoje notatki. – W podstawówce, ale zawsze.

– I znowu „o, widzisz”. Stawiałbym na niego.

ROZDZIAŁ 6

Połknął swoją poranną porcję tabletek; przy okazji o mało nie zwymiotował. Spojrzał na okno; znowu padało. Minał już prawie miesiąc od tamtej... od tamtej przygody i był już pewien, że jego coraz gorsze samopoczucie nie jest wynikiem żadnej autosugestii. Wczoraj wieczorem pojechał do centrum. Zjadł kolację w japońskiej restauracji. Chociaż „zjadł” to nie było właściwe słowo. Z ledwością wypił ramen, makaron zostawiając. Resztę w zasadzie tylko rozgrzebał. Potem poszedł na umówione przez Internet spotkanie. prostytutka ze wschodnim akcentem miała spore problemy, by dokończyć swoją robotę. Patrzył na jej głowę poruszającą się miarowo między jego udami i czuł, jak coraz bardziej ogarnia go złość. Dobrze, że jej się w końcu udało, bo jeszcze chwila, a by jej przywalił. I to by było tyle, jeśli chodzi o używanie życia. Tego, którego tak niewiele mu zostało i które wcześniej tak koncertowo marnował.

Później wrócił do domu i znowu pił. Ostatnio robił to coraz częściej. Mimo iż lekarz wyraźnie mu powiedział, że w jego stanie... Zaśmiał się gorzko w duchu, przypominając sobie jego słowa. W jego stanie nie miało to absolutnie żadnego znaczenia.

Jeszcze kilka miesięcy temu wykonałby jego zalecenia co do joty. Czasami wręcz przesadzając z gorliwością. Zawsze miał naturę prymusa. Jak czegoś nie wolno, to nie wolno. Jak coś należy zrobić, to należy. Nie ma wyjątków ani usprawiedliwień. Nawet jak nikt nie patrzy. Nawet jak nikt się nigdy nie dowie. Czerwone to

czerwone; trzeba stać i czekać na zielone, nawet gdy jest druga w nocy i wokoło nie ma żywego ducha.

Teraz już tak nie myślał. Może był to skutek szoku, którego doznał, gdy się dowiedział, że jego kilkuletnia walka z chorobą nie będzie jednak miała szczęśliwego finału, a może wynik zmian w osobowości, o których mówił tamten lekarz, opisując mu jej dalsze możliwe konsekwencje. Jakkolwiek by było, w sumie mu się to podobało. Zawsze gdzieś w głębi ducha zazdrościł klasowym chuliganom. I zawsze podświadomie nie cierpiał tej swojej wewnętrznej blokady uniemożliwiającej mu pójście w ich ślady. Teraz już mógł to robić. I raz się na to zdecydował. Może na tym właśnie powinno polegać jego „używanie życia”?

ROZDZIAŁ 7

Komisarz Aleksanderski z Komendy Rejonowej Policji Warszawa V na Bielanach z niedowierzaniem spoglądał w dół, pod swoje nogi. Był już policjantem dość długo, za dwa lata powinien przejść na emeryturę, i naprawdę sporo już w życiu widział, lecz czegoś takiego jeszcze nie. Mężczyzna leżący na ziemi miał twarz pociętą nożem. I to jeszcze nie byłoby nic takiego dziwnego, niezwykle były liczba i rodzaj tych nacięć. Deszcz, który padał z przerwami od dwóch tygodni – choć teraz na szczęście właśnie akurat nie – wymył z tej twarzy i z wnętrza ran krew, przez co wyglądała ona, jakby ktoś dokonał na niej sekcji. Ale tylko na niej.

– Patrz! – Jego partner uniósł ostrożnie krawędź kurtki denata.

Na mokrej koszulce oblepiającej ciało trupa widać było kilkanaście śladów, prawdopodobnie po nożu. Ich rozmoczone krawędzie zachowały jeszcze blady odcień czerwieni.

– Zginął pewnie od tego. To na twarzy moim zdaniem zostało zrobione później.

Komisarz kucnął i przyjrzał się z bliska cięciom. Były... dziwne. Tylko to słowo przychodziło mu do głowy. Liczba ran kłutych na brzuchu i klatce piersiowej świadczyła, że sprawca działał w stanie dużego wzburzenia, silnych emocji, które w ten sposób właśnie rozładował. Lecz rany na twarzy nie były chaotyczne, nie zostały zadane w morderczym szale. Zupełnie jakby... morderca się w ten sposób bawił. Policzki denata rozcięto, i to z obu stron. Oba nozdrza były rozerwane. Powieki również zostały przecięte, w dodatku tak, żeby odsłonić oczy. Wyglądało to, jakby sprawcą

kierowała głównie ciekawość. Do tego dochodziło kilka nacięć na skórze czoła. Nacięć przypominających rysowane od niechcienia wzory.

– Dziwne... – Jego partner myślał, zdaje się, o tym samym. – Widziałeś kiedyś coś podobnego? Musiał to zrobić jakiś świr...

– I to nielichy... – odparł komisarz i wstał. – Dzwon po prokuratora. I po ekipę. Będą mieli sporo roboty. Kto ma dzisiaj dyżur?

– Jakaś nowa.

Aleksanderski jeszcze raz spojrział na trupa z góry. Jego ułożenie wydawało się nienaturalne, jakby ktoś upozował go po śmierci. Ręce i nogi rozrzucone były na bok i zgięte w specyficzny sposób. Przypominał... przypominał ludzika ze znaku drogowego obwieszającego bliskość przejścia dla pieszych. Kto mógł zrobić coś takiego? I po co? Komisarz spotkał się już parę razy z upozowaniem zwłok, ale nigdy w taki sposób. Mordercy robili takie rzeczy zazwyczaj z trzech powodów: żeby ukryć prawdziwy motyw lub upozorować samobójstwo; żeby dodatkowo po śmierci upokorzyć ofiarę; lub wręcz przeciwnie – żeby oddać jej swego rodzaju hołd, układając jej ciało w godnej pozycji, przypominającej tę z katafalku. Tu, jak się wydawało, w grę nie wchodziła żadna z tych przyczyn. Więc jaka?

Rozejrzał się po okolicy. Ciało leżało na chodniku wiodącym przez środek sporego skweru znajdującego się pomiędzy dużymi, dziesięciopiętrowymi blokami. Znalazła je szesnastoletnia dziewczyna, która wyprowadzała rano swojego psa. Wyglądało to trochę tak, jakby trup szedł po chodniku. Czy o to w tym wszystkim chodziło? Ułożenie ciała miało coś wskazać? Kierunek, w którym należało pójść, aby coś odkryć?

Komisarz polecił gestem swojemu partnerowi, żeby pozostał przy zwłokach, a sam ruszył w stronę, w którą zdawał się biec leżący na ziemi ludzik.

Wyłożona betonową kostką ścieżka wiodła w kierunku wielkiego bloku i parkingu przed nim. Było nieco po siódmej rano; ludzie właśnie wsiadali do samochodów, by odwieźć dzieci do szkoły i pojechać do pracy. Nikt, całe szczęście, nie zauważył leżących w oddali na chodniku zwłok. Oszczędziło im to kłopotu z odganianiem gapiów.

Aleksanderski podszedł do stojących tu samochodów, potem zaczął krążyć między nimi. Nie znalazł jednak niczego dziwnego ani odbiegającego od normy. Zajrzał przez zamkniętą kratę do wolnostojącego śmietnika – tu również nie zauważył niczego niezwykłego. Spojrzał na wznoszącą się nad nim bryłę bloku. Może więc chodziło o budynek? Może to, co wskazywało ułożenie zwłok, znajdowało się w którymś z mieszkań? Jeśli tak, komisarz sam tego nie sprawdzi. Były ich przecież setki.

Chyba że... Nagle przyszło mu to do głowy. Chyba że ludzik na chodniku nie tyle biegł w jakimś kierunku, ile przed czymś uciekał.

Te bloki i ten zamknięty śmietnik trzeba będzie oczywiście sprawdzić, na razie jednak warto przyjrzeć się tej drugiej możliwości. Ruszył z powrotem w kierunku trupa. Zbliżając się do niego, po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł odruch wymiotny. W tej twarzy było coś nieludzkiego. Widział wiele zmasakrowanych zwłok, lecz na ich, często potwornie zniekształconych, obliczach dało się mimo wszystko odczytać ślady jakichś ludzkich emocji – tych zastygłych w ich pośmiertnym wyrazie, jak i tych odczuwanych przez ludzi, którzy doprowadzili je do takiego stanu. Ta twarz przypominała raczej maskę jakiegoś azjatyckiego demona. Jej rozcięte policzki, opuszczona nienaturalnie szczęka, odsłonięte zęby, rozcięte nozdrza i wybałuszone oczy nadawały jej wyraz groteskowego niemal przerażenia.

Gdy do niej podchodził, odczuł naraz jakiś metafizyczny, podskórny lęk. Wzdrygnął się i odwrócił wzrok. I wtedy zrozumiał coś jeszcze: pomylił się, myśląc, że morderca bawił się, robiąc te

wszystkie nacięcia, że kierowała nim tylko ciekawość podobna do tej, z jaką kot bawi się upolowaną przed chwilą myszą. Ten, kto to zrobił, zrobił to celowo. Ta twarz, podobnie jak ułożenie zwłok, była przekazem, wiadomością wysłaną światu przez zabójcę. Pytanie tylko, jaka była jej treść.

Minął wreszcie trupa i ruszył dalej wyłożonym kostką chodnikiem. Uważnie przypatrywał się jego nawierzchni, trawie po obu stronach i mijanym co jakiś czas ławkom. Niczego ciekawego nie dostrzegł.

Ścieżka doprowadziła go do drogi, przy której parkowały samochody. Tu też niczego nie zauważył. Ani w samochodach, ani pomiędzy nimi, ani w koszu na śmieci, który też sprawdził. Po drugiej stronie ulicy widniał wzniesiony z białej cegły mur, zza którego wystawały korony drzew. Cmentarz Wawrzyszewski. Może chodziło właśnie o niego? Przeszedł przez jezdnię, potem przez pas zieleni i dotarł pod ścianę. Wejście było z innej strony. Już miał ruszyć wzdłuż muru w poszukiwaniu bramy, gdy wtem coś dostrzegł. Białą kartkę formatu A4, pofałdowaną i mokrą od deszczu, leżącą na trawie pod murem cmentarza. O tym, że nie znalazła się tam przypadkiem, świadczyło to, że przyciśnięto ją kamieniem.

Podszedł do niej i kucnął. Kamień był dość spory, więc zasłaniał większość arkusza, lecz nawet mimo tego dało się na niej dostrzec ślady druku. Litery były rozmyte i zamazane; Aleksanderski nie potrafił ich odczytać, rozmieszczenie wyrazów wskazywało jednak, że był to rodzaj wiersza. Na górze, tuż nad krawędzią kamienia, widniały dwa słowa napisane wersalikami. Był to najwyraźniej tytuł. Tyle udało mu się odczytać: „ODROBINA NICOŚCI”.

*

Siedział tak już chyba trzecią godzinę. Z kapturem wciąż na głowie, z twarzą umazaną krwią tamtego. Z zamkniętymi oczami. Próbował

zrozumieć to, co się stało. Ale nie tylko. Bał się ruszyć, żeby nie stracić tego czegoś. Tego, czego nawet nie potrafił nazwać. Tego stanu uniesienia, mocy, łaski...

Nigdy wcześniej tak się nie czuł. Nawet wtedy, na parkingu pod supermarketem. Pewnie dlatego, że tamto stało się w zasadzie przypadkiem; że było zaskoczeniem także dla niego samego. Teraz podszedł do sprawy o wiele bardziej świadomie. Co nie znaczy, oczywiście, że zupełnie na zimno...

Otworzył powoli oczy. Zasnęta krew ściągała mu skórę. Nie ubrudził się nią niechcący. Nie ochlapała mu twarzy, gdy raz za razem, ogarnięty ekstatycznym niemalże uniesieniem, lecz jednocześnie obserwujący to wszystko jakby z pewnego dystansu, wbijał ostrze w pierś tamtego. Być może parę kropel opryskało go wówczas, nie wiedział. Sam się nią wysmarował, już po wszystkim.

Było to dziwne; do tej pory czuł lekkie zażenowanie na to wspomnienie. Ale nie wzięło się znikąd. Nie było też jakimś wymysłem jego chorej wyobraźni. Czytał o tym kiedyś – albo oglądał w jakimś filmie – że gdy myśliwy upoluje swoją pierwszą w życiu zwierzynę, inny myśliwy, starszy i bardziej doświadczony, smaruje mu twarz krwią jego ofiary. A to była jego pierwsza ofiara. Pierwsza upolowana ofiara. Bo tamtego gościa na parkingu trzepnął trochę niechcący, niczym kierowca sarnę na drodze.

Uśmiechnął się. Napięta skóra lekko zaboląła. Poczował się, jakby pękała na nim skorupa oblepiająca jego prawdziwą twarz. Symptomatyczne uczucie. Może właśnie na tym to polegało? Na tym, że właśnie pęka na nim maska. Ta, którą nosił przez całe dotychczasowe życie. Ta, za którą ukrywał prawdziwego siebie. Przypomniał sobie nagle reklamę pewnego napoju. „Bądź sobą!” – nawoływało hasło zachęcające do jego kupna. Zaśmiał się cicho. Chyba właśnie je realizował.

ROZDZIAŁ 8

Prokurator Gabriela Seredyńska wysiadła ze swojego samochodu. Komisarz Aleksanderski czekał już na nią na parkingu przed Zakładem Medycyny Sądowej. Mimo wieloletniego doświadczenia oraz tego, że był tu naprawdę nie pierwszy raz, wolał nie spędzać w środku więcej czasu, niż było to absolutnie konieczne.

Podeszła do niego i przywitała się uściskiem dłoni. Była młoda, pewnie niedawno zrobiła aplikację. Wcześniej się z nią nie spotkał. Aleksanderski nie lubił współpracować z takimi jak ona. Nie, nie dlatego, że była kobietą; jeśli o to chodzi, nie miał żadnych uprzedzeń. Nie lubił współpracy z młodymi prokuratorami, którzy swój brak doświadczenia usiłowali nadrobić niewolniczym trzymaniem się wszelkich przepisów, a ze strachu przed jakimkolwiek błędem nie pozwalali sobie na żadną elastyczność. Czy ona będzie podobna? Pewnie niedługo się o tym przekona.

Była ładna, nawet bardzo, lecz on był już zbyt stary, by cokolwiek go to obchodziło. Jej rude, ale sądząc po cerze, raczej farbowane włosy spływały prosto po obu stronach szczupłej twarzy. Mogłaby być jego córką. A gdyby odpowiednio wcześniej rozpoczął życie erotyczne, może nawet wnuczką. To dziwne, że musiał wysłuchiwać poleceń i pytać o zgodę kogoś, kto był od niego ponad trzydzieści lat młodszy. I nie wiedział o tej pracy nawet jednej dziesiątej tego, co on.

– Idziemy? – spytała. Ledwo słyszalna niepewność w głosie świadczyła o tym, że dla niej to miejsce ciągle zachowywało urok nowości.

Ten prawie niesłyszalny ton sprawił jednak, że poczuł do niej coś w rodzaju sympatii. A może chodziło właśnie o to, że mogłaby być jego córką? Taką, którą zawsze chciał mieć, lecz nie było mu to dane. Parę dni temu na chodniku między wysokimi blokami, musiał to przyznać, trzymała fason. Lekko tylko pobladła, patrząc na przerażające nawet dla niego, starego wygi, oblicze trupa. Czy był to jej pierwszy nieboszczyk? Na pewno jeden z pierwszych. Ciekawe, jak zareaguje, gdy dostanie swojego pierwszego zgniłka.

Weszli do środka. Doktor Kornacki, kierownik tego wesołego przybytku, już na nich czekał. Denat, rozebrany i umyty przez laboranta sekcyjnego, również był już przygotowany na wizytę gości. Nacięcia na twarzy obeschły, zmieniły kolor, rozszerzyły się, a ich krawędzie wywinęły się na boki, co sprawiło, że wyglądał teraz jeszcze bardziej nieludzko.

Komisarz spojrział ukradkiem na swoją młodą szefową. Patrzyła w twarz trupa spokojnie i uważnie. Po jej chwili słabości nie było nawet śladu.

– Dobrze, zacznijmy więc. – Doktor Kornacki podszedł do stołu sekcyjnego. Laborant stał obok i nagrywał wszystko na dyktafon.

Doktor obejrzał dokładnie trupa, omijając na razie najbardziej oczywiste i najlepiej widoczne rany na twarzy i korpusie. Potem z pomocą laboranta przewrócił ciało na brzuch.

– Brak widocznych otarć, krwawych podbiegnięć i wybroczyn, jak również ran na kończynach, plecach i tyle głowy – podyktował. – W porządku – zwrócił się do laboranta – odwracamy go z powrotem.

Nachylił się teraz nad klatką piersiową nieboszczyka. Uważnie przyjrzał się licznym otworom; potem je policzył.

– Szesnaście ran – powiedział. – Osełkowatego kształtu. Umiejscowionych na brzuchu i klatce piersiowej. Zadanych wąskim i cienkim ostrzem.

– Nóż? – spytał Aleksanderski.

– Ale raczej sztylet lub nóż sprężynowy. Otwory są dość niewielkie. Sprawca, zdaje się, był wyższy od denata.

– Skąd pan to wie? – spytała Seredyńska.

– Ciosy nożem zadawać można na dwa sposoby. Od góry, znad głowy, albo od dołu, wyprowadzając je z okolicy bioder. Te zostały zadane od dołu. Świadczy o tym kąt oraz to, że większość dosięgła okolic brzucha. Kilka jednak trafiło w pierś, co byłoby bardzo trudne, gdyby sprawca był niższy od ofiary lub tego samego wzrostu – wytłumaczył doktor Kornacki.

– A ile wzrostu ma denat? – spytał Aleksanderski.

– Metr siedemdziesiąt cztery – odparł laborant.

– Czyli sprawca powinien być tak na oko piętnaście, dwadzieścia centymetrów wyższy – powiedział doktor. – I być mężczyzną.

– Dlaczego mężczyzną? – spytała Seredyńska.

– Po pierwsze tak wysokich kobiet jest, statystycznie rzecz biorąc, znacznie mniej niż mężczyzn. Po drugie świadczy o tym prawdopodobne narzędzie zbrodni. Stawiałbym jednak na nóż sprężynowy; rany zadane sztyletem byłyby nieco szersze i miały inny kształt, a to raczej dość nietypowa broń jak na kobietę. Po trzecie sposób wyprowadzenia ciosu: jeśli kobiety zabijają nożem, uderzają raczej od góry.

– To na pewno jest nóż sprężynowy? – spytał komisarz.

– Zaraz sprawdzimy głębokość ran – odpowiedział Kornacki. – To pomoże nam uprawdopodobnić lub odrzucić tę hipotezę. Kolego – zwrócił się do laboranta – proszę mi podać skalpel.

Doktor szybko i sprawnie wykonał otwierające ciało cięcie w kształcie litery Y.

– Rany mające cechy przyżyciowości – podyktował. – Świadczy o tym duża ilość krwi w jamie brzusznej.

– Czyli wykonane za życia ofiary? – wołała upewnić się Seredyńska.

Kornacki spojrzał na nią znad zsuniętych na nos okularów.

– W rzeczy samej – odpowiedział, jakby spytała go właśnie, czy to prawda, że serce przestaje bić po śmierci.

Nachylił się nad odsłoniętymi narządami wewnętrznymi.

– Rany głębokie, zadane długim i wąskim ostrzem, dłuższym nawet od standardowego sprężynowca. Ale są takie. – Tym razem spojrzał na komisarza.

Aleksanderski potwierdził ruchem głowy.

– Zagrożające życiu były tylko te dwie. – Doktor wskazał je czubkiem swojego skalpela. – Pierwsza uszkodziła wątrobę, druga przebiła od dołu serce i doprowadziła do jego zatrzymania, czyli była bezpośrednią przyczyną śmierci.

Kornacki obszedł teraz stół sekcyjny i nachylił się nad głową denata. Podniósł delikatnie rozciętą powiekę palcami obleczonymi w lateksową rękawiczkę.

– Rany na twarzy zostały zadane już po śmierci ofiary. – Popatrzył na prokurator Seredyńską, jakby tylko z jej powodu zmuszony był zarzucić fachową terminologię. Kobieta ledwie zauważalnie ściągnęła usta. – Świadczy o tym między innymi brak dużej ilości krwi w oczodole.

Zdjął teraz okulary i założył inne, zaopatrzone z jednej strony w jubilerską lupę. Jeszcze raz nachylił się nad zwłokami.

– Hmm, ciekawe... – powiedział.

– Co jest takiego ciekawego? – spytał Aleksanderski.

– Brzegi ran na twarzy są równe; cięcia są czyste, poprowadzone pewną ręką...

– Co w tym dziwnego? – spytała Seredyńska.

– Duża liczba ran na korpusie ofiary świadczy o działaniu w stanie silnego wzburzenia – wyjaśnił doktor Kornacki. – Z kolei cięcia na twarzy wyglądają, jakby ktoś wykonał je od niechcienia. Są płytkie, z wyjątkiem oczywiście tych rozcinających policzki i powieki, czyli ten, kto je zrobił, nie użył do ich wykonania zbyt dużo siły. W stanie wzburzenia ludzie mają raczej skłonność do

pewnej przesady, jeśli chodzi o energię wkładaną w zadawanie ciosów...

– O czym to według pana świadczy? – spytała Seredyńska.

Doktor ponownie spojrzął na nią znad okularów.

– Od takich spekulacji jesteście raczej wy, a nie ja – odparł.

– Ma pan, panie doktorze, o wiele większe doświadczenie ode mnie – odpowiedziała. – Dlatego chętnie poznam pana opinię na ten temat.

Kornacki uśmiechnął się kącikiem ust.

– Umiejętność publicznego przyznania się do własnych ograniczeń jest bardzo rzadką cechą u osób wykonujących pani zawód – powiedział. – I bardzo dobrze rokującą na przyszłość.

Pani prokurator nie odpowiedziała.

– Mamy więc dwa rodzaje ran i dwa diametralnie różne stany emocjonalne... – Doktor Kornacki spojrzął na trupa, jakby rozmawiał właśnie z nim. – Najprostsza narzucająca się odpowiedź jest taka, że sprawców było dwóch.

– Świr i jeszcze większy świr? – spytał komisarz.

– Coś w tym stylu. Duet z piekła rodem. Jeden zabił, a drugi skorzystał z okazji, by dać upust jakimś swoim chorym żądom. Znaleźliście jakieś ślady mogące za tym przemawiać?

– Problem polega na tym, że nie znaleźliśmy prawie żadnych śladów – westchnął Aleksanderski. – Deszcz padał całą noc i wszystko zmył.

– Chwileczkę – wtrąciła się Seredyńska. – A co z tymi ranami? Zostały wykonane tym samym narzędziem czy dwoma różnymi?

Kornacki spojrzął na nią z uznaniem.

– Moim zdaniem nic nie wskazuje na to, że narzędzia były różne – odpowiedział. – Ale też z drugiej strony nie da się tego wykluczyć. O ile w przypadku ran kłutych dość łatwo jest określić kształt ostrza, którym zostały zadane, o tyle w przypadku ran ciętych jest to o wiele trudniejsze.

– Jedno narzędzie nie wyklucza jednoznacznie dwóch sprawców – zauważył komisarz. – Choć gdyby udało ci się udowodnić, że rany zostały zadane dwoma różnymi, byłaby to poważna poszlaka świadcząca o tym, że to dzieło więcej niż jednej osoby.

– Gdzie znaleziono zwłoki? – Doktor zwrócił się w stronę komisarza.

– Na chodniku między blokami.

– Czyli w miejscu raczej niezbyt ustronnym?

– Nie bardzo.

– Więc hipoteza, że sprawca został z ofiarą na tyle długo, żeby zdążyć ochłonać i zmienić tak diametralnie stan emocjonalny, albo że wrócił na miejsce zbrodni po jakimś czasie, żeby się jeszcze trochę pobawić, wydaje się mało prawdopodobna?

Aleksanderski zastanowił się przez chwilę.

– Była noc, padał deszcz – odpowiedział. – Więc moim zdaniem nie da się tego całkowicie wykluczyć. Choć z drugiej strony w miejscu otoczonym blokami, w których mieszka tak wielu ludzi, zawsze trzeba się liczyć z niebezpieczeństwem, że ktoś się napatoczy, nawet w nocy. Gdybym to ja był mordercą, spieprzyłbym stamtąd jak najszybciej.

– Chyba że sprawca był pod wpływem środków odurzających i było mu wszystko jedno – zauważył Kornacki.

– Większość zabójstw w Polsce dokonywana jest w zamiarze nagłym pod wpływem alkoholu – pochwaliła się swoją wiedzą, wyniesioną jeszcze ze studiów, Seredyńska. Banalność tego stwierdzenia odjęła jej w oczach doktora parę punktów z tych, które otrzymała po poprzednich wypowiedziach. Nie mógł jednak nie przyznać, że była to prawda.

– Może faktycznie – powiedział. – Zabójca zaatakował po pijaku, potem się jeszcze doprawił i dokończył dzieła. Już znacznie bardziej otepiały.

– Nie sądzę – odparł komisarz. – Pijacy dość rzadko zostawiają po sobie wiersze.

– Jakie znowu wiersze? – Doktor Kornacki uniósł wysoko brwi.

– Zwłoki były upozowane – wyjaśnił Aleksanderski. – Ułożone, jakby ofiara gdzieś biegła albo skądś uciekała. Gdy sprawdziłem ten drugi kierunek, znalazłem kartkę. Był na niej wiersz.

– A to paradne! – Kornacki aż zdjął okulary. – Z czymś takim się jeszcze nie spotkałem, a widziałem już naprawdę sporo. Jesteście pewni, że zostawił go zabójca?

– Pewności nie mamy, ale moim zdaniem wszystko na to wskazuje. Był przyciśnięty kamieniem, raczej więc nie znalazł tam się przypadkiem. Ktoś zostawił go pod tym murem celowo.

– Masz ten wiersz?

Komisarz skinął głową.

– Kartka była przemoczona i trudna do odczytania, ale nasi technicy się z tym uporali.

Wyciągnął z kieszeni skórzanej kurtki złożony na czworo wydruk z komputera. Doktor zdjął lateksowe rękawiczki i zaczął czytać.

– Bardzo na temat – powiedział.

– Prawda? Leżała pod murem cmentarza.

– I to właśnie stamtąd niby uciekała ofiara? – Lekarz złożył z powrotem kartkę i oddał ją komisarzowi.

– To przynajmniej sugerowało ułożenie zwłok.

– Czeka was bardzo ciekawa sprawa – stwierdził patolog. – Chętnie będę ją śledził.

*

Wyszli na parking, zatrzymali się przy jej samochodzie. Komisarz wyjął paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę Seredyńskiej.

– Nie palę. – Pokręciła głową.

– Ja też nie – odparł. – Trzymam je właśnie na takie okazje.

Jeszcze czuł w nozdrzach zapach przepiłowywanej elektryczną piłą czaszki.

– Ten jeszcze i tak nie śmierdział najgorzej – dodał. – Chociaż po rozkrojeniu brzucha każdy cuchnie, nawet taki świeży.

Zobaczył, jak prokurator przetyka ślinę. Sięgnęła po papierosa. Wyjął drugiego, po czym podpalił im obojgu. Zaciągnęli się niemal w tym samym momencie.

– Czytałem gdzieś... – zaczął. – W ogóle za dużo czytam takich głupot... że zapach to unoszące się w powietrzu drobinki substancji, która go wydziela. To znaczy, że mamy teraz w nosie cząsteczki tego trupa.

Popatrzył na nią z ukosa. Zastanawiał się, jak zareaguje. Była to jego wersja fali w wojsku. Rekrutów trzeba trochę przeczołgać, żeby się otrzaskali i pokazali, co są warci.

Spojrzała na niego spokojnie.

– Dlatego w takich miejscach nigdy nie oddycham ustami – odpowiedziała i wydmuchała dym nosem.

ROZDZIAŁ 9

Cały poranek wymiotował. Upokarzająca czynność. Jeszcze pół biedy, gdy wymiociny wylatywały ustami; gorzej, gdy zaczynały wydostawać się przez nos. A tego w zasadzie nie dawało się uniknąć.

Kłęczał więc w łazience na białych, popękanych już gdzieniegdzie ze starości płytkach, nachylał głowę nad muszlą i ryczał, jakby chciał nastraszyć kibel. Z boku musiało to wyglądać naprawdę zabawnie. Gdyby ktokolwiek mógł na to spojrzeć.

Lecz nikogo takiego nie było. Umrze w samotności – ta myśl nagle przyszła mu do głowy, gdy wpatrywał się przekrwionymi i zażawionymi oczami w żółto-brązową ciecz spływającą po ceramicznych ścianach toalety. Być może nawet w ten sposób: z głową nad kibelem. Kłęska kłęsk. Jakże zabawnie kontrastująca z wszystkimi nadziejami i marzeniami, które miał w młodości.

Otarł usta papierem toaletowym i usiadł na podłodze. Spojrzał przez otwarte drzwi łazienki na szafkę w przedpokoju, gdzie leżała mała foliowa torebka z reklamą jakiegoś leku. Leżała tam od wczoraj, bo właśnie wczoraj, po takiej samej jak dziś porannej łazienkowej sesji, złamał swoje postanowienie i poszedł do lekarza. W środku był owoc tej wizyty: medyczna marihuana. Nie miał specjalnego problemu, by dostać na nią receptę. Wybrał lekarza, którego dobrze znał: brzuchatego, jowialnego, nieco odklejonego od rzeczywistości pięćdziesięcioparolatka, który kucykiem z rzadkich siwych włosów zaświadczał, że nie do końca pogodził się z tym, iż nie jest już grającym na gitarze młodzieńcem.

Przedstawił mu swoją dokumentację medyczną i wprost powiedział, że chciałby spróbować jeszcze tej terapii. Dodatkowo oczywiście, obok tych wszystkich maszyn i zastrzyków. Doktor pokiwał tylko smutno głową i bez słowa wypełnił stosowny druk.

Dlaczego chciał spróbować właśnie tego? Przeczytał gdzieś, że marihuana medyczna sprzedawana w polskich aptekach ma wyjątkowo duży procent substancji psychoaktywnej, zupełnie nieprzydatnej w terapiach, do których jest przeznaczona. Ot, błąd, niedopatrzenie systemu, wynik niezbyt dużego jeszcze doświadczenia polskiej służby zdrowia w stosowaniu tego specyfiku. Są oczywiście odmiany ze znacznie mniejszym stężeniem, lecz widocznie urzędnik z ministerstwa nie miał o tym zielonego pojęcia.

Przeczytał również, że ta właśnie substancja, THC, może wywoływać stany podobne do tych, których doświadczają paranoicy i chorzy na różnego typu psychozy: niemożliwą do opanowania gonitwę myśli, zaburzenia poczucia czasu, chwilowe zmiany osobowości, a nawet niewielkie halucynacje. Oraz że u osób z wrodzoną skłonnością do tego typu zaburzeń THC może je wzmacniać, a nawet prowadzić do ich utrwalenia.

I to by mu właśnie pasowało. Tego miał ochotę spróbować. Zmiany osobowości to coś, na co miał ostatnio wyjątkową ochotę. Już nie mówiąc o zmianie całkowitej, radykalnej, o ostatecznym zastąpieniu tego żalostnego frajera, którym był kiedyś, kimś innym. To się oczywiście powoli i tak dokonywało, czuł to, ale działo się zbyt wolno i do tego towarzyszyło temu wiele bardzo nieprzyjemnych objawów, które podobno marihuana niwelowała.

Mógłby oczywiście pójść gdzieś na róg ulicy i spróbować poszukać dilerów, ale po pierwsze nie wiedziałby, jak to zrobić, a po drugie po co, skoro z jego chorobą mógł dostać podobną substancję zupełnie legalnie.

Wstał i podszedł do szafki w przedpokoju. W środku foliowej torebki była druga, przezroczysta, z suszem, i urządzenie do

waporyzacji. Przeniósł to wszystko do kuchni i podłączył waporyzator do ładowarki. Potem usiadł na krześle i zaczął czytać instrukcję obsługi. Już sama ta czynność go uspokoiła. Skurcze, co i raz ściskające jego żołądek i domagające się wyrzucenia z niego tego, czego już tam dawno nie było, ustały.

ROZDZIAŁ 10

– Coś nowego? – spytała Seredyńska, gdy tylko stanął w drzwiach jej gabinetu.

– Tak – odparł krótko i usiadł ciężko na krześle przed jej biurkiem. Potem rzucił na nie plik kartek spiętych zszywaczem. – Wstępny profil nieznanego sprawcy. Dostałem go przed chwilą. Masz go też na mailu.

Jakoś ostatnio, nie wiadomo kiedy, przeszli na ty.

Podniosła kartki z blatu i zaczęła czytać.

– Tak w skrócie – zaczął, bo nie chciało mu się czekać, aż ona skończy. – Nasz profiler twierdzi mniej więcej to samo, co doktor Kornacki. Dwa rodzaje ran zadane w dwóch różnych stanach emocjonalnych.

– Znał opinię Kornackiego?

– Nie. Dostał tylko zwykły raport z sekcji zwłok, a tam nie ma tego typu gdybań.

– Był na miejscu zbrodni?

– Tak, był. Niedługo po tym, jak ty pojechałaś. Widział wszystko.

– I jakie wysnuwa wnioski? – spytała, wciąż wodząc w międzyczasie wzrokiem po literach raportu.

– Podobne. Albo dwóch sprawców, albo jeden, który miał dość czasu, by ochłonać.

– Czyli nic nowego.

– Albo – komisarz poprawił się na krześle – może to świadczyć o poważnych zaburzeniach emocjonalnych sprawcy. I do tego ostatniego by się raczej skłaniał.

Popatrzyła na niego znad białych kartek.

– Świr? – spytała.

– I to nielichy. Profiler twierdzi, że wszystko, co tam zobaczył: upozowanie zwłok, nacięcia na twarzy, tamten wiersz pod murem cmentarza, wszystko wygląda jak rytuał charakterystyczny dla psychopatycznego seryjnego mordercy.

– O cholera.

– I że rozbudowanie tego rytuału świadczy o tym, że nie jest to jego pierwsza ofiara.

– Tym bardziej „o cholera”.

– Ani, co jeszcze bardziej pewne, ostatnia.

– Cudownie.

Powiedziała to takim tonem, że nie był do końca pewny jej intencji. Czy było to sarkastyczne, czy wręcz przeciwnie, naprawdę ucieszyła się, że dostała taką sprawę?

– Sprawdziliście...?

– Ta – wszedł jej w słowo. – Żadne morderstwo o takim samym lub chociaż podobnym *modus operandi* nie zostało dokonane w Warszawie i w okolicach w ostatnim czasie.

Przygryzła wargę w zamyśleniu.

– A poza Warszawą?

– Wysłaliśmy zapytania. Wciąż jeszcze nie mamy porządnej, zintegrowanej bazy takich przypadków. A ta, co jest w Krakowie, jest mocno niekompletna.

– Wiem.

– Ale nasz profiler twierdzi – Aleksanderski wskazał palcem na profil, który wciąż czytała – że gość jest prawdopodobnie dopiero na początku drogi; że to pewnie dopiero jego drugie albo trzecie morderstwo i jeszcze się rozkręca.

– Co to oznacza? – Zerknęła na niego z ukosa.

– Że te poprzednie mogą być znacząco różne od tego. I że trzeba szukać czegoś, co jest podobne raczej pod względem intencji niż formy, bo ta się dopiero ustala.

Pokiwała głową.

– Bardzo ładnie powiedziane. Ale cholernie niepraktyczne jako wskazówka. Mamy coś jeszcze oprócz tego steku bzdur? – spytała, odkładając raport na biurko.

– Niewiele – przyznał. – W zasadzie tylko kształt ran i tamten wiersz. Kształt ran nie przyda nam się do niczego, jeśli nie znajdziemy narzędzia, do którego będziemy mogli go dopasować. Żadnych śladów biologicznych, bo deszcz wszystko dość dobrze wymył. Nikt też niczego nie widział, dokładnie z tego samego powodu.

– W tych blokach mieszka z tysiąc ludzi. Naprawdę nikt niczego nie zauważył? – zdziwiła się.

Komisarz sapnął.

– Obeszliśmy te wszystkie cholerne mieszkania. Nic. Po pierwsze, działo się to w nocy; po drugie, jak pada, to raczej rzadko się wygląda przez okna; po trzecie, nawet jak się wygląda, to przez mokre szyby niewiele widać.

– Super. A ten wiersz?

– Nasi informatycy wrzucili go w wyszukiwarkę. Nic. Nie był raczej publikowany w Internecie w żadnej formie.

– A normalnie, w jakimś tomiku poetyckim albo czasopiśmie literackim?

– Wiesz, ile tego jest? – Pokręcił głową. – W samej Bibliotece Narodowej, a wiem, bo tam zadzwoniłem, są dziesiątki tysięcy tomików, roczników czasopism literackich, antologii. Materiałów w większości jeszcze niezdigitalizowanych. A nie wszystkie takie rzeczy tam trafiają.

– Papier? – drażyla.

– Najtańszy papier do drukarek dostępny w większości supermarketów w Polsce.

– A jakieś cechy charakterystyczne druku, po których można określić urządzenie?

Komisarz uśmiechnął się z przekąsem.

– Tu odnieśliśmy pewien sukces. Drukarka Hewlett Packard. Problem polega tylko na tym, że to, znowu, bardzo popularny model. Do tego był kilka lat temu dodawany przez jedną z firm telekomunikacyjnych jako prezent przy podpisywaniu z nimi umowy.

– To znaczy, że można by...

– Zapomnij – znów jej przerwał. – Dziesiątki tysięcy klientów otrzymało ten model. Gdybyśmy mieli urządzenie, z którym moglibyśmy porównać cechy charakterystyczne wydruku, byłby to znakomity dowód. Ale najpierw musimy mieć takie konkretne urządzenie.

Na jej twarzy malowała się teraz rezygnacja. Westchnęła.

– Czyli zostaje nam tylko ten wiersz?

– Na to wygląda.

Wyjęła wydruk z akt sprawy. Miał taki sam przy sobie. Złożony na pół i coraz bardziej wymięty. Znał go już chyba na pamięć.

Przebiegła wzrokiem po kolumnie wersów.

– Nawet niezły – powiedziała.

ROZDZIAŁ 11

Aleksanderski wrócił do domu. Znalazł miejsce na parkingu przed blokiem. Zanim zgasił silnik, spojrzął na deskę rozdzielczą swojego nissana. Parę dni temu licznik jego samochodu przekroczył dwieście tysięcy kilometrów. Powoli czas zacząć rozglądać się za nowym. Jakimś niedużym, solidnym, emeryckim autem. Skodą fabią albo toyotą yaris. Kupioną w salonie, by nie rozpadła się wcześniej od niego.

Wysiadł, zrobił niewielkie zakupy w sklepie przy parkingu i ruszył w stronę swojego bloku. Windą wjechał na pierwsze piętro. Powinien wejść po schodach, tak byłoby lepiej dla jego serca, ale jak zwykle był na to zbyt zmęczony. Kluczem otworzył drzwi, na których nigdy nie chciało mu się przywiesić numeru ani tabliczki z nazwiskiem, i wszedł do środka.

Po poprzednich właścicielach odziedziczył metalowe rolety w oknach. Bali się zapewne, że ktoś włamie się do ich mieszkania przez balkon. Gdy wstawał rano, nigdy nie chciało mu się ich podnosić. Gdy wracał, było już zbyt ciemno, by to robić, tym bardziej że nie miał firanek ani zasłon. Efekt był taki, że wchodził zawsze do kompletnie czarnego mieszkania. Jakby mieszkał w pudełku albo w lochu bez okien.

Zapalił światło, odłożył zakupy, włączył telewizor. Wszystko jedno, na jakim był kanale, chodziło tylko o to, żeby grał. Umył ręce i usiadł ciężko na kanapie z Ikei. Miną jeszcze trzy godziny, zanim położy się spać. Trzy godziny samotnego siedzenia w pustym

mieszkań. Trzy godziny, w czasie których kompletnie nie wiedział, co robić.

Komisarz Aleksanderski. Tylko to mu pozostało. Nazwisko i stopień służbowy. I fakt bycia policjantem. To ostatnie już tylko dwa lata, do przejścia na emeryturę. Co będzie wtedy robił? Siedział przez cały dzień tak jak teraz przez te trzy godziny? Jeździł na ryby? Sklejał modele statków?

Pił?

Miał dzieci, owszem. Dwóch synów. Ale to nie rozwiązywało problemu. Kiedyś on nie miał czasu dla nich, dziś oni nie mieli czasu dla niego. Dorośli, nawet się trochę zestarzelili, mieli już własne dzieci, i do tego na tyle duże, że Aleksanderski nawet jako dziadek był im już niepotrzebny. Zresztą denerwowały go te nastoletnie szczyły, jego wnuki. Wydelikaczone, pyskate, ze słuchawkami w uszach, wiecznie wpatrzone w ekrany telefonów. Co tak naprawdę miał z nimi wspólnego? Zaledwie jedną czwartą genów. I to, z tego, co widział, tych nie najlepszego rodzaju. Te dobre, twarde, uparte, policyjne, gdzieś się zawieruszyły, rozwodnione dolewką materiału najpierw jego głupiej byłej żony, a później tych dwóch pind, jego synowych.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o nieśmiertelność jakoby zapewnianą nam przez potomstwo. Co to w ogóle za głupia teoria? Nasze dzieci mają połowę naszych genów, nasze wnuki jedną czwartą, nasze prawnuki jedną ósmą. Potem te ilości stają się niemalże homeopatyczne. Pamiętał swoją prababcię. Starą, zasuszoną, ślepa już kobiecinę, siedzącą na ganku swojego wiejskiego domu. Próbował z nią kiedyś porozmawiać. Nie wiedziała nawet, kim on jest.

Gdyby chociaż miał wnuczkę! Zawsze o tym marzył. Najpierw o córce, potem o wnuczce. Nie udało się ani jedno, ani drugie, i już się raczej nie uda. Synowe komisarza kategorycznie odmówiły dalszej reprodukcji. Po jednym dziecku im wystarczy. Teraz, gdy są w najlepszym okresie ich aktywności zawodowej, drugie dziecko

byłoby katastrofalną komplikacją. Pewnie już nawet nie uprawiają seksu, ze zmęczenia i strachu przed ciążą.

Pomyślał nagle o tej młodej prokurator. Gabrieli Seredyńskiej. Była oschła, chyba twarda, konkretna. Jakby jego zaginione geny odnalazły się właśnie w niej. Gdy na nią patrzył, czuł mieszaninę erotycznej – niemalże pedofilskiej, biorąc pod uwagę różnicę wieku – fascynacji i ojcowskiego rozczulenia. Będzie musiał uważać, by przez jedno albo drugie nie zrobić z siebie durnia.

To mu przypomniało, że za – sprawdził w kalendarzu w komórce – dwa dni przypada jego Burdel Day. Tak właśnie, systematycznie i na chłodno, żeby nie powiedzieć: po żołniersku, postanowił zorganizować swoje życie seksualne. Co dwa tygodnie, dwa razy w miesiącu, przychodziła do niego prostytutka. Na częstsze wizyty nie było go stać, zresztą częstszych chyba nie potrzebował. Zawsze była to środa, bo doszedł do wniosku, że w środy dziwki mają najmniej klientów i będą w związku z tym najmniej zmęczone, a co za tym idzie, najmiłsze. Zazwyczaj się to sprawdzało. Mimo iż nie stać go było na dziewczyny za pięćset złotych i wybierał zwykle takie za dwieście, więc trochę starsze, grubsze i brzydsze, wystarczało mu to w zupełności. Alternatywą była jakaś baba równie stara jak on i całe to żałosne zamieszanie z zalotami, budowaniem relacji, wzajemnymi pretensjami i pokraczonym już w tym wieku tańcem godowym. Za takie rzeczy serdecznie dziękował. Był już na to zbyt leniwy. Zresztą na co innego miał wydawać pieniądze? Odkąd jego lekarz i boląca wątroba uświadomili mu, że kończenie każdego dnia wypijaniem pół litra wódki na sen jest najprostszą drogą do zwolnienia Zakładu Ubezpieczeń Społecznych z obowiązku emerytalnego względem niego, pozostawało mu w zasadzie tylko to.

Na razie miał jeszcze swoją pracę: jego miłość, pasję i przekleństwo. Coś, co organizowało i dezorganizowało mu życie, określało je i jednocześnie niszczyło. Coś, co niedługo zostanie mu odebrane. Gdy o tym myślał, czuł obezwładniającą panikę, jakby

nagle ziemia usuwała mu się spod stóp. Tylko ona – praca w policji – powodowała, że był jeszcze ciągle człowiekiem, że się nim czuł. Była jak wieszak, jak rusztowanie, na którym opierały się wszystkie tak sfatygowane części jego osobowości. To na niej wspierała się resztką jego dumy, poczucia własnej wartości i szacunku do samego siebie. Gdy tego zabraknie, wszystko to runie, padnie z plaskiem na ziemię niczym ciało pozbawione kości.

Wyjął z kieszeni pogniecioną, złożoną na czworo kartkę papieru. Jego ostatnia sprawa, i do tego na pewno najciekawsza od wielu lat. Ale też chyba jedna z najtrudniejszych w jego karierze. Od czego miał zacząć, czego się chwycić, skoro tak naprawdę miał tylko to: tę kartkę z dziwnym wierszem? Gdy przychodził do Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, wyobrażał sobie, że będzie rozwiązywał skomplikowane zagadki kryminalne niczym Sherlock Holmes. Tymczasem morderstwa, z którymi miał do czynienia, były zazwyczaj tak banalne i tak ordynarne, jak tylko się da. Po wódce, nożem lub siekierą, z oczywistym sprawcą, często nawet zbyt pijanym, by opuścić miejsce zbrodni albo próbować ukryć ciało. Teraz w końcu trafił na coś, o czym marzył od lat. I, wstyd się przyznać, wcale nie był pewien, czy jest z tego zadowolony. To marzenie spełniło się o wiele za późno. Gdy bardziej był już zmęczony, zniechęcony i zgorzkniały niż drapieżny i żądny krwi. Niczym wygrana w totolotka, która przytrafia się na łożu śmierci.

Rozprostował kartkę i zaczął czytać. Po raz kolejny, licząc, że może tym razem otworzy mu się w głowie jakaś zapadka, że zobaczy tam coś, czego wcześniej nie widział, może twarz mordercy.

*Odrobina nicości nigdy nie zaszkodzi
Od niej serce przyspiesza i krew raźniej krąży
Odrobina nicości nigdy nie zaciąży
Na twych butach jak ziemia
Kula z ciał i krwi*

*Odrobina nicości jest kucharzem który
Przygotuje potrawę z nudy twoich dni
Odrobina nicości szczypta strachu i
Życie lepiej smakuje
Błękitnieją sny*

*Odrobina nicości nie za wiele bowiem
Niejednego zabiło zbyt dosadne nic
Gdy jej zgodnie używasz z instrukcją obsługi
Jest bezpieczna a jakże
Ci pomaga żyć*

ROZDZIAŁ 12

Wciągnął do płuc dym z tego dziwnego urządzenia przypominającego skrzyżowanie inhalatora z dużą zapalniczką. Odczekał trochę i wypuścił. Potem jeszcze kilka razy powtórzył całą sekwencję. I co? I nic. Może tylko na razie.

Chociaż nie, nie był to przecież dym. Waporyzacja, jak przeczytał w instrukcji obsługi, polegała na podgrzaniu suszu do wysokiej temperatury, lecz na tyle niskiej, by nie rozpoczął się proces spalania. Uwalniały się dzięki temu wszystkie niezbędne składniki, lecz nie wytwarzały się przy okazji szkodliwe substancje smoliste. Czy taki dym nie dym miał inny smak od zwykłego skręta? Nie wiedział, nie miał tu żadnego doświadczenia.

Spróbował umościć się wygodniej na swojej wytartej kanapie. Nie było to łatwe, bo używanie tego czegoś wymagało jednak zachowania w miarę wyprostowanego tułowia. W oczekiwaniu na jakieś efekty zaczął wodzić wzrokiem po swoim mieszkaniu. Wszystko w nim było stare. Stary, lakierowany ciemnobrązowy regał; stara, absurdalnie duża i masywna kanapa; stare, ciężkie i spłowiałe zasłony w zielonym kolorze; stare, rozsychnięte okna, przez które zimą wiało chłodem, chronione z zewnątrz starymi, metalowymi kratami, z których odchodziła biała farba.

Odziedziczył to mieszkanie, a w zasadzie mały domek, po swoich rodzicach. Przeprowadził się tu niedawno i nic w nim od tego czasu nie zmienił. Całe wyposażenie pochodziło z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Łącznie z tymi kratami w oknach, które

w tamtych czasach masowo montowano w domach i w mieszkaniach na parterze.

Na te kraty właśnie teraz patrzył. Lubił je w jakiś przewrotny sposób. Wydawały mu się idealnym symbolem życia niektórych ludzi, w tym jego własnego. Życia, które ci ludzie sami sobie zamienili w więzienie.

Zaprzagnął nagle wstać, podejść do okna i wyrwać te kraty. Cegły były zmurszałe, beton się kruszył, żelazne pręty przerdzewiały, a on poczuł nagle w sobie ogromną siłę – to mogłoby się udać. Czy to już efekt działania tego małego urządzonek? Być może, tym bardziej że, jak zauważył, mdłości również mu minęły.

Wciągnął do płuc kolejną porcję. Zamknął oczy. Po jakimś czasie, który wydał mu się ogromnie długi, jakby minęło pół dnia, zauważył, że nie opuścił ręki z waporyzátorem, który ciągle tkwił przy jego ustach. Spojrzał na nią zdziwiony i w tym zdziwieniu również zastygł na godziny, dni, a może miesiące.

Czas jakby stanął, a myśli dla odmiany przyspieszyły. Chociaż nie, nie był to dobry opis. Czas albo stawał, albo gwałtownie przyspieszał, a myśli razem z nim. Jakby ktoś naprzemiennie włączał pauzę i przewijanie na oglądanym właśnie filmie. Potrafił zatrzymać się nagle na jakiejś myśli, na jakimś wrażeniu albo obrazie i zostać tak przez czas, który wydawał się wiecznością. A potem, gdy wszystko z powrotem ruszyło, przemyśleć dogłębnie w jakimś szalonym błysku całe swoje życie, jego sens, sens świata i rozwiązać wszystkie odwieczne filozoficzne zagadki.

Nie były to przyjemne ani optymistycznie nastrajające rozmyślenia. Widział wszystko – życie, świat, Boga i ludzi – w całej ich ordynarnej nagości. Bez wszystkich tych upiększeń i zamydlenia, bez makijażu nakładanego na rzeczywistość przez religię, kulturę, a nawet zwykłe, powszechne, strachliwe przekonania. Zobaczył siebie – jeszcze żałośniejszego niż osoba, za którą się wcześniej miał. Ale też innych ludzi, równie żałosnych, wcale od niego nie lepszych. Miotających się i kwiczących jak prosiak złapany za nogę

podczas świniobicia. Odwracających oczy, próbujących zasłonić je, przysłonić trzęsącym się ze strachu optymizmem, wierzących w rzeczy, które wyśmialiby w przerażeniu, gdyby tylko zdołali jaśniej spojrzeć.

Zobaczył tamtego żalostnego typka; tego, którego upolował na parkingu między blokami. Zobaczył jego strach. Nie ten, który pojawił się wtedy, gdy już mu wbijał raz za razem ostrze w piersi. Ten strach, który był w nim wcześniej, zanim jeszcze zrozumiał, że patrzą na niego oczy myśliwego. Strach wynikający z samego istnienia, z jego trwożliwie zaprzeczanego bezsensu. Z tego, że mimo wszystko myślimy i potrafimy zrozumieć naszą sytuację, choć nigdy się do tego przed sobą nie przyznamy.

Przypomniawszy sobie tamtą chwilę. Ekscytującą, choć mimo wszystko pozostawiającą niedosyt. Krążył już wówczas przez wiele godzin, próbując znaleźć odpowiednią ofiarę. Nie było to łatwe – i to z wielu powodów. Nie jest łatwo w mieście tak dużym jak Warszawa, nawet w środku nocy, przydybać samotną łanię przy wodopojach. Nie jest łatwo znaleźć ustronne miejsce, poza zasięgiem wścibskich oczu i kamer miejskiego monitoringu; miejsce, w którym do tego pasie się pojedyncza, niczego niepodejrzewająca sztuka zwierzyny.

Początkowo szukał szczęścia w miejskich parkach. Jak się okazało, nie był to jednak zbyt dobry pomysł. O tej porze były po prostu puste. Nikt nie zapuszczał się tam w nocy, bo i po co? Widocznie nawet pijacy mają dość rozumu, by nie chodzić po ciemku między drzewami.

Potem wybierał boczne uliczki, ciemne podwórka, zaplecza sklepów. Tam jednak również niczego nie upolował. Wszędzie było tak samo – albo kompletna pustka, albo wręcz przeciwnie: za dużo przejeżdżających w pobliżu samochodów, taksówkarzy, hałaśliwych grupiek młodzieży wracających nie wiadomo skąd.

Zrozumiał, że poprzednim razem miał po prostu cholernie dużo szczęścia. Sprzyjające okoliczności pojawiły się same, zniemacka,

niczym wygrana podczas pierwszej wizyty w kasynie. Fart debutanta. Teraz, gdy musiał to wszystko zorganizować samemu, pojął, jakie to trudne.

Dochodziło do tego jeszcze coś. Wtedy, wrzucony nagle w tamtą sytuację, działał pod wpływem chwili. Nie miał czasu na wątpliwości, nawet o nich nie pomyślał. Zobaczył, że zwierzyzna wychodzi mu pod lufę, i po prostu pociągnął za spust. Teraz był o wiele bardziej niepewny. Nie potrafił wyobrazić sobie, że ot tak, po prostu podchodzi do kogoś i atakuje. Wymagałoby to przełamania pewnej bariery, wewnętrznej blokady, którą zawsze miał w stosunkach z innymi ludźmi. Tej samej, która zawsze utrudniała mu, a wręcz uniemożliwiała kontakty z kobietami. Był to jakiś rodzaj wstydu, nieśmiałości, strachu przed zbytnim odsłonięciem się przed drugim człowiekiem, przed wejściem z nim w intymną relację, co mogłoby skutkować przecież odrzuceniem i zranieniem. Teraz czuł dokładnie to samo, bo przecież nie ma chyba bardziej intymnej relacji niż ta, która nawiązuje się między mordercą a jego ofiarą. Tu także można zostać zranionym, i nie chodzi tylko o rany fizyczne. Tu także człowiek się odsłania, może nawet najbardziej, bo pokazuje drugiemu taką wersję siebie, której nikt tak naprawdę nie powinien oglądać. I tu także można zostać odrzuconym i wyśmianym, potraktowanym bez szacunku i zrozumienia, niesprawiedliwie.

Co więcej, był już zmęczony. Zmęczony i zniechęcony. Chyba już nawet nie chciał nikogo znaleźć. Miał ochotę umrzeć, poddać się, położyć gdzieś pod murem mijanego właśnie cmentarza i zdechnąć. Szedł jeszcze przed siebie chyba tylko siłą inercji. A może po prostu był już zbyt wyczerpany z sił, by podjąć decyzję, przyznać się przed samym sobą do porażki i odpuścić. Paradoksalnie mniej energii psychicznej kosztowało go tkwienie w tym stanie niż próba zmiany.

I wtedy go zobaczył. Od razu wiedział, że to on. Jakby jakiś celownik w jego głowie znalazł go i automatycznie wyostrzył obraz. Jakby samonaprowadzająca się torpeda odnalazła wreszcie cel.

Było w tym człowieku coś, co momentalnie go zirytowało. Może to, że wysiadł z tego czarnego, błyszczącego w świetle latarni bmw? Może ta bezwstydnie biała koszula, wulgarnie wręcz dopasowany czarny garnitur; może błysk srebrnej bransoletki zegarka pod mankietem? A może po prostu ta granicząca z pogardą wobec reszty świata, bijąca od niego pewność siebie? To samozadowolenie, ta aura sukcesu bez żadnych wewnętrznych rozterek i wątpliwości?

Skorygował kurs i ruszył w jego stronę. Rozejrzał się dookoła. Na całej przestrzeni między stojącymi w pobliżu blokami nie było nikogo. Deszcz na moment ustał, może nie całkiem, ale wystarczająco. Wszystko było idealnie. Opatrzność mu sprzyjała. *Gott mit uns*, przypomniał sobie dewizę wyrytą na klamrach pasów hitlerowskich żołnierzy.

Mężczyzna otworzył gestem dłoni klapę bagażnika swojego auta. Wyjął z niego niewielki, czarny plecak i rozsunął suwak. Wyciągnął coś ze środka – małą, przezroczystą, strunową torebkę, w której było kilka tabletek. Wyjął jedną z nich i połknął, odchylając lekko głowę.

Co to mogło być? Raczej nie lekarstwo. W żadnej aptece nie sprzedaje się tabletek w takich torebkach; miał w tym względzie ostatnio naprawdę spore doświadczenie. Więc co, narkotyki? Tu akurat jego doświadczenie było bliskie zeru.

Mężczyzna wrzucił z powrotem plecak do bagażnika. Nawet w tym geście była władczość i nonszalancja. Potem zamknął klapę. I wtedy ich spojrzenia się spotkały.

Właściciel bmw otaksował go wzrokiem, ale raczej bez specjalnego zainteresowania. Uniósł lekko brew i uśmiechnął się, jakby mówił: „What the fuck?”, po czym spytał:

– Jakiś problem, kolego?

Nie odpowiedział. Stał i wpatrywał się cały czas w mężczyznę, wytrzymując jego spojrzenie. Tak! Nie spuścił wzroku! W dawnych czasach byłoby to nie do pomyślenia.

– Co robisz? – spytał tamtego.

Brew męczyzny powędrowała jeszcze wyżej, a rysy twarzy ułożyły się w wyraz najwyższego możliwego rozbawienia.

– Słucham?

– Co tutaj robisz? – powtórzył. – Mieszkasz tu?

Męczyzna prychnął.

– W tym syfie? – Popatrzył na wznoszące się dookoła bloki. – Chyba ci odbiło.

– To po co tu przyjechałeś?

Męczyzna spojrział na niego, jakby się zastanawiał, czy kazać mu spierdalać. Widocznie jednak uznał, że ta sytuacja jest na tyle zabawna, że warto ją jeszcze trochę przeciągnąć.

– Żeby się zabawić – odpowiedział z wyższością i lekceważeniem, których nawet nie próbował ukrywać. – Podymać. Należy mi się po ciężkim i owocnym dniu, co nie? Przyjmuje tu jedna szmata. Ma fajne cyce i niezłą dupę. Żałuj, że nie widziałeś.

Jego wulgarna szczerość była jak splunięcie pod nogi. Był dla niego tak dalece nikim, że mógł sobie na nią pozwolić.

– Dasz mi jej adres? – spytał.

Męczyzna roześmiał się w głos.

– Po co? Nie stać cię, kolego. I raczej nigdy nie będzie. A nawet gdybyś uciulał tyle forsy, to obawiam się, że i tak mogłaby cię nie przyjąć. Raczej nie narzeka na brak klientów, więc może spuszczać na bambus takich zębów jak ty.

Jego samochód wydał odgłos obwieszczający zamknięcie drzwi. Boczne lusterka złożyły się z cichym bzyczeniem.

– A teraz sorry. – Męczyzna wyminął go i ruszył chodnikiem biegnącym przez środek skweru między blokami, lekko, choć raczej specjalnie trącając go przy tym w ramię.

Ucieszył się z tego kontaktu. Był jak pierwsze skrzyżowanie rękawic przed walką. Odwrócił się za nim i patrzył przez chwilę, jak król życia idzie sprężystym, pewnym siebie krokiem zwycięzcy. Potem ruszył w tym samym kierunku.

Facet w garniturze dopiero po jakimś czasie zorientował się, że ktoś za nim idzie. Odwrócił się zirytowany.

– Co jest? – wyrzucił z siebie. – Spadaj! Nie daję pieniędzy pijakom.

Jeszcze gdy za nim szedł, wyciągnął z kieszeni nóż, choć trzymał go przy nodze i trochę z tyłu. Teraz nacisnął okrągły metalowy przycisk. Rozległo się ciche szczęknięcie. Tamten nie zorientował się, co ono oznacza.

– Spadaj, powiedziałem! – Nawet w tym więcej było pogardy i lekceważenia niż złości. – Nie rozumiesz, świrze?

Uderzył tylko raz. Prosto w ten płaski, opięty białą koszulą brzuch. Tak, aby tamten miał czas się zorientować, co się stało. Z ciekawością przypatrywał się jego twarzy.

Zobaczył, jak jej wyraz się zmienia, jak opanowują ją zdziwienie i niedowierzanie, jak wzrok tamtego wędruje niżej, zjeżdżając w kierunku powiększającej się czerwonej plamy.

– Kurwa... – Zabrzmiało to, jakby ktoś wylał na niego kawę, a nie wbił mu ostrze w bebechy. – Co ty odpierdalasz?

Czyli jeszcze nie zrozumiał. Uderzył więc po raz drugi. Dopiero wtedy zobaczył na twarzy tamtego ból, a potem strach. Popatrzył mu w oczy, z lekka przekrzywiając głowę, spijając z nich, wysysając zalewające je gwałtownie przerażenie. O tak... o tak... Pozwolił opanować się temu czemuś, na co tak długo czekał.

ROZDZIAŁ 13

Prokurator Gabriela Seredyńska zamknęła za sobą drzwi i z ulgą zdjęła buty. Chodzenie w szpilkach było jedną z głównych niedogodności uprawianego przez nią zawodu. Oraz kolejnym dowodem na brak równości między kobietami i mężczyznami.

Nie było oczywiście takiego oficjalnego wymogu. Teoretycznie mogłaby przyjść do pracy nawet w tenisówkach albo płóciennych espadrylach. No ale przecież wiadomo, że nie. Litera prawa może i na to pozwalała, ale jego duch był kategorycznie przeciw.

Weszła z niechęcią do swojego mieszkania. Wprowadziła się do niego niedawno i nic w nim jeszcze nie było. Jedna rozkładana, stara wersalka, niewygodna jak sam diabeł, mały, kwadratowy stół w kuchni z dwoma krzesłami i telewizor, taki jeszcze z dużym pudłem z tyłu.

Podczas pierwszej nocy nie miała nawet pościeli. Spała na tej śmierdzącej kanapie przykryta zatechłym kocem. Dopiero następnego dnia po pracy kupiła w Tesco dwie ulice dalej komplet za dwadzieścia dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć. Akurat likwidowali sklep, więc była spora przecena. Musiała zwracać uwagę na takie rzeczy, bo mimo iż pensja prokuratorska nie należała do najniższych, to wynajem mieszkania w Warszawie – nawet takiego niewielkiego, dwupokojowego – zżerał niemal jej połowę. Jeśli dodać do tego czynsz i ratę za samochód, zostawało jej nie tak znowu wiele, a musiała się przecież w nim jeszcze jakoś urządzić.

Nie pochodziła z prawniczej rodziny. Nie należała do jednej z tych prokuratorskich czy adwokackich dynastii, nie miała w odwodzie zaklepanego miejsca w żadnej pachnącej starym drewnem kancelarii. Do wszystkiego doszła sama. Sama wymyśliła, że zostanie prawnikiem, sama zdała na studia i sama je skończyła, dorabiając jako asystentka w kancelarii adwokackiej. Nikt jej nie pomógł, gdy robiła aplikację, ani potem, gdy starała się o pracę w prokuraturze rejonowej. Zawsze była uparta i nigdy się nie poddawała.

Parę tylko razy miała chwile załamania, i to zazwyczaj bez specjalnego powodu. Nie mogła wtedy jeść, chudła, stawała się osłabiona i zniechęcona. Lekarze po przeprowadzeniu serii badań i wykluczeniu przyczyn natury fizycznej sugerowali wtedy zazwyczaj podłoże psychosomatyczne, ale to przecież w końcu zawsze przechodziło, a skoro przechodziło, to nie było po co się tym przejmować.

Teraz, wchodząc do tego czegoś, co kiedyś być może stanie się jej mieszkaniem, poczuła coś podobnego, ale dość szybko wzięła się w garść. Wyjęła ze swojej torebki – na szczęście wystarczająco dużej, by wszystko to tam się zmieściło – butelkę czerwonego wina, zapakowaną w kartonik eklerkę oraz nową książkę, którą kupiła w księgarni w centrum, i rozłożyła te rzeczy na małym stoliku przy wersalce. Potem przebrała się w domowe ciuchy, zmyła makijaż, otworzyła wino i nalała go do kieliszka. Usiadła na kanapie, podciągając nogi pod siebie, i zaczęła czytać.

Nie za dobrze jej to jednak szło. Miała problemy, żeby się skupić i wejść tak, jak należy, w świat książki. Wypiła jeden kieliszek, potem drugi i w końcu odłożyła ją na bok. Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrobiła, przeprowadzając się do Warszawy. Z poprzedniej pracy musiała odejść, to było oczywiste. Za dużo spraw się nawarstwiło. Nie, nie natury służbowej, raczej... Atmosfera po prostu zrobiła się zbyt gęsta. Poza tym stolica to

zawsze obietnica kariery. Ale trudno było jej nie zauważyć, że czuła się tu dość samotna.

Zjadła eklerkę; była bardzo smaczna. Ciastka to coś, co jeszcze nigdy jej nie zawiodło. Aż dziw, że Seredyńska była wciąż taka chuda. Ale nie jadła ich znowu aż tak wiele. Wolą raz na jakiś czas zjeść coś naprawdę dobrego niż opychać się bez ustanku pączkami, batonikami i czekoladą, jak to robią niektóre kobiety. Z innymi rzeczami było podobnie.

Pomyślała o tej ostatniej sprawie. Dokładnie na coś takiego zawsze czekała. W swojej dotychczasowej karierze prokuratorskiej nigdy nie otarła się nawet o podobny przypadek. Ludzie wyobrażają sobie, zresztą ona sama tak to sobie wyobrażała, gdy wybierała studia prawnicze, że bycie prokuratorem to jakaś nieustanna heroiczna walka ze złem. Tymczasem jest to może walka, ale na pewno z czymś innym. Z biurokracją, z bezwładnością systemu, z banalnością i miałkością spraw, z nudą ciągnących się w nieskończoność procesów, których tempo i emocje w niczym nie przypominają tego, co pokazują hollywoodzkie filmy. A tu tymczasem takie coś. I to na samym początku, tuż po przeniesieniu. Jakie to szczęście, że miała wtedy dyżur!

Gdy Seredyńska zobaczyła tamte zwłoki, tak straszne i tak fascynujące, wiedziała, że musi zrobić wszystko, by to właśnie jej przydzielono tę sprawę. Mimo że była nowa i mimo braku doświadczenia w tego typu przypadkach. I rzeczywiście zrobiła wszystko. Przydzielono ją do niej. Być może również dlatego, że jej starsi i bardziej doświadczeni koledzy i koleżanki – tacy, którzy już dawno wybrali wygodę w miejsce emocji – wcale się do niej nie palili. Już na pierwszy rzut oka było przecież widać, że sprawa będzie trudna; że będzie wymagała mnóstwo pracy, a wynik był niepewny; że może zaniżyć statystyki. A jej statystyk jeszcze nie dało się przecież zaniżyć.

Teraz jednak poczuła chłód obawy. Jakby nagle gdzieś między sercem a żołądkiem utworzyło się w jej ciele puste, pulsujące

miejsce. A co, jeśli oni mieli rację? Sprawa rzeczywiście wyglądała na trudną. Przypadkowy atak szaleńca, bez możliwości powiązania ofiary i sprawcy motywem lub czymkolwiek innym. Do większości zabójstw dochodzi w kręgu rodziny lub bliskich znajomych. Bardzo łatwo odnaleźć winnego, bo motyw i powiązanie z ofiarą są często widoczne już na pierwszy rzut oka. W sytuacji, w której zabójca i denat się nie znali, gdy widzieli się po raz pierwszy w momencie dokonania zbrodni, sprawa niezwykle się komplikuje. Gdy do tego sprawca nie był wcześniej notowany, jego odcisków palców i profilu DNA nie ma w bazach danych, znalezienie go staje się praktycznie niemożliwe. Można wtedy tylko czekać na kolejne morderstwa, licząc, że zabójca popełni jakiś błąd i na tej podstawie będzie można stworzyć profil psychologiczny i geograficzny. Pojawiają się jakieś schematy, jakieś punkty zaczepienia, cokolwiek.

Mimo to jednak nie żałowała. Odczuwany teraz niepokój miał przecież swoją drugą stronę – ekscytację. Jarało ją to, jarało jak jasna cholera. Chciała go znaleźć i dopaść; chciała pokazać wszystkim, co jest warta. Zwłaszcza tu, teraz, w Warszawie, w tej nowej pracy, gdzie wszystko zaczynała z czystym kontem.

Wyjęła spomiędzy stron książki złożoną na czworo kartkę papieru. Ten wiersz, jedyny trop, który jak dotąd mieli. Skserowała go z akt sprawy i przeczytała już kilkakrotnie. Naprawdę był niezły. Nie w sensie literackim – choć to być może też, ale na tym się przecież nie znała – był niezły, bo poruszał coś, jakąś strunę w jej duszy. Jakby był napisany poniekąd o niej.

Także dlatego chciała go dorwać.

ROZDZIAŁ 14

– Ruszyliście z czymś? – Tym razem to ona go wezwała.

Wszedł i usiadł na tym samym krześle, co poprzednio. Dopiero wtedy odpowiedział:

– Parę ciekawych informacji, żadnej przełomowej.

– Dajesz – ponagliła go.

– Badania toksykologiczne wykazały niewielkie stężenie alkoholu we krwi denata oraz bardzo niskie tego gówna, które jest w tabletkach ecstasy.

– Metylenodioksymetamfetaminy. Dlaczego niewielkie?

– Nie zdążyła się wchłonąć. Badania treści żołądka wykazały, że większość była ciągle tam. Musiał to połknąć tuż przed morderstwem.

– Czyli przyjechał i łyknął – stwierdziła. – Wiadomo już, co tam robił?

– Ostatnie połączenie wykonał na numer należący do prostytutki ogłaszającej się na Odlotach.

– Tym portalu z kurwami?

Zabawne, że to ona użyła tego wulgarnego określenia, nie on.

– Tak, na tym portalu z kurwami – poprawił się Aleksanderski. Sam z niego często korzystał. – Ofiara przyjechała właśnie do niej. Kobieta przyjmuje w jednym z tych dużych bloków naokoło.

– To jakaś agencja?

– Nie, zwykłe mieszkanie. Jedna kurwa, dwa pokoje. Śpi tam i przyjmuje klientów.

Seredyńska postukała długopisem w blat.

– Rozmawialiście z nią? – spytała.

– Niczego nie wie. Nie zdążył do niej dotrzeć. A ona nie wyglądała tęsknie przez okno, więc nic nie widziała. Mówi, że to się zdarza, że klienci nie zjawiają się na umówionym spotkaniu, więc po prostu zasnęła w oczekiwaniu na następnego.

– Aha.

– To nie była jego pierwsza wizyta u niej. Był kimś w rodzaju stałego klienta.

– No proszę. Powiedziała o nim coś ciekawego?

– Niespecjalnie. – Komisarz potarł dłonią czoło i lekko się skrzywił. – Lubił się chwalić sukcesami w pracy, nie miał szczególnie zboczonych wymagań i nie dawał napiwków. Płacił zawsze dokładnie tyle, ile się należało. Zazwyczaj przyjeżdżał do niej mniej więcej o tej właśnie porze, czasami trochę wcześniej. Żeby odreagować, jak mówił.

– Co odreagowywał tym razem?

– Zamknięcie jakiegoś ważnego projektu. Pracował na Bemowie w firmie o nazwie IZTM. Instytut Zaawansowanych Technologii Materiałowych – wyjaśnił w odpowiedzi na jej pytający wzrok. – Ośrodek badawczy stworzony przez konsorcjum warszawskich uczelni.

Uniosła wzrok z zainteresowaniem.

– Naukowiec? – rzuciła.

– Pracownik administracji. Ale raczej wyższego szczebla. Menadżer.

– I to tam zamykali ten projekt?

– Nie. Prowadził też własną firmę. Niewielką. O profilu, z tego, co zdążyłem się zorientować, zazębiającym się jakoś z tym, co robił w tamtym ośrodku. Pracuje w niej też co najmniej jeszcze jedna osoba stamtąd. To właśnie tam zamykali ten projekt. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, ale mogę się dowiedzieć.

– Na razie uznajmy, że to nieistotne – powiedziała, lecz zapisała to na kartce.

– Poszedł ze współpracownikami do knajpy. Posiedzieli trochę. Stąd alkohol we krwi. Potem najwyraźniej postanowił kontynuować zabawę już na własną rękę.

– Jechał pod wpływem alkoholu? Kozak.

– Król życia. Ecstasy zapewne wziął, bo podobno zwiększa doznania w trakcie uprawiania seksu.

Sam by tego chętnie spróbował, gdyby nie kłopoty z sercem.

Obróciła się na obrotowym krześle i wyjrzała przez okno. Zobaczył, że nad czymś bardzo usilnie się zastanawia.

– Jakies wskazówki dotyczące kierunku śledztwa, szefowo? – spytał.

Słowa „szefowa” użył trochę żartobliwie, ale zauważył, że sprawiło jej to pewną przyjemność.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Skoro był u tej dziwki już nie pierwszy raz – zaczęła wolno – i skoro miał zwyczaj w ten sposób odreagowywać różne wydarzenia związane z pracą, możemy chyba założyć, że ktoś wiedział o tym jego zwyczaju i, co za tym idzie, mógł się spodziewać, że i tego dnia do niej pojedzie, prawda?

Popatrzył na nią uważnie.

– Więc mógł tam na niego czekać – ciągnęła dalej. – A to morderstwo mogło nie być tak bardzo przypadkowe.

Powoli kiwnął głową.

– Liczba ran kłutych świadczy o silnym wzburzeniu napastnika – powiedział. – A to zazwyczaj wiąże się z osobistymi motywami. I z tym, że sprawca zna dobrze ofiarę.

– Właśnie – potwierdziła. – Może więc ktoś tylko upozorował to wszystko na przypadkowy atak szaleńca. A rany na twarzy i cała reszta zostały zadane po to, żeby nas zmylić.

Brzmiało to całkiem sensownie.

– A co z tym wierszem? – spytał.

– Zostawmy to na razie – powiedziała. – Może znalazł się tam przypadkiem, porzucony przez kogoś zupełnie innego, a może był

jednym z elementów inscenizacji.

– Ale nie musiało tak być – zastrzegł.

– Nie musiało – zgodziła się. – Ale hipoteza świra nie daje nam praktycznie żadnych punktów zaczepienia, ta daje.

– Ta daje – zgodził się.

– Ustalam więc następujące kierunki śledztwa – podjęła oficjalnym tonem. – Sprawdźcie rodzinę i współpracowników denata. Może miał kochankę, może jej mąż albo jego żona o tym wiedzieli; może miał jakiś konflikt w pracy, robił jakieś przewały na styku tych dwóch instytucji, w których pracował... Spróbujcie znaleźć coś, co mogłoby być motywem.

– Tak jest, szefowo.

Tym razem użył tego określenia jak najzupełniej poważnie.

ROZDZIAŁ 15

Odłożył waporyzator. Czuł się teraz dobrze, nawet bardzo. Gonitwa myśli ustała, a zamiast niej pojawiło się bardzo przyjemne otępienie. Jego wewnętrzny krzyk, ten, który towarzyszył mu praktycznie przez całe jego dotychczasowe życie, teraz nareszcie ucichł.

Osunął się niżej na kanapie, wyciągnął przed siebie nogi. Zrobiło mu się nagle gorąco w stopy, postanowił więc zdjąć skarpetki. Założył nogę na nogę, podciągnął stopę do siebie, włożył palec pod czarny, elastyczny materiał i zaczął go ściągać.

Wszystko działo się wolno, bardzo wolno. Zatrzymywał się, zawieszał w trakcie tej czynności kilka razy. Myśli, uwolnione, krążyły gdzieś w przestworzach. Nie był to szalony, rwący potok, jak poprzednio, raczej wody roztopów spokojnie rozlewające się po łąkach.

Prawie tak samo było wtedy, gdy tamten leżał już na ziemi, gdy przestał nawet charczeć i mrugać. Uklęknął nad nim, przypatrując się z ciekawością twarzy ofiary. Zastygła w jakimś dziwnym wyrazie ni to zdziwienia, ni to przerażenia. Także wówczas opanował go taki spokój. Jakby wypełniła go kosmiczna próżnia. Jakby wziął go w posiadanie jakiś demon albo bóg, dobry, wyrozumiały i wszystkowiedzący.

To on zdawał się kierować jego ręką. No nie, nie w sensie dosłownym, nie zwariował przecież, ciągle był sobą. Ale był to inny on, taki, którego spotkał wtedy po raz pierwszy. Lekko

uśmiechnięty, pełen dystansu, ale i ciekawości, gotów na zabawę oraz nowe wyzwania. Jakiś pieprzony zakrwawiony Budda.

Nożem, który ciągle trzymał w dłoni, zaczął wodzić po twarzy tamtego. Powoli, jakby rzeźbił w miękkiej glinie. Jeszcze wczoraj, gdy sobie o tym przypominał, zbierało mu się na mdłości; był przerażony, włosy stawały mu dęba, jakby stał samymi piętami na brzegu przepaści. Dziś nie, dziś wszystko było w porządku. Dziś przypominał to sobie nawet z pewnym rozbawieniem. Jakby zrobił krok w stronę otchłani i odnalazł tam niewidzialny most.

Poczuł, jak rozlewa się po jego ciele dziwne, trudne do określenia uczucie. Uczucie zdrowia i siły. I nie był to tylko efekt działania tego świętego zioła. Chodziło na pewno o coś innego, na pewno. Jakby dokonała się w nim jakaś zmiana, jakby siły vitalne tamtego, jego bezwstydną, tępa arogancją, jego bezrefleksyjne samozadowolenie wniknęły w niego i przemieniły go niczym magiczny eliksir. Wiedział, że to nieprawda, że to nie może być prawda. Ta część jego osobowości, która wciąż była do bólu racjonalna, przypominała mu o tym z kpiącym uśmiechem. Ale jednocześnie coraz bardziej w to wierzył. Jakby myślał naraz dwie całkowicie sprzeczne z sobą myśli. Jakby żył równocześnie w dwóch nieprzystających do siebie i wykluczających się wzajemnie rzeczywistościach. Jakby w jego głowie egzystowały w najlepsze dwa diametralnie różne światopoglądy, tłumaczące świat w kompletnie inny sposób. Fizyka newtonowska i fizyka kwantowa. Wiara i wiedza. A on coraz bardziej skłaniał się ku wierze.

Wstał i podszedł do framugi drzwi między salonem a przedpokojem. Chwycił jedną z drewnianych, pionowych listew, którymi otoczony był otwór drzwiowy. Nie pełniły one żadnej funkcji z wyjątkiem wykończeniowej. Pociągnął ją do siebie. Odeszła powoli, odsłaniając poszarpany mur. To była jego skrytka, znalazł ją jeszcze w dzieciństwie. Mała niedoróbka, o której nikt oprócz niego nie wiedział. Widocznie któryś z fachowców montujących

drzwi zapomniał ją przykleić albo po prostu mu się nie chciało i włożył ją tylko na wcisk.

Sięgnął do środka i wyjął swoje skarby. Małą, foliową torebkę po bułkach, a w niej dwa przedmioty: sprężynowy nóż i jeszcze coś; coś, co pojawiło się tu całkiem niedawno.

Najpierw wyjął nóż. Otworzył go, obejrzał, a potem powąchał. Wytarł go i umył po ostatnim użyciu, ale wciąż dał się na nim wyczuć lekki zapach krwi. Widocznie jakieś resztki zostały na wewnętrznym mechanizmie sprężynowym. Przez chwilę zrobiło mu się znów niedobrze, ale tylko przez chwilę. Potem sięgnął po drugi przedmiot. Zegarek na błyszczącej, metalowej bransolecie. Wyglądał na bardzo drogi. Jeden z tych, jakie bogate dupki noszą na nadgarstkach, żeby zaimponować innym, trochę mniej bogatym dupkom. Ile mógł kosztować? Dziesięć tysięcy, dwadzieścia? Nie miało to znaczenia. Dla niego też był cenny, ale z zupełnie innego powodu. Był trofeum, pamiątką, widowym i namacalnym dowodem pewnego niezwykłego przeżycia.

Wsunął z powrotem listwę w otwór i wrócił do salonu. Podszedł do regału. Na półce nad telewizorem stały pamiątki z jego nielicznych zagranicznych podróży: butelka koniaku w kształcie wieży Eiffla, figurka dobrego wojaka Szwejka z kuflem piwa przywieziona z Pragi, mały hełm Leonidasa z brązu, pamiątka z podróży do Grecji. Zgarnął je wszystkie i wrzucił do szuflady na dole.

Na zwolnionym w ten sposób miejscu położył otwarty nóż i zegarek. Po chwili dołożył jeszcze plastikową figurkę Matki Boskiej, którą kupił kiedyś, gdy jako nastolatek przeżywał krótki okres wzmożonej religijności. Aż się uśmiechnął na to połączenie. Ale podobało mu się ono. Było w jakiś sposób... znaczące. To będzie jego ołtarzyk, jego Święte Świętych. Jego kolekcja.

Nie mógł się doczekać, kiedy dołoży do niej kolejny element.

ROZDZIAŁ 16

– Komisarz Piotr Aleksanderski – przedstawił się. – To ja do pani dzwoniłem.

Kobieta, która mu otworzyła, popatrzyła na niego wzrokiem bez wyrazu, potem cofnęła się bez słowa, otwierając mu drogę do wnętrza swojego mieszkania. Przybita, ale nie zrozpaczona, pomyślał od razu. Z pozostałymi ocenami postanowił na razie się wstrzymać.

Weszli do środka. Niezbyt duży przedpokój prowadził do pozostałych pomieszczeń. Największe z nich, pozbawione drzwi, było salonem połączonym z kuchnią.

– Kawy, herbaty? – spytała kobieta, wskazując mu miejsce na dużej kanapie o geometrycznych kształtach.

Wchodząc, zauważył stojący w otwartej kuchni drogi, włoski ekspres. Nigdy nie odmawiał kawy z takiego urządzenia.

– Podwójne espresso, jeśli mógłbym prosić – powiedział.

– Oczywiście – odpowiedziała kobieta i weszła za oddzielający kuchnię od salonu kontuar.

Komisarz rozejrzał się po mieszkaniu. Już na pierwszy rzut oka sprawiało dziwne wrażenie. Nie pasowało do końca do obrazu nieżyjącego właściciela. To wypasione, lśniące, nowe bmw, którym przyjechał na miejsce swojej śmierci, drogi, bardzo dobrej jakości garnitur, podobne buty – wszystko to były widome, krzyczące wręcz oznaki bardzo wysokiego statusu społecznego. To mieszkanie znajdowało się jakby o poziom albo nawet dwa poziomy niżej.

Gdyby nie spieprzył tak koncertowo swojego życia, nawet on, komisarz Piotr Aleksanderski, mógłby takie mieć.

Sam budynek był już dość stary, miał pewnie ze trzydzieści lat. Należał do pierwszej fali apartamentowców wybudowanych po zmianie ustroju. W porównaniu z blokami z wielkiej płyty był więc niemal luksusowy, ale na dzisiejsze standardy już jednak bardzo nie. Wykończenie, użyte materiały, jego architektura – wszystko to pachniało jeszcze minioną epoką. Ktoś, kto jeździł takim samochodem, nie powinien tu mieszkać.

Podobnie było z samym mieszkaniem. Nie było specjalnie wielkie, miało najwyżej osiemdziesiąt metrów. Meble też nie należały raczej do drogich. Jedynymi wyjątkami, o ile komisarz zdążył się zorientować, był ten lśniący chromem włoski ekspres i ogromny, co najmniej sześćdziesięciocalowy telewizor na ścianie.

Wszystko to pozwalało myśleć o jego właścicielu jako o kimś, kto bardzo dużą wagę przywiązywał do swojego wizerunku i do osobistej wygody; o kimś, kto nie miał zwyczaju sobie niczego odmawiać, a już zwłaszcza luksus; wreszcie o kimś, kto był dla siebie ważniejszy niż dom i małżeństwo.

Kobieta wróciła z kuchni i postawiła przed nim białą filiżankę z grubymi ściankami. Sobie nic nie przyniosła. Potem usiadła na drugim końcu kanapy.

– Słucham – powiedziała po prostu.

Spojrzał na nią. Wydawała się rozsądna i pogodzona ze swoim losem. Emanował od niej spokój z rodzaju tego często bijącego od ludzi, którzy zrozumieli, że nic już ich nie czeka i nie ma o co walczyć.

– Nie wydaje się pani specjalnie zrozpaczona. – Postanowił zacząć bez owijania w bawełnę.

Wzruszyła ramionami.

– To oczywiście straszne, gdy ktoś, kto był twoim mężem przez kilkanaście lat, ginie, i to do tego w tak przerażający sposób, ale nie będę ukrywać, że dawno przestał on być dla mnie kimś bliskim.

Czy też raczej – poprawiła się – to ja dawno przestałam być kimś bliskim dla niego.

Mówiła powoli, cicho, z namysłem dobierając słowa, ale raczej nie jak ktoś, kto boi się, że powie za dużo, tylko jak ktoś, kto chce precyzyjnie przedstawić swoje odczucia.

– Zdradzał panią? – Strategia pytania wprost zdawała się przynosić dobre rezultaty.

Roześmiała się, jakby odpowiedź była aż nazbyt oczywista.

– Tak. Od dawna i wielokrotnie.

– A pani jego?

Uśmiechnęła się i nie był to zbyt wesoły uśmiech.

– Nie. Choć często przychodziło mi to do głowy.

– Dlaczego nie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem zbyt dobra w te klocki. Poza tym depresja nie sprzyja atrakcyjności.

Obrzucił ją spojrzeniem. Szczupła, zadbana, czterdzieści parę lat, a więc mniej więcej w wieku nieżyjącego męża. Dla komisarza była bardzo atrakcyjna. Szkoda, że nie mógł jej tego powiedzieć.

– Zna pani jakieś szczegóły dotyczące tych zdrad?

– Rozumiem, że interesują pana ostatnie lata?

Pytanie techniczne. Żadnych emocji.

– Powiedzmy.

– Okej – powiedziała. – Pozwoli pan, że zapalę?

A więc emocje mimo wszystko były.

– Oczywiście. To pani mieszkanie.

– Pan też ma ochotę?

– Nie, dziękuję.

Wstała, otworzyła drzwi balkonowe i stanęła w nich tak, by móc wydmuchiwać dym na zewnątrz. Sięgnęła po paczkę leżącą na parapecie, wyjęła z niej papierosa i odpaliła go.

– A więc po kolei – zaciągnęła się i wypuściła dym. – Monika. Lat trzydzieści pięć. Była kimś w rodzaju asystentki mojego męża.

Szczupła, wysoka, bardzo zgrabna, choć uroda raczej przeciętna. Trwało to, z tego, co wiem, parę lat. Dał sobie z nią spokój, bo zaczęła robić problemy. Nie wiem, może chciała czegoś więcej? Potem zaczęła robić jeszcze większe problemy. Zdaje się, że dała mu trochę popalić. Leczyła się psychiatrycznie. Nie, nie była wariatką. Po prostu trudno jej było sobie z tym wszystkim poradzić. Poszła na zwolnienie. Najpierw jedno, potem drugie, trzecie. W końcu odeszła z firmy. Czy miała motyw? Niewątpliwie. Mocno to przeżyła. Przeszła załamanie. Czy go zabiła? Nie mam pojęcia.

Przerwała na chwilę. Zaciągnęła się. Wypuściła dym. Mimo że wydmuchiwała go na zewnątrz, poczuł jego zapach.

– Następna – kontynuowała. – Anna. Trochę starsza. O wiele ładniejsza, choć już nie tak zgrabna. Też, można powiedzieć, koleżanka z pracy. Przyjęta później, była chyba jedną z przyczyn odstawienia tej wcześniejszej. O ile wiem, aktualna, choć nie mam pojęcia, na jakim ich związek był etapie. Czy miała motyw? Nie wiem, to zależy chyba właśnie od tego etapu. Nie śledziłam tego ostatnio zbyt uważnie.

Dobłą chwilę wpatrywał się nią w zamyśleniu, nim wreszcie zapytał:

– Skąd pani to wszystko wie?

– Och, mój mąż nie był zbyt dobrym konspiratorem, jeśli chodzi o te rzeczy. Był zbyt nieuważny. Zostawiał niezablokowany telefon albo nie wylogowywał się z poczty na komputerze. Nie było trudno poznać jego tajemnice.

– Któraś z nich miała męża?

– Pierwsza na pewno nie, druga była po rozwodzie.

Zaciągnięcie się, wypuszczenie dymu.

– A pani miała motyw? – spytał.

Spojrzała na niego niemal z rozbawieniem.

– Jak pan widzi, raczej tak. Zazdrość jest świetnym motywem, prawda? Ale musiałabym być chyba głupia, żeby to zrobić.

– Dlaczego?

– Mój mąż zostawił po sobie długi. To wszystko – zatoczyła koło lewą ręką – jest na kredyt albo w leasingu. Nigdy nie miał specjalnych skłonności do oszczędzania. Zawsze wszystko musiało być od razu, natychmiast. Moja sytuacja znacznie się pogorszy po jego śmierci. – Nadal mówiła wypranym z emocji głosem. – Jestem nauczycielką, nie dam rady spłacać tych wszystkich rat. On też miewał z tym problemy, ale zawsze jakoś udawało mu się w ostatniej chwili uciec do przodu. A potem kupował sobie zegarek za dwadzieścia tysięcy. Ja nie mam takich zdolności. Będę się musiała stąd wyprowadzić.

Zgasiła papierosa w popielniczce po drugiej stronie okna.

– I odpowiadając na pana następne pytanie: nie, nie miał żadnej polisy na życie. Należał do ludzi, którzy zamierzają żyć wiecznie. A nawet gdyby przez chwilę, gdzieś kiedyś, przyszła mu do głowy myśl o własnej śmierci, na pewno miałby w dupie to, co się ze mną wtedy stanie.

ROZDZIAŁ 17

Prokurator Gabriela Seredyńska otworzyła drzwi swojego gabinetu.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedziała.

Siedząca na korytarzu kobieta podniosła się. Nawet pomimo dość mocnego i zrobionego ze sporym znanstwem – co Seredyńska natychmiast zauważyła – makijażu, widać było, że niedawno płakała i że nie jest w najlepszej formie.

– Napije się pani może kawy? – Ekspres na kapsułki kupiony przez Seredyńską, oczywiście za własne pieniądze, pozwalał jej na takie niestandardowe, jeśli chodzi o przesłuchania prokuratorskie, propozycje. Nie każdego jednak o to pytała. W tym konkretnym przypadku uznała, że może warto wprowadzić nieco bardziej niezobowiązującą atmosferę.

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona.

– Myślałam, że takie rzeczy to tylko w banku.

Seredyńska uśmiechnęła się na tyle sympatycznie, na ile umiała.

– To mój prywatny ekspres i prywatne pytanie. Widzę, że jest pani ciężko, a z doświadczenia wiem, że kawa i ciastko jeszcze nigdy w takiej sytuacji nie zaszkodziły.

– Ale to oficjalne przesłuchanie? – upewniła się kobieta.

– Oczywiście. Po wszystkim dostanie pani do podpisania protokół. Napoje i przekąski nie zostaną w nim uwzględnione. To jak, czarna czy cappuccino?

– Poproszę cappuccino. Jeśli oczywiście to nie kłopot.

Seredyńska włożyła odpowiednią kapsułkę do ekspresu i nacisnęła przycisk. Urządzenie cicho zawarczało. W międzyczasie

sięgnęła do szuflady biurka i wyjęła stamtąd przygotowany wcześniej talerzyk z brązowym, płaskim ciastkiem. Postawiła go przed kobietą.

– Bardzo dobre – powiedziała. – Moja babcia robiła kiedyś takie. Znalazłam je w jednej z warszawskich cukierni. Smakują niemal identycznie.

Po chwili dostawiła obok filiżankę z kawą.

– Nie słodzi pani?

– Nie.

Oczywiście. Kobiety z taką figurą – jeszcze nie jednoznacznie grubą, ale już dawno nie szczupłą – nigdy nie słodzą.

Kobieta wypila łyk kawy, potem odgryzła kawałek ciastka.

– Rzeczywiście pyszne – powiedziała.

– Możemy zaczynać? – Seredyńska uśmiechnęła się po raz drugi.

– Oczywiście.

– Pani imię i nazwisko? Pytam dla porządku.

– Anna Jabłońska.

– Znała pani ofiarę?

Szybkie, nerwowe mrugnięcie po słowie „ofiara”. Zapewne po raz pierwszy ktoś tak przy niej o nim mówił.

– Tak, pracowaliśmy razem.

– Od dawna?

Zastanowiła się.

– Od trzech lat.

– Jak go pani poznała?

– Przyjmował mnie do pracy.

Seredyńska zerknęła w papiery.

– Wasza firma działa dopiero od dwóch.

– Do poprzedniej pracy. Namówił mnie, bym przeszła razem z nim. Uważał mnie za dobrego fachowca. Budował zespół.

– Łączyło was coś jeszcze?

Znowu mrugnięcie wyglądające tym razem bardziej jak skurcz mięśni wokół oczu.

– Tak, byliśmy parą.

– Od dawna?

– Od ponad roku.

Kobieta uciekła na chwilę spojrzeniem, jakby podświadomie wstydziła się romansu z żonatym mężczyzną.

– Jak wam się układało? – spytała Seredyńska.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Chciał się rozwieść. Mieliśmy zamieszkać razem.

– Ktoś jeszcze o tym wiedział?

– Nie afiszowaliśmy się z tym zbyt.

– A w pracy?

– Staraliśmy się być dyskretni. Ale nie wiem, może.

– A pani mąż?

– Nie mam męża. Jestem rozwiedziona.

– Od dawna?

– Od dwóch lat.

– To tyle, ile pracuje pani w tej firmie.

– Przypadkowa zbieżność. Nie układało nam się od lat.

– Mąż znał pana Różańskiego?

– Nie, nie poznali się nigdy. Jak już mówiłam, nasze małżeństwo było wtedy praktycznie martwe.

Seredyńska zmrużyła oczy, starając się ocenić, czy przesłuchiwana podaje jej prawdziwy obraz sytuacji, czy też taki, który po czasie sobie stworzyła, by usprawiedliwić swoje postępowanie.

– Rozwiodła się pani przed przejściem do nowej pracy czy po tym? – spytała.

– Po. – W głosie Jabłońskiej nie było słycać wahania. – Ale to naprawdę nie miało nic do rzeczy. Wtedy nawet nie byliśmy jeszcze razem.

– Czy pani były mąż mógł chcieć się zemścić na panu Różańskim?

Pokręciła głową.

– Naprawdę nie sędzę. Rozstaliśmy się spokojnie, bez dramatycznych scen. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nic nas już nie łączy. Poza tym to zupełnie do niego niepodobne. Nigdy nawet nie był o mnie specjalnie zazdrosny.

– A Monika Cichocka?

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona, jakby nie spodziewała się, że Seredyńska wie o tej sprawie.

– Ona już prędezej. Ale to raczej wtedy, nie teraz.

– Wtedy, czyli kiedy?

– Kiedy Marcin... kiedy Różański od niej odszedł.

Seredyńska nieznacznie przechyliła głowę.

– Co się wtedy działo?

– Bardzo źle to przyjęła... Robiła dziwne rzeczy... Miała problemy psychiczne... Była nawet w szpitalu. Wtedy rzeczywiście można się było jej obawiać.

– Kiedy to było?

– Rok... Półtora roku temu.

Prokurator delikatnie uniosła brwi.

– To nie tak znowu dawno. Wie pani, co się z nią teraz dzieje?

– Niespecjalnie. Kiedy wróciła ze zwolnienia, zmieniła pracę. Znalazła inną i odeszła za porozumieniem stron. Nie mam z nią żadnego kontaktu. Ale to powinno być w kadrach. To znaczy to, gdzie odeszła.

Wypiła resztę kawy. Ręka jej lekko drżała.

– Rozumiem. A oprócz niej pan Różański miał innych wrogów?

– O tak, wielu.

– Wielu?

– Tacy ludzie jak on nie są zazwyczaj lubiani.

– Jacy ludzie?

– Zdolni, energiczni, wiedzący, czego chcą, i umiejący stawiać na swoim.

– Ktoś konkretny?

Jabłońska się zastanowiła.

– Nie, nie jestem w stanie wskazać jednej szczególnie wrogiej mu osoby. W poprzedniej pracy wielu ludzi rzucało mu kłody pod nogi. Z czystej złośliwości i zazdrości. Dlatego odszedł. Tu było trochę lepiej, chociaż też parę osób krzywo na niego patrzyło.

– Któraś z nich mogła mieć powód, by go zabić?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, nie sędzę. To nie są tego typu emocje. Mimo wszystko.

– Może pan Różański wszedł komuś w drogę? Przejął jakiś projekt albo storpedował czyjeś plany? – Prokurator próbowała ją nakierować. – Albo, czy ja wiem, otrzymał awans, na który ktoś inny bardzo liczył?

– Nie przypominam sobie niczego takiego.

Seredyńska zerknęła w swoje papiery. Sama miała ochotę napić się kawy, lecz głośnie buczenie ekspresu w tym momencie byłoby jak dzwonek telefonu w trakcie przedstawienia w teatrze – zniszczyłoby atmosferę i zdekoncentrowało aktorów. Spojrzała na kobietę. Puste, martwe spojrzenie jej ciemnych oczu utkwione było gdzieś w ścianie za plecami prokurator. Była ładna, a bijąca od niej rozpacz jeszcze dodawała jej szlachetnego uroku.

– Pan Różański miał też własną firmę – zaczęła znowu. – Wie pani coś na ten temat?

– Tak, pracuję w niej. – Wzrok kobiety przeniósł się mechanicznie ze ściany na Seredyńską.

– Czym się zajmuje? – zapytała.

– Och, wieloma rzeczami. Na przykład nowymi materiałami i technologiami.

– Czyli mniej więcej tym samym, co ośrodek badawczy, w którym też pracowaliście?

– Tak, lecz my próbujemy znaleźć dla nich konkretne zastosowanie. Zamienić je na projekt, który można wdrożyć do produkcji.

Prokurator w milczeniu pokiwała głową.

– W wieczór przed śmiercią Marcina Różańskiego świętowaliście jakiś sukces – zauważyła.

– Tak, byliśmy w Oberży pod Czerwonym Wieprzem na Żelaznej. Często tam chodziliśmy.

– My, czyli kto?

– Ja, Marcin, nasz wspólnik z Krakowa i jeszcze dwóch pracowników. Podać nazwiska?

– Później wpisujemy je do protokołu. Jak zachowywał się Różański?

– Normalnie. Był wesoły, wszyscy byliśmy. Mieliśmy powód.

– Pił alkohol?

– Kieliszek wina. Ale w sumie to nie wiem. Wysłałam wcześniej, mężczyźni jeszcze zostali.

– Co to był za sukces?

– Udało nam się uzyskać grant z Unii Europejskiej na jeden z naszych projektów – wyjaśniła Jabłońska. – Chodziło o materiał, w którym ukryte są czujniki umożliwiające monitorowanie na bieżąco podstawowych parametrów życiowych. Można by szyć z niego na przykład koszulki, które pacjenci z chorobami zagrażającymi życiu nosiliby pod ubraniem. W razie nagłej drastycznej zmiany któregoś z parametrów włączałby się alarm i wysyłana byłaby automatycznie wiadomość do pogotowia. Mieliśmy opracować prototyp i rozpocząć testy we współdziałaniu z Uniwersytetem Jagiellońskim.

– W grę wchodziła duża kwota?

– Dwieście tysięcy euro na początek. Ale sprawa była rozwojowa.

– Jak dzielone są takie pieniądze?

– Wydawane są na projekty, materiały i wynagrodzenia. Na wszystko muszą być faktury, z których trzeba się potem rozliczyć.

– Te technologie pochodziły z ośrodka badawczego, w którym pracował Różański?

– Tak, ale wszystko było legalnie, mieli zgody i patenty, inaczej nie dostalibyśmy grantu.

– Czy pani zdaniem ktoś mógł mieć do niego pretensje o to, że wykorzystuje te technologie i będzie zarabiał na tym pieniądze?

Kobieta westchnęła.

– Wie pani, ludzie są zawistni, zwłaszcza ci, którzy sami nie potrafią niczego zrobić...

– Ma pani kogoś konkretnego na myśli? – przerwała jej prokurator.

– Nie, nikogo konkretnego. Mówiłam raczej ogólnie. Zresztą wszyscy właściciele patentów, czy to ludzie, czy instytucje, mieliby z tego wymierną korzyść, gdyby produkcja naszego projektu ruszyła.

Ciastko leżało wciąż na talerzu – z wyjątkiem pierwszego kęsa nieruszone.

Seredyńska zamilkła. Czas było przeprowadzić atak, a chwila ciszy przed rozpoczęciem ostrzału – wzbudzająca zaniepokojenie i wytrącająca z równowagi – jeszcze nigdy wtedy nie zaszkodziła. Tamta kobieta zdawała się tego jednak nie zauważać. Przedłużające się milczenie nie robiło na niej żadnego wrażenia. Wyglądała, jakby się zawiesiła, ze wzrokiem utkwionym znów w ścianę za plecami przesłuchującej ją prokurator.

– Pani Anno – nachyliła się w jej kierunku, kładąc oba przedramiona na biurku – proszę mi powiedzieć... to bardzo ważne i może mieć decydujący wpływ na odnalezienie zabójcy... czy wie pani o jakichkolwiek przekrętach, malwersacjach, nielegalnych lub półlegalnych operacjach finansowych lub jakichś innych sprawach związanych z działalnością firmy Marcina Różańskiego, które mogłyby być ewentualnym powodem pozbawienia go życia?

Wzrok kobiety z powrotem odnalazł twarz prokurator.

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

Odpowiedź szybka, ale nie przesadnie.

– Pani Anno, wie pani, gdzie zginął Marcin Różański?

Brwi kobiety się ściągnęły.

– Przed jakimś blokiem.

– Wie pani, dlaczego się tam znalazł?

– Nie.

– Był umówiony z prostytutką. Nie pierwszy raz ją odwiedzał. Wiedziała pani o tym?

– Nie...

Wyraz twarzy Jabłońskiej zauważalnie się zmienił.

– Jak pani widzi, nie ma pani żadnych powodów, by chronić jego i jego pamięć. Co więcej, jeśli takie nieprawidłowości miały miejsce i rzeczywiście były przyczyną zabójstwa, pani również może być zagrożona.

Kobieta patrzyła na nią wzrokiem, w którym było tyle upokorzenia i cierpienia, że aż trudno to było znieść.

– Powtarzam, nic mi na ten temat nie wiadomo – odpowiedziała wreszcie.

ROZDZIAŁ 18

– Wchodź, musimy pogadać.

Zaczynał coraz bardziej lubić te wizyty w biurze u pani prokurator. Co więcej, chyba wręcz na nie czekał.

– Kawy? – spytała, wskazując na ekspres.

– A wiesz, że chętnie.

Usiadł na krześle przed jej biurkiem.

Prawie nie patrząc, włożyła kapsułkę do maszyny i nacisnęła przycisk. Ekspres zabuczał i do filiżanki stojącej już pod dyszą zaczął spływać rozkosznie gęsty czarnobrazowy płyn.

– Muszę napisać wreszcie plan śledztwa – powiedziała. – Ustalić wersje śledcze. Masz dla mnie coś nowego?

– Coś tam mam – odpowiedział. – Rozmawiałem z tą Moniką, poprzednią flamą Różańskiego.

– I co?

– Nie sędzę, żeby to była ona. Pół roku temu wyszła za mąż. Za kolegę z nowej pracy. Jest w ciąży, szczęśliwa. O Różańskim opowiada z mieszaniną zdziwienia i odrazy. Jakby nie do końca wierzyła, że mogła aż tak bardzo zabujać się w kimś takim.

– Jest wiarygodna w tym, co mówi?

– Słuchaj – poprawił się na krześle – wiesz dobrze, że ludzie potrafią nieraz naprawdę dobrze kłamać i że nawet doświadczony śledczy czasem nie jest w stanie tego wyczuć. Ale zazwyczaj jednak potrafi. No więc ja myślę, że ona mówi prawdę. To dobra dziewczyna, która po prostu w pewnym momencie została opętana i zmanipulowana przez niezbyt fajnego kolesia. I tyle.

– A te problemy psychiczne?

– Pokazała mi wypis ze szpitala. Depresja. Załamanie nerwowe. Każdemu coś takiego może się przytrafić w dostatecznie niesprzyjających okolicznościach; tobie, mnie, ministrowi sprawiedliwości...

Seredyńska nie zamierzała dawać się wciągać w takie dywagacje.

– Mówiła jeszcze coś ciekawego o Różańskim? – spytała.

– Mnóstwo ciekawych rzeczy. Aż żałuję, że go wcześniej nie poznałem. Strasznie fajny gość.

– Wyczuwam sarkazm – powiedziała. – A on dość słabo wypada w oficjalnych dokumentach.

Usadziła go trochę, ale uśmiechnęła się przy tym, więc nie przestało być sympatycznie.

– Facet umiał manipulować ludźmi, potrafił sprawiać wrażenie, że co to nie on. Przyszły mistrz świata, który aktualnie ma pewne absolutnie przejściowe trudności. Bardzo skupiony na sobie. Typowy narcyz. Wielu ludzi dawało mu się uwieść, a ci, którzy go przejrżeli, z miejsca stawali się jego najgorszymi wrogami – streszczał swoje ustalenia Aleksanderski. – To na nich zrzucał potem wszystkie swoje niepowodzenia. A miał ich wbrew pozorom całkiem sporo. Zawsze snuł wielkie plany, z których zazwyczaj niewiele potem niestety wychodziło. Winni byli oczywiście ci, którzy z zazdrości rzucali mu kłody pod nogi. Generalnie można powiedzieć, że jechał na dobrej opinii, której sam był najpoważniejszym źródłem. Też chciałbym tak umieć – zakończył nieco sarkastycznie.

– Ten ostatni projekt mu jednak wypalił – zauważyła.

– Tak, dostał grant. Ale to podobno głównie dzięki tej swojej nowej kochance, która za niego to wszystko ogarnęła. To jego druga podstawowa umiejętność: wyręczanie się innymi, a potem przypisywanie sobie ich zasług.

– Niezbyt sympatyczny obraz nam się z tego wyłania. Ale nie zapominajmy, że wszystko to mówi odtrącona kobieta, więc może

nie być to do końca obiektywne.

– Oczywiście – zgodził się. – Choć z drugiej strony, gdyby choć z połowa tego była prawdą, to wcale się nie dziwię, że ktoś chciał go zabić.

Seredyńska postawiła przed nim kawę; przyjął ją z wdzięcznością.

– Pytałeś ją o ewentualne machlojki? – spytała, gdy brał pierwszy łyk.

– Chyba coś może być na rzeczy. Twierdzi, że zawsze miał dużo pieniędzy, co nie do końca odpowiadało jego oficjalnym zarobkom. Ale podobno nigdy nie dopuszczał jej do wszystkich swoich spraw, mimo że przez jakiś czas była jego najbliższą współpracownicą. Twierdzi też, że gdy odchodził z poprzedniej firmy, takie oskarżenia się pojawiały. On oczywiście zwał je na tych, którzy mu zazdrościli i kopali pod nim dołki. Nic z tym nie zrobiono. Podobno dlatego, żeby nie robić skandalu i nie zaszkodzić tym, którzy tam zostali.

– Wspominałeś, że według jego żony żył na kredyt, ponad stan i miał wieczne kłopoty finansowe.

– Może właśnie w ten sposób próbował z nich wybrnąć? Na pewno warto by to sprawdzić. To mógłby być całkiem zgrabny motyw.

Seredyńska pokiwała głową.

– A, i jeszcze jedno – dodał. – Na koniec oświadczyła mi wyraźnie, że nie powtórzy tego podczas ewentualnego procesu.

– Dlaczego?

Komisarz wzruszył ramionami.

– Oficjalnie dlatego, że to dla niej zamknięty temat. Dużo wysiłku włożyła, żeby zapomnieć o Różańskim, i nie chce do tego wracać. Boi się też, że jej mąż i aktualny pracodawca mogliby się dowiedzieć przy okazji o niej paru niezbyt przyjemnych rzeczy. Zdaje się, że nie powiedziała im o tym załamaniu i pobycie w szpitalu. Nie chce więc być w to w żaden sposób zamieszana. –

Upił kolejny łyk kawy. – A tak naprawdę to nie wiem, może nie mówiła mi wszystkiego i też miała w tym jakiś udział?

– Gdy te rzeczy się potwierdzą, i tak będzie zamieszana. Sama osobiście ją w to zamieszam.

Nie skomentował tego. Pomyślał sobie, że sam chyba wolałby tego uniknąć. Przypomniał sobie Monikę Cichocką. Pełną spokoju i cichej wewnętrznej radości, jaką może odczuwać tylko kobieta, która jest w upragnionej ciąży. Kobieta, której wreszcie zaczęło się układać, a wszystkie klocki jej życia powskakiwały w końcu na swoje miejsce. Wciągnięcie ją w bezduszną machinę śledztwa i procesu, zmuszenie, by ekshumowała dawno już pochowane trupy przeszłości, zaburzy ten spokój i przygasi radość.

Ale może to on na starość robił się po prostu zbyt miękkim. Zwłaszcza w stosunku do młodych, atrakcyjnych kobiet.

– No dobrze. – Prokurator Sereżyńska podniosła na niego wzrok znad akt. – To jakie wersje śledcze ustalamy?

Znów wzruszył ramionami.

– Jakie ty ustalasz. Ja jestem tylko psem, który węszy tam, gdzie mu każą.

– Oj, daj spokój – zachnęła się. – Jestem tu nowa, a ty masz doświadczenie sto razy większe ode mnie. Pomóż mi.

Popatrzył na nią. Też była ładna i też była młoda. Wyglądała wręcz jak dwudziestoparolatka, choć na pewno przekroczyła już trzydziestkę, a on zawsze miał słabość do kobiet o takim właśnie, dziewczęcym typie urody. Poza tym chciał jej pomagać, nie mógł tego nie zauważyć. Chciał się nią zaopiekować i sprawić, by była zadowolona. Stary, głupi dziad. Naprawdę musi uważać, żeby nie zrobić z siebie kiedyś z tego powodu głupka.

– Przecież sama to wiesz – powiedział. – Po co ci moja pomoc? Dwie wersje śledcze. Pierwsza: sprawca znał Różańskiego; motyw albo osobisty, albo związany z jakimiś przewalami w jego firmie. Druga: zabił go jakiś świr.

– Myślisz, że w świetle tego, czego się dowiedzieliśmy o denacie, warto w ogóle zajmować się drugą wersją?

– A ten wiersz? Jakoś średnio pasuje do pierwszej.

Ściągnęła usta ze zniecierpliwieniem.

– Rozmawialiśmy już o tym. Po pierwsze wciąż nie mamy jednoznacznego dowodu, że zostawił go zabójca. Jest to najbardziej prawdopodobne, zgadzam się, ale nie możemy też wykluczyć, że znalazł się tam przypadkiem. Ale nawet jeśli, to może jest to tylko próba odwrócenia naszej uwagi od prawdziwego motywu – zasugerowała. – Jeśli zabójcą jest ktoś z kręgu Różańskiego, to możemy założyć, że jest raczej inteligentnym człowiekiem. I mógłby coś takiego wymyślić. Upozorować zabójstwo przez jakiegoś zwyroła, podrasować trochę trupa. I podrzucić ten wiersz.

– Może. Ale podobno pierwsze wrażenie bywa najczęściej najbliższe prawdy. A moje było takie, że zrobił to ktoś, kto jest ostro rąbnięty.

Z powrotem utkwiała wzrok w leżących przed nią papierach. Zastanawiała się. Decyzja należała do niej, nie do niego.

– Dobra – powiedziała wreszcie. – Musimy szukać tam, gdzie prawdopodobieństwo znalezienia czegoś jest większe. A hipoteza świra nie daje nam w tym momencie żadnych możliwości. Ustalam jedną wersję śledczą: zabójstwo miało związek z tym, co robił Różański. Do tej drugiej zawsze możemy wrócić.

Roma locuta, causa finita, pomyślał.

– Przepytaj ludzi z tego ośrodka badawczego, przejrzyj też dokumenty jego drugiej firmy. Może coś tam będzie.

– Okej – powiedział. – A wiersz?

– Też będziemy musieli się tym kiedyś zająć, ale to jest na razie ważniejsze.

– W porządku.

Zamknęła teczkę z aktami sprawy, dając tym samym do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. Poczł lekkie ukłucie żalu.

– Dzięki za kawę – powiedział, podnosząc się z krzesła. Chciałby tu jeszcze zostać. Stary, głupi dziad.

*

Gdy wyszedł, siedziała jeszcze przez chwilę, wpatrując się w zamkniętą teczkę. Pierwsze wrażenie... Intuicja... Obie te rzeczy bywają zawodne, zwłaszcza gdy ktoś próbuje na nie wpływać. A ona była prokuratorem, urzędnikiem państwowym, prawnikiem. Musi używać przede wszystkim rozumu. Szacować prawdopodobieństwo, określać, które kierunki są najbardziej rozwojowe, pamiętać o ograniczonych siłach i zasobach. Poczula nagle silną chęć, by jeszcze raz otworzyć teczkę, wyjąć z niej ten dziwny wiersz i po raz kolejny go przeczytać. Zwalczyła ją jednak. Nie może fiksować się na pomysłach, które właśnie przed chwilą uznała za zbyt mało prawdopodobne.

ROZDZIAŁ 19

Było coraz gorzej; szczerze mówiąc, było całkiem źle. Medyczna marihuana wciąż co prawda pomagała, ale przecież nie mógł jej palić przez cały czas. Jeśli siły witalne tamtego faktycznie w niego wniknęły i go uzdrowiły, to chyba właśnie zaczynały się wyczerpywać. Jego wewnętrzny krzyk wrócił i coś w środku darło się teraz na całego.

Podszedł do swojego ołtarzyka i chwycił w obie dłonie leżące tam trofea. W lewą zegarek, w prawą nóż. Poczuł, że przenika przez niego ich moc, jakby zamknął obwód z prądem. Lecz wciąż była ona za mała, za mała. Za mało ogniw, za słaba bateria.

Poczuł złość, wściekłość, miał ochotę rzucić nimi teraz o podłogę. Nie, nie zrobił tego. Nie. Nie można. Były mu wciąż potrzebne, nawet tak słabe. Zresztą diabli wiedzą, co mogłoby się wtedy stać.

Puścił je więc i opadł na kanapę. Na czole pojawił się pot, mimo iż wcale nie było przecież gorąco. Ostatnio często tak miał. To i suchość w ustach. I jeszcze swędzenie w różnych partiach ciała. Dopadające go nagle i równie nagle przechodzące.

Musi wyruszyć znowu na łowy. Tak. Musi wyleźć ze swojej nory i upolować jakąś tłustą mysz. Albo królika. Wyobraził sobie nagle, że jest wężem. Choć w zasadzie nie tyle wyobraził, ile poczuł, że nim jest. Dziwne, ale bardzo wyraziste, namacalne uczucie. Pierzastym wężem, Quetzalcoatlem pełzającym po stopniach azteckich piramid. Może swędziało go, bo musi zrzucić skórę?

Ale poczekaj, poczekaj. Trzeba myśleć racjonalnie. Co upolować? Do tej pory miał szczęście; poprzednim razem trafiła mu się bardzo

cenna zdobycz; lecz nie może przecież wiecznie polegać na ślepym fardzie, nawet jeśli jak dotąd tak dobrze na tym wychodził. Musi to jakoś ogarnąć, zaplanować, uderzyć tym razem precyzyjnie.

Ofiara, trzeba wyjść od niej. Tym razem nie może czekać, aż coś wyjdzie mu pod lufę. Musi ją wybrać, potem znaleźć, a następnie dopaść. Musi kierować się precyzyjnymi przesłankami. Określić warunki brzegowe.

Moc, to jest najważniejsze. Musi odnaleźć kogoś, kto jest pełny – jak to się nazywało? – *mana*, życiowej mocy, energii witalnej, siły fizycznej i psychicznej. Nie jakiegoś pijaczka, bezdomnego, kogoś łatwego do upolowania niczym parchata koza z przetrąconą nogą. Na ile ktoś taki może mu starczyć? Ile ma w sobie energii, skoro sam ledwo sobie radzi? On musi znaleźć naprawdę dobrą baterię, podłączyć się do akumulatora naładowanego na full.

Tylko kto to mógłby być? Odchylił głowę i zamknął oczy. Tamten frajer, którego energię już, zdaje się, skonsumował, był dobrym tropem, ale to ciągle nie było to. Wskazywał właściwy kierunek, ale sam okazał się raczej wydmuszką niż pełnowartościowym posiłkiem. Jego siła była dęta; może tylko udawał takiego chojraka, nawet jeśli sam wierzył, że nim jest.

Ale to mniej więcej powinien być ktoś taki. Ktoś u szczytu formy i możliwości. Ktoś, kto osiągnął sukces i ten sukces dalej go napędza. Ktoś nastawiony na cel, pozbawiony wątpliwości, niepowstrzymanie pracy do przodu, zdrowy i piękny, najsilniejszy byk w stadzie. Ktoś, kim on nigdy nie był. Przynajmniej do tej pory.

Kogoś takiego nie da się jednak upolować, włócząc się wieczorami po mieście. Zdając się tylko i wyłącznie na łut szczęścia. Potrzebne jest rozeznanie, research, dobry wywiad. Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Właśnie, tylko gdzie?

Otworzył nagle oczy. Czy naprawdę w to wierzył? W te magiczne, szamańskie, bajkowe bzdury? On, tak zawsze racjonalny, stabilny psychicznie aż do granicy nudy? Teraz dla odmiany zrobiło mu się zimno.

Wstał i poszedł do kuchni zrobić sobie kawy. Musi jakoś otrzeźwieć, bo to wszystko zaczyna iść w niepokojącym kierunku. Ta myśl – że może przejmować energię życiową swoich ofiar – myśl, którą na początku w zasadzie się bawił, która była rodzajem nie do końca poważnie traktowanej fantazji – zaczynał w nią coraz bardziej wierzyć. Czy to efekt zmian osobowości spowodowanych chorobą? Myślenie racjonalne ustępuje myśleniu magicznemu? Jakby cofał się do poprzednich etapów rozwoju, nie tyle nawet swojego, ile całej ludzkości. Niedługo zostaną mu już tylko instynkty i popędy; zaliczy regres do jakiejś gadziej formy istnienia.

Wypił łyk gorącej, prawie wrzącej, nie do końca nawet zaparzonej kawy. Poparzył sobie język i wargi, ale w sumie to nawet dobrze. Może to przywróci go znowu do rzeczywistości. Przykra myśl nagle zaświtała mu w głowie. Rozum był zawsze tą częścią, w zasadzie jedyną częścią jego samego, z której był w miarę dumny. To on go określał, był jego chlubą, czymś, dzięki czemu mimo wszystko dawał radę myśleć o sobie z szacunkiem, a nawet czuć się lepszym od innych. Podczas gdy cała reszta była źródłem nieustających porażek, mniejszych lub większych cierpień, ciągłych bolesnych zawodów, on, rozum, dawał radę. Stanowił centrum jego osobowości, jej sedno. Czy jeśli go straci, ciągle będzie sobą? Jasne, nie chciał już być tym kimś, kim był do tej pory, tym żalonym popychadłem, lekceważonym przez wszystkich frajerem, ale mimo wszystko pragnął pewnej ciągłości. Chciał się zmienić, ale chciał, żeby to zmienił się ON. Nie satysfakcjonowała go całkowita wymiana osobowości; taka, której pod koniec już nawet nie będzie świadomy, bo zamiast niego w jego głowie zagości jakiś walący w szamański bęben neandertalczyk.

Musi to jakoś zatrzymać, przerwać, musi pod tym jednym względem pozostać sobą. Odstawił kawę na stół i wrócił do pokoju. Podszedł do swojego ołtarzyka, popatrzył przez chwilę na leżące tam przedmioty, po czym zgarnął je jednym ruchem i wrzucił do szuflady na dole regału. Potem zasunął ją nogą.

Tak, tak trzeba było zrobić. Dość tych głupot, dość tych infantylnych bajek dla skretyniałych ciotek. Niedługo zaczniesz wierzyć w UFO albo kontaktować się z duchami.

Usiadł znowu na kanapie, sięgnął po leżącego na niej pilota i włączył telewizor; jedyne prawdziwego przyjaciela, towarzysza samotnych wieczorów. Zaczął mechanicznie zmieniać kanały. Doszedł aż do jakiejś stacji z Abu Dhabi, a potem wrócił na początek listy.

Na kanale, na którym się zatrzymał, trwał właśnie program poranny. W sumie zdziwił się, że było jeszcze tak wcześnie. Dwójka prowadzących rozmawiała z jakąś dość kolorowo ubraną kobietą. Była ładna, nawet bardzo. Więcej – była piękna, i to urodą niemalże filmową. Jej czarne, kręcone włosy, jasnobrązowa cera i egzotycznie brzmiące nazwisko wyświetlane na pasku u dołu ekranu świadczyły, że miała pochodzenie przynajmniej w połowie afrykańskie, lecz mówiła czystą polszczyzną, bez akcentu ani obcych naleciałości. Podgłośnił telewizor.

Kobieta była projektantką mody. Wróciła właśnie z Mediolanu, gdzie zdobyła prestiżową nagrodę dla młodych talentów. Jej nagrodzona kolekcja miała być wkrótce zaprezentowana w Warszawie w jednej ze śródmiejskich galerii. Wpatrywał się w nią zafascynowany. Jej kolorowy strój, jak się po chwili dowiedział, także był jej projektu. Długa, luźna szata w geometryczne wzory. Wyglądała w niej jak ktoś zupełnie nie z tego świata.

Rozmowa dobiegła końca. Jeszcze przez chwilę oglądał ten program, lecz nie rozumiał nawet, o czym mowa. Na ekranie pojawił się kolejny gość, a po nim jeszcze następny, lecz on wciąż przed oczami tamtą wzorzystą szatę i tę nieokiełznaną burzę czarnych, kręconych loków.

Przez jego głowę przemknęła myśl i tylko wielkim wysiłkiem woli udało mu się ją przegonić.

ROZDZIAŁ 20

Komisarz zaparkował samochód przed dużym, nowoczesnym budynkiem w kształcie prostopadłościanu, obłożonym ciemnym szkłem. Musiano go postawić w miarę niedawno, bo chociaż sam budynek i teren wokół niego były już wykończone bez zarzutu, to parking ciągle był jeszcze tylko zwykłym klepiskiem porytym koleinami i ozdobionym gdzieś tam kępami traw. Gdy Aleksanderski tu jechał, zaczęła mu migać kontrolka silnika, a to nie poprawiło mu humoru. Będzie musiał odstawić swoje auto do warsztatu, a na to w jego pracy nigdy nie było dobrego momentu. Będzie też musiał zapewne ponieść spore koszty – kontrolka silnika nigdy nie oznacza błahej usterki – a na to w jego pracy również nigdy nie było dobrego momentu.

Wsiadł z samochodu i zamknął drzwi. Spojrzał na swojego dwunastoletniego nissana, kiedyś naprawdę świetny samochód. Teraz – obtarty po bokach, psujący się coraz częściej – był już tylko cieniem dawnej świetności. Komisarz zauważył, że od jakiegoś czasu zaczęło w nim śmierdzieć starym autem. Ten sam zapach można wyczuć w niektórych zajechanych prawie na śmierć taksówkach; w niczym nieprzypominający tej cudnej, duszącej niemal woni nowej tapicerki i świeżo wytłoczonego plastiku, który Aleksanderski poczuł, gdy wsiadł do nissana po raz pierwszy.

Pomyślał, że z samochodami jest jak z żonami. Gdy są nowe, kochasz je i nie możesz się na nie napatrzyć; potem przyzwyczajasz się, ale dobrze wam razem, świetnie się dogadujecie i traktujesz je

z czułością; na końcu zaś zawsze jest tak samo – zaczynają sprawiać coraz więcej problemów i po prostu wkurwiać.

Wszystko się psuje, wszystko się jebie, pomyślał, idąc w kierunku wejścia do budynku. Każda historia kończy się źle, wystarczy tylko ją odpowiednio długo opowiadać. A jego historia ciągnęła się już naprawdę długo.

Pokazał odznakę gościowi w recepcji i przeszedł przez bramki. Facet, z którym się umówił – profesor Bogdan Maksymowicz, bezpośredni przełożony Różańskiego – miał swój gabinet na ostatnim piętrze. Mógłby go wezwać i przesłuchać na komendzie, ale chciał zobaczyć, jak to wszystko wygląda. Może uda mu się zobaczyć albo wyczuć coś, czego nie dostrzegłby, gdyby ściągnął szanownego profesora do siebie? Jakieś spojrzenie ukradkowo rzucone sekretarce, jakąś interakcją między nim a którymś z pracowników, cokolwiek. Zwierzęta powinno się badać w ich naturalnym środowisku, a nie zza krat klatki w zoo.

Wjechał windą na ostatnie piętro i odnalazł odpowiedni pokój. Wszystko tu było szklano-stalowe, pachnące nowością. Nawet sekretarka wyglądała, jakby ją przed chwilą wyjęto z pudełka. W tym wszystkim on, komisarz Aleksanderski, ze swoim za dużym brzuchem, wytartą skórzaną kurtką i nieogoloną gębą, czuł się wyjątkowo nie na miejscu. Niczym psia kupa na rozwiniętym czerwonym dywanie.

Całe szczęście nie tylko on tu nie pasował. Profesor Maksymowicz także sprawiał wrażenie, jakby przeniesiono go wbrew jego woli z zupełnie innego świata. Jego naturalnym środowiskiem wydawała się zakurzona kanciapa gdzieś na polibudzie. Wyglądał dziwnie, wręcz karykaturalnie. Krótko przystrzyżona siwa broda, wściekle fioletowe okulary, włosy ufarbowane na zbyt ciemny kolor i pstrokata mucha do tweedowej, żółto-zielonej marynarki – zadziwiające, że są ludzie, którzy najwyraźniej uważają, iż tytuł naukowy uprawnia ich do tego, by ubierali się jak idioci.

– Witam szanownego przedstawiciela polskiej Policji Państwowej! Proszę, niech pan spocznie – przywitał go z emfazą profesor i teatralnym gestem wskazał na krzesło przed swoim biurkiem. – Napije się pan może kawy albo herbaty?

– Nie, dziękuję – odpowiedział Aleksanderski. Migająca kontrolka już wystarczająco podniosła mu ciśnienie krwi.

– Co też pana do nas sprowadza, jeśli mogę spytać?

Gość zaczynał go już denerwować tą swoją hiperprofesorską kindersztubą. Komisarz postanowił więc być dla odmiany brutalnie bezpośredni.

– Pana martwy pracownik, mówiąc w największym skrócie – odpowiedział.

– Tak, tak, oczywiście... – zafrasował się profesor. – Straszna tragedia. Do tej pory nie możemy się otrząsnąć.

– Minęły dopiero trzy dni – zauważył komisarz.

– Nie rozumiem. – Profesor uniósł lekko brwi.

– Sformułowania „do tej pory nie możemy się otrząsnąć” używa się zazwyczaj po trochę dłuższym okresie. Wcześniej brzmi odrobinę nieszczерze.

Maksymowicz wydawał się nieco zbity z tropu. To bardzo dobrze. Tego typu ludzie – głęboko przekonani o własnej wyższości, przyzwyczajeni do wygłaszania sądów *ex cathedra* – bywają dość trudni w czasie przesłuchania. Warto więc ich trochę na wstępie usadzić.

– Tak, ma pan rację. Użyłem tych słów bez zastanowienia.

Z kolei komisarz poczuł się teraz znacznie pewniej.

– Dobrze – powiedział. – Przejdźmy do rzeczy. Marcin Różański był pana podwładnym. Czym się ostatnio zajmował?

Profesor Maksymowicz rozłożył ręce.

– Był moim podwładnym, to prawda, ale miał sporą swobodę działania. Nie wiem konkretnie, co ostatnio robił.

– Był pan jego bezpośrednim przełożonym i nie wie pan, czym się zajmował?

– Wie pan, my tu trochę inaczej działamy niż w wielkich korporacjach... Jesteśmy instytucją naukową...

– Nawet w instytucjach naukowych szefowie zazwyczaj kontrolują w jakiś sposób swoich podwładnych.

– Nie, no oczywiście. U nas też tak jest. Ale Marcin miał własny zespół, ufałem mu.

Czyżby pan profesor nie do końca orientował się, co dzieje się w firmie, której formalnie był szefem?

– No dobrze – powiedział. – Proszę mi w takim razie wytłumaczyć specyfikę działania pana instytucji. Czym takim różni się od innych?

Profesor splótł dłonie nad brzuchem.

– No cóż, to przede wszystkim konsorcjum. Założyły je warszawskie uczelnie: politechnika, Uniwersytet Warszawski...

– To wiem – przerwał mu komisarz. – Można to przeczytać w Wikipedii. Policja ma do niej dostęp. Pan jest z politechniki, prawda?

– Tak. Politechnika Warszawska ma w konsorcjum największy udział, więc wyznacza dyrektora.

Aha, i wyznaczyła kogoś takiego. Kogoś, kto nie za bardzo wie, co tu się dzieje.

– A pozostałe uczelnie?

– Pozostałe uczelnie wyznaczają wicedyrektorów.

– A inni pracownicy? Skąd się wzięli?

– Większość przeszła z naszych uczelni. To znaczy zachowali tam, oczywiście, etaty, ale pracują też i tu. Reszta, tak jak Marcin, została zatrudniona bezpośrednio.

– To znaczy, że Marcin Różański nie był związany wcześniej z żadną z uczelni tworzących konsorcjum?

– Nie. O ile pamiętam, pracował w jakiejś firmie prywatnej.

– Jak wobec tego się tu znalazł?

– Złożył podanie o pracę. Dwa lata temu, gdy tworzyliśmy to wszystko, przyjmowaliśmy wielu pracowników.

– Ktoś go polecił?
– Nie jestem pewien. Chyba nie.
– A ten jego zespół, skąd się wziął?
– Ściągnął tych ludzi ze sobą. Pracowali razem wcześniej.
– Czyli reasumując: Marcin Różański stworzył zespół ze swoich zaufanych ludzi i robił wraz z nim rzeczy, których ani pan, ani nikt inny nie kontrolował? – skomentował Aleksanderski.

– Nie no, oczywiście, że nie... – Maksymowicz chyba zrozumiał, jak to zabrzmiało. – Mamy tu mechanizmy kontrolne... Trzeba składać raporty, rozliczenia... Poza tym Marcin był bardzo rzutki, miał wiele pomysłów, a ja uważam, że trzeba stawiać na młodych...

Naiwne oczy pana profesora. Oczy starego, świetnie wykształconego i mającego ogromną wiedzę dziecka.

– Wie pan, że Różański miał też własną firmę?

– Coś mi się obilo o uszy.

– I że zajmowała się mniej więcej tym samym, czym zajmował się tutaj?

– Tak, to też wiedziałem.

Zabrzmiało to nieco niepewnie, jakby pan profesor starał się ukryć, że nie miał o tym pojęcia.

– Nie przeszkadzało to panu?

– Nie, dlaczego? Jesteśmy instytucją budżetową, nie zarabiamy tu kokosów, przynajmniej w porównaniu z prywatnymi firmami. Nie ma chyba nic złego w tym, że ktoś próbuje sobie dorobić?

– Nie widzi pan tu konfliktu interesów?

– W jakim sensie?

– Ktoś zarabia na własne konto pieniądze, wykorzystując wiedzę, kontakty i technologię wyniesione z państwowej firmy.

Profesor pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby Marcin tak robił.

Komisarz też miał ochotę pokręcić swoją, ale z zupełnie innego powodu. Powstrzymał się jednak od kąśliwej uwagi i zamiast tego zapytał, czy może obejrzeć raporty i rozliczenia, które zostawił

Różański. Miał przy tym wrażenie, że Maksymowicz zgodziłby się teraz na wszystko, byleby tylko policjant zostawił go już w spokoju.

– Oczywiście – odparł profesor. – Proszę spytać moją sekretarkę, skieruje pana do odpowiedniego działu.

W jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga, że wreszcie będzie miał z głowy natrętnego gościa.

– Na koniec jeszcze jedno, standardowe w takich sytuacjach pytanie – Aleksanderski nie zamierzał jednak tak od razu wychodzić. – Czy Marcin Różański miał na terenie instytutu jakichś wrogów? Kogoś, kto mógłby życzyć mu śmierci?

Oczy Maksymowicza rozszerzyły się z przerażenia.

– U nas? Nie sądzę. Żyjemy tu jak jedna wielka rodzina, nie mamy konfliktów.

Aleksanderski popatrzył na niego uważnie. Czy pan profesor naprawdę był aż tak naiwny, czy po prostu rznął głupa, próbując coś ukryć? Nie potrafił tego rozstrzygnąć.

– Wie pan, w każdej firmie tak jest, także w mojej, że z jednymi kolegami z pracy trzyma się sztamę, a z innymi jest się na noże. To normalna sprawa. Tak funkcjonują ludzie w grupie. Różański był, jak sam pan to powiedział, rzutki, miał wiele pomysłów, prowadził do tego własną firmę i sprawiał wrażenie, że nieźle mu się powodzi; musiał być ktoś, kogo irytował, kto mu zazdrościł albo uważał, że jest nadętym dupkiem.

Profesor Maksymowicz uniósł wysoko brwi.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Marcin był bardzo sympatyczny, niezwykle kontaktowy, wszyscy go lubili, tak mi się przynajmniej wydawało... Naprawdę nie wiem, kto mógłby chcieć go zabić.

ROZDZIAŁ 21

Sekretarka profesora Maksymowicza okazała się bardzo miła, choć po bliższym przyjrzeniu się wcale nie taka nowa.

– Szukam działu finansowego – powiedział komisarz. – Czy jak tam się to u was nazywa. Mogłaby mnie pani pokierować?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. Miała koło pięćdziesiątki, ale świetnie się trzymała. No i nie miała obrączki. Przez głowę natychmiast przemknął mu scenariusz ich ewentualnego romansu.

– Piętro niżej. Pokój dwieście pięćdziesiąt dwa.

– Dziękuję – odpowiedział, kończąc tym samym ich namiętny związek.

– Chwileczkę – rzuciła za nim, gdy już był prawie przy drzwiach.

Czyżby...? Odwrócił się.

– Ale tak pan tam nie zjedzie. Dostał pan identyfikator, prawda?

– Tak.

Plastikowy prostokąt z klipsem tkwił gdzieś w tylnej kieszeni jego spodni.

– Może pan z nim tylko zjechać na dół. Winda nie zatrzyma się na żadnym innym piętrze. Musi pan zgłosić się znowu do recepcji przy wyjściu, tam dadzą panu nowy.

Świetnie. Takiej rozrywki mu właśnie brakowało.

Podziękował za informację i zjechał na dół. Dostał nowy identyfikator. Wjechał na górę. Odnalazł pokój dwieście pięćdziesiąt dwa. Pokazał policyjną odznakę i poprosił o wszystkie dokumenty, które w ciągu ostatnich dwóch lat złożył Różański. Okazało się, że mogą je przygotować najwcześniej na jutro. Ponieważ nie miał

zamiaru ich przeglądać – sam i tak nic by z tego nie zrozumiał – zapowiedział, że ktoś po nie przyjedzie. Na koniec spytał jeszcze, gdzie pracował Różański. Z ulgą przyjął informację, że na tym samym piętrze. Nie będzie więc musiał jeszcze raz zjeżdżać.

Odnalazł odpowiednie drzwi. Zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł.

Za drzwiami były dwa pomieszczenia. Pierwsze, do którego wchodziło się bezpośrednio, i drugie za wewnętrznymi drzwiami. Za oknami, a w zasadzie szybami, z których zbudowano całe zewnętrzne ściany, widać było drzewa rosnące na zewnątrz. Chciałby mieć taki pokój u siebie na komendzie. Choć istniałoby niebezpieczeństwo, że przez cały dzień gapiłby się przez okno.

W pokoju, do którego wszedł, siedział mężczyzna. Podniósł na niego wzrok zza ekranu komputera. Miał koło czterdziestki – choć raczej był po niż przed. Brunet w błękitnych dżinsach i szarej marynarce. Zakola na jego głowie przebijały się powoli w kierunku łysiny na jej czubku. Na nosie miał wąskie okulary w granatowych, metalowych oprawkach.

– Tak? – spytał.

Głos miał jakby odrobinę zbyt wysoki. Jakby normalnie mówił niżej, a w takie rejestry uderzał tylko pod wpływem stresowych sytuacji. Na przykład gdy ktoś, kogo nie znał, niespodziewanie wchodził do jego pokoju.

– Komisarz Piotr Aleksanderski – przedstawił się policjant i machnął legitymacją. – Szukam gabinetu Marcina Różańskiego.

– To tam. – Mężczyzna wskazał długopisem wewnętrzne drzwi. – Ale oczywiście go nie ma.

Trudno powiedzieć, czy miał to być żart. Raczej nie.

– Pracował pan z nim?

– Tak. – Brunet w okularach wstał. – To moje miejsce.

– Możemy chwilę porozmawiać?

– Oczywiście, proszę.

Komisarz wszedł i usiadł na obrotowym krześle stojącym przy biurku naprzeciw stanowiska pracy mężczyzny. Musiał się trochę odsunąć w bok, żeby ekrany monitorów nie zasłaniały mu tamtego.

Dopiero wtedy współpracownik Różańskiego z powrotem usiadł.

– Straszna tragedia – powiedział. – Oczywiście.

To „oczywiście” zabrzmiało dziwnie, ale było chyba wynikiem nieśmiałości, a nie czegokolwiek innego. Gość był najwyraźniej speszony i nie wiedział, co powiedzieć. Typowy chłopak z polibudy, nerd czy jak to się teraz mówi. Typ diametralnie inny od Różańskiego. Przynajmniej takiego, jaki wyłaniał się z opowieści Moniki Cichockiej. Ciekawe, jak się z sobą dogadywali.

– Pan się nazywa...? – spytał Aleksanderski.

– Krzysztof Pałka – odpowiedział mężczyzna, wyraźnie ciszej i jakby nieco wstydliwie wypowiadając swoje nazwisko.

– Anna Jabłońska też tu pracuje?

– Tak, ale wzięła zwolnienie – odpowiedział mężczyzna. – Siedzi pan przy jej biurku.

Komisarz omiół spojrzeniem blat. Oprócz klawiatury, monitora i paru biurowych rzeczy nie było tam niczego innego. Może sprzątnęła wszystko, zanim wyszła.

– Bardzo nią to... – mężczyzna szukał odpowiedniego słowa – wstrząsnęło.

– Panem nie wstrząsnęło?

– Ktoś musiał tu zostać, żeby ogarniać sprawy. Świat się nie zatrzymał.

Mężczyzna nie patrzył na niego, gdy mówił. Jego wzrok utkwiony był w monitorze komputera.

– Długo go pan znał?

– Długo. Pracowaliśmy razem jeszcze w poprzednim miejscu. On mnie tu ściągnął.

– Tak samo jak Jabłońską?

– Tak. Przeszliśmy tu niemal w tym samym czasie.

Komisarz wyjął ze stojaka na przyrządy do pisania jeden z długopisów. Biały, plastikowy, z logo i nazwą jakiejś firmy. Weźmie go ze sobą. Zbierał takie rzeczy. Miał już ich pełną szufladę. Niewytłumaczalny i, jak się zastanowić, głupi zwyczaj, któremu jednak hołdował od lat.

– Z opowieści ludzi, którzy go znali, wyłania się dość nieprzyjemny obraz pana przełożonego – powiedział. – Jako buca i bufona. Też pan go tak odbierał? Wiem, że o zmarłych nie powinno się mówić źle, ale wady ofiary bywają dość często jednym z motywów zbrodni, więc prosiłbym o możliwie szczerą i nielukrowaną odpowiedź.

Jego rozmówca nie wydawał się szczególnie zszokowany tak bezceremonialnym pytaniem.

– To niesprawiedliwa ocena – odpowiedział. – A przynajmniej nie do końca sprawiedliwa. Marcin był wizjonerem, miewał naprawdę interesujące pomysły. Bywał dość chaotyczny i arogancki, czasami nadmiernie zadufany w sobie, ale tacy ludzie dość często tak się zachowują. Te cechy są niezbędne do osiągnięcia sukcesu.

– Dlaczego pana ze sobą ściągnął?

– Ktoś musiał te pomysły przekuwać w czyn. Marcin często nie miał do tego cierpliwości.

– Był pan jego wołem roboczym? Tak mam to rozumieć?

Mężczyzna po raz pierwszy na niego spojrział.

– Tak – odpowiedział spokojnie. – Tak może pan to rozumieć.

– Nie przeszkadzało to panu? Pan pracował, a on spijał całą śmietankę. Jakim samochodem pan jeździ?

– Toyotą yaris.

– A on najnowszym bmw. Nie irytowało to pana?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie każdy może być frontmanem. Sama pracowitość i umiejętności nie wystarczają. Trzeba mieć jeszcze energię i pewien rodzaj... – znowu szukał odpowiedniego słowa – niezbędnej bezmyślności. Nie mam tych cech.

Komisarz zastanawiał się, na ile szczerze było to pogodzenie się jego rozmówcy ze swoją rolą. I jeśli udawał, to czy tylko przed nim, czy też przed samym sobą.

– To chyba jednak trochę niesprawiedliwe – zauważył. – I mocno frustrujące. Stać w drugim szeregu i patrzeć, jak komuś przypinają ordery za naszą pracę.

– Tak jak już powiedziałem: nie jestem typem lidera. Potrzebowałem go tak samo, jak on potrzebował mnie.

Aleksanderski nieznacznie przesunął się na krześle.

– A jak w tym wszystkim odnajdywała się Jabłońska?

– Była drugim koniem w zaprzęgu. Ja zajmowałem się sprawami merytorycznymi, ona organizacyjnymi. Ma do tego spory talent.

– A Różański błyszczał?

– I kierował. Żadne z nas by tego nie potrafiło. Nie mamy takiej siły przebicia.

– Niezbędnej bezmyślności?

– Tak. Czasami trzeba nie dostrzegać zagrożeń i nie przyjmować do wiadomości możliwości porażki. Tak jak Kolumb. – Widząc, że jego rozmówca nie do końca rozumie, o co chodzi, dodał: – Gdyby to dobrze przemyślał, nigdy w życiu by nie wypłynął. Na dobrą sprawę to nie miało prawa się udać.

– I Różański był takim Kolumbem?

– Pod tym względem przynajmniej, że nie bał się próbować.

Aleksanderski wciąż bawił się długopisem. Na blacie biurka leżał duży, papierowy kalendarz. Każda ze stron była jednym miesiącem; można było na niej pisać, robiąc notatki na temat poszczególnych dni; gdy miesiąc się zaś skończył, odrywało się ją i wyrzucało. Zaczął rysować na nim różne abstrakcyjne kształty.

– A jak układała się współpraca między Różańskim a Jabłońską?
– spytał.

– Z tego, co wiem, dobrze.

– Jak bardzo dobrze?

– Zauważyłem, że coś między nimi było, jeśli o to pan pyta. Ale nie afiszowali się z tym za bardzo w pracy. Starali się zachowywać normalne, konwencjonalne formy odnoszenia się do siebie.

– To jak pan to zauważył?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie jestem aż takim nerdem. Mam pewne kompetencje społeczne.

Nerd. A więc się nie mylił. To było to słowo.

– A jaki był pana stosunek do Jabłońskiej?

– W jakim sensie?

– To piękna kobieta, pracujecie z sobą od paru lat, siedzicie w jednym pokoju, biurko w biurko...

Komisarz wbił wzrok w mężczyznę, ciekawy jego reakcji. Nie zaobserwował żadnej.

– W stadzie obowiązuje hierarchia – usłyszał odpowiedź. – Samiec alfa ma prawo pierwszeństwa w stosunku do wszystkich samic. Pozostałe samce o tym wiedzą.

– Ale mogą sobie różne rzeczy myśleć. Na przykład, że fajnie byłoby zająć jego miejsce.

Mężczyzna wciąż wpatrywał się w ekran komputera.

– Panie komisarzu – odpowiedział. – Znam już siebie wystarczająco długo, żeby zdawać sobie sprawę, że nawet gdyby mi się to udało, nie bardzo wiedziałbym, co z tym dalej zrobić. Dotyczy to także Jabłońskiej.

– Kiedy widział pan po raz ostatni Różańskiego? – Aleksanderski zmienił temat, czując, że na tym polu już nic więcej nie ugra.

– W wieczór przed jego śmiercią. Byliśmy w Oberży pod Czerwonym Wieprzem.

– Wyszliście razem?

– Nie. Najpierw wyszła Ania. Ja niedługo po niej. Różański jeszcze został.

– Sam?

– Nie, z Pawłem Przybyszem. To jego wspólnik z Krakowa, pracuje w Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Znali się jeszcze z czasu studiów. Ale nie sądzę, żeby miał z tym coś wspólnego. Byli bardzo zaprzyjaźnieni, łączyły ich wspólne interesy. Naprawdę nie miał powodu, żeby go zabić.

– Wspólne interesy bywają dobrym powodem – zauważył Aleksanderski. – A pan? Co pan robił dalej?

– Nic. Pojechałem do domu. Taksówką. Zamówiłem ją przez aplikację. Można sprawdzić. Godzinę odjazdu i przyjazdu na miejsce, trasę, wszystko.

– A dalej?

– Położyłem się spać. Wstałem rano i przyjechałem do pracy. Dopiero wtedy się dowiedziałem.

– Jest ktoś, kto to potwierdzi?

– Co, że spałem? – Mężczyzna uniósł ironicznie brew. – Nie. Mieszkam sam. Ale ja też tego nie zrobiłem, jeśli o to panu chodzi.

– Dlaczego?

– Może tego po mnie nie widać, ale jestem teraz w stanie daleko posuniętej paniki. Ja naprawdę go potrzebowałem. I nie wiem za bardzo, co teraz ze sobą zrobić. To był układ symbiotyczny, nie pasożytniczy. Poza tym Marcin był jedną z niewielu osób, które przynajmniej udawały mojego przyjaciela.

ROZDZIAŁ 22

No dobrze, to tu. Nie musiał sprawdzać adresu; widać było, że dobrze trafił. Masywna, czteropiętrowa neogotycka kamienica w Alejach Ujazdowskich była niewątpliwie bardzo prestiżową lokalizacją jak na galerię sztuki. Blisko wielkomiejskiego Placu Trzech Krzyży, niedaleko urzędu Rady Ministrów i kilku ambasad – zapewne nie każdy mógł wystawiać swoje prace w takim miejscu.

Do wejścia po lewej stronie ustawiała się już niewielka kolejka. Jakiś mężczyzna w garniturze sprawdzał listę zaproszonych gości. On nie miał zaproszenia, bo niby skąd miał mieć. Za wysokie progi pod każdym możliwym względem. Stał po drugiej stronie ulicy i przypatrywał się wchodzącym. Artyści. Widać to było od razu po sposobie noszenia się. Wysoki, chudy mężczyzna z łąsą głową, w szarym płaszczu aż do samej ziemi; kobieta z czerwonymi, postawionymi do góry włosami; niski, siwy facecik z szyją obwiązaną niewiarygodnie kolorowym szalem... Nie pasował do nich jak cholera. Całe szczęście było też kilkoro ludzi ubranych całkiem zwyczajnie, w garnitury i pod krawatem.

On, ten stary on, nigdy by tam nie wszedł. Nawet by nie spróbował. Jeśli nawet wpadłby mu do głowy taki szalony pomysł, nigdy nie zdołałby się przełamać. Stałby tu, gdzie on teraz, a potem wrócił do domu. Ale już nie był tym kimś. Wyjął dłonie z kieszeni i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Zbliżył się do mężczyzny przy wejściu i podał mu swoje nazwisko. Spokojnie czekał, aż tamten przebiegnie wzrokiem wszystkie pozycje.

– Przykro mi, ale nie ma pana na liście – usłyszał wreszcie.
– Dostałem zaproszenie dziś rano – odpowiedział. – Może jestem dopisany gdzieś na końcu?

Mężczyzna przerzucił kilka kartek.

– Pan Bukowski? – spytał niepewnie. Nie było to nazwisko, które podał.

– Tak, to ja.

– Zapraszam.

Wszedł do niewielkiego holu. Stał tam stolik zastawiony kieliszkami z winem. Białym i czerwonym. Wziął kieliszek białego i wypił od razu. Potem sięgnął po drugi. Miał co świętować. Wcześniej nigdy by się nie zdobył na taką akcję.

Z kieliszkiem w ręku ruszył dalej. Galeria miała jeszcze dwie sale: jedną mniejszą, drugą znacznie większą. Na ich ścianach porozwieszano wielkoformatowe zdjęcia przedstawiające modelki w ubraniach projektantki, którą widział w telewizji. Na niektórych z nich była ona sama. Kilka strojów prezentowanych było na manekinach krawieckich porozstawianych w różnych częściach sali.

Z boku, pod ścianą, była niewielka, niska scena. Za ledwie kilka metrów kwadratowych wznoszących się trzydzieści centymetrów ponad poziom podłogi. Siedziało na niej trzech muzyków: gitarzysta, gitarzysta basowy i facet przy konsoli. Grali na żywo dziwną, lejącą się muzykę. Dużo długich dźwięków i żadnej melodii. Było to nawet dość przyjemne. Muzyka sfer – z tym mu się to właśnie kojarzyło. Odgłosy wydawane przez ciała niebieskie krążące z godnością po swoich orbitach.

Samej projektantki jeszcze nie było. Goście spacerowali po galerii, przypatrując się strojom i zdjęciom, albo stali i rozmawiali w niewielkich, dwu- lub trzyosobowych grupkach. On też stanął pod ścianą, lekko opierając się o nią plecami. Stąd widział wszystkich i wszystko, samemu pozostając nieco na uboczu.

Dobrze, że włożył tę skórzaną kurtkę i dżinsy. Jego pierwszy pomysł – stary garnitur na wszystkie okazje – od razu by wszystkim ogłaszał, że jest całkiem nie z tego świata. Nie dlatego, że nie było tu mężczyzn w garniturach, ale dlatego, że wszystkie one były bez wyjątku dobrej jakości i świetnie dopasowane. On w swoim wyglądałby jak nauczyciel idący na zakończenie roku. A skóra to zawsze skóra.

Wszystkie rzeczy, które miał na sobie, kupił wczoraj. Kurtka kosztowała tyle, co jego ubiegłoroczne wczasy w Bułgarii. Dżinsy, buty i koszula drugie tyle. Wydał w ten sposób połowę swoich z trudem uciulanych oszczędności, ale naprawdę nie miał już powodu, by trzymać je na koncie. Jak to się ładnie mówi: do grobu ich przecież nie zabierze. Dobrze, że ostatnio schudł. Gdy oceniał swój wygląd, patrząc w lustro przed wyjściem, pomyślał, że wygląda nawet dość przystojnie. No po prostu jak nie on. Pociągła twarz pozbyła się pucołowatych policzków i początków drugiego podbródka, oczy powiększyły się w stosunku do reszty, a nos wyostrzył. W połączeniu z krótkim zarostem i płonącym, rozgorączkowanym spojrzeniem wyglądało to naprawdę całkiem nieźle. Jeśli tak dalej pójdzie, przed śmiercią będzie już prawdziwym ciachem.

Wreszcie pojawiła się ona. Wyszła z mniejszej sali – widocznie za tą były jeszcze jakieś inne pomieszczenia – przeszła obok niego, lekko muskając mu rękę powiewającym strojem, i stanęła po prawej stronie sceny. Wyglądała zjawiskowo; na dobrą sprawę można było ją wziąć i z marszu wstawić do jakiegoś hollywoodzkiego filmu. Jasnobrązowa cera, duże czarne oczy i wyraziste brwi nad nimi, duże usta, twarz jednocześnie europejska i afrykańska; falująca, lwia grzywa czarnych, kręconych włosów, do tego nienagannie szczupła figura, co widać było nawet pomimo luźnej, sięgającej do ziemi wzorzystej szaty – nigdy dotąd nawet nie otarł się o taką kobietę. Co więcej, nie znał nikogo – nawet wśród tych, którzy zawsze budzili jego zawiść łatwością

nawiązywania i konsumowania tego typu relacji – kto by się do takiej choć zbliżył.

Należała do absolutnej ekstraklasy, elity elit, była najwyższym możliwym do zdobycia szczytem. Do tego nie była wyłącznie piękna, co od razu się uwidaczniało. Jej oczy patrzyły uważnie, pewnie, kontrolowały sytuację. Wszystko wokół stanowiło jej dzieło, nie dostała tego w prezencie; zdobyła to ciężką pracą, talentem i uporem, nie samą urodą. Choć zapewne uroda jej w tym nie przeszkodziła.

Muzyka sfer umilkła, wszyscy zwrócili się w jej kierunku.

– Kochani! – zaczęła jasnym, czystym, mocnym głosem. – Dziękuję wam, że zechcieliście towarzyszyć mi w tej tak ważnej i pięknej dla mnie chwili. Chwili, w której zaprezentuję swoją kolekcję, owoc ponadrocznej pracy, w moim kochanym rodzinnym mieście. Mieście najważniejszym dla mnie ze wszystkich. Wróciłam właśnie z innego miasta, pewnie wiecie jakiego, i przywiozłam stamtąd cudowną nagrodę. Czymże by jednak ona była, gdybym nie mogła pochwalić się nią w swoim rodzinnym domu? Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi ją zdobyć, którzy zawsze we mnie wierzyli. Szczególnie Hani, Jaśkowi, Mirkowi i Steni. – Uśmiechnęła się do kogoś po lewej stronie. – Oni są moją drugą rodziną, równie ważną i prawdziwą, co ta pierwsza. Za chwilę rozpocznie się pokaz, a po nim zapraszam na mały poczęstunek. Wieczór zakończy koncert moich cudownych przyjaciół. – Wskazała dłonią muzyków. – Mam nadzieję, że kiedyś będę mogła się cieszyć z ich sukcesów tak samo, jak oni cieszą się dziś z mojego. Wszystkie stroje, które dziś zobaczycie, można oczywiście kupić. Zainteresowanych zapraszam do swojej pracowni. Bawcie się dobrze!

Po tych słowach rozległy się oklaski, a po nich znowu zabrzmiała muzyka. Afrykańsko-polska piękność ruszyła w kierunku swoich przyjaciół, a na zwolnione przez nią miejsce zaczęły napływać modelki ubrane w stroje jej projektu. Nie bardzo go to interesowało. Stał w miejscu, z którego mógł obserwować ich autorkę, nie będąc

jednoczenie podejrzanym o nadmierne się w nią wgapienie. Korzystał więc z tej możliwości. Rozmawiała ze swoimi znajomymi, uśmiechała się, czasami wręcz śmiała. Wszystko to robiła z naturalną godnością; w jej gestach, uśmiechach, ruchach głowy było coś arystokratycznego. Wyglądała jak księżna, która przyjmuje gości na corocznym balu.

Pokaz zakończył się i wszyscy ruszyli do mniejszej sali, gdzie rozstawione były stoły z przekąskami. Został na swoim miejscu, nie chciał się przepychać przez ten tłum ludzi. W ręku wciąż trzymał pusty już kieliszek. Poczł ból. Rodzący się powoli w jego wnętrzu, ćmiący, pulsujący ból. Ból, który coraz częściej mu ostatnio towarzyszył. Wszyscy umrzecie, pomyślał. Ty, ty i ty. Nawet ona – wyłowił z tłumy wzrokiem afrykańską piękność.

Nie znacie dnia ni godziny.

Ruszył w kierunku stołu z winem. Alkohol poza wszystkimi swoimi cudownymi właściwościami jest też środkiem przeciwbólowym. Wypił duszkiem kieliszek. Strasznie mało tego lali. Zlał wino z trzech stojących obok siebie naczyń do jednego i tak zaopatrzony przeszedł do sali z przekąskami. Półmiski były już prawie puste, więc i tłum wkoło nich się zmniejszył. Przy jednym ze stołów stała ona. Rozmawiała z kimś, zdaje się, że z którymś z muzyków. Od razu widać było, jaka jest między nimi relacja. On był pod jej absolutnym urokiem, ona trzymała go na dystans przyjaźni. Dobry kumpel pięknej dziewczyny, bez nadziei na cokolwiek w przyszłości. Znający swoje miejsce i godzący się z tym.

On nawet tego nigdy nie doświadczył.

Podszedł do nich i stanął między nimi. Tak, że musieli nieco obrócić się w jego stronę.

– Świetny pokaz – powiedział.

Obrzuciła go spojrzeniem.

– Dziękuję. A co konkretnie było w nim takiego świetnego? – spytała.

– Głównie ty – odpowiedział. – Nie znam się na modzie, więc nie wiem, czy twoja kolekcja jest dobra, czy nie, choć podobała mi się, tak jak zapewne wszystkim tutaj. Ale wiem, że osiągniesz sukces, widać to po tobie.

Uniosła lekko brew.

– Czyli na tym się znasz. Na osiągnięciu sukcesu.

– Poniekąd.

Bardzo poniekąd, pomyślał.

– No więc dlaczego twoim zdaniem osiągnę sukces?

– Jesteś piękna, zdolna, wiesz, czego chcesz, masz charyzmę i jesteś uparta. To powinno wystarczyć.

– Tyle komplementów podczas pierwszego spotkania... Bo nie spotkaliśmy się wcześniej, prawda?

– Nie.

– To ja cię zaprosiłam czy Stenia?

– Jestem kuzynem ze strony pana młodego.

Zaśmiała się.

– Nie ma na razie pana młodego i raczej prędko nie będzie.

– Mogę zostawić swoją wizytówkę – powiedział.

Spojrzała na niego, jakby oceniała, czy jest wart jej zainteresowania. To była dla niego wielka nowość. Nigdy żadnej podobnej jej kobiecie nie przyszło nawet do głowy, by brać go poważnie pod uwagę. Kątem oka dostrzegł, jak jej przyjaciel muzyk zapada się w sobie.

Ktoś do nich podszedł i stanął tuż za jego plecami.

– Przyszedł ten dziennikarz – usłyszał kobiecy głos. – Chodź, przedstawię cię.

– Przepraszam. – Jego rozmówczyni uśmiechnęła się do nich obu.

– Będę musiała tam pójść. Mimo wszystko jestem w pracy.

Mijając go, znów musnęła jego rękę swoim ubraniem. Po chwili odwróciła się jeszcze.

– Wpadnij kiedyś do mojej pracowni – powiedziała. – Porozmawiamy dłużej. Jak masz na imię?

- Konrad – odpowiedział. Nowy on, nowe imię.
- Oliwia. – Wyciągnęła w jego stronę swoją dłoń.

ROZDZIAŁ 23

Prokurator Gabriela Seredyńska spojrzała na siedzącego przed nią mężczyznę. Niewątpliwie nie był w swojej życiowej formie. Przetłuszczone włosy domagały się szamponu; poszarzała twarz zdradzała nadmierne zamiłowanie do alkoholu; jej wyraz z kolei – tłącą się niby pożar torfowiska chroniczną depresję. Włączyła dyktafon.

– Pouczam pana o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań z artykułu dwieście trzydziestego trzeciego Kodeksu karnego. Był pan już kiedyś karany z tego powodu?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Musi pan to powiedzieć – napomniała go.

– Nie, nie byłem. Po raz pierwszy w ogóle jestem przesłuchiwany.

– Pana imię i nazwisko?

– Michał Porycki.

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem nauczycielem fizyki.

Seredyńska spojrzała na niego znad ekranu laptopa. Faktycznie wyglądał jak nauczyciel. Smutne oczy, ściągnięta twarz i zakola. Jej nauczyciel angielskiego z liceum wyglądał niemal identycznie.

– Kim jest dla pana Anna Jabłońska? – spytała.

– To moja była żona – odpowiedział. – Wróciła do swojego panińskiego nazwiska.

– Znał pan Marcina Różańskiego?

– Nigdy nie poznałem go osobiście.

– Ale wie pan, kim był i jakie relacje łączyły go z pana żoną?

Porycki ledwo zauważalnie skrzywił usta.

– Tak – odpowiedział.

– Kiedy wzięliście rozwód?

– Dwa lata temu. Trochę więcej niż dwa.

– Trochę więcej?

Zastanowił się.

– Dwa lata i cztery miesiące.

– Czy Różański był bezpośrednią przyczyną tego rozwodu?

Mężczyzna zamilkł na chwilę.

– Nie wiem, czy bezpośrednią, ale jedną z przyczyn chyba był.

– Co to znaczy?

Porycki wzruszył ramionami.

– To znaczy, że tak naprawdę nie wiem.

– Jak to pan nie wie? – zdziwiła się.

– Żona twierdziła, że nic między nimi nie było. To znaczy przed rozwodem oczywiście.

– A pan sądzi, że było?

– A ja sądzę, że coś mogło być. Nie wiem, oczywiście, na jakim to było etapie, czy doszło już wtedy do...

– Zdrady? – weszła mu w słowo.

– Tak, zdrady. Być może nie. Ale coś dziać się między nimi niewątpliwie zaczynało.

– Skąd pan to wie?

– Ze sposobu, w jaki mówiła o nim moja ówczesna żona, z pewnego rodzaju... atencji.

– Atencji?

– Widać było, że jest to mężczyzna, który robi na niej wrażenie. Nie potrafiła tego ukryć.

– To dlaczego pan mówi, że nie jest pewny, czy Różański był przyczyną pana rozwodu?

– Powiedziałem, że nie jestem pewien, czy był bezpośrednią przyczyną.

Uniosła lekko brwi.

– Mógłby pan to wyjaśnić? – spytała.

– Wie pani, nasze małżeństwo nie było specjalnie udane, a wtedy już oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

– Dlaczego nie było do końca udane?

Prokurator Gabriela Seredyńska pomyślała nagle, że trochę zbyt wiele uwagi poświęca problemom małżeńskim tego człowieka, a w zasadzie powinna już przejść do innych pytań. Może jako osoba samotna, która nigdy nie była w dłuższym, satysfakcjonującym związku, odczuwała jakiś rodzaj niezbyt profesjonalnej ciekawości, jak to jest między dwojgiem tak blisko związanych ze sobą ludzi?

Mężczyzna cały czas wbijał wzrok w jeden punkt gdzieś na jej biurku.

– Czuję się bardziej jak u psychoterapeuty niż prokuratora – powiedział. – Naprawdę jest konieczne, żebym o tym mówił?

– Tak, jest konieczne – odpowiedziała.

Wcale nie było.

Mężczyzna chrząknął i poprawił się na krześle.

– No cóż – zaczął. – Przez cały czas trwania naszego związku to mnie zależało bardziej. Bardziej zależało, żebyśmy się spotykali; bardziej zależało, żebyśmy wzięli ślub. Ona się na to wszystko godziła chyba po prostu z braku lepszej opcji. No ale ile można samemu odbijać piłkę od ściany? W końcu mi się znudziło. Znudziło mi się w pojedynkę ciągnąć ten wózek. Ale kiedy odpuściłem, okazało się nagle, że nasze małżeństwo praktycznie nie istnieje, bo to ja byłem jego jedynym spoiwem. I to był właśnie ten okres. Nie chciało mi się już o nią walczyć. Nawet kiedy zrozumiałem, czy też może bardziej wyczułem, że coś tam między nimi się dzieje. Pomyślałem sobie wręcz, że to może nawet lepiej.

– Teraz nie wygląda pan jednak, jakby panu było lepiej.

– Tak? – Uśmiechnął się smutno. – Widzi pani, kiedy człowiek kończy wreszcie taką toksyczną, mocno go uwierającą relację, wyobraża sobie, że zaraz odnajdzie wielką miłość i będzie nareszcie szczęśliwy. A to nie jest takie proste. Zupełnie nie jest. Czasami

myślę sobie nawet w chwili słabości, że wolałbym, aby tamto ciągle trwało. Przynajmniej nie byłbym sam.

Nie skomentowała tego bardzo osobistego wyznania. Miał rację: nie była terapeutką, miała śledztwo na głowie.

– Co pan robił w wieczór, gdy zginął Różański? – wróciła do tematu.

– Jaki to był dzień? – spytał.

– Osiemnasty maja.

– Nie, jaki to był dzień tygodnia?

– Piątek.

Wzruszył ramionami.

– Piłem. Siedziałem w mieszkaniu, oglądałem telewizję i piłem. Zawsze tak spędzam piątkowe wieczory. Sobotnie zresztą też.

– Ma pan na to jakichś świadków?

– Aktorki porno się liczą? – spytał z ironią.

– Nie za bardzo.

– To nie mam.

– A kiedy widział się pan ostatnio z byłą żoną?

Mężczyzna uniósł brwi.

– Nie pamiętam. Dawno. Nie mamy dzieci, majątek został podzielony, nie mamy powodu, żeby się spotykać.

– Gdzie pan mieszka?

– Na Ochocie. Dość daleko od miejsca, gdzie został zamordowany Różański.

– Skąd pan wie, gdzie został zamordowany?

– Pisali o tym w Internecie. „Trup przy Cmentarzu Wawrzyszewskim”. To o to chodzi, prawda? Wiem, że mieszkał niedaleko. Jego adres poznałem kiedyś przypadkiem, jeszcze przed rozwodem.

Nie odpowiedziała.

– Ale jeśli zastanawia się pani, czy to ja go zabiłem, to niestety muszę panią rozczarować. Może kiedyś miałbym na to ochotę, choć wtedy też raczej nie, ale teraz?

– Zemsta musi czasem dojrzeć.

– Mam depresję. Od dawna. Wie pani, jak to działa? Nawet gdybym wpadł na taki pomysł, prawdopodobnie nie udałoby mi się zmobilizować do działania. Mam spory problem z wykonywaniem podstawowych codziennych czynności, a takie morderstwo wymaga jednak chyba sporej energii. Tak więc nie, to nie ja. Nie żałuję go oczywiście, ale też nie czuję jakiejś specjalnej satysfakcji. Jest mi to całkowicie obojętne. Jak zresztą zdecydowana większość pozostałych rzeczy na świecie.

– Leczył się pan kiedyś psychiatrycznie?

– Nie. Nie sprawiałem też problemów wychowawczych.

Ten lekki ton sarkazmu w jego głosie był pierwszym śladem jakichkolwiek emocji w jego wypowiedziach.

– Jak zginął? – spytał.

– Różański?

– Tak.

– Nie mogę udzielać takich informacji.

– Szkoda.

– Czyli jednak nie jest to panu tak całkiem obojętne.

– No cóż. – Uśmiechnął się ledwo zauważalnie. – Muszę przyznać, że odnalazłem w sobie jakiś rodzaj *Schadenfreude* z tego powodu.

– Nie jest ładnie cieszyć się z cudzej śmierci.

– Dlaczego? – Wzruszył ramionami. – Ten cudowny, wspaniały Marcin Różański, którym tak się zachwyciała moja była żona, leży teraz w kostnicy pokrojony po sekcji zwłok jak świnia w masarni, a ja mimo wszystko wciąż żyję. Świat przez moment i zapewne zupełnie przypadkiem stał się odrobinę sprawiedliwszy.

ROZDZIAŁ 24

Ciągle, stale od nowa i od nowa przypominał sobie te dwa zdania: „Wpadnij kiedyś do mojej pracowni. Porozmawiamy dłużej”. Ciągle też, obsesyjnie niemalże, próbował je zinterpretować. Co to znaczyło? Co miała na myśli? Tak naprawdę, między wierszami, bo sens bezpośredni był dość oczywisty. Zaprosiła go, by ją odwiedził w pracy. Ale czy kryło się za tym coś więcej? Jakiś rodzaj... zainteresowania? Czy też mówiła tak często, wielu osobom, bo taki był jej sposób na nawiązywanie przydatnych w pracy kontaktów?

Nie potrafił tego rozstrzygnąć. Obie interpretacje wydawały mu się tak samo prawdopodobne. Obie też wywoływały w nim silne, choć nie do końca jednoznaczne emocje. Prawdziwości pierwszej pragnął i jednocześnie się bał; druga wywoływała w nim na zmianę przygnębienie i ulgę. Można powiedzieć, że ten stary on – niepewny siebie, pełen kompleksów, bojący się kobiet i własnych uczuć – miał się dziś wyjątkowo dobrze.

Ten drugi on, nowy, jednak przyszedł. Stał teraz przed drzwiami do jej pracowni ubrany w swoje najlepsze – i jedyne dobre – ciuchy, spryskany świeżo kupioną wodą toaletową Givenchy Gentleman, z koktajlem adrenaliny i paru jeszcze innych hormonów we krwi; koktajlem, który zdołał nawet stłumić bezustannie ćmiący w nim od jakiegoś czasu ból.

Stanął przed szklanym oknem domofonu i wcisnął przycisk z numerem lokalu. Przez chwilę poczuł panikę, gwałtowną chęć ucieczki, jakby odbiła mu się nieprzyjemnie jego stara, dawno już strawiona osobowość. Zwalczył to w sobie bez większego trudu.

Pewien niepokój jednak pozostał. Co to znaczy: „Wpadnij do mnie”? Czy miał wcześniej zadzwonić, umówić się i przyjść, czy też po prostu pojawić się kiedyś pod jej drzwiami jak gdyby nigdy nic? Wybrał to drugie i teraz zastanawiał się, czy ona w ogóle jest w środku, a jeśli jest, czy go przyjmie, a jeśli go przyjmie, czy nie będzie skrepowana i pełna rezerwy, bo zjawił się nie w porę.

Szklane oko najwyraźniej go dostrzegło i rozpoznało, bo zamek w drzwiach zabrzączał, obwieszczając, że może wejść. Pchnął je i wszedł do środka. Klatka schodowa – szkło, metal i marmur – doprowadziła go do windy. Wjechał na drugie piętro.

Zobaczył ją, gdy tylko rozsunęły się drzwi.

– Cześć, jak miło, że przyszedłeś! Wejdz! – Uśmiechnęła się do niego. Nie wyglądała na niezadowoloną.

Ubrała się w jasne, dopasowane dzinsy i luźną czarną bluzkę. Jej nienaganna, szczupła figura, którą poprzednia, lejąca się szata tylko sugerowała, była dzięki temu widoczna aż nazbyt dobrze. Poczul, że zasycha mu w ustach.

– Chodź! – Odwróciła się i gestem pokazała mu, by szedł za nią.

W tylnej kieszeni jej spodni tkwił telefon komórkowy, jeszcze podkreślając jej kształty.

Poszli pustym, bezbarwnym korytarzem w kierunku podwójnych drzwi z matowego szkła. Nie było na nich żadnego napisu. Otworzyła je i weszli do środka.

Rozciągała się przed nimi duża, otwarta przestrzeń – jedno pomieszczenie, którego poszczególne części pełniły różne funkcje. Z lewej strony stały kanapa, dwa fotele i niski stolik; z prawej duży, drewniany stół zawalony wykrojami i maszyna do szycia; w głębi biurko z komputerem. Obok niego dwa długie wieszaki, na których wisiały ubrania. Duże, niezasłonięte niczym okna sprawiały, że było bardzo jasno.

– Napijesz się czegoś? – spytała, podchodząc do szafki za kanapą. Stały na niej ekspres do kawy, czajnik i kilka butelek z alkoholem.
– Kawy, herbaty, wina, whisky?

- Jaką masz?
- Whisky? Starego dobrego Jacka.
- To chętnie. Bez niczego.

Nalała bursztynowego płynu do kwadratowego tumblera i podała mu go z wdziękiem.

- Ty nie pijesz? – spytał.
- Ja jestem w pracy – odparła z uśmiechem.

Upił trochę i rozejrzał się dookoła.

- Piękna pracownia – powiedział. – Duża i w świetnym miejscu.
- I właśnie z obu tych powodów będę ją musiała niedługo opuścić. Już ją wynajęli na jakieś biuro. Do końca miesiąca mam się stąd wynieść.

- Szkoda.
- Szkoda.

Popatrzył na nią. Stała tam, nie więcej niż trzy metry od niego. Tak piękna, że aż nieprawdziwa. Pomyślał, że czuje się, jakby odwiedził swój własny sen. Sen, który w poprzednim życiu bał się nawet śnić.

- Często tu zapraszasz mężczyzn, których dopiero co poznałaś? – spytał.

Uśmiechnęła się.

- Czasami. Ale rzadko korzystają z mojego zaproszenia.
- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chyba się mnie boją.
- Czego? – Udał zdziwienie. Doskonale wiedział czego.
- Tego, że jestem ładna, młoda, zdolna, wiem, czego chcę... i chyba też tego, że jestem w połowie Afrykanką. Może myślą, że znam voodoo albo odgryzę im głowy jak modliszka?

- A znasz voodoo?

Zaśmiała się.

- Voodoo pochodzi z Haiti, w Afryce nie występuje. Są tam podobne wierzenia, ale ich też nie znam. Urodziłam się

i wychowałam w Polsce. Nie umiem zmieniać ludzi w zombie.

Mnie byś nie musiała, pomyślał. Już nim jestem. Odwrócił się i podszedł do wieszaków z ubraniami.

– To twoje? – spytał.

– Tak – odpowiedziała i dołączyła do niego. – Pracuję nad nową kolekcją. Chcesz przymierzyć któreś? To powinno być na ciebie dobre.

Zdjęła z wieszaka marynarkę w duże, kolorowe trójkąty. Ściągnął swoją skórzaną kurtkę i rzucił ją niedbale na wieszak, potem pozwolił jej się ubrać.

– Ładnie ci – powiedziała. – Ludzie w Polsce boją się chodzić w kolorowych ubraniach, a już zwłaszcza mężczyźni.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Tak zwyczajnie, po prostu. Nie namyślając się ani nie zastanawiając, co ona na to. Tak jak się to powinno robić i jak nigdy dotąd robić tego nie potrafił. Skoro to sen, może przecież robić w nim wszystko, co chce. Nie odwzajemniła pocałunku, ale też nie odepchnęła go ani nie zeszywniała.

– Szybko – powiedziała.

– Mam bardzo mało czasu – odparł.

– Słuchaj – odepchnęła go delikatnie – podobasz mi się, ale też z drugiej strony... bez przesady.

– Co też takiego ci się we mnie podoba?

Naprawdę był tego ciekaw. Co takiego w nim się zmieniło, że kobiety zaczęły zwracać na niego uwagę?

– Masz coś w spojrzeniu. Patrzysz inaczej niż reszta ludzi.

Otchłań, pomyślał, to mam w spojrzeniu. Albo zwyczajny dół w ziemi.

– Ale na drugi raz uważaj. – Uśmiechnęła się. – Ćwiczyłam krav magę.

Dobrze wiedzieć, pomyślał.

– A co to takiego? – Puścił ją wreszcie i podszedł do ściany za biurkiem. Wisiała na niej duża, drewniana maska. Pomalowana

w wyblakłe kolory, z grubo rzeźbionymi, nieco karykaturalnymi rysami twarzy, z wiechciami zwierzęcych – najwyraźniej – włosów zwisającymi u dołu i u góry.

– Maską – odpowiedziała. – Przywiozłam ją z Afryki. Prawdziwa, nie taka, jakie sprzedaje się turystom. Brała udział w prawdziwych obrzędach.

– Jakich? – zaciekał się.

– Myśliwskich. Szaman, czarownik, choć żadne z tych określeń nie jest tak naprawdę właściwe, tańczył w niej naokoło fetysza, żeby skłonić dusze zwierząt, by pozwoliły się upolować.

– Fetysza? W sensie czerwonych szpilek?

Zażartował. W obecności kobiety, która mu się podobała. Stres nie odjął mu mowy i zdolności jasnego myślenia. Jakże to miłe.

Zaśmiała się lekko.

– Fetysz nie musi być od razu związany z seksem. To raczej wtórne znaczenie tego słowa. W religiach afrykańskich to przedmiot obdarzony niezwykłą magiczną mocą. Często jest to związane z jakimś bóstwem, choć nie musi być. Obcując z nim, można połączyć się ze światem nadprzyrodzonym, ale też naładować się jego mocą.

– Bardzo przydatna rzecz – zauważył. – Czyli to jest fetysz, tak? – spytał, wskazując na maskę. Coś mu ona przypominała, tylko nie wiedział co.

– Nie, to jest maska. Fetysz to co innego. To może być kamień albo pień drzewa, albo posąg. Albo nawet coś w rodzaju ołtarza złożonego z wielu elementów. Jednym z nich mogą być nawet czerwone szpilki. Maskę się nosi, fetysz się czci. I trzeba go karmić.

– Karmić? – Uniósł brwi. – Czym?

Był tym coraz bardziej zafascynowany. I nie chodziło tylko o zwykłą ciekawość. Miał wrażenie, że dowiadyje się właśnie czegoś niezwykle ważnego. Czegoś, co było do tego bardzo mocno z nim związane.

– Alkoholem, jedzeniem, krwią zwierząt, śpiewami, paleniem
ziół... Zwłaszcza gin jest dość popularną przekąską.

– Stawia się to przed nim?

– Jedzenie tak, alkoholem i krwią raczej się go polewa.

Jego zainteresowanie jeszcze wzrosło.

– Widziałaś kiedyś coś takiego?

– Tak, ciotka mnie kiedyś zabrała do takiego miejsca. Martwiła
się, że ciągle nie mam męża, i chciała to w ten sposób załatwić.

– I jak to wygląda?

– Nie było łatwo tam trafić. Bo to nie jest tak, że tam wszyscy się
tym zajmują i takie miejsca są na każdym rogu. Afryka bardzo się
zmieniła, jest coraz bardziej nowoczesna.

– To miejsce, w którym trzyma się fetysz, to taki rodzaj świątyni?

– Nie, zwykły dom. Dwie izby, ściany z betonu, dach z blachy
falistej. W jednym pomieszczeniu mieszka fetysz, a w drugim jego
opiekun.

– Opiekun?

– To praca na pełen etat. – Roześmiała się. – Zajmujesz się
fetyszem, karmisz go, a utrzymujesz się z tego, co ludzie ci
przyniosą.

– To prawie tak jak u nas.

– W kościele? Trochę tak. Wszystkie wierzenia opierają się na
podobnych zasadach. U nas jest to po prostu nieco bardziej
wysublimowane.

Nieco zboczyła z interesującego go tematu, nie zamierzała jej na to
pozwolić.

– I jak taki fetysz wygląda? – spytał.

– W izbie, gdzie stał, było dość ciemno. Nie było okien, a paliły się
tylko dwie świece. Plus dym z jakichś kadzideł. Ale z tego, co
zdołałam zobaczyć, był to rodzaj konstrukcji z różnych przedmiotów
owiniętych zwierzęcą skórą. Całość przypominała coś w rodzaju
posągu. I niezbyt ładnie tam pachniało. Krew, resztki jedzenia –

odpowiedziała na jego niezadane pytanie. – Do tego opiekun nie był zbyt schludnym człowiekiem.

– Czym go nakarmiliście?

– Opiekuna? Kurczakiem. Poderżnął mu gardło na moich oczach. Fetysz zadowolił się samą krwią. Od tego czasu jestem wegetarianką.

ROZDZIAŁ 25

Leżał na kanapie zwinięty w kłębek. Wsłuchiwał się w swój ból, próbując go na zmianę oswoić i zignorować. Przypominało to jakąś pieprzoną medytację. Bo o to w niej przecież chodzi, prawda? O maksymalne skoncentrowanie myśli na jednej jedynej rzeczy. No więc on był skoncentrowany. Tak bardzo, jak tylko się da. Na nim. Na tym czymś, co wyzerało go od środka. Inaczej się nie dało, naprawdę.

Pocił się, zaciskał pięści, na zmianę prostował i podkurczał nogi. I bał się. Bał się śmierci. Swojej, nie jakiejś abstrakcyjnej; nie tej, którą fascynował się, będąc nastolatkiem, albo którą wyobrażał sobie później w suicydalnych fantazjach. Bał się tej prawdziwej, wulgarnej, bolącej, otwierającej zwieracze, degradującej ciało i sprowadzającej umysł do poziomu przerażonego zwierzęcia – osobistej śmierci. Nie da się tak naprawdę bać śmierci, dopóki nie doświadczy się takiej właśnie, namacalnej jej bliskości.

To, całe szczęście, przechodziło. Ten ból. Przyplątywał jak fala, zalewał wszystko, zagarniał, a potem jak fala odpływał. Przynajmniej na razie. Wiedział, że kiedyś nadejdzie taki dzień, że powódź się nie cofnie, wody nie opadną. Ale to jeszcze nie teraz, teraz wystarczyło przeczekać, doczekać do momentu, gdy da się zwlec z kanapy, zapalić święte zioło i wrócić do świata żywych.

I ten moment właśnie teraz nadszedł.

Rozluźnił palce, wyprostował nogi, wpół otworzył oczy, odetchnął głębiej. Jeszcze chwila i da radę usiąść. Wszystkie akcesoria do waporyzacji leżały tuż obok, na stoliku, wystarczy po nie sięgnąć.

W końcu zrobił to. Opuścił nogi na podłogę, uniósł korpus do pozycji pionowej i wyciągnął rękę. Potem kilka wyuczonych czynności i jego płuca wypełnił dym nie dym.

Strach jednak pozostał. Było to dziwne, bo także i on zazwyczaj przechodził. Teraz zmienił się tylko, stał się mniej... a może bardziej... Jakby zszedł z pierwszego szeregu i schował się w drugiej linii. Ale ciągle tam był, ciągle przytłaczał, dominował, jak słoń, który nie jest w stanie ukryć się za drzewem.

Wyjął z kieszeni telefon. Zrobił wczoraj zdjęcie tej dziwnej afrykańskiej maski. Przypatrywał mu się teraz. Grube, szeroko wycięte usta, wybałuszone oczy, bruzdy na czole i policzkach układające się w wyraz... gniewu? Napięcia? Niepokoju? Już wiedział, co mu ona przypomina. Przypominała mu tego frajera, którego spotkał nocą na parkingu pod blokami. A raczej to, jak wyrzeźbił jego twarz na samym końcu – efekt jego pośmiertnej operacji plastycznej. Podobieństwo aż rzucało się w oczy.

Czy to znak? Coś do niego przemówiło, przemawia? W ten sposób? Prefiguracja – skądś przypomniał sobie ten termin. Sytuacja, w której jakieś wydarzenie lub osoba z przeszłości przygotowuje nas na przyjście tego, co ma się wydarzyć w przyszłości. Chodziło, zdaje się, o teologię chrześcijańską, a u niego w grę by wchodziła raczej demonologia, ale przecież „wszystkie wierzenia opierają się na podobnych zasadach”, czyż nie tak?

Czy więc o to chodziło? Coś pukało w ten sposób do jego głowy? Czy też było znacznie prostsze wyjaśnienie, że najzwyczajniej w świecie gdzieś kiedyś podobną maskę widział, jej obraz utkwiał w głębinach jego podświadomości i właśnie wtedy wypłynął, przybierając postać jego mięsnego rękodzieła?

Stawiałby bardziej na to drugie wyjaśnienie, lecz przekonywało go bardziej to pierwsze. Czy nie na tym polegają wszystkie religie? Wierzymy w coś, mimo że wiemy, że to nieprawda. Wierzymy, bo ta wiara podoba nam się znacznie bardziej niż niewiara. Podoba nam

się nadzieja, którą daje, poczucie sensu i wagi naszego życia, podoba nam się to sto razy mocniej niż goła niczym pręt zbrojeniowy wystający ze zburzonego domu prawda.

Przypatrywał się więc temu zdjęciu i coraz bardziej puszczał się rozumu. Lina racjonalnego myślenia powoli wyślizgiwała mu się z palców. A może to już te słynne zmiany w mózgu? Problem z nimi, powiedział mu to tamten lekarz, ten, od którego jechał, gdy pomylił wtedy drogę, polega na tym, że chociaż wiemy, iż kiedy nadejdą, nasze myślenie i postrzeganie świata zmieni się w sposób chorobliwy, to gdy w końcu nadchodzą, mimo tej wiedzy nie jesteśmy w stanie podejść do tego z dystansem. Wierzymy w smoka, mimo iż wiedzieliśmy, że kiedy się pojawi, będzie skutkiem choroby.

A może właśnie na tym to wszystko polega? – pomyślał. Żyjemy w świecie pełnym iluzji i mimo że gdzieś w głębi duszy zdajemy sobie sprawę, że są nieprawdziwe, mimo iż podejrzewamy to, przeczuwamy, nie przeszkadza nam to w nie wierzyć. I nie chodzi tu tylko o religie, chodzi o wszystko. Bo czy na przykład miłość, ta opiewana w książkach i filmach prawdziwa miłość, tak naprawdę istnieje? A przecież w nią wierzymy. A skoro w nią wierzymy, to jednak istnieje. A wszystkie sensory, które nadajemy swojemu bezsensownemu życiu – z nimi jest podobnie. Cały świat, całe nasze życie opiera się na tej jednej uniwersalnej zasadzie: jednoczesnej prawdziwości i nieprawdziwości. O chorobie mówimy tylko, gdy ktoś nie dzieli swoich iluzji z innymi.

Spojrzał na puste miejsce, na którym niegdyś stał jego ołtarzyk. Jego fetysz. Tym właśnie chyba był, zanim go rozmontował, a poszczególne części schował do szuflady. Tym albo czymś bardzo podobnym. Stworzył samoistnie coś, co gdzieś tam, tysiące kilometrów stąd, miało swój pierwowzór i długą tradycję. Wszystkie religie opierają się na podobnych zasadach.

Wciągnął w płuca kolejną porcję dymu. Potrzebował go. Potrzebował jeszcze trochę otumanić swój umysł, by zdjąć z niego

ostatnie blokady. By ten pomysł, który od wczoraj, odkąd wrócił z wizyty w tamtej pracowni, kielkował mu w głowie, dostał swoją szansę. By nie stłumiły go wątpliwości, sceptycyzm, ironia i poczucie obciachu.

Zrobi to. Zrobi to tylko na próbę. Żeby zobaczyć, jak to jest. Jak to wygląda. Potraktuje to jako eksperyment. Zaciągnął się po raz kolejny. Czas zaczął tracić powoli swój linearny, jednostajny charakter. Jeszcze chwila i będzie gotów.

Nawet nie zauważył, kiedy wstał. Obudził się, wrócił do poczucia rzeczywistości, gdy zwijał już dywan. Następna stop-klatka: czarny, kwadratowy, niewielki stolik z Ikei, na którym stał wcześniej uschnięty dawno kwiatek, wyciągany na środek pokoju. Znowu przerwa w świadomości, trudno powiedzieć, jak długa. Pomyślał wtedy, że przydałaby się jakaś muzyka. Coś monotonnego, transowego – bębny albo indiańskie śpiewy. Musi coś takiego kiedyś kupić.

Gdy się obudził następnym razem, muzyka już grała. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie dzieje się to tylko w jego głowie. Ale nie, dźwięki dobiegały z głośników. Jego stary sprzęt, który kupił jeszcze jako nastolatek, świecił diodami w rogu pokoju. Kręciła się w nim kasetka magnetofonowa.

Wsluchał się w melodię: muzyka klasyczna – Wagner. Jakiś motyw, ale nie *Galop Walkirii*. Tam, tam, tam, ta, ta, ta, ta, ta, ta, ra, ra, ra... Znowu przerwa. Chyba długa, bo gdy znowu zorientował się, co się dzieje, na stoliku z Ikei piętrzył się już stos różnych przedmiotów: książek, starych płyt, zdjęć, zabawek z dzieciństwa, najprzeróżniejszych pamiątek i ubrań – wszystkich tych rzeczy, które powyciągał z szuflad, szaf i zakamarków swojego domu i miały dla niego jakąkolwiek emocjonalną wartość. Wyglądało to jak przegląd albo jak śmietnik jego marnej egzystencji. Jakby wyciągnął na środek pokoju wszystkie swoje wspomnienia, wszystko, co kiedykolwiek miało dla niego znaczenie.

Remanent życia zrobiony tuż przed śmiercią, stos pogrzebowy wykonany z jego resztek.

Znowu zawieszenie, tym razem jednak nie tak chyba długie. Kiedy zobaczył się następnym razem, próbował z tego stosu stworzyć jakąś konstrukcję, uformować go na kształt wieży albo posągu. Udało mu się to najwyraźniej, bo przy następnym przebłyску owijał już to coś kawałkiem tkaniny, którą zabrał z pracowni projektantki. Wzorzystej, kolorowej tkaniny w geometryczne wzory, nieregularnej i postrzępionej, stanowiącej zapewne coś w rodzaju odpadu poprodukcyjnego, wyciągnął ją bowiem z dużego kosza z drucianej siatki stojącego w rogu pracowni.

Zostały już tylko ostatnie poprawki, ostatnie ciosy dłutem. Wyjął z szuflady swoje trofea – zegarek i nóż sprężynowy – i położył je na szczycie tego stosu. Potem wziął do ręki waporyzator, wciągnął do płuc dym i wydmuchał go wprost na swoją konstrukcję. To jeszcze nie było to. Podeszedł do barku, otworzył go.

Nie miał ginu, ale była tam resztką tequili. Też powinna się nadać. Pociągnął spory łyk, a drugi, mniejszy, wypluł na swój fetysz, rozpylając go ustami w formie mgiełki.

Cofnął się o dwa kroki, by lepiej przyjrzeć się swojemu dziełu. Co jeszcze powinien zrobić? Zatańczyć naokoło niego? Zacząć walić w bęben? Upuścić sobie trochę krwi i polać nim ją? Nagle poczuł, że to nie ma sensu. Że jest głupie. Idiotyczne. Że zachowuje się jak krety. Miał ochotę rozwalić to wszystko, przewrócić, i zrezygnował tylko dlatego, że poczuł się strasznie, potwornie zmęczony. Zmęczony i zniechęcony. Zaczął zapadać się w sobie, implodować psychicznie. O mało się nie przewrócił. Z ledwością dowlóknął się do kanapy. Położył się na niej i zwinął w kłębek. Nic nie ma sensu, pomyślał. Powinien się zabić. Poderżnąć sobie gardło nad stosem tych wszystkich rzeczy, niepotrzebnych nikomu tak jak on.

I gdyby miał odrobinę więcej siły, zrobiłby to.

ROZDZIAŁ 26

Komisarz Piotr Aleksanderski wyszedł z gabinetu lekarskiego. W rękę trzymał wydruk EKG i plik recept. Usiadł ciężko na krześle w korytarzu. Z jego sercem było coraz gorzej. Próba obciążeniowa, którą odbył dziś rano, wypadła nie najlepiej. W takiej formie nie zaliczy następnego testu sprawnościowego. Zasugerują mu wcześniejsze przejście na emeryturę.

I to będzie koniec. Absolutny koniec wszystkiego. Nie będzie miał już żadnego powodu, by dalej żyć, by się starać, by robić cokolwiek. Nie będzie miał celu i motywacji. Jeśli odbiorą mu jego pracę, stanie się nikim. Zamknie się w swoim mieszkaniu ze spuszczoneymi roletami, będzie wychodził z niego tylko po to, by dokupywać kolejne butelki wódki, aż w końcu któregoś dnia strażacy wyważą jego drzwi, zawiadomieni przez sąsiadów zaniepokojonych trupim odorem unoszącym się na klatce, i odnajdą jego zwłoki w stanie daleko posuniętego rozkładu.

Ciekawe, czy trafi na stół do doktora Kornackiego? I co jego stary przyjaciel wtedy pomyśli? Że to stosowna śmierć dla starego gliny, który tak długo patrzył w otchłań, aż w końcu otchłań spojrzała na niego? A może nic nie pomyśli i nic nie poczuje, nauczony wieloletnim doświadczeniem, że to, co przed nim teraz leży, to nie jest człowiek, tylko kawał rozkładającego się mięsa, robota do wykonania, nic więcej.

Przez chwilę miał ochotę zmiąć te wszystkie recepty trzymane w rękę, cisnąć je do kosza i odejść filmowym krokiem w stronę zachodzącego słońca, ale nie zrobił tego. Jeśli bowiem chodzi

o robotę, on też miał swoją do wykonania. Jak tak dalej pójdzie ostatnią. Nie może dopuścić, by szlag go trafił przed jej ukończeniem. I jeśli ma być to jego ostatnia bitwa, to, do cholery, chciałby ją wygrać. Może choć w ten kłamliwy i pokrętny sposób usprawiedliwi jakoś swoje życie.

Zwinął papiery w rulon i wcisnął je do bocznej kieszeni marynarki. Jego palce trafiły tam na inny papier. Wyciągnął go i uniósł przed oczy. Wytarta, przybrudzona, wyświechtana i pomięta, złożona na czworo kartka. Rozprostował ją. Wiersz. Ten cholerny wiersz, który znalazł przy murze cmentarza. *Odrobina nicości*. Przeczytał go po raz setny.

Znowu miał uczucie, tym razem jeszcze bardziej dojmujące, że ten wiersz jest o nim. *Odrobina nicości*. Choć w jego przypadku raczej cała fura, czekająca tylko za progiem, by zalać go aż po czubek głowy. W wierszu ta nicość była raczej pozytywnym doświadczeniem. Pozwalała bardziej cieszyć się życiem, doceniać jego smak. On tak nie czuł, nie miał takiego wrażenia. Dla niego była ona raczej trucizną niż przyprawą. A więc jednak nie o nim. Ale było mu to w jakiś sposób bliskie.

Wyjął telefon i wybrał numer prokurator Seredyńskiej. Odebrała po szóstym sygnale.

– Cześć – usłyszał jej głos. – Coś nowego?

Tak naprawdę zadzwonił do niej, by choć trochę podnieść się na duchu. Żeby sprawić sobie nieco przyjemności w tym nie za ciekawym dniu. Kontakt z nią, ich wspólna praca nad tą sprawą, był ostatnio jedyną rzeczą, która go w miarę cieszyła.

– I tak, i nie – odpowiedział.

– Nie lubię rebusów – odparła. – Jak coś masz, to dawaj.

– Chodzi mi o ten wiersz. Uważam, że niesłusznie go sobie odpuściliśmy.

– Nie odpuściliśmy go. Nigdy nie powiedziałam, że powinniśmy to zrobić. Sądzę tylko, że musimy w pierwszej kolejności zająć się bardziej perspektywicznymi tropami.

– No więc wszystkie te perspektywiczne tropy głównie nam dały. Mnóstwo informacji, szum ogromny, lecz żadnych konkretów. Mam wrażenie, że wszyscy ci, których przesłuchiwaliśmy, mogliby go zabić, każdy miałby lepszy lub gorszy powód, lecz nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby wskazywać na konkretnego człowieka. Pozwól mi się zająć tym wierszem, może od tej strony to ugryziemy.

– Co chcesz zrobić?

– Pójdę na Uniwersytet Warszawski. Pokażę go jakiemuś fachowcowi od literatury. Jakiemuś wierszo-kurwa-logowi. Może on mi coś powie.

– Chcesz zrobić analizę wiersza? Określić rolę podmiotu lirycznego i jego stosunek do świata przedstawionego? – Usłyszał w jej głosie ironię, lecz nie było to złośliwe.

– Analiza lingwistyczna jest jedną z metod w kryminalistyce. Została zastosowana na przykład w śledztwie w sprawie Unabombera – odparł. – Wiesz, jak to jest: gdy ja lub ty widzimy znaczek, możemy co najwyżej określić, z jakiego kraju pochodzi, jaką ma cenę i co przedstawia. Ale gdy zobaczy go filatelista, jest w stanie powiedzieć o nim z miejsca sto tysięcy innych rzeczy.

– Tylko co nam to da, jeśli jakiś adiunkt na polonistyce powie nam, jakiego metrum użyto w tym wierszu?

– Nie wiem, może jednak coś. A może pozna autora? Tacy goście potrafią mieć w głowie większe bazy danych niż niejeden komputer.

– W dalszym ciągu uważam, że to ślepy trop.

– Dlaczego?

– Bo sądzę, że cała ta szopka z upozowaniem zwłok i podrzuceniem tego wiersza to tylko próba odwrócenia naszej uwagi od zabójcy.

– Czemu jesteś tego aż taka pewna?

– Dokładnie z tego samego powodu, o którym mówiłaś. Zbyt wiele osób miało coś do Różańskiego. Zbyt wielu ludziom zalażał za skórę. Tacy ludzie nie giną przypadkiem. To nieprawdopodobne. Musimy

szukać wśród osób z jego najbliższego otoczenia; w końcu coś znajdziemy.

– Na razie niczego nie znaleźliśmy.

– Słuchaj, ktoś zostawił tam ten głupi wiersz dokładnie po to, żebyśmy się nim zajmowali, zamiast go szukać. Takie jest moje zdanie.

– Być może masz rację, ale nie możemy całkiem tego ignorować. Co, jeśli się mylisz? Nie możemy zafiksować się na jednej wersji śledczej, choćby była nie wiem jak bardzo prawdopodobna. Moja propozycja jest taka: na razie i tak nie mam nic do roboty. Wszystkie przesłuchania odbębniłem, ludzie od nas badają księgi firmy Różańskiego, ale to jeszcze trochę potrwa. Pójdę tam jutro. Jak na coś trafię, to dobrze, a jak nie, to trudno. Co ty na to?

Zastanowiła się.

– Dobrze. Ale żebyś ty z kolei nie zafiksował się na tym. Pamiętaj, że tamta wersja ma priorytet.

– Pamiętam.

– I daj mi znać, co ustaliłeś.

– Tak jest, szefowo.

Rozłączyła się.

Jeszcze przez jakiś czas patrzył w wyświetlacz. Coraz bardziej zależało mu na zdaniu, opinii i uwadze tej kobiety. Takiej siksy w sumie. Dlaczego? Nie mogłaby być ani jego żoną, ani kochanką, ani córką, a mimo to czuł w stosunku do niej jakiś rodzaj chropawej i lekko wstydlivej czułości. Chciał jej coś dać, coś istotnego. Coś, co by jej pomogło i sprawiło, że jej życie stanie się lepsze. Gdyby pomógł jej rozwiązać tę sprawę, to mogłoby być coś takiego. Jej kariera po takim sukcesie nabrałaby rozpędu. A on mógłby wtedy spokojnie wpełznąć do tej dziury, w której wreszcie zdechnie. Ostatnia bitwa i ostatni prezent. Głupie, naiwne, sentymentalne marzenie. Godne starego, dziecienniałego dziada, którym chyba już naprawdę był. Ale motywacja niezła. Potrzebował jej.

ROZDZIAŁ 27

Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego mieścił się w starym, dziewiętnastowiecznym kampusie uniwersyteckim. Położony był na samym jego końcu, tuż nad wiślaną skarpą. Komisarz Aleksanderski przyjechał tam metrem. Wsiadł na stacji Uniwersytet i wszedł przez główną, bogato zdobioną bramę na teren kampusu. Pogoda była piękna; wreszcie zrobiło się ciepło. Kwitnął bez, studentki zdjęły kurtki, ukazując ramiona i mniejsze lub większe dekolty. Na ławkach siedziały pary; niektóre zaczytane, inne przygotowujące grunt pod przyszłe śluby, dzieci i rozwody.

W takie dni jak ten i w takich miejscach jak to życie i świat wydają się naprawdę dobrze pomyślane. Kto wie zresztą, może faktycznie są? To, że jednemu czy drugiemu frajerowi się nie układa, nie znaczy jeszcze przecież, że wszystko jest do dupy. Tak myślał komisarz Aleksanderski, idąc alejką w kierunku dawnej uniwersyteckiej biblioteki, mijając kwitnące drzewa i klomby oraz zakochane w rozczulająco nieporadny jeszcze sposób pary.

Doszedł wreszcie do gmachu polonistyki. Klasycystyczny, ładny budynek, jak wszystko dzisiaj, sprawiał przyjemne wrażenie. Wszedł przez główne wejście, potem po wdrapaniu się na kilka stopni wkroczył do holu z klatką schodową. Gabinet pracownika naukowego, z którym się umówił, był na pierwszym piętrze, po lewej stronie, na końcu korytarza.

Dotarł tam po chwili. Znalazł drzwi z odpowiednią tabliczką i zapukał. Nie czekając na zaproszenie, wszedł.

Cały pokój, jak należało się tego spodziewać, zawałony był najprzeróżniejszymi drukami. Stare, drewniane regały wypełnione były nimi aż po sufit. Książkami, rocznikami, segregatorami, stosami luźnych kartek – wszystkim, co tylko da się zrobić z celulozy. Na środku, przodem do drzwi, stało biurko. Przed nim i pod prawą ścianą krzesła. Z tyłu było dzielone na sześć szybek okno, pod nim stary grzejnik z żeliwnymi żebrami. Za biurkiem siedział mężczyzna, który na jego widok wstał.

– Komisarz Aleksanderski – przedstawił mu się policjant. – Byliśmy umówieni.

– Oczywiście, zapraszam, czekałem na pana – odparł mężczyzna i podał mu rękę na przywitanie. – Leszek Królikiewicz, miło mi. Proszę spocząć. – Wskazał mu dłonią krzesło przed biurkiem.

Komisarz usiadł. Z miejsca poczuł się dziwnie. Ewidentnie było to miejsce, na którym siadali egzaminowani przez pana doktora habilitowanego studenci. Pożałował, że nie zaprosił go do siebie do komendy. Tam to on byłby egzaminatorem.

– Przychodzę w sprawie tego wiersza – zaczął, choć oczywiście obaj o tym wiedzieli.

– Tak. – Królikiewicz sięgnął po jedną z leżących na jego biurku kartek. Miał gęstą, czarną, prawie całkowicie zakrywającą usta brodę i był niemal kompletnie łysy. Jego małe, ciemne oczka patrzyły uważnie, żeby nie powiedzieć świdrująco. Co jakiś czas marszczył śmiesznie nos.

– Jakich konkretnie informacji pan oczekuje? – spytał, gdy już skończył czytać.

– Przede wszystkim: czy nie rozpoznał pan może autora?

– Nie. Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z tym wierszem. Pokazałem go też swoim kolegom i koleżankom. Odpowiedź była podobna.

– No to może, czy ja wiem, rozpoznał pan charakterystyczne cechy stylu...

– Panie komisarzu! – Królikiewicz spojrział na niego swoimi świdrującymi oczami. – Rozmawia pan z kierownikiem Zakładu Literatury XX i XXI wieku, który do tego całe swoje zawodowe życie poświęcił badaniu polskiej poezji. Jeśli więc mówię panu, że nie zetknąłem się wcześniej z tym wierszem, to znaczy, że nie napisał go żaden ze znanych, mniej znanych lub prawie w ogóle nieznanymi polskich poetów współczesnych. Być może wyszedł on spod pióra kogoś kompletnie nieznanego, kogoś, kto do tej pory nie publikował albo publikował gdzieś w jakimś mało znanym, lokalnym periodyku, tego nie wiem. Nawet my nie jesteśmy w stanie śledzić całej ogromnej produkcji literackiej... A nie próbował pan, przepraszam za tę niezbyt naukową propozycję, wrzucić to po prostu w Google?

– Próbowałem. Nasi informatycy to zrobili. Żadnych wyników.

– Żadnych?

– Twierdzą, że nigdy nie był publikowany na żadnej stronie w sieci.

– Dziwne... – Akademiak pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Wie pan, to nie jest zły wiersz. Nie napisał go żaden grafoman. Autor panuje nad materiały poetycką, zachowuje metrum; rymuje, ale nie są to rymy częstochowskie; jest w tym pewna elegancja, świadomość formy. Ktoś, kto to napisał, nie pisze wierszy od wczoraj. Dziwne, że ktoś taki nie miał potrzeby podzielenia się swoją twórczością ze światem. W Polsce jest ciągle kilka liczących się czasopism literackich, każde z nich moim zdaniem bez problemu wydrukowałoby ten wiersz. Już nie mówiąc o stronach w Internecie zajmujących się poezją; tam publikuje się znacznie gorsze rzeczy. Ale wtedy bym go znał albo pan by go znalazł.

– Może więc nie jest to poeta współczesny?

– Też o tym pomyślałem, ale nie sądzę. – Doktor zmarszczył nos. – Język jest zdecydowanie współczesny, podobnie forma – pozbawiona całkowicie znaków przestankowych; poza tym użycie

w ostatniej strofie sformułowania „instrukcja obsługi” na to wskazuje. Nie wiem, trzeba by spytać kolegów z Wydziału Historii, kiedy pojawiły się w naszym kraju instrukcje obsługi, ale stawiałbym, że upowszechniły się raczej dopiero po wojnie...

– A czy nie może być tak... tak się tylko zastanawiam, pan wybaczy, jeśli palnę teraz coś głupiego... że napisał to jakiś znany panu poeta, który kompletnie zmienił styl?

Doktor Królikiewicz ponownie zmarszczył nos.

– No cóż – powiedział. – Historia literatury zna takie przypadki. Najślynniejszym przykładem są *Liryki lozańskie* Mickiewicza. Rzecz kompletnie różna od wcześniejszych jego dzieł. Ale jedno od drugiego dzieli kilka lat poetyckiego milczenia...

– Tak mogło być i w tym przypadku.

– Mogło być – zgodził się doktor. – Może też w grę wchodzić jakieś silne traumatyczne doświadczenie, zmieniające całkowicie stosunek poety do świata, tak jak wojna w przypadku Różewicza... Ale dlaczego tak pana interesuje ten wiersz? – spytał.

– Znaleziono go na miejscu zbrodni. Wszystko wskazuje na to, że podrzucił go tam zabójca.

– No proszę! – Brwi doktora Królikiewicza powędrowały w górę. – To bardzo ciekawe... Ale to znaczy – zastanowił się – że prawdopodobnie napisał go sam morderca.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Bo skoro nie on go napisał, to musiałby go skądś znać, gdzieś przeczytać. A nie sądzę, by miał pod tym względem większą wiedzę i możliwości niż ja i moi koledzy z zakładu. A my go nie znamy. Czyli że nie przeczytał go w żadnym liczącym się czasopiśmie literackim ani w Internecie, bo wtedy my również byśmy go znali albo znaleźliby go pańscy informatycy. Najbardziej logiczny wniosek jest więc taki, że to on go stworzył.

To miało sens, pomyślał komisarz Aleksanderski. On sam nigdy by na to nie wpadł.

– Oczywiście jest też taka możliwość, że dostał gdzieś w ręce jakiś tomik poetycki wydany własnym sumptem w nakładzie stu egzemplarzy w Pińdziszewie Dolnym i stamtąd go wziął. Ale w takim wypadku nie mamy raczej szans, by namierzyć autora.

– W takim wypadku nie miałyby to żadnego znaczenia – zauważył komisarz.

– No tak, faktycznie. – Królikiewicz uśmiechnął się.

– No dobrze – zaczął powoli Aleksanderski. – Przyjmijmy w takim razie, że ma pan rację i wiersz napisał sam zabójca.

– Przyjmijmy. – Doktor kiwnął głową.

– Przyjmijmy też, że tak jak mówiliśmy, jest nim jakiś mniej lub bardziej znany poeta, który z powodu upływu czasu albo pod wpływem silnego przeżycia całkowicie zmienił styl.

– To dość ryzykowne założenie – zaprotestował Królikiewicz.

– Przyjmijmy je jednak.

– W porządku. – Mężczyzna uniósł dłonie wierzchem do góry. – Pan się zna na tym lepiej.

– W takim wypadku, przy tych dwóch założeniach, przychodzi mi do głowy jedno pytanie. Czy da się mimo wszystko znaleźć jakieś cechy wspólne łączące to, jak pisał wcześniej, i to, jak robi to teraz? Rozumie pan?

– Mhm. – Królikiewicz kiwnął głową.

– Na tym akurat pan zna się niewątpliwie lepiej. Może jakiś, czy ja wiem, sposób rymowania, jakieś zamiłowanie do charakterystycznych zwrotów... coś, co pozostało mimo zmiany stylu.

– Wiem, o co panu chodzi. Cóż... – zastanowił się doktor. – Słyszałem o podobnych badaniach dotyczących prozy, więc... – wciągnął powietrze do płuc – więc chyba dałoby się coś takiego zrobić.

– Mógłby pan spróbować to zrobić?

– Byłoby to niewątpliwie bardzo trudne... – Mężczyzna zaczął głaskać się palcami po brodzie. – Choćby z powodu ilości materiału

do porównania... Wie pan – uśmiechnął się – nie mamy tu komputerowej bazy danych chwytów poetyckich. Wszystko zmagazynowane jest tu... – Popukał się palcem po czole.

Widać było, że pomysł ten go zaintrygował.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Mogę spróbować. Ale efektów nie gwarantuję – zastrzegł od razu.

– Oczywiście.

– I wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. – Uniósł palec wskazujący. – Dam to moim studentom. Powiem im, że kto znajdzie autora tego wiersza albo wykaże w przekonujący sposób, który z poetów nim jest, dostanie piątkę w USOS-ie.

– Znakomity pomysł.

– A mogę im powiedzieć, że chodzi o morderstwo? Wtedy już na pewno wyjdą ze skóry, żeby to znaleźć.

Komisarz zastanowił się. Upublicznienie tej informacji – bo w takim wypadku wiersz prędzej czy później przedostałby się do mediów – miałyby swoje dobre i złe strony.

– Na razie nie – odparł. – Ale będziemy w kontakcie.

ROZDZIAŁ 28

Ale on tam był. Ciągle. Widział go teraz, gdy otworzył oczy. Zasnął na kanapie, zwinięty w kłębek. Tam, gdzie padł wycieńczony i zniechęcony. Teraz była noc. Nie zasunął zasłon, więc przez okna od ogrodu wpadała poświata miasta. Cienie krat kroili dywan na romby.

I on tam był. Jego twór. Na środku pokoju, na stoliku z Ikei. Zapętłony Wagner wciąż brzmiał w starych głośnikach. Powinien wstać i to wyłączyć. Ale wtedy musiałyby przejść obok niego.

Nie wiadomo, dlaczego bał się tego. Irracjonalny lęk, jak przed pajakiem. To przecież tylko kupka śmieci. Żałosna próba nadania sensu bezsensownemu zbiorowi przedmiotów. Idiotyczna, od początku pozbawiona szans na powodzenie. Zrodzona z iluzji, że da się ożywić obcy, daleki rytuał. Zanim zasnął, miał przecież ochotę ją rozwalić.

Teraz jednak, gdy na nią patrzył, wydawało mu się, że to coś nie jest wcale takie martwe. Jakby rosło, drgało w tym świetle, patrzyło na niego. Czegoś od niego chciało. I – dziwna sprawa – ból ustąpił. Jeśli pominąć ten lęk, grozę w zasadzie, czuł się nad wyraz dobrze. Jakby obudził się uleczony.

Czyżby więc mu się udało? Stworzył go? Odymiając świętym zieleń i pojąc tequilą, tchnął w niego życie niczym praski rabin w Golema? Rytuał chyba jednak zadziałał. Powtarzając jego schemat, zapoczątkował reakcję. Zapalił iskrę życia. Nieważne, skąd spłynęła – ze świata bogów czy z wnętrza jego chorej głowy.

Fetysz drgnął, poruszył się. Choć to może tylko cień liści drzewa za oknem przesunął się po jego nieforemnym kształcie.

Poczuł, jak włoski unoszą mu się na ciele. Jeszcze chwila i to coś do niego przemówi. Już prawie, prawie słyszał jego głos.

Nie przemówiło jednak. Nic nie usłyszał. Zamknął oczy. Sen powoli powracał. Zobaczył jeszcze, jak twarz demona, ta, którą wykroił z mięsa tamtego, nachyla się nad nim. Kropla krwi z bezkrwistej rany upada mu na wargę. Rozcięte usta poruszają się tuż przy jego uchu. Usłyszał szept. Charczący i świszczący szept. Wypowiadane nim słowa wnikały mu do mózgu. Zmieniały go i meblowały na nowo. Tak. Dobrze. Tak. Żeby tylko to zapamiętał.

ROZDZIAŁ 29

Oddychał głęboko i szybko. Za szybko i za głęboko. Kręciło mu się w głowie. Było to nawet dość przyjemne, ale też niebezpieczne. Nie mógł sobie teraz pozwolić na utratę przytomności czy choćby nawet równowagi. To jego pierwsze świadomie zaplanowane i przeprowadzone polowanie. Potrzebował jasnego umysłu. O ile w ogóle jest to w jego stanie możliwe.

Spowolnił więc oddech, uspokoił go. Nie było to łatwe, ilość adrenaliny, jaką jego mózg pompował teraz do krwi, wystarczyłaby bowiem, by nabuzować szwadron pędzących na armaty szwoleżerów. Było to coś zupełnie innego niż poprzednio. Za pierwszym razem wszystko stało się praktycznie samo. Za drugim razem co prawda już polował, ale sama okazja do ataku także pojawiła się dość niespodziewanie, gdy zniechęcony zbierał się już praktycznie do powrotu. Teraz napięcie sięgało zenitu, i to od dłuższego czasu. Czekał, aż zwierzyna wyjdzie. Musiała wyjść. Ale kiedy to zrobi, nie wiadomo. Wtedy, gdy tylko otworzy drzwi, zaatakuje. Wepchnie ją z powrotem do środka. O tej porze nikt niczego nie zauważy ani nie usłyszy. Ona też – zaskoczona i sparaliżowana strachem – nie zdoła wydobyć z siebie krzyku. A kiedy już będzie mogła, nie będzie w stanie.

Czuł, że się poci i marznie jednocześnie. Ogarnęły go wszystkie emocje świata na raz: podniecenie, ekscytacja, strach, zwątpienie, chęć ucieczki i niemożliwe prawie do opanowania pragnienie, by zaatakować już teraz, zaraz, nawet przez zamknięte drzwi. Dostać się tam, do środka, zatopić zęby w krwi... A wkrótce potem

opanowało go dławiące gardło przerażenia, jak przed pierwszą w życiu randką z dziewczyną.

O, niech to się już wreszcie zacznie, niech te cholerne drzwi się otworzą! Zaklinał je, wpijał w nie wszystkie swoje zmysły, jakby chciał przepalić wzrokiem i słuchem ich metal. Jakby chciał przeniknąć całym sobą przez ich ciasno ubite cząsteczki i zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Wreszcie... Nie, chyba mu się tylko wydawało... Nie! Coś usłyszał! Coś tam, po drugiej stronie. Napiał się cały, naprężył, jeszcze bardziej niż dotąd. Jakby stał się gotową do wystrzelenia w przód pięścią, niemyślącą już i nieczującą nic, czekającą tylko na sygnał.

Ktoś tam był, coś się ruszało. Czuł przez pomalowany na brązowo metal mięśnie, krew i ciepło skóry. Czy to jego ofiara? Ta, na którą czekał? Jeśli nie, to wszystko jedno. Nie zdoła już się opanować. Rzuci się na pierwsze żywe stworzenie, które pojawi się w tych drzwiach.

Miał ochotę zacząć walić w nie pięściami. Otwórz! Otwórz wreszcie! Zachciało mu się srać. Wielka, zbita kula nerwów i emocji napierała mu od góry na zwieracz. Szkoda, że nie istnieje jakiś morderczy odpowiednik walenia konia, bo chyba tylko to by mu teraz pomogło.

Napięcie stało się praktycznie nie do zniesienia. I kiedy drzwi w końcu się otworzyły, niemal nie zarejestrował momentu ataku. Jakby coś zrobiło to za niego.

ROZDZIAŁ 30

Krwi było dużo, nawet bardzo. Niezła rzeźnia, pomyślał. Zupełnie niepasująca do tego eleganckiego budynku, gdzie mieszkania chodziły pewnie po dwadzieścia tysięcy złotych za metr. Takie rzeczy to na Pradze, w blokowiskach, w pijackich melinach na Woli, w Ursusie albo we Włochach, ale tu? I to w dodatku nie w mieszkaniu, gdzie można się spokojnie najebać, pozwalając, by poziom alkoholu we krwi powoli obluzował plomby na czerwonym przycisku agresji, ale tak na klatce? Czy też, przepraszam, w holu, bo klatka schodowa to jest w bloku, gdzie on mieszka, a to tu to jest hol albo nawet, kurwa, atrium.

Takie było jego pierwsze wrażenie.

– Naprawdę nikt nic nie słyszał? – spytał.

– W zasadzie nikt tu nie mieszka – odparł blady jak ściana mężczyzna w garniturze. Administrator budynku, jak się przedstawił. – Na górze są co prawda apartamenty, ale kupiono je prawdopodobnie w charakterze inwestycji i jak dotąd nikt w nich nie mieszka. Oprócz tego głównie biura, sklepy i pracownie. W nocy zazwyczaj nikogo tu nie ma.

– Ktoś jednak był – stwierdził komisarz Aleksanderski, patrząc na rozrzucone na umazanej krwi posadzce kręcone kobiece włosy. – Znał ją pan?

– Tak. – Mężczyzna wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć. – Na drugim piętrze jest pracownia. Wynajmowała ją od nas.

– Jaka pracownia?

– Modowa.

– Modowa? – Aleksanderski uniósł brwi. – W sensie: krawiecka? – wolał się upewnić.

Mężczyzna popatrzył na niego nie do końca przytomnym wzrokiem.

– No tak, krawiecka. Można tak też to nazwać. Tylko w niej czasami ktoś zostawał dłużej...

– Dobrze, może pan iść. W razie czego odezwiemy się do pana. – Wolałby, żeby ten wymuskany gość w garniturku nie puścił mu tu pawia i nie zanieczyścił materiału genetycznego.

– Oczywiście. Dziękuję. Proszę, tu ma pan moją wizytówkę. – Mężczyzna podał mu trzęsącą się dłonią biały kartonik.

Ciec, który ma wizytówkę, pomyślał Aleksanderski. Czasy się zmieniły, i to cholernie.

– Jakies wstępne wnioski? – rzucił w kierunku dwojga techników w białych kombinezonach, uwijających się już na miejscu.

Kobieta, której nie znał, wyprostowała się i poprawiła przedramieniem plastikowe gogle osłaniające jej oczy.

– Ofiara nie broniła się lub nie broniła prawie wcale – powiedziała. – Prawdopodobnie ogłuszył ją pierwszy cios lub po prostu gwałtowność ataku. Ten nastąpił przy drzwiach wejściowych; znaleźliśmy tam jej torebkę i jeden but. Potem sprawca zaciągnął ją tu. Nie odkryliśmy śladów wleczenia, więc prawdopodobnie ofiara była jeszcze przytomna, choć oszołomiona. Na takim podłożu jak to – wskazała lśniąca, granitową posadzkę – trudno to zresztą jednoznacznie stwierdzić. Ale świadczy o tym jeszcze jedna rzecz. – Pokazała w kierunku umazanej krwią ściany nad zwłokami. – Rozbryzgi krwawe rozmieszczone horyzontalnie na tej wysokości mogły powstać, gdy sprawca starał się poderżnąć ofierze gardło, kiedy jeszcze stała. Potem osunęła się wzdłuż ściany na podłogę do pozycji siedzącej. Te rozmazane ślady o tym świadczą. Na koniec przewróciła się na bok i tak ją znaleziono. Wtedy już raczej nie żyła, bo krwi w tym miejscu, przy jej głowie, jest stosunkowo mało.

– Jakieś odciski palców i tak dalej?

– Odcisków tu jest sporo, ale na mój gust należą raczej do ofiary – odezwał się z kolei mężczyzna. – Trzeba to oczywiście jeszcze sprawdzić. Zdjęliśmy też odciski z klamki w drzwiach, ale tam to wiadomo, jak jest: tylko dziada z babą brakuje. Ten ślad tu – wskazał na coś na ścianie – może świadczyć, że sprawca był w rękawiczkach. Śmiem twierdzić, że skórzanych. Widać nawet ślad po szwie na palcu.

– Poza tym – wtrąciła kobieta – mógł nawet nie dotknąć tej klamki w drzwiach. Tu jest oczywiście domofon. Prawdopodobnie poczekał, aż ofiara sama otworzy drzwi.

– Coś jeszcze?

– Odciski butów. Ofiary i sprawcy. W krwi bardzo wyraźnie je widać. O, ten jest szczególnie udany. – Mężczyzna przykucnął. – No moje oko rozmiar czterdzieści cztery. Obuwie sportowe. Sądząc po bieżnikowaniu, marki Nike. Zła informacja jest taka, że wygląda na zupełnie nowe. Nie widzę śladów zużycia.

– A na zewnątrz? – spytał komisarz. – Musiał tam na nią czekać. Kto wie, może dość długo.

– Daj nam chwilę. Tam jeszcze nawet nie ruszyliśmy. Tylko zabezpieczyliśmy teren.

– Okej – mruknął komisarz. – Narzędzie zbrodni?

– Nie znaleźliśmy – odparła kobieta. – Ale pewnie nóż lub brzytwa. W przypadku cięć trudno jest określić dokładny rodzaj. I raczej nieprzesadnie naostrzony.

– Stąd ten... bałagan? – Komisarz wskazał brodą na szyję ofiary.

Kobieta spojrzała w tym samym kierunku. Nie był to zbyt ładny widok.

– Nie jest wcale łatwo dobrze poderznąć gardło – wyjaśniła. – Skóra ludzka jest dość mocna. W średniowieczu zdarzało się, że kat musiał kilka razy uderzać toporem, bo nie potrafił jej do końca przeciąć. Trzeba mieć dobre ostrze i wiedzieć, jak ciąć i w którym

miejscu. Tu najwyraźniej zabrakło i jednego, i drugiego. Stąd też tyle krwi.

– Myślałem, że w przypadku... tego... krwawienie jest zawsze duże.

– Jeśli się szybko i sprawnie przetnie tętnicę szyjną, to wbrew pozorom wcale nie. Do serca dostaje się bąbel powietrza, który natychmiast zatrzymuje jego akcję, krążenie ustaje i po krzyku. Większość krwi zostaje w ciele. Tu wyleciało prawie wszystko.

– Czyli amator.

– Ale nadrabia entuzjazmem.

Komisarz jeszcze raz omiół wzrokiem scenę zbrodni. Pomyślał, że w zasadzie na taki widok powinno mu się zrobić niedobrze. Ale nie zrobiło. Jego skóra też stała się już bardzo gruba.

– Stwierdziliście jakieś ślady przemocy seksualnej? – spytał.

– Nie. Ubranie nienaruszone, wszystko pozapinane i na swoim miejscu. Oczywiście trzeba to jeszcze sprawdzić na sekcji, ale nie sądzę. Przestępcy seksualni rzadko ubierają po wszystkim swoje ofiary, a już na pewno nie wtedy, gdy atak następuje w takich okolicznościach.

– Jeszcze coś ciekawego?

– Tak. – Kobieta odwróciła się i ukucnęła przy głowie ofiary. – Ten ślad wydaje się szczególnie interesujący. Widzi pan stąd?

– Średnio. A wolałbym nie podchodzić.

– Większość śladów krwi ułożona jest pionowo, z góry do dołu, od rany w kierunku klatki piersiowej. Powstały prawdopodobnie, gdy ofiara jeszcze siedziała oparta o ścianę. Ten biegnie w poprzek, wzdłuż rany i jakiś centymetr od niej w dół. Przecina inne smugi. Dodatkowo na jego obu końcach są nowe pionowe ślady, zaczynające się od niego, nie od rany.

– Co to może być?

– Nie wiem. Wygląda to, jakby sprawca coś jej tu przyłożył, jakiś przedmiot, który opływała krew z rany.

– Przedmiot?

– Ale te nowe smugi są niewielkie, o wiele mniejsze niż te, które zaczynają się bezpośrednio w ranie... Tak jakby... – Kobieta uniosła wzrok i spojrzała na komisarza Aleksanderskiego.

– Tak jakby krew do czegoś spływała – dokończył za nią komisarz.

ROZDZIAŁ 31

Prokurator Gabriela Seredyńska przyjechała chwilę potem. Weszła, obejrzała wszystko, zadała z grubsza te same pytania, co wcześniej komisarz, potem wyszła na zewnątrz. Aleksanderski czekał tu na nią. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął bez słowa w jej kierunku. Wyjęła jednego, zapalili.

– Co myślisz? – spytała po chwili.

– Że to ten sam – odpowiedział. – Ten, co na tamtym parkingu.

Milczała przez chwilę.

– *Modus operandi* nie do końca się zgadza – powiedziała.

– Tu nóż i tu nóż – odparł. – I podobna gwałtowność ataku. Profiler twierdził, że jeśli to seryjny, to jest dopiero na początku drogi i jego schemat działania może jeszcze ewoluować. Pamiętasz? No to wyewoluował.

– Tamtego pociął, tej nic nie zrobił – zauważyła.

– Zebrał jej krew. Do jakiegoś pieprzonego słoiczka. Czyli jednak coś jej zrobił.

Znowu milczała jakiś czas.

– Da się to jakoś powiązać? – spytała. – Za pomocą śladów? Tu jest ich całkiem sporo.

– Ale tam było mało. Wszystko wymył deszcz.

– A ten nóż?

– Nie da się określić kształtu ostrza, badając rany cięte – przypomniał. – Więc nie możemy mieć pewności, że to to samo narzędzie.

– Czyli na dobrą sprawę w ogóle nie możemy mieć pewności?

– Nie. Mówię ci tylko, co sędzę. W przeciągu niecałego miesiąca na terenie jednej dzielnicy dokonano dwóch brutalnych zabójstw z użyciem podobnego albo nawet takiego samego narzędzia i obu towarzyszyły dość niestandardowe, rytualne zachowania sprawcy.

– No tak. – Pokiwała głową.

Zaciągnęła się, ale dość nieporadnie. Widać było, że na co dzień nie paliła.

– Ale to znaczy – dodała po chwili – że całą naszą dotychczasową robotę możemy wyrzucić do kosza. Jeśli to ten sam sprawca, to szukanie go w otoczeniu Różańskiego nie ma sensu.

– I tak musieliśmy to zrobić. – Wzruszył ramionami. – Wiesz przecież. Zresztą teraz też – musimy sprawdzić, czy nie ma żadnych powiązań między ofiarami. Może była na przykład kochanką Różańskiego?

– Tylko po co ktoś miałby ją wtedy zabijać?

– Wiem. Ale sprawdzić to musimy.

Policjanci w mundurach przeszukiwali teren. Chodzili z pochylonymi głowami i wzrokiem utkwionym w ziemię pomiędzy krzakami klombów, przypatrywali się chodnikom, jakby liczyli, z ilu kostek je ułożono, i wyciągali zawartość śmietniczek. Dwóch innych zawracało ludzi pragnących się dostać do budynku i kierowało ich ku innemu wejściu.

– Odbiorą mi to – powiedziała Sereżyńska matowym głosem. – Jeśli to seryjny, odbiorą mi to. Za chuda ze mnie lisica na taką wielką kurę. Prokuratura okręgowa to przejmie.

– I CBS – dodał Aleksanderski.

Odwróciła się do niego i spojrzała mu w oczy.

– Może więc tego nie róbmy? – zaproponowała.

– Czego?

– Nie wiążmy tego w sposób oficjalny. Zachowajmy te wnioski dla siebie. Na razie. Pamiętajmy o nich, ale pracujmy, jakby to były dwie oddzielne sprawy.

– Jeśli to prawda, prędzej czy później będziemy musieli to powiązać.

– Ale będziemy mieli wtedy więcej materiału, będziemy więcej wiedzieć. Może na coś trafimy? I przyjdziemy do nich z konkretnymi rzeczami. Może da się wtedy przeforsować utworzenie grupy śledczej, w której składzie się znajdziemy. Jako najlepiej zorientowani w temacie.

Patrzyła na niego z napięciem. Odwrócił wzrok.

– Nie wiem – powiedział. – CBS to jednak zupełnie inne siły i środki. A ten gość jest niebezpieczny i pewnie zaatakuje ponownie. Oni mają większe szanse go znaleźć niż my.

– Sam mówiłeś, że nie możemy mieć pewności.

– Ale to ten sam, wiesz przecież.

Chwyciła go dłonią za przedramię.

– Przecież nie proszę cię o zatajanie faktów, tylko o ostrożność w formułowaniu ostatecznych wniosków. Faktów jak dotąd tak naprawdę jeszcze nie ma. Nie ma czego zatajać.

Jej dłoń na jego przedramieniu. Ciepło, które czuł mimo grubego materiału marynarki. Nigdy wcześniej tak do niego nie mówiła. Nigdy wcześniej go chyba nawet nie dotknęła. Nie mógł jej odmówić, wiedział o tym. Nie dałby rady.

– Zróbmy to razem – poprosiła. – Jesteśmy całkiem niezłym zespołem.

Razem. Gdyby jej to odebrali i gdyby wkroczyło CBS, nie mieliby już powodów, żeby się tak często spotykać.

– Okej – powiedział. – Chyba faktycznie nie ma na razie z czym wychodzić do ludzi.

Czy nie tego zresztą właśnie chciał? Dać jej prezent, coś, czego pragnie. No to właśnie nadarzyła się wspaniała okazja.

Jakieś zamieszanie odwróciło ich uwagę od tej rozmowy. Zresztą wszystko już zostało chyba powiedziane. Ktoś chciał wejść do budynku. Dwójka policjantów usiłowała go zatrzymać.

Seredyńska tylko rzuciła na to okiem, po czym odeszła na bok, wyciągając komórkę. On ruszył w tamtym kierunku.

– O co chodzi? – spytał.

Kobieta, którą zatrzymali policjanci, była bardzo zdenerwowana.

– Moja współpracownica – zaczęła – nie odbiera telefonu. W mieszkaniu też jej nie ma. Miała zostać wczoraj w naszej pracowni i dokończyć jedną rzecz. Co tam się stało? – Głos jej zadrżał.

– Jak wygląda?

– Wysoka, szczupła, mniej więcej mojego wzrostu. Włosy kręcone, też trochę jak moje. Tylko blond, nie takie, jak te. – Dotknęła dłonią swoich czarnych, poskręcanych loków.

To też się zmieniło, pomyślał komisarz. Gdy dorastał, widok kogoś takiego jak ona byłby sensacją. Dziś, przynajmniej w Warszawie i zapewne też w innych dużych miastach, nie był niczym szczególnym. Afrykanie, Hindusi, Wietnamczycy, już nie mówiąc o Ukraińcach, zadomowili się i wtopili w krajobraz, stali się jego normalną częścią. Jego miasto metropolizowało się i uświatowiało. Wśród wielu zmian, które mu się nie podobały, ta akurat mu pasowała.

– Obawiam się, że nie mam dla pani dobrych wiadomości – powiedział.

ROZDZIAŁ 32

To nie była ona. Zorientował się już w trakcie, ale nie potrafił się zatrzymać. Była podobna: podobna sylwetka, podobna burza kręconych włosów wokół głowy; gdy zobaczył ją w otwierających się drzwiach, automatycznie uznał, że to tamta. Zresztą cięciwa była już tak napięta, że nawet gdyby zdołał się w porę zorientować, prawdopodobnie byłoby już i tak za późno.

Teraz, myśląc o tym, czuł ulgę. Dziwne. Cieszył się, że nie zabił tamtej, tylko tę. Bardzo dziwne, bardzo.

Zdjął wszystkie zakrwawione ubrania i zaniósł je do pieca. To też zrobił automatycznie, bo na dobrą sprawę, biorąc pod uwagę, co zamierza zaraz zrobić, było to działanie kompletnie pozbawione sensu. Spalić jeden dowód tylko po to, by po chwili inny umieścić na samym środku swojego salonu. Po namyśle więc, zamiast do pieca, włożył ubrania do pralki.

Jeszcze nie wrócił całkiem do rzeczywistości. Obrazy i dźwięki z nocy wciąż huczały i wirowały mu w głowie. Czuł euforię, ale i zmęczenie, depresję niemal, i to w tym samym czasie. Wczoraj było inaczej, zupełnie inaczej. Stracił częściowo kontrolę, nie wszystko pamiętał. Było to jednocześnie piękne i przerażające.

Włączył pralkę i wrócił na górę. Zrobi to teraz, to chyba najlepszy moment. Teraz, gdy był jeszcze w tym stanie, gdy nie pojawiły się jeszcze te głupie wątpliwości, które prędzej czy później na pewno dojdą do głosu. Gdy zmęczenie nie przerodziło się jeszcze w depresję pocelową i zniechęcenie. Bo samo zmęczenie nie jest złe, może nawet pomóc, podobnie jak to, że wcale dziś nie spał. To

otumania i otwiera jednocześnie, zdejmując blokady z mózgu, odymia rozum niczym pszczołę, aby nie żądlił sceptycyzmem.

Podszedł do swojego przedpotopowego sprzętu i włożył do niego nową płytę. Kupił ją wczoraj, jeszcze przed tamtym, przygotował się. Afrykańskie bębny z Malawi. Może trochę banalne, ale ważne, by działało. Potem zasunął ciężkie, przesiąknięte kurzem zasłony, pamiętające jeszcze jego rodziców. Zapalił kilka świec, wszystkie, które znalazł w domu. Niektóre były pożółkłe ze starości, jak na przykład ta, która odkąd pamiętał, odkąd był dzieckiem, leżała w skrzynce pod licznikiem. Na wszelki wypadek, w razie gdyby wyłączyli prąd. Dziś i ona będzie miała swój wielki dzień. Doczekała się wreszcie. Złoży z siebie ofiarę całopalną.

Włączył odtwarzacz. Dźwięk bębnów rozszedł się po pokoju. Dźwięk monotony, nużący, pulsujący i transowy. Przeplatany wielogłosowym śpiewem w dziwnym, gardłowym języku. Podgłośnił to jeszcze.

Zamknął oczy. Zwalczył przemożną chęć, aby usiąść na kanapie. Mógłby zasnąć, a wtedy wszystko na nic. Tak, zmęczenie jest dobre, otwiera bramy umysłu. Trzeba je wzmacniać i pielęgnować, nawet jeśli chwiejesz się przez to na nogach. Zaczął powoli, nieporadnie kiwać się w rytm wybijany przez dłonie dalekich bębniarzy. Potem obracać się wokół własnej osi. Z początku czuł się głupio, lecz wiedział, że nie może przestać. Musi poczekać, aż to uczucie zażenowania minie, aż zatraci się w tym rytmie. Zatracił się.

Wszystko zaczęło wirować wraz z nim. Przewrócił się raz, potem drugi. Z jego ust wydobył się głos naśladujący te dobiegające z głośników. Zaczęły wracać obrazy z dzisiejszej nocy. Było to jak sen, a w zasadzie półsen; tak jak wtedy, gdy na granicy jawy przychodzą do nas postaci z mroku i mgły.

Chyba już czas, tak. To odpowiedni moment. Jeszcze chwila, a straci przytomność, urwie się całkiem ze sznurka. Podszedł, podtańczył do regału, gdzie stały przygotowane jego rekwizyty. Jego własne, obcięte, ubrudzone od wewnątrz krwią paznokcie, pukiel

włosów tamtej kobiety i słoik. Najpierw wziął włosy i spalił je w ogniu świeczki. W powietrzu rozszedł się ostry, gryzący smród. Potem zgarnął paznokcie i wysypał je z góry na swój fetysz. Na końcu odkręcił słoik.

Zaczął z nim tańczyć naokoło fetysza, nie dbając o to, że jego zawartość ścieka mu po placach, że gęste bryzgi lecą wkoło, ochlapując podłogę. Potem stanął, wziął do ust spory haust tego, co zostało, i wypluł przed siebie wprost na fetysz. Resztę wylał na niego z góry. Potem zwymiotował i wreszcie stracił przytomność.

Zanim to się jednak stało, a może już wtedy, gdy to się stało, poczuł, że to przychodzi. Spływa na niego, wypełnia go całego niczym puste naczynie, naprawia go, jak zastrzyk z betonu zmurszałe fundamenty. Wtedy już jednak leżał na podłodze. Tam, gdzie w końcu zasnął i gdzie obudził się prawie sześć godzin później.

ROZDZIAŁ 33

– Wyniki sekcji zwłok. – Rzucił jej na biurko plik kartek.

– Tak w skrócie? – spytała.

Usiadł naprzeciwko niej.

– Śmierć w wyniku wykrwawienia, żadnych śladów przemocy seksualnej, na szyi, tuż powyżej linii cięć, a częściowo pod nimi, podbiegnięcia krwawe powstałe zażyciowo. Prawdopodobnie złapał ją za szyję, gdy otworzyła drzwi, i w ten sposób zaciągnął na miejsce zabójstwa – wyjaśnił. – Na końcu masz jeszcze badania toksykologiczne.

– Coś ciekawego?

– W organizmie denatki nie stwierdzono obecności alkoholu ani substancji psychoaktywnych. Ale jest coś.

– Co takiego? – Uniosła głowę znad papierów.

– Poleciałem, żeby dokładnie zbadali ten dziwny, poziomy ślad na szyi. Wiesz, co tam znaleźli?

– Co?

– Ocet. Taki normalny, spirytusowy, dziesięcioprocentowy, jaki można kupić w każdym sklepie spożywczym.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Skąd się tam wziął? Przepraszam, głupie pytanie – poprawiła się. – Po co, dlaczego... – nie mogła znaleźć odpowiedniego sformułowania.

– Już ci tłumaczę – odparł. – Żeby krew nie zakrzepła. Moja babcia tak robiła, gdy gotowała czerninę. Podrzynała gardło kacze, a krew spuszczała do naczynia z octem. Stary, wiejski sposób.

– Dobrze, już... – Uniosła dłonie. Pani prokurator, która przy zaszlachtowanym trupie tamtej kobiety nawet nie mrugnęła powieką, najwyraźniej źle znosiła opisy cierpienia zwierząt. – To znaczy, że się przygotował – powiedziała po chwili. – Miał to zaplanowane i przemyślane.

– I przyszedł na miejsce przyszłej zbrodni ze słoiczkiem... – dodał. – Zakładam, że był to słoiczek, bo to najwygodniejsze... Na którego dnie była odrobina octu. Wiedział, że po wszystkim będzie zbierał krew, i nie chciał, żeby zakrzepła. Tak więc była mu ona, taka właśnie, do czegoś potrzebna.

– Tylko do czego?

– Mam nadzieję, że nie na czerninę – zażartował.

Nie rozbawiło jej to.

– Oby nie – odpowiedziała. – Ale nie można tego wykluczyć.

– Czego? – Wyraził miną swój sceptycyzm. – Że ugotował z niej zupę?

– Że potrzebna mu była do spożycia. W taki lub inny sposób. Bo tak na dobrą sprawę do czego może być potrzebna taka krew? Na pamiątkę, żeby ją sobie postawić w słoiku na półce, do jakiegoś rytuału albo do jakiejś odmiany kanibalizmu.

– Może wydaje mu się, że jest wampirem? – Niemal go to rozbawiło.

– Nie sędzę – odparła z powagą. – Wtedy dobrałyby się do niej już na miejscu. A nie stwierdzono chyba na ciele denatki żadnych śladów lizania czy ssania.

– Nie stwierdzono – potwierdził.

– Może to satanista? Krew w pucharze, przyzywanie diabła, takie rzeczy...

– Może. Trzeba by sprawdzić to środowisko. Może ktoś się pochwalił na jakimś forum...

– Zajmiesz się tym? – spytała.

– Zlecę, komu trzeba. Rozumiem, że wątek znajomych Różańskiego na razie odpuszczamy?

– Tak. Ale należałoby sprawdzić, czy te dwa kręgi jakoś się nie łączą. Jego i tej kobiety.

Zawahał się. To, co miał zamiar powiedzieć, nie spodoba się jej.

– Słuchaj... – zaczął niepewnie.

– Co jeszcze?

– Przydałoby się tutaj to CBS... Inwigilacja różnych porąbanych sekt to ich działka.

– Poczekaj jeszcze. Wejście na forum i przeczytanie kilku ostatnich postów to nie taka znów wielka filozofia. Zleć to jakiemuś bystremu aspirantowi od siebie. I niech ten wasz profiler jeszcze raz rzuci na to okiem. Z założeniem, że to ten sam sprawca.

– W porządku. – Kiwnął głową bez przekonania. – I chyba właśnie wraca temat wiersza – zauważył.

Popatrzyła na niego z uwagą.

– Chyba tak – powiedziała. – Wychodzi na to, że miałeś rację. Jeśli to ten sam sprawca, to staje się on nagle bardzo istotny. Robiłeś coś z tym?

– Dałem go jednemu doktorkowi z uniwersytetu.

– Jakież efekty?

– Na razie mizerne. Twierdzi, że nie rozpoznaje autora. Ale że musiał go napisać ktoś, kto choć trochę się na tym zna, nie żaden grafoman. Miał jeszcze sprawdzić, czy nie da się go odnaleźć po charakterystycznych cechach stylu.

– Dowiedz się, czy coś z tego wyszło.

– Jasne.

– Dobra, to chyba na razie wszystko. – Zamknęła leżącą przed nią teczkę z aktami. To był znak, że powinien już sobie iść. Komisarz nie wstał jednak. Miał jeszcze jeden pomysł, tylko sam nie wiedział, czy był on w ogóle wart zachodu.

– Słuchaj, pomyślałem sobie o jeszcze jednej rzeczy... – zaczął.

– Tak?

– To może dość niestandardowa procedura, ale ten gość z uniwerku wydaje się całkiem kumaty. Może by go zaprosić tu do

nas, niechby sobie pogadali z naszym profilerem na temat tego wiersza? To w końcu fachowiec, a na psychologii raczej takich rzeczy nie uczą. Może razem zobaczą tam coś, czego żaden z nich osobno by nie dostrzegł?

Zastanowiła się.

– To chyba niegłupie – odpowiedziała. – W każdym razie co nam to szkodzi? Zorganizujesz to?

ROZDZIAŁ 34

Prokurator Gabriela Seredyńska miała wrażenie, jakby patrzyła na siedzącą przed nią żywą okładkę magazynu poświęconego modzie. Sama nie uważała się nigdy za brzydką, nie miała też specjalnych kompleksów na tle swojego wyglądu – oprócz jednego czy dwóch, które każdy zdrowy psychicznie człowiek wręcz powinien mieć, bo ich całkowity brak nie jest raczej dobrym objawem – ale przy tej kobiecie poczuła się nagle jak ktoś, kto zaparkował oplem astrą koło czerwonego ferrari. Patrzenie na nią było przeżyciem niemal religijnym i, jak każde takie doświadczenie, gdzieś u swej podstawy ambiwalentnym: czuło się jednocześnie podziw, zazdrość, zachwyt i niechęć. Które to uczucia prokurator Seredyńska natychmiast w profesjonalny sposób stłumiła.

- Pani nazwisko? – spytała.
- Oliwia Mandinkeye.
- Jak się to pisze?
- Przez „ye” na końcu.
- Ma pani polskie obywatelstwo?
- Oczywiście, jestem Polką, urodziłam się w Warszawie.
- Ale rodzice byli obcokrajowcami?
- Jakie to ma znaczenie? – obruszyła się.
- Na tym etapie nie jestem w stanie rozstrzygnąć, co ma znaczenie, a co nie, dlatego staram się zdobyć jak najwięcej informacji na każdy temat. Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Matka jest Polką, ojciec pochodzi z Mali.
- Długo znała pani denatkę?

Przez twarz kobiety przeszedł bolesny skurcz.

– Od kilku lat.

– Jaki rodzaj relacji was łączył?

– Była moją najlepszą przyjaciółką. I współpracą.

– Na czym to polegało?

– Pomagała mi w prowadzeniu mojej pracowni. Zajmowała się szeroko pojętą organizacją. Ja nigdy do takich rzeczy nie miałam głowy.

– Byłyście parą?

– Proszę?!

Wyraz zaskoczenia na twarzy przesłuchiwanej sam w sobie był już wystarczającą odpowiedzią.

– Czy łączył was związek o charakterze erotycznym? – doprecyzowała mimo to Seredyńska.

– Pani prokurator, wypraszam sobie...

– Pani Oliwio, jak już mówiłam, wszystko może mieć znaczenie. Preferencje seksualne ofiary zwłaszcza.

– Nie, nie byliśmy. Obie jesteśmy... byliśmy... całkowicie heteroseksualne.

– Czy Stefania Rybczyńska była aktualnie w jakimś związku?

– Nie. Stenia... nie miała pod tym względem specjalnego szczęścia. Zresztą podobnie jak ja. Nic mi nie wiadomo, żeby się z kimś spotykała.

– Czy jest możliwe, żeby pani o tym nie wiedziała?

– Nie sądzę. Mówiliśmy sobie wszystko.

Przy tym ostatnim zdaniu głos jej się załamał. Być może dopiero teraz do tej pięknej kobiety dotarło, jak niepowetowaną stratę poniosła.

– Mówi pani coś nazwisko Marcin Różański? – Seredyńska zmieniła temat. Także dlatego, by samej uciec od tych emocji.

– Nie, nigdy go wcześniej nie słyszałam. To znaczy chyba. Wie pani, w moim fachu spotyka się bardzo wielu ludzi...

– Może rozpozna go pani na zdjęciu.

Podsunięła jej duże zdjęcie Różańskiego. Kobieta pochyliła się nad jej biurkiem.

– Nie – odpowiedziała. – Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Na pewno? Nie kręcił się nigdy w pobliżu pani współpracownicy?

Kobieta jeszcze raz nachyliła się nad zdjęciem.

– Na pewno. Zresztą nie zadawałyśmy się raczej z takimi ludźmi.

– Jakimi?

– Korpoludkami. Wygląda jak menadżer albo dyrektor średniego szczebla w jakiejś korporacji.

– To z kim się panie zazwyczaj zadawały?

– Z artystami, krytykami sztuki, muzykami. Ale też z biznesmenami. Tymi, którzy chcieli coś kupić lub zainwestować, albo tymi, którzy liczyli, że swoimi pieniędzmi zrobią na nas wrażenie.

– Czy ktoś taki pojawił się ostatnio w otoczeniu pani przyjaciółki? Zastanowiła się.

– Nie, nie przypominam sobie ostatnio nikogo takiego. Poza tym Stenia zawsze natychmiast ich spławiała. Ja zresztą też. Z racji swojego pochodzenia mam negatywny stosunek do wszelkich form niewolnictwa.

Prokurator Seredyńska pokiwała nieznacznie głową. Ta kobieta coraz bardziej jej się podobała. Była nie tylko piękna, ale też inteligentna i zdawała się mieć dobrze poukładane w głowie. Mogłyby się zaprzyjaźnić.

– Czy pani przyjaciółka miała jakichś wrogów?

– Stenia? – Kobieta pokręciła głową. – Nie. Nie znam nikogo takiego. To wydaje się wręcz niemożliwe. Należała do ludzi, których się lubi z miejsca, już po pierwszym spotkaniu. Miała niezwykłą umiejętność skracania dystansu i zaprzyjaźniania się ze wszystkimi. Zawsze jej tego bardzo zazdrościłam, bo sama nigdy tego nie umiałam. A ona? Była w stanie pójść wszędzie i załatwić wszystko. Ludzie nie potrafili jej odmawiać. Myślę, że spora część

mojego sukcesu... jeśli jakiś sukces w ogóle odniosłam... to jej zasługa. Zupełnie nie wiem, jak sobie teraz bez niej poradzę.

Seredyńska spojrzała na nią. Kobieta była na granicy załamania. Jakby w jednej chwili straciła swoją doskonałą formę. Prokurator nie mogła pozwolić, żeby teraz się rozsypała. Było jeszcze kilka pytań do zadania.

– A jak wyglądały jej relacje z mężczyznami? – rzuciła szybko.

Jej rozmówczyni spróbowała wziąć się w garść.

– Nie za ciekawie – odpowiedziała. – Sama raczej trzymam dystans i odpycham od siebie mężczyzn, ale ona wydawała się z kolei zbyt dostępna. Właśnie przez to skracanie dystansu i przyjacielskość. Wielu facetów dawało się na to nabrać. Zdawało im się, że na nich leci i za chwilę coś z tego będzie, a ona po prostu tak się zachowywała wobec wszystkich. Niektórzy niezbyt dobrze reagowali, gdy sytuacja już się wyjaśniła. Był taki jeden, który nie potrafił się z tym pogodzić. Nie dawał jej spokoju, jakby miał na jej punkcie jakąś obsesję. Musiała zmienić numer telefonu i adres mailowy, przeprowadziła się do innego mieszkania...

– Dawno to było?

– Ze trzy lata temu... – Kobieta nagle zrozumiała implikacje wypowiedzianych przez siebie słów. – Myśli pani, że to mógł być on? – spytała wstrząśnięta.

– Nie wiem, musimy to sprawdzić. Kiedy ostatni raz próbował kontaktować się z pani przyjaciółką?

– Nie wiem, myślę, że co najmniej rok temu... W każdym razie już dość dawno.

– Pamięta pani, jak się nazywa?

– Tomek... Tomasz Sieradzki.

– Ma pani jego numer telefonu?

– Zablokowałam go, bo do mnie też wydzwaniał. Potem zresztą zmieniłam telefon. Ale myślę, że gdzieś mam to jeszcze zapisane. Mogę spróbować znaleźć.

– To bardzo proszę to zrobić. A co z innymi mężczyznami? Z tymi, z którymi się spotykała?

– Nie było ich wielu. Odkąd się poznałyśmy, raptem trzech. Wszystko katastrofalne pomyłki. Jeden był alkoholikiem; podejrzewam, że nie zauważył nawet, że się rozstali. Drugi żonaty. Gdy jego żona się dowiedziała i zagroziła rozwodem, podkulił ogon i uciekł. Trzeci nie był zbytnio zainteresowany. Spotykał się z nią i z jeszcze jedną kobietą, zresztą naszą wspólną znajomą. W końcu rzucił je obie i związał się z trzecią. To tyle. Jak pani chce, mogę zdobyć ich namiary.

Seredyńska skinęła głową, dając do zrozumienia, że właśnie tego oczekuje.

– Nie sędzę, by któryś z nich mógł mieć z tym coś wspólnego. Ale proszę ich przesłuchać. Jeśli choć przez chwilę poczują niepewność lub zaniepokojenie, będzie to choć niewielka odpłata za to, jak ją potraktowali.

Prokurator Seredyńska po raz kolejny nieznacznie skinęła głową. Doskonale rozumiała, co ta kobieta ma na myśli. Doszła do wniosku, że chętnie sprawi, by tamci poczuli się porządnie zaniepokojeni.

– A czy w ostatnim czasie nie pojawił się w otoczeniu pani przyjaciółki ktoś nowy? – spytała. – Ktoś, kogo wcześniej nie znała. Ktoś, kto próbował się do niej zbliżyć albo nawet się zbliżył, albo tylko krążył gdzieś wokół niej. Proszę się zastanowić.

Kobieta zamilkła i wbiła wzrok w ścianę za plecami Seredyńskiej.

– Nie, nikt taki nie przychodzi mi do głowy.

ROZDZIAŁ 35

– Cześć. Dałaś mi swój numer telefonu, pamiętasz?

– Cześć. Pamiętam.

Głos kobiety po drugiej stronie słuchawki pełen był stłumionej rozpacz. Czy coś czuł, wiedząc, że to on był jej przyczyną? Nie.

– Coś ci jest? – spytał. – Brzmisz, jakbyś była chora.

– Nie jestem chora – odpowiedziała. – Wszystko ze mną dobrze.

– To o co chodzi?

Milczenie. Płacz? Może mu się tylko wydawało.

– Moja przyjaciółka... – Pauza. – Nie żyje.

– Matko jedyna, co się stało?? – Jego zdumienie i przerażenie zabrzmiało bardzo wiarygodnie.

– Została zamordowana.

– Zamordowana?! Boże drogi, jak to się stało?

– U nas na klatce... Tam, gdzie jest moja pracownia... Ktoś poderżnął jej gardło...

Płacz. Tym razem ewidentny. Pozwolił jej przez chwilę ponapawać się swoją rozpaczą.

– Boże... To potworne... – odezwał się wreszcie. – Rozmawiałem z nią na twoim pokazie... – skłamał. – Poderżnął gardło? Kto?

Słychać było, jak kobieta próbuje wziąć się w garść.

– Nie wiem, policja też jeszcze nie wie... Ktoś zaatakował ją, jak wychodziła z budynku. To już było prawie w nocy. Została dłużej w naszej pracowni, bo chciała podokańczyć pewne sprawy.

– Mają jakieś ślady?

– Nie wiem, nie mówili mi. Chyba nie mogą zdradzać takich rzeczy...

– No tak.

Znowu zaczęła płakać. Teraz coś poczuł. Coś prawdziwego. Było mu jej żal. Naprawdę.

– Przyjechać do ciebie?

– Nie. Tak. Przyjedź.

– Czy wolisz być teraz sama?

– Przyjedź. Jeśli będę sama, zaraz zwariuję.

– Będę za pół godziny.

Był na to przygotowany. Umyty, ubrany, z przystrzyżonym zarostem, spryskany wodą toaletową. Butelka dobrego, drogiego czerwonego wina czekała na stoliku w przedpokoju. Jakie to wszystko łatwe.

Przyjechał nawet wcześniej. Po dwudziestu minutach. Wszedł jeszcze do restauracji na dole, wypił szybkie espresso i się wysikał. Było piękne, gorące już niemal popołudnie. Czuł się dobrze, bardzo dobrze. Dawno już tak dobrze się nie czuł.

Wszedł i zadzwonił domofonem. Przy tych samych drzwiach, przed którymi wczoraj czekał. Otworzyła bez pytania, kto tam. Wszedł schodami na drugie piętro. Znowu dzwonek. Otworzyła.

Wciąż była piękna, choć wyglądała bardzo źle. Podkrążone oczy, ściągnięte rysy twarzy, pusty, martwy wzrok. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i rozchylił ramiona. Padła w nie ze szlochem. Oparła czoło o jego ramię. Objął ją delikatnie. Potem poczuł wilgoć jej łez. Dziwna sytuacja. Po raz drugi już pomyślał, że to bardzo dobrze, że się wczoraj pomylił.

– Dlaczego? – spytała, łkając. – Dlaczego ktoś to zrobił?

– Nie wiem – odparł, gładząc ją po włosach. Pachniała oszałamiająco. Nie były to perfumy; nie miała dziś zapewne głowy, żeby się nimi spryskać. Szampon do włosów i jej naturalny zapach: coś pięknego.

– Przepraszam – powiedziała, odsuwając się od niego. – Ciągłe nie potrafię w to uwierzyć. Jeszcze wczoraj wszystko było takie normalne, takie zwyczajne, a teraz...

Znał to uczucie. Męcząca nuda, która z perspektywy czasu i tego, co się potem wydarzyło, okazuje się szczęściem.

– Wiem – odpowiedział. – Nie przepraszaj. To straszne, co ci się przydarzyło. Masz pełne prawo być rozbita i płakać.

Pokiwała machinalnie głową.

– Dobrze, że się stąd wyprowadzam – powiedziała. – Nie przedłużyli mi wynajmu, mówiłam ci?

– Tak.

– Myślałam, że to źle, ale to dobrze. Nie mogłabym już tu pracować.

– Wiesz już, gdzie się przeprowadzisz?

– Nie. Stenia się tym zajmowała. Nawet nie wiem, czy miała już coś na oku... Boże, jak ja to wszystko sama ogarnę... Trzeba coś znaleźć, przewieźć to wszystko – wskazała na wieszaki z ubraniami – potem urządzić nowe miejsce... I to jeszcze teraz... bez niej...

Do jej oczu napłynęły z powrotem łzy.

– Pomogę ci – powiedział.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego. – Masz pewnie swoje zajęcia...

– Mam dużo wolnego czasu – odparł. – I żadnych zobowiązań.

– Nie, no... Masz pewnie pracę, rodzinę...

– Jestem już w takiej sytuacji, że nie muszę pracować. – Rozbawiła go dwuznaczność tego stwierdzenia. – A rodziny nie mam. Zero dzieci.

Zawsze warto to zaznaczyć, prawda?

Mimo całej swojej rozpacz przyjęła tę informację z zainteresowaniem.

– I naprawdę chciałbyś mi pomóc?

– Oczywiście. Musisz mi tylko powiedzieć, jakiego konkretnie lokalu szukasz, a ja ci go znajdę. A potem pomogę z przewiezieniem rzeczy.

– Naprawdę? Bardzo, bardzo ci dziękuję!

– Jeszcze nie ma za co. Napijesz się trochę? – Pokazał jej butelkę wina, którą przez cały czas trzymał w dłoni. – Myślę, że ci się przyda.

– Chętnie.

Weszli głębiej. Przyniosła kieliszki i korkociąg. Usiedli na kanapie przy niskim stoliku. Otworzył wino i nalał je do kieliszków. Jeden z nich podał jej. Uniosła go do ust i wypiała machinalnie spory łyk, nie zwracając uwagi na smak i bukiet.

– Dobrze – powiedziała mimo to. – Nawet bardzo.

– Cieszę się, że ci smakuje – odparł.

Uniósł swój kieliszek. Wino było ciężkie, gęste, a mimo to łagodne. Pachniało czarną porzeczką. Nigdy wcześniej nie pił takiego.

Wypiła szybko i postawiła kieliszek na stole. Napełnił go znowu. Patrzyła w okno niewidzącym wzrokiem, prawie nie mrugając.

– Jeszcze wczoraj tu chodziła – powiedziała. – Na biurku leży jej otwarty notes.

Zaczęła płakać. Z początku bezgłośnie, siedząc bez ruchu, wpatrzona wciąż w jakiś punkt za oknem. Potem jej ramiona zaczęły się trząść, a ona skuliła się w sobie i ukryła twarz w dłoniach. Skręcone, sterczące na wszystkie strony włosy drgały.

Przysunął się do niej na kanapie i objął ją ramieniem. Podał jej kieliszek.

– Wypij – powiedział. – Do dna.

Posłusznie spełniła jego polecenie.

Odstawił kieliszek na stół i objął ją ponownie. Potem zaczął całować. Powoli i delikatnie, po włosach, czole i oczach. Czuł na wargach słony smak jej łez.

Poddawała się temu. Z początku bezwolnie, lecz gdy w końcu pocałował ją w usta, odwzajemniła pocałunek. Gdy wsunął dłoń pod jej bluzkę i położył ją na staniku, nie protestowała. Potrzebowała tego. Nie seksu, potrzebowała potwierdzenia, że

pomimo śmierci, która tak nagle objawiła jej się w całej swojej bezwzględnej grozie, ona wciąż żyje; że jest życie i jest ono silniejsze niż śmierć.

Tu także ją rozumiał. Choć już wiedział, że to nieprawda.

ROZDZIAŁ 36

Zebrali się w gabinecie Seredyńskiej. On, ona, doktorek z uniwersytetu i policyjny profiler. Komisarz zaczął:

– Ponieważ jako jedyny znam tu wszystkich, pozwólcie, że dokonam wstępnej prezentacji. Pani prokurator Gabriela Seredyńska, mnie raczej kojarzycie, pan doktor habilitowany Leszek Królikiewicz, specjalista od mowy wiązanej, oraz nasz profiler, magister aspirant Marek Zelmer.

– Zemler – poprawił go profiler.

– Przepraszam, proszę mi wybaczyć.

– Nic nie szkodzi. Jestem przyzwyczajony, że myli mnie się z drobnym sprzętem AGD.

– Mają podobno likwidować tę markę – zwrócił się do niego Królikiewicz, jak zwykle śmiesznie marszcząc nos. – Wchłonie ją jakaś bardziej znana zachodnia firma. Może wtedy pan odetchnie?

– Chwała wielkiemu międzynarodowemu kapitałowi! – odparł profiler, unosząc w ironicznym geście dłonie.

Widać było, że tych dwóch nawiąże ze sobą nic porozumienia.

– Dobrze, to kto zacznie? – spytała Seredyńska. – Może pan? – Wskazała na profilera.

– Tak. – Zemler zajrzał w papiery, które trzymał na kolanach. – Mam tu wstępny profil nieznanego sprawcy, przygotowany, tak jak pani prosiła, z założeniem, że tych dwóch morderstw dokonała ta sama osoba.

– Myśli pan, że to dobre założenie? – przerwała mu.

Zastanowił się.

– Myślę, że trudno to zarówno jednoznacznie wykluczyć, jak i jednoznacznie potwierdzić – powiedział. – Gdyby brać pod uwagę same tylko cechy *modus operandi* w tych dwóch przypadkach, to punktów wspólnych jest trochę za mało, zaledwie bliskość geograficzna i prawdopodobna tożsamość narzędzia zbrodni, ale zgadzam się z panią, że jest coś w obu zabójstwach, co pozwala je ze sobą łączyć.

Zdania wielokrotnie złożone. Komisarz Aleksanderski uświadomił sobie właśnie, że to między innymi z powodu ich nadużywania czuł zawsze instynktowną niechęć do tego typu ludzi.

– Co? – spytała Seredyńska.

– To może niezbyt profesjonalne określenie, ale jakiś rodzaj aury – odparł profiler. – Widoczna gwałtowność, rys szaleństwa, niestandardowość działań... Ma się wrażenie, że mógł za nimi stać ten sam człowiek.

– Czyli przyjmuje pan, że to założenie może być niebezpieczne? – spytała.

– Tak. – Profiler kiwnął głową. – Inaczej nie stworzyłbym takiego profilu.

– Dobrze, proszę w takim razie przejść do rzeczy.

– Oczywiście. No cóż... – Zemler jeszcze raz zerknął w papiery. – To, co tu mam, to w zasadzie nie jest pełny, skończony profil, tylko raczej garść uwag i pytań, którymi chciałbym się z państwem na tym etapie podzielić.

– Niech pan mówi – zachęciła go Seredyńska.

– Zacznijmy może od profilowania geograficznego. Oba zabójstwa miały miejsce na terenie dzielnicy Bielany, w odległości niespełna czterech kilometrów od siebie. W profilowaniu geograficznym przyjmuje się zazwyczaj dwa założenia. Pierwsze, że sprawca mieszka mniej więcej w środku okręgu zakreślonego przez swoje zabójstwa, drugie, że pierwsze z nich leży najbliżej miejsca jego zamieszkania. Tu mamy trochę za mało danych, zaledwie dwa przypadki, ale gdyby posłużyć się tymi założeniami, sprawca

powinien mieszkać gdzieś mniej więcej w okolicach stacji metra Stare Bielany. Ale jak już mówiłem, to tylko dwa zabójstwa, więc ten wniosek może być mocno niepewny. Druga sprawa: miejsce i czas ataku. W obu przypadkach do zabójstw doszło w nocy i w obu wydaje się, że sprawca czekał na swoje ofiary. Za pierwszym razem na parkingu przed blokiem, za drugim przed drzwiami. Pytanie, czy czekał na jakiegokolwiek ofiary, czy na te konkretne?

– A jak pan myśli? – spytał Aleksanderski.

Profiler wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Analiza drugiego przypadku może świadczyć, że chodziło o konkretną osobę. Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś stoi pod klatką w bloku w środku nocy i czeka, kto z niej wyjdzie. Mógł przecież nie wyjść nikt, zwłaszcza w takim budynku jak tamten. A skoro tu czekał na konkretną ofiarę, to przez analogię można założyć, że i za pierwszym razem tak było.

– Czy to znaczy, że sprawca mógł znać ich oboje? – spytała Seredyńska.

– Niekoniecznie – odparł profiler. – Seryjni zabójcy często wybierają swoje ofiary, obserwują je, ale nie znają ich osobiście.

– Myśli pan, że tak mogło być w tym przypadku?

– Myślę, że sporo na to wskazuje. Ale pewności nie mam.

– Obie ofiary były w pewien sposób nietuzinkowe, może to świadczyć za pana hipotezą – zauważyła Seredyńska.

– Właśnie chciałem to powiedzieć – przytaknął profiler. – Możliwe, że sprawca nie należał do kręgu ich bliskich znajomych, ale znał je w jakiś sposób, zetknął się z nimi wcześniej, może nawet przypadkiem, i wtedy wpadły mu w oko.

– To nam potwornie rozszerza krąg podejrzanych – stwierdził komisarz Aleksanderski.

– Przykro mi – odparł profiler. – Następną sprawą: sposób działania. W obu przypadkach bardzo gwałtowny, w obu podobne

lub nawet takie samo narzędzie zbrodni. W obu nastąpiło zjawisko nadzabijania.

– Co to znaczy? – zainteresował się doktor Królikiewicz.

– Zbyt duża liczba ciosów w stosunku do zamierzonego efektu. Najwyraźniej widać to w pierwszym przypadku, gdy ran było kilkanaście, a do zadania śmierci wystarczyłyby dwie lub trzy. Może to świadczyć, że sprawca wpada w trakcie zabójstwa w coś w rodzaju morderczego szału.

– Fajnie. – Królikiewicz zmarszczył nos.

– Jak cholera – mruknął komisarz.

– I tu dochodzimy do kolejnej kwestii – kontynuował Zemler. – Tego typu nadzabijanie występuje zazwyczaj u sprawców niezorganizowanych, nierzadko psychopatycznych oraz bardzo często w sytuacji, gdy sprawcę i ofiarę łączył długi konflikt o bardzo silnym natężeniu emocjonalnym. Skoro tę ostatnią ewentualność raczej wykluczyliśmy (choć być może się mylimy), pozostaje nam pierwsza. Lecz tu pojawia się problem, który sygnalizowałem już przy pierwszym zabójstwie: morderczy szał, charakterystyczny dla sprawców niezorganizowanych, współistnieje tutaj z działaniami cechującymi raczej sprawców zorganizowanych. Mam tu na myśli pewien rodzaj planowania, o czym świadczy ten wiersz zostawiony w pierwszym przypadku, a który sprawca musiał przecież wcześniej wydrukować i zabrać ze sobą w tym konkretnym celu, a także zbieranie krwi do słoika w drugim, który to słoik również musiał być zawczasu przygotowany, jak również to, co działo się po pierwszym zabójstwie, czyli dość skomplikowane upozowanie zwłok.

Komisarz Aleksanderski miał od jakiegoś czasu spory problem ze skoncentrowaniem uwagi na tym, co mówił ten człowiek. Pomyślał, że jeśli usłyszy jeszcze jedno zdanie wielokrotnie złożone, zaśnie.

– Dobrze – odezwał się w zasadzie tylko po to, by wybić się z tego stanu hipnotycznego odrętwienia, w jaki wprawiał go nieznośnie

gramatycznie uporządkowany potok słów profiler. – A jakie są z tego wnioski?

– Wniosków na razie nie ma – przyznał Zemler. – Jak dotąd są same pytania. Jedna rzecz mi się tylko nasuwa i w związku z tym bardzo dobrze, że pan tutaj jest – zwrócił się w stronę doktora Królikiewicza. – Że ten wiersz może być w tym wszystkim bardzo istotny.

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytał literaturoznawca.

– Jeśli założymy, że to ten sam sprawca, a przypominam, że to ciągle nie jest dla mnie jednoznacznie oczywiste, choć niewątpliwie dość prawdopodobne...

Komisarz Aleksanderski zaklął w duchu.

– ...to bardzo symptomatyczna jest moim zdaniem zarówno obecność tego wiersza na pierwszym miejscu zbrodni, jak i nieobecność innego wiersza na drugim.

– Dlaczego? – spytała Sereżyńska.

– Bo to by świadczyło, że ten konkretny wiersz jest niezwykle istotny dla sprawcy. Nie jest on elementem rytuału, bo w takim razie zostawiłby inny również przy drugich zwłokach; to rodzaj przesłania, wiadomości dla świata, kto wie, może wręcz manifestu. Manifestu bardzo osobistego i być może wyjaśniającego jego motywy i sposób widzenia świata.

ROZDZIAŁ 37

Spała wtulona w niego, ogłuszona winem, zmęczona płaczem, cierpieniem i seksem. Patrzył na ślady łez widoczne na jej policzkach, na spokojną teraz twarz, z której głęboki sen starł na chwilę wszelkie znamiona rozpacz, i myślał, jakie to wszystko dziwne. Ta ilość uczuć przewalających się teraz przez jego głowę, uczuć tak różnych, tak sprzecznych, tak płynnie przechodzących jedno w drugie... Nie starał się nad nimi zapanować ani ich powstrzymać. Jakby siedział i patrzył na płynącą w dole rzekę.

Czuł wzruszenie, miłość niemal; czuł butną, tryumfującą, samczą satysfakcję; czuł wstyd, a nawet strach, obawę, że to wszystko jest nieprawdą, że rozwieje się zaraz, jak sen śniony teraz pewnie przez tę piękną, zbyt piękną jak dla niego kobietę. Że to ukradł, a skoro ukradł, to zostanie mu to odebrane, bo przecież nie zasłużył na to niczym, wręcz przeciwnie; że oparte jest to na czymś więcej nawet niż kłamstwo.

A z drugiej strony: co to są, do kurwy nędzy, za głupie skrupuły? Wziął to sobie, bo chciał. Po raz pierwszy w życiu tak zrobił. I może właśnie na tym to polegało, że na to nie zasługiwał. Bo dopóki zasługiwał, nie miałby najmniejszych szans, by taka kobieta jak ona leżała tu przy nim z jakiegokolwiek powodu. I jeśli istnieje szatan – w co głęboko nie wierzył, bo to by oznaczało, że na tym świecie pełnym chaosu jest jednak jakiś porządek – więc jeśli on istnieje, to może właśnie za to go teraz nagrodził? Za to, że zabił jej przyjaciółkę, a potem cynicznie wykorzystał jej słabość wynikającą z cierpienia, które sam spowodował. Gdyby tego nie zrobił, nie

byłoby go tutaj, czyż nie? Jak to było? „Po owocach ich poznacie”. A te owoce bardzo mu smakowały.

Poruszyła się. Po chwili otworzyła oczy. Pogładził ją delikatnie po włosach. Spojrzała na niego nierozumiejącym jeszcze spojrzeniem. Zobaczył, jak loguje się z powrotem do rzeczywistości, jak wraca do niej wszystko to, o czym w trakcie snu nie pamiętała; jak jej wzrok powoli ciemnieje.

Odsunęła się od niego. Czar prysł. Usiadła na kanapie, na której leżeli. Przetarła dłonią twarz.

– Idź już – powiedziała. – Chciałabym zostać teraz sama.

– Na pewno? – spytał i jeszcze raz dotknął jej włosów.

Odsunęła się nieznacznie, ale dostrzegalnie.

– Na pewno. – Jej głos zabrzmiał niespodziewanie chłodno. – Sorry, nie byłam sobą. To nie powinno się wydarzyć. Zapomnijmy o tym wszystkim.

Wstała, a on poczuł, jak jego zwycięstwo wymyka mu się z rąk.

– Może wpadnę do ciebie później? – spytał i była w tym pytaniu niemal prośba. Jakby odezwał się ten stary on, błagający i skamlący o uwagę kobiet.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła i włożyła leżącą na oparciu kanapy bluzkę. Nie patrzyła na niego, unikała jego wzroku, odwróciła się do niego bokiem. W całej jej postawie dawało się wyczuć niechęć.

– Dobrze – odpowiedział i wstał. – Daj w takim razie znać, jak będziesz potrzebowała pomocy z tą przeprowadzką.

– Nie – powiedziała i wykonała nieokreślony ruch ręką. – Jakoś sobie z tym poradzę.

Odeszła i zaczęła coś porządkować przy ekspresie do kawy, także w ten sposób dając mu do zrozumienia, że powinien już sobie pójść.

– Na pewno? – spytał jeszcze. – Naprawdę nie ma problemu...

– Słuchaj. – Odwróciła się do niego. – Powinniśmy to zakończyć. Nie mam teraz nastroju do tego typu spraw, chyba to rozumiesz?

Poczuł, jak narasta w nim gniew. Opanował się jednak i spróbował z powrotem przybrać maskę rozumiejącego i empatycznego ideału mężczyzny.

– Poczekaj – powiedział łagodnie. – Rozumiem, że to wszystko stało się zbyt szybko i że działałaś pod wpływem emocji, które nie do końca rozumiesz, więc trochę się ich przestraszyłaś. Ja też niepotrzebnie posunąłem się tak daleko, powinienem był poczekać. Ale może to, co teraz robisz, też dzieje się pod wpływem emocji? Tych samych, tylko dla odmiany ukierunkowanych w całkowicie przeciwny sposób. Dajmy sobie mimo wszystko szansę. Opuśćmy teraz, wróćmy do poprzedniego etapu, ale nie kończmy tego całkowicie. Co ty na to? Może tak być?

Popatrzyła na niego. Ich spojrzenia znowu się spotkały.

– Może masz rację – powiedziała i spuściła wzrok. Znowu była zagubiona i przerażona. – Możemy tak zrobić. Ale nie dzwoń do mnie przez kilka dni.

Zadziałało. Omal się nie roześmiał.

– Oczywiście – odparł. Poczuł się znowu pewnie. Zbyt pewnie.

Podszedł do niej bliżej. Miał ochotę znowu ją objąć, ale zrezygnował z tego. Nie mógł teraz przesadzić.

– Bardzo, bardzo ci współczuję. Jestem niemal tak samo wstrząśnięty jak ty. Nie znałem twojej przyjaciółki, rozmawialiśmy z sobą tylko raz, na twoim pokazie, ale czuję, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Skąd wiedziałeś, że chodzi o nią? – spytała.

– Słucham? – Nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Skąd wiedziałeś, że chodzi o Stenię?

– Przecież mi powiedziałaś. Że jeszcze wczoraj tu chodziła, że tam leży jej otwarty notatnik...

– Nie teraz. Wcześniej. Jak do mnie zadzwoniłaś. Powiedziałam, że nie żyje moja przyjaciółka, a ty odpowiedziałeś, że rozmawiałeś z nią na moim pokazie. Nie powiedziałam ci wtedy, o kogo chodzi.

Nie wymieniłam jej imienia. Wcześniej ci też o niej nie opowiadałam. Dopiero tu. A ty mówiłeś, że rozmawiałeś z nią na moim pokazie.

Cholerny kortyzol. Uwalnia się do mózgu tuż po przebudzeniu. Powoduje, że przez pierwsze kilkanaście minut myślimy wyjątkowo jasno i precyzyjnie. Poczuję ogromny, przeraźliwy smutek.

Musiałoby być coś w jego twarzy, coś, co wystarczyło jej za odpowiedź. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Zaczęła się cofać. Na próżno.

Zrobił dwa szybkie kroki i chwycił ją dłonią od tyłu za włosy. Najdelikatniej, jak tylko mógł. Złapała go za ramię. Nawet nie krzyknęła.

Trzymając ją wyciągniętą ręką, tak by nie mogła go dosięgnąć paznokciami, zaciągnął ją z powrotem na kanapę. Potem szarpnął, obrócił i chwycił drugą ręką za ubranie na jej plecach. Dopiero teraz krzyknęła. Zgiął więc ją w pół i wcisnął z całej siły jej głowę twarzą w miejsce, gdzie zbiegały się siedzenie, oparcie i boczna krawędź sofy. Zamknął powieki, starał się nie myśleć. Czuł, jak próbuje się wyrwać, jak bije na oślep rękami, starając się go złapać, jak wierzga nogami.

Po jakimś czasie znieruchomiała. Trzymał ją jeszcze przez parę minut, lecz w końcu puścił. Otworzył oczy, poczuł, jak po policzkach płyną mu łzy. Wstał i odsunął się o krok, ciężko dysząc. Leżała nieruchomo, ciągle wsparta dłońmi o siedzenie kanapy, jakby starała się od niej odsunąć, z nogami rozrzuconymi pod dziwnym kątem.

Usiadł na drugim końcu i siedział tak jeszcze przez jakiś czas. W końcu wstał i ponownie na nią spojrział. Burza czarnych, kręconych włosów wystawała spomiędzy jasnoszarych poduszek, jakby schowało się tam jakieś zwierzę. Wziął ze stolika butelkę z winem, przytknął ją do ust i wypił resztę duszkiem. Czuł teraz pustkę, nic więcej. Po chwili coś się jednak pojawiło. Coś, co zaczęło go napełniać niczym wody gruntowe piwnicę. Powitał to

z ulgą, radością nawet, jak starego przyjaciela przybywającego, by mu pomóc w potrzebie. Począł, aż to napełni go całkiem, aż zaleje i zmyje tę tchórzliwą słabość, której poddał się przed chwilą. Potem wziął ze stojaka przy ekspresie kuchenny nóż, wrócił do kanapy, chwycił tamto zwierzę za sierść, naciął jego skórę długim, okrągłym cięciem naokoło głowy i szarpnął.

ROZDZIAŁ 38

– Dobrze. – Seredyńska zwróciła się w stronę doktora Królikiewicza. – Skupmy się zatem przez chwilę na wierszu. Ma pan dla nas coś ciekawego?

Królikiewicz zmarszczył nos, poprawił się na krześle, potem ponownie zmarszczył nos. On dla odmiany nie miał żadnych notatek.

– No cóż – powiedział. – Nie udało mi się znaleźć autora tego wiersza. Ani mnie, ani moim studentom, ani kolegom z wydziału, których też o to prosiłem. Miałem przez chwilę pomysł, że być może nie jest to wiersz napisany w oryginale po polsku, tylko przekład, ale tę hipotezę musiałem także odrzucić. Jeśli byłoby to tłumaczenie, tłumacz także musiałby być poetą, i to całkiem niezłym, więc ktoś musiałby znać ten tekst. Tymczasem ani ja, ani nikt z mojego wydziału, ani również nikt z pozostałych wydziałów filologicznych, do których go rozesłałem, o nim nie słyszał. Wniosek: jest to wiersz napisany w języku polskim, zdecydowanie współczesny, który jednak nie pojawił się ani w Internecie, ani w żadnym bardziej lub mniej znanym czasopiśmie literackim. Zadałem sobie również trud i wysłałem go do jurorów kilku najbardziej znanych konkursów poetyckich w Polsce. Żaden z nich również go sobie nie przypomina. Nie wykazuje on również widocznych cech charakterystycznych stylu żadnego z jakichkolwiek znanych współczesnych poetów. Przynajmniej ani mnie, ani moim studentom nie udało się takich cech wspólnych znaleźć. Jednym słowem, pod tym względem kompletna klapa.

– Czyli wiersz ten nie był nigdzie publikowany? – upewniła się Seredyńska.

Doktor Królikiewicz wzruszył ramionami.

– Jak już mówiłem to panu komisarzowi – wskazał na Aleksanderskiego – nie jestem tego w stanie jednoznacznie stwierdzić. Jedno mogę tylko powiedzieć, że skoro autorowi tego wiersza nie przyszło do głowy, by opublikować go na którejś ze stron internetowych poświęconych poezji, to prawdopodobnie nie jest zbyt młody.

– To znaczy ile według pana może mieć lat? – spytał komisarz.

– Moim zdaniem więcej niż czterdzieści. Dla młodszych publikowanie w internecie jest raczej pierwszym wyborem niż ewentualnym kolejnym.

– I to wszystko, co ma nam pan do powiedzenia? – Prokurator Seredyńska nawet nie starała się ukryć rozczarowania.

– Nie. Oczywiście, że nie – odparł spokojnie Królikiewicz. – To mam państwu do powiedzenia odnośnie do autora.

– A odnośnie do innych rzeczy? – spytała Seredyńska.

– A odnośnie do innych rzeczy, pani prokurator, pokusiłem się o zrobienie czegoś, co tak naprawdę jest moją podstawową umiejętnością, którą doskonaliłem przez wszystkie lata swojej kariery.

– Czyli?

– Czyli analizy utworu literackiego. – Doktor Królikiewicz uśmiechnął się, pełen spokojnego samozadowolenia.

Komisarz Aleksanderski aż pokręcił głową.

– Nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek będę musiał mieć do czynienia z czymś takim – powiedział.

Królikiewicz popatrzył na niego z lekko kpiącym uśmiechem.

– Na pewno w szkole pan to uwielbiał, proszę się przyznać...

– Panowie! – przerwała im Seredyńska. – Przejdźmy do rzeczy.

– No dobrze, to co według pana autor miał na myśli? – spytał z rezygnacją komisarz.

– Nie będę oczywiście zanudzał państwa szczegółami typu metrum czy użyte środki stylistyczne – zaczął Królikiewicz. – Powiem więc w największym skrócie: moim zdaniem jest to utwór o śmierci.

– Bardzo odkrywczе – zauważył komisarz. – Znalaziono go na miejscu zbrodni. O czym ma niby być?

– Tak, zgadza się – zapalił się badacz literatury. – Nie chodzi tu jednak moim zdaniem o śmierć, którą ktoś komuś zadaje, lecz raczej o śmierć doświadczaną przez podmiot liryczny, czy też może o jej silne przeczucie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że ktokolwiek ten wiersz napisał, czy sam morderca, czy ktoś inny, doświadcza silnego strachu przed śmiercią.

– I dlatego zabija? – zainteresował się profiler.

– Nie wiem – odparł Królikiewicz. – To już raczej pana działka. Ja tylko chciałem powiedzieć, że niezależnie od tego, kto jest autorem, utwór ten opisuje bardzo osobiste doświadczenie tego człowieka, a jest nim przerażenie związane z odkryciem własnej śmiertelności. To nie jest wiersz o chęci mordy, nie ma w nim również śladu żadnych seksualnych podtekstów ani czegoś, co można by uznać za objawy jakichś psychicznych zaburzeń. Nie ma w nim w sumie niczego jednoznacznie niepokojącego. To wiersz o tym, że ktoś bardzo się boi, że umrze, i próbuje poradzić sobie z tym strachem, odnajdując pozytywne aspekty tego stanu.

– Bardzo ciekawe... – mruknął profiler.

– Dlaczego ciekawe? – spytała Seredyńska.

– Jeśli przypomnimy sobie, jak sprawca upozował zwłoki – Zemler zaczął przeglądać swoje papiery i po chwili wyciągnął z nich zdjęcie przedstawiające ciało Różańskiego – to dosyć dobrze to ze sobą współgra.

– W jakim sensie? – spytał Królikiewicz.

– Kartka z wierszem została znaleziona pod murem cmentarza – wyjaśnił profiler. – Ciało leżało na chodniku wiodącym w jego

kierunku. Zwłoki upozowane były w sposób przypominający biegnącego człowieka. Z tym że biegnącego od cmentarza, nie w jego stronę. Chce pan zobaczyć? – Podsunął Królikiewiczowi zdjęcie.

Doktor odwrócił głowę.

– Wolałbym jednak pozostać przy teoretycznych rozważaniach – odparł z dystansem.

– Jeśli dodamy do tego rany na twarzy, nadające jej moim zdaniem wyraz przerażenia – kontynuował profiler – to wszystko to wydaje się dobrą ilustracją tego, o czym pan mówił.

– O czym to świadczy? – spytała Seredyńska. – I jakie to ma dla nas znaczenie?

– Takie – odparł profiler – że układa się to w dość spójny przekaz, który pozostawił zabójca. Boi się śmierci, jest nią przerażony, i stara się od niej uciec.

– Wszyscy boimy się śmierci – rzucił sceptycznie komisarz.

– Ale to moim zdaniem nie jest tego typu strach. Nie taki, jaki wszyscy jakoś tam odczuwamy. Myślę, że on może mieć dość konkretny powód. Taki, który sprawia, że ta perspektywa nie należy już tylko do jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości.

– Jest chory? – spytał komisarz.

– Być może. Być może nawet śmiertelnie. To jest jego motywem. Nie zemsta, nie jakiś rodzaj parafilii, ale właśnie to.

– Ucieka przed śmiercią, zadając ją innym? – zapytał Królikiewicz.

– Tak! – Zemler niemal podskoczył na krześle. – Z psychologicznego punktu widzenia brzmi to prawdopodobnie.

– Z hermeneutycznego też – dodał Królikiewicz.

– Z jakiego? – spytał komisarz, unosząc brwi.

– Hermeneutycznego – powtórzył Królikiewicz. – Hermeneutyka, czyli sztuka objaśniania i interpretowania tekstów. Gdyby spróbować potraktować to, co zostawił nam morderca – zapalił się

jeszcze mocniej, zaczął żywiej gestykulować i częściej marszczyć nos – zarówno tekst wiersza, jak i to, co zrobił ze zwłokami...

– Upozowanie – podrzucił profiler.

– Właśnie, upozowanie, dziękuję... jako całość, jako spójne dzieło literacko-teatralne, powiedzmy, i spróbować jako taką całość je zinterpretować, to taka konstatacja byłaby jak najbardziej uprawniona.

– Chwileczkę, spróbujmy to uporządkować – przerwała im Sereżyńska. Dla niej też, podobnie jak dla komisarza, było tego wszystkiego odrobinę za dużo. – Czyli uważacie obaj, że sprawca jest śmiertelnie chory?

– Najprawdopodobniej – przyznał Zemler.

– Czuje na karku bliski oddech śmierci – dorzucił z pewną emfazą doktor Królikiewicz.

– I dlatego zabija?

– Tak.

– Oraz mieszka najprawdopodobniej w okolicach stacji metra Stare Bielany – dodał komisarz.

– I ma niewątpliwy, choć nie wiadomo dlaczego skrywany, talent poetycki – przypomniał literaturoznawca.

– I to jest wszystko, co o nim jak na razie wiemy – podsumował profiler.

ROZDZIAŁ 39

Był kompletnie wyczerpany. Fizycznie i psychicznie. Czuł pustkę, znowu. Był robotem mechanicznie wykonującym wszystkie czynności. Chciał spać. Ale nie dlatego, że był senny. Pragnął snu, bo pragnął nie być, chociaż przez chwilę. Wyciągnąć wtyczkę z gniazdka. Mówi się, że orgazm jest małą śmiercią. Co to za bzdura. To sen jest małą śmiercią, a śmierć jest wielkim snem. Czasami pragniemy jednego, bo tęsknimy za tym drugim.

Po raz pierwszy tak pomyślał. Po raz pierwszy, odkąd dowiedział się o swojej chorobie. Że to w sumie nawet dobrze, że niedługo przyjdzie koniec. Że ten sen, wielki sen, przyda mu się jak mało co. Wreszcie, po całym tym... życiu.

Tamto, co się wydarzyło, nie powinno się wydarzyć. Może stąd te myśli. I nie chodziło tylko o to, że było mu jej żal. Ani o to, że przez jedną naiwną chwilę pomyślał, że może pod sam koniec będzie miał szansę na to coś dziwnego, o czym zawsze marzył, choć nigdy tego nie doświadczył – szczęście. Nie o to, chociaż może też trochę o to; sam już nie wiedział. Bo przecież znowu dał się nabrać światu, choć obiecywał sobie, że nigdy już więcej nie będzie taki głupi.

Najbardziej bolało go jednak to, że stracił kontrolę. Nie nad sobą, nad biegiem wypadków. Bo przecież na tym między innymi miał polegać ten nowy człowiek, którym się stawał; na tym, że w odróżnieniu od tego poprzedniego ma władzę nad swoim życiem i nad rzeczywistością. Że robi to, co chce, i dokładnie to, czego chce. Nie jest już łódeczką podskakującą na falach, ale wielkim

lodołamaczem płynącym przed siebie bez względu na wszystko. A tu taka przykra niespodzianka.

Pod tym względem to, co się stało, było kompletną katastrofą. Pocałunkiem chaosu na zbyt butnie uśmiechniętej twarzy jego samozadowolenia. Wszystko poszło nie tak i nie dało się tego już naprawić. Gdy już było po wszystkim i chwilę odetchnął, rozejrzał się po burdelu, który po sobie zostawił, i zrozumiał, że nie da się tego tak łatwo posprzątać. Liczba śladów, które niefrasobliwie porozmieszczał naokoło, musiała być ogromna. Odciski palców, włosy, które zapewne zgubił, ślady ust na kieliszku, rozmaite płyny ustrojowe na jej ciele i wewnątrz niego – choćby tu został cały dzień, nie dałby rady ich wszystkich usunąć. A przecież nie mógł zostać zbyt długo.

Postanowił więc ratować, co się da, nie przejmując się zbytnio tym, czego uratować już nie zdoła. Całe szczęście stała tam zmywarka. Włożył do niej kieliszki i ją włączył. Zabrał ze sobą też butelkę po winie. Nie było tanie, pochodziło z jakiejś małej, rodzinnej winnicy w Hiszpanii i zapewne w niewielu miejscach w Warszawie można było je dostać. On kupił je w niewielkim sklepie z winami przy placu Inwalidów, a sprzedawca wyglądał na gościa, który zapamiętuje klientów. Zbyt łatwo byłoby go po czymś takim odnaleźć.

Cała reszta musiała zostać. Trudno. Ryzyk-fizyk. Było to nawet w jakimś sensie podniecające. Jakby podbijał w ten sposób stawkę, wychylał się jeszcze dalej poza krawędź urwiska. A zresztą może pociągające było tak naprawdę coś innego: perspektywa zakończenia tego wszystkiego, sprawiedliwej kary przywracającej porządek świata. Nie jest łatwo wyzwolić się z takiego myślenia, gdy przez całe dotychczasowe życie wierzyło się w takie bzdury. Gdzieś podświadomie, w głębi duszy, musiał ciągle tego pragnąć.

Tak, a teraz był znowu tu. W swoim zakratowanym więzieniu, w tej świątyni zła, którą sam zbudował. Patrzył na to coś, co stworzył i co teraz piętrzyło się przed nim na śmiesznym w tym

kontekście, zbyt trywialnym i niepoważnym stoliku z Ikei. Patrzył z niechęcią, nienawiścią wręcz. Dziś, teraz, miał ochotę to zniszczyć, rozwalić jednym ciosem albo kopnięciem. Spalić nawet. Może wraz z całym domem.

Ale nie zrobi tego. Cholera wie, co by się wtedy stało. Może by umarł? Mogłoby tak być. A tego by nie chciał. Mimo wszystko. Jednak. Nie.

Zamiast tego wyciągnął z torebki foliowej to, co w niej przyniósł. Swoje następne trofeum. Skórę zwierzęcia, które upolował. Spojrzał na nią i o mało nie zwymiotował. Powstrzymał ten odruch i ułożył ją na szczycie stosu. Rozłożył jak perukę na głowie manekina. Pasowała tu, nie można powiedzieć. Nadawała całości antropomorficzny charakter. Przypomniawszy sobie, że Indianie Ameryki Północnej uważali, że w tym fragmencie porośniętej włosami skóry mieściła się jedna z części ludzkiej duszy. Dlatego zdzierali ją z zabitych przez siebie wrogów i zabierali ze sobą. To też by pasowało.

Poskręcane włosy lśniły, iskrzyły się drobinkami czegoś błyszczącego. Podeszedł bliżej, przyjrzał się. Brokat. Widocznie w torebce, którą znalazł w tamtym mieszkaniu, przechowywane było wcześniej coś obsypanego tym migoczącym proszkiem. Śmiesznie to wyglądało. Ale też pasowało.

Potem uchylił okno. Najpierw w dużym pokoju, później w kuchni. Tak, aby zrobić przewiew. Jego fetysz trochę śmierdział. Teraz, gdy na jego czubku leżała skóra zwierzęcia, będzie śmierdział jeszcze bardziej. Dobrze, że było ciepło i sucho. Ale i tak musi kupić kadzidełka. One też będą tu pasowały.

Wyczerpany usiadł na kanapie. Potem przechylił się na bok i położył na niej, podkurczając nogi. Zasnął prawie od razu. Głębokim, łapczywym snem.

Śniły mu się dziwne, niepokojące rzeczy. Miasto z szerokimi ulicami i jakaś kobieta. Podeszła do niego i przytuliła się do niego, obejmując go od tyłu, jakby było jej zimno. Patrzyli razem na

budynek po drugiej stronie ulicy. Jakiś człowiek próbował wejść na niego, wspinając się po balkonach. Spadł.

Potem znowu leżał na swojej kanapie, ale ta kobieta leżała na niej razem z nim, ciągle obejmując go od tyłu. Czarne, poskręcane włosy łaskotały go po policzkach. Zrozumiał wtedy, że to ona. Jego ostatnia ofiara. Przestraszył się. Ale nie jakoś gwałtownie, raczej tak na spokojnie. Zrozumiał też, że to sen, i spróbował się obudzić. Zaczął wracać. Ciągle leżał na kanapie, ale coraz bardziej leżał na niej naprawdę. Jeszcze chwila i będzie mógł otworzyć oczy.

Wtedy poczuł, że kobieta za nim podnosi głowę i nachyla się nad nim od tyłu, jakby zaglądała mu w twarz. „Nie budź się” – powiedziała. „Nie bój się. Pomogę ci”.

Wtedy zrozumiał, kto naprawdę leży obok niego. Kto nachyla się nad nim, obejmuje go i przypatruje mu się z zainteresowaniem. Demon. Nie bał się jednak. Nie było czego. „Kim jesteś?” – spytał. „Twoim gniewem” – usłyszał.

ROZDZIAŁ 40

– Cholera jasna... – Komisarz Aleksanderski patrzył w dół na kanapę, na której leżały zwłoki kobiety. Kobiety, z którą jeszcze dwa dni temu rozmawiał. Kobiety młodej, inteligentnej, oszałamiająco pięknej, teraz będącej wyłącznie tym niepodobnym do człowieka czymś, co nadawało się już tylko do wyrzucenia.

Usiadł ciężko na fotelu, w dupie mając to, że być może zaciera tyłkiem jakieś ślady. Bolało go serce. Sięgnął ręką pod marynarkę i ucisnął dłonią miejsce koło lewego sutka, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc.

Dawno już przyzwyczał się do widoku trupów, ten jednak nim wstrząsnął. Być może przez potworne, niezrozumiałe marnotrawstwo tego bezsensownego wydarzenia. Wiadomo: każde życie jest cenne, lecz gdy ginie jakiś zmenelony pijak albo taki zadowolony z siebie buc jak Różański, trochę łatwiej to znieść, niż gdy umiera ktoś taki jak ona, ktoś pod każdym względem lepszy od większości ludzi.

Powinien tak naprawdę się cieszyć – to mógł być przełom, wiedział o tym – ale jakoś nie potrafił. Jeśli to ten sam sprawca, którego dotąd szukali – a trudno chyba sobie wyobrazić, by było inaczej – to ewidentnie popełnił błąd, atakując dwa razy w tym samym miejscu. Dwa ataki, i to w tak krótkim czasie, to dwa razy więcej śladów, dwa razy większa możliwość, że ktoś go zobaczył, i dwa razy większe prawdopodobieństwo, że czegoś nie dopilnował albo przeoczył. I to przede wszystkim ślad, że było tu coś, na czym mu szczególnie zależało.

Tylko czy oni też nie popełnili gdzieś błędu? Błędu, którego skutki miał teraz przed sobą. Nie mógł przestać o tym myśleć. Ta kobieta była ich świadkiem, przesłuchiwali ją, a więc w jakimś sensie przejęli za nią odpowiedzialność. Wiedział, że takie myślenie jest głupie, nie mieli przecież żadnych szans, by przewidzieć to, co się stało, ale nie potrafił mimo wszystko uwolnić się od poczucia winy, od złości i wstydu oraz przeświadczenia, że w jakiś sposób zawiódł. To przeświadczenie oczywiście bardzo łatwo było obalić za pomocą racjonalnej oceny sytuacji, mimo to – dziwna sprawa – wcale nie zniknęło.

– Panie komisarzu, mógłby pan...? – Technik w białym kombinezonie z włókniny przypomniał mu, że siedzi na samym środku sceny zbrodni.

– Tak, oczywiście. – Wstał i odszedł, zostawiając za sobą leżące na kanapie zwłoki. Zaczęła się chwila dla paparazzi. Jeden z techników fotografował wszystko aparatem, drugi filmował kamerą. Komisarz przyglądał się temu z bezpiecznej odległości, starając się wyrzucić z głowy wszystkie niepotrzebne, bezproduktywne myśli i skupić na tym, co widzi.

Nie zarejestrował nawet, jak wchodzi Sereżyńska.

– Szlag by to trafił – usłyszał jej głos. Mieli najwyraźniej podobne przemyślenia. – Kto ją znalazł?

– Jeden z jej znajomych, muzyk chyba. Byli umówieni. Nie otwierała i nie odbierała telefonów. Już miał zrezygnować, ale ktoś właśnie wychodził z budynku, więc wszedł do środka. Drzwi do mieszkania były otwarte. Wszedł i ją znalazł. Niestety podniósł poduszkę.

– Jaką poduszkę?

Z miejsca, gdzie stali, nie było widać drugiej strony kanapy.

– Jej głowa przykryta była poduszką – wyjaśnił komisarz.

– Co było pod nią?

– Zaraz zobaczysz. Widziałaś *Winnetou*?

Podprowadził ją tam, skąd widać było ciało. Technik robił właśnie zbliżenia głowy. Poduszka wciąż tam leżała. Zapewne mężczyzna, który odnalazł zwłoki, opuścił ją w to samo miejsce.

Fotograf klęknął i zrobił kilka zdjęć poduszki. Potem chwycił ją ostrożnie dłonią w lateksowej rękawiczce, podniósł i odłożył na bok.

– O ja pierdole... – jęknęła Seredyńska. Komisarz odwrócił wzrok.

– To ten nasz, prawda? – spytała.

– Wszystko na to wskazuje – potwierdził.

W jej głosie słyhać było grozę. Rozumiał dlaczego. Ten widok był w pewnym sensie gorszy niż poprzednia jatka na klatce schodowej. Tam wszystko pokrywała krew, lecz było to w jakiś sposób zwyczajne. To tu zaś nieludzkie, przerażające, tamujące dech w piersiach. Jakby objawiła się w tym miejscu jakaś zła siła, budząca strach, ale i jednocześnie fascynację.

– Gdzie jest ten gość? – spytała.

– Który?

– Ten, który ją znalazł.

– Doznał ciężkiego szoku. Zabrali go do szpitala.

– Rozmawiałeś z nim wcześniej?

– Nie ja.

– Mówił coś o tym, który go wpuścił do budynku? Tym, co otwierał akurat drzwi? Kto to był: kobieta, mężczyzna? Widział go wcześniej? Mieszka tu? – zadawała jedno pytanie za drugim, w zasadzie nie dając mu szansy na odpowiedź.

– Powiedział tylko to, co ci przekazałem, a potem kompletnie się załamał – wyjaśnił cierpliwie. – Nie było już z nim kontaktu.

– To może być kluczowe. Kiedy ona zginęła? Wiemy już coś?

– Patolog twierdzi, że raczej niedawno. Ale na ściślejsze informacje musimy poczekać do sekcji.

Przygryzła wargę w zamyśleniu.

– Czyli jest możliwe, że minął się w drzwiach z mordercą?

– Albo z kimkolwiek innym. Sąsiadem, dostawcą pizzy, kurierem DHL...

– Sam mówiłeś, że nikt tu nie mieszka. A wejścia do lokali usługowych są, jak zauważyłam, od ulicy. Zabezpieczyliście monitoring?

– Jeszcze nie, ale zrobimy to. Z tym że na klatce schodowej nie ma żadnej kamery, a ta na zewnątrz jest przed restauracją, więc wejście do budynku widać z niej niezbyt dobrze. Sprawdziłem to przy okazji tego poprzedniego zabójstwa.

– Było coś na niej widać?

– Tak. Zarejestrowała sam moment ataku.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?! – krzyknęła z wyrzutem.

Wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę nie było o czym cię informować. Widać ciemną sylwetkę czającą się w cieniu. Potem drzwi się otwierają, a ona rzuca się do przodu. Ubrana na czarno postać w kapturze. Wszystko trwa najwyżej sekundę. Nie da się dostrzec żadnych cech charakterystycznych.

Potrząsnęła głową, jakby sama się dziwiąc swojej naiwności.

– Jak wyglądała ta postać? – spytała.

– Szczupła, wysoka, raczej mężczyzna. Mniej więcej wzrostu ofiary.

– To teraz możemy je porównać. Czy to ten sam.

– Możemy – zgodził się.

– I może tym razem będzie widać więcej.

– Może.

Technik przykrył z powrotem głowę ofiary poduszką, jakby i on wolał na to nie patrzeć.

– Jakies inne ślady? – spytała Seredyńska, spoglądając w tamtą stronę.

– Niedawno zaczęli – odpowiedział Aleksanderski. – Musimy poczekać.

– Ślady napaści seksualnej?

– Garderoba na swoim miejscu. Ale jest coś ciekawego. Zmywarka – uściślił. – Były w niej dwa kieliszki po winie. I tylko one. Gdy tu

dotarliśmy, już skończyła pracować, ale wewnątrz było jeszcze ciepłe.

Popatrzyła na niego uważnie.

– O, to bardzo ciekawe – powiedziała. – A ten znajomy, który ją znalazł, pamięta, czy jeszcze wtedy chodziła?

– Nikt go, zdaje się, o to nie pytał. A teraz nie bardzo jest jak.

– Koniecznie to ustal, jak już dojdzie do siebie. Ile taka zmywarka może chodzić?

– Nie wiemy, jaki program był włączony. Najkrótszy trwa pewnie z pół godziny, najdłuższy ze trzy.

– To by znaczyło, że śmierć nastąpiła bardzo niedawno.

– I że być może sprawca i ofiara się znali.

– Myślisz, że pili razem wino, a potem on włączył zmywarkę, żeby zlikwidować ślady czerwieni wargowej na kieliszku?

– Chyba że to ona włączyła ją tuż przed jego wizytą.

– Mało prawdopodobne. Nikt nie włącza zmywarki tylko z dwoma kieliszkami.

Spojrzała znowu na głowę zakrytą poduszką.

– Myślisz, że to jest to? Ten błąd, który popełnił? – spytała.

– Miejmy nadzieję.

ROZDZIAŁ 41

– Dobrze, to co mamy? – spytała.

– Mnóstwo rzeczy – odpowiedział, siadając przed jej biurkiem. – Coś musiało pójść nie tak, bo facet pozostawiał całą kupę śladów. To zupełnie inna sytuacja niż przy dwóch poprzednich zabójstwach, gdzie nie było ich prawie wcale. Mam przeczucie, że nie planował tego, to musiało pójść na spontanie. Coś się stało, co zmusiło go do działania. Może go rozpoznała albo zorientowała się w czymś, więc musiał ją zabić? Albo nie potrafił nad sobą zapanować, nie wiem.

– To co konkretnie mamy?

– Pierwsza sprawa: monitoring. Nagrał się. I to niewątpliwie ten sam facet, co poprzednio. Wysłałem ci film na maila.

Przesunęła laptop na środek blatu i zaczęła wodzić palcem po panelu dotykowym. Wstał, obszedł biurko i stanął za jej plecami.

– Patrz. – Pokazał palcem na ekran. – To nasz świadek. Ten muzyk. Dzwoni domofonem, nikt nie odpowiada; wyciąga komórkę, znowu nic. Jeszcze raz domofon. Zbiera się do odejścia. I teraz patrz: drzwi się otwierają i wychodzi on.

Magiczna chwila. Po raz pierwszy patrzyli na człowieka, którego szukają.

– Niestety nie widać zbyt wiele – kontynuował. – Facet od razu skręca i odwraca się tyłem do kamery, która i tak jest dość daleko. Odchodzi. Ani przez chwilę nie widać twarzy. Mamy więc tylko sylwetkę. Jest szczupły, dość wysoki. Ubrany w ciemne dżinsy i czarną skórzaną kurtkę. Włosy ciemnobrązowe. Chyba już lekko

siwieje, chociaż z tej odległości i przy tej rozdzielczości trudno to jednoznacznie stwierdzić. To na pewno ten sam, co na poprzednim nagraniu. Masz je w drugim pliku. Sylwetka ta sama, tylko tam miał na głowie kaptur.

– Minęli się w drzwiach z tym muzykiem – stwierdziła. – Może coś zapamiętał? Da się go już przesłuchać?

– Dzwoniłem dziś do szpitala. Mają go wypuścić jutro rano.

– Dobrze. Od razu go zgarnij i przywieź do mnie.

Zamknęła laptop.

– Jasna sprawa – odparł i wrócił na swoje miejsce. Jeszcze przez chwilę czuł w nozdrzach zapach jej perfum.

– Co jeszcze? Odciski palców? – spytała.

– Z tym jest pewien problem. Jest ich oczywiście pełno, ale większość należy do obu denatek. Zabezpieczyliśmy kilka innych, ale są częściowe albo zatarte, praktycznie niemożliwe do identyfikacji. Najlepsze były na pewno na kieliszku i butelce, ale kieliszki umył, a butelkę zabrał. Na nagraniu widać, że ją niesie.

– Czemu ją zabrał? Mógł ją też włożyć do zmywarki.

– Prawdopodobnie chodzi o rodzaj wina. Jeśli nie było to Carlo Rossi albo inny sikacz dostępny w każdym supermarkecie, moglibyśmy spróbować dojść do niego przez sklep, który je sprzedaje.

– Spryciarz. Nie wiem, czybym o tym pomyślała. Zwłaszcza w takiej sytuacji.

– Mamy jednak coś znacznie lepszego niż odciski palców – powiedział.

– Co? – Spojrzała na niego uważnie.

– Sekcja wykazała, że ofiara przed śmiercią odbyła stosunek seksualny. Nie stwierdzono widocznych śladów przemocy, możemy więc założyć, że odbył się on za jej zgodą.

– Nie mów mi, że...

Kiwnął głową.

– Mamy jego DNA.

– No proszę... – Niemal gwizdnęła.

– Rozmawiałem też z Zemlerem. Twierdzi, że zakrycie głowy poduszką po wszystkim świadczy o stosunku emocjonalnym sprawcy do ofiary. Nie była mu obojętna. Poprzednim ofiarom głów nie zakrywał. Raczej nie była to więc szybka, przypadkowa randka z Tindera.

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Nie potrafiła ukryć podekscytowania w głosie. Uśmiechnął się. Miło było widzieć, jak się cieszy. – Nareszcie mamy coś konkretnego. Zbierz próbki od wszystkich jej męskich znajomych, od wszystkich mężczyzn pracujących lub mieszkających w tym budynku, a także od wszystkich, którzy przewinęli się w sprawie zabójstwa Różańskiego.

– Tych też?

– Nie możemy wykluczyć, że te sprawy łączy nie tylko osoba sprawcy. Przesłuchaj też wszystkich znajomych i znajome ostatniej ofiary i spytaj, czy się z kimś nie spotykała. Albo czy w ogóle w jej otoczeniu pojawił się ostatnio jakiś mężczyzna.

– Tak jest! – zasalutował żartobliwie.

– Musimy też spróbować odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zabił je obie. Dlaczego zaatakował w tym samym miejscu dwa razy?

– Może chciał zlikwidować świadka? Kogoś, kto mógłby w pewnym momencie zorientować się, że to on jest mordercą?

– To skąd ten stosunek emocjonalny? – spytała. – Gdyby chodziło tylko o to, nie zakrywałby jej głowy.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Może się w niej zakochał? Widziałaś ją. Nie było to trudne.

– Mówimy o człowieku, który zamordował w dość okrutny sposób trzy osoby. I jest prawdopodobnie mocno zaburzony.

– Ja też jestem zaburzony, a jednak zdarzyło mi się parę razy w życiu zakochać – odparł, patrząc na nią. Stary, głupi dziad. – Poza tym profiler twierdzi, że nie jest on raczej psychopata, może odczuwać silne emocje i to najprawdopodobniej z ich powodu zabija.

– Nie jest? – zdziwiła się. – Gość, który ma na koncie takie jatki, nie jest psychopata?

– Nie w rozumieniu psychologicznym. Wytłumaczył mi to. Psychopata nie czuje emocji, nie ma zdolności empatii, nie odczuwa też strachu. On czuje strach, boi się. Może więc równie dobrze doświadczać innych uczuć.

– Jak ją w ogóle zabił? Nie mówiłeś tego. Nie było tam zbyt dużo krwi.

– Przyczyną śmierci było uduszenie. Nie było jednak żadnych śladów na szyi. Za to na twarzy były otarcia. Prawdopodobnie przycisnął jej głowę do kanapy i w ten sposób odciął dopływ powietrza. Potem dopiero oskalpował. Gdy już nie żyła.

Potarła dłonią czoło, jakby próbowała ułożyć w ten sposób w mózgu te wszystkie informacje.

– O czym to może świadczyć? Mówił coś na ten temat? – spytała.

– Taki rodzaj zadania śmierci wydaje się sprawcy w miarę humanitarny. Zdarza się, że członkowie rodziny skracają w ten sposób męki umierających. Nie chciał zadawać jej bólu.

– Ciekawe – powiedziała. – Zupełnie inaczej niż w poprzednich przypadkach. Bardzo tu dużo tych różnic. Może to jednak nie on? Może ktoś podszył się tylko pod niego, załatwiając swoje własne porachunki?

– Też o tym pomyślałem. Spytałem o to tego naszego specjalistę od popaprańców. Twierdzi, że to mało prawdopodobne. Gdyby ktoś chciał coś takiego zrobić i upodobnić czyn do zabójstwa jej współniczki, nie wybrałby raczej skalpowania. To po pierwsze zbyt drastyczne, a po drugie zbyt... jak on to powiedział? Zbyt mało narzucające się rozwiązanie. Raczej by ją po prostu pociął albo zadźgał.

Uniosła się nagle nieco na krześle i usiadła na swojej zgiętej prawej nodze. Dziewczyński gest u czcigodnego i groźnego urzędnika państwowego. Rozczuliło go to.

– No tak. Znaleźliście narzędzie, którym to zrobił? – spytała.

– Nie, ale w stojaku na noże brakuje jednego. Nie przyniósł go więc ze sobą, tylko wykorzystał to, co było na miejscu. A potem zabrał. Kolejny dowód, że tego nie planował.

– Raz jeszcze: czemu nie włożył go do zmywarki, jak te kieliszki?

– Nie wiem. Myślę, że był spanikowany. Działał chaotycznie. Popełnił mnóstwo błędów.

– Któryś z nich, miejmy nadzieję, zaprowadzi nas pod jego drzwi.

ROZDZIAŁ 42

– Jesteś u siebie? – Dzwonił z samochodu, trzymając telefon lewą ręką. Kupił sobie kiedyś zestaw głośnomówiący, ale za cholere nie potrafił go uruchomić.

– Jestem – odpowiedziała.

– Będę za chwilę. Mam coś.

Musiał zmienić bieg, więc się rozłączył. Jako policjant nie powinien aż tak łamać przepisów. Kiedy kupi sobie wreszcie ten nowy samochód, musi zadbać, by zestaw głośnomówiący był już tam wbudowany. I żeby ktoś mu go skonfigurował.

Skręcił w ulicę Krasińskiego i ruszył w kierunku prokuratury rejonowej. Już po kilku minutach parkował przed brzydkim budynkiem w kształcie walca.

Wysiadł z samochodu i wszedł do budynku. Niemal wbiegł po schodach. Wpadł do jej gabinetu i opadł ciężko na krzesło. Popatrzyła na niego z lekkim rozbawieniem.

– To aż takie pilne? – spytała.

– Nie – odparł obojętnym tonem. – Po prostu dawno cię nie widziałem i trochę się stęskniłem.

Był to oczywiście żart, chociaż nie do końca.

– No dobra, dawaj. Co tam masz? – spytała.

– A może byś mi zaproponowała najpierw kawę albo herbatę? Tak przyjmujesz gości?

Był w świetnym humorze. Naprawdę coś znalazł. I choć nie mógł się doczekać, żeby się tym jej pochwalić, to z drugiej strony miał ochotę pocelebrować trochę tę chwilę.

– Zrób sobie. Tam stoi ekspres – odparła coraz bardziej zdziwiona. – Chyba umiesz go obsługiwać?

Chyba umiał. Choć zawsze, jak widział taki ekspres na kapsułki, miał ochotę po prostu zedrzeć z jednej z nich folię, wsypać zawartość do szklanki i zalać ją wrzątkiem.

– Jak tak, to się obejdzie. – Wzruszył żartobliwie ramionami. – Słuchaj... – Należało przejść do konkretów.

– Słucham cały czas. Co masz ciekawego?

Poprawił się na krześle. Nie mógł sobie odmówić tej chwili budowania napięcia.

– Sprawdził bilingi naszej ostatniej ofiary – powiedział.

– No i? – Popatrzyła na niego z uwagą.

– Większość numerów, z którymi się łączyła w ostatnim czasie, należała oczywiście do jej znajomych lub współpracowników, ale jeden nie.

– Kiedy z nim rozmawiała?

– W dniu morderstwa.

Seredyńska ze świstem wciągnęła powietrze.

– No to ciekawe! Wiecie, kto to?

– I tak, i nie.

– Co to znaczy? To wiecie czy nie wiecie?

– Wiemy, kto to jest, ale nie znamy nazwiska.

Była już tym wszystkim trochę zniecierpliwiona.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy nie?

Postanowił już dłużej nie przeciągać.

– Myślę, że był to telefon od jej przyszłego zabójcy. Zadzwoił do niej godzinę czy dwie przed jej śmiercią. Prawdopodobnie, żeby się umówić.

Zastanowiła się. Siedziała za biurkiem w samej tylko białej koszuli. Czarny zakiet wisiał na wieszaku przy drzwiach. Wyglądała trochę jak maturzystka pisząca egzamin. Miło było tak na nią patrzeć.

– To znaczy, że musiała go znać wcześniej – powiedziała. – To dlaczego nie wiecie, jak się nazywa?

– Nigdy wcześniej do niej nie dzwonił – odpowiedział. – Przynajmniej nie z tego numeru. Nie miała go też zapisanego w kontaktach.

– Zaraz, zaraz, poczekaj! Czegoś tu nie rozumiem... I spotkała się z nim w swojej pracowni? Piła z nim wino i uprawiała seks?

– Najwyraźniej. Nie to jest jednak tu najciekawsze.

– A co?

– Numer ten przypisany jest do karty prepaidowej w sieci T-mobile. Jak wiesz, od kilku lat także takie karty są rejestrowane. Wiemy, na kogo została zarejestrowana ta karta. Należała do niejakiego Sebastiana Janika, mieszkańca Grójca.

– Dlaczego: należała? – Zmarszczyła brwi.

– Został zamordowany mniej więcej półtora miesiąca temu.

Umysł prokurator Gabrieli Seredyńskiej momentalnie się wyostrzył.

– O cholera... – wyrzuciła z siebie.

– Podejrzany o to zabójstwo siedzi w areszcie – kontynuował. – Uparcie nie przyznaje się do winy. Prokurator postawił mu zarzut pobicia ze skutkiem śmiertelnym. Ofiara została dość brutalnie zakatowana. Stwierdzono też, że zaginął telefon komórkowy, który powinna mieć przy sobie. Co ciekawe, portfel z resztkami pieniędzy ciągle tkwił w jej kieszeni. Rzeczonego telefonu nie odnaleziono jednak w mieszkaniu podejrzanego ani w jego rzeczach.

– Może zdążył go sprzedać?

– Mało prawdopodobne. Aresztowano go bardzo szybko: w okolicach południa następnego dnia po zabójstwie, które miało miejsce w nocy. Był wtedy jeszcze dość mocno pijany, prawie nieprzytomny. Nie miał za bardzo kiedy go sprzedać. Poza tym jest jeszcze coś.

– Co?

– Karta była nieaktywna aż do teraz. Użyto jej tylko raz, w dzień zabójstwa naszej ostatniej ofiary. I potem znowu zamilkła.

Patrzyli sobie przez chwilę w oczy z powagą.

– Myślisz, że to ten sam? – spytała.

Rzucił jej na biurko teczkę z dokumentami.

– Masz tu materiały z tamtego śledztwa – powiedział. – Przejrzyj sobie. Zwróć uwagę zwłaszcza na zdjęcia.

Mógł jej to co prawda wysłać na maila, ale bał się, że wtedy zdąży to przeczytać przed jego przyjazdem i popsuje mu przyjemność wynikającą z tego małego show.

Otworzyła teczkę i zaczęła przeglądać zdjęcia.

– Spójrz na twarz – powiedział. – Nie przypomina ci ona czegoś? Facet został pobity, ale jest w niej coś upiornego. Jak ją zobaczyłem, od razu pomyślałem o Różańskim.

Pokiwała głową.

– Jest coś jeszcze, co łączy te dwie sprawy? – spytała.

– Niewiele – przyznał. – Na miejscu zabójstwa praktycznie nie znaleziono żadnych śladów. W ten wieczór padał deszcz, podobnie jak w przypadku zabójstwa Różańskiego. Jedyna ciekawa rzecz jest taka, że patolog wykrył w czasie sekcji w drogach oddechowych denata ślady moczu.

– Mocz? – zdziwiła się.

– Sprawca najprawdopodobniej nasikał na niego, gdy ten już leżał na ziemi.

– Czy z moczu da się wyodrębnić profil DNA?

Pokiwał głową. Mieli materiał z ostatniego zabójstwa. Mogłoby to połączyć te dwie sprawy.

– Sprawdziłem to. Niestety nic z tego. Teoretycznie jest to możliwe, bo w moczu są obecne komórki błony śluzowej naskórka, ale tylko przy zachowaniu określonych warunków. Dość duża próbka, dość świeża i niezanieczyszczona. W tym przypadku nic się nie da zrobić.

– Szkoda. – Wyglądała na naprawdę zawiedzioną. Po raz kolejny szansa na ruszenie z miejsca przemknęła im koło nosa.

– Ale ten telefon... – Spojrzał na nią. – To musi być on.

– Rozmawiałeś z Zemlerem? – spytała.

– Tak. Twierdzi, że to mogłoby być jego pierwsze zabójstwo. Pierwsze w ogóle. I że to oddanie moczu na ofiarę można zakwalifikować jako czynność rytualną, podobną do zbierania krwi czy ściągnięcia skalpu.

– Czy tego... – zerknęła w papiery – ...Janika może coś łączyć z następnymi ofiarami?

– Musimy to jeszcze dokładniej sprawdzić, ale na pierwszy rzut oka kompletnie nic. Mieszkał w mieście oddalonym o prawie pięćdziesiąt kilometrów stąd, należał do zupełnie innego środowiska, do innej warstwy społecznej. Był pijaczkiem utrzymującym się z prac dorywczych i zasiłków pomocy społecznej. Pozostałe ofiary to raczej górne szczeble drabiny społecznej.

– Nie przyjeżdżał do Warszawy pracować?

– Jego żona twierdzi, że nie. Najmował się do roboty na miejscu. Różański też, sprawdziłem to; nie miał żadnych interesów w Grójcu. W przypadku tych dwóch projektantek będzie to trochę trudniej ustalić, bo ich firma była dwuosobowa i obie nie żyją, ale to też sprawdzimy. Choć nie spodziewałbym się jakichś oszałamiających rezultatów.

– Rozumiem. – Puknęła długopisem w blat.

– Zemler też twierdzi, że jeśli to faktycznie ten sam sprawca, to zmienia to dość istotnie sytuację, jeśli chodzi o profilowanie geograficzne. Do tej pory zakładaliśmy, że zabójca mieszka gdzieś mniej więcej w okolicach stacji metra Stare Bielany, teraz nie możemy być tego tacy pewni. Jeśli postąpimy według zasad i nakreślimy okrąg, którego granice wyznaczają dwa najbardziej oddalone od siebie zabójstwa, to jego środek wypada gdzieś między Jankami a Sękocinem, czyli to tam powinien mieszkać zabójca. Ale biorąc pod uwagę, że trzech z czterech morderstw dokonano jednak

na terenie Bielan, taki wniosek może być jednak nie do końca uprawniony. Z powodów, których jeszcze nie znamy.

Komisarz niemal dokładnie przytoczył słowa profilerka i poczuł nawet pewną przyjemność z mówienia tak precyzyjnym językiem.

– Chwileczkę... – Seredyńska w dalszym ciągu stuknęła długopisem o biurko. – Ustaliliśmy, zdaje się, że nasz sprawca może mieć jakąś poważną chorobę...

– Do takiego wniosku doszli Zemler i ten drugi magik z polonistyki – potwierdził.

– Czy wobec tego nie można by zbadać tamtej próbki moczu właśnie pod tym kątem? – Spojrzała na niego.

Przez chwilę nie rozumiał.

– W sensie: oddać do analizy?

– Tak. Tak jak się bada normalny mocz żywych ludzi. W celu wykrycia ewentualnych chorób. Sprawdź to – powiedziała. – Takie badanie to co innego niż profilowanie DNA, nie trzeba tam szukać jakichś błon naskórka, wystarczy zbadać skład chemiczny płynu, więc może się uda.

Popatrzył na nią z uznaniem. Miał całkiem spoko szefową.

ROZDZIAŁ 43

Patrzył na stos rzeczy piętrzący się na stoliku z Ikei. Zastony były zaciągnięte, więc w pokoju pomimo dnia panował półmrok. Dym z indyjskich kadzidełek kupionych w sklepie w centrum snuł się wokół niebieską mgiełką. Słońce, które przeciskało się przez szpary w materiale zasłaniającym okna, wycinało w tej mgle szpalery światła, w których tańczyły drobinki kurzu i obłoczki dymu.

Dobrze dobrał zapach kadzidełek, musiał to przyznać. Prawie nie czuć było zza ich duszącej woni zapachu skóry zwierzęcia wysychającej powoli na czubku stosu. Na jej sierści wciąż migotały drobinki brokatu.

Czegoś tu jednak brakowało, czuł to bardzo wyraźnie. Wiedział czego. Co więcej, miał to coś w swoim domu. Ostatni brakujący element. Być może najważniejszy. I być może właśnie dlatego bał się go tu dołożyć. Jeśli to zrobi, jego fetysz, jego totem, jego demon będzie kompletny. Ożyje. A on pragnął i obawiał się tego jednocześnie.

Na razie trzymał to w piwnicy. W najgłębszym loszku pod schodami, w którym jego rodzice trzymali kiedyś przetwory. Parę ich jeszcze zostało. Zakurzone słoje, w których nie wiadomo co było. Kompoty z czereśni, dawno już spleśniałe ogórki, powidła śliwkowe i wiśniowe, zrobione z owoców zebranych z dawno już wyciętych drzew.

Tam właśnie, oparte o nigdy nieotynkowaną ścianę z czerwonych cegieł, na półce z neoheblowanej deski leżało to coś. Owinięte w foliową torebkę i na wszelki, przesądny wypadek odwrócone

przodem do ściany. W tej jaskini, w tej grocie, w tym jego prywatnym, domowym infernum czekało na swój czas.

Wsluchiwał się w swój organizm, w ten rozregulowany, popsuty zegar, który ciągle jeszcze jednak chodził. Tik-tak, tik-tak, tik-tak. Jego serce biło, lecz jemu wydawało się, że robi to coraz wolniej. Może to dziś powinien być ten dzień? Dzień, w którym włoży rdzeń do reaktora? W którym zapoczątkuje ostateczną przemianę? Na co miał w końcu czekać? Aż zegar stanie?

Zszedł do piwnicy. W kąciku pod schodami były drzwi. Stare, pomalowane na biało, z mleczną szybą osadzoną na kit, jakich nie było już nigdzie indziej w całym domu. Otworzył je kluczem wiszącym obok na gwoździu. Po pięciu betonowych schodkach zszedł na dół. Pomieszczenie było niewielkie. Gdy stał na jego środku, mógł dosięgnąć wszystkich półek i wszystkich słoików naokoło, i to nawet nie prostując specjalnie ręki.

Z przodu, po lewej stronie, nad półką z zakurzonymi kompotami była niewielka wnęka w ścianie. Zawsze zastanawiał się, po co ktoś ją tu wymurował, bo nie potrafił znaleźć dla niej żadnego praktycznego zastosowania. Teraz to zastosowanie się znalazło. To właśnie w nią wciśnięty był owinięty niebieską folią przedmiot, po który tu przyszedł.

Wyjął go ostrożnie i nie odwijając, zaniósł na górę. Bał się na niego nawet spojrzeć, mimo że osłonięty był przecież torebką. Skąd ten nagły strach? Nie do końca wiedział. Faktem jednak było, że czuł go, czuł fizycznie. Czuł podskórne mrowienie, napór na zwieracz, czuł prąd łaskoczący jego palce trzymające zawiniątko. Gdy szedł po schodach na górę, jego kroki były niepewne, chwiejne, jakby ktoś lub coś obserwoowało jego drogę.

W końcu się tam jednak znalazł. Położył zawiniątko na stoliku pod lustrem w przedpokoju i odetchnął głęboko. Wyglądało teraz normalnie, zwyczajnie i wcale nie przerażająco. Tak zwyczajnie i normalnie, że nie myśląc wiele, wziął je w ręce i rozpakował.

Nie, nie strzelił go piorun ani nie zważyło go z nóg. Poczuł nawet pewien rodzaj zawodu. Kolejny dowód na to, że to, co wyobrażone, jest zawsze straszniejsze od tego, co się naprawdę widzi. Trzymał ją w ręku i... w zasadzie tyle. Afrykańska maska, którą zdjął ze ściany w pracowni tamtej kobiety. „Tamtej kobiety” – właśnie tak. Wiedział oczywiście, jak miała na imię, ale nawet w myślach pilnował się, aby go nie używać.

Dopiero teraz, patrząc na maskę z odległości własnych ramion, widział, jak nieporadnie jest wyrzeźbiona i pomalowana. I jak jest stara i zniszczona. Takie kupione w sklepikach z pamiątkami na pewno wyglądały o wiele lepiej. Ta jednak podobno była autentyczna, używana w prawdziwych obrzędach. Tak przynajmniej mówiła... tamta kobieta. Jeśli tak, to na pierwszy rzut oka nie było w niej niczego nadzwyczajnego. Naiwnością wykonania przypominała drewniane świątki rzeźbione na polskich wsiach przez ludowych artystów.

Odwrócił ją na drugą stronę. W środku była po prostu drewniana. Widać było ślady noża czy też dłuta, którym jej wykonawca wybierał ze środka materiał. Z jej obu boków przymocowane były kolorowe, spłowiałe wstążki, którymi zapewne przywiązywało się ją do głowy. Odłożył torebkę na stolik i przyłożył maskę do twarzy. Pachniała dziwnie: kurzem i jakimś nieznanym, egzotycznym rodzajem drewna.

Spojrzał w lustro przez otwory na oczy. Patrzyła na niego czarno-czerwono-żółta, wykrzywiona twarz z błyskającymi, lśniąco białymi na jej tle białkami oczu. Zamrugał. Dziwne wrażenie. Jakby to był on i jednocześnie nie on. Oczy były jego, oczy poznawał, a one są przecież najważniejsze. Dzięki nim utożsamiał się z tym widokiem, nie czuł jego obcości. Mimo że rysy, wykrzywione w jakby pośmiertnym wyrazie wściekłości i przerażenia, nie były tymi, które codziennie widział w lustrze.

Nagle je poznał. Poznał te rysy twarzy. Zrozumiał, z czym od początku kojarzyła mu się ta maska. Przypomniał sobie noc na

parkingu między wielkimi blokami. I tamtego dupka wysiadającego z bmw. A potem to, co z nim zrobił. Co zrobił z jego twarzą. Gdy już po wszystkim rzeźbił ją swoim nożem, jakby był w jakimś hipnotycznym transie.

To właśnie ona teraz na niego patrzyła. Ona mrugała do niego oczami. Ona wykrzywiała się do niego w uśmiechu, w którym teraz dostrzegł sarkastyczną złośliwość. Nie, nie wściekłość i przerażenie, raczej kpinę. Ale także coś więcej: satysfakcję.

Zerwał ją przestraszony z twarzy. I dopiero wtedy naprawdę się przeraził. Jego własna twarz, twarz z mięśni, skóry i kości, wykrzywiona była w podobnym grymasie. Jakby maska była formą, którą jego twarz przyjęła; pieczęcią, która się na niej odcisnęła. Jakby jego własna twarz stała się jej odlewem.

I wtedy to zrozumiał. Zrozumiał wszystko w jednym krótkim przebłysku. To nie on odnalazł tę maskę. To ona go przywołała. Ściągnęła go do tej pracowni na piętrze, kazała złożyć sobie w ofierze swojego poprzedniego opiekuna, a teraz wzięła go w posiadanie.

ROZDZIAŁ 44

– Dzień dobry, pani Gabrielo, proszę spocząć.

Gabinet, do którego weszła, był znacznie większy od jej gabinetu; biurko, przed którym usiadła, też było większe od jej biurka, a mężczyzna, który za nim siedział, był dwa, a może nawet trzy razy większy od niej. Odkąd go poznała, nie mogła opędzić się od myśli, że gdyby tylko zechciał, mógłby ją rozerwać jak piezzonego kurczaka i pożreć.

Nigdy jednak nie sprawiał wrażenia, że miałby ochotę to zrobić. I to nie tylko dlatego, że od paru miesięcy był wegetarianinem. Nie z powodów etycznych, ale zdrowotnych. Wysoki cholesterol i nadciśnienie postanowił spędzić dietą i ćwiczeniami. Jego oczy od tej pory patrzyły z jeszcze większą smutną rezygnacją, a ogromne ciało zmniejszało się nieco z każdym tygodniem.

Nie zabiło to jednak w nim życzliwości. Uczucia, które zdawał się żywić w stosunku do wszystkich ludzi, nie tylko wobec swojej nowej, młodej podwładnej. Była to niezwykła cecha jak na przedstawiciela zawodu, którego wykonywanie polegało przecież na przypisywaniu ludziom jak najgorszych cech i oskarżaniu ich o jak najstraszniejsze uczynki.

– Pani Gabrielo. – Prokurator rejonowy dla Warszawy-Żoliborza, Witold Górecki, popatrzył na nią spod swoich krzaczastych brwi. – Słyszałem, że znalazła pani kolejnego trupa w sprawie zabójstwa Różańskiego...

– Tak, niestety – powiedziała to, jakby się usprawiedliwiała. Rzadko bywała onieśmielona, lecz ten człowiek tak na nią działał.

I to nie dlatego, że był jej bezpośrednim przełożonym. Raczej dlatego, że trudno nie być onieśmielonym, gdy rozmawia się z niedźwiedziem.

– Hmm – zamruczał z głębi swoich przepastnych płuc Górecki. – Coś dużo tych nieboszczyków się zrobiło. Troje u nas i jeden u kolegów z Grójca... Jest pani pewna, że te zabójstwa są powiązane?

– Stuprocentowej pewności nie mam – odpowiedziała znacznie już pewniej. – Łączy je tylko jeden element, za to, moim zdaniem, bardzo znaczący. Ktoś dzwonił do naszej ostatniej ofiary z numeru telefonu, który należał do mężczyzny zamordowanego w Grójcu. Wcześniej przez cały ten czas numer ten nie był aktywny. Prokuratura Rejonowa w Grójcu oskarżyła o to zabójstwo znajomego ofiary, mężczyznę, z którym denat pił poprzedniej nocy alkohol, jednak nie potrafiła przedstawić mu żadnych przekonujących dowodów, a oskarżony nie przyznaje się do winy.

Prokurator Górecki pokiwał powoli głową.

– Gdzie logował się ten telefon w trakcie połączenia? – spytał.

– U nas. W promieniu trzech–czterech kilometrów od miejsca ostatniego zabójstwa.

Górecki spojrzał w leżące przed nim papiery.

– Robi się z tego naprawdę duża sprawa – powiedział. – Jest pani pewna, że sobie pani z nią poradzi?

– Ma pan jakieś zastrzeżenia do mojej pracy? – spytała zaczepnie. Po jej wcześniejszym onieśmieleniu nie było już nawet śladu.

– Nie, nie. – Górecki uniósł dłonie. – Po prostu jest pani młoda, niedoświadczona i pracuje tu pani od niedawna. A my mamy tu seryjnego mordercę. To będzie naprawdę skomplikowane śledztwo.

– Z którym na pewno sobie poradzę. Nie dałam panu dotychczas żadnych powodów, by pan w to wątpił.

– Oczywiście, oczywiście... – Prokurator Górecki wyglądał, jakby miał zamiar coś jej powiedzieć, ale nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

– Chce mi je pan odebrać? – spytała, patrząc mu w oczy.

Odwrócił wzrok.

– Takie śledztwa powinna prowadzić raczej prokuratura okręgowa... – powiedział.

– Niech mi pan załatwi delegację – wypaliła bezczelnie. – Przejdę do okręgowej wraz z tą sprawą i tam ją poprowadzę.

Zamrugnął zaskoczony.

– Jest pani bardzo młoda – powtórzył. – Delegacja do prokuratury okręgowej kogoś z pani dorobkiem to dosyć nietypowa sytuacja...

Wyprostowała się na krześle. Nie cierpiała, gdy ktoś traktował ją w ten sposób, nawet gdy miał ku temu obiektywne powody.

– Znam tę sprawę od podszewki – powiedziała pewnym głosem. – To ja połączyłem te wszystkie zabójstwa. Gdyby nie ja, nikt by nawet nie wiedział, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. I nikt by nie wpadł na to, że trzeba tę sprawę gdzieś przenieść. Poza tym ten człowiek będzie dalej zabijał. Ostatnio mocno przyspieszył. Zanim nowy prokurator zapozna się z aktami, minie wiele cennego czasu. Czasu mierzonego kolejnymi trupami. Mogą mi przydzielić tam kogoś do pomocy, lecz uważam, że dla dobra śledztwa powinnam mieć nadal z nim kontakt.

Górecki odsunął się wraz krzesłem od biurka i spojrzał na nią, jakby się zastanawiał.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Porozmawiam z prokuratorem okręgowym. Jeśli przekonają go pani argumenty, zachowa pani tę sprawę.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Cenię pani upór i determinację – dodał. – Ktoś, kto chce rozwiązać tę sprawę, musi niewątpliwie mieć obie te cechy.

ROZDZIAŁ 45

Człowiek, który przed nią siedział, nie wyglądał zbyt dobrze, mimo że był całkiem przystojnym mężczyzną. Długie włosy spięte w kucyk, kilkudniowy zarost, pociągła twarz z orlim nosem – jeszcze kilka dni temu musiał robić duże wrażenie na przedstawicielkach płci przeciwnej. Nawet dziś zresztą sporo pań zapewne chętnie by się nim zaopiekowało, zwłaszcza że jego podkrążone, przygasłe oczy i ściągnięta cierpieniem twarz nadawały jego postaci rys szlachetności i romantyzmu. Gdyby prokurator Gabriela Seredyńska spotkała go prywatnie, na pewno spojrzałaby na niego z zainteresowaniem. Teraz jednak była w pracy, a w pracy wszelkie tego typu myśli i emocje powinny się automatycznie wyłączać.

– Pana imię i nazwisko? – spytała, starając się, by jej zawodowy ton brzmiał tym razem odrobinę łagodniej.

– Mirosław Trzeciński – odparł, nie podnosząc na nią spojrzenia.

Rozmawiali w gabinecie lekarskim w szpitalu psychiatrycznym na ulicy Sobieskiego, skąd, mimo wcześniejszych zapewnień, lekarze nie zdecydowali się wypuścić jej świadka. Zgodzili się jednak na przesłuchanie. Pod warunkiem jednakże, że towarzyszyć im będzie – i w razie czego interweniować – jeden z lekarzy. Prokurator Seredyńska zgodziła się na ten dość kuriozalny warunek, bo zależało jej na czasie. Mirosław Trzeciński nie wyglądał na dziecko ani na ofiarę przemocy seksualnej, a to zazwyczaj świadków tych dwóch kategorii przesłuchiowano w obecności psychologa.

– Od jak dawna znał pan Oliwię Mandinkeye? – spytała.

– Od mniej więcej roku – odpowiedział.
– W jaki sposób się poznaliście?
– Przyszła ze Stenią na nasz koncert. Stenia jest... była – poprawił się – znajomą Kuby, naszego klawiszowca. Potem spotykaliśmy się przy różnych okazjach. W końcu zaproponowała mi, to znaczy nam, współpracę.

– Współpracę? Jakiego rodzaju?

– Mieliśmy grać na różnych eventach, które organizowała w związku ze swoją pracą. Wykorzystywała też naszą muzykę jako podkład dla swoich filmików, które wrzucała na Facebooka i Instagram.

– Dobrze układała wam się współpraca?

– Dobrze.

– Nie było żadnych konfliktów? Na przykład na tle finansowym?

Uśmiechnął się ledwo zauważalnie.

– Nie było żadnego tła finansowego. Robiliśmy to po przyjacielsku.

– Koledzy się nie buntowali? – rzuciła.

Że wykorzystywał ich pan do swoich prywatnych celów? – dodała w myślach.

Po raz pierwszy podniósł na nią wzrok.

– Trochę – odpowiedział. – Ale to ja jestem liderem.

– Byliście parą?

– Nie. – Ponownie zwiesił głowę. – Bardzo żałuję, ale nie.

Zabrzmiało to wiarygodnie.

– Przepraszam, ale muszę o to spytać – powiedziała. – Czy uprawialiście seks w dniu, w którym zginęła?

Spojrzał na nią pociemniałymi oczyma. Chyba zrozumiał, dlaczego go o to spytała.

– Nie – odparł po chwili. – Nigdy do niczego między nami nie doszło.

Bezbrzeżny smutek tego wyznania nawet na niej zrobił wrażenie. Udała, że zapisuje coś w papierach.

– Dobrze – powiedziała. – Wróćmy do momentu, w którym znalazł pan ciało. Dlaczego pan się u niej zjawiał?

– Byliśmy umówieni. Mieliśmy wybierać muzykę do filmiku nagranych podczas jej ostatniego pokazu.

– Często pan bywał u niej w pracowni?

– Dość często. Ale nie tylko ja. To było raczej otwarte miejsce. Można tam było wpaść, kiedy się chciało, i wielu znajomych i przyjaciół tak robiło. Prawie zawsze któraś z dziewczyn była na miejscu.

To by tłumaczyło łatwość, z jaką zabójca dostał się do pracowni, pomyślała Seredyńska. Z tego, co mówił ten mężczyzna, nie było to zbyt trudne.

– Ale pan się umówił na konkretną godzinę? – spytała.

– Nie, miałem przyjść, jak skończę próbę mojego zespołu, a one trwają bardzo różnie, czasami dłużej, czasami krócej. Ale zadzwoniłem rano, żeby się upewnić, że Oliwia będzie na miejscu. Poza tym po śmierci Steni nie wiedziałem, czy w ogóle ma głowę, żeby się do tego brać.

– Co panu odpowiedziała?

– Że będzie w pracowni cały dzień i żebym przyszedł, bo musi czymś się zająć. A poza tym trzeba to zrobić. Zawsze była bardzo obowiązkowa.

– Zeznał pan poprzednim razem, że drzwi do pracowni były otwarte. Nie zdziwiło to pana?

– Niespecjalnie. To się zdarzało też wcześniej. Zwłaszcza gdy ktoś ze znajomych był w środku. Nawet pomyślałem sobie, że po tym, co się stało, powinna je raczej zamykać.

Wzrok Trzcinińskiego znieruchomiał utkwiony w bezpowrotnie minionej przeszłości. Lekarka w białym kitlu i okularach bez oprawek, przysłuchująca im się spod ściany, podniosła głowę gotowa do interwencji.

– Wszedł pan do środka i co dalej? – spytała szybko.

– Było cicho, nikogo nie widziałem. Zawołałem Oliwię po imieniu. Nikt nie odpowiedział. Pomyślałem, że pewnie jest w łazience.

– Zmywarka jeszcze chodziła? Pamięta pan?

Zastanowił się.

– Nie. Nie wiem. Nie potrafię odpowiedzieć. Była dosyć cicha.

– Zauważył pan coś dziwnego? Zanim pan odkrył zwłoki? Coś odbiegającego od normy?

– Tak. – Tym razem odpowiedział od razu. – Nie było maski. Od razu rzuciło mi się to w oczy.

Seredyńska od razu zbystrzała. To było coś nowego.

– Jakiej maski? – spytała.

– Afrykańskiej. Wisiała na ścianie. Była bardzo charakterystyczna. Oliwia przywozła ją z Afryki, gdy była u swojej rodziny. Wisiała w centralnym miejscu, na wprost wejścia, i wszyscy na nią zwracali uwagę. Trudno jej było nie zauważyć.

– Jak wyglądała?

– Drewniana, czarno-czerwono-żółta, trochę zniszczona. Miała dość przerażający wyraz twarzy. Podobno była prawdziwa, to znaczy używano jej podczas prawdziwych obrzędów. Tak przynajmniej twierdziła Oliwia.

– Była cenna?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem, chyba nie. Oliwia traktowała ją bardziej jak ciekawostkę niż cokolwiek innego.

– Coś jeszcze dziwnego pan zauważył?

– Nie, raczej nie. Wszystko było normalnie. Żadnego bałaganu ani niczego w tym stylu. Ciało Oliwii nie widziałem, bo zasłaniało je oparcie kanapy. Dopiero potem, gdy wszedłem głębiej... Nic w każdym razie nie wskazywało na to, że stało się tam coś złego.

– Cofnijmy się do chwili, gdy wchodził pan do budynku. – Z rozmysłem pozostawiła to pytanie na koniec. – Jak się pan dostał do środka?

– Oliwia nie otwierała; zadzwoniłem do niej na komórkę, też nie odebrała. Już chciałem odejść, ale ktoś wychodził i otworzył drzwi. Skorzystałem z okazji i wszedłem.

– Kto to był, pamięta pan?

– Mężczyzna. Wysoki, szczupły, w średnim wieku. Ubrany w skórzaną kurtkę. Włosy lekko już siwiejące.

– W jakim kolorze?

– Nie mam pojęcia. Nie jestem zbyt dobry, jeśli chodzi o rozpoznawanie kolorów. Na pewno nie był blondynem. To znaczy nie takim jasnym. Szatyn albo ciemny blondyn; nie do końca to rozróżniam.

– Potrafiłby pan opisać jego twarz?

– Nie. Przykro mi. Jestem muzykiem, nie mam za grosz wyobraźni plastycznej, a on mignął mi tylko przez chwilę.

– Niech pan chociaż spróbuje – zachęciła go prokurator.

– Nie ma szans. Myślałem o tym podczas całego pobytu tutaj. Nie mam pamięci do twarzy. Nie potrafię nawet powiedzieć, jakiego koloru miał oczy czy jaki miał kształt nosa.

– Niech się pan postara. Bardzo by nam to pomogło.

– To on zabił Oliwię, prawda?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– A ja nie jestem w stanie go opisać... – Zwiesił głowę jeszcze niżej.

– Myślę, że powinniśmy już skończyć – odezwała się kobieta w lekarskim kitlu siedząca na krześle pod ścianą.

– Jeszcze chwilę. – Sreedyńska uciszyła ją stanowczym gestem dłoni. – Może jednak coś pan zapamiętał? Jakiś dźwięk, markę butów, zapach... cokolwiek...

Mężczyzna uniósł głowę.

– Zapach... – powiedział. – Perfumy Givenchy Gentelman. Był nimi spryskany. Miałem kiedyś takie same. I woń skóry...

– Jakiej skóry?

– Nowej. Nowej skórzanej kurtki. Takiej prosto ze sklepu. Stare już tak nie pachną.

Spojrzał na nią. Do jego oczu wróciło życie.

– Spotkałem go wcześniej – powiedział. – Jestem tego pewien. Był na pokazie Oliwii. Rozmawiał z nią.

ROZDZIAŁ 46

Odetchnęła głęboko. Już dawno powinna była to zrobić. Minęło sporo czasu, odkąd przeprowadziła się do Warszawy, a to powinna być jedna z pierwszych rzeczy, którymi się tu zajmie. Jedna z pierwszych na liście. A jednak nie była. Odkładała to z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, za każdym razem znajdując odpowiednio racjonalne i wiarygodnie brzmiące powody. Na początku, wiadomo, nie miała czasu, bo musiała urządzić się po przeprowadzce. Potem zamieszanie związane z nową pracą i wdrożeniem się w obowiązki stało się bardzo wygodnym usprawiedliwieniem. Później to śledztwo – też wiadomo.

Prawdziwy powód był jednak inny: wcale nie chciała tego robić. To znaczy nie, to nie do końca tak. Chciała i nie chciała jednocześnie. Im mocniej tego pragnęła, tym bardziej się przed tym broniła. Zupełnie nieprofesjonalne podejście. Całe szczęście dotyczyło jej życia osobistego, nie zawodowego.

W końcu jednak nie dało się już tego dłużej odwlekać. Postanowiła potraktować to jak zadanie do wykonania. Punkt na liście, który trzeba odhaczyć, żeby mieć go wreszcie z głowy. Nawet wpisała go w swój internetowy kalendarz. Ustawiła powiadomienie. Dziś właśnie się odezwało.

Tak więc odetchnęła głęboko. Sięgnęła po telefon. Pokonała atak paniki, zignorowała podszepty przerażonego mózgu wynajdującego na gwałt najprzeróżniejsze, o wiele, wiele pilniejsze sprawy do załatwienia, i odnalazła właściwy numer. Stacjonarny, nie komórkowy. Komórkowego nawet nie znała.

Istniała szansa, że nie będzie go w domu. Uchwyciła się tej możliwości z całych sił. Tak, na pewno go nie będzie. A wtedy z czystym sumieniem odłoży to na kolejne nie wiadomo kiedy. Tylko dlatego zdołała wybrać numer.

Niestety, a może stety, po piątym sygnale, kiedy już powoli, z ulgą zabierała się do przerwania połączenia, po drugiej stronie ktoś się odezwał.

– Halo! – usłyszała głos.

Przełknęła ślinę. Jeszcze przez chwilę walczyła z pokusą, żeby odłożyć słuchawkę – nie znał jej numeru, nie wiedziałby, że to ona dzwoni – w końcu jednak odpowiedziała.

– Cześć, to ja. Gabriela.

Chwila ciszy. Dość długa. Nie spodziewał się tego. Nie był przygotowany. A może po prostu musiał przypomnieć sobie, kim była? – pomyślała z goryczą.

– Cześć, miło cię słyszeć – odpowiedział w końcu. – Co u ciebie?

– Jestem w Warszawie – wydusiła z siebie. – Może byśmy się spotkali?

Znowu cisza.

– Długo będziesz?

– Przeprowadziłam się tutaj. Dostałam pracę. Czyli długo.

Rezerwa – to było w jego głosie. Tak jak zawsze. Już wiele lat temu zrozumiała, jaki był jego do niej stosunek. Obojętność połączona z poczuciem obowiązku. Plus zniecierpliwienie, że musi zmieniać z jej powodu swoje plany. Dokładnie tak pewnie było i tym razem. Dlaczego nie mogła po prostu o nim zapomnieć? Do czego był jej jeszcze potrzebny?

– Gdzie pracujesz? – Wreszcie odrobina zainteresowania w głosie.

– W prokuraturze. Skończyłam prawo, pamiętasz? Zrobiłam aplikację.

To, że skończyła studia, powinien wiedzieć. Chociażby z tego powodu, że ustał wtedy obowiązek alimentacyjny.

– Tak, oczywiście – odpowiedział. – Gratuluję. Jestem z Ciebie dumny, córeczko.

Zabrzmiało to tak konwencjonalnie i było tak wyprane z wszelkich emocji, że po raz drugi miała ochotę odłożyć słuchawkę. Wtedy jednak powiedział:

– Dobrze, spotkajmy się. Kiedy?

– Może jutro. Masz czas? – Musi skończyć tę rozmowę szybko, bo zaraz zacznie jej się łamać głos.

– Jutro? Mam. O której?

– Wieczorem. Osiemnasta?

– Może być.

– U Ciebie? Mieszkasz tam, gdzie kiedyś?

Pamiętała adres bardzo dobrze. Przyjeżdżała tam pociągiem raz w miesiącu na weekend. Aż do czasu, gdy jako nastolatka zbuntowała się przeciwko temu obowiązkowi, a on przyjął to z wyraźną ulgą.

– Nie, nie u mnie – odparł. – Mieszkam sam i nie sprzątam zbyt często. Spotkajmy się na mieście. U Wedla na Szpitalnej.

Gula w jej gardle jeszcze urosła. To był obowiązkowy punkt każdego pobytu. Wyprawa do najstarszej pijalni czekolady w mieście. Sposób na to, żeby pokazać, że tatusiowi się powodzi, i jednocześnie by nie musieć rozmawiać z córką przez co najmniej dwie godziny, jakie zajmowała podróż w obie strony oraz konsumpcja ciastka i czekolady w tym nadzwyczaj eleganckim i onieśmielającym dziewczynkę z prowincji miejscu.

– Jesteśmy w takim razie umówieni – powiedziała. – Do jutra.

Rozłączyła się. W samą porę, bo jeszcze chwila, a kompletnie by się rozkleiła. Nie była jednak aż taką zimną suką, jak to sobie zazwyczaj wmawiała. Przynajmniej nie w tym jednym, konkretnym przypadku. Ta dziura w jej sercu ciągle ziała pustką. Nie zarosła pomimo tylu lat. Niech Cię szlag, skurwysynu, pomyślała. Niech Cię jasny, postępujący, bolesny szlag!

ROZDZIAŁ 47

Od rana była rozkojarzona. Przez niego. Wczoraj wieczorem wypła prawie całą butelkę czerwonego wina, a potem i tak nie mogła usnąć. Rano ledwo zwlokła się z łóżka. Podkrążone oczy, cierpki taninowy posmak w ustach i ten tępy ból w tyle głowy – tak właśnie jej organizm cieszył się na spotkanie ukochanego tatusia.

Koło dziesiątej przyszedł do niej komisarz Aleksanderski. Usiadł naprzeciwko biurka i założył nonszalancko nogę na nogę, jakby próbował przerobić jej krzesło na kanapę. Spojrzała na niego po raz pierwszy chyba z życzliwością. Dlaczego nie mogła mieć takiego ojca? Dokładnie takiego. Szorstkiego, gburowatego, nie za dobrze ubranego, lekko zaniedbanego, ale odnoszącego się do niej z wyraźną sympatią? W jego spojrzeniu była akceptacja, lubił ją; właśnie to sobie uświadomiła – ten stary gliniarz w rozczłapanych butach ją lubił. Choć nie miał do tego specjalnych powodów. Czyli dokładnie tak, jak ojciec powinien lubić swoje dzieci.

A co ona dostała w zamian? Dobrze ubranego, inteligentnego i świetnie wykształconego, zawsze lekko spiętego gościa, o którym nigdy nawet nie pomyślała „tata”. Nie pasowało do niego to czułe określenie. Nawet „ojciec” wydawało się trochę zbyt poufałe. „Opiekun prawny” – o, to już bardziej.

– Co tam na froncie? – spytała i chyba odrobina tych myśli przeniknęła do jej głosu, bo zabrzmiało to wyjątkowo jak na nią przyjacielsko.

Musiał to zauważyć, bo uśmiechnął się do niej.

– Gównu – odpowiedział wesoło. – To się dzieje na froncie. Zdobyliśmy listę osób zaproszonych na pokaz Oliwii Mandinkeye, sprawdziliśmy wszystkich; żadna z nich nie pasuje do opisu podanego przez tego muzyka ani do tego, co widać na nagraniu z monitoringu. Pokazaliśmy mu też ich zdjęcia. Żadnego nie rozpoznał.

– Czyli co, facet był tam, rozmawiał z nią i jednocześnie go nie było?

– Na to wygląda. Spytałismy tych ludzi, czy przypominają sobie kogoś o takim wyglądzie – wysokiego, szczupłego mężczyznę w skórzanej kurtce.

– Co odpowiedzieli?

– Że może, że nie są pewni, że chyba tak albo chyba nie. Było tam całkiem sporo ludzi i z tego, co się zdążyłem zorientować, większość naprawdę dziwnie wyglądała. Jeśli ktoś nie miał czerwonych dredów albo uszu wyciągniętych do ramion, raczej trudno było na niego zwrócić uwagę.

– Jest możliwe, że dostał się tam ktoś bez zaproszenia?

– Przesłuchałem ochroniarza, który wpuszczał gości. Twierdzi, że nie. Że wpuszczał tylko osoby będące na liście.

– Legitymował ich?

– Nie. Na takich imprezach raczej się tego nie robi. Procedura jest taka, że goście podchodzą, mówią swoje nazwisko, a ochroniarz znajduje je na liście i ich wpuszcza.

– Czyli teoretycznie można wejść, podając się za kogoś innego?

– Trzeba by znać jego nazwisko i wiedzieć, że jest na liście. Kłopot jest wtedy, gdy ta osoba rzeczywiście przyjdzie i będzie chciała wejść.

– Nic takiego nie miało tam miejsca?

– Ochroniarz twierdzi, że nie. Ale z drugiej strony nie wszystkie osoby będące na liście przyszły. Jakieś dwadzieścia procent się nie zjawilo, pomimo zaproszenia. Można więc sobie wyobrazić sytuację,

w której ktoś podaje się za kogoś, o kim wie, że nie przyjdzie, i nikt tego nie zauważa.

– Czyli dupa? – Westchnęła z rezygnacją.

– Nie do końca. Raczej półdupek. Bo mamy jeszcze to.

Rzucił jej na biurko mały prostokątny przedmiot.

– Co to jest? – spytała.

– Pendrive z filmem nagrany podczas tego wieczoru. To materiał jeszcze sprzed montażu, więc jest go dość sporo. I bardzo dobrze.

– Jest tam coś?

– Tak. Nie za wiele, ale jest. Odpal, to ci pokażę.

Wzięła pendrive z blatu i włożyła go do swojego laptopa. Potem odwróciła go tak, by on również widział ekran.

– Patrz. – Wstał i nachylił się nad biurkiem. Poczowała zapach taniej wody kolońskiej. Było to nawet dosyć przyjemne. I w sumie pasowało do jej poprzedniej wizji, w której obsadziła go na chwilę w roli ojca.

Położył palec na panelu dotykowym komputera i zaczął przewijać film.

– O tu, zobacz. – Zatrzymał nagranie. Zobaczyła mężczyznę opartego ramieniem o ścianę. Był wysoki, szczupły i ubrany w coś, co wyglądało na skórzaną kurtkę. Jego twarz spowita była cieniem.

– Niewiele nam to daje – zauważyła. – Gość ma wyjątkowy talent do krycia się po kątach.

– Tak, ale jest jeszcze to. – Przewinął nagranie dość sporo do przodu.

Kolejna stop-klatka.

– Tu z kolei stoi tyłem – powiedziała. – Choć tym razem jest lepiej oświetlony. Ale summa summarum widać jeszcze mniej.

– Nie do końca – powiedział. Przybliżył obraz. – Spójrz na to.

Na plecach kurtki, tuż pod kołnierzem, na wysokości szyi był mały znaczek.

– To logo firmy – wyjaśnił. – Sprawdziłem to. Dość droga marka. Taka kurtka kosztuje od trzech do czterech tysięcy złotych.

– Dziany koleś.

– Co ważne, można ją kupić tylko w trzech miejscach w Warszawie.

Spojrzała na niego. To byłoby coś.

– A co, jeśli zamówił ją przez Internet? – spytała.

Wyprostował się.

– Jeśli zamówił ją przez Internet, to faktycznie jesteście w dupie – odpowiedział. – Jest to praktycznie nie do sprawdzenia. Ale stawiałbym raczej na to, że wolał pójść do sklepu i ją przymierzyć.

– Nie sprawdzałeś tego jeszcze?

– Dopiero to odkryłem. I od razu przyszedłem do ciebie.

– Bardzo dobrze. Świetna robota – pochwaliła go. – A co z badaniami DNA?

Usiadł z powrotem na krześle.

– Zebraliśmy próbki, od kogo się dało. Na samym tym pokazie było dwadzieścia parę osób. Mówię wyłącznie o mężczyznach, oczywiście. Plus ci od Różańskiego. Trochę potrwa przerobienie tego wszystkiego. Teraz co prawda takie badania nie trwają już tyle co kiedyś, ale materiału jest bardzo dużo. Do tego paru osób nie ma, bo wyjechały za granicę. Musimy poczekać, aż wrócą.

– Rozumiem. – Kiwnęła głową.

– A co u ciebie? – spytał.

Zabrzmiało to, jakby pytał, jak się czuje i na czym ostatnio była w kinie.

– Właśnie. – To dobry moment, żeby mu o tym powiedzieć, pomyślała. – Przechodzę do okręgowej – powiedziała. – Razem ze sprawą. Dostałam właśnie delegację.

– O! – W jego głosie zabrzmiała rezerwa podszyta zaniepokojeniem.

– Nie wiadomo też, czy śledztwa nie przejmie CBS – dodała. – To gruba sprawa.

– O. – Tym razem samo zaniepokojenie.

- Będę jednak wносиła o powołanie grupy śledczej – powiedziała.
- W której skład ty byś, oczywiście, wchodził. Nie sądzę, żeby były z tym jakieś problemy.

Bardzo nie chciałyby, żeby były. Zrozumiała bowiem, dokładnie w tym momencie, że bardzo zależy jej na dalszej współpracy z tym człowiekiem. Czuła się przy nim jakoś bezpiecznie.

ROZDZIAŁ 48

Czekał już na nią. Siedział przy stoliku pod oknem, przy tym samym, przy którym zawsze siadywali, gdy tylko było miejsce. Patrzył przez okno, więc nie zauważył, jak weszła. Kiedy przy nim stanęła, spojrzał na nią i patrzył przez chwilę, jakby jej nie poznawał i zastanawiał się, czy to na pewno ona. Potem wstał.

– Cześć, tato – powiedziała.

– Witaj, Gabrielo – odpowiedział.

Zawsze tak ją nazywał. Nie Gaba, nie Gabrysia, ale właśnie tak – Gabriela. Usiedli. Poczuli, że robi jej się niedobrze ze zdenerwowania.

– Dawno już tu nie byłem – powiedział. – Trochę się zmieniło. Nie wystrój, wystrój jest taki sam. Karta jest bogatsza.

Rozejrzała się wokoło. Ona też tu nie przychodziła. I nie tylko dlatego, że do niedawna nie mieszkała w Warszawie.

– Tak – odparła. Więcej na razie nie była w stanie z siebie wydusić.

– Czego się napijesz? Czekolada jest taka sama jak zawsze. To znaczy są też inne, z bitą śmietaną, alkoholem, owocami – stuknął palcem w leżące przed nim menu – ale ta zwykła, gęsta, w filizance, jest taka jak kiedyś.

– Dziękuję, wystarczy kawa – odpowiedziała.

– Chyba się nie odchudzasz? – Spojrzał na nią krytycznie. – Nie wygląda, żebyś potrzebowała.

– Nie, po prostu boli mnie trochę żołądek.

To akurat było prawdą, bo żołądek miała ściśnięty na supeł. Ale prawdziwy powód był inny: nie piła już czekolady. Nigdy; od tamtej pory nie wzięła jej do ust.

– No to kawa na bolący żołądek jest znakomita – rzucił z ironią. – Powszechnie wiadomo, że świetnie działa na błonę śluzową.

To też było tak samo jak zawsze. Komentarze wypowiedziane ironicznym, sarkastycznym tonem. Krytyka ukryta pod pozorem żartu.

– A ja wezmę czekoladę – powiedział. – I wuzetkę.

Przywołał gestem kelnerkę i złożył zamówienie. Dla niego ciastko i czekolada, dla niej – nie pytając jej nawet, jaką kawę woli – zamówił cappuccino.

– No dobrze – Spojrzał na nią. – Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać?

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu. Mieszkamy teraz w tym samym mieście, a ty jesteś moim ojcem. Chyba wypadaloby, żebyśmy się spotkali, prawda?

– No tak. – Przyjął to wy tłumaczenie. – Bo gdybyś potrzebowała jakiejś pomocy, to ja ostatnio tak średnio jestem w stanie...

– Nie potrzebuję żadnej pomocy – przerwała mu.

Jedyne, czego potrzebowała, to odhaczyć ten obowiązkowy punkt o nazwie „spotkanie córki z dawno niewidzianym ojcem”, wstać i wrócić do domu. A tam dopić resztę wina z butelki. I prawdopodobnie otworzyć drugą.

– To dobrze – skwitował z ulgą. Skrywaną, ale wyraźną.

– A co u ciebie? – spytała.

– U mnie? – Uniósł brwi. – W zasadzie nic specjalnego. Mieszkam tam, gdzie zawsze, pracuję tam, gdzie zawsze.

– Zdrowy jesteś?

– Wiesz, jak to jest w moim wieku – powiedział, patrząc w okno. – Zawsze już coś niedomaga.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała i była to prawda. Rzeczywiście dobrze wyglądał, bardzo młodo jak na swój wiek. Pod tym

względem byli do siebie podobni. Ta cecha to jedyna dobra rzecz, którą mu zawdzięczała.

Machnął ręką.

– Jakby mi to było do czegokolwiek potrzebne – odpowiedział.

Spojrzał na nią, tym razem nie krytycznie.

– Ty też – powiedział. – Też dobrze wyglądasz. Ładnie wyrosłaś.

Boże drogi! Pochwalił ją! Chyba pierwszy raz w życiu. Jak się z tym czuła? Nijak. Stało się to o co najmniej kilkanaście lat za późno.

– Szkoda, że nigdy nie miałem takiej kobiety – dodał po chwili.

No tak, zapomniałaby. Nawet ta pochwała odnosiła się tak naprawdę do niego. Jej ojciec był nieuleczalnym egocentrykiem. Pochwalił ją, żeby się pożalić.

Spojrzała na wiszące na ścianie duże, kryształowe lustro w złotej ramie. Odbijali się w nim. Faktycznie od biedy mogliby uchodzić za parę.

– Miałeś mamę – powiedziała.

Skrzywił się.

– Nie miałem. Nigdy tak naprawdę jej nie miałem.

W jego głosie wyczuła autentyczny smutek. O tym też by zapomniała. To, co się stało między jej rodzicami, to była nie do końca jego wina. To nie on odszedł i je zostawił. Został w zasadzie wypchnięty. Co nie zmienia faktu, że nie musiał potem w ten sposób jej traktować. Jakby to była również jej wina. Może nie robił tego świadomie, ale tak się zawsze czuła. Jakby obdarzał ją częścią niechęci, którą odczuwał do jej matki.

Kelnerka przyniosła zamówienie i rozmowa w tym momencie się skończyła. Dokładnie tak jak kiedyś. Gdy już zjedli i wypili, jej ojciec powiedział:

– To co, idziemy?

Chyba tak. Nic już więcej nie było do powiedzenia.

Zaproponowała, że to ona zapłaci rachunek. Nie protestował. Przywołała kelnerkę.

– Spotkamy się jeszcze kiedyś? – spytała, gdy już wstali. Sama była zaskoczona tym, co powiedziała.

Popatrzył na nią.

– Tak, czemu nie.

Zabrzmiało to zadziwiająco niewymuszenie.

ROZDZIAŁ 49

Prokuratura Okręgowa na ulicy Chocimskiej w Warszawie. Stała przed jej budynkiem, wpatrując się w czerwoną tabliczkę z napisem i godło państwowe tuż nad nim. Cóż za niezwykłego tempa nabrała jej kariera! Jeszcze niedawno wegetowała w rejonówce gdzieś na głębokiej prowincji, a teraz – proszę bardzo! – za chwilę tu wejdzie i dostanie własne biurko.

Powinna być w zasadzie wdzięczna temu zwyrodnialcowi skalpującemu swoje ofiary i podrzynającemu im gardła. Gdyby nie on, być może nigdy by tu nie trafiła.

Gdyby nie on i gdyby nie miała wtedy dyżuru. Naszym życiem rządzą przypadki, pomyślała. Inna sprawa, że trzeba umieć je wykorzystywać. Ona umiała. Tym razem przynajmniej jej się to udało.

Teraz jednak zamiast ekscytacji, dumy z własnych osiągnięć i motywacji do dalszej pracy odczuwała obawę. Czy to wszystko nie za szybko poszło? Czy da sobie tam radę? Szczerze mówiąc, bała się tam wejść. Miała ochotę zawrócić i uciec. Wrócić do Góreckiego, ładnie go przeprosić i pokornie poprosić o przydzielenie jej sprawy jakiegoś zalegającego z wpłatami alimenciarza.

No ale dość marudzenia. Wiadomo przecież, że nie ucieknie. Poprawiła zakiet, obciągnęła spódnicę i ruszyła do wejścia. Miała jeszcze parę minut. Audiencja wyznaczona została na trzynastą.

Portier pokierował ją do odpowiedniego gabinetu. Jeszcze raz obciągnęła spódnicę i poprawiła zakiet. Czuła się jak wtedy, gdy po raz pierwszy miała do kogoś zadzwonić przez telefon. Miała wtedy

chyba z dziesięć lat i tak jak teraz stała na korytarzu, gdzie w ich domu wisiał na ścianie aparat, i nie mogła się zdecydować. I tak jak teraz pomyślała, że musi przestać myśleć i po prostu zacząć. Potem już jakoś samo pójdzie.

Zapukała więc i weszła. Prokurator okręgowa Barbara Kostrzewska wstała zza biurka na jej powitanie. Znaczący gest, pomyślała. Nie wszyscy szefowie są skłonni, by okazywać w podobny sposób szacunek podwładnym.

– Dzień dobry, pani Gabrielo, miło mi panią poznać. – Prokurator Kostrzewska uścisnęła jej dłoń w silny, męski sposób. Była to jednak chyba jedyna jej męska cecha, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Wyglądała jak idealna stereotypowa ciotka. Niezbyt wysoka, za to pulchna, z włosami ułożonymi w kok spięty sporą klamrą. Miało się wręcz wrażenie, że jej dłonie pachną świeżym ciastem. Tylko twarz mówiła wyraźnie, że lepiej tej ciotce nie wchodzić w paradę.

– Ależ pani młodo wygląda. – Prokurator Kostrzewska pokręciła głową z podziwem. – Ile pani ma lat?

– Trzydzieści trzy – odpowiedziała.

Kostrzewska uniosła wysoko brwi.

– Wygląda pani, jakby przed chwilą skończyła studia...

– Żadna w tym moja zasługa. Geny – odparła.

– Geny! Mnie, jak pani widzi, przypadła w udziale zupełnie inna pula – zaśmiała się. – Do dziś zachodzę w głowę, co też takiego widział we mnie mój mąż, że chciał się ze mną ożenić. Przesłuchuję go w tej sprawie już ponad dwadzieścia lat, a on wciąż uparcie twierdzi, że mu się podobam. Jest jednym z najlepiej kłamiących podejrzanych, jakich znam.

Prokurator Kostrzewska umiała skracać dystans i – jak się zdaje – właśnie to teraz robiła, w dodatku z pełną świadomością. Seredyńska uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz nie skomentowała. Po części dlatego, że wciąż czuła się zbyt niepewnie, żeby to zrobić,

a po części dlatego, że jak powszechnie wiadomo, kiedy przełożony żartuje, nigdy nie należy próbować być zabawniejszym od niego.

– Usiądźmy. – Kostrzewska wskazała jej dwa fotele pod oknem. – Może kawy, herbaty?

– Nie, dziękuję. Woda zupełnie mi wystarczy. – Na stoliku między fotelami stała karafka i szklanki.

– Ja też w sumie najbardziej lubię wodę. – Kostrzewska uśmiechnęła się. Teraz, gdy siedziały przy stoliku, jeszcze bardziej przypominała stereotypową ciotkę. Brakowało między nimi tylko jeszcze filiżanek ze złotą obwódką i talerzyków z domowym sernikiem. – Chociaż to bez kawy nie mogę żyć – dodała konfidencjonalnym tonem.

– To tak jak ja – odważyła się odpowiedzieć.

– Kawa: napój bogów, muza pisarzy i główne pożywienie prokuratorów... Bez kawy system prawny Rzeczypospolitej rozsypałby się w przeciągu trzech dni – powiedziała z żartobliwą emfazą Kostrzewska. Jej oczy cały czas jednak patrzyły uważnie, jakby lustrowały i prześwietlały swoją rozmówczynię. – Jaką kawę pani najbardziej lubi?

– Czarną, mocną, bez cukru – odpowiedziała bez zastanowienia. – Najchętniej espresso.

Kostrzewska pokiwała z uznaniem głową.

– Szanuję ludzi, którzy piją taką kawę – powiedziała. – Mam wrażenie, że są gotowi na prawdziwy smak życia. I na prawdę, taką, jaka ona jest: czarną, gorzką i bez upiększeń.

– A pani jaką kawę lubi? – spytała Seredyńska.

Kostrzewska roześmiała się w odpowiedzi.

– Z mlekiem i dużą ilością cukru – odpowiedziała. – Nie potrafię sobie takich rzeczy odmówić. – Poklepała się po brzuchu i był to kolejny męski gest niepasujący zupełnie do jej wyglądu. – No dobrze, pani Gabrielo. – Zmiana tonu świadczyła, że skończył się czas zapoznawczych pogaduszek. – Muszę przyznać, że przejście tak młodego prokuratora do prokuratury okręgowej to sytuacja bez

precedensu. Pani przełożony wypowiadał się jednak o pani w samych superlatywach, a ponieważ znam go jeszcze z czasów studiów i bardzo szanuję jego zdanie, zdecydowałam się spełnić jego prośbę.

– Postaram się nie zawieść ani pani, ani jego zaufania.

– Czym tak pani ujęła tego starego niedźwiedzia? – spytała Kostrzewska, przypatrując jej się uważnie.

A więc nie tylko ona miała takie skojarzenia w związku z wyglądem swojego byłego już szefa.

– Myślę, że determinacją – odpowiedziała. – Bardzo chcę rozwiązać tę sprawę. I zrobię to – dodała.

– Głód młodego wilka patrzącego na swoją pierwszą dużą zdobycz. – Kostrzewska uśmiechnęła się. – Zarówno ja, jak i prokurator Górecki znamy to uczucie. Kiedyś byliśmy tacy sami. Jeśli dostrzegł to u pani, to wcale mu się nie dziwię. Sporo bym dała, żeby znowu coś takiego poczuć. Ale takie osobniki jak ja, stare, doświadczone wadery umiejące pokierować watahą, też są potrzebne.

– Myślę, że nawet bardziej – odparła Seredyńska.

Kostrzewska uniosła lekko kąciki ust, jakby pokazywała, że docenia komplement.

– Nie wiem, czy bardziej. Myślę, że na równi – zaznaczyła. – Ale tak to już w życiu jest: zwykły żołnierz zazdrości generałowi, a generał żołnierzowi, lecz armia nie mogłaby istnieć bez nich obu, prawda? Może i pani zostanie kiedyś generałem; na razie proszę się cieszyć z tego, co pani ma: że jest pani młoda, pełna zapału i dostała właśnie swoją pierwszą dużą sprawę.

– Bardzo się cieszę. Już się nie mogę doczekać, kiedy zacznę.

– No więc właśnie. Dostanie pani swój gabinet i jedną osobę do pomocy. Nie chodzi o to, żebym się obawiała, iż sobie pani nie poradzi, a wyłącznie o to, by nie traciła pani czasu, próbując się zorientować w tutejszych zwyczajach i stosunkach. Prokurator Walczak to wszystko pani objaśni.

Aha, akurat, pomyślała. Chodzi raczej o to, by ktoś stąd zapoznał się z materiałami oraz stanem śledztwa tak, żeby w razie czego móc je szybko i bezproblemowo przejąć. W razie gdyby ona nie spełniła jednak pokładanych w niej nadziei. Trochę ją to ubodło, lecz z drugiej strony nie mogła się temu dziwić.

– Jeśli zaś chodzi o kwestie dochodzeniowe, to śledztwo przejmie CBS. To poważna i skomplikowana sprawa, myślę więc, że najwyższy czas zaangażować w to wszelkie dostępne środki.

– Oczywiście – zgodziła się Seredyńska. – Mam tylko jedną prośbę.

– Jaką?

– Do tej pory dochodzenie prowadził komisarz Piotr Aleksanderski z komendy na Bielanach. To bardzo kompetentny policjant i zna tę sprawę od podszewki. Mogłabym włączyć go do grupy śledczej?

– Nie widzę problemu – odparła Kostrzewska. – Musi ich pani tylko pilnować, żeby się nie pozagryzali. Te dwa gatunki psów nie za bardzo się lubią.

ROZDZIAŁ 50

Nie wchodził już do pokoju z fetyszem, nie wchodził tam od trzech dni. Stare, przesuwane drzwi, których nigdy nie używał, były zsunięte i związane sznurkiem. Bał się. Bał się tego czegoś, co tam jest, chyba nawet bardziej niż swojej nieuniknionej śmierci.

Zresztą śmierci już się nie bał. Przynajmniej nie świadomie. Bo tam gdzieś, pod powierzchnią, ten strach zapewne wciąż się tlił. Przychodził do niego czasem w snach, przyjmując różne formy. Ostatnio głównie tamtej kobiety z twarzą wykrzywioną jak ukradziona jej maska.

A tego, co jest tam, za tymi drzwiami, po prostu się bał. Bał się tym bardziej, im bardziej go to przyciągało i przyzywało. Im bardziej natarczywie nakazywało mu przyjść znowu do siebie.

Choć może bał się nie tyle tego, co tam jest, ile tej przemiany, której to coś w nim dokonywało. Chciał się zmienić, jasne. Gdy rozpoczynał to wszystko, to był jeden z jego głównych celów. Ale chciał zmienić siebie, a to zmieniało go w coś innego niż on. Chciał nowej, lepszej wersji swojego własnego ja, a tam, za tamtą granicą, już tego ja nie było.

Na coś takiego nie był jednak przygotowany. Nie był gotowy na aż tak radykalny krok. Dlatego go to przerażało. Bo czym tak naprawdę różniło się to od śmierci? Niczym. Bo jeśli nadal żyjemy, ale nie jesteśmy już sobą, to tak naprawdę żyje już ktoś inny, nie my.

Dlatego zasunął drzwi i mocno związał je sznurkiem, okręcając go o gałki. Dlatego starał się nawet do nich nie podchodzić. Nawet gdy

przechodził korytarzem do wyjścia, starał się iść jak najbliżej drugiej ściany. Najchętniej wpadłby tam i wszystko rozwalił, a potem spalił resztki w piecu. Z tą maską na czele. Ale bał się, że gdyby tam naprawdę wszedł, to niezależnie od początkowych intencji, nie zdołałby się oprzeć.

Starał się więc żyć, jakby tego pokoju nie było. Jakby nie było w nim jego fetysza i tego demona, którym się stał. Spał w sypialni, jadł w kuchni, mył się w łazience, a pod zasuniętymi drzwiami tylko przemykał. Niczym zwierzę pod myśliwską amboną.

Ale to coś nie odpuszczało. Nie dawało za wygraną. Wołało go w snach, zawodziło, gdy brał prysznic w łazience, szeptało, gdy jadł śniadanie w kuchni. Poza tym czuł się coraz gorzej, z każdym dniem. Jego ciało rozregulowywało się, rozpadało na jego oczach. Wiedział, że to jego sprawka. Syndrom odstawienia. Jakby jego choroba, trzymana do tej pory w ryzach przez rytuały i ofiary, nadrabiała zaległości.

Taki miał więc wybór: szybka, postępująca degradacja albo to. To coś, co zniszczy go może szybciej, ale za to bezboleśnie. Pozwoli zachować przynajmniej iluzję kontrolowania rzeczywistości, wstrzyknie w jego żyły upajający narkotyk mocy, przejmie jego umysł, ale zachowa w zadowolającym stanie ciało. Zresztą czy przejmie całkowicie? Może będzie go sobie tylko wynajmować na godziny, zrobi, co ma zrobić, a potem mu go odda? Aż do następnego razu, oczywiście.

Stanął przed drzwiami i sprawdził sznurek. Zastępczy gest, bo tak naprawdę chciałby go zerwać. Między dwoma zsuniętymi częściami pozostała wąska szpara. Zajrzał przez nią, próbując wypatrzyć coś w tym zaciemnionym pokoju. Zasłony, mimo że grube, przepuszczały trochę światła. Dioda w stojącym na regale sprzęcie świeciła na czerwono. Niewiele było widać, w zasadzie nic. Stolik z Ikei stał na prawo; stąd nie dało się go zobaczyć. Przybliżył oko jeszcze bardziej do szpary. Szarawa ciemność po drugiej stronie zdawała się falować. Słyszał jakieś szmery, trzaski, które

wydawały mu się odgłosami nie z tego świata, lecz wiedział, że są to normalne dźwięki wydawane przez każdy dom.

Wariuję, pomyślał. Odwala mi. Czy to już ten moment? Może nie potrzebuję żadnego demona, żeby stracić siebie? Prędzej czy później stanie się to i tak.

W każdym razie niczego ani nikogo tam nie było. Odetchnął dwa razy, lecz nie odsunął się od szpary. Zastona przy oknie poruszała się, widział to wyraźnie. Prawdopodobnie przez szczeliny w jego powypaczanych oknach wpadało do środka powietrze. Jej fałdy układały się we wzory, które jego wyczerpany umysł błędnie interpretował w tej ciemności, widząc w nich twarze lub postaci. Nic nadzwyczajnego. Znał ten efekt. Lubił się tak zabawiać już od czasów dzieciństwa.

Nagle przez wąski wycinek przestrzeni, który widział, coś przemknęło. Był tak zaskoczony, że nawet się nie cofnął. Co to było? Kolejne złudzenie? Spróbował przypomnieć sobie dokładnie minioną właśnie chwilę, próbując rozstrzygnąć, czy niewyraźny obraz, który miał jeszcze wciąż pod powiekami, odpowiadał rzeczywistości.

Znowu. Tym razem odszedł dwa kroki. Zamrugnął. Obraz po drugiej stronie szpary rozmył się. Nie widział już falującej zastony ani niczego konkretnego.

Musi stąd odejść, najlepiej wyjść z tego domu, może nawet na zawsze. Wynająć gdzieś pokój i nigdy tu nie wracać. Albo jeszcze lepiej: odkręcić w kuchni gaz, poczekać, aż cała butla się opróżni, i doprowadzić do wybuchu.

Usłyszał jakiś dźwięk. Nie, w zasadzie nie był to dźwięk i nawet go nie słyszał. Raczej jakby szum, pomruk, drganie powietrza, wibrowanie przestrzeni. Coś zbliżało się do niego z tamtej strony, był tego pewien, mimo iż nic nie widział.

Poczuł przerażenie, pierwotną, przenikającą każdą komórkę jego ciała grozę, paraliżującą, ściągającą skórę i mięśnie. Nie mógł się ruszyć, jak we śnie. Poczuł, że wszystkie włosy stają mu na ciele,

na głowie, karku, na przedramionach. W jego ustach zabrakło nagle wilgoci; oczy zaczęły szczypać, jakby wysuszał je wiejący stamtąd gorący wiatr.

I wtedy to zobaczył. Nieważne, czy naprawdę, czy nie naprawdę. Zobaczył twarz wykrzywioną w grymasie wściekłości i przerażenia. Tam, po tamtej stronie drzwi. Maskę, tyle że żywą. Jakby rzeźbiony kawałek drewna ożył, jakby zlał się w jedno z tamtą trupią twarzą, którą zostawił na parkingu pod blokiem. Przybliżała się do niego. Łypała na niego błyszczącym, białym, przekrwionym okiem przez szparę. Była już blisko, widział wyraźnie nabiegłe krwią żyłki rysujące wzory na białku.

Przestał oddychać. Poczuł, jak coś wysysa z niego powietrze. Z niego i z całej przestrzeni wokół. Oko dotknęło szpary między drzwiami, a potem przecisnęło się przez nią, ciągnąc ze sobą całą upiorną twarz. Po chwili była już przed nim. Blisko, o milimetry, niemal dotykali się nosami. A potem wniknęła w niego z cichym sykiem, wypełniając pustkę w jego płucach, sercu i głowie.

ROZDZIAŁ 51

Prokurator Walczak okazała się suchą, kostyczną czterdziestolatką średniego wzrostu o pociągłej twarzy, której grubych rysów nie łagodził nawet makijaż. Nosiła wąskie okulary o grubych szklach i było w niej coś nieokreślenie nieprzyjemnego, przez co wyglądała jak karykaturalne ucieleśnienie wyobrażeń przeciętnego obywatela o tym, jak powinien wyglądać prokurator.

Tylko jedno było w niej dobre: prawie się nie odzywała. Siedziała w rogu małej salki konferencyjnej, w której odbywało się pierwsze spotkanie ich nowo powstałej grupy śledczej, i wyłącznie patrzyła. Z powodu grubych szkieł powiększających oczy wyglądała trochę jak karp, który przycupnął w rogu akwarium na stoisku rybnym, czekając na odłowienie. Lub jak kamera monitoringu, którą ktoś zainstalował w kącie pomieszczenia, by kontrolować i nagrywać wszystko, co się w nim mówi i robi.

Pozostali uczestnicy spotkania wyglądali już trochę bardziej przyjaźnie. Naprzeciwko niej usiadł komisarz Aleksanderski, który już na wstępie mrugnął do Seredyńskiej i uśmiechnął się, jakby chciał dodać jej otuchy i pokazać, że ją wspiera i jest po jej stronie. U szczytu stołu zasiadł, rozpierając się po dyrektorsku na krześle, komisarz Halicki, przedstawiciel CBS. Był to studwudziestoprocentowy mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i z krótko przystrzyżonymi włosami, niewątpliwie idealny kandydat na uczestnika płomiennego romansu w pracy. Niestety jego obojętny wzrok prześlizgujący się co jakiś czas po twarzy Seredyńskiej świadczył wymownie, że komisarz preferuje raczej

cycate blondynki, ewentualnie słodkie małe brunetki, ale na pewno nie takie rude lisice jak ona.

Na stole stały woda w dzbanku i kawa w srebrnym termosie z dziubkiem. To tyle, jeśli chodzi o catering.

Prokurator Seredyńska odchrząknęła i spojrzała w leżące przed nią papiery. Ponieważ jej współpracowniczka w dalszym ciągu czekała na siatkę, która wyłowi ją z akwarium, to jej przypadła w udziale rola dowodzenia tym wojskiem. Czuła się trochę jak szeregowiec, któremu ktoś nagle kazał prowadzić do boju wielką armię, ale postanowiła, że nie da tego po sobie poznać. Skoro ni cholery nie czuła się jak przywódca, to przynajmniej spróbuje go zagrać.

– Witam wszystkich, tym razem oficjalnie, na pierwszym zebraniu naszego zespołu – rozpoczęła stanowczym tonem. – Nie będę nikogo przedstawiać, bo wszyscy chyba wiedzą, kto jest kim. Ci, którzy nie uczestniczyli w dotychczasowym śledztwie, dostali wszystkie materiały i mam nadzieję, że zapoznali się z nimi, więc również nie widzę konieczności, by referować jego aktualny stan.

Komisarz Halicki lekko skinął głową, prokurator Walczak pozostała nieporuszona.

– Z tego, co wiem, dotarły już wyniki badań DNA, które zleciłam wykonać, proszę więc komisarza Aleksanderskiego o ich przedstawienie.

Policjant poprawił się na krześle.

– Niestety nie za bardzo jest o czym opowiadać – zaczął. – Żaden z profili porównywanych z profilem wyodrębnionym z materiału znalezionej na miejscu ostatniej zbrodni nie jest z nim zgodny. Dotyczy to zarówno próbek pobranych od męskich uczestników pokazu mody, na którym według jednego ze świadków był obecny prawdopodobny sprawca, jak i wszystkich mężczyzn przewijających się w śledztwie dotyczącym morderstwa Różańskiego. Pobrałem też próbki od wszystkich uczestników libacji alkoholowej, po której

zginęła pierwsza prawdopodobna ofiara, ten gość z Grójca; tu również dupa.

– Na pewno nikogo nie przeoczyliśmy? – spytała.

– Na pewno.

– A znajomi tych dwóch zabitych kobiet?

– Dość duża grupa, nawet bardzo duża. To były artystki, obracały się w środowisku szeroko pojętej bohemy, miały znajomych z wielu kręgów. Nie damy rady zbadać ich wszystkich, a nie bardzo wiem, jakim kluczem się posługiwać, żeby zawęzić tę grupę. Poza tym wydaje się mało prawdopodobne, by któryś z nich miał jakikolwiek powód, by zabić Różańskiego, już nie mówiąc o tym pijaczku z Grójca.

– Byli partnerzy obu tych kobiet? – rzucił komisarz Halicki.

– Myślałem oczywiście o tym – odparł Aleksanderski – ale zrezygnowałem z tego dokładnie z tych samych powodów. Dlaczego ktoś, kto chce zemścić się na byłej dziewczynie, zabija najpierw półmenela w Grójcu, a potem dupkowatego playboya w Warszawie?

Komisarz Halicki kiwał się lekko na swoim krześle.

– Żeby ukryć jednego trupa wśród wielu innych? Stworzyć wrażenie, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą, gdy tak naprawdę chodziło mu tylko o jedną, konkretną ofiarę? Na przykład.

– Biorąc pod uwagę nasze dotychczasowe ustalenia, wydaje się to dość mało prawdopodobne.

Halicki przechylił się do przodu i oparł łokcie o blat.

– Czytałem materiały z waszego śledztwa – powiedział. – Dobra robota i nie mam do niej żadnych uwag. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że wnioski, które na ich podstawie wyciągacie, choć przekonujące i być może prawdziwe, oparte są jednak na bardzo wątpliwych podstawach.

– Na przykład? – W głosie Aleksanderskiego nie było przyjaźni.

– Na przykład to, że mamy do czynienia z ciężko chorym człowiekiem. A wysnute to zostało na podstawie analizy wiersza

przeprowadzonej przez jakiegoś profesora literatury.

– Policyjny profiler zgodził się z tym rozumowaniem – zauważyła Seredyńska.

– Być może. – Halicki wzruszył ramionami. – Ale mnie to nie przekonuje. Już prędzej stawiałbym na to, że mamy do czynienia z członkiem jakiejś sekty. Albo z domorosłym adeptem czarnej magii. Te wszystkie dziwne czynności, które wykonuje... Zaginiona afrykańska maska... Na kilometr mi to śmierdzi jakimś okultystycznym rytuałem. To mi się przede wszystkim rzuciło w oczy, gdy przeglądałem te papiery. – Stuknął palcem w leżącą przed nim teczkę.

– Właśnie o to chciałam pana prosić, komisarzu – odparła spokojnie Seredyńska. – By zbadał pan ten wątek. Pana biuro ma pod tym względem znacznie większe możliwości niż policja.

– Zrobię to z przyjemnością. – Halicki uśmiechnął się. – Lubię taką dłubaninę.

– Proszę też, by pana ludzie ponownie zajęli się sprawą tego pierwszego zabójstwa w Grójcu. Zdaje się, że miejscowi policjanci zbyt szybko uwierzyli, że znaleźli rozwiązanie. Może uda się jeszcze coś z tego wycisnąć.

– Dobrze, że o tym wspomniałaś. – Mówiąc to, Aleksanderski rzucił niezbyt przyjazne spojrzenie Halickiemu. – Kazałem zrobić to badanie moczu, o które prosiłaś.

– Jakiego moczu? – Komisarz Halicki zaczął przeglądać swoje materiały. Widać nie czytał ich wcześniej zbyt dokładnie.

– Sprawca nasikał pierwszej ofierze do gęby – odparł Aleksanderski. – Mocz zebrał się w jamie ustnej i przełyku i patologowi udało się pobrać próbkę w czasie sekcji.

– I jakie są te wyniki? – spytała Seredyńska.

– Bardzo ciekawe. I do tego rozwiewające wątpliwości pana komisarza względem naszych wcześniejszych wniosków. – W głosie Aleksanderskiego dał się wyczuć lekko zjadliwy ton. – Krótko mówiąc: są to bardzo złe wyniki. Nie będę się tu wdawał

w szczegóły, w każdym razie poziom różnych substancji obecnych w moczu odbiega znacznie od normy. Nasz patolog twierdzi, że człowiek, który go oddał, cierpi na wiele schorzeń: stan zapalny, problemy z nerkami, problemy z wątrobą i tak dalej. I że albo jest to skutkiem kilku chorób, albo jednej atakującej parę narządów.

– Nowotwór? – spytała Seredyńska.

– Z analizy moczu nie da się tego jednoznacznie wyczytać, potrzebne byłyby raczej badania krwi, ale jest to prawdopodobne.

– Okej. W takim razie cofam to, co powiedziałem. – Komisarz Halicki uśmiechnął się szeroko.

– A co ze sprawą tych ubrań? – zwróciła się do Aleksanderskiego.

– Chyba mamy trafienie.

– Znalazłeś coś?

Nawet komisarz Halicki uniósł głowę.

– Sprzedawczyni z jednego z tych sklepów zdaje się go rozpoznawać.

– Zdaje się? – spytał Halicki.

– Widział pan, panie komisarzu, że nasze nagrania nie są zbyt dobrej jakości. W zasadzie widać na nich tylko sylwetkę – odparł Aleksanderski.

– Więc rozpoznała sylwetkę? To trochę mało.

– Twierdzi, że kojarzy klienta, który kupował właśnie te rzeczy: skórzaną kurtkę, dżinsy, koszulę i buty.

– Zapamiętała go?

– Tak, bo przyszedł raczej dość skromnie ubrany, a kupił rzeczy drogie, i to od razu cały komplet. Jakby chciał się ubrać od stóp do głów. Do tego zapłacił gotówką... niestety dla nas... a to się w takich sklepach dość rzadko zdarza.

– Coś jeszcze zapamiętała? – spytała Seredyńska.

– Nie wypytywałem jej zbyt szczegółowo. Pomyślałem sobie, że ty wolałabyś to zrobić. – Posłał jej kolejny tego dnia serdeczny uśmiech.

ROZDZIAŁ 52

Kobieta, dziewczyna w zasadzie, która siedziała naprzeciwko niej, wydawała się mocno przestraszona zarówno miejscem, w którym się znalazła, jak i całą sytuacją.

– Pouczam panią o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań – wypowiedziała swoją stałą formułkę Seredyńska i niemal zobaczyła, jak tamtej cierpnie skóra.

Kobieta rozszerzyła z przerażenia oczy. Zapewne pierwszy raz w życiu była w prokuraturze i zastanawiała się właśnie, czy gdzieś kiedyś przypadkiem czegoś nie ukradła albo kogoś nie zabiła.

– Proszę się nie przejmować – dodała prokurator, znacznie już łagodniej. – Musiałam to powiedzieć, ale to pani praktycznie nie dotyczy. Proszę po prostu powiedzieć, co pani zapamiętała. To wszystko. W porządku?

Dziewczyna niepewnie skinęła głową.

– Jak się pani nazywa?

– Paulina Książek.

– Gdzie pani pracuje?

– W butikiu Emanuele przy Nowym Świecie. Sprzedajemy ubrania znanych i drogich marek. Może nie tych z najwyższej półki, nie ma u nas Prady ani Louisa Vittona, ale na pewno nie są to ubrania dla przeciętnych klientów.

Czyli raczej nie dla mnie, pomyślała Seredyńska.

– Długo tam pani pracuje?

– Już ponad rok.

– Jacy klienci do was przychodzą?

– Dobrze zarabiający, ale nie jakoś strasznie bogaci. Wyższa klasa średnia. Ci, którzy są w stanie zapłacić więcej za coś, czego nie da się kupić w normalnej galerii handlowej.

– Tylko tacy?

– Zdarza się co jakiś czas, że wejdzie ktoś z ulicy. Czasami z ciekawości, a czasami przypadkiem, nie zdając sobie sprawy, co to za sklep. Ale tacy ludzie raczej szybko wychodzą, nawet niczego nie przymierzają. Ceny są jednak dość wysokie.

Seredyńska potrafiła wyobrazić sobie to miejsce. Szczerze powiedziawszy, nigdy nie lubiła takich sklepów. Wolała sieciówki w galeriach handlowych, gdzie sprzedawcy nie podchodzą od razu do ciebie, gdy tylko wejdiesz, i nie pytają, w czym mogą pomóc.

– To dlatego zapamiętała pani tamtego mężczyznę? – spytała. – Tego, o którym mówiła pani komisarzowi Aleksanderskiemu?

– Tak. Wyglądał, jakby wszedł do nas przez pomyłkę. Nawet jak spytał o coś, byłam pewna, że zrobił to tylko po to, żeby to ukryć. Niektórzy tak robią. Pytają o inny kolor albo rozmiar, żeby usprawiedliwić swoje wejście i mieć pretekst, żeby opuścić butik. No bo skoro nie ma innego koloru, to oni dziękują. Ale ten nie. Wiedział, czego chciał, i kupił całkiem sporo. To znaczy za całkiem wysoką kwotę.

– Jak wyglądał?

– Wysoki, szczupły, lekko szpakowaty.

– W jakim wieku?

Dziewczyna zastanowiła się.

– Ciężko powiedzieć – odparła. – Wie pani, jak to jest: jeśli mężczyzna nie jest przytyty i zapuszczony, czasami trudno ocenić, czy ma trzydzieści osiem, czy pięćdziesiąt osiem lat. To był ten typ.

– On nie był zapuszczony?

– Nie. Schludnie wyglądał. Tylko nie za bogato.

– Co to znaczy?

Kobieta zamknęła oczy.

– Ubrania kupione w zwykłych sieciówkach. I to też tych nie najdroższych. Ale odpowiednio dopasowane, dobrze w nich wyglądał. Tylko już takie znoszone. Granatowe dzinsy, skórzane oksfordy, ale czyste i wypastowane; zawsze zwracam na to uwagę. W brudnych, rozczłapanych butach chodzą zawsze wariaci, zauważyła pani?

– Nie zwróciłam uwagi. Ale będę o tym pamiętała.

– Naprawdę. Niech się pani przyjrzy następnym razem. Kaczyński chodzi w takich butach. I co, normalny jest?

Seredyńska o mało się nie roześmiała. I to nie tylko z powodu treści tej opinii, lecz również ze sposobu, w jaki została wygłoszona. Udało jej się jednak powstrzymać. Była w końcu urzędnikiem państwowym, z zasady apolitycznym. Choć ostatnio różnie z tą apolitycznością w jej fachu bywało...

– Pani Paulino, to nie należy do tematu tego przesłuchania – upomniała sprzedawczynię.

– A bmw jeżdżą wieśniaki. To znaczy w sensie mentalnym, nie że mieszkają na wsi. Te dwie rzeczy zawsze się sprawdzają.

– Czy mężczyzna, o którym mówimy, przyjechał bmw?

– Nie. To znaczy nie wiem. Ale nie wyglądał na takiego.

– W takim razie ta informacja mnie nie interesuje. Wróćmy może lepiej do niego, dobrze? Powiedziała pani, że nie wyglądał na takiego, który jeździ bmw. To na kogo wyglądał?

– Na inteligentnego gościa. Z klasą. Takiego, co to pracuje głową. Pomyślałam nawet, że może przyszedł z uniwersytetu, bo to w końcu niedaleko.

– Czy wyglądał na chorego?

– W jakim sensie?

– Czy wyglądał, jakby źle się czuł? – sprecyzowała Seredyńska. Jakby miał raka, guza mózgu, początki stwardnienia rozsianego? – dodała w myślach. Nie mogła jej jednak aż tak nakierowywać, by nie zasugerować odpowiedzi.

Dziewczyna pomyślała przez chwilę.

– Może... Oczy mu błyszczały. Był w ogóle lekko nerwowy. I robił przerwy, jak mówił. Ale czy wyglądał na chorego? Nie kaszlał i nie pocił się w każdym razie.

– Dobrze, a co kupił?

– Wszystko. Skórzaną kurtkę, czarną koszulę, spodnie, buty... Jakby szedł na wesele.

– Na wesele?

Dziewczyna przytaknęła skwapliwie.

– Tak mi się skojarzyło. Pracowałam wcześniej w Arkadii w sklepie z garniturami i tam czasami przychodzili tacy klienci, którzy też kupowali wszystko, cały komplet, nawet skarpetki. Zazwyczaj chodziło wtedy o ślub. Ich albo czyjś.

– On też kupił skarpetki?

– Tak. Dwie pary. I bardzo pilnował, żeby pasowały do reszty.

– Pomagała mu pani w wyborze? – Prokurator była coraz bardziej zaintrygowana.

– Tak, prosił mnie o pomoc. Najpierw wybrał skórzaną kurtkę, a potem dopasował wszystko do niej. Radził się mnie za każdym razem; pytał, czy to pasuje i czy dobrze w tym wygląda. Akurat nie było żadnych innych klientów, więc poświęciłam mu sporo czasu. Ale sam też się dość dobrze orientował, nie był taki, jak niektórzy mężczyźni.

– Mówił coś?

– No, pytał o różne rzeczy...

Seredyńska postarała się nie okazać zniecierpliwienia.

– Ale coś o sobie – wyjaśniła. – Po co mu te ubrania, na jaką okazję, gdzie mieszka, co robi?

– A, to nie. Nic z tych rzeczy. Czasami klienci faktycznie lubią sobie pogadać, i to nie tylko kobiety, ale ten nie był taki.

– Może podrywał panią, flirtował?

– Nie, nie. Żadnych kwaśnych tekstów nie było. Pełna kultura.

Sposób, w jaki dziewczyna wypowiedziała tę kwestię, znów sprawił, że Seredyńska o mało się nie uśmiechnęła.

– A jak się zachowywał? Mówiła pani, że był podenerwowany. Coś jeszcze?

– Normalnie się zachowywał.

– Nie był, czy ja wiem, agresywny, pobudzony, rozkojarzony albo... wręcz przeciwnie: przygnębiony?

– Jeśli już, to przygnębiony – odparła ekspedientka po chwili wahania. – Tak, był w nim jakiś smutek.

– Kiedy to było? Pamięta pani, jaki to był dzień?

– Już pani mówię. – Dziewczyna sięgnęła do swojej torebki. – Przyniosłam paragon – obwieściła tryumfalnie. – To znaczy kopię, bo oryginał musi zostać w sklepie dla skarbowki, rozumie pani.

Podawała jej kartkę papieru w formacie A4 ze skserowanym paragonem fiskalnym. Kwota faktycznie była niemała. Sereżyńska spojrzała na datę. Dokładnie dzień przed pokazem Oliwii Mandinkeye.

– Dobrze. Dziękuję pani bardzo. – Schowała kartkę do akt. – Długo ten mężczyzna u pani był?

– No, z godzinę. Jak nie półtorej.

– Macie w sklepie monitoring?

– Nee, szefowa mówi, że nie potrzeba, szkoda na to kasy. U nas prawie nie ma gotówki, nie ma czego kraść. Zresztą słyszała pani, żeby ktoś kiedyś obrobił sklep z ciuchami?

– Ale pani dość dobrze obejrzała sobie tego klienta. Miał jakieś charakterystyczne cechy? Jakies znamię, bliznę, niespotykany kształt nosa albo uszu?

– Nie, chyba nic takiego nie zauważyłam.

– Ale rysy twarzy pani pamięta? Gdybyśmy poprosili panią o pomoc w stworzeniu portretu pamięciowego, nie byłoby z tym problemu?

– Nie, w żadnym razie. Już mnie zresztą ten policjant o to prosił. Jestem nawet umówiona.

– To świetnie. – Prokurator nie bardzo wiedziała, o co jeszcze mogłaby ją zapytać. – Mówiła pani, że ten mężczyzna nie płacił

kartą, tylko gotówką. Zwróciła pani uwagę na jego portfel? Jak wyglądał?

To była chyba ostaną rzecz, która jej przyszła do głowy, choć zupełnie nie mogła sobie wyobrazić, do czego taka informacja mogłaby się im przydać.

– Zwróciłam. Skórzany, brązowy i zniszczony. Taki poprzecierany na bokach. Nawet pomyślałam sobie, że portfel też mógłby sobie kupić, tylko że u nas takich rzeczy nie ma. Mocno wypchany, ale nie tylko pieniędzmi.

– Jeśli nie pieniędzmi, to czym?

– Jakimiś papierami. Wizytówkami, kwitami z pralni, starymi awizo. To znaczy tak myślę, że tym. Niektórzy ludzie tak mają. Chowają coś do portfela, a potem to tam zostaje na wieki wieków. Mój ojciec tak robi. – Nagle kobieta zamrugwała. – I było tam zdjęcie – dodała, jakby właśnie sobie o tym przypomniała.

– Zdjęcie?

– No tak. Zwróciłam na to uwagę, bo to słodkie. Była tam taka przegródka z folią na przedzie, a za tą folią było zdjęcie. Jakaś kobieta, chyba nad morzem. Odgarniała włosy z czoła. Nawet podobna do pani, tylko młodsza. Teraz wszyscy wrzucają takie zdjęcia jako tapety w telefonie; kiedyś były takie folijki w portfelach...

– Dobrze – powtórzyła Seredyńska po raz kolejny. – To chyba wszystko. – Naprawdę nie wiedziała, o co jeszcze mogłaby tę kobietę zapytać. Na pewno było coś jeszcze. I to coś, nie mogła się oprzeć temu wrażeniu, ważnego. Ale może nie?

– Pani prokurator. – Dziewczyna spojrzała na nią z powagą. – Czy to jakiś przestępca?

– Jest podejrzewany o zabójstwo.

– Jezus Maria! – Ekspedientka zbladła. – Byłam w niebezpieczeństwie?!

– Nie sędzę. – Seredyńska uśmiechnęła się do niej uspokajająco. – Jego styl działania nie obejmuje ataków w miejscach

publicznych.

– Czy on może wrócić? Może powinnam dostać jakąś ochronę? –
W jej głosie brzmiało niekłamane przerażenie.

– Pani Paulino. – Prokurator przybrała spokojny, opanowany, budzący zaufanie ton. – Nie panikujmy. Naprawdę nie przypuszczam, by była pani w niebezpieczeństwie. Jest pani zaledwie świadkiem. Pewnie już dawno zapomniał w ogóle o pani istnieniu.

– Tak pani myśli?

– Tak myślę. Proszę się niepotrzebnie nie niepokoić.

– Skoro pani tak mówi... Pani się na tym lepiej zna niż ja, prawda? Na wszelki wypadek będę wracać z pracy taksówką.

– Jeśli to panią uspokoi... Dobrze, dziękuję pani bardzo. Bardzo nam pani pomogła. – Zamknęła teczkę z pewną ostentacją, dając wyraźnie do zrozumienia, że przesłuchanie zostało zakończone. Prokurator nie jest od tego, żeby pocieszać przerażone ekspedientki.

– To idę. Do widzenia. – Kobieta wstała.

– Do widzenia. Proszę tu jeszcze tylko podpisać protokół. – Seredyńska podsunęła jej dokument.

Dziewczyna nachyliła się i złożyła swój podpis. Bardzo ładny, okrągły. Jak z pamiętnika nastolatki.

– A, i jeszcze jedna rzecz mi się przypomniała – powiedziała, prostując się. – Tylko nie wiem, czy to ważne. No i protokół już podpisany...

– Niech pani mówi.

– On miał farbowane włosy.

– Farbowane? – Brwi prokurator powędrowały do góry.

– To znaczy nie taką zwykłą farbą, jak farbują kobiety. To się nazywa cover. To taki szampon koloryzujący kryjący siwe włosy.

Seredyńska nie do końca chyba zrozumiała.

– Powiedziała pani, zdaje się, że był szpakowaty... – zaczęła.

– Ten zabieg nie likwiduje całkowicie siwizny, tylko powoduje, że staje się ona jakby mniej widoczna.

– Jest pani pewna?

– Tak. Spotykałam się kiedyś z takim starszym facetem i on to stosował. Opowiadał mi o tym. Nakładają to w zakładach fryzjerskich, tych lepszych. To znaczy można to też kupić przez Internet, ale on to raczej zrobił u fryzjera, bo w ogóle wyglądał, jakby przed chwilą stamtąd wyszedł. Czy to ważne?

– Wszystko może być ważne. Bardzo dziękuję, że mi pani o tym powiedziała. Gdyby jeszcze coś się pani przypomniało, cokolwiek, nawet coś, co uważa pani za nieistotne, proszę koniecznie zadzwonić. Do mnie albo do komisarza Aleksanderskiego. Dobrze?

– Oczywiście. Obiecuję.

– To do widzenia.

– Do widzenia. – Mimo kolejnego pożegnania dziewczyna jeszcze obróciła się przez ramię. – A jakby pani prokurator wpadła kiedyś do naszego butik, to jakiś rabacik moglibyśmy zaproponować. Porozmawiam z szefową, na pewno się zgodzi.

– Pani Paulino... – Sereżyńska uśmiechnęła się życzliwie. – Proszę uważać, co pani mówi do urzędnika państwowego. Może to zostać uznane za próbę przekupstwa.

– O Jezus, nie! – Ekspedientka najwyraźniej potraktowała jej słowa najzupełniej poważnie. – Nie to miałam na myśli!

– Spokojnie, pani Paulino. Wiem, że nie to. Proszę się nie bać. Zresztą i tak nie byłoby mnie na nic stać. – Sereżyńska przypomniawszy sobie kwotę z paragonu. – Nie ma na świecie aż takich promocji.

ROZDZIAŁ 53

– Jakieś wieści? – spytała zebranych w salce konferencyjnej. Z przyjemnością zauważyła, że coraz pewniej czuje się w roli szefa.

– Nic specjalnego – pierwszy odezwał się Halicki. – Nasz przegląd aktywności w sieci różnych grup satanistycznych i okultystycznych nie dał żadnych rezultatów.

– Nikt się nie pochwalił, że zamordował cztery osoby? – spytał z ironią Aleksanderski.

– Nie, nikt się nie pochwalił – komisarz Halicki nie zauważył lub postanowił nie zauważyć jego uszczypliwego tonu. – Patrzyliśmy też, czy nigdzie nie pojawiły się, choćby w formie fantazji czy jakiegokolwiek innej, opisy podobnych zachowań, jakie przejawia nasz sprawca. Nic takiego nie znaleźliśmy.

– Może warto skonsultować się z jakimś etnografem? – odezwała się spod ściany prokurator Walczak. Było to tak niespodziewane, że wszyscy jak na komendę odwrócili w jej stronę głowy. – Może mamy do czynienia z jakimś kultem spoza naszego kraju?

– Czymś w rodzaju voodoo? – spytał Halicki. – Mamy i takich przyjemniaczków w Polsce. Sprawdziliśmy ich. Nic.

– Myślałam raczej o kimś, kto zetknął się z czymś takim na przykład w trakcie podróży albo gdy mieszkał w jakiś egzotycznym kraju. Jedna z ofiar miała w połowie afrykańskie korzenie, zginęła też maska obrzędowa. Może jest tu jakiś związek?

– Może – zgodziła się Sereżyńska. – Na pewno warto to sprawdzić.

Szczerze powiedziawszy, nie była tego wcale taka pewna, ale pomyślała, że może lepiej nie utracić pierwszego pomysłu swojego

milczącego anioła stróża. Mogłoby to źle wpłynąć na ich dalszą współpracę.

– Komisarz Aleksanderski się tym zajmie – powiedziała. – Jak zauważyłam, całkiem nieźle sobie radzi w środowisku akademickim. – Uśmiechnęła się do niego. – A co z Grójcem? – zwróciła się do Halickiego. – Sprawdzalesz to?

– Tak – odpowiedział. – Przejrzeliśmy materiały ze śledztwa i przesłuchaliśmy jeszcze raz świadków. No cóż, miejscowa prokuratura rzeczywiście trochę za szybko uznała, że ma tę sprawę rozwiązana, ale jeśli chodzi o zebranie i zabezpieczenie dowodów, to chyba nie ma się do czego przyczepić. Tam faktycznie niewiele było i do tego nic, co by moim zdaniem pomogło ruszyć naszą sprawę. I jeszcze raz brawa za zwrócenie uwagi na tę próbkę moczu. – Skinął głową w kierunku Seredyńskiej. – Kazałem porównać ją z próbkami od ewentualnych podejrzanych. Ich wyniki były na tyle różne, że chyba ostatecznie eliminuje to ich jako sprawców.

W zasadzie powinien pogratulować komisarzowi Aleksanderskiemu, bo to on zwrócił na to uwagę, ale widocznie podskórna niechęć, która od początku pojawiła się między tymi dwoma mężczyznami, nie pozwoliła mu tego zrobić.

Aleksanderski zauważył chyba tę małą złośliwość, bo skrzywił się lekko.

– A co z tą ekspedientką, którą ci podesłałem? – spytał Seredyńską. – Było coś z tego?

– Tak – odpowiedziała. – I jeśli nikt nie ma więcej żadnych informacji, chciałabym, żebyśmy się tym teraz zajęli.

Poczekala chwilę, żeby upewnić się, że tak jest w istocie, i zaczęła:

– Sprzedawczyni w sklepie, w którym prawdopodobnie robił zakupy sprawca, podsunęła mi pewien trop. Jest on co prawda dość wąty, ale myślę, że warto nim się zająć. Tym bardziej że nie mamy na razie nic lepszego. Twierdzi ona mianowicie, że podejrzany wyglądał, jakby dopiero co wyszedł od fryzjera. Uważa

też, że poddał się tam specjalnemu zabiegowi mającemu za zadanie ukryć siwiznę na jego włosach.

– Czyli przygotowywał się na maksa – zauważył Halicki. – Nie dość, że zafundował sobie nowe ciuchy, to jeszcze szarpnął się na fryzjera.

– Tak. Biorąc zaś pod uwagę, że działo się to na dzień przed pokazem, widać, że zaplanował to wszystko i włożył sporo wysiłku, żeby się tam dostać. Można założyć, że faktycznie nie było go na liście gości, a to swoiste przebranie, w które zainwestował, miało mu umożliwić upodobnienie się do ludzi, którzy tam przyjdą.

– Myślisz, że miał ją na celowniku? – spytał Aleksanderski.

– Na to wygląda – odpowiedziała. – I znaczy to chyba, że nie znał jej wcześniej. Wtedy dostałby zaproszenie.

– Albo znał ją z widzenia – odparł Aleksanderski. – Był jej sąsiadem albo widywał ją w sklepie.

– Niekoniecznie – wtrącił Halicki. – Było o niej ostatnio trochę w mediach. Sprawdziłem to. Dostała nagrodę w Mediolanie i wypuściła nową kolekcję. Zrobiła sobie promocyjny tour po stacjach i rozgłośniach.

– Widziałam ją w telewizji – odezwała się prokurator Walczak. – Piękna kobieta. Zwracała na siebie uwagę.

– No dobrze, ale co to dla nas znaczy? – spytał Halicki.

– Możemy spróbować znaleźć ten salon fryzjerski – odpowiedziała Seredyńska.

– Takich zakładów jest w Warszawie mnóstwo.

– Tak, ale możemy spróbować zawęzić zakres poszukiwań. Sprzedawczyni twierdzi, że takie zabiegi wykonuje się tylko w niektórych. „Tych lepszych”, jak się wyraziła.

– To ciągle sporo. Żyjemy w bogatym mieście.

– Myślę, że możemy skupić się na tylko dwóch obszarach: pierwszy to Śródmieście, ze szczególnym uwzględnieniem okolic Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia. Drugi to Bielany i Żoliborz, czyli to, co nam wyszło z profilowania geograficznego.

Pierwszy dlatego, że tam właśnie znajduje się ten sklep. Możemy wyobrazić sobie, że podejrzany najpierw poszedł do fryzjera, a potem do sklepu i te dwa miejsca są jakoś w pobliżu. Tym bardziej że sprzedawczyni powiedziała, że wyglądał jak pracownik uniwersytetu. Może więc gdzieś w pobliżu pracuje? A drugi wiadomo.

– Dlaczego w takim razie nie zacząć właśnie na uniwersytecie? – spytała Walczak.

– Tak, też o tym myślałam, ale to ogromna masa ludzi do sprawdzenia, a opieramy się tylko na luźnym wrażeniu świadka. Poza tym nie jest wcale powiedziane, że on pracuje... jeśli w ogóle pracuje... właśnie na uniwersytecie. W pobliżu jest całe mnóstwo szkół wyższych i placówek naukowych. Uniwersytet Warszawski, Polska Akademia Nauk, Akademia Sztuk Pięknych, Uniwersytet Muzyczny... Do tego dochodzą jeszcze ministerstwa... Salony fryzjerskie będą zdecydowanie prostsze.

– To jaki wyznaczasz podział zadań? – spytał Aleksanderski.

– Proponuję, żeby komisarz Halicki zajął się rejonem Nowego Świata, a ty Bielanami i Żoliborzem. To w końcu twój rejon. Portret pamięciowy gotowy?

– Dziś powinien być.

– Pokazujcie go w tych wszystkich miejscach, pytajcie o wysokiego, szczupłego mężczyznę, niezbyt dobrze ubranego, który tamtego dnia lub dzień wcześniej poddawał się zabiegowi odsiwiania. Może ktoś go zapamiętał, może tam dla odmiany zapłacił kartą...

– To do roboty! – podsumował Aleksanderski.

ROZDZIAŁ 54

Dotknął palcami twarzy, jakby sprawdzając, czy wciąż nie tkwi na niej maska. Nie było jej, oczywiście, została w domu, lecz miał wrażenie, że ciągle tam jest. Czuł ją, tak jak podobno czuje się odciętą nogę. Przejrzał się w szybie wystawy sklepowej, żeby ostatecznie upewnić się, że nie zapomniał jej zdjąć. Że nie wyszedł na miasto z drewnianym demonem na głowie.

Jego odbicie w tym przygodnym lustrze było jakieś inne. Może dlatego, że tak niewyraźne, że prześwitywało zza niego wnętrze sklepu, a może dlatego, że maska, choć zdjęta, wciąż formowała jego rysy. Jakby patrzył na ducha, nie na siebie.

Coś poruszyło się za tym obliczem. W sklepie byli ludzie, nic w sumie dziwnego. Jakaś kobieta przeglądała stroje na wieszaku. Obok niej stała druga, znacznie młodsza – sprzedawczyni.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że to dokładnie ten sam sklep, w którym kupował swoje ubrania. Nie miał ich teraz na sobie, zamierzał je wkładać tylko na specjalne okazje. I była to dokładnie ta sama sprzedawczyni, która pomagała mu w wyborze. Wtedy niemal nie zwrócił na nią uwagi. Jego myśli zaprzętało coś innego. Była tylko narzędziem do osiągnięcia celu. Teraz spojrzął na nią w zupełnie inny sposób.

Ładna, młoda i szczupła. Długie, proste blond włosy spływały jej po obu stronach twarzy. Ubrała się w białą bluzkę i czarną spódnicę do kolan. Mogłaby być chyba jego córką.

Odsunął się trochę od szyby, bojąc się, by go nie zobaczyła. Czyby go poznała? Był w końcu tylko jednym z dziesiątków klientów, jacy

każdego tygodnia przewijali się zapewne przez jej sklep. Jedną z setek twarzy, jakie widywała tu każdego roku. A nawet gdyby go poznała, to co? Chyba nic, ale i tak się odsunął.

Ona zresztą zajęta była czymś innym. Tłumaczyła coś swojej klientce, pokazywała, potem odprowadziła ją do przebieralni. Szła obrócona tyłem do niego, mógł więc wtedy dokładnie zobaczyć i ocenić kształt jej bardzo, ale to bardzo ładnych nóg w niewysokich szpilkach.

Ktoś potrącił go, przechodząc obok. „Sorry” – usłyszał i nie wiadomo dlaczego zdenerwowało go to. Nie potrącenie, ale właśnie to „sorry”. Jakby nie było polskiego „przepraszam”.

Odszedł w końcu od wystawy, ale nie mógł się pozbyć tej irytacji. Miał ochotę dogonić tego mężczyznę i coś mu zrobić, choć przecież nie zwrócił nawet uwagi, jak on wyglądał. Obiema stronami Nowego Świata szły jak zwykle tłumy ludzi. Ogródki kawiarni i restauracji wypełnione były klientami. Słychać było rozmowy i śmiechy. Życie wrzało i buzowało podniecone alkoholem, ciepłą pogodą i rozbudzoną na wiosnę potrzebą dobierania się w pary.

Nagle zaczął kasłać. Poczuł, jak oblewa się potem. Nie było przecież aż tak gorąco, a on wcale nie był grubo ubrany. Zrobiło mu się słabo. Usiadł na ławce przy przystanku autobusowym. Ciągłe nie mógł powstrzymać kaszlu. Idący ludzie omijali go szerokim łukiem, jakby był chory na dżumę.

Umieram, pomyślał. I po raz pierwszy nie było w tym zwykłej przesady, z jaką wypowiadał te słowa w poprzednich latach. Rozejrzał się wokoło. Zobaczył zadowolonych, pełnych energii ludzi. Być może nawet szczęśliwych. Idących gdzieś, coś robiących, będących w trakcie realizowania jakichś planów, patrzących w przyszłość z wiarą, nadzieją i odwagą.

On nie miał już przyszłości. Nie mógł mieć wobec tego nadziei. Jedyne, co mu zostało, to odwaga. Dostyc trudna, trzeba to powiedzieć, w tej sytuacji.

Znowu zaczął kaszleć. Mięśnie klatki piersiowej rozboleły go od powtarzających się skurczy. Twarz wykrzywiła się w bolesnym grymasie. Wtedy podjechał autobus. Podwójne, otwierane szklane drzwi zatrzymały się dokładnie przed nim. Zaczęli z nich wychodzić ludzie. Widział ich spojrzenia prześlizgujące się po nim z mieszaniną zdziwienia i obrzydzenia. Potem ruszyli ci, którzy chcieli wsiąść. Ich tyłki paradowały wprost przed jego nosem, gdy gramolili się do wnętrza kanciastego blaszanego potwora.

Drzwi z powrotem się zamknęły. I wtedy znów to zobaczył. Po raz drugi dzisiaj. Szyba drzwi autobusu odbijała jego twarz niczym poszarzałe ze starości lustro. Twarz brzydką, wykrzywioną, okoloną sklejonymi od potu włosami. Twarz drgającą od wibracji silnika. Ta twarz patrzyła na niego. Śmiała się. Skrzywione usta rechotały. Oczy patrzyły z ironią i bezbrzeżną pogardą. To już nie była jego twarz, wiedział to. To była twarz tamtego. I wiedział też, co mówiły do niego te skrzywione usta.

Wstawaj, śmieciu. Nikt tu nie ma dla ciebie litości. W całym tym mieście, w całym tym kraju i na całym świecie nie ma ani jednej osoby, którą by obchodziło twoje śmieszne cierpienie. Nikt nie powie „ojej” i nie pogładzi cię po głowie. Nie czekaj na to. Gdy zdechniesz, nikt się tym nie przejmie i nikt cię nie zapamięta. Byłeś brudną pianą na potoku życia, niczym więcej. Na co więc czekasz? Wstań i się mścij. Tylko nienawiść ci już pozostała. Rzuć ją w twarz świata, niech to będzie twoje ostatnie zwycięstwo.

Tak więc wstał i poszedł. Wrócił pod wystawę tamtego sklepu i wpił się wzrokiem w postać po drugiej stronie szyby. W to życie tak młode, piękne, pełne siły i wiary w przyszłość. W ten płomień tak jasno i mocno świecący, że aż zdający się ogrzewać jego zgasły ogarek. Zobaczył, jak dziewczyna odwraca się, chcąc odwiesić na wieszak jakieś oddane przez klientkę ubranie, i wtedy go dostrzeża. Patrzy na niego ze zdziwieniem, choć bez obrzydzenia. Czy go poznaje? Chyba nie. Musiał teraz wyglądać zupełnie inaczej niż wtedy, gdy przyszedł tu po raz pierwszy – spokojny, umyty

i ogolony, prosto od fryzjera. Uśmiechnęła się do niego. Więc on też się do niej uśmiechnął. Oj, jak bardzo się do niej uśmiechnął!

ROZDZIAŁ 55

Jakiś człowiek stał na chodniku pod sklepem i patrzył na nią przez szybę. Na nią, nie na ubrania na wystawie, jak to często bywało. Wyglądał dziwnie, niepokojąco. Miał włosy sklezione potem i dość straszny wyraz twarzy, aż przeszedł ją dreszcz. Uśmiechnęła się do niego machinalnie, nerwowo, a on, po dłuższym czasie, kiedy nie była w stanie oderwać od niego oczu, odwzajemnił ten uśmiech. Zobaczyła, jak odsłania zęby, i przez moment była pewna, że dostrzeże długie, ostro zakończone kły. Odwróciła się szybko, przerażona, odwieszając drżącymi rękami oddany przez klientkę szary kardigan, a kiedy spojrzała w tamtą stronę znowu, już go nie było.

Boże, co się dzieje? Najpierw tamten facet, o którym musiała dziś rano opowiadać w prokuraturze, teraz ten. Nie za dużo tych świrów ostatnio? Chociaż ten pierwszy wcale na wariata nie wyglądał. Był nawet miły i uprzejmy. Spokojny i lekko przygaszony. Aż trudno było uwierzyć, że jest jakimś zabójcą. Ale ten? Ten musiał być porąbany na maksa.

Odetchnęła parę razy głęboko. Jeszcze raz spojrzała na ulicę przed sklepem, bojąc się, że znowu zobaczy tam tamtą twarz. Nikogo na szczęście nie było. Chodnikiem szli ludzie, jak zwykle. Wszyscy wyglądali normalnie.

Spokojnie, pomyślała. To pewnie jakiś zwykły menel, jakich sporo się kręci po Nowym Świecie. Nie wiadomo dlaczego upodobali sobie okolice Uniwersytetu. Półwariat, ale zapewne niegroźny. A ona po prostu ma zszargane nerwy tym dzisiejszym przesłuchaniem.

W końcu nie co dzień człowiek się dowiaduje, że ostatnio spędził godzinę sam na sam z mordercą.

Dobrze, że już niedługo zamykają i będzie mogła wreszcie pojechać do domu. W sklepie niedaleko domu kupi sobie butelkę różowego Carlo Rossi i wypije ją, oglądając serial na Netfliksie. Należy jej się to dziś jak mało co. I może pomyśli wreszcie o zmianie pracy. Na taką, w której nie trzeba cały czas stać, nawet wtedy, gdy w sklepie nie ma żadnych klientów. Jej szefowa była porządną kobietą i dość dobrze się z sobą dogadywały, ale tego akurat bardzo pilnowała. A jej już trochę nawalał od tego kręgosłup.

Zamknęła wreszcie sklep i zrobiła raport z kasy. Potem przebrała się na zapleczu w swoje prywatne ciuchy. Postanowiła, że wróci taksówką. Mieszkała daleko i raczej nie było jej stać na takie fanaberie, ale dziś robi wyjątek. Taksówka, wino i serial – tak, ten wieczór jeszcze można uratować.

Otworzyła aplikację w telefonie i wpisała swój adres. Skaczący symbol małego autka obwieszczał, że program poszukuje wolnego kierowcy. Minęło kilka minut i nic. Samochodzik ciągle skakał. No tak, był piątek wieczór, na domiar złego zaczęło padać. Wszyscy zamawiali taksówki, jadąc na imprezy lub do knajp albo po prostu nie chcąc zmoknąć. Spróbowała w innej aplikacji – to samo. Zadzwoiła na parę numerów tradycyjnych korporacji – też dupa. Gdy w końcu dodzwoniła się do jednej, usłyszała, że czas oczekiwania wynosi kilkadziesiąt minut, ale dyspozytorka nie gwarantowała, że po tym czasie ktoś się znajdzie.

Zaczęła żałować, że zerwała ze swoim chłopakiem. Był w porządku i dość go lubiła, ale za dużo chciał. Zaczął nawet przebąkiwać o małżeństwie, a ona nie była na to jeszcze gotowa. Na dobrą sprawę nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie. Teraz by się przydał. Mogłaby po niego zadzwonić, a on natychmiast by przyjechał. Zawsze robił wszystko, o co go prosiła, i jeszcze wyglądał, jakby mu to sprawiało przyjemność. Kurczę, dlaczego

w takim razie go rzuciła? A nie, sorry, to on ją zostawił. W momencie, gdy zrozumiał, że te wspólne kolacyjki, wypadki na piwo i do kina to maksimum tego, co ona jest mu w stanie zaoferować.

Dobra, nie ma co panikować, pomyślała. Od ponad roku wracała autobusem i nigdy nic się nie stało. Przystanek był przecież tuż pod sklepem, a ten menel już dawno pewnie pił w jakiejś bramie. W razie czego miała zresztą w torebce gaz. Nie będzie tu przecież siedzieć kolejnej godziny w pustym sklepie.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Rozejrzała się dookoła. Nic niepokojącego. Ludzi może trochę mniej, ale wciąż sporo. W ogródkach, pod wielkimi parasolami ciągle pełno. Ani śladu tamtego świra.

Otworzyła parasolkę i poszła na przystanek. Asfalt ulicy błyszczał od deszczu. Odbijały się w nim światła lamp ulicznych i witryn sklepów oraz restauracji. Było to ładne, nawet bardzo. Będzie jej brakowało tego miejsca, gdy już znajdzie inną pracę.

Nie czekała długo, autobus podjechał po dwóch minutach. Wsiadła przez środkowe, podwójne drzwi i przeszła do przodu. W pobliżu kierowcy zawsze bezpieczniej. Choć naprawdę nie było się czego bać – także i tu było pełno ludzi.

Spojrzała w kierunku tyłu autobusu, jakby się bała, że tamten wsiadł za nią. Na pewno nie, ale pewności nie miała. Pojazd był dość zatłoczony, pasażerowie stali w korytarzu między siedzeniami i w pustej przestrzeni na środku. Ludzi siedzących z tyłu, za przegubem, nie widziała wcale. Ale nie ma co panikować. Tamten gość to był zapewne zwykły pijaczek, który ma teraz ciekawsze rzeczy do roboty niż jeżdżenie za nią środkami komunikacji miejskiej.

Na następnym przystanku zwolniło się miejsce, więc skwapliwie z tego skorzystała. Co prawda obok stał jakiś starszy mężczyzna, ale uznała, że jej po ośmiu godzinach stania bardziej to się przyda

niż jemu. Z ulgą rozprostowała nogi, próbując je choć trochę wcisnąć pod siedzenie z przodu. O, jak dobrze... O matko...

Wszystkie jej niepokoje i strachy uleciały nagle pod wpływem tego fizycznego uczucia błogości. Chwilę porozkoszowała się nim, a potem wyciągnęła telefon. Pora zobaczyć, co słyhać na Facebooku, Instagramie i Tinderze. Zwłaszcza ta ostatnia aplikacja ostatnio mocno ją zajmowała. Czas sobie znaleźć nowego chłopaka. Takiego, który w razie czego po nią przyjedzie.

Wciągnęło ją to, jak zwykle. Kolejne zdjęcia i kolejne opisy. Przesuwane raz w prawo, raz w lewo, ale zdecydowanie częściej w lewo. Wszyscy ci faceci wydawali jej się nieinteresujący. Za starzy albo za młodzi. Za tępi z wyglądu albo wręcz przeciwnie – od razu było widać, że za skomplikowani i że byłyby z nimi same kłopoty. Nawet jeśli czasami przesunęła któreś zdjęcie w prawo, to raczej tylko po to, żeby nie wyszło, że wszystkich odrzuca. Jeśli potem taki mężczyzna również ją wybrał i aplikacja obwieszczała jej tryumfalnie „masz nową parę!”, to nie za chętnie nawiązywała z nim rozmowę. Zazwyczaj kończyło się na dwóch-trzech wymianach wiadomości, i to nawet wtedy, gdy gość okazywał się w miarę sensowny i nie uświadamiał jej od razu, co i jak by jej chciał wylizać.

Dotarła w końcu do kresu Tindera. „Nie ma nikogo nowego w Twojej okolicy” – poinformowała ją aplikacja. Świetne wyczucie czasu, bo akurat był jej przystanek. Drzwi autobusu otworzyły się i ludzie zaczęli wysiadać. Było to dla niej pewne zaskoczenie, dlatego zerwała się szybko i ruszyła do wyjścia. Była ostatnia, usłyszała za sobą syk zamykanych drzwi.

Autobus ruszył dalej z resztą pasażerów. Tych kilku, którzy wysiedli wraz z nią, szło już szybkim krokiem w kierunku swoich domów. Prawie zupełnie zapomniała o tamtym dziwnym facecie za szybą, ale na wszelki wypadek rozejrzała się dookoła. Oczywiście nigdzie go nie było. W ogóle nikogo nie było. Została na przystanku sama.

Tuż obok była niewielka blaszana buda z napisem „Alkohole 24h”. Weszła tam i od wiecznie przygnębionego sprzedawcy kupiła butelkę Carlo Rossi w cenie znacznie przewyższającej tę z normalnego sklepu. Włożyła ją do torebki i wyszła.

Przestało padać, ale ciężkie, deszczowe chmury sprawiły, że zrobiło się już niemal ciemno. Mieszkała na Pradze, na Gocławku, w dzielnicy w zasadzie prawie podmiejskiej, choć przecież wciąż leżącej jeszcze w granicach administracyjnych Warszawy. Latarnie tu, owszem, były, ale zdawały się rzucać znacznie mniej światła niż te w centrum. Poza tym o tej porze, na granicy dnia i nocy, światło zawsze wydaje się ciemniejsze. Jakby potrzebowało dopiero pełnego, soczystego mroku, żeby rozjarzyć się mocnym blaskiem.

Chwyciła mocniej złożoną parasolkę i ruszyła szybko w kierunku swojego domu. Zastanawiała się nawet, czy nie wyciągnąć z torebki gazu, ale uznała to za kolejny przejaw niepotrzebnej paniki. Ile to razy szła tą drogą i nigdy nic niepokojącego się nie wydarzyło. Znała tu każdy kamień i wszystkich sąsiadów. Niektórzy z nich nie byli może nadmiernie praworządni, ale nigdy nie robili krzywdy swojakom. Z ich strony nie miała się czego obawiać.

Szła wąskim chodnikiem biegnącym między starą kamienicą, na której parterze mieścił się nieczynny o tej porze sklep, i kwartałem krzaków już otoczonych płotem świadczącym, że niedługo jakiś deweloper zacznie tu budować blok cywilizujący trochę ten lekko zapyziały fragment miasta. To zaledwie kilkadziesiąt metrów, potem dojdzie do swojej ulicy, szerszej i porządnie oświetlonej. Mogła co prawda skrócić przy przystanku od razu w lewo i dojść tam inną, równie dobrze oświetloną ulicą, ale było to dalej, a poza tym zawsze tędy chodziła. No i – jak to już zostało ustalone – nie było co panikować.

Mimo tego jednak szła bardzo szybko, słyszała swój oddech i bicie swojego serca. Miała dziwne wrażenie, że ktoś na nią patrzy, a nawet że ktoś za nią idzie. Obejrzała się za siebie, ale nikogo oczywiście nie było. Zdecydowanie butelka wina jej się dziś przyda.

I to chyba raczej cała, a nie pół. W końcu jutro sobota, więc mogła wstać później.

Żeby nie myśleć już o głupotach, zaczęła się zastanawiać, jaki to serial zacznie dziś oglądać. Poprzedni skończyła, a miała kilka typów do wyboru. Może dla odmiany coś obyczajowego? Nie miała dziś raczej ochoty na żadne morderstwa.

Jeszcze tylko kilka metrów i znajdzie się na swojej ulicy. Coś za sobą usłyszała, ale tym razem nie obejrzała się, tylko jeszcze przyspieszyła kroku. Wyobraźnia zaczęła jej podpowiadać przerażające obrazy. Z bijącym sercem prawie wbiegła na ulicę.

Nie zauważyła, że na granicy mroku zatrzymała się za nią jakaś postać. Ciemna ludzka sylwetka została już w tym miejscu, jakby obserwowała, jak Paulina idzie jasno oświetloną ulicą w kierunku swojego domu, jak otwiera furtkę, a potem drzwi domu, jak zapala światło na klatce, a potem drugie – w oknie mieszkania na pierwszym piętrze. Bardzo niskim pierwszym piętrze, znajdującym się tuż nad tarasem, na który wychodziło się z mieszkania na parterze. Pod oknem zaś, tym, w którym zapaliło się światło, znajdował się balkon. Nawet niezbyt wysportowanej osobie nie byłoby trudno tam się dostać.

Postać ta także ciężko oddychała, a w pewnym momencie zaczęła kaszleć. Lecz tego nikt już nie usłyszał, a już na pewno nie dziewczyna otwierająca właśnie w tym momencie w swoim mieszkaniu butelkę różowego, niezbyt drogiego wina.

ROZDZIAŁ 56

Spojrzał na zegarek – dochodziła dziewiętnasta. Jego peregrynacje po bielańskich salonach fryzjerskich nie przyniosły na razie jakiegokolwiek rezultatu. Ten lokal, obiecał to sobie, będzie dziś ostatni. Co prawda większość tego typu zakładów czynna była co najmniej do dwudziestej, a on nie miał specjalnie po co spieszyć się do domu, ale był już po prostu zmęczony. Marzył o tym, by wrócić do opancerzonej roletami antywłamaniowymi twierdzy, nalać sobie do szklanki wódki, usiąść w fotelu, położyć nogi na pufie i zacząć gapić się tępo w telewizor.

No dobrze, a więc już tylko ten i zjazd do zajezdni. Przeszedł przez rozkopaną, remontowaną ulicę Rydygiera, przez przejście dla pieszych, które aktualnie nie istniało, i stanął przed witryną. Za szybą widać było kontuar i siedzącą za nim długowłosą brunetkę. Reszta zakładu była zapewne gdzieś z tyłu. Obejrzał się jeszcze na swojego nissana, którego zaparkował na rozjechanym do granic możliwości, błotnistym placu po drugiej stronie ulicy, jakby się bał, że gliniasta maź wciągnie go niczym bagno, i wszedł do środka.

Dziewczyna podniosła na niego wzrok. Nie była zbyt ładna, ale była młoda. Czyli reasumując – jednak ładna.

– Dobry wieczór – powiedział. – Komisarz Aleksanderski, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy, Komenda Rejonowa Policji na Żeromskiego. – Wyciągnął odznakę. – Mogę porozmawiać z kimś, kto jest tu szefem?

Dziewczyna oprócz długich włosów miała też dość głęboki dekolt. Stojąc nad nią i patrząc w dół, siłą rzeczy widział dwie bardzo

ładne półkule podtrzymywane przez równie widoczny stanik. Musiała zdawać sobie sprawę, że wszyscy klienci podchodzący do jej stanowiska muszą, chcą czy nie chcą, podziwiać ten widok. Czyli prawdopodobnie ubierała się tak świadomie. Nie mógł się zdecydować, czy odczuwa z tego powodu zażenowanie, czy – wręcz przeciwnie – podniecenie.

Dziewczyna wstała jednak, kończąc zarówno te rozmyślenia, jak i te, bardzo przyjemne, trzeba przyznać, widoki. Wyszła zza kontuaru.

– Rafał! – krzyknęła w stronę pomieszczenia na tyłach. – Policja do ciebie!

– Policja? – usłyszał pełen zdziwienia głos.

Już po chwili pojawił się właściciel zakładu – dość przystojny, wysoki mężczyzna po czterdziestce.

– Policja? Do mnie? – Uśmiechnął się szeroko. – Coś przeskrobałem?

Nie wyglądał na specjalnie zaniepokojonego.

– Komisarz Aleksanderski, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy, Komenda Rejowa Policji na Żeromskiego – powtórzył swoją formułkę.

– Rafał Sadurski – przedstawił się mężczyzna. – W czym możemy państwu pomóc? Kogoś nierówno ostrzygliśmy?

Komisarz słyszał już dziś podobny żart co najmniej dwa razy, więc pozwolił sobie się nie roześmiać.

– Prowadzę śledztwo w sprawie poważnego przestępstwa – wyjaśnił z kamienną twarzą. – Mamy prawo przypuszczać, że podejrzewany o nie mężczyzna korzystał z usług waszego salonu.

– Bardzo wiele osób do nas przychodzi. – Jego rozmówca rozłożył ręce. – Jak wyglądał?

– Wysoki, szczupły, szpakowaty, przedział wiekowy mniej więcej trzydzieści osiem–pięćdziesiąt osiem lat.

– Większość naszych klientów pasuje do tego opisu. Młodszych jeszcze nie stać, starszym już się nie chce. To raczej zamożni

i dobrze wykształceni ludzie, więc dbają o linię. Coś więcej?

– Tak. Prawdopodobnie nie był dość dobrze ubrany. Raczej schludnie, lecz w rzeczy już znoszone i niezbyt drogie. Poddał się też charakterystycznemu zabiegowi: nakładania szamponu kryjącego siwe włosy.

– Coveru.

– Tak, coveru. Przeprowadzacie taki zabieg?

– Oczywiście. Panu też bym go polecał. Odmłodnieje pan o co najmniej dziesięć lat.

– Dziękuję. Jestem już w tym wieku, że nie chce mi się wyglądać młodziej – odparł. – Wiemy też, kiedy prawdopodobnie przyszedł – kontynuował. – W środę lub czwartek dwa tygodnie temu. Ale raczej w czwartek. Mógłbym porozmawiać z kimś, kto wtedy był na sali?

– Zawsze jestem albo ja, albo mój wspólnik, a często jesteśmy obaj. No i oczywiście nasi pracownicy.

– Mam tu portret pamięciowy. – Podał mężczyźnie kartkę. – Kojarzy pan kogoś takiego?

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

– W sumie podobny do mnie – zauważył. – Tylko twarz jakby bardziej pociągła. Nie, nikogo takiego nie pamiętam. – Oddał mu portret. – A na pewno bym go odnotował. Nie tyle z powodu wyglądu, ile tego ubrania. Tacy ludzie dość rzadko do nas przychodzą.

– Czyli na sali był pana wspólnik, tak? Jest dziś może?

– Niestety nie. Już wyszedł. Ale może jest któraś z dziewczyn, które wtedy pracowały. Monika – zwrócił się do recepcjonistki, która wróciła za kontuar – mogłabyś sprawdzić, w jakich godzinach był Pierre w czwartek w zeszłym tygodniu?

– Już patrzę – odpowiedziała dziewczyna i zaczęła stukać w klawiaturę komputera, a komisarz poczuł neodpartą ochotę, by tam znowu podejść i rzucić okiem.

– W czwartek? Między jedenastą a szesnastą.

– A które z dziewczyn były wtedy na sali?

– Iwona, Kasia, Sandra i Agata.

– Agata dzisiaj pracuje – stwierdził mężczyzna. – Zapraszam.
Ruszyli w głąb zakładu.

Po chwili weszli do dość dużej sali; wzdłuż ścian rozmieszczone były stanowiska fryzjerskie. Osiem lub dziesięć, ale nie wszystkie były obsadzone.

– Agata jest tam. – Mężczyzna wskazał stanowisko po prawej stronie. Poczekaj pan chwilę? Z tego, co widzę, już kończy. Może czegoś się pan napije? Kawy, herbaty, whisky?

Do domu miał stąd naprawdę blisko. Jedna mała szklaneczka by mu nie zaszkodziła.

– Może odrobinę whisky, jeśli można.

– Jack Daniels czy Johnnie Walker?

– Zdecydowanie Jack Daniels. Bez lodu i coli. I to naprawdę niewiele.

Usiadł na jednej z dwóch kanap stojących naprzeciwko siebie na środku pomieszczenia. Już po chwili na szklanym stoliku przed nim pojawiła się szklaneczka z bursztynowym płynem. Nie było go wcale tak niewiele.

Agata była niewysoką, bardzo szczupłą i zgrabną blondynką. Wąskie biodra i małe piersi sprawiały, że wyglądała niemal jak dziewczynka. Właściciel salonu podszedł do niej i powiedział jej coś na ucho, wskazując na komisarza. Dziewczyna skinęła głową, odwróciła się do niego i uśmiechnęła. Odwzajemnił uśmiech.

Upił łyk whisky i zaczął z przyjemnością obserwować, jak fryzjerka uwija się wokół siedzącej na fotelu kobiety. Po chwili skończyła, pożegnała się z klientką i podeszła do niego.

– Chciał pan ze mną rozmawiać – powiedziała i uśmiechnęła się ponownie.

– Tak. – Dopił resztę whisky. Nie powinien tego robić, biorąc pod uwagę, że przyjechał samochodem, ale nie potrafił się

powstrzymać. Wstał. – Moglibyśmy przejść w jakieś odrobinę bardziej ustronne miejsce? – spytał.

– Tam jest pokój do zabiegów kosmetycznych. – Wskazała na korytarz tuż za jej stanowiskiem. – Nikogo w nim teraz nie ma. Chodźmy tam.

Ruszył za nią. Po chwili znaleźli się w niewielkim, białym pomieszczeniu, na którego środku stał mebel w niepokojący sposób kojarzący się z fotelem dentystycznym.

Dziewczyna odwróciła się do niego.

– Długo to potrwa? – spytała. – Za chwilę mam następną klientkę.

– Nie sądzę – odparł.

– W takim razie słucham.

Podał jej kartkę z portretem pamięciowym.

– Szukam tego mężczyzny – powiedział. – Mam prawo przypuszczać, że był w waszym zakładzie i to dokładnie wtedy, gdy miała pani zmianę. Oprócz strzyżenia poprosił też o nałożenie na włosy szamponu odsiwiającego, coveru. Pamięta pani kogoś takiego?

– Tak – powiedziała, patrząc na kartkę. – To ja go strzygłam.

No proszę. W końcu.

– Jest pani pewna?

– Jestem. Był dosyć specyficzny. Co zrobił?

– Jest podejrzewany o zabójstwo – odparł. – Na czym polegała ta jego specyficzność?

Fryzjerka zbladła. Nie powinien tego mówić, należało rzucić jakąś formułkę o tajemnicy śledztwa. Choć z drugiej strony może dzięki temu dziewczyna potraktuje sprawę poważniej i postara się więcej sobie przypomnieć.

– Jezus, Maria, kogo zabił?

– Nie mogę udzielać takich informacji. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Fryzjerka spróbowała się opanować. Dość sprawnie jej to poszło.

– No więc, po pierwsze, na stroju – odpowiedziała po namyśle. – Dość ubogim, powiedziałabym. Przychodzą do nas zazwyczaj raczej zamożni klienci. Ubrani są w dobre, markowe ciuchy. Ten wyglądał, jakby pomylił zakład. Jakby szukał takiego, gdzie strzyżenie kosztuje dwadzieścia pięć złotych, a trafił do takiego, gdzie kosztuje dwieście.

– Na czym jeszcze?

– Był spięty. Próbowałam do niego zagadać, bo zawsze tak robię, ale on odpowiadał monosylabami. Kiedy myłam mu włosy, był aż cały sztywny, jakbym wyrywała mu ząb, a nie polewała włosy ciepłą wodą. Nawet w pewnym momencie pomyślałam, że może faktycznie wszedł tu, nie zdając sobie sprawy, jakie mamy ceny, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że go na to nie stać. Ale nie. Poprosił potem o ten cover. Powiedziałam mu na wszelki wypadek, ile to dodatkowo kosztuje, a on się zgodził.

– Co pani wtedy pomyślała?

– Że musi chodzić o jakąś specjalną okazję. Na przykład o randkę. Postanowił zainwestować w siebie, żeby dobrze wyglądać. – Pokiwała głową jakby na potwierdzenie własnych słów. – Musiało chodzić o kobietę. Gdyby w grę wchodziła jakaś oficjalna uroczystość, nie nakładałby tego covera. Od razu poczułam wtedy do niego sympatię.

– Spytała go pani o to?

– Oczywiście. Aż mnie skręcało z ciekawości. Nie co dzień zdarza się taka historia. Poczekalam, aż się trochę odpręży... strzyżenie tak działa na większość ludzi... i spytałam.

– Co odpowiedział?

– Potwierdził.

– Że chodzi o randkę?

– Tak. To go zaczęłam dalej podpytywać, jak się poznali i tak dalej. Odpowiedział mi, że się jeszcze nie poznali.

Komisarz spojrzał uważnie na swoją rozmówczynię. To była bardzo istotna informacja. Jeśli to prawda, wykluczało to

automatycznie z kręgu podejrzanych wszystkich znajomych Oliwii Mandinkeye.

– Tak powiedział? – upewnił się.

– Tak. No to spytałam, czy to randka z Tindera, ale nie wiedział, o co chodzi.

– Ile mógł mieć lat?

– Moim zdaniem czterdzieści parę. Sześć, siedem, osiem.

– Miał obrączkę na palcu?

– Nie.

– Ślad po obrączce?

– Też nie.

– Jakież inne charakterystyczne cechy? Blizny, znamiona, przebarwienia skóry?

– Na pewno nie na głowie. A ją sobie dość dokładnie obejrzałam.

– Mówił coś jeszcze o sobie? Co robi, gdzie mieszka?

– Nie. Sam z siebie nic nie mówił. Gdybym go nie pociągnęła za język, o tej randce też by nie powiedział.

Fryzjerki są czasami lepiej poinformowane niż księża, pomyślał Aleksanderski. Ale też przyjemniej się spowiadać młodej dziewczynie, która gmera nam przy włosach, niż staremu chłopu, który każe przed sobą klęczeć.

– Coś jeszcze zwróciło pani uwagę? – spytał na koniec. – Może nasunęła się pani w związku z nim jakaś refleksja? Jakaś myśl przyszła pani do głowy? To może być cokolwiek, nawet coś, co wydaje się pani zbyt nieistotne, by o tym wspominać.

Zastanowiła się.

– Moim zdaniem mieszka niedaleko. Nie jakoś strasznie blisko, ale niedaleko. I przyszedł na piechotę.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Odkąd mamy ten remont, wszyscy klienci narzekają, że nie ma tu jak zaparkować, i pytają, kiedy on się skończy. Zwłaszcza ci, którzy przyszli do nas pierwszy raz. On nie wspomniał o tym nawet słowem.

- Może przyjechał autobusem?
- Był spocony. Włosy na karku miał wilgotne od potu. Jakby siedł jakiś czas. Nie pięć minut, ale powiedzmy: piętnaście.

ROZDZIAŁ 57

Zawibrowała komórka. Spojrzała na wyświetlacz. Komisarz Aleksanderski. Odebrała.

– Tak?

– Jesteś jeszcze w pracy?

– Właśnie wychodzę.

– To poczekaj jeszcze chwilę. Zaraz u ciebie będę.

Zerknęła na zegarek.

– To nie może poczekać do jutra? Już późno.

– A co masz do roboty w domu? Pewnie to samo co ja, czyli nic.

Fakt. Wino, koc i książka – taki był jej plan na wieczór. Kuszące, ale może poczekać.

– Poza tym jutro jest sobota – przypomniał.

Też fakt.

– No dobra, przyjeżdżaj. – Westchnęła. – Za ile będziesz?

– O tej porze? Za piętnaście minut.

Zdjęła z powrotem płaszcz i usiadła na swoim obrotowym krześle. Mogłaby jeszcze zrobić coś pożytecznego, ale jej się nie chciało. Sięgnęła więc po telefon i zaczęła przeglądać ubrania w sklepie internetowym. Nawet się nie spostrzegła, jak komisarz Aleksanderski pojawił się w drzwiach.

– Cześć – powiedział.

Był lekko czerwony na twarzy i wyraźnie rozochocony.

– Cześć – odpowiedziała, odkładając telefon na biurko. – Co tam?

Usiadł z impetem na krześle, aż zaskrzypiało.

– Znalazłem ten salon – obwieścił tryumfalnie. – I fryzjerkę, która robiła naszego ptaszka na bóstwo.

Natychmiast zrozumiała, czemu tak bardzo zależało mu na czasie. Chciał się pochwalić swoim sukcesem. A w zasadzie tym, że okazał się lepszy od Halickiego. Ta ich rywalizacja, mimo iż do tej pory ją wkurzała, być może nie była aż taka zła.

– Świetnie. Gratulacje – odpowiedziała. Miała ochotę powiedzieć, że jest z niego dumna, bo pewnie tego w głębi duszy oczekiwał, ale uznała, że zabrzmiałoby to zbyt protekcyjnie. – Coś ciekawego powiedziała?

– W sumie niewiele. – Wzruszył ramionami z miną świadczącą jednak o tym, że czegoś się dowiedział. – Potwierdziła parę naszych wcześniejszych ustaleń dotyczących jego wyglądu.

– I to wszystko? – spytała.

– Nie – odparł. – Była w jej zeznaniach jedna potencjalnie dość interesująca rzecz.

– Jaka?

– Jej zdaniem przyszedł tam na piechotę. Był lekko spocony, jakby przez jakiś czas szedł.

Natychmiast zrozumiała, co to może dla nich znaczyć. Włączyła laptopa.

– Może tego dnia było gorąco? – spytała.

– Sprawdziłem. Nie było. Temperatura była umiarkowana.

– Jest chory, może o to chodzi? Ludzie chorzy się pocą.

– Nie sędzę, żeby to było to. Powiedziała, że miał wilgotne włosy na karku. Gdyby pocił się z powodu choroby, cały byłby zlany potem.

– To na pewno był on?

– Na pewno. Tego akurat jestem w stu procentach pewien. Umówił się wcześniej przez telefon. Użył tego samego numeru, co ostatnio. Kazałem im do niego zadzwonić, oczywiście aparat znów był wyłączony.

– Sprawdzałeś logowanie?

- Nie, no kiedy? Dowiedziałem się tego pół godziny temu.
- No tak. Musimy to koniecznie ustalić.
- Jutro skontaktuję się z operatorem.
- Musiał podać jakieś nazwisko, kiedy się umawiał. Jakie?
- Janik.

Uniosła z nadzieją głowę.

- Myślisz, że prawdziwe?

- Na pewno. To nazwisko właściciela telefonu, z którego dzwonił.

Jego pierwszej ofiary.

- Dowcipniś... – westchnęła z rezygnacją.

Otworzyła Google Maps.

- Jak myślisz, ile trzeba iść, żeby się lekko spocić? – spytała.

- Fryzjerka powiedziała, że wyglądał, jakby szedł koło piętnastu minut. Myślę, że piętnaście–dwadzieścia. Salon jest na Rydygiera.

- Czyli musimy zakreślić okrąg o takim mniej więcej promieniu. Biorąc jednak pod uwagę to, co wiemy na podstawie profilowania geograficznego, czyli że mieszka gdzieś w okolicach Starych Biel, interesuje nas tylko wycinek powstałego w ten sposób koła. – Przesuwała mapę na ekranie. – Z Placu Wilsona na Rydygiera są dwadzieścia cztery minuty marszem. Stare Bielany są jeszcze dalej – mówiła trochę do niego, trochę do siebie. – Nie pasuje.

- Może przyjechał metrem? Wsiadł na placu Wilsona i resztę drogi pokonał pieszo.

- Może. Na stacjach jest monitoring, prawda? O której był w tym zakładzie?

- Był umówiony na dwunastą czterdzieści pięć.

- Czyli jeśli odejmiemy od tego dwadzieścia pięć minut, z metra powinien wyjść koło dwunastej dwadzieścia – myślała głośno. – Jeśli go znajdziemy na nagraniu, możemy też spróbować znaleźć stację, na której wsiada. Ile przechowuje się nagrania z monitoringu w metrze?

- Trzydzieści dni.

- Czyli mamy szansę go znaleźć.

- Zleć to Halickiemu – zasugerował. – Niech CBS tym się zajmie.
- Okej – odpowiedziała. – A co, jeśli jednak nie przyjechał metrem? Tylko na przykład autobusem albo tramwajem?
- Moim zdaniem nie. Tramwaje jeżdżą ulicą Broniewskiego. Gdyby przyjechał tramwajem i szedł z przystanku, nie zdążyłby się spocić. Z autobusami jest podobnie. Sama ulica Rydygiera jest co prawda zamknięta, ale inne przystanki są w granicach pięciu minut drogi – wyjaśnił.
- No dobrze, a co, jeśli jednak niczym nie przyjechał, tylko przyszedł pieszo prosto spod domu? – drążyła dalej.
- To by znaczyło, że nie mieszka w granicach wyznaczonych przez profilowanie geograficzne. Już ten Grójec podawał to w wątpliwość.
- Właśnie – zastanowiła się. – Pojawia się tu wobec tego jeszcze jedno pytanie. Czym pojechał do Grójca? Pierwsza odpowiedź, jaka się nasuwa, to że samochodem. Ale jeśli ma samochód i mieszka na Starych Bielanych, to raczej nie jechałby metrem na plac Wilsona i potem szedł dwadzieścia minut pieszo, żeby dojść na Rydygiera. Nie chciałoby mu się. Nikomu by się nie chciało. Od razu wsiadłby w samochód. To by mogło świadczyć, że jednak mieszka bliżej. Chyba że nie ma samochodu...
- Wtedy jednak musiałby pojechać do Grójca pociągiem. Tyle że tamto zabójstwo miało miejsce późnym wieczorem lub w nocy. Jak stamtąd wrócił? Nocował?
- Pociągi nie jeżdżą o tej porze?
- Nie wiem, musiałbym sprawdzić.
- Zrób to. Jeśli wracał pociągiem, ktoś być może go widział. Tym bardziej że, sądząc po stanie tamtych zwłok, mógł być ubrudzony krwią. A jeśli nocował, to gdzie? W hotelu, u rodziny?
- Dużo pytań – zauważył. – Mam wrażenie, że każde odkrycie zamiast przybliżyć nas do złapania go, jeszcze to oddala.
- Poczekaj – powiedziała. – Nadejdzie w końcu taki moment, kiedy te wszystkie koła nałożą się na siebie i ukażą część wspólną. Wtedy go dorwiemy.

– Oby – westchnął i podrapał się po karku. – To co robimy teraz?

– Przede wszystkim musisz sprawdzić to logowanie. Może ono zawęzi nam choć trochę obszar, na którym mamy szukać. Każ też tej fryzjerce zrobić portret pamięciowy. Niech zaktualizują na jego podstawie tamten pierwszy.

– A potem?

Ułożyła rzeczy leżące na biurku, jakby to pomagało jej uporządkować też myśli.

– Trzeba będzie wybrać obszar poszukiwań, a dalej chodzić od zakładu fryzjerskiego do zakładu, od sklepu do sklepu i go pokazywać – powiedziała. – Ktoś musi go w końcu rozpoznać. Znowu sprawdziłabym w pierwszej kolejności fryzjerów. Tym razem jednak tych zwykłych, osiedlowych. Skoro w tamtym salonie dla bogaczy był po raz pierwszy, to musi mieć gdzieś swój ulubiony tani zakład blisko miejsca zamieszkania, w którym zawsze się strzyże. Jeśli ten zakład znajdziemy, będziemy wiedzieć, gdzie mieszka.

ROZDZIAŁ 58

Nie chciał stać na tej ulicy. Nie było jeszcze aż tak późno, ktoś więc mógł go zobaczyć. Poszedł na spacer, wybierając jak najmniejsze, jak najślabiej oświetlone ulice. Niezbyt ciekawa to była okolica. Im dalej odchodził, tym bardziej nieciekawa. Głupio by było, gdyby ktoś go tu napadł.

Doszedł w końcu do linii kolejowej. Tam znalazł kępę krzaków przy nasypie i usiadł na ziemi. Czekał. Długie to było czekanie, lecz nie dłużyło mu się. Myślał o tym, co zrobi; wyobrażał to sobie. Gdy na jego zegarku minęła druga w nocy, wstał.

Wrócił pod tamten dom. Światło w oknie już się nie paliło. W innych oknach, w innych budynkach też było ciemno. Furtkę oczywiście zamknięto, lecz w płocie znalazł jeszcze jedne drzwiczki, za którymi było miejsce na trzy kubły na śmieci do recyklingu. Tej furtki nie zamknięto na klucz. Za kubłami był ceglany murek oddzielający to miejsce od reszty posesji, o wiele jednak niższy niż metalowy płot od ulicy. Wybrał kubeł z napisem „zmieszane”. Powinien być najcięższy, a więc najbardziej stabilny. Wspiął się na niego. Po chwili znalazł się już po drugiej stronie murku.

Kucnął natychmiast i zamarł, wsłuchując się w ciemną przestrzeń. Światło latarni tu nie dochodziło, zasłaniane przez duży świerk srebrny rosnący w rogu działki. Przemknął pod taras. Był dość niski, więc nie miał problemu z tym, żeby się na niego wspiąć. Większego kłopotu nastęrczał balkon. Między nim a tarasem była różnica całego piętra.

Rozejrzał się. Mógł spróbować wspiąć się po rynnie – i tak właśnie na początku planował, ale gdy przyjrzał jej się z bliska, musiał z tego zrezygnować. Była stara i mogła się urwać, poza tym nie wierzył aż tak bardzo w swoją sprawność fizyczną.

I co teraz? Miał zrezygnować? Teraz, po tym całym czekaniu w krzakach? Gdy już dotarł aż tutaj? Nie, musiał coś wymyślić. Potrzeba matką wynalazków.

W ogrodzie na tyłach domu rosło drzewo, zdaje się, że orzech włoski. Całe szczęście nikomu nie chciało się go przycinać. Jego rozłożyste, grube konary odchodziły z pnia na wszystkie strony. Najniższy z nich niemal dotykał balustrady tarasu. Wspiął się na nią, wyprostował i balansując na podszwach butów, chwycił się konaru. Był on teraz mniej więcej na wysokości jego piersi. Powinien dać radę. Ugiął nogi w kolanach, odbił się i rzucił do przodu.

O mało nie przeleciał na drugą stronę. Zawisł na gałęzi brzuchem i lewą stopą, nagle spocony i zdezorientowany. Cieszył się podwójnie, że jest ciemno, bo musiał teraz wyglądać naprawdę nieporadnie i żałośnie. W końcu opanował sytuację i usiadł na konarze okrakiem. Dalej już poszło w miarę sprawnie. Gałęzie były grube i wyrastały z pnia gęsto. Wspinał się po nich jak po szczeblach wielkiej drabiny.

Kiedy ostatni raz chodził tak po drzewie? Nigdy. Gdy był dzieckiem, zawsze się tego bał. Obserwował tylko, jak to robili inni. Jak widać nigdy nie jest za późno na odkrywanie swoich talentów. Po chwili był już na wysokości balkonu.

Tu znowu pojawił się problem. Gałąź, na której stał, dzieliła od barierki pewna odległość. Za duża, by mógł się po prostu wychylić i złapać ją ręką. Spróbował przesunąć się jeszcze trochę dalej po konarze w kierunku domu. Gałąź ugięła się zauważalnie i zatrzeszczała. Nie mógł ryzykować, że się złamie.

Pozostało mu jedno: skok wiary. Czytał o tym kiedyś. Próba, którą przechodzą adepci różnych mistycznych podróży. Trzeba

odbić się i skoczyć, mimo braku pewności, czy będzie jak wylądować. Tamte skoki odbywały się jednak w mitach, legendach albo podczas szamańskiego transu, on musiał skoczyć naprawdę. Tam, w mrok, ryzykując upadek z wysokości pierwszego piętra skutkujący może niekoniecznie od razu śmiercią, ale na pewno połamaniem kilku kości i kłopotami z policją.

Nie miał chyba jednak za bardzo wyjścia. To znaczy miał: mógł się teraz wycofać. Zleźć z powrotem po gałęziach, przeleźć przez płot i wrócić autobusem z podkulonym ogonem do domu.

Skoczył.

W pierwszej chwili nie wiedział nawet, czy mu się udało. Stracił na moment oddech po bolesnym uderzeniu barierką w pierś. Jego palce jednak jakimś cudem złapały za poręcz, a jedna z nóg zaczepiła o rynnę biegnącą dołem wzdłuż balkonu.

Jezu, jaki to musiał być huk! Jeszcze czuł wibracje barierki. Światło w oknie jednak się nie zapaliło. Począł chwilę, aż wróci mu oddech, podciągnął się i przeszedł na drugą stronę.

Podszedł ostrożnie do okna. Przez moment wydawało mu się, że widzi za szybą jakiś ruch, że kobieta po drugiej stronie obudziła się jednak i stoi teraz za firanką w ciemnym pokoju, obserwując jego poczynania. Że jej dłoń ściska telefon, z którego za moment zadzwoni na policję. Gdy podszedł jeszcze bliżej, zrozumiał, że to tylko wyobraźnia podsuwa mu takie obrazy. Za szybą panował zupełny bezruch. Zastony były zaciągnięte, nawet firanka nie falowała pomimo uchylonego okna.

Zaraz, czy to na pewno jej pokój? Skoro okno było uchylone, a on narobił przed chwilą takiego hałasu, jak mogła się nie obudzić? Przytknął niemal czoło do szyby, wsłuchując się w dźwięki dochodzące przez szparę. Usłyszał ciche tykanie zegara i nic więcej.

Nagle pojawiły się inne pytania. Rychło w czas. Czy oprócz niej ktoś tu jeszcze mieszka? Nie widział wcześniej światła w innych oknach, ale dom był całkiem spory, trudno przypuszczać, by zajmowała go tylko jedna osoba. Może w czasie, gdy siedział na

nasypie pod krzakiem, wrócili pozostali domownicy? Mąż, chłopak, ojciec, brat? Może na niego tam teraz czekają? Z nożem, kijem lub nawet pistoletem...

Zawahał się. Czy to wszystko nie było zbyt ryzykowne? Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, skoncentrowany na celu niczym pies na tropie. Odkąd zobaczył ją dziś we wnętrzu tego sklepu, myślał tylko o niej, o niczym innym. Może jednak powinien tym razem odpuścić? Wrócić do domu i jutro poszukać innej ofiary?

Wiedział jednak, że nie może tyle czekać. Potrzebował tego życia, i to teraz. A było przecież tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Przytknął nos do szpary w uchylonym oknie i wciągnął powietrze. Wyczuł woń kobiecego łóżka. Jakże inny od smrodu męskiego barłogu z jego pościelą przesiąkniętą potem. Zapachy wydzielane przez ciała kobiet są inne, zwłaszcza takich jak ta, młodych.

Teraz już wiedział, że nie może odejść. Poczuł, jak jego twarz wykrzywia się, jak odsłaniają mu się zęby. Musiał tam wejść, i to dziś, teraz – i robi to, choćby miał przebić czołem szybę.

Całe szczęście nie musiał tego robić. Okno było nowego typu, uchylało się w pionie, pozostawiając szparę w kształcie litery V. Wystarczyło włożyć w nią rękę i sięgnąć do klamki tego drugiego, zamkniętego skrzydła.

Wspiął się na barierkę, stanął na niej, przytrzymując się ściany, a potem zrobił krok. Teraz stał na parapecie. Zgięty, by móc zmieścić się w otworze okiennym. Włożył prawą dłoń w szparę, a potem wsunął do środka całą rękę. Spróbował sięgnąć do klamki.

Nie miał łatwego zadania. Szpara była wąska. Dobrze, że ostatnio schudł. I tak musiał przycisnąć się całym ciałem do okna, wyginając szyję pod nienaturalnym kątem i przyklejając policzek do szyby. W końcu jego palce dotknęły klamki. Musiał ją jednak chwycić niżej, tak by móc popchnąć ją w drugą stronę, od siebie.

Spróbował wcisnąć rękę niżej. Tam, gdzie szpara była jeszcze węższa. Jakby wsuwał ją w wielkie, rozwarte nożyce. Okno

zatrzeszczało, blacha parapetu jęknęła. Poczował ból zgniatanych mięśni.

Chwycił klamkę, spróbował ją poruszyć. Ciągłe jednak trzymał ją zbyt wysoko. Wypuścił całe powietrze z płuc i przycisnął się jeszcze mocniej do okna. Poczował mrowienie w palcach, jego ramię drętwiało z powodu braku dopływu wystarczającej ilości krwi. Jeszcze trochę... jeszcze... Teraz.

Klamka drgnęła i się poruszyła. Napał całym ciałem na szybę. Jeszcze chwila i wleci razem z nią do środka. W końcu się udało. Klamka przekręciła się do pozycji poziomej.

Wyjął rękę ze szpary i popchnął skrzydło okna w stronę domu. Powoli i delikatnie. Całe szczęście na parapecie po jego drugiej stronie nie było żadnych głupich doniczek, które mogłyby spaść i narobić huk. Dziewczyna najwyraźniej nie miała cierpliwości do kwiatków. Okno uchyliło się, a potem otworzyło, podnosząc firankę i zasłonę.

Na chwilę zamarł, wsłuchując się w dźwięki dobiegające ze środka. Usłyszał spokojny, regularny oddech, a nawet coś w rodzaju chrapania. Dopiero teraz, w tym właśnie momencie, zrozumiał, jaki był głupi. A co, gdyby nie zostawiła uchylonego okna? Gdyby je zamknęła na noc? Nie było jeszcze na tyle ciepło, by mieć pewność, że tego nie zrobi. Za dużo spraw pozostawił tu przypadkowi, za wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Poczował gniew. Zachował się jak smarkacz, jak gówniarz. Poleciał za nią jak pies za suką, bez planu i rozumu. Zapłaci mu teraz za to.

Odgarnął dłonią zasłonę i ostrożnie zsunął się z parapetu. Poczował pod stopami dywan. Zamknął okno, potem stał przez chwilę, przyzwyczajając oczy do ciemności, która była tu jednak znacznie większa niż tam, na zewnątrz.

Ale nie aż tak czarna. Mała czerwona dioda przy telewizorze i druga, przy włączniku światła przy drzwiach, trochę ją jednak rozpraszały. Na tyle w każdym razie, by po pewnym oswojeniu się z nią mógł całkiem dobrze widzieć.

Wyszedł na środek pokoju. Ciężki, głęboki oddech dochodził spod ściany. Teraz zrozumiał, dlaczego dziewczyna, której złożył wizytę, spała tak mocno. Przy jej łóżku, na niskiej szafce, stała pusta butelka po winie. Obok, na podłodze, leżał zamknięty laptop. Tak więc spędzała piątkowy wieczór: pijąc i gapiąc się na coś w komputerze. Nieładnie.

Rozejrzał się po pokoju. Było w nim łóżko, stolik z dwoma krzesłami, szafa na ubrania i niewielki regał. Podeszedł do niego. Prócz innych rzeczy stały na nim kosmetyki. I to takie, które zazwyczaj trzyma się w łazience. A więc to nie był jej dom ani jej rodziców. Wynajmowała tu tylko pokój. Wszystkie swoje rzeczy trzymała w tym jednym miejscu.

Kto więc tu jeszcze mieszkał? Musiał to sprawdzić, by nikt nie przeszkodził mu w najmniej odpowiednim momencie. Otworzył ostrożnie drzwi i wyszedł na korytarz. Na tym piętrze znajdowały się tylko jeszcze jeden pokój i łazienka. Podeszedł do pokoju i nacisnął powoli kłamkę. Drzwi się otworzyły.

W środku też było łóżko, ale zasłane i nikt na nim nie leżał. To pomieszczenie także wyglądało na wynajmowane, lecz jego lokatora w nim nie było. Może wyjechał na weekend? Po przedmiotach leżących na stole należało wnosić, że to mężczyzna; książki sugerowały, że student. Dobrze, że go nie było. Młody, a więc zapewne dość sprawny. Mógłby narobić kłopotów.

Skoro więc mieszkało tu dwóch lokatorów, gdzieś musiał być też gospodarz. Kobieta? Mężczyzna? Małżeństwo? A może na parterze także znajdowały się pokoje na wynajem? Musiał to sprawdzić.

Zszedł po schodach. Ich stopnie całe szczęście pokryte były wykładziną, która tłumiała jego kroki. Na dole kuchnia, otwarty salon z telewizorem i jeszcze jedne drzwi. A więc jeśli lokator, to tylko jeden. Albo właściciel. Na chodniku pod domem nie stał żaden samochód, a garaż pod tarasem wyglądał na nieużywany. Czyli albo student, albo ktoś starszy.

Podszedł do drzwi i delikatnie je otworzył. Charakterystyczny zapach leków i starego ciała rozwiązał tę zagadkę. Płytki, świszczący oddech.

Wszedł do środka. Zaduch nigdy niewietrzonego pokoju przyprawił go niemal o mdłości. Na łóżku pod oknem ktoś leżał. Podszedł do niego. Na stoliku obok dostrzegł zdjęty aparat słuchowy. Cienka, chuda szyja lśniła w mroku. Nad nią czerni farbowanych włosów. Nie widział twarzy, zwrócona była w stronę okna, ale była to kobieta. Ciekawe, jak się łamie taki kark? – pomyślał. Na filmach robią to jakoś tak...

Usłyszał dziwny odgłos, podobny do strzelenia w stawach, tylko głośniejszy. Świst oddechu ustał.

Słaba to była ofiara; marne życie, niewiele silniejsze od jego własnego. Nie wystarczy na długo, może ledwie na dzisiejszą noc. Musi wrócić na górę, złożyć prawdziwą ofiarę.

Wszedł z powrotem po schodach.

Dziewczyna ciągle spała, nie obudziła się. Usiadł na łóżku i nachylił się nad nią. Poczował słodkawą woń alkoholu wydobywającą się z jej ust. Do tego zapach szamponu i kobiecego kremu. Bardzo ładnie to wszystko pachniało.

Patrzył na jej twarz z bliska, z wielką ciekawością. Lekko uchylone usta odsłaniały białe zęby. Byli teraz sami w tym domu, a on mógł zrobić wszystko, co chce. To było jak fantazja nastolatka, tylko działało się naprawdę. Naprawdę tu był i naprawdę mógł zrobić wszystko. Wszystko, czego tylko jego pan od niego zażąda.

A żądał rzeczy, które nastolatkowi wcale by się nie spodobały. A już na pewno nie temu, którym on sam kiedyś był. Rzeczy, które by go przeraziły; po których miałby mokre spodnie, lecz nie z tych powodów, z jakich zwykle moczą je nastolatki. Rzeczy, których nawet on teraz sam się bał.

To była chyba jego ostatnia świadoma i na poły jeszcze racjonalna myśl. Potem wszystko zaczęło dziać się już samo. Runął w to, jakby spadał głową w otchłań. Słyszał tylko wrzask i jęki wiatru

w uszach. Dobrze, że zamknął szczelnie okno. To był jego prawdziwy skok wiary.

ROZDZIAŁ 59

No, dobrze, wreszcie sobota. Spała długo, lecz obudziła się dziwnie niewypoczęta. I niemal natychmiast, tuż po otworzeniu oczu, zaczęła myśleć o sprawie. Po raz pierwszy tak miała. Dotychczas zawsze po powrocie do domu, w czasie wolnym i w weekendy, umiała się wyłączyć. Teraz nie. Jej mózg działał na okrągło, miał przypuszczenia, teorie i informacje, kręcił się coraz szybciej i szybciej, jak koło młyńskie na zbyt wartkiej rzece.

Najgorsze jednak było to, że nic z tego nie wynikało. Jakby dodawała gazu na jałowym biegu. Jakby brakowało jakiegoś przełożenia, pękła jakaś zębatka zamieniająca moc silnika w napęd i pozwalająca ruszyć do przodu.

Wczoraj miała od tego tylko chwilę oddechu. Gdy wróciła do swojego mieszkania, była tak zmęczona, że nie myślała o niczym. Wypiła dwie lampki wina, przeczytała dwa i pół rozdziału, po czym zasnęła na kanapie. Obudziła się w nocy, z nieumyтыми zębami i bolącą szyją, zmusiła się, by wstać, pójść do łazienki, umyć twarz i zęby, przebrać się w piżamę i położyć do łóżka. Lecz dziś to wróciło.

Przez chwilę miała wielką ochotę, by nalać sobie znowu wina do kieliszka i choćby w ten sposób przerwać ten kołowrót. Nie zrobiła tego jednak oczywiście. Była dopiero jedenasta, na Boga.

Zamiast tego zjadła byle jakie śniadanie, spięła włosy w niedbały kucyk, zrobiła sobie kawę i włączyła serial. Nie mogła się jednak na nim skupić. Łapała się na tym, że nie pamiętała, co działo się w nim przed chwilą, nie rozumiała więc, o co chodzi teraz.

Znowu zaczęła więc mieć przypuszczenia i fakty. Czym tak naprawdę dysponowali? Mnóstwem śladów nieukładających się w żaden konkretny wzór. Tropów biegnących w różne strony. Jakby szukali ducha, nie człowieka. Tamten wiersz, o którym prawie już zupełnie zapomnieli. Profil DNA, którego nie było z czym porównać. Efekt profilowania geograficznego z jednym odbiegającym od schematu i podważającym go wyjątkiem. Analizę próbki moczu potwierdzającą przypuszczenie o ciężkiej chorobie. Dwóch świadków i portret pamięciowy. Numer telefonu komórkowego użyty dwa razy. O czymś zapomniała?

Jakby próbowali ułożyć puzzle, lecz nie mieli pudełka z obrazkiem. Jakby próbowali połączyć kropki, które tworzą rysunek, lecz nie były one ponumerowane i wielu brakowało. Nie ogarniała tego, tak przedstawiała się prawda. Umiała zachowywać pozory, dawała sobie jakoś tam radę z bieżącą pracą, lecz nie miała wizji całości i nie wiedziała, w którą stronę poprowadzić swój zespół. Patrzyła przez lupę na obraz. Ile jeszcze czasu będzie w stanie udawać, tak by nikt tego nie zauważył? W końcu nadejdzie dzień, w którym wszyscy się zorientują, że się do tego nie nadaje. Nawet Aleksanderski odwróci się od niej wtedy z pogardą.

Niepotrzebnie tak nalegała, by dostać tę sprawę. Powinna zostać przy tych prostych bzdurach, którymi się dotąd zajmowała. Za wcześnie rzuciła się na tak głęboką wodę. Teraz utonie i już do końca życia będzie oskarżać alimenciarzy.

Przez chwilę miała ochotę zadzwonić do Aleksanderskiego, jedyne go życzliwego jej człowieka w tym mieście. Zrezygnowała. Miał pewnie rodzinę, żonę, dzieci, może już nawet wnuki. Spędza sobotę z nimi, nie będzie mu zawracać głowy swoimi problemami.

Zamiast tego zadzwoniła do swojego ojca. W końcu umówili się na kolejne spotkanie. Odebrał po dłuższym czasie.

– Cześć, tato – powiedziała. – Nie przeszkadzam?

– Nie – odparł. Tonem głosu jak zwykle niepozwalającym się domyślić, czy mówi szczerze, czy po prostu uważa, że właśnie to

powinno zostać powiedziane.

– Co robisz? Może byśmy się spotkali?

– Czemu nie. – Znowu to samo.

– Dziś? Może jakaś kolacja?

– Dziś nie mogę. Jutro. U Wedla, tam gdzie poprzednio?

– Błagam, nie! – Może jeśli zmienią miejsce, uda im się zapomnieć o przeszłości i rozpocząć jakiś nowy etap? – Wpadłbyś po prostu do mnie? Jeszcze u mnie nie byłeś. Zrobię jakiś obiad, kupię wino.

– W porządku. – Bez entuzjazmu, ale i bez wyczuwalnej niechęci.

– O której?

– Trzynasta? Czternasta?

– Czternasta.

– Świetnie. To do zobaczenia w niedzielę.

– Do zobaczenia.

Odłożyła telefon. Dziwne, ale poczuła się znacznie lepiej. Perspektywa działania, choćby tak zwyczajnego jak posprzątanie mieszkania, pójście do sklepu i ugotowanie obiadu, od razu poprawiła jej humor. Zaczęła planować, co kupi i co ugotuje. Nie było to trudne; nie należała do mistrzyń i miała dość ograniczoną liczbę potraw w repertuarze. Wybrała tagliatelle z łososiem, pesto i śmietaną. Zawsze jej się udawało i wszystkim smakowało. Do tego białe wino i kawałek ciasta z tej obłądnej cukierni na końcu sąsiedniej ulicy.

Nagle się roześmiała. Przed chwilą myślała o randce z kolacją i winem. No to właśnie się na nią umówiła. Z własnym ojcem.

ROZDZIAŁ 60

– Cześć – powiedział, gdy otworzyła. Przyniósł kwiaty. Jak na prawdziwą randkę.

– Cześć. – Odebrała od niego bukiet. Kurczę, nie miała nawet wazonu. – Wejdz, proszę.

Wstawiła kwiaty do dzbanka na napoje. I tak go nigdy nie używała. Żółte narcyzy. Ładne.

Stał w korytarzu, jakby nie wiedział, co zrobić.

– Wejdz do pokoju – powiedziała. – Tylko nie zdejmuj butów. Nienawidzę tego.

Wszedł i usiadł na kanapie. Był skrepowany. Sztywny.

– Napijesz się czegoś? – spytała. – Kawy? Herbaty? A może od razu wina?

– Nie mogę wina – odpowiedział. – Przyjechałem samochodem.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Przecież mówiłam, że kupię wino.

– Nie wiedziałem, jak tu dojechać autobusem. A na taksówkę mnie nie stać.

– Jeden kieliszek teraz ci nie zaszkodzi – zawyrokowała. – Zanim stąd wyjdiesz, nie będzie po nim śladu.

Poszła do kuchni i wróciła z dwoma kieliszkami białego wina. Sauvignon blanc z Nowej Zelandii, trzydzieści cztery dziewięćdziesiąt dziewięć w sklepie pod blokiem. W sam raz na jej sytuację finansową. W sumie wydała na wszystko niecałe sto złotych.

Wziął kieliszek, upił.

– W razie czego powołałam się na znajomości w prokuraturze – zażartował i rozejrzał się po pokoju. – Dość minimalistyczny wystrój wnętrza – skomentował.

– Nie zdążyłam się jeszcze urządzić – odpowiedziała. – Ostatnio mam sporo pracy.

– Czym się teraz zajmujesz?

– Nie mogę o tym za bardzo mówić.

– Ale chociaż mniej więcej.

– Prowadzę dość duże śledztwo dotyczące kilku zabójstw. – Nie mogła się powstrzymać, musiała się tym pochwalić. Niech wie, że jego córka do czegoś doszła.

– Kilku? – Spojrzał na nią. – Chodzi o seryjnego mordercę?

– Najprawdopodobniej.

Uniósł brwi, ale nie potrafiła ocenić, czy był to wyraz podziwu, zdziwienia, czy też może zaniepokojenia ryzykiem, na jakie jego córka się wystawia.

– Złapiesz go? – spytał.

– Postaram się.

– Na jakim jesteś etapie?

– Myślę, że blisko – skłamała. – Jest kilka ciekawych tropów.

Pokiwał głową.

– Nie mogę się nadziwić, że moja córka została prokuratorem – powiedział.

– Dlaczego?

– Ani ja, ani... twoja matka – powiedział to tak, jakby samo wspomnienie o tej kobiecie, z którą kiedyś dzielił życie, przychodziło mu z trudem – nie mieliśmy takich zainteresowań.

– Jakich zainteresowań?

– Nigdy nie lubiliśmy kryminałów.

Wzruszyła ramionami.

– Ja też ich specjalnie nie lubię – odparła.

– To czemu robisz to, co robisz?

Popatrzyła w okno.

– W moim życiu w pewnym momencie zapanował chaos – odpowiedziała. – Postanowiłam więc zająć się przywracaniem porządku.

Milczał przez chwilę.

– Przepraszam cię za to – powiedział wreszcie. – Za ten chaos.

Rychło w czas, pomyślała.

– Było, minęło. Nie mówmy o tym – powiedziała.

– W każdym razie chciałbym, żebyś wiedziała, że jestem z ciebie dumny. Prokurator to nie byle co.

Wstała.

– Czas chyba na obiad. Wstawię makaron.

Poszła do kuchni. Zapaliła gaz pod garnkiem z wodą. Zagotowała ją już wcześniej, jeszcze przed jego przyjściem, po to, by teraz nie musieć czekać zbyt długo. Stała nad kuchenką, patrząc, jak z dna zaczynają unosić się pierwsze bąbelki, i czuła, jak rośnie jej gula w gardle. Całkiem sympatyczny był ten jej ojciec. Może jeszcze nie jest dla nich za późno.

Wróciła za jakiś czas, niosąc dwa talerze z makaronem. Siedział dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła.

– Mam tylko ten mały stolik – powiedziała. – Możesz go przysunąć do kanapy?

Zrobił, o co prosiła. Położyła na blacie talerze, a obok dwa widelce.

– Smacznego – powiedziała.

Jedli w milczeniu, siedząc obok siebie na kanapie. Pomyślała nagle, że powinna chyba włączyć telewizor. Rodziny w Polsce w końcu jedzą przed telewizorami.

– Bardzo smaczne – powiedział. – Naprawdę.

Poczuła mrowienie w brzuchu. Dziwna sprawa: pochwalił ją, a ona od razu stała się szczęśliwsza. Powinni się częściej spotykać, a ona powinna nauczyć się gotować jeszcze parę potraw. Takie uczucie za mniej niż sto złotych – to się naprawdę opłaca.

W pewnym momencie zetknęli się łokciami. Cholera, jeszcze chwila, a zaczną jej cieknąć łzy po policzkach. Dlaczego to tak działa? – pomyślała. Im bardziej rodzic ma cię w dupie, tym bardziej go kochasz i go potrzebujesz. Gdyby ten facet obok zachowywał się przez całe życie w stosunku do niej normalnie, to pewnie też by go kochała, oczywiście, ale nie reagowałaby w ten sposób. Na pewno nie w wieku trzydziestu paru lat.

– Cieszę się, że ci smakuje – powiedziała. – Możemy częściej robić sobie takie rodzinne obiady.

– Czemu nie? – odpowiedział. – Dawno już nikt dla mnie nie gotował.

Znowu ta gula. Ledwo przełykała jedzenie. Zaraz naprawdę się rozplacze.

Nagle zadzwonił telefon. Jej telefon. Poczowała wręcz pewną ulgę.

Sięgnęła po aparat. Dzwonił komisarz Aleksanderski. W niedzielę?

– Tak? – Odebrała.

Słuchała w milczeniu tego, co mówił. Uczucie szczęścia rozwiało się momentalnie. Zamiast niego pojawiło się coś zupełnie innego.

– Zaraz będę – odparła.

Rozłączyła się.

– Musimy kończyć – powiedziała. – Wzywają mnie w pilnej sprawie.

Odłożył widelec na talerz.

– Chodzi o tego mordercę? – spytał.

– Tak – odpowiedziała.

– Coś się stało?

– Tak.

Naprawdę nie miał powodów, by być z niej dumny.

ROZDZIAŁ 61

Po półgodzinie była na miejscu. Przed niewielkim domkiem stał radiowóz. Furtka i drzwi były otwarte. Weszła.

W środku drogę zastąpił jej policjant w mundurze.

– Gabriela Seredyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie – przedstawiła się.

– Dwa trupy. Jeden na górze, drugi na dole – poinformował ją krótko.

– Komisarz Aleksanderski już przyjechał? – spytała.

– Jeszcze nie – odpowiedział. – Ale są technicy.

– Kto znalazł ciała?

– Lokator. Wyjechał na weekend, teraz wrócił.

– Gdzie jest?

– Kazałem mu pójść do swojego pokoju. Pomyślałem, że zechce go pani od razu przesłuchać.

– Bardzo dobrze.

Weszła głębiej. W małym pokoiku niedaleko wejścia uwijał się człowiek w białym kombinezonie ochronnym. Zajrzała przez otwarte drzwi. Zobaczyła małą, drobną, skuloną postać leżącą na łóżku pod oknem. Gdyby nie siwe odrosty na ufarbowanych włosach, można by pomyśleć, że to dziecko.

Weszła po schodach na górę. U ich szczytu był mały korytarzyk. Na ścianie naprzeciw schodów szafa z przesuwanymi drzwiami. Jednymi z nich było lustro. Odruchowo oceniła w nim swój wygląd.

Po lewej i prawej stronie szafy znajdowały się wejścia do pomieszczeń. Po prawej łazienka i pokój. Drzwi do obu były

zamknięte. Po lewej wejście do następnego pokoju. Otwarte. Za nimi kolejny człowiek w białym kombinezonie. Podeszła bliżej.

Zajrzała do środka. Nogi się pod nią ugięły. Poznała te włosy. I w zasadzie tylko je. Jej świadek. Rozmawiały dwa dni temu.

Cofnęła się i oparła o ścianę. Miała ochotę stąd wyjść. Wyjść i się upić. A w poniedziałek poszukać innej pracy. Gdzieś, gdzie jej błąd nie będzie kosztował nikogo życia.

Opanowała się jednak. To w poniedziałek; dziś jest tu i musi wykonać swoją robotę. Jutro poprosi, by sprawę przejęła prokurator Walczak. A ona wróci do rejonu i pójdzie na urlop. Albo od razu złoży wypowiedzenie.

Odetchnęła parę razy głęboko. Wyprostowała się. Postanowiła nie myśleć teraz o tym, jak bardzo zawiodła. I zrobiła to – podeszła do zamkniętych drzwi po drugiej stronie korytarza. Wyciągnęła rękę, żeby zapukać, i zobaczyła, jak bardzo drży jej dłoń. Zastukała.

– Proszę – usłyszała głos zza drzwi. Weszła.

W malutkim pokoiku na łóżku siedział młody mężczyzna. Nie miał więcej niż dwadzieścia lat.

– Prokurator Gabriela Sereżyńska. Chciałabym z panem porozmawiać.

Wstał. Wzrok miał pusty, źrenice rozszerzone. Nie dziwiła się temu.

– Proszę. – Wykonał niezgrabny gest dłonią.

– Niech pan usiądzie – powiedziała. Pod oknem stało biurko, przed nim krzesło. Przeszła przez pokój i usiadła na nim.

Mężczyzna również usiadł. Nie patrzył na nią.

– Jak się pan nazywa?

– Krystian Michalski – odpowiedział.

– Co pan robi?

– Studiuję. Na Politechnice Warszawskiej. Wydział Inżynierii Produkcji. Jestem na drugim roku.

– To pan znalazł ciała?

– Tak. – Kiwnął głową.

– Jak to się stało?

– Wróciłem do domu i... po prostu je znalazłem. – Zauważyła, że drżą mu ręce. – Najpierw panią Marię. Drzwi do jej pokoju były otwarte. Zobaczyłem, że leży w łóżku, a było już po trzynastej. Wszedłem do niej i zrozumiałem, że nie żyje. Myślałem na początku, że po prostu umarła. Miała zawał czy coś w tym stylu. Zadzwoiłem więc po karetkę. Dopiero potem poszedłem na górę. I wtedy znalazłem Paulinę.

Zaczął cały dygotać, lecz opanował się po chwili.

– Długo pana nie było? – spytała możliwie najbardziej uspokajającym tonem.

– Cały weekend. W piątek po zajęciach pojechałem do domu, do Mławy.

– Dlaczego pan wrócił tak wcześniej?

– Wieczorem są zawsze korki na wjeździe do Warszawy. Poza tym chciałem się jeszcze trochę pouczyć, a w domu nie bardzo mi to idzie. Mam jutro kolokwium.

– Drzwi wejściowe były zamknięte?

– Tak. Na klucz. Jak zwykle.

– Zauważył pan coś dziwnego, gdy pan wszedł?

– Nie. Oprócz tych otwartych drzwi do pokoju pani Marii. Zamykała je zawsze, czy była w środku, czy nie. No i radio nie grało.

– Radio?

– Zawsze było włączone radio w kuchni. Na okrągło. Wyłączała je tylko wtedy, gdy szła spać.

– O której zazwyczaj się kładła?

– Dość wcześnie, koło dziesiątej. Za to wstawała rano. O szóstej potrafiła być już na nogach. No i spała jak kamień. Nosila aparat słuchowy. – Wyjaśnił po chwili. – Jak go zdejmowała, nic nie słyszała. No i brała lekki nasenne. W nocy nic nie było w stanie jej obudzić. Kiedyś przyszedłem wieczorem z kilkoma kolegami.

Zrobiliśmy sobie u mnie w pokoju regularną imprezę. Nic nie zauważyła.

Uśmiechnął się lekko na to wspomnienie, lecz natychmiast znowu spoważniał, rzucając jej jednocześnie szybkie spojrzenie, jakby bał się, że będzie miała mu to za złe.

– A pana współlokatorka jak spędzała zazwyczaj wieczory? – wróciła do tematu Seredyńska.

– Pracowała w sklepie – odpowiedział. – Kiedy była jej zmiana, wracała dość późno, koło dziewiętnastej.

– A w piątek?

– Nie wiem, jak wyjeżdżałem, jeszcze jej nie było. Ale wyjechałem koło czternastej. Po zajęciach.

– Był pan tu jeszcze?

– Tak, wpadłem na chwilę zabrać rzeczy.

– Nie zauważył pan niczego podejrzanego? Jakiegoś obcego człowieka kręcącego się w pobliżu? Samochodu, którego pan tu wcześniej nie widział?

Zastanowił się.

– Nie. – Pokręcił głową. – Wszystko było normalnie, tak jak zwykle.

– No dobrze, a kiedy była wieczorem w domu, to co robiła?

– Zazwyczaj leżała w łóżku i oglądała seriale na komputerze. Był piątek, więc pewnie jeszcze piła wino.

– Nie wychodziła?

– Odkąd rozstała się z chłopakiem, dość rzadko. Żartowała, że jest w związku z Netflixem.

Spojrzał na nią, jakby sprawdzał, czy Seredyńska doceni dowcip.

– Często rozmawialiście?

– Dość często – przytaknął. – Kiedy spotykaliśmy się w kuchni. Mieszkaliśmy tu razem już ponad rok. Trochę się poznaliśmy.

– Zapraszała czasami kogoś do siebie?

– Jak jeszcze chodziła z tamtym chłopakiem, czasami tu bywał.

– Zostawał na noc?

– Pani Maria na to nie pozwalała. Ale zdarzało się, że czekali, aż ona zaśnie, i wtedy go wpuszczala.

– A później, po rozstaniu? Sprowadzała czasami jakichś mężczyzn?

– Nie widziałem takiej sytuacji. Ale ja wyjeżdżam co drugi weekend, więc nie wiem tak do końca. Ale nie przypuszczam. Nie wrywała facetów w klubach. Raczej była z tych, z którymi trzeba najpierw ostro pochodzić.

– A ona miała twarde sen?

– Po winie tak. Potrafiła wypić wieczorem całą butelkę. Mówiła o tym. Potem wstawiała bardzo późno.

Powiedział to i natychmiast się spieszył, jakby przestraszył się, że w ten sposób oczernia swoją zmarłą koleżankę. Seredyńska postanowiła go już więcej nie męczyć.

– Dobrze, to chyba wszystko. Dziękuję – powiedziała. – Na pewno wezwę pana jeszcze na przesłuchanie do prokuratury.

– To znaczy, że mogę już stąd iść? – Spojrzał na nią z nadzieją. – Muszę do toalety, a nie wpuszczają mnie do łazienki. Podobno są tam jakieś ślady.

– Tak, może pan. – Wstała. – I lepiej niech się pan stąd na razie wyprowadzi.

– Wiem. Dzwoniłem już do znajomych.

Wyszła. Podeszła do pokoju po drugiej stronie korytarza. Stała w drzwiach. Teraz była już w stanie przyjrzeć się wszystkiemu na chłodno. Ciało leżało na łóżku. Obok na podłodze leżał zamknięty laptop. Na szafce przy łóżku stała pusta butelka po winie i kieliszek. Okno pozostało otwarte. Nie była tylko jeszcze w stanie patrzeć na jej twarz, nie dawała rady. Całkowicie nieprofesjonalne, ale nic na to nie mogła poradzić. Czuła się, jakby to ona ją zabiła. Swoją głupotą, niekompetencją, swoją ambicją, każącą jej brać się do rzeczy przerastających jej doświadczenie i umiejętności. Tak, to była jej ofiara.

ROZDZIAŁ 62

– Dzień dobry, pani prokurator. – Doktor Kornacki wyszedł jej naprzeciw. – Słyszałem, że przywiozła mi pani kolejnego trupa?

– Tak – odpowiedziała krótko.

– Coś sporo ich ostatnio – skomentował.

Nie była zbyt rozmowna; zauważył to i postanowił uszanować. Ruszyli razem w milczeniu w kierunku sali, gdzie odbywały się sekcje.

– Aleksanderski wpadnie? – spytał dopiero, kiedy już byli pod drzwiami.

– Nie wiem, podobno ma być – odpowiedziała.

Wczoraj na miejsce zbrodni nie dojechał, ale w sumie nie musiał. To nie był jego rejon, a miejscowi policjanci poradzili sobie bez niego.

Na stole sekcyjnym już leżały zwłoki. Zmusiła się, by na nie spojrzeć. Twarz była mocno zmasakrowana.

Doktor Kornacki założył fartuch, maskę i rękawiczki i zaczął dokładnie oglądać ciało.

– Ciekawe... – powiedział.

– Co takiego? – spytała.

– Na twarzy i szyi liczne ślady ugryzień. Te na szyi umiejscowione w jednym miejscu. Wygląda to, jakby próbował ją zagryźć.

– Zagryźć?

– Przegryźć tętnicę szyjną. Nie udało mu się to jednak, bo nie jest to takie proste. Zęby ludzkie nie są przystosowane do takich rzeczy. Nie jesteśmy wilkami, choć ten tu najwyraźniej uważał co innego.

– Jaka była wobec tego przyczyna zgonu?

Kornacki w dalszym ciągu przypatrywał się z bliska szyi.

– Została uduszona. Zaraz ją rozetnę i sprawdzę, czy krtań jest zmiążdżona. Ale jestem pewien już teraz. Pozostałe obrażenia zostały zadane już po śmierci. – Wskazał na twarz. – Bił ją. Długo i mocno, ale już wtedy nie żyła. Brak podbiegnięć krwawych. Pozostałe rany: dwie kłute w okolicach serca i podłużne cięcie na brzuchu – także zadane po śmierci.

Nachylił się nad brzuchem ofiary, przypatrując mu się z bardzo bliska.

– To też ciekawe – powiedział. – Nastąpiło przecięcie powłok brzusznych, ale niecałkowite. Jakby chciał jej rozpruć brzuch, ale coś poszło nie tak. Może po prostu miał już dość albo stracił zapał? Nie wiem.

– Coś jeszcze? – spytała.

Kornacki obchodził zwłoki ze wszystkich stron, wodząc niemal nosem po ich skórze.

– Chyba nie – powiedział wreszcie.

– Ślady gwałtu?

Zgiął nogę ofiary w kolanie, potem odsunął ją na bok.

– Brak śladów typowych dla przemocy seksualnej – stwierdził. – Najwyraźniej nie o to mu chodziło. Ale, jak pani wie, to nie wyklucza motywacji seksualnej. Niektórzy osiągają zaspokojenie właśnie w ten sposób.

– Wiem – odpowiedziała.

– To tyle – powiedział. – Teraz muszę ją otworzyć. Chce pani też przy tym być?

– A powinnam?

– Moim zdaniem wszystko, co najważniejsze, już wiemy. Choć oczywiście coś nowego zawsze się może pojawić.

– Dobrze, w takim razie poczekam na raport.

Wychodząc, usłyszała jeszcze charakterystyczny, budzący mdłości dźwięk przecinania mostka.

Za drzwiami czekał na nią komisarz Aleksanderski.

– O, rychło w czas! – przywitała go chłodno. – Gdzie byłeś?

– Na działce – odpowiedział.

– Na działce?

– Tak. Chodźmy zapalić.

Wyszli na parking. Komisarz wyciągnął paczkę papierosów. Zapalili.

– Masz działkę? – zdziwiła się.

– Tak, nad Bugiem. Z godzinę drogi stąd.

– I co, hodujesz tam ogórki?

– Ogórki się uprawia, hoduje się świnię – poprawił ją. – Nie, ani jedno, ani drugie.

– To co tam robisz?

Wzruszył ramionami.

– Siedzę pod drzewem. Czasami wędkuję.

– Dlaczego wczoraj nie wróciłeś? Skoro to tylko godzina drogi?

– Byłem już w trakcie wędkowania.

– I co z tego?

– Po wędkowaniu nie prowadzę.

– Rozumiem.

– A wczoraj naprawdę dużo wędkowałem.

Zaciągnął się. Ona też. Spojrzył na nią uważnie.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Dobrze.

– A tak naprawdę?

Podniosła papieros do ust. Żar na jego końcu drżał.

– Bała się – powiedziała wreszcie. – Prosiła mnie o ochronę.

Zbyłam ją.

– Nie możemy ochraniać każdego świadka w każdej sprawie o morderstwo – zauważył łagodnie.

– Tego mogliśmy.

– Nie miałaś żadnych podstaw, by sądzić, że po nią wróci.

– Miałam. Po Oliwię Mandinkeye wrócił.

– Ją miał na celowniku od początku. Ustaliliśmy to. To była tylko sprzedawczyni ze sklepu, w którym kupował kurtkę.

– Ale ją zabił.

– To nie jest twoja wina – powiedział z naciskiem. – Każdy prokurator na twoim miejscu postąpiłby tak samo. Podjęłaś decyzję, która zgodnie z twoją ówczesną wiedzą była absolutnie zrozumiała.

– Ale ona nie żyje.

– Nie mogłaś wiedzieć, że to się stanie. Niektórych rzeczy nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

– Pierdolę to – powiedziała. – Pierdolę wszystkie twoje wyjaśnienia. Fakt jest taki, że ona tam leży. Z rozciętym brzuchem. A ja mogłam temu zapobiec. Nie nadaję się do tego. Wrócę do prokuratury i zrezygnuję z prowadzenia tej sprawy.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie – powiedział. – To twoje pierwsze tego typu śledztwo, ale prowadzisz je bardzo dobrze. Jesteś naszym dowódcą i my ci ufamy. Dowódca podejmuje czasami błędne decyzje, ale nie może się potem załamywać. Nie może się tego bać. Wtedy jest głównianym dowódcą.

– Jestem głównianym dowódcą – odpowiedziała. – Rezygnuję.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – powiedział. – Rozumiesz? Upij się, idź w tango, zalicz jakiegoś faceta, a potem wracaj do roboty. Dorwiemy go i wtedy za to zapłacimy. A teraz przestań się mazać i powiedz, co mamy robić. Oczekuję poleceń.

Przełknęła ślinę.

– Obserwuj tę fryzjerkę – powiedziała. – Może i po nią wróci.

ROZDZIAŁ 63

Przypomniał to sobie jeszcze raz. To, jak zaciskał jej palce na szyi, i to, jak potem patrzył, jak uchodzi z niej życie. Gdy dusisz człowieka – teraz już to wiedział – widzisz dokładnie, jak umiera. Możesz to obserwować, przypatrywać się temu z naukową niemalże dociekliwością. Jest to fascynujące, w pewnym sensie piękne, choć twarz, na którą patrzysz, wykrzywia się, czerwienieje, potem sinieje, a oczy wychodzą z orbit. Pierwsze czerwienieją uszy – taka mała obserwacja. Nie dostanie za nią Nobla, ale miło odkryć osobiście jedną z tajemnic wszechświata.

Nie to było jednak w tym wszystkim najważniejsze. Najważniejsze było uczucie – nie wiedział, jak to nazwać – transmisji, przekazywania życia. Gdy wpatrywał się w jej oczy, coraz bardziej podbiegnięte krwią, miał wrażenie, że przekazuje mu przez nie swoje siły życiowe, jakby podłączył się do wielkiej ładowarki. Wyciskał je z niej, a ona mu je oddawała. Gdy potem jeszcze przytknął wargi do jej ust i wciągnął głęboko powietrze – wtedy, kiedy jeszcze żyła, ale była już nieprzytomna – poczuł oszałamiające napełnienie mocą.

Potem już stracił nad sobą kontrolę. Pozwolił dosiąść się demonowi. Jeśli oczywiście założyć, że demon potrzebował do tego pozwolenia. Nie pamiętał dokładnie, co się wtedy działo, lecz nie miało to znaczenia. Nie musiał pamiętać. Ważne było wspomnienie tych pierwszych chwil, to, którym się teraz tak delectował. I to uczucie przepelniającej go od stóp do głów energii, z którą aż nie wiedział za bardzo, co zrobić.

Rozejrzał się po swoim domu. Warstwa kurzu pokrywała blaty i meble. W kątach poukrywały się szare, kłębiaste zwitki brudu. Trzeba było wreszcie zaprowadzić tutaj porządek. Nie może przecież tu mieszkać jak jakieś zwierzę.

Wstał z krzesła i wziął się do roboty. Był pełen siły, dziś mógłby zmienić świat. Namoczył ścierkę i zabrał się do wycierania mebli, potem odkurzył cały dom. Praca szła mu szybko i wcale się nie męczył. Później ugotuje jakiś obiad – pierwszy ciepły posiłek od wielu dni. Tak, czas zacząć wreszcie żyć jak człowiek.

Omijał tylko swój dawny salon. Zasunięte drzwi stanowiły barierę, za którą był już inny świat. Tam kurz nawet pasował, był elementem scenografii, znakiem świętości i transcendencji. Poza tym nie chciał tam wchodzić. Niech demon sobie odpocznie, a on od niego.

Reszta domu zaczynała jednak powoli przypominać już mieszkanie ludzi. Jeszcze chwila i upierze pościel, a może nawet umyje okna. Zaśmiał się nagle, cicho, ale na głos. Zrobi sobie teraz urlop od tego wszystkiego. Może gdzieś pójdzie, wyjdzie na miasto, do jakiegoś klubu albo pubu? Kto wie? Zapowiadał się w jego życiu całkiem dobry okres.

Ciekawe, na ile mu to wystarczy? – pomyślał w pewnym momencie. Ta energia, ta siła, którą teraz czuł. Na dzień, tydzień, miesiąc? Każda bateria się w końcu wyczerpuje. I wtedy trzeba ją naładować ponownie. Tym się będzie jednak martwić, gdy to nadejdzie.

Na razie – będzie po prostu żył.

ROZDZIAŁ 64

Nastroje nie były zbyt wesołe, i to nie tylko dlatego, że był poniedziałek rano. Prokurator Gabriela Seredyńska po raz kolejny poprawiała leżące przed nią na stole kartki. Jeszcze czuła w nosie zapach prosektorium, mimo że minęły już prawie dwie godziny, odkąd stamtąd wyszła. Nie złożyła jednak na razie rezygnacji. Jeszcze nie. Choć ciągle brała taką możliwość pod uwagę.

– No dobrze – powiedziała. – Zacznijmy. Masz już może raport techników? – zwróciła się do Aleksanderskiego.

– Przed chwilą dostałem – odpowiedział.

– I co tam jest?

– O, dużo ciekawych rzeczy. Sprawca wszedł do domu przez okno w pokoju denatki. Zabezpieczyliśmy ślady: otarcia brudu na klapie kubła na śmieci, ślady butów na ziemi w ogrodzie, otarcia kory na rosnącym za domem orzechu włoskim i najciekawsze: wyraźny odcisk policzka i części ucha na szybie okna. Może być przydatny przy identyfikacji.

– Pod warunkiem, że będziemy mieli kogo identyfikować – odparła ponuro. – A w środku?

– Mnóstwo rzeczy. Odciski palców, włosy. Szczególnie dużo w odpływie prysznic w łazience.

– W odpływie?

– Sprawca wziął prysznic po wszystkim.

– Czyścioszek – skomentował Halicki.

– Prawdopodobnie rozebrał się przed zabójstwem, żeby nie pobrudzić ubrania, a potem umył się z krwi. Znaleźliśmy w pokoju

denatki monetę dwudziestogroszową pod krzesłem, bardzo możliwe, że wypadła mu z ubrania, gdy je zdejmował.

– Daje nam to coś?

– Ni cholery. Ale jest też już raport z sekcji zwłok.

– Tak szybko? – Podniosła głowę.

– Stary Kornacki najwyraźniej cię lubi. – Aleksanderski uśmiechnął się w odpowiedzi.

– I co tam jest?

– Pierwsza ofiara, ta staruszka na dole, umarła w wyniku przerwania rdzenia kręgowego. Skręcił jej kark po prostu. Śladów w jej pokoju jest bardzo mało. Prawdopodobnie załatwił to szybko, tylko po to, żeby się jej pozbyć.

– A ta ekspedientka?

– Kornacki potwierdził, że została uduszona. Zmiażdżona krtań, ślady palców na skórze. Oprócz tego zabezpieczył ślady zębów z jej szyi. W sumie zebrał się z tego odcisk prawie całej szczęki. Znowu: może być to pomocne w identyfikacji.

– Cholernie dużo tego mamy – skomentowała zgryźliwie. – Ślady zębów, odciski palców, profil DNA, ślady butów, nawet odcisk ucha. Niedługo będziemy mogli z tego złożyć całego człowieka. Tylko tego człowieka wciąż nie mamy.

– Gdyby to była normalna sprawa o zabójstwo – zauważył Halicki – taka, gdzie można wyodrębnić jakąś, nawet dość dużą, grupę podejrzanych, już dawno byśmy go dorwali. Ale nie jest.

– Urok ścigania seryjnych zabójców – odezwała się z kąta prokurator Walczak. – Wiecie, ile lat Amerykanie ścigali Gwałciciela z Golden Gate? Kilkadziesiąt. Niedawno go złapali. I to też w sumie przez przypadek.

– Bardzo dziękuję za zmotywowanie nas do działania, pani prokurator – odparła z sarkazmem Seredyńska.

– Nie chodziło mi o to, żeby kogokolwiek zniechęcać. – Prokurator Walczak wzruszyła ramionami. – Po prostu uważam, że mentalnie powinniśmy się przygotować na długie śledztwo. I na to, że

spotkania w tym gronie staną się stałym elementem naszych harmonogramów.

– Mnie to nie przeszkadza, podoba mi się tu – spróbował rozładować napięcie Aleksanderski.

– Żebyśmy tylko zdążyli przed pana emeryturą, komisarzu. – Halicki uśmiechnął się złośliwie.

– Dobrze... – Seredyńska postanowiła wkroczyć, by nie skończyło się to jakąś ogólną kłótnią. To w końcu ciągle był jej zespół. Przynajmniej jak na razie. – Czy ktoś odtworzył jej drogę z pracy do domu?

– Jeszcze nie – odparł Halicki. – Ale zajmę się tym.

– Technicy sprawdzili jej komórkę – dodał komisarz Aleksanderski. – Nikt do niej nie dzwonił tego dnia ani nie wysyłał wiadomości. Ona też do nikogo nie dzwoniła ani z nikim nie esemesowała. Koło dziewiętnastej wykonała kilka połączeń na numery korporacji taksówkarskich, żaden kurs na jej nazwisko nie został jednak zrealizowany. Próbowwała też zamówić taksówkę za pomocą aplikacji. Z podobnym skutkiem.

– Czyli wróciła autobusem lub tramwajem – podsumowała.

– Raczej autobusem – powiedział Halicki. – Z Nowego Świata pod jej dom jest bezpośredni autobus. Mieszkałem kiedyś na Pradze, jeździłem tą linią.

– Czy w autobusach jest monitoring? – spytała.

Halicki potwierdził.

– Sprawdzisz to? – spytała Seredyńska. – Może się coś ciekawego nagrało, może sprawca z nią jechał... I jeszcze kwestia metra. Rozmawiałam o tym z komisarzem Aleksanderskim w piątek. Przekaze ci, o co chodzi. Zajmijcie się tym wspólnie.

Może jeśli zaczną bliżej współpracować, zejdzie z nich trochę napięcie.

– W porządku – podsumowała. – Wszyscy wiedzą, co robić? To do roboty. A ty nie zapomnij o tym logowaniu telefonu – zwróciła się do Aleksanderskiego.

– Zaraz się tym zajmę – powiedział.

Policjanci wyszli. Usłyszała jeszcze, jak rozmawiają na korytarzu. Zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Wiem, co pani teraz czuje – rozległ się z kąta głos prokurator Walczak. Zajęta swoimi myślami, Seredyńska zupełnie zapomniała, że ona tu jeszcze jest. – Straciła pani świadka i obwinia się pani o to. Zaczyna się pani obawiać, że ta sprawa panią przerasta. To w pełni zrozumiałe.

– Dziękuję, pani prokurator – odpowiedziała z wdzięcznością. Nie spodziewała się, że ta kostyczna kobieta zechce okazać jej wsparcie.

– Bo być może rzeczywiście tak jest. – Prokurator Walczak wstała. – Proszę jednak potraktować tę sytuację jako okazję do pożytecznej nauki. Choćby tego, by nie próbować przeskakiwać na siłę progu swoich umiejętności i kompetencji. Nie wiem, kto panią tu przysłał i dlaczego, ale prokuratura okręgowa to nie przelewki. Nie każdy tu się nadaje.

ROZDZIAŁ 65

– To ona? – spytała, wpatrując się w ekran komputera.

– Tak – odparł Halicki. – Moment, kiedy wsiada.

Wnętrze autobusu było pełne ludzi. Siedzieli i stali na każdym skrawku wolnej przestrzeni.

– A on? – spytała.

– Pewnie wsiadł tylnymi drzwiami. Nie ma szans go tu zobaczyć.

– Jesteś pewien, że tu wsiadł?

– Tak. Jest tu. Zobaczysz później. Musiał wsiąść na tym przystanku, nie ma innej możliwości.

Halicki przewinął nagranie.

– Patrz teraz – powiedział.

W autobusie było już znacznie luźniej. Ekspedientka siedziała na jednym z miejsc, wpatrzona w ekran swojego telefonu.

– Gdzie on jest? – spytała Sereżyńska.

– Tu. – Wskazał palcem na postać siedzącą w tylnej części autobusu. – Poczekaj, przybliżę.

Postać powiększyła się, choć była teraz bardziej rozmazana.

– To on? – spytała. – Wygląda inaczej niż na portrecie pamięciowym.

Mężczyzna, na którego patrzyła, był przygarbiony, włosy miał w nieładzie i wykrzywioną w dziwnym grymasie twarz.

– Ale to on. Znalazłem go też na nagraniu z metra. Zaraz ci pokażę.

Nachylił się nad nią od tyłu i przełączył okna na ekranie. Dobre perfumy, pomyślała. Bardzo ładny zapach.

– Nagranie ze stacji metra Plac Wilsona – wyjaśnił. – Tu idzie.

Wśród kilku osób wysiadających z pociągu wskazał wysoką i szczupłą postać. Jej twarz częściowo ukryta była pod daszkiem czarnej bejsbolówki. Ale nie całkowicie.

– Skąd wiesz, że to on? – spytała. – Naprawdę wygląda zupełnie inaczej.

– Mamy program analizujący geometrię twarzy. To na pewno ten sam. Układ charakterystycznych punktów jest identyczny.

– Gdzie wsiadł? – spytała.

– Stacja metra Słodowiec. Dokładnie naprzeciwko komendy komisarza Aleksanderskiego.

– Co z tego? – odezwał się siedzący po drugiej stronie jej biurka Aleksanderski.

– Nic. Tylko mówię. Kolejny dowód, że Warszawa wcale nie jest takim dużym miastem.

– A na Nowym Świecie nie ma monitoringu? – spytała Seredyńska.

– Jest – odparł Halicki. – Sprawdziłem go oczywiście. Niestety kamera jest zbyt daleko od sklepu. Widać z niej, że ktoś się przy nim kręci, obchodzi go, potem wraca, ale to tyle. Te nagrania są o wiele lepsze.

– Czyli musi mieszkać gdzieś w pobliżu stacji metra Słodowiec – podsumowała Seredyńska. – A co z tym logowaniem telefonu, sprawdziłeś to? – zwróciła się do Aleksanderskiego.

– Tak – odpowiedział. – Ten sam obszar, co poprzednio.

– Zobaczmy to na mapie – powiedziała, otwierając Google Maps i przekręcając ekran tak, by widział go również Aleksanderski. – Jak to nam zawęża teren poszukiwań?

– Od południowego wschodu granicą jest moim zdaniem Trasa AK – powiedział Aleksanderski. – Gdyby mieszkał po tamtej stronie, wsiadłby na stacji Marymont.

– Okej – powiedziała. – A z tej strony? – Wskazała na mapę.

– Od północnego zachodu ulica Perzyńskiego mniej więcej. Za nią bliżej jest już do metra Stare Bielany.

– No to mamy już dwie wyraźne linie – powiedziała. – Od południa?

– Park Olszyna. Za nim bliżej by miał do tramwajów na Broniewskiego. Zresztą stąd mógłby już od razu pójść na piechotę. To nie tak daleko od Rydygiera.

– A od północy? Marymoncka? – Wskazała na długą ulicę biegnącą w stronę placu Wilsona.

Zastanowił się.

– Niekoniecznie – odpowiedział. – Moim zdaniem może mieszkać również po jej drugiej stronie.

– Jeżdżą nią tramwaje – zauważył Halicki. – I to w stronę placu Wilsona. Czy gdyby mieszkał po jej drugiej stronie, nie prościej by mu było wsiąść w tramwaj?

– Tylko jeden tramwaj jedzie na plac Wilsona – odparł Aleksanderski. – Pozostałe skręcają w ulicę Popiełuszki. Tramwaje kursują dość rzadko, co piętnaście–dwadzieścia minut. Metro co kilka. Stację od przystanku dzielą dwie minuty marszu. Jeśli przyszedł na przystanek i zobaczył, że do odjazdu tramwaju ma, powiedzmy, dwadzieścia minut, mógł pójść na metro.

– Czyli gdzie byśmy tu zakreslili granicę? – spytała.

– Moim zdaniem granicą jest skarpa – odparł Aleksanderski. – Czyli ulica Kolektorska. Dajmy na to. Gdyby mieszkał na dole, poszedłby raczej na autobus na Klaudyny. Ludziom nie chce się podchodzić pod skarpe.

– No to mamy już dość konkretny obszar – skomentowała. – Rozpuść swoje psy – zwróciła się do Halickiego. – Niech znajdą wszystkie zakłady fryzjerskie w tej okolicy, a jeśli to nic nie da, niech chodzą też po sklepach spożywczych. I niech pokazują tam nasz portret pamięciowy i zdjęcia, które się uda zrobić z tych nagrań monitoringu. Jeśli znajdziemy zakład, gdzie się strzyże,

albo sklep, gdzie robi zakupy, będziemy mogli jeszcze bardziej zawęzić ten obszar.

– Oczywiście – odparł Halicki. – Zrobię to. Tylko co, jeśli on wsiadł na Słodowcu nie dlatego, że tam mieszka, ale dlatego, że był w pobliżu w jakiejś innej sprawie? Wtedy dupa.

– Wtedy dupa – zgodziła się. – Całe nasze rozumowanie na nic. Ale nie przyjmujemy takich pesymistycznych założeń. A, no i musimy pilnować tej fryzjerki. Zajmiesz się tym, tak jak cię prosiłam? – zwróciła się do Aleksanderskiego. Kiwnął głową. – Skoro wrócił po tamtą, równie dobrze może i wrócić po tę. Najwidoczniej znudziło mu się polowanie na przypadkowe ofiary.

– Może to też bym wziął? – spytał Halicki. – Zorganizuję jej całodobową ochronę. Mamy doświadczenie w tego typu akcjach.

Kątem oka dostrzegła, jak komisarzowi Aleksanderskiemu ze złości wylatuje para spod pokrywki.

– Zróbcie to razem – zdecydowała szybko. – Ty masz sprawdzoną ekipę, ale Aleksanderski lepiej zna teren. Coś jeszcze?

– Może Różański też nie był przypadkową ofiarą? – zauważył Halicki. – Zapomnieliśmy trochę o tym wątku. Może warto by było do niego wrócić?

– Na razie zajmujemy się tą częścią śledztwa – odpowiedziała. – Idziemy wyraźniejszym tropem. Jasne?

Ponownie poczuła, że może im się udać. Że jej się może udać.

ROZDZIAŁ 66

Znowu siedzieli w salce konferencyjnej w prokuraturze. Tym razem bez prokurator Walczak, która najwyraźniej uznała, że jej ostatnia rozmowa z Seredyńską wystarczająco jej pomogła w prowadzeniu sprawy.

– No dobra, co macie? – spytała.

Halicki z Aleksanderskim siedzieli naprzeciwko siebie i wyglądali trochę jak ojciec z synem. Skłóceni, rywalizujący ze sobą, działający sobie wzajemnie na nerwy, ale podobni do siebie bardziej, niż byliby skłonni przyznać.

Pierwszy odezwał się Aleksanderski.

– Obserwacja fryzjerki na razie nic nie dała – powiedział. – Spokojnie, cicho, nikt podejrzany za nią nie chodzi ani się nie kręci w pobliżu.

– Rozmawiałem wczoraj z profilerem – odezwał się Halicki. – Na temat okresu dzielącego poszczególne ataki u seryjnych zabójców.

– U tego naszego bardzo się on ostatnio skrócił – zauważyła. – Jak rozumiem, to znaczy, że następnego też powinniśmy się spodziewać w miarę szybko?

– Niekoniecznie – odpowiedział. – Generalnie takie skrócenie okresów między poszczególnymi zabójstwami powinno o tym świadczyć: zabójca się rozkręca, potrzebuje coraz silniejszej i coraz częstszej stymulacji... Ale czasami mogą występować dłuższe przerwy związane z okolicznościami zewnętrznymi, na przykład z sytuacją osobistą.

– Fajne pierdolenie – zauważył Aleksanderski. – Generalnie powinien zaatakować wkrótce, ale generalnie równie dobrze nie.

– W każdym razie powinniśmy być przygotowani – ucięła temat. – A jak tam twoje poszukiwania, znaleźliście coś? – zwróciła się do Halickiego.

– Tak – odpowiedział. – Fryzjer z małego jednoosobowego zakładu przy ulicy Marymonckiej twierdzi, że ktoś podobny do gościa z naszego portretu jest jego stałym klientem.

– Zna go, wie, jak się nazywa?

– Nie. Przychodzi, ten go strzyże, i tyle. Nie jest specjalnie rozmowny.

– Płaci kartą?

– Fryzjer ma terminal dopiero od dwóch miesięcy, wcześniej można było u niego płacić tylko gotówką. Od tego czasu tamtego gościa u niego nie było.

– Dzwonił, umawiał się?

– Nie. Po prostu przychodził. Jak fryzjer był zajęty, to się po prostu umawiał na za godzinę albo pół. Nigdy nie podawał nazwiska.

Czyli znowu nic, pomyślała. Nazwiska, numeru telefonu, numeru karty kredytowej... Facet porusza się po świecie, nie pozostawiając żadnych śladów.

– Świetnie. – Nie potrafiła ukryć ironii w głosie. – Mówił jeszcze coś ciekawego o nim?

– Niespecjalnie. Facet jest małomówny, spokojny. Przychodził mniej więcej raz na miesiąc.

– Przychodził czy przyjeżdżał?

– Przychodził.

– Ale to dość ruchliwa ulica – wtrącił Aleksanderski. – Trudno przy niej znaleźć miejsce do parkowania. Nawet jak przyjechał samochodem, to mógł parkować gdzieś dalej, gdzieś, gdzie ten fryzjer go nie widział.

– To raczej gówniany zakład – zaproponował Halicki. – Trudno mi sobie wyobrazić, by ktoś tam przyjeżdżał specjalnie. Jedyne powód, dla którego mógł tam przychodzić, był taki, że miał blisko.

– No dobra – powiedziała Seredyńska. – Blisko, to znaczy gdzie? Zobaczmy to na mapie.

Otworzyła leżącego przed nią laptopa.

– Jaki rejon powinniśmy brać pod uwagę? – spytała.

Wstali i podeszli do niej od tyłu. Poczuli znowu zapach dobrych perfum Halickiego. Zmieszany tym razem z raczej taną wodą po goleniu komisarza Aleksanderskiego.

– W grę wchodzi moim zdaniem tak – Aleksanderski czuł się niewątpliwie gospodarzem tego terenu – po pierwsze, ten ciąg kamienic przy ulicy Marymonckiej. Jeśli mieszka w którejś z nich, po prostu schodzi na dół. Dalej: ten cały kwartał domów z tyłu i kamienice, które go otaczają.

– Ktoś, kto mieszka w domu, przychodziłby do takiego gównianego fryzjera? – spytał Halicki.

– W tych domach mieszkają różni ludzie – odpowiedział Aleksanderski. – Niektórzy bogaci; kupili budynek niedawno i wyremontowali go na willę, ale i tacy, którzy mieszkają tam od kilkudziesięciu lat i są raczej dość biedni.

– No dobrze, co dalej? – niecierpliwiła się Seredyńska.

– Po drugiej stronie Marymonckiej, wzdłuż ulicy Podleśnej, jest ogrodzone osiedle kilku czteropiętrowych bloków. Obok trzy nieogrodzone dziesięciopiętrowe. Nie ma tam, o ile wiem, fryzjera.

– Dalej! – ponagliła go.

– Po drugiej stronie Podleśnej jest Instytut Meteorologii. Spory teren, ale tam nikt nie mieszka. Tu, po drugiej stronie Marymonckiej, jest Akademia Wychowania Fizycznego i podobna sytuacja.

– A co, jeśli pracuje w jednym lub drugim miejscu? – wtrącił się Halicki.

– Myślałem, że ustaliliśmy, że pracuje raczej gdzieś w okolicach Nowego Świata – odparł Aleksanderski.

– To ustalenie opierało się na dość luźnym wrażeniu odniesionym przez świadka. Nie wiem, czy powinniśmy brać je za pewnik.

– Chwileczkę! – przerwała im Seredyńska, wpatrując się w ekran.

– Zapomnieliśmy chyba o tym, co mówiliśmy, analizując trasę, którą pokonał, jadąc na Rydygiera. Skoro wsiadł na stacji metra Słodowiec, to nie może moim zdaniem mieszkać tutaj. – Wskazała palcem kwartał domów na tyłach zakładu fryzjerskiego. – Gdyby tak było, poszedłby na Stare Bielany, bo miały tam bliżej.

Zamilkli, analizując to, co powiedziała.

– Najbardziej prawdopodobne jest wobec tego, że mieszka tu. – Wskazała palcem prostokąt ograniczony ulicami Perzyńskiego, Marymoncką, Kasprowicza i Sacharowa. – Stąd jest równie blisko do stacji metra Słodowiec, jak i do tego fryzjera.

– Może i tak – usłyszała za plecami głos Halickiego.

– Skupmy się na tym obszarze – powiedziała. – Sprawdziłeś te sklepy spożywcze? – rzuciła w jego kierunku.

– Jeszcze nie – odparł. – Najpierw zająłem się zakładami fryzjerskimi.

– To teraz one. Sprawdź wszystkie sklepy w tej okolicy.

Poczuła, że sieć się zacieśnia.

ROZDZIAŁ 67

Ile czasu minęło? Dwa tygodnie, trzy? Prędzej dwa, choć nie był tego pewien. Od paru dni znowu nie wychodził z domu. Skończyło się kozakowanie. Nie golił się i nie mył od dawna. Broda urosła mu już na parę centymetrów. Patrzył, jak meble w jego domu znowu powoli pokrywa kurz, czuł, jak jego ciało bierze we władanie ból.

W zasadzie nie ból, tylko bóle. Suma bólów większych i mniejszych. Niektórych całkiem pomijalnych, takich, o których można w zasadzie zapomnieć, innych przypominających o sobie przy każdym ruchu, przy każdym oddechu.

W nocy nie mógł przez nie spać. Leżał na wznak w swoim łóżku, starając się znaleźć takie, nieistniejące przecież, ułożenie ciała, przy którym boleć go przestanie lub chociaż – to się akurat czasami udawało – będzie go boleć odrobinę mniej.

Leżał i czekał. Aż kombinacja działania leków przeciwbólowych i zwykłego wymęczenia pozwoli mu wreszcie zasnąć. Słyszał wtedy rzeczy. Różne. W tym dziwnym, transowym stanie skupienia na swoim rozpadającym się ciele, w tej na pół przytomnej medytacji, w tym „o kurwa, niech to się wreszcie skończy!” wydawało mu się, że słyszy bębny. Albo śpiewy. Głębokie, mrużące, dobiegające jakby z głębi ziemi. A jednocześnie stamtąd: z zakurzonego, ciemnego pokoju za zasuniętymi drzwiami.

Ciągle jednak bał się tam wchodzić. Wspomnienie ostatniego razu, gdy dosiadł go demon, było jednocześnie upojne i przerażające. Pragnął ze wszystkich sił to powtórzyć i jednocześnie bał się tego aż do obezwładniającej paniki. Próbował

znów palić święte zioło – nic to nie dawało. Czy przestało już na niego działać, czy też straciło swoje właściwości od zbyt długiego leżenia, w każdym razie jego stosowanie stało się zupełnie bez sensu. Nawet gdy rzucił w kąt waporyzator i zrobił sobie zwykłego skręta.

W końcu, któregoś dnia rano, gdy ostre słońce kroilo wnętrze jego domu na rozświetlone trójkąty i kwadraty, stanął przed zsuniętymi drzwiami, a potem wszedł do środka. Przez szpary między zasłonami wnikały sztylety światła. Kurz wirował w nich w namacalnej niemalże ciszy. Przez chwilę zapatrzył się na to widowisko, zapominając o wszystkim innym. Tym, co przywróciło go do bieżącej chwili, był zapach. Zetlały, zwietrzały, lecz wciąż przecież wyraźny smród. Woń sacrum.

Usiadł na kanapie. Dopiero teraz odważył się spojrzeć na fetysz. „Fetysz” – to nie było dobre słowo, lecz na razie nie miał lepszego. Czuł jakąś obecność, był tego pewien. Obecność czegoś w tym dziwnym, przypadkowym z obiektywnego punktu widzenia zbiorze przedmiotów. W tej kupce śmieci, którą w innej sytuacji załadowałby do czarnego worka i wyrzucił do kubła pod płotem. Ta obecność nie była jednak nią, tą kupką. Tak jak antena nie jest obrazami i dźwiękami, które dzięki niej pojawiają się w telewizorze. I nawet przecież te obrazy nie są rzeczywistymi przedmiotami i ludźmi, którzy gdzieś tam naprawdę istnieją. A jednak antena je przekazuje. Bez niej byśmy ich nie widzieli.

Oparł się plecami o kanapę. Nad zbiorowiskiem nieistotnych przedmiotów tańczyły w słońcu drobiny pyłu. Za oknem, za ciężkimi zasłonami, które kupili jeszcze jego rodzice, słychać było śpiew ptaków. Skóra zwierzęcia na szczycie stożka już tak nie lśniła, przykurzona i zmatowiała. Oczy maski zawieszanej tuż pod nią wydawały się czarne i puste.

Oddychał ciężko, z trudem, boleśnie. Naładowana ostatnio bateria była już na wyczerpaniu. Nie wystarczyło tego na długo. Dlaczego? To przecież takie młode, takie zdrowe życie. Może

powinien więc znaleźć kogoś jeszcze młodszego? Dziecko, albo nawet niemowlę. Przynieść je tutaj, złożyć w ofierze, skropić jego krwią demona, potem siebie... Może taka straszna, ostateczna, budząca grozę nawet w nim ofiara nie tylko zatrzymałaby, ale i odwróciła proces? Proces jego umierania. Czy jest to w ogóle możliwe? Gdzieś o tym czytał... kiedyś... Nie pamiętał już; to działo się w tym poprzednim życiu. Były takie rytuały... W nocy oprócz bólu czuł też strach, coraz większy. Śmierć siadała obok niego na łóżku i przypatrywała mu się uważnie. Czekwała. Gdyby tak udało się ją przegnać...

Mimo wszystko wzdrygnął się na ten pomysł. Mimo wszystko nie. Jeszcze nie, przynajmniej. Jeszcze spróbuje starych metod. Może po prostu robił coś nie tak, może winna jest sama procedura? Jakieś sprawy techniczne, nie miał przecież do tego, co robił, instrukcji obsługi. Nikt go tego nie uczył, nie miał nauczyciela, mistrza ani nawet ksiąg, do których mógłby zajrzeć. Tamten czarownik, szaman, opiekun fetysza, ten, o którym opowiadała tamta kobieta, pierwsza właścicielka maski – on był spadkobiercą jakiejś tradycji, być może tysiącletniej, a może wręcz o wiele starszej. Ktoś go uczył, jak to robić, pokazywał sekwencje czynności, warunki skuteczności obrzędu. On zaś opierał się tylko na swojej intuicji, na znakach, przeczuciach, wizjach, które były przecież tak mętne. Był jak archeolog próbujący odtworzyć dawno zapomniane metody.

Przypomniał sobie tamtą fryzjerkę. Młodą, o dziecięcych niemalże kształtach. A gdyby coś takiego? Aż się uśmiechnął na taki kompromis. Było w tym coś zabawnego.

Ale tym razem przywiezie ją tu, złoży ofiarę przed samym ołtarzem, nie gdzieś tam, w przypadkowym miejscu. Może to o to tu właśnie chodziło? Im dalej od anteny, tym przekaz jest przecież słabszy. Sygnał zanika. Nie więc jakaś krew w słoiczku, nie gadżety znoszone niczym pamiątki z podróży, ale życie oddane tu, przed

samym obliczem bóstwa. Spojrzał w czarne, puste oczodoły maski. Co ty na to? – spytał ją w myślach. Co sądzisz o czymś takim?

I może mu się wydawało, może była to po prostu jakaś mucha albo mól, albo nawet drobina pyłu, która zalśniła przez chwilę w słońcu wpadającym zza kotar, ale dostrzegł tam jakiś ruch. Jakby maska mrugnęła do niego, jakby ciemne jak noc źrenice spojrzały na niego z zainteresowaniem. Jakby dostrzegł w nich wyraz aprobaty.

ROZDZIAŁ 68

– Gdybym wiedział, że wpadniesz, posprzątałbym – powiedział.

– Nie jest tak źle – odpowiedziała i przeciągnęła palcem po plastiku nad schowkiem. – W moim samochodzie jest tylko odrobinę mniejsza warstwa kurzu.

Spojrzał na nią.

– Myślałem, że kobiety dbają o swoje auta.

– Dbam o nie. – Wzruszyła ramionami. – Wlewam benzynę, dolewam olej i wymieniam opony na zimowe. Czasami też jadę na myjnię. Ale bez przesady. Nie zauważyłam, żeby samochód gorzej jeździł, gdy jest brudny.

Zaśmiał się.

– Coraz bardziej mi się pani podoba, pani prokurator – powiedział.

– Mam nadzieję, że dotyczy to sposobu prowadzenia przeze mnie sprawy, komisarzu Halicki – odparła.

– Oczywiście.

Dlaczego to zrobiła? Ten przystojny, niewątpliwie atrakcyjny mężczyzna właśnie powiedział coś, co przy odpowiednim nastawieniu mogło być potraktowane jako początek flirtu, a ona go ścieła. W ten sposób nigdy nie znajdzie faceta.

– Co słyhać na froncie? – spytała najbardziej przyjaznym tonem, na jaki ją było stać. Może nie jest jeszcze za późno.

– Nic nie słyhać – odparł. – Cały czas to samo. Przychodzi do pracy, wychodzi, jedzie do domu, idzie do sklepu, spotyka się ze znajomymi... A my ją obserwujemy. I nic się nie dzieje. Dobrze

przynajmniej, że remontują tę ulicę, bo można by tu umrzeć z nudów.

– To dlaczego tu siedzisz? – spytała. – Masz chyba od tego ludzi.

– A dlaczego ty tu przyszłaś? – odwzajemnił się pytaniem. – Z tego samego powodu. Żeby udawać przed samą sobą, że pchamy to jakoś do przodu, że coś robimy.

– A w sprawie tego sklepu coś się ruszyło? Znalazłeś coś?

– Nic.

– Może trzeba poszerzyć obszar poszukiwań?

– Zrobiłem to. Sprawdziliśmy już w zasadzie wszystkie sklepy między Trasą AK, ulicą Broniewskiego, Marymoncką a aleją Reymonta.

– I nic?

– Paru sprzedawców powiedziało, że może, ale że nie są pewni. I to do tego w różnych, dość oddalonych od siebie punktach.

– To co on, nie robi zakupów? Przecież to niemożliwe.

Tym razem to Halicki wzruszył ramionami.

– Powody tego mogą być różne – powiedział. – Po pierwsze: sprzedawcy, zwłaszcza w sklepach spożywczych, widują codziennie dziesiątki klientów; jeśli jest to sklep samoobsługowy, a takich jest teraz większość, widzą ich tylko przy kasie, a wtedy są zajęci skanowaniem produktów i nie mają za bardzo jak przypatrywać się twarzom. Gość wygląda w miarę normalnie, nie wyróżnia się jakoś. Jest elementem szarej, przelewającej się przed ich oczami masy. Trudno kogoś takiego zapamiętać, jeśli nie zrobi czegoś dziwnego. Po drugie: może faktycznie nie robi zakupów w tych małych sklepikach, tylko jeździ raz w tygodniu do hipermarketu. Ja tak na przykład robię.

– Nawet chleba nie kupi?

– Może nie jada chleba albo je go mało. Albo kupuje w markecie i zamraża. Nie wiem. Faktem jest, że nie znaleźliśmy nikogo, kto by go w przekonujący sposób rozpoznał. Dlaczego tak jest, to już mniej istotne.

Trudno było odmówić temu stwierdzeniu słuszności.

– Może więc sprawdzimy też hipermarkety?

Kiwnął głową.

– Poleciałem tak zrobić. Najpierw te najbliższe, potem zajmiemy się tymi dalszymi. Chociaż tam przerób klientów jest jeszcze większy. No i są kasy samoobsługowe.

– Gdyby jednak udało nam się znaleźć taki market, gdzie robi zakupy, twoi ludzie mogliby go obstawić i zgarnąć go, gdy przyjdzie tam następnym razem.

– Oczywiście, pani prokurator – odparł z lekkim przekąsem. – Na to też wpadłem.

Czuła narastającą frustrację. Sieć, którą zastawili, łąpała tylko wodę.

– To może kurierzy? – powiedziała.

– Co kurierzy?

– Każdy z nich ma swój rejon. Do mnie za każdym razem przyjeżdżają ci sami. Gdybyśmy znaleźli wszystkich kurierów obsługujących ten rejon z wszystkich firm kurierskich, mogłoby się okazać, że któryś z nich go zapamiętał.

– Pod warunkiem, że robi zakupy przez Internet.

– Każdy czasami robi.

– I nie korzysta z paczkomatów.

Jej frustracja osiągnęła poziom krytyczny.

– Masz lepszy pomysł? – warknęła. – Jak nie, to po prostu to zrób.

Szanse na jakikolwiek flirt zostały chyba właśnie ostatecznie pogrzebane.

– Nie mam – przyznał. – Okej, zrobimy to.

W samochodzie zapanowało milczenie. Czas było powoli się zbierać.

– Słuchaj, a może pójdziemy razem na jakiś obiad? – spytał nagle. – Nie muszę tu być. Moi ludzie i tak jej pilnują. Tu

niedaleko, widziałem, jest tajaska restauracja. Wygląda całkiem spoko.

Czyli jednak nie zostały pogrzebane.

– Czemu nie? – odpowiedziała. – Lubię tajską kuchnię. W razie czego do ciebie zadzwonią, żebyśmy zdążyli go bohatersko aresztować?

– Powinni.

– W takim razie to idealny pomysł.

ROZDZIAŁ 69

Już samo podjęcie decyzji sprawiło, że poczuł się lepiej. Dzisiejszej nocy spał w miarę dobrze. Rano – po raz pierwszy od wielu dni – nic go nie bolało. Teraz, gdy stał tu, pod tym drzewem, za zaparkowaną krzywo na pochyłym poboczu ciężarówką z betonowymi płytami, wręcz cieszył się urodą świata. Te młode, jeszcze nieściemniałe, nieprzykurzone liście, to słońce przedzierające się między nimi, układające na wydeptanej przez robotników ziemi mozaikę z plam światła i cienia – wszystko to napełniało go absurdalną, biorąc pod uwagę jego sytuację, radością i energią.

To było świetne miejsce na obserwację. Wtedy, gdy po raz pierwszy przyszedł do tego salonu fryzjerskiego, nie brał oczywiście tego pod uwagę, lecz musiał przyznać, że niechętny wybrał idealnie. Cała prawa pierzeja ulicy Rydygiera – przeciwna do tej, na której znajdował się salon – zajęta była przez plac budowy. Dawny Przemysłowy Żoliborz – skupisko mniejszych lub większych fabryk, zakładów i warsztatów najrozmaitszego rodzaju – zapełniał się blokami mieszkalnymi i apartamentowcami. Za cenna to była ziemia, zbyt blisko centrum, by marnować ją pod serwisy blacharskie i punkty przewajania silników elektrycznych. Jeśli dodać do tego jeszcze remont nawierzchni, był to obszar pełen idealnych miejsc, gdzie można było się ukryć i pozostać niezauważonym.

Podniósł do oczu lornetkę. Odziedziczył ją po ojcu, który był myśliwym. Pewnie by się teraz zdziwił, że jego syn używa jej do

polowania na ludzi. A może wcale nie? Czyż tak naprawdę nie było to jedno i to samo? Ten sam instynkt, ta sama głęboka, nieusuwalnie wpisana w ludzką naturę i historię potrzeba, tylko inaczej zaspokajana. Gdzieś kiedyś czytał, że tym, co nas najbardziej różni od innych naczelnych, jest ten morderczy popęd każący nam nie tylko zabijać inne zwierzęta, ale i wyrzynać siebie nawzajem, i że to tak naprawdę ta nasza cecha leży u podstaw ludzkiej kultury i cywilizacji. On tylko realizował ją w praktyce, bez hipokryzji typowej dla wszelkich rządów, ideologii i religii, próbujących, bardzo udatnie zazwyczaj, usprawiedliwić ją albo udawać, że nie istnieje. Prawda zaś była prosta, prostsza niż ktokolwiek byłby to w stanie przyznać: nie chcemy walczyć w obronie ojczyzny, Boga czy ukochanego klubu sportowego; chcemy się mordować. Reszta jest tylko pretekstem.

Tak, dziś mógł pozwolić sobie na takie filozofowanie, bo nie zdychał. To też było proste. Prosta zasada. Wiedział jednak, że to okienko, ta przerwa w bólu i postępującej destrukcji, nie będzie duże. Musiał działać szybko, być może nawet bardzo. Nie miał zbyt wiele czasu.

W zasadzie nie miał pojęcia, po co tam się wpatrywał. Tam, w te drzwi do salonu fryzjerskiego po drugiej stronie ulicy. Wiedział przecież, o której jego zwierzyna kończy pracę. Zadzwoił po prostu i spytał. Powiedział, że chciałby się umówić na strzyżenie do pani Agaty. Kilka prostych, niebudzących podejrzeń pytań dodatkowych i już znał cały jej dzisiejszy harmonogram. Miał jeszcze dwie godziny. Dwie godziny, by wymyślić, jak to zrobić.

Który wariant zastosować? Ten ostatni? Nie wiedział, gdzie ona mieszka; jeśli w bloku, wejście do niej byłoby bardzo trudne. Mógł oczywiście udać na przykład kuriera, jakoś dostać się do jej mieszkania, ale co potem? Skoro tym razem miał złożyć ofiarę przed ołtarzem, musiał ją jakoś tam przetransportować, i to żywą. Jak, w jaki sposób? W walizce? Musiał brać pod uwagę, że mimo

chwilowego wyjątkowo dobrego samopoczucia jego organizm jest wyniszczony i słaby. Może najzwyczajniej w świecie nie dać rady.

A więc pozostało porwać ją stąd. Tylko jak? Widział, że przyjechała samochodem. Turkusowy volkswagen beetle stał zaparkowany przy prostopadłej ulicy pod płotem oddzielającym od niej kolejny plac budowy. Gdy wyjdzie z pracy, będzie musiała do niego dojść. Chodnikiem, którego już w zasadzie nie było, bo zajęły go samochody niemogące zaparkować przy Rydygiera. Będzie więc szła tym rozjeżdżonym poboczem, ścieżką już wydeptaną przez parkujących kierowców między murem aut a białym płotem budowy. Gdyby udało mu się zaparkować gdzieś tam swój samochód, najlepiej tuż obok niej...

Widział stąd również tamto miejsce. Na razie mur karoserii był zwarty, nie było w nim żadnej wyrwy. Przez dwie godziny może się to jednak zmienić. Ktoś przyjdzie i odjedzie. Jeśli nie chce, by ktoś mu to zwolnione miejsce zajął, powinien czekać na to nie tu, lecz w swoim samochodzie. Gotowy, by natychmiast podjechać.

Tak musi zrobić. Ona i tak przez najbliższe dwie godziny nie wyjdzie. Jeszcze więc tylko ostatni rzut oka na drzwi salonu i na ulicę przed nim i zmywa się stąd.

Zaraz... Dostrzegł chyba coś dziwnego. Z samochodu zaparkowanego przy ulicy, w małej zatoczce, gdzie jeszcze można było to robić, wysiedli kobieta i mężczyzna. Ją widział wcześniej, choć tylko od tyłu. Jakiś czas temu szła ulicą i wsiadła do tego auta, ale jego... Jego nie pamiętał. Nie pamiętał, żeby wsiadał do tego samochodu. Czy to znaczy, że siedział tam od dawna? Mógł oczywiście to przeoczyć, patrzeć w tym momencie gdzie indziej, choć przecież cały czas miał lornetkę zwróconą w tamtą stronę, ale teoretycznie było to możliwe. Wyregulował lepiej ostrość. Stara lornetka nie miała zbyt dużego powiększenia, więc nie widział dokładnie ich twarzy, lecz w tym mężczyźnie było coś niepokojącego. Nie wyglądał i nie ruszał się jak ktoś, kto wyskoczył na chwilę z pracy w pobliskim biurze. Tkwiła w nim pewność

siebie, jakiś rodzaj agresji trzymanej w ryzach, lecz w każdej chwili gotowej do kontrolowanego wybuchu. Wyglądał jak łowca.

Obserwował go uważnie. Znajdowali się daleko, niemal w połowie długości ulicy, w sporej odległości od salonu fryzjerskiego; gdyby nie lornetka, nie miałby szans tego dostrzec. Wsparł się łokciem o burtę stojącej obok ciężarówki, by ustabilizować drgający obraz. Mężczyzna zatrzymał się przy stojącym przy ulicy samochodzie i nachylił w kierunku jego przedniej, bocznej szyby. Szyba opuściła się – poznał to po zjeżdżających w dół refleksach światła – i wtedy mężczyzna chyba coś powiedział. Ktoś mu coś musiał odpowiedzieć, bo nieznajomy wyprostował się i wrócił tą samą drogą w kierunku kobiety wciąż czekającej na niego na chodniku. Potem razem ruszyli w stronę restauracji, której czerwony neon świecił w głębi małego placyku na parterze nowoczesnego, już ukończonego apartamentowca.

Począł, aż weszli do środka, i opuścił lornetkę. Ręce bolały go od długiego trzymania ich w górze. Zmiana planów. Schował lornetkę do torby przewieszanej przez ramię i ruszył w stronę restauracji. Nie planował dziś obiadu w knajpie, a już na pewno nie w tajskiej, lecz czym byłoby życie bez niespodzianek?

ROZDZIAŁ 70

Usiedli przy stoliku obok okna. Młody kelner z krótką, ciemną brodą podał im menu. Kuchnia była otwarta, można było widzieć pracujących w jej głębi kucharzy o azjatyckich rysach.

– Czego się państwo napiją na początek? – spytał kelner.

– Dla mnie piwo. – Komisarz Halicki nie miał najwyraźniej zamiaru przestrzegać zasad dobrego wychowania mówiących, że kobieta zawsze zamawia pierwsza. Trochę ją to ubodło, bo była przywiązana do takich drobnych rzeczy.

– Tajskie czy polskie?

– Może być polskie. Małe.

– A dla pani?

– Kieliszek białego wina.

Kelner odszedł. Halicki uśmiechnął się.

– Na co masz ochotę? – spytał.

Spojrzała w menu. Było nowiutkie, bez żadnych, najmniejszych nawet śladów zużycia. Musieli bardzo niedawno otworzyć tę knajpę.

– W restauracjach tajskich zawsze zamawiam to samo – powiedziała.

– Starego dobrego pad thaia?

– Nie, czerwone curry z krewetkami, z makaronem sojowym zamiast ryżu.

– Brzmi nieźle – powiedział. – Ale może czas to zmienić? Wprowadzić do swojego życia element nieprzewidywalności?

– Wystarczy mi, że siedzę w knajpie z policjantem. Nie przewidywałam tego. A ty co weźmiesz?

- Wszystko jedno, byle z mięsem. Najlepiej żeberka albo golonkę.
- Golonkę w tajskiej knajpie? – zdziwiła się.
- Czasami mają. W jakimś ichnim sosie, ale zawsze.

Kelner wrócił z napojami.

- Już się państwo zdecydowali? – spytał.

– Tak – odparł Halicki. – Dla mnie żeberka z woka, a dla pani owoce morza na ostro. Z makaronem sojowym zamiast ryżu.

Uśmiechnął się do niej szelmowsko.

- Będzie ci smakowało, zobaczysz.

Zatkało ją lekko, ale odwzajemniła uśmiech.

– Tak pan wyrywa laski, komisarzy? – spytała. – Zmuszając je do jedzenia potraw, na które nie mają ochoty?

– Nie wyrywam pani, pani prokurator – odparł. – To tylko koleżeńską przysługą. Dodaję kolorytu pani bezbarwnemu życiu.

- Skąd pewność, że jest bezbarwne? – Uniosła brwi.

– Jeszcze nie spotkałem prawnika, który by miał ciekawe życie.

- A Mahatma Ghandi?

– Miał ciekawe życie, bo przestał być prawnikiem.

– Dziękuję chociaż, że zostawiłeś mi makaron sojowy.

- Pomyślałem, że zbyt wiele zmian na raz mogłoby cię zabić.

Spoglądał na nią z beczelnym uśmiechem. Denerwowało ją to, ale jednocześnie, musiała to przyznać, pociągało. I tak, flirtował z nią. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

Kelner przyniósł zamówione dania. W bardzo dobrym momencie, bo nie wiedziała za bardzo, co odpowiedzieć. Zajęli się jedzeniem.

- I jak? – spytał.

– Bardzo dobre – przyznała. – Choć ostre.

– Bardzo dobre, bo ostre – poprawił ją. – Prawdziwa przyjemność musi odrobinę boleć.

Spojrzała na niego znad talerza.

– A to już chyba zbyt daleko posunięta aluzja, panie komisarzy – powiedziała.

- Jaka aluzja? – Uniósł dłonie. – Wciąż rozmawiamy o jedzeniu.

– A jak twoje żeberka? – spytała, żeby zmienić nieco temat.

– Dobrze – odpowiedział. – Żeberka prawie zawsze są dobre. Przy Hali Marymonckiej jest taka knajpka; podają tam przepyszne żebra wołowe. Następnym razem możemy tam pójść.

– Zakładasz, widzę, że będzie następny raz?

– Zakładam, że jeszcze przez jakiś czas będziemy ze sobą współpracować. Koledzy z pracy chodzą czasem na wspólne lunche, prawda?

– To weźmy też komisarza Aleksanderskiego. I prokurator Walczak.

– To bardzo mała knajpa, możemy się nie zmieścić we czwórce. Szczególnie komisarz Aleksanderski.

– Nie lubicie się zbyt, co?

Wzruszył ramionami.

– Mężczyźni zawsze rywalizują – powiedział. – Zwłaszcza gdy patrzą na nich kobiety.

– Więc to wszystko przez nas, tak?

– Głównie przez prokurator Walczak. – Uśmiechnął się. – Nie, nie tylko przez was. On jest już tak naprawdę na wylocie, ja na fali wznoszącej. Zdaje sobie z tego sprawę i to go irytuje. Czuje się zagrożony. Jest jak stary jelen, który jeszcze rządzi lasem, ale wie, że to już nie potrwa długo. Trudno mu się dziwić. Pewnie za dwadzieścia lat będę się zachowywał tak samo.

– To porządny facet. I dobry policjant.

– Wiem. I nic do niego nie mam. Naprawdę. To raczej on mnie stale podgryza. Zresztą nie mam o to do niego pretensji. Coś się przynajmniej dzieje.

– Dodaje to kolorytu twojemu bezbarwnemu życiu?

Zaśmiał się.

– Coś w tym stylu.

Miło było prowadzić taką konwersację. Inteligentną, pełną niezbyt nachalnych podtekstów. Szczerze powiedziawszy, dawno już tak dobrze się nie bawiła.

- Pani zdrowie, pani prokurator! - Uniósł swoją szklanę z piwem.
- Pana zdrowie, panie komisarzu!

ROZDZIAŁ 71

Zobaczył ich już przez szybę. Chwilę się wahał, ale wszedł do środka. Było to nierozsądne, nawet bardzo, ale nie potrafił powstrzymać się przed podjęciem tego ryzyka. Stolik niedaleko nich był wolny. Zbyt blisko, lecz za to częściowo schowany za filarem. Usiadł przy nim. Nie zwrócili na niego uwagi, zajęci sobą. Kelner podszedł, więc zamówił cokolwiek. Coś, co było na początku karty, w kategorii „szef kuchni poleca”. Nie pozwolił zabrać z powrotem menu. Udając, że wciąż je studiuje, przypatrywał im się znad jego krawędzi. Zbytek ostrożności. Naprawdę nie interesowało ich nic, co nie dotyczyło ich samych.

Mężczyzna był przystojny. Męski typ, który zawsze podoba się kobietom. Samiec alfa. Emanowała z niego bezczelna pewność siebie. Kobieta patrzyła na niego spokojnie, choć z zainteresowaniem, jakby wciąż analizowała sytuację. Przyjmowała zaloty mężczyzny z dystansem, ale i z ostrożną życzliwością. Czekwała, co dalej.

Starał się podsłuchać, o czym mówią. Nie wszystko słyszał, odgłosy z kuchni i rozmowy innych gości tworzyły szum zagłuszający ich słowa, ale parę rzeczy do niego dotarło.

Zwracali się do siebie, trochę w żartach, przekomarzając się, „panie komisarzu” i „pani prokurator”. A więc miał rację, mężczyzna był łowcą, policjantem. Mógł się tego domyślać już wtedy, kiedy tu szedł. Wtedy, gdy minął tamten drugi samochód i zobaczył w środku krótko ostrzyżonego blondyna ze słuchawką w uchu. Teraz uzyskał niezbitą pewność. Namierzili go, zastawili

wnyki. Skoro pilnują tej fryzjerki, to znaczy, że wiedzą, że u niej był. Tak jak wiedzą, że pojawił się u tamtej sprzedawczyni. I że to on ją zabił. Z myśliwego stał się teraz zwierzyną.

Mimo wszystko było to dla niego zaskoczenie. To, że są tak blisko. Zmroziło go to. W sumie nie myślał o tym wcześniej, nie zastanawiał się, na jakim etapie jest teraz policja, zajęty innymi sprawami, dlatego to, że odkryli ścieżki, którymi chodził, było dla niego bardzo nieprzyjemną niespodzianką. Bardzo, bardzo nieprzyjemną. Czuł się dotąd bezpieczny, przynajmniej pod tym względem. Prawdę mówiąc, zapomniał, że jest w ogóle jakaś policja. To znaczy oczywiście, starał się być ostrożny, nie zostawiać za wiele śladów, ale szczerze powiedziawszy, zbytnio nie zaprzętał sobie tym głowy. Wychodził z mroku, atakował jak duch i jak duch potem znikał. I był pewien, że to wystarczy, że to go chroni. Nie chroniło.

Wiedział dlaczego, gdzie popełnił błąd. Był nieostrożny. Za często atakował w tym samym miejscu, polował przy tym samym wodopoju. Był jak snajper, który strzela wciąż z tego samego drzewa. Ktoś taki aż się prosi, by go namierzyć, a potem zneutralizować. I o mało do tego nie doszło. Gdyby nie zwrócił uwagi na tego siedzącego teraz obok mężczyznę, już by go mieli. Nie wiedzą, kim jest, gdzie jest jego legowisko, ale przyczaili się przy ścieżce. Tylko zapomnieli, że on też ma instynkt myśliwego, że potrafi rozpoznać innego drapieżnika.

Problem był taki, że nie mogło być inaczej. Nie mógł inaczej postępować, nie mógł być bardziej ostrożny. Po prostu nie zależało to od niego. Każda z rzeczy, które zrobił, musiała się wydarzyć. Pierwszy błąd, popełniony, gdy zabił tamtą projektantkę mody, nie był przecież tak naprawdę błędem, lecz przeznaczeniem. Gdyby tego nie zrobił, nie znalazłby maski, czy też raczej ona nie znalazłaby jego. I nie dosiadłby go demon. Byłby więc teraz w zupełnie innym miejscu. Słaby, przerażony, bez celu i sensu, czekający jak baran na śmierć. Musiało tak być.

Widocznie to, co go prowadziło, wybrało dla niego właśnie taką drogę. Niebezpieczną, wiodącą krawędzią grani. Może była to próba, a może po prostu tego typu szlaki zawsze tak wyglądają. Nie można przecież próbować ograć śmierci, niczego nie ryzykując.

Dobrze, ale tę fryzjerkę musi sobie mimo wszystko odpuścić. Pewnie pilnują ją cały czas, również w drodze do domu. Jakikolwiek atak na nią byłby teraz samobójczy, nawet zwykła obserwacja była zbyt niebezpieczna. Chociaż... Przez chwilę poczuł sportową złość, rodzaj przekornej chęci, by mimo wszystko pokazać im, z kim mają do czynienia, zabić ją tuż pod ich nosem. Ale nie, mimo wszystko. Mimo tego, że naprawdę wiele by dał, by temu pewnemu sobie supermacho zrzędła mina; by poznał wreszcie smak porażki.

Poczuł wściekłość. Nagłą, ale bardzo silną. Znów było jak kiedyś w podstawówce, gdy tacy jak tamten rządźili, a on nie mógł nic zrobić. Gdy był bezsilny, gdy jedyne, co mu pozostawało, to leżeć w nocy w łóżku, patrzeć w sufit i wymyślać scenariusze nigdy nierealizowanej zemsty. A oni, ci piękni, cudowni chłopcy, którym zawsze wszystko przychodziło bez trudu, nawet go nie zauważali, nie zdając sobie sprawy z ogromu jego nienawiści.

Ten był taki sam. Widział, jak owija sobie tamtą kobietę wokół palca, jak ona powoli, ale zauważalnie poddaje się jego łobuzerskiemu urokowi, i miał ochotę go zabić; tu i teraz. Wstać i wbić mu widelec w oko albo wcisnąć drewniane pałeczki do gardła i patrzeć, jak dławi się własną krwią. Naprawdę niewiele brakowało, żeby to zrobił.

Być może tylko to, że kelner przyniósł w końcu jego danie, go powstrzymało. Jadł je teraz mechanicznie, nie czując nawet, czy jest dobre, czy złe, ostre czy łagodne, i wraz z nim przeżuwał swój gniew. Podobno każde fizyczne działanie, nawet tak proste jak ruszanie szczęką, obniża napięcie; sprawia, że poziom hormonów odpowiedzialnych za agresję spada. Jeśli dodać do tego jeszcze uspokajające każdą żywą istotę uczucie napełnianego jedzeniem

żołądka, to można chyba śmiało powiedzieć, że tym, co ocaliło w tym konkretnym momencie życie przystojnego pana komisarza, był talerz smażonego makaronu z wołowiną, posypanego pokruszonymi orzeszkami ziemnymi.

ROZDZIAŁ 72

Zadzwoił telefon. Spojrzała na wyświetlacz.

– O wilku mowa – powiedziała. – Komisarz Aleksanderski.

Odebrała.

– Czego chciał? – spytał, gdy skończyła rozmawiać.

– Znowu się logował – odpowiedziała. – Tamten telefon. Zadzwoił z niego do salonu fryzjerskiego. Wypytywał o Agatę.

– Tę fryzjerkę? Kiedy?

– Dziś rano. O jedenastej. Tuż po otwarciu.

– Gdzie się logował?

Spojrzała mu w oczy.

– Tym razem gdzieś tu, w tym rejonie.

Odłożył pałeczki na talerz.

– Czyli jest tu – powiedział. – Obserwuje ją.

– Tak jak my. Cholera. Udawał, że chce się umówić na strzyżenie.

Ale żadna proponowana godzina mu nie pasowała.

– Chodziło mu o rozkład jej dnia. Kiedy zaczyna i o której kończy.

– Twoi ludzie się nie odzywali?

– Nie. Na razie cisza.

– Jest ktoś w środku? – zapytała z niepokojem.

– Oczywiście.

– Czyli nie wyszła?

– Nie. Wiedziałbym o tym. Kontrolujemy sytuację.

Podniosła rękę, przywołując kelnera.

– Ja płacę – powiedział.

– Dobrze – odparła. – Ale tylko dlatego, że będzie szybciej.
Następnym razem ja.

– Czyli jednak jesteśmy umówieni?

Uśmiechnęła się.

– Zakładam, że jeszcze przez jakiś czas będziemy ze sobą współpracować. Koledzy z pracy chodzą czasem na wspólne lunche, prawda? – powtórzyła dokładnie jego wcześniejsze słowa.

Roześmiał się.

– Trzymam panią za słowo, pani prokurator – powiedział.

– Tylko proszę sobie zbyt wiele nie wyobrażać, komisarzu Halicki – odparła z uśmiechem.

– Dlaczego? – zainteresował się. – Ma pani męża?

– Nie.

– Chłopaka?

– Też nie.

– Zatem pozwoli pani, że będę sobie wyobrażał, ile wlezie.

Kelner przyniósł rachunek. Halicki zapłacił. Zostawił spory napiwek.

– Gdzie zaparkowałaś? – spytał.

– Przy prostopadłej ulicy. Pod jakąś budową.

– W tamtą stronę? – Wskazał dłonią kierunek.

Wyszli. Stanęli przed restauracją. Świadomość, że człowiek, którego od tak dawna szukali, jest gdzieś w pobliżu, działała pobudzająco.

– Czujesz to? – spytał.

– Co?

– Adrenalinę. – Uśmiechnął się. – Coś się wreszcie zaczęło dziać.

Rozejrzała się po ulicy.

– Myślisz, że naprawdę gdzieś tutaj jest? Może patrzy na nas w tej chwili?

– Patrzy na drzwi do salonu. Czeka jak pies na wychynięcie kreta. Ale nie możemy tego wykluczyć. Dlatego dalej musimy iść oddzielnie. I w przeciwnych kierunkach.

Odwrócił się do niej.

– Teraz się pożegnamy.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Co robisz? – spytała zaskoczona.

– Udaję – odpowiedział. – Że jesteśmy parą, która żegna się po wspólnym obiedzie. W razie gdyby na nas patrzył.

Pocałował ją w usta. Troszeczkę zakręciło jej się w głowie.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne – odparła, gdy już się odsunął.

– Nigdy nie wiadomo – rzucił z półuśmiechem. – A teraz idź do swojego auta. Nie patrz po drodze na samochód z obstawą. I nie rozglądaj się naokoło, jakbyś kogoś szukała. Resztą ja się zajmę.

Puścił ją.

– Do zobaczenia, pani prokurator. To był najmiłszy służbowy lunch, na jakim byłem.

Odwrócił się i odszedł.

Chwilę patrzyła za nim, po czym też się odwróciła i ruszyła w stronę swojego samochodu. Miała wrażenie, że płaczą jej się nogi. Co to było? Co się wydarzyło? Już dawno nikt jej tak bezceremonialnie nie wyrywał... jednocześnie z takim wdziękiem. Przez moment zapomniała wręcz o zabójcy, który gdzieś tam był i być może obserwował ją teraz. Po chwili wzięła się jednak w garść. Praca przede wszystkim. O tym dziwnym uczuciu, które ją teraz wypełniało i z którym nie bardzo wiedziała, co zrobić, pomyśli później. Teraz musi skupić się na tym, by iść swobodnie i pod żadnym pozorem nie spojrzeć na samochód, w którym siedział blondyn ze słuchawką w uchu. I nie szukać wzrokiem przyczajonej gdzieś sylwetki, nie sprawdzać, czy nie chowa się w którymś z pozostałych zaparkowanych w pobliżu aut.

Prokurator wbiła spojrzenie w chodnik. Pokrzywione betonowe płytki przesuwały się pod nią. Raz czy dwa potknęła się o jakąś nierówność. Nie była dobrą aktorką, a już na pewno nie po czymś takim, co ją przed chwilą spotkało. I mimo starań zaczęła

wyobrażać sobie, co będzie dalej. Doszła już prawie do ślubu, gdy wreszcie zobaczyła swój samochód.

ROZDZIAŁ 73

Począł, aż wstana, i też przywołał kelnera. Zapłacił gotówką, rzucając na stolik mniej więcej odliczoną kwotę; spieszył się. Wychodząc, zauważył, że mężczyzna i kobieta stoją ciągle przed wejściem. Cofnął się więc i udał, że szuka czegoś po kieszeniach, obserwując ich cały czas spod oka. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, potem mężczyzna nachylił się i ją pocałował.

Zamarł na moment. Jakoś szczególnie go to poruszyło. Patrzył jak oniemiały, jak mężczyzna i kobieta żegnają się i rozchodzą w różne strony. Ona w kierunku salonu fryzjerskiego, on w przeciwnym. Dopiero teraz otrząsnął się i wyszedł z restauracji. Co powinien teraz zrobić? Wrócić do domu jak ostatni frajer? Poddać się, skoro jego poprzedni plan stał się niemożliwy do zrealizowania? Nagle podjął decyzję. Była jak błysk rozjaśniający wszystko inne; taki, po którym rozrzucone elementy wskakują naraz na swoje miejsce i objawiają się jako pełna i doskonała całość.

Wybrał nową ofiarę. Ruszył za nią.

Szedł w pewnej odległości, dość sporej, by nie zostać zauważonym. Po drodze próbował obmyślić nowy plan, ale był zmuszony improwizować, wiedział o tym. Jeśli sytuacja nie będzie mu sprzyjała, będzie zmuszony odpuścić. W ostateczności spisie tylko numery samochodu, by później, może jutro, może któregoś innego dnia, móc się przygotować lepiej. Ale nie, nie brał takiej możliwości w ogóle pod uwagę. Czuł, że ma dziś szczęście, że mu się uda. Że nie trzeba będzie niczego przekładać ani odpuszczać.

Coś go niosło, unosiło niemal nad ziemią. Był jak wystrzelony pocisk, jak rakieta samonaprowadzająca się na cel. Nic go nie mogło powstrzymać.

Po kilkudziesięciu metrach jego obiekt skręcił. Przyspieszył kroku, by go nie zgubić. Po chwili również skręcił i z ulgą stwierdził, że wciąż ma go na celowniku. Okoliczności były dobre, sprzyjające. Także i przy tej ulicy trwała budowa. Po jednej jej stronie ciągnął się płot, po drugiej wznosiły się już wybudowane, nowe budynki. Zwierzyna, którą tropił, szła po tej dobrej, odpowiedniej stronie. Nie chciało jej się przejść ulicy, by iść równym chodnikiem pod szklanymi witrynami biur, restauracji i sklepów. Wybrała stronę, którą zaparkowane na każdym wolnym skrawku ziemi samochody rozjeżdżyły niczym czołgi poligon.

Zaczął skracać dystans. To było dobre miejsce do ataku, nie było po co czekać na lepsze. Ten płot, te samochody, ten brak innych przechodniów – wszystko wyglądało idealnie. Budynek po drugiej stronie, choć nowy, nie był chyba jeszcze zasiedlony. Stąd pustka na chodniku. Po chwili znalazł się już naprawdę blisko. Hałas z budowy skutecznie tłumił odgłosy jego kroków i coraz szybszego oddechu. Tak, tu było odpowiednie miejsce. Za tym białym dostawczym citroënem. Do celu sześć, pięć, cztery, trzy...

I wtedy nagle jego zwierzyna skręciła. Tuż przed maską białego samochodu. Jak zając goniony przez lisa, który nagle zmienia kierunek biegu. Skręciła i jak gdyby nigdy nic przeszła na drugą stronę ulicy. Dokładnie teraz!

Stanął zdezorientowany. Był już tak blisko, że ta nagła zmiana kompletnie go oszołomiła. Zgłupiał, nie wiedział, co dalej. Gapił się tylko bezrozumnie, jak jego cel oddala się coraz bardziej, przechodzi przez czarny pas jezdni, po czym wchodzi do sklepu po drugiej stronie.

Dopiero teraz oprzytomniał na tyle, by skryć się za białą karoserię. Z rozjeżdżonej ziemi wyrastały tu drzewa, których liście i gałęzie stanowiły dodatkową zasłonę. Sklep był niewielki,

spożywczy, znanej i bardzo popularnej sieci. Taki, do którego się wchodzi zarówno po normalne zakupy, jak i po jedną, akurat potrzebną rzecz.

Próbował dostrzec, co jego niedoszła ofiara robi w środku, niestety nie było to możliwe. Światło dnia powodowało, że szyby sklepowej witryny stawały się praktycznie nieprzeniknione. Nie mógł więc zobaczyć, co ofiara kupuje, ani zrozumieć, do czego jest jej to potrzebne. A więc nie potrafił przewidzieć, co może zrobić dalej.

Pozostawało mu czekać. Nie musiał tego robić długo. Po chwili jego niedoszła ofiara wyszła przez szklane, rozsuwane drzwi. Co teraz robi, dokąd pójdzie? Oto było pytanie. Nie miała w ręku żadnej torby ani siatki z zakupami. Rzecz, którą nabyła, musiała być niewielka, mieściła się w kieszeni. Papierosy?

Zwierzyna rozejrzała się na obie strony i ponownie weszła na jezdnię. Wracała! Wracała na drugą stronę ulicy! Było to niespodziewane i trudne do wytłumaczenia, ale właśnie się działo. Cofnął się głębiej, schował tym razem za tyłem dostawczego samochodu. Rozejrzał się po ziemi. Szukał cegły, kamienia, czegokolwiek. Jest! Znalazł coś takiego. Pod drzewem leżał niezbyt duży, nieforemny kawałek starego betonu. Prawdopodobnie pamiątka po tym czymś, co stało tu, zanim deweloper postanowił zbudować na tej działce wielki apartamentowiec. Podniósł to i schował do tylnej kieszeni dżinsów. Dobrze, że schudł ostatnio; spodnie były luźne, wisały wręcz na nim i jego zaimprovizowana broń zmieściła się w kieszeni bez problemu.

Zwierzyna przeszła przez ulicę i – o dziwo! – również schowała się za biały samochód. Dzielił ich teraz od siebie tylko blaszany róg karoserii. Było to niepojęte, widocznie wszyscy bogowie piekieł mu dziś sprzyjali. Nie widział jej teraz, tylko słyszał. Nie chciał się wychylać, by nie ryzykować przedwczesnego dostrzeżenia. Co tam robiła? Paliła? W końcu powoli, ostrożnie przysunął się do krawędzi auta. Samochód miał duże boczne lusterka, umieszczone na

długich wysięgnikach, świadczące o tym, że czasami doczepiana była do niego przyczepka. Przy odpowiednim wychyleniu może będzie w stanie dostrzec w odbiciu jednego z nich swoją ofiarę, a sam pozostanie w ukryciu.

W końcu ją zobaczył. Stała, opierając się plecami o burtę samochodu. Prawą ręką unosiła coś do ust. Butelkę. Dwustumililitrową buteleczkę z alkoholem.

Roześmiał się w duchu. A więc to tak! Ktoś tu miał problem. Popijał w czasie pracy. Temu miała służyć ta cała wyprawa do sklepu. By z dala od oczu kolegów dać sobie w szyję. Nieładnie. Bardzo niegrzecznie. Ale dla niego bardzo szczęśliwie. Jego ofiara właśnie sama siebie zamraczała, przytępiając refleks i zmniejszając swoje szanse na obronę.

Zobaczył charakterystyczny gest dopijania butelki do końca, a potem ruch ręki odrzucającej ją pod drzewo. Znowu nieładnie. Należy się mandat. Potem druga ręka sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej paczkę papierosów. To był odpowiedni moment. Nie będzie lepszego. Sprawdził, czy kawałek betonu jest na swoim miejscu. Wszedł zza furgonetki.

Zwierzyna spojrzała na niego. Ciężkie, otępiałe spojrzenie, niespodziewające się zagrożenia.

– Dzień dobry – powiedział. – Przepraszam, można papierosa? Zapomniałem z domu portfela, a strasznie mi się chce palić.

Najstarszy numer świata. Ale, jak widać, ciągle działa. Zobaczył wyciągniętą w swoją stronę paczkę. Wyjął z niej jednego papierosa i włożył sobie do ust. Spojrzał wymownie, sugerując, że czeka na ogień.

Po chwili pojawiła się i zapalniczka. Nachylił się nad płomieniem, jednocześnie sięgając prawą ręką do tylnej kieszeni. Teraz chodziło tylko o to, by nie uderzyć ostrą krawędzią, tylko płaską. Tak, by ogłuszyć, a nie zabić.

– Dziękuję – powiedział z papierosem w ustach. Kiwnięcie głową w odpowiedzi.

Począł, aż zwierzyzna odwróci wzrok.

ROZDZIAŁ 74

Siedziała w swoim samochodzie i nie wiedziała, co zrobić. Była kompletnie skołowana. Jak powinna zareagować na to, co się stało? Zachować chłód i dystans, czekając na jego kolejne ruchy, czy dać mu mimo wszystko znać, że przyjmuje jego inicjatywę z ostrożną życzliwością? Wyciągnęła telefon, lecz wpatrywała się tylko w jego ekran. W końcu odnalazła numer Halickiego, weszła w tryb wiadomości tekstowej i... i znowu się zawiesiła.

W końcu rzuciła aparat na siedzenie obok i odpaliła silnik. Cokolwiek zrobi, nie powinna się spieszyć. Zbyt szybka reakcja pokaże mu, że za bardzo jej zależy, a ktoś taki jest zawsze na gorszej pozycji. Lepiej poczekać, potrzymać go w niepewności. Ta stara jak świat kobieca strategia zawsze się sprawdza.

Właśnie, czy jej zależy? Najpierw sama musi sobie odpowiedzieć na to pytanie. To, co się dzisiaj wydarzyło, kompletnie ją zaskoczyło. Do tej pory Halicki wydawał się zupełnie nią niezainteresowany. A tu nagle taki szturm. Taka brawurowa szarża. Może tak z kolei przedstawiała się jego strategia? Najpierw udawał obojętność, a potem brał kobiety z zaskoczenia?

Jakkolwiek by było, to ona musi zdecydować, czy ma ochotę grać z nim w tę grę. Bo – trzeba to sobie jasno powiedzieć – nie była zapewne pierwszą, na której wypróbował tę metodę. Wyglądał na podrywacza. Przystojny, męski, pachnący testosteronem i adrenaliną, otulony aurą twardziela z policji – korzystał pewnie z tych swoich atutów bez najmniejszych skrupułów przy każdej okazji.

Ale to nie znaczyło przecież, że musi się za to na niego od razu obrażać. Może wręcz przeciwnie, przydałby jej się właśnie ktoś taki. Na noc, dwie albo do końca tego śledztwa. W końcu i tak była sama. Tylko musi w to wejść na chłodno, bez żadnych złudzeń. Tak, żeby nie musieć potem płakać dwa tygodnie w poduszkę. Wtedy, gdy to już się skończy. Tylko czy tak potrafi?

Wrzuciła wsteczny i wyjechała tyłem na ulicę. Potem jedynka i do przodu. Tylko gdzie? Chyba do siebie, do prokuratury. Nic tu po niej. Halicki tu wszystko ogarnie.

Halicki... Po raz pierwszy na myśl o nim poczuła w brzuchu dziwne ukłucie. Coś pomiędzy wzruszeniem a podnieceniem seksualnym; coś, co nie było jednak ani tym, ani tym. Cholera... A co, jeśli się zakocha? Wiedziała, że to nie był facet do tego typu rozrywek. Z nim nie chodzi się na romantyczne spacerunki ani nie trzyma za rękę przy księżycu. Związek z nim to będzie pojedynek bokserski. Toczone z półśmiechem, gdzie każda runda kończy się w łóżku. Ekscytujące, ale bardzo niebezpieczne, gdy nie zachowa się odpowiedniego dystansu. Wiedziała też, że kobiety takie jak ona – na co dzień rozsądne i skupione na pracy – potrafią wkopać się najgorzej. Potrafią brnąć w destrukcyjną relację nawet wtedy, gdy wszystkim tym rozemocjonowanym idiotkom dawno już włączył się hamulec bezpieczeństwa.

Lecz z drugiej strony: już zawsze ma spędzać wieczory przy książce?

Z tego wszystkiego zapomniała zupełnie o swoim śledztwie. O tym, że właśnie zbliżyli się do sprawcy jak nigdy dotąd. Kolejny dowód, że nie potrafi trzymać swoich emocji na wodzy, że nie potrafi zachować chłodnej głowy. Dobrze, w takim razie dość tego dobrego. Pomyśli o tym później, wieczorem. Teraz wróci do pracy.

Ciekawe, gdzie jest teraz komisarz Aleksanderski. U siebie w komendzie czy gdzieś w terenie? Zapragnęła nagle spotkać się z nim, przegadać to wszystko. Nie, oczywiście nie tamto, lecz tematy związane ze śledztwem. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa,

sprawa, że stawała się spokojniejsza. Przy Halickim nigdy nie będzie mogła czuć się bezpiecznie, wiedziała to. Ale czy w życiu chodzi tylko i wyłącznie o poczucie bezpieczeństwa? Była chyba jeszcze za młoda, by myśleć w takich kategoriach.

Gdy dojechała pod prokuraturę, wciąż takie myśli kłębiły jej się w głowie. Zostawiła auto na służbowym parkingu, wysiadła i ruszyła tylnym wejściem w kierunku swojego gabinetu. Może gdy siądzie wreszcie za swoim biurkiem, uda jej się przełączyć z powrotem na tryb profesjonalnej, wyzutej z uczuć prawniczki? Przydałoby się to, bo jej śledztwo wkraczało powoli w decydującą fazę. Musi skupić na nim wszystkie swoje siły, zwłaszcza te mentalne. Głupio by było, gdyby zaważyła tę swoją największą jak do tej pory szansę tylko dlatego, że jakiś ogier zechciał łaskawie zarzęć na jej widok.

Weszła do gabinetu i usiadła za biurkiem. Włączyła komputer. Przez chwilę patrzyła w ekran, nie rozumiejąc w ogóle, co czyta. W końcu sięgnęła po komórkę. Wiadomość do Halickiego ciągle czekała na napisanie. Nim zdążyła pomyśleć, jej kciuk zaczął biegać po klawiaturze:

„To był bardzo smaczny obiad, ale ciekawa jestem tych żeberek. Może jutro?”

Wyślij.

I niech się dzieje, co chce.

ROZDZIAŁ 75

Rozejrzał się dookoła. Nikt chyba nic nie widział. Biała burta samochodu zasłaniała ich przed wzrokiem przechodniów, których zresztą i tak nie było. Naprawdę miał sporo szczęścia. To nie mógł być przypadek.

Wyciągnął z torby przygotowane wcześniej akcesoria: szeroką taśmę klejącą i bawełniany worek. Miał ich użyć do związania tej fryzjerki, ale i na tego tu będą jak znalazł. Obwiązał mu ręce i nogi taśmą klejącą, potem wcisnął do ust zwiniętą w kulkę skarpetkę. Swoją, ale czystą – nie był w końcu potworem. Na koniec zakleił mu jeszcze usta taśmą i założył na głowę bawełniany worek.

Wyprostował się i przyjrzał swojemu dziełu. Nawet jeśli pan komisarz się ocknie, nie powinien się uwolnić. Ręce i nogi związane były grubo, kilkoma warstwami taśmy. Nie było takiej siły, która byłaby w stanie coś takiego rozerwać. Dla zamaskowania przykrył jeszcze ciało płachtą brudnej, grubej folii, którą znalazł pod płotem budowy. Ktoś musiałby tu przyjść i ją podnieść, żeby zobaczyć, co jest pod nią. To się oczywiście mogło zdarzyć, zwłaszcza jeśli pojawi się kierowca tego citroëna, ale skoro do tej pory miał takiego farta, to nie widział powodu, by przypuszczać, że to się nagle zmieni.

Pozostało jeszcze tylko zorganizować transport. Zaparkował dość daleko, tu nie mógł znaleźć nigdzie miejsca. Przy Krasińskiego, pod Wojskowym Instytutem Medycyny Lotniczej. Tam i z powrotem będzie z piętnaście minut. Nie było więc na co czekać. Szczęście szczęściem, ale lepiej się pospieszyć. To będzie najbardziej ryzykowne piętnaście minut podczas całej tej operacji. Ale musi go

tu zostawić, nie ma wyjścia. Zastanawiał się jeszcze, czy nie walnąć pana komisarza dla pewności drugi raz w głowę, ale w końcu z tego zrezygnował. Mógłby od tego umrzeć, a martwy nie był mu do niczego potrzebny.

W końcu ruszył.

Z powrotem był po dwunastu minutach. Kilkanaście metrów od białego citroëna znajdował się wjazd na budowę. Brama pozostawała zamknięta, ale można było tam podejść. Wrzucił wsteczny i wjechał tam tyłem. Potem nakierował samochód na wąską przestrzeń między płotem budowy a parkującymi samochodami i rosnącymi tam drzewami. Ciągłe tyłem, na wstecznym, wjechał w ten korytarz. Teren był mocno nierówny i autem rzucało na wszystkie strony, ale jakoś szło. W pewnym momencie usłyszał ostry dźwięk rysowanego metalu. Nie zauważył gałęzi, która teraz właśnie zdierała mu lakier z drzwi. No trudno, jakieś straty muszą być. Widocznie jego szczęście nie obejmowało szkód komunikacyjnych.

Wreszcie podejść do białego dostawczaka. Wsiadł i podszedł do tylnej klapy swojego auta. Brudna folia nadal leżała tam, gdzie ją zostawił. Otworzył klapę i odsunął roletę bagażnika. Podszedł do przykrytego folią ciała. Jeszcze raz się rozejrzył, czy nikt go nie widzi. Czysto. Podniósł folię.

Mężczyzna wciąż się nie ruszał. Przytknął mu palec do szyi, żeby sprawdzić, czy żyje. W porządku, wyczuł puls. Chwycił go pod ramiona i spróbował podnieść. Ależ ten skurwysyn był ciężki! Niczym stukilowy worek cementu. Wrócił do samochodu i cofnął jeszcze trochę, najbliżej, jak się dało. Wsiadł i jeszcze raz spróbował. Naprawdę nie było to łatwe. Spocił się jak mysz, nim wreszcie udało mu się wciągnąć pana komisarza do bagażnika.

Zasunął roletę i zamknął klapę. Wsiadł za kierownicę. Wyjechał, tym razem starając się ominąć gałąź. Wytoczył się na ulicę i ruszył w stronę swojego domu.

Droga zajęła mu kolejny kwadrans. Przez cały czas nasłuchiwał, czy gliniarz się nie obudził. Mogłoby to być problematyczne; wewnątrz auta od bagażnika oddzielała tylko zwijana roleta; silny mężczyzna, jakim niewątpliwie był jego pasażer, nie miałby problemów, by pokonać tę przeszkodę, nawet będąc związanym. A wtedy mogłoby się zrobić ciekawie. Całe szczęście z tyłu panowała cisza. Musiał go walnąć naprawdę mocno... Ale i tak siedział za kierownicą jak na szpilkach.

Podjechał w końcu pod swój dom. Tu już było łatwo, tu miał wszystko przygotowane i obmyślane. Otworzył bramę i drzwi do garażu i wjechał do niego tyłem. Potem wszystko pozamykał.

Dopiero teraz zeszło z niego napięcie. Udało mu się. Tu już był bezpieczny, miał pełną kontrolę, nic nieprzewidzianego nie mogło się zdarzyć. Aż sam nie mógł w to uwierzyć. Tyle rzeczy mogło przecież pójść nie tak.

Podszedł do bagażnika i otworzył klapę. Mężczyzna leżał w dalszym ciągu bez ruchu. Wielki, bezwładny wór mięsa. Jakoś musi go wciągnąć na górę. I to najlepiej teraz, gdy jeszcze jest nieprzytomny. Kiedy się obudzi, będzie na pewno próbował walczyć.

Westchnął z rezygnacją. Tamta fryzjerka była na pewno przynajmniej o połowę lżejsza.

No cóż, jak mówiła jego świętej pamięci babcia: „samo się przecież nie robi”. Wziął go pod pachy i z wielkim wysiłkiem wyciągnął z samochodu. Sam się o mało przy tym nie przewrócił. Potem dowlókł go jakoś do drzwi oddzielających garaż od piwnicy. Tu zrobił pierwszy przystanek. Nawet po tych paru metrach dyszał ciężko i pot zalewał mu oczy. Spojrzał w górę na wąskie schody. Tu się dopiero zacznie prawdziwa zabawa.

Odпочzął chwilę i ruszył dalej. Wciągał go powoli, po jednym schodku, ale i tak miał wrażenie, że zaraz pękną mu plecy i urwą się ręce. Trzy razy musiał przerwać, żeby odпочząć, zanim wreszcie wtargał go na górę.

Tu, po płaskim, było już lepiej. Chwycił po prostu mężczyznę za związane nogi i zaczął go ciągnąć plecami po podłodze. Wcześniej odsunął na bok chodnik w przedpokoju, żeby mu w tym nie przeszkadzał. To poszło w miarę szybko, lecz mimo to, zanim dowlókł go w końcu na miejsce, sam o mało nie stracił przytomności.

No ale już dobrze. Już tu leżał. Teraz czekała go tylko ostatnia część zadania. W suficie był wkręcony hak. Duży, solidny; kiedyś wisiał na nim w piwnicy worek bokserski, który kupił, bo wydawało mu się, że waląc w niego, poprawi swoje umięśnienie i poczucie własnej wartości. Skończyło się oczywiście na kilku raptem sesjach, po których bolały go kości palców, ale teraz, po tylu latach, hak znów znalazł zastosowanie.

Wykręcił go wczoraj i przeniósł tu, wwierciwszy się wcześniej w strop i obsypawszy wszystko wokół cieniutką warstwą betonowego pyłu. Teraz powiesił na nim niewielki, kupiony w supermarkecie budowlanym bloczek, przez który przepleciona była lina. Drugi jej koniec przymocowany był do solidnej uprząży, którą kupił w sklepie alpinistycznym. Założył ją leżącemu mężczyźnie.

I to był drugi ryzykowny moment, bo musiał wcześniej przeciąć taśmę krępującą jego ręce. Tuż potem związał mu je znowu, tym razem na plecach. Teraz wystarczyło tylko podnieść go do góry.

Chwycił za koniec liny i zaczął ciągnąć. Mimo bloczka nie było to wcale takie łatwe, tym bardziej że był już naprawdę zmęczony. W końcu jednak tułów mężczyzny oderwał się od podłogi i uniósł, a potem powędrował w stronę sufitu.

Podciągnął go niewysoko, na tyle tylko, by nogi mężczyzny nie dosięgały parkietu i by nie mógł on samodzielnie stanąć. Potem koniec liny przywiązał do rury, którą do kaloryfera dochodziła ciepła woda. Wrócił i usiadł ciężko na kanapie. Resztą zajmie się później, teraz był już naprawdę skonany. Koszula lepiała mu się do

pleców, a ręce drżały z wysiłku. No i dobrze by było, żeby mężczyzna się w końcu obudził.

ROZDZIAŁ 76

Halicki nie odpisywał. Nie zrobił tego ani po godzinie, ani po dwóch, ani do końca dnia. Irytowało ją to, wkurzało coraz bardziej. Mógł oczywiście być zajęty, ale nigdy nie jest się przecież aż tak zajęтым, by nie mieć czasu odpisać przez osiem cholernych godzin. Chyba że jest się chirurgiem i wykonuje właśnie wielonarządowy przeszczep. A on nie był chirurgiem, o ile wiedziała.

Czyżby więc szanowny pan komisarz z nią pogrywał? Najpierw przypuścił brawurowy atak, a teraz ją ignorował? To właśnie było tak wkurzające. Co prawda sama myślała, żeby go trochę przetrzymać, ale ona to co innego. Poza tym w końcu tego nie zrobiła.

To oznaczało, że albo był dupkiem, albo... potwornym dupkiem. Tak to mniej więcej oceniała. A może wspiał się już na wyżyny dupkostwa i postanowił ją w ten sposób przywiązać do siebie emocjonalnie? Najpierw zainteresowanie, a potem – bez żadnego powodu – obojętność. Znała ten mechanizm, wiedziała, jak to działa. Jeśli on również go znał i postanowił wykorzystać, to jest dupkiem do kwadratu. Takim, o którym trzeba jak najszybciej zapomnieć, jakby go w ogóle nie było.

Była wściekła. Czuła się upokorzona i oszukana. Wyobrażała sobie, jak też da mu to odczuć, kiedy spotkają się jutro. Jak będzie go zbywać, traktować jak powietrze. Bez nadmiernej złośliwości oczywiście, z pełną, chłodną, pogardliwą godnością.

Najbardziej denerwowało ją to, że znowu nie myślała o śledztwie. Że było dokładnie tak, jak przewidywała: zamiast skupić się na

tym, co powinno być dla niej w tym momencie najważniejsze, zajmowała się jakimiś głupimi, żalnymi, damsko-męskimi gierkami. I to wszystko przez niego: cebeesiowego macho. Och, jakże chciałyby czasem nie mieć płci!

Powinna była w zasadzie zadzwonić do niego, spytać, czy coś się nie pojawiło, czy obserwacja salonu fryzjerskiego dała jakieś wyniki, ale przez ten swój kretyński esemes nie mogła! To znaczy, gdyby była profesjonalistką, to by mogła, gdyby potrafiła oddzielić życie osobiste od zawodowego. Ale nie potrafiła, wołałyby teraz zawalić śledztwo, zmarnować tygodnie swojej pracy, pozwolić się wymknąć zabójcy, niż zadzwonić. Nie cierpiała się za to.

Dobrze, musiała jakoś to odreagować, zapomnieć o tym, przestać myśleć. Jutro już sobie poradzi, wiedziała to. Ale teraz był czas na naprawdę ostry reset. Taki, po którym zjawi się jutro w pracy może z bolącą głową, ale za to oczyszczonym umysłem.

Wróciła do domu i przebrała się w swoje wyjściowe ciuchy. Krótka, skórzana spódniczka, te rzeczy. Potem zamówiła taksówkę. Czekaając na nią, wypija pierwszy kieliszek wina. Potem kazała się zawieźć do centrum. Pora skorzystać z rady komisarza Aleksanderskiego i pójść w tango. Raz na jakiś czas to nikomu nie zaszkodzi.

Wysiadła na Nowym Świecie. Weszła do knajpy specjalizującej się w robieniu koktajli. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przecież niedaleko stąd był sklep, w którym pracowała ostatnia ofiara. Dobra, walić to! Nie będzie o tym teraz myślała. Zamówiła przy barze margaritę.

Rozejrzała się po lokalu. Oczywiście, jak zwykle: albo pary, albo same kobiety, okupujące stoliki w towarzystwie swoich koleżanek. Samotni mężczyźni siedzą w barach tylko w amerykańskich filmach. Ale margarita była bardzo dobra.

Wypiła ją i kiwnęła na barmana. Poprosiła, by coś jej zaproponował. Zrobił koktajl z tequili i japońskiego zielonego likieru Midori. Bardzo dobry. On, barman, też był niczego sobie.

Może trochę zbyt misiowaty, ale za to brunet. Musi uważać, by po którymś kolejnym drinku nie zacząć z nim romansować. Wyrwać barmana to już naprawdę największy obciach.

Odwróciła się z kieliszkiem w dłoni. Może jednak jest tu ktoś ciekawy. Ktoś, kto sprawi, że zapomni o dupku Halickim i o całej tej żenującej dzisiejszej sytuacji.

No więc ktoś taki był. Przy stoliku w głębi. Tuż przy metalowych schodach wiodących na piętro. To dlatego go wcześniej nie zauważyła. Jej ojciec. Siedział w towarzystwie jakiejś kobiety, niewiele starszej, zdaje się, od niej samej. Całkiem niezłe się bawili.

Poczuła się nagle bardzo stara. Stara i podwójnie zbrukana. Halickim i tym, co zobaczyła teraz. Było to absurdalne, bo jej ojciec przecież miał prawo umawiać się, z kim chce. Nie był z nikim związany. Mimo to poczuła się zazdrosna. Człowiek, który przez ostatnie lata tak bardzo ją zaniedbywał, z którym dopiero teraz próbowała jakoś odbudować relacje, siedział tam i okazywał swoje bardzo silne, jak zauważyła, zainteresowanie jakiejś dziewczynie w jej wieku. Było to niesprawiedliwe. Dogłębnie, okropnie niesprawiedliwe. Nie obiektywnie, subiektywnie. Zrobiło jej się niedobrze. Odwróciła się z powrotem do baru i zawołała barmana. Zapłaciła i wyszła. Wcześniej jednak dopiła drinka.

Stała na chodniku. To by było tyle, jeśli chodzi o jej stosunki z mężczyznami. Niezłe ją dzisiaj zawiedli. Jej ojciec, Halicki, a nawet ten zabójca, którego szuka i który nie raczył się pojawić. Bo gdyby się pojawił, Halicki mimo wszystko by ją o tym poinformował. W odróżnieniu od niej był profesjonalistą. No i miał zapewne w nosie jej uczucia.

A może to z nią było coś nie tak? Może to ona była beznadziejna? Nie potrafiła... w zasadzie cholera wie czego. Ruszyła wzdłuż ulicy i weszła do pierwszej knajpy z barem. Usiadła przy nim i zamówiła dwie srebrne tequile. Wypiła je jedną po drugiej.

A potem poszła w tango. Piła, gadała z facetami, nawet takimi, którzy średnio jej się podobali, nie reagowała na ich czasami zbyt

nachalne umizgi. Ale nie potrafiła się upić, cały czas myślała jasno, zachowywała kontrolę.

Może to był właśnie jej problem? Nie potrafiła się puścić poręczy. Nie potrafiła zaufać sobie i swoim instynktom. Nie umiała zaryzykować. Cały czas musiała panować nad sytuacją. Dla prawnika to może i są dobre cechy, ale dla człowieka? Niekoniecznie.

Wróciła do domu o trzeciej i położyła się spać. Wcześniej jednak zmyła makijaż i umyła zęby. Czekają ją raptem cztery godziny snu. A potem spotkanie z Halickim. Już się na nie cieszyła. Ale przynajmniej będzie miała kaca. Na kacu wszystko jest prostsze, mniej istotne. Bardziej przytłumione.

ROZDZIAŁ 77

Rano oczywiście bolała ją głowa. Nie, nie od razu, zaczęła tak mniej więcej po dwóch godzinach, gdy już siedziała w swoim biurze. Sprawdziła telefon i skrzynkę mailową – Halicki się nie odzywał. Już pal sześć ich wzajemne... relacje, ale mógłby przynajmniej poinformować ją, co z tą obserwacją.

Zrobiła sobie kawę, ale po wypiciu dwóch łyków poczuła mdłości. No tak, kac. Sama tego chciała. Dokładnie tak miało dziś być. I jest. Powinna więc być zadowolona.

Zadzwoiła do Aleksanderskiego. Spytała, czy Halicki się do niego odzywał. Nie odzywał się. Oprócz tego też nic ciekawego. To nawet może i lepiej. Dziś nie potrzebuje żadnych nowości. Przełom w śledztwie może spokojnie poczekać do jutra.

Połknęła dwie tabletki ibupromu. Znowu zrobiło jej się niedobrze. Musi coś zjeść, inaczej żołądek nie wchłonie lekarstwa. Poszła do baru, kupiła jakąś kanapkę. Ohydne trójkąty z chleba tostowego. Chemiczne jedzenie. Ale za to z jakim; jajko podobno jest dobre na kaca.

Wróciła, zjadła, poudawała, że pracuje, czekając, aż głowa przestanie ją boleć. W końcu – hurra! – przestała. Halicki cały czas milczał. Uświadomiła sobie, że nie ma żadnego kontaktu do nikogo innego z CBS. Prokurator Walczak też nie miała. To znaczy, oczywiście, numery na centralę i do poszczególnych wydziałów, ale żadnego telefonu do konkretnego człowieka, do którego można by zadzwonić i spytać, gdzie jest Halicki. Wspaniała komunikacja, nie

ma co. Dobrze, że nie służą w armii i że nie ma wojny. Roznieśliby ich w pięć minut.

W końcu stwierdziła, że dość tego, i zadzwoniła na centralę. Po wielu przełączeniach i równie wielu tłumaczeniach, kim jest i o co jej chodzi, wreszcie udało jej się złapać kogoś, kto zna Halickiego i wie, czym się teraz zajmuje. Ale nie wiedział z kolei, gdzie on jest. Nie było go dziś w pracy, nic w tym dziwnego, bo często przychodzi później albo w ogóle, gdy ma jakąś robotę operacyjną.

Zdobyła za to kontakt do tych funkcjonariuszy, którzy stali bezpośrednio pod salonem fryzjerskim. Zadzwoniła do nich. Czy był dziś u nich Halicki? Nie, nie zaglądał. Wczoraj przekazał im instrukcje, potem już się nie kontaktował.

Ale to też podobno nic dziwnego, często tak było. Halicki umiał cedować obowiązki, nie starał się robić wszystkiego sam. To jego normalny tryb działania. Jeśli chce, może zadzwonić do jego żony, może ona wie, gdzie on jest. Chyba że to coś związanego ze śledztwem, wtedy też niekoniecznie.

Świetnie, a więc pan komisarz ma żonę. Miło było się dowiedzieć. Nigdy go o to, co prawda, nie pytała, więc niby czemu zakładała, że nie? Nawet nie musiał jej kłamać, że im się nie układa, po prostu nic nie powiedział. Cwaniaczek. Niech się w takim razie wali. Nie ma go, to nie. To nawet lepiej, że go dziś nie spotka; im więcej czasu minie, tym bardziej będzie umiała podejść do tego wszystkiego z dystansem.

Spróbowała zająć się swoimi sprawami, ale dość kiepsko jej to szło. Boże, co za dzień! Zupełnie bez sensu. Przypomniała sobie na domiar złego swojego ojca siedzącego w knajpie z tamtą laską. Jeszcze i to. Miała ochotę wstać, wyjść i w najbliższym pubie zamówić kolejne dwie tequile.

Nie zrobiła tego oczywiście. Zamiast tego siedziała przy swoim biurku i zajmowała się najprostszymi możliwie rzeczami. Żeby ten dzień choć odrobinę nie był stracony. Żeby nie musieć przyznawać przed samą sobą, że przez wczorajszą chwilę słabości dziś zawala

swoje obowiązki w pracy. Patrzyła, jak czas powoli płynie do przodu. Bardzo powoli. Po południu poczuła się już lepiej, ale uczucie przytępienia pozostało.

Koło czternastej zadzwonił komisarz Aleksanderski; spytał, czy ma informacje od Halickiego. Nie miała.

Poczuła wtedy ukłucie niepokoju. Może coś mu się stało, może niepotrzebnie wieszala na nim psy? Szybko stłumiła jednak w sobie tę myśl. Po pierwsze nie była jego żoną, by musieć się o niego w ten sposób martwić; po drugie Halicki BYŁ cynicznym sukinsynem, który prawdopodobnie od czasu ich ostatniego spotkania nawet o niej nie pomyślał. A jeśli nawet pomyślał, to na pewno nie w sposób, w jaki chciałyby, żeby to robił. Po trzecie wreszcie, tacy faceci jak on tylko czekają na to, by kobieta zaczęła się o nich niepokoić, by poczuła się odpowiedzialna za ich los, a kiedy to wyczują, będą wykorzystywać to bez skrupów, wzbudzając w niej poczucie winy i manipulując nią według swoich potrzeb. Naprawdę nie potrzebowała takich rozrywek. Już wystarczy, że przejmuje się swoim ojcem, choć po tym, jaki był dla niej przez ostatnie lata, nie powinna mieć najmniejszego powodu.

Te ostatnie myśli wzbudziły w niej złość. Nie ma to jak odgrzać starą traumę z dzieciństwa, a jeszcze fajniej jest wejść w bliźniaczo podobną relację do tej, która kiedyś sprawiała tyle cierpienia. Ależ ona była głupia! Była i jest. Musi zapamiętać, musi wbić sobie kamiennymi młotami do głowy, że kiedy ten bubek się w końcu do niej odezwie, ma go wysłać raz na zawsze w diabły, nie dać się drugi raz podejść, choćby znowu zaatakował ją tym swoim łobuzerskim urokiem, choćby wymyślał najpiękniejsze usprawiedliwienia. Będzie na pewno chciała mu uwierzyć, dlatego tak ważne jest, by pamiętała, że nie wolno jej tego robić. Stosunki z rodzicami, z ojcem są nieuniknione; mało kto jest na tyle silny, by przerwać taki związek, nawet gdy jest on toksyczny, ale to jest tylko jej kolega z pracy, nie ma w stosunku do niego żadnych

zobowiązań. Trzeba go od tej pory trzymać krótko. Jak psa – pozwoliła sobie w myślach na ten dość oczywisty żart.

I wtedy właśnie zadzwoniła jego żona. Do niej. Dostała jej numer w CBS. Halicki nie wrócił na noc do domu. Co prawda zdarzało mu się to i wcześniej, ale zawsze w jakiś sposób o tym uprzedzał. Poza tym nie odwiózł rano dzieci do szkoły, a zawsze w stosunku do nich był bardzo obowiązkowy. Nigdy ich nie wystawiał ani nie nawalał. Do tego nie można się było w żaden sposób z nim skontaktować. Nie odbierał, nie odpisywał na esemesy. Ani wysłane na numer prywatny, ani na służbowy. Nikt z jego kolegów z pracy ani znajomych nie wiedział, gdzie on jest. A ona, Seredyńska, była ostatnią osobą, która z nim rozmawiała.

Cholera.

ROZDZIAŁ 78

– Mamy nagranie z monitoringu; wiemy, co się stało – powiedział, wchodząc do jej gabinetu.

Już po tonie jego głosu i wyrazie twarzy można było poznać, że nic dobrego. Komisarz Aleksanderski był autentycznie wstrząśnięty. Nigdy nie przywiązywał szczególnej wagi do swojego wyglądu, lecz po raz pierwszy widziała go z tak potarganymi włosami.

– Nie żyje? – spytała z zaciśniętym gardłem. W niej też kłębiły się uczucia. Od niedowierzania i przerażenia, po wyrzuty sumienia związane z jej wcześniejszymi podejrzeniami.

– W momencie, w którym tracimy go z pola widzenia ostatniej kamery, raczej jeszcze żył – odpowiedział.

– Raczej?

Nie chciał jej zbyt wiele mówić przez telefon. Powiedział tylko, że ma istotne informacje.

– Został porwany.

Wcisnęło ją w fotel.

– Jak to: porwany?!

– Mogę skorzystać? – Wskazał na jej komputer.

Odsunęła się bez słowa.

– Patrz – powiedział, gdy już zalogował się na jakiejś policyjnej stronie. – To są nagrania z kamer przy Rydygiera. Tu się żegnacie. – Ani słowem nie skomentował ich pocałunku. – Tu idzie dalej. A teraz zobacz: ktoś go śledzi. Rozpoznajesz tę sylwetkę?

Kamera nagrywała z góry i z tyłu, ale nie miała wątpliwości.

– To on... – Głos jej się załamał.

– Tak – odpowiedział. – Gdy tropisz tygrysa, tygrys zatacza koło i wychodzi za twoimi plecami. To jest właśnie ta sytuacja.

Wpatrywała się oniemiała w charakterystyczną szczupłą, wysoką postać w kapturze na głowie.

– I dalej: skręcają w poprzeczną ulicę. Najpierw Halicki, potem on.

– To na pewno nie jest ktoś przypadkowy?

– Na pewno nie. Zobaczysz dalej.

Zmienił widok na inną kamerę.

– Na tej ulicy jest troszkę gorzej, bo cała jej prawa pierzeja to plac budowy; monitoring jest tylko po drugiej stronie – powiedział. – Ale widać, jak idą. – Pokazał. – Tu jeszcze trzyma dystans, a tu wyraźnie przyspiesza, jakby zbierał się do ataku.

Dwie męskie sylwetki widać było z daleka, ukryte częściowo za zasłoną z drzew i parkujących samochodów. Nagle jedna z nich – Halicki – skręciła i przeszła na drugą stronę ulicy. Druga została na miejscu, a po chwili schowała się za dużym, białym dostawczym samochodem. Stracili ją z oczu.

– A to co? – spytała. Choć pewnie zaraz i tak by się dowiedziała.

– Halicki idzie do sklepu – odparł.

– Po co?

– Tam też jest monitoring. Kupił paczkę papierosów i ćwiartkę taniej cytrynówki.

– Wódki? – zdziwiła się.

– Miał problem z alkoholem – wyjaśnił. – Ma – poprawił się. – To tajemnica poliszynela. Ktoś go już wcześniej zakapował, że popija w czasie służby. Sprawa została wyciszona. Nie wyrzuca się tak dobrego gliniarza tylko dlatego, że jest pijakiem.

– W restauracji zamówił tylko małe piwo.

– Każdy prawdziwy alkoholik potrafi się dobrze ukrywać – odparł.

– Nie chciał pić za dużo przy tobie. Ale potem musiał się doprawić. Tak to działa. – Wiedział coś o tym.

– Cholera... – Nie mogła w to uwierzyć.

– Teraz, zobacz, wraca. I też chowa się za tym autem. Zapewne żeby wypić tę ćwiartkę. Znaleźliśmy tam pustą butelkę. Badania, jak sądzę, potwierdzą, że jest na niej jego DNA. Nie wie, że wchodzi w ten sposób w pułapkę.

Cokolwiek działo się za białym samochodem, nie mieli szans tego zobaczyć.

– Prawdopodobnie został ogłuszony. Technicy znaleźli tam kamień, w zasadzie kawałek betonu, ze świeżą krwią. Jutro będą wyniki, ale to raczej krew Halickiego.

Pociemniało jej przed oczami.

– Kurwa mać... – powiedziała.

Nadal wpatrywała się w skupieniu w nagranie. Po chwili zza samochodu wyszła chuda, wysoka postać i ruszyła szybkim krokiem wzdłuż ulicy.

– Co on robi? – spytała.

– Idzie po samochód – wyjaśnił. – Zobacz. – Przewinął nagranie. Ulicą nadjechała srebrna skoda octavia i wjechała tyłem na podjazd przed zamkniętą bramą na tyłach białego auta.

– Jesteśmy w stanie odczytać numery?

– Jesteśmy – odparł bez entuzjazmu. – Są fałszywe. Litery WD świadczą, że została wydana na Bielanach, ale reszta to przypadkowy ciąg cyfr. Żadne auto nie zostało pod nimi zarejestrowane.

– Ma fałszywe tablice?

– Tablice to za dużo powiedziane. Popatrz. – Przybliżył kadr. – Technicy twierdzą, że te cienie tu i tu to prawdopodobnie zagięcia, nierówności. Najpewniej wydrukował je na zwykłym papierze i po prostu przykleił na swoje własne.

– Przygotował się...

– Ale też sporo ryzykował. Z daleka to wygląda może i okej, ale z bliska każdy by zobaczył, że to lipa.

Po chwili samochód wyjechał tą samą drogą i zniknął z kadru.

– Wiecie, gdzie pojechał?

– Zgubiliśmy go – odparł zmęczonym głosem komisarz. – Nie wszędzie są kamery.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu.

– Po co to zrobił? – spytała w końcu.

Wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Pewnie odkrył, że go namierzamy, i postanowił zaatakować pierwszy. Czuje się bardzo pewnie.

Spróbowała myśleć jasno pomimo szoku, co nie było zbyt łatwe.

– Albo wręcz przeciwnie – powiedziała. – Jest pod ścianą i wie, że nie ma nic do stracenia.

– Może. Jedno jest pewne. Halicki gdzieś tam jest, może jeszcze żyje. A my jesteśmy rozbici i nie wiemy, co robić. I musimy rzucić wszystkie siły, żeby spróbować go znaleźć i uwolnić. Facet przejął inicjatywę. Gramy teraz na jego warunkach.

ROZDZIAŁ 79

Wrócił późno, musiał odreagować. Obecność tego związanego zwierza wiszącego u powały w jego domu dodawała mu sił i jurności. Mimo ogromnego wysiłku fizycznego, który powinien być wręcz zabójczy w jego stanie, wczoraj dość szybko doszedł do siebie. A potem zapragnął wyjść, przewietrzyć się. Czuł wręcz młodzieńczą energię.

Pojechał do centrum, wszedł do pierwszej z brzegu knajpy. Zapragnął zapolować, tym razem jednak w inny sposób. Przysiadł się do jakiejś kobiety przy barze. Był na tyle dowcipny i interesujący, że przenieśli się potem do stolika. Nie, do niczego na razie nie doszło, ale dała mu swój numer. Po raz pierwszy w życiu udało mu się ta sztuka. Jak gdyby przejął bezczelny urok pana komisarza.

Dziś rano obudził się, jakby był samą wiosną. Pełen nadziei, witalności, w nastroju wręcz wesołkowatym. Zszedł do kuchni i zrobił sobie śniadanie. Usmażył jajka, zrobił w piekarniku grzanki z serem. Zjadł to ze zwierzęcym niemal apetytem.

Nie spieszył się, by zajrzeć do swojej zdobyczy. W nocy, po powrocie, sprawdził, czy żyje. Żyła, nawet próbowała walczyć. Gdy dotknął jej kijem od szczotki, zaczęła się rzucać jak ryba wyciągana z wody na haczyku. I wyć. Wydało mu się nawet, że rozpoznaje w tym wściekłym potoku dźwięków jakieś przekleństwo. Niech więc skruszeje. Zrozumie, że nic nie wskóra. Uprząż alpinistyczna, na której wisiała, była idealnymi pętami. Nie blokowała żadnych funkcji życiowych i jednocześnie nie dawała żadnej szansy na

oswobodzenie. Pan komisarz wyglądał trochę jak szynka wisząca na haku.

W końcu jednak do niego poszedł. Mężczyzna wisiał nieruchomo, nieco tylko obracał się wokół własnej osi. Worek na głowie sprawiał, że przypominał kokon jakiegoś owada. Zdjął mu to nakrycie. Komisarz zmrużył oczy, oślepiiony światłem. Twarz miał zakrwawioną i opuchniętą, oczy przekrwione. Nie wyglądał już tak ładnie.

– Wyjmę ci knebel i dam ci pić – powiedział do niego. – Jeśli zaczniesz wrzeszczeć, wepchnę go z powrotem i umrzesz z pragnienia. Zrozumiałeś? Kiwnij głową, jeśli się zgadzasz.

Chwilę minęło, zanim komisarz uporał się ze swoją dumą i zaakceptował propozycję. W końcu jednak jego głowa nieznacznie drgnęła.

Poszedł więc po wodę, wrócił i odkleił taśmę z jego ust. Potem wyciągnął mokry knebel i przytknął butelkę do warg mężczyzny. Komisarz pił długo i łapczywie. Gdy skończył, spojrzał na niego i wychrypiał:

– Muszę się odlać. Jeśli to zrobię w spodnie, będzie śmierdzieć.

No tak, tego nie przewidział. Potrzeby fizjologiczne nie ustały pomimo uwięzienia. Ciało żyje, więc wydała. Jedyna rzecz, nad którą nie da się mieć kontroli.

– Musisz przynieść jakąś miskę i wyjąć mi fiuta – poinstruował go mężczyzna. – Inaczej się zleję.

Cholera, nieprzyjemna sprawa. Ale nie potrzebował tu smrodu moczu obcego mężczyzny. Poszedł do kuchni i przyniósł najstarszy, poobijany emaliowany ganek. Rozpiął rozporek komisarza i ściągnął mu spodnie i slipy. Potem podstawił garnek i odwrócił wzrok. Usłyszał charakterystyczny odgłos strumienia moczu uderzającego o metalowe dno. Dźwięk dzieciństwa. Jego babcia na wsi miała biały nocnik w kwiatki. Brzmiało to mniej więcej podobnie, tylko nie było tak głośne. Jego mały, dziecięcy ptaszek

trzydzieści parę lat temu nie potrafił wypluwać aż tak mocnego strumienia. Poczuł kropelki cieczy opryskujące mu dłoń.

– Dostyc krępująca sytuacja, co? – usłyszał głos mężczyzny. – Jeśli mamy tu dłużej mieszkać razem, musisz kupić taką kaczkę, jakie mają w szpitalach.

Panu komisarzowi zebrało się na żarty. Widocznie nie dość jeszcze skruszał.

Odstawił garnek na podłogę i sięgnął po knebel.

– Poczekaj... – Głos mężczyzny zabrzmiał znacznie już pokorniej. – Ręce mi całkiem zdrętwiały, już ich wcale nie czuję. Mógłbyś zdjąć tę kurewską taśmę?

Spojrzał na jego dłonie. Rzeczywiście były niemal sine.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiedział. – Rozepniesz wtedy uprząż i się wyswobodzisz.

– Z tyłu, przy pasku, mam kajdanki. – Głos komisarza był bardzo zmęczony. – Załóż mi je. Tylko nie zaciskaj zbyt mocno. Nie będę miał szans się z nich uwolnić.

Faktycznie kajdanki były. Wyjął je ze skórzanego etui i założył komisarzowi na nadgarstki. Potem nożyczkami rozciął taśmę.

– Dziękuję – powiedział mężczyzna. – Naprawdę. Nie jesteś jednak aż taki zły.

Spojrzał mu w oczy. Nie było w nich strachu. Jeśli już, to potworne znużenie. Ale też i przyczajona, skrywana wola walki. Pan komisarz się jeszcze nie poddał. Przyszło mu wtedy do głowy, żeby go nie zabijać od razu. Może być ciekawie tak go tu trzymać. Tym bardziej że na razie sama jego obecność dodawała mu sił. Musi tylko uważać, żeby tego nie przeciągnąć. Żeby ofiara nie umarła mu tu przed złożeniem jej na ołtarzu. Ale mężczyzna wiszący na haku był silny, powinien wytrzymać jeszcze trochę.

Wepchnął mu z powrotem knebel do ust, ale nie zaklejał ich taśmą. Potem poszedł do łazienki, opróżnił garnek i długo mył ręce. Nie wszystkie aspekty tej sytuacji były jednak równie interesujące.

ROZDZIAŁ 80

Nastrój wydawał się naprawdę podły. Siedzieli w tej samej salce, co zawsze, tylko krzesło Halickiego było puste.

– Coś nowego? – spytała.

– Niewiele – odparł Aleksanderski. – Przyszły wyniki DNA. Krew na kamieniu należy faktycznie do komisarza, podobnie jak ślady śliny na butelce po wódce. Oprócz tego mamy odciski opon samochodu i próbkę jego lakieru z gałęzi.

– Szukacie tego auta?

– Tak. Wszyscy. Moi ludzie i CBS. Sprawa ma absolutny priorytet.

– Jakież wyniki?

– Na razie nie. Ponieważ rejestracja jest lipna, jedyne, co nam pozostaje, to szukanie go po ulicach. Model nie jest jakoś szczególnie rzadki, ale też nie nadmiernie popularny. Skoda octavia drugiej generacji, wersja liftback, srebrny lakier. Do tego rysa na lewym boku, prawdopodobnie dość długa. Szukamy na terenie Bielán i Żoliborza, bo dotychczasowe ustalenia wskazują, że sprawca tu właśnie mieszka. Na razie jednak nic nie znaleźliśmy. Dostaliśmy statystyki z wydziałów komunikacji tych dwóch dzielnic. Przy rejestracji pojazdu trzeba tam podać markę, model i rok produkcji. Ale już na przykład nie kolor czy wersję nadwozia. Mamy do sprawdzenia kilkaset samochodów. Zakładając oczywiście, że faktycznie został on tu zarejestrowany. Że jego właściciel nie pochodzi, powiedzmy, ze Skierniewic, a u nas tylko mieszka.

– Spróbowaliście namierzyć telefon Halickiego? – spytała prokurator Walczak.

Aleksanderski kiwnął głową.

– Spróbowaliśmy. I nic. O niczym, skurwiel, nie zapomnieli...

– Dostaniemy z CBS kogoś w zamian...? – Seredyńska wskazała na puste krzesło.

– Na razie nie – odezwała się Walczak. – Rzucili wszystkie siły na poszukiwanie Halickiego. Dla nich to kwestia osobista.

– Dla nas też – zauważyła Seredyńska.

A już zwłaszcza dla niej, pomyślała.

– Byłaś ostatnią osobą, z którą rozmawiał Halicki – odezwał się komisarz. – O czym mówiliście?

– O niczym szczególnym – odpowiedziała. – Wyskoczyliśmy na lunch, żeby zrobić sobie przerwę. Nie mówiliśmy o śledztwie.

– Na pewno? – Mimo że nie wspomnieli ani słowem o ich pocałunku, miała dziwne wrażenie, że o to mu właśnie chodzi.

– A dlaczego tak cię to interesuje? – spytała niemal oschle. – Myślisz, że to ja go porwałam? Byliśmy na obiedzie, rozmawialiśmy głównie o jedzeniu.

– Nie zauważyłaś, że ktoś za wami idzie albo was obserwuje?

– Nie. Zresztą widziałeś to na nagraniu z monitoringu: po wyjściu z restauracji rozeszliśmy się w dwie przeciwne strony. Nawet gdyby ktoś go śledził, nie miałabym szansy tego zauważyć.

– Właśnie. Obejrzałem jeszcze raz moment, w którym żeście się rozstali.

Ścierpła jej skóra. Naprawdę chce to wywlekać?

– I zauważyłem coś nowego – ciągnął dalej. – Poprzednim razem popełniłem błąd. Śledziłem Halickiego. Dopiero na obrazie z drugiej kamery zauważyłem, że ktoś za nim idzie. Teraz sprawdziłem wszystko o wiele dokładniej. Przejrzałem klatka po klatce nagrania z wszystkich trzech kamer na tej ulicy.

– I co zobaczyłeś?

– Że on był tam z wami. W tej restauracji. Wyszedł za wami i poszedł za Halickim. Stąd moje pytanie, czy nikogo nie zauważyłaś.

Zamrugnęła powiekami. Przez chwilę nie mogła tego pojąć, nie potrafiło to do niej dotrzeć.

– Był tam z nami?! – spytała.

– Tak. Znalazłem też moment, gdy tam wchodzi.

Wciąż nie potrafiła dojść do siebie.

– Masz nagranie ze środka? – spytała.

– Nie – odparł. – Niestety. To nowa knajpa, działają raptem niecały tydzień. Mają zamontowany monitoring, ale były jakieś problemy z uruchomieniem systemu.

– Cholera.

– Dlatego tak ważne jest, żebyś spróbowała sobie przypomnieć. Na pewno go widziałaś. Siedział gdzieś w środku i was obserwował. Być może nawet dość blisko. Nic nie pamiętasz? Nikogo dziwnego? Kogoś, kto się na was gapił?

Spróbowała. Wyteżyła wszystkie moce swojego umysłu. Nic. Wiedziała dlaczego. Była tak zaaferowana rozmową z Halickim, tak oszołomiona tym, że ją emabluje, że nie widziała bożego świata poza nim i ich stolikiem. Nawet gdyby na salę wszedł smok z trzema głowami, najpewniej by go nie zauważyła. Ale nie mogła się przecież do tego przyznać.

– Przykro mi – odpowiedziała. – Nic nie rzuciło mi się w oczy.

– Pomyśl o tym na spokojnie. Takie rzeczy potrafią wracać nawet po dłuższym czasie.

– Skąd przyszedł? – spytała prokurator Walczak. – To pewnie też pan wyśledził, komisarzu.

– Pojawił się rano. Schował się za ciężarówką stojącą przy placu budowy na Rydygiera. Prawdopodobnie obserwował stamtąd salon fryzjerski. Stał tam parę godzin. Potem nagle wyszedł ze swojej kryjówki i ruszył w waszą stronę. Wszedł do restauracji dokładnie siedem minut po was.

Seredyńska spróbowała mimo wszystko myśleć trzeźwo.

– To znaczy, że polował na fryzjerkę.

– Tak jak mówiłaś – rzucił Aleksanderski i zabrzmiało to tak, jakby próbował ją wesprzeć, pokazać jej, że nie wszystko jednak zaważyła.

– A potem zauważył, że jej pilnujemy.

– Widziałem to na nagraniu. Wsiadłaś do samochodu Halickiego, potem staliście razem na ulicy, a on podszedł do samochodu obstawy. To wtedy was zobaczył.

– Byliśmy daleko od salonu.

– A od jego kryjówki jeszcze dalej. Musiał mieć lornetkę.

– Nie powinno mnie tam w ogóle być – powiedziała. – Pojechałam tam bez żadnego specjalnego powodu. Chciałam zobaczyć, jak to wygląda, bo nigdy wcześniej nie brałam w takiej akcji udziału. To wszystko przeze mnie. Ja nas zdekonspirowałam.

– Pani prokurator – odezwała się ze swojego stałego kąta Walczak. – Popełniła pani błąd, trudno tego nie zauważyć, ale samobiczowanie się nic w tej sytuacji nie da. Prowadzimy śledztwo i jest ono w krytycznym punkcie. Zostaliśmy zaatakowani i mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Każdy zwykły przestępca, widząc policyjną obstawę, zrezygnowałby, a on przeszedł do kontrofensywy. Musimy go powstrzymać.

– Zrobię, co w mojej mocy, pani prokurator – zapewniła ją Seredyńska.

– Wszyscy zrobimy – odpowiedziała Walczak. – Gdy jedna osoba w zespole sobie nie radzi, pozostali muszą starać się w dwójnasób.

No pięknie... Ale należało jej się, trudno było tego nie przyznać. Nie mogła się przecież spodziewać, że będą ją tu głaskać po główce i mówić, że nic się nie stało.

Gdy wychodzili, prokurator Walczak jeszcze do niej podeszła.

– Próbował panią poderwać, prawda? – spytała. – Halicki jest znany z takich akcji. To palant i dziwię się, że pani tego nie zauważyła. Może to zresztą przez niego była pani tak rozkojarzona.

Nie należy mieszać życia prywatnego ze służbowym. To dlatego między innymi uważam, że prokuratorzy bez odpowiedniego doświadczenia nie powinni tu pracować. Stawka jest po prostu zbyt wysoka. – Usta pani prokurator rozsunęły się w jeszcze dłuższą i węższą szparę, co oznaczało chyba u niej uśmiech. Seredyńska miała wrażenie, że za chwilę wysunie się z nich rozdwojony język. – No ale cóż, trudno. Mam przynajmniej nadzieję, że zapamięta pani sobie tę nauczkę na przyszłość.

ROZDZIAŁ 81

– Zabijesz mnie? – spytał komisarz. Pora na picie i wieczorną pogawędkę.

– Raczej tak – odpowiedział.

– Po co to „raczej”? Żeby nie zabrzmiało to tak ostatecznie? Chcesz mnie zabić, ale boisz się sprawić mi przykrość powiedzeniem prawdy?

Chwycił policjanta za łokieć i pociągnął. Mężczyzna zaczął kręcić się na sznurze wokół własnej osi. Było to nawet dość zabawne.

– Ale wcześniej chcesz, żebym się zrzygał – usłyszał ze środka tej karuzeli.

Faktycznie. Zatrzymał wirujący kokon.

– W porządku – odpowiedział. – Chcę cię zabić.

– Zrób to teraz. Na co czekasz?

Zakręcił go w drugą stronę. A co tam.

– Nie ma pośpiechu – powiedział, gdy znów go zatrzymał. – Miło się z tobą gawędzi.

– I tak prędzej czy później tu umrę.

– Ale nie tak znowu szybko, bez przesady. Ludzie wbici na pal wytrzymywali nawet do dwóch dni, ukrzyżowani jeszcze więcej. A ty masz tylko strupa na głowie. Pociągniesz co najmniej tydzień, jeśli nie dłużej. Nie chcesz poczekać, aż twoi koledzy cię uwolnią?

– A ty chcesz?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Zastanawiam się.

I znowu w drugą stronę.

– Podnieca cię władza? To, że możesz robić ze mną, co chcesz? Po to to robisz?

– Nie, po prostu nigdy nie miałem prawdziwego przyjaciela.

– Chcesz się zaprzyjaźnić? To mnie uwolnij.

– Po co? Poczekam na syndrom sztokholmski.

– U mnie się go raczej nie doczekasz, świrze.

I jeszcze raz.

– Ale po co od razu tak się wyzywać? Czy ja cię obrażam?

I z powrotem.

– Przestań mną wreszcie kręcić, do jasnej cholery! – Krzyk.

Przestał.

– W porządku, wyluzuj! – Uniósł dłonie. – Trzeba było powiedzieć, że to cię irytuje. Jesteśmy w końcu przyjaciółmi.

Musiał naprawdę sporo odczekać, zanim pan komisarz się wyprzeklina.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – spytał, gdy tamten już skończył.

Milczenie.

– Zaraz wychodzę, sugeruję więc, żebyś nie zgrywał tu obrażonej panienki, tylko mi powiedział.

Znowu milczenie, lecz tym razem krótsze.

– Mógłbyś mi podciągnąć i zapiąć spodnie?

Spojrzał w dół.

– Mógłbym.

Chwycił jego spodnie za pasek i podniósł do góry.

– Jeszcze tu zapniemy na ten guziczek na górze i gotowe – powiedział. – Zadowolony?

– Ciągłe wystaje mi fujara.

Spojrzał raz jeszcze.

– Wybacz, ale nie chce mi się za każdym razem po to sięgać, gdy będziesz chciał się odlać. To dosyć obrzydliwe.

– Rozumiem, ale to bardzo upokarzające. – Pan komisarz bardzo się starał, by mówić spokojnym głosem. Wyglądał przy tym, jakby

zbierało mu się na płacz i bluzgi jednocześnie.

– Wiem – odpowiedział. – Zdaję sobie z tego sprawę. Ale sytuacja jest trudna i musimy obaj iść na pewne kompromisy. Mnie też nie sprawia przyjemności patrzeć na twoje przyrodzenie. Nie jestem z takich.

– Proszę cię.

Bardzo ciekawie brzmi prośba wypowiedziana przez zaciśnięte zęby.

– Przykro mi. Ja wylewam twoje szczyny, ty wisisz z wywalonym interesem. Każdy z nas musi znosić pewne niedogodności. Współpracujmy. Alternatywą jest cewka, a to byłoby jeszcze bardziej upokarzające.

– Bawi cię to?

Znowu zaciśnięte zęby.

– Tak. Trochę. Nie będę ukrywał. Ale najważniejsza jest tu wygoda. To praktyczne rozwiązanie. A teraz wybacz, muszę już lecieć. Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli na czas mojej nieobecności znowu cię zaknebluję? Rozumiesz, kwestie bezpieczeństwa.

Wziął knebel i wcisnął mu go do ust.

– A, jeszcze jedno. Kupiłem ci wiadro, cieszysz się?

Przyniósł z korytarza plastikowy, dziesięciolitrowy kubeł i postawił przed wiszącym mężczyzną.

– Tylko postaraj się trafić – powiedział. – Inaczej będę musiał cię ukarać.

Wyszedł. Zamknął za sobą drzwi na klucz. Pogoda była piękna, słoneczna, a on czuł się wprost znakomicie. Tak, to zabawne, musiał przyznać. Z pewnym wstydem co prawda, ale jednak. Po wszystkich tych latach, gdy tacy jak tamten kpili z niego, upokarzali i mieli go za nic, mógł się wreszcie za to odegrać. Było to warte tego lekkiego uczucia zażenowania, które mimo wszystko odczuwał.

ROZDZIAŁ 82

Mijały minuty, kwadranse i godziny. Minał dzień i rozpoczął się następny. Nic się nie wydarzyło. Spotkali się ponownie w salce konferencyjnej. Nastrój frustracji był wręcz przygniatający.

– Coś nowego? – spytała.

Komisarz Aleksanderski nie wyglądał, jakby miał do przekazania jakąś dobrą nowinę.

– Chłopcy z CBS sprawdzili wszystkie skody octavie wyprodukowane w latach dwa tysiące cztery do dwa tysiące trzynaście i zarejestrowane na terenie Żoliborza i Bielania – powiedział. – Żadna z nich nie pasuje do tej, którą widać na nagraniu. Moi ludzie i ich chodzili też po ulicach i parkingach, szukając takiego samochodu; z podobnym skutkiem.

– Może sprawca tu jednak nie mieszka? – spytała prokurator Walczak.

– Może, ale niekoniecznie. Wystarczy, że samochód był zarejestrowany gdzie indziej, a on ma na przykład garaż.

– Dużo jest takich garaży na tym terenie? – spytała Sereżyńska.

– Na Bielania i Żoliborzu?

– Skupmy się na tym obszarze, który zawęziliśmy wcześniej.

– Sporo. Duża część Starych Bielania to domy. Wolnostojące lub w zabudowie szeregowej. Większość z nich ma garaże. Są też garaże przy blokach i podziemne w apartamentowcach.

– Dobrze. – Otworzyła mapę w komputerze. – Teren, o którym wcześniej mówiliśmy, jest ograniczony ulicami Marymoncką,

Podczaszyńskiego, Trasą AK i parkiem Olszyna. Myślę, że możemy założyć, że sprawca mieszka jednak w domu.

– Dlaczego? – spytała prokurator Walczak.

– Skoro nie zabił Halickiego od razu, tylko go porwał, musi go gdzieś przetrzymywać. Nie robi tego raczej w wolnostojącym garażu przy bloku ani w apartamentowcu. Byłoby mu trudno przenieść nieprzytomnego albo związanego człowieka postury Halickiego z garażu podziemnego do swojego mieszkania.

– Dla chcącego nic trudnego – rzucił komisarz.

– Wszędzie tam są portierzy i monitoring – zauważyła Walczak. – A Halickiego nie da się przenieść w walizce. Myślę, że faktycznie apartamentowce i bloki możemy odrzucić.

– Chyba że wywiózł go od razu do lasu i tam zabił – powiedział komisarz.

– Jeśli tak zrobił, możemy od razu rozejść się do domów i czekać, aż zwłoki znajdzie jesienią jakiś grzybiarz – odparła nieco zirytowana Seredyńska. – Proponuję jednak nie brać na razie pod uwagę ewentualności, które z góry wykluczają nasze jakiegokolwiek konstruktywne działanie, a skupić się na tych, które dają szansę coś zrobić.

Przyznali jej rację.

– Poza tym – wtrąciła prokurator Walczak – wywożenie do lasu to raczej styl porachunków gangsterskich, a nasz sprawca zdaje się coraz bardziej rozsmakowywać w zabijaniu. Myślę, że dla komisarza Halickiego też ma obmyślane coś specjalnego. Coś, do czego będzie potrzebował spokojnej, bezpiecznej przestrzeni. Dlatego go porwał, a nie zabił na miejscu.

Seredyńskiej zrobiło się zimno po tych słowach.

– Pozostają więc domy – powiedziała, starając się zachować spokój. – Tak jak mówiłam. Ile ich jest na tym obszarze?

– Są tu, tu i tu. – Aleksanderski wskazał miejsca na mapie. – A jeśli rozszerzymy ten teren poza ulicę Marymoncką, do skarpy, to jeszcze tu.

Wskazał okolice ulicy Kolektorskiej.

– Mam pewną wątpliwość – odezwała się prokurator Walczak. – Szukamy człowieka, który mieszka w domu. Z drugiej strony jednak przyjęliśmy, że ma samochód zarejestrowany gdzieś poza tym obszarem. To chyba dość rzadka sytuacja, by mieszkaniec domu w Warszawie miał samochód zarejestrowany poza miejscem zamieszkania. Może tak być w kilku szczególnych sytuacjach: gdy wynajmuje ten dom, gdy kupił go niedawno albo odziedziczył. Może poszukajmy właśnie takich ludzi?

– To nie jest głupi pomysł. – Seredyńska kiwnęła głową z uznaniem. Walczak może i była wredna, ale znała się na swojej robocie. – Niech CBS się tym zajmie. Skontaktujesz się z nimi? – zwróciła się do komisarza.

– Oczywiście – odparł. – A co ja mam robić?

Zastanowiła się.

– Niech twoi ludzie chodzą po wszystkich tych okolicach, gdzie są domy. Niech się rozglądają, niech dzwonią do drzwi, pytają o srebrną skodę octavię z rysą po lewej. Może coś zauważą, może ktoś im coś powie. Ale niech to robią jawnie, bez konspiracji. Niech ten skurwiel usłyszy, że idzie nagonka. Może wysunie łeb, może popełni jakiś błąd.

– Nie boisz się, że się przestraszy i zabije Halickiego?

To, co musiała teraz powiedzieć, nie było łatwe. Myślała o tym cały dzisiejszy ranek.

– Dotychczas raczej szybko zabijał swoje ofiary – odpowiedziała. – Nie sądzę, żeby tym razem planował inaczej. Nie mamy zbyt wiele czasu; Halicki i tak długo nie pożyje. Musimy zaryzykować. Musimy coś zrobić, cokolwiek możemy. Inaczej ktoś kiedyś odnajdzie jego zwłoki.

A niewiele możemy, pomyślała.

ROZDZIAŁ 83

Nie potrafiła usiedzieć w biurze. Czuła się winna; winna i bezsilna. Musiała coś zrobić. Być może drugi raz popełniała ten sam błąd, ale naprawdę nie mogła inaczej. Zadzwoiła do Aleksanderskiego, spytała, gdzie jest. Dwadzieścia minut później parkowała przy jego aucie.

Stał przy ulicy Kolektorskiej, przy niewielkim parku z dwoma stawami położonymi u stóp skarpy warszawskiej, która w tym miejscu nie była zbyt wysoka. Ulica biegła górą, park był poniżej.

– Cześć – powiedziała, gdy do niej podszedł.

– Cześć – odpowiedział.

– Jak sytuacja? – spytała.

– Chodzimy, pytamy – odpowiedział. – Nie wszyscy otwierają.

– Jakież efekty?

Wzruszył ramionami.

– Na razie żadnych. Nikt nie widział srebrnej octavii z rysą.

– Rysa powstała niedawno, jeśli wjechał od razu do garażu, mógł jej nikt nie widzieć.

– Pytamy też po prostu o srebrną octavię.

– Też nic?

– Tu – wskazał trzy nowe domy stojące po drugiej stronie ulicy – mieszczą się siedziby firm. Dużo ludzi, ale nikt nic nie wie. Przyjeżdżają, gapią się w swoje komputery, o siedemnastej wyjeżdżają. Jeśli gość pracuje w podobnych godzinach, mogą się po prostu mijać. Tam – wskazał domy dalej – znowu budowy. Jeszcze niedawno stały tu niskie domki, prawie slamsowe. Deweloperzy

wykupili teren i stawiają nowe apartamentowce. Jest jeszcze kilka takich starych domków, ale większość nie ma garaży.

– Dlaczego więc zacząłeś właśnie tutaj?

Znowu wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pomyślałem sobie, że to idealne miejsce. Zabudowa nie jest tak zwarta jak na Starych Bielanych. Łatwiej tu ukryć to, co się robi; łatwiej pozostać niezauważonym.

– Sprawca nie wybierał raczej domu z myślą o przetrzymywaniu zakładników, więc to dość słaba poszlaka.

– Ale, z drugiej strony, okazja czyni złodzieja – zauważył, drapiąc się po karku. – Może to, że porwał Halickiego, wynika między innymi z tego, że miał do tego warunki. Wiedział, że mieszka w takim miejscu i może to zrobić bez nadmiernego niebezpieczeństwa, że ktoś coś zauważy.

– Może.

– Tam dalej jest kilka domów, które by się nadawały. Chcesz iść ze mną?

– Czemu nie.

Ruszyli wzdłuż ulicy, potem zeszli po kilku schodkach. Wyszli na wąską uliczkę, równoległą do tej na górze. Tu był zupełnie inny świat. Niskie, małe, parterowe domki z dachami pokrytymi papą; obrośnięte bluszczem płoty chylące się ku ziemi. Aż trudno było uwierzyć, że to wciąż Warszawa, choć przecież wcale nie znajdowali się na jej przedmieściach. Po kilkudziesięciu metrach stanęli przed płotem ze zwykłej siatki. Dom był parterowy, ale z wysoką piwnicą. Jedną z jej części zajmował garaż. Jego duże, drewniane odrzwia pokryte łuszczącą się farbą pozostawały zamknięte. Furtka w płocie nie miała domofonu. Weszli.

Niewielki skrawek ziemi między płotem a domem był zaniedbany i zapuszczony. Porastała go niekoszona trawa, chwasty i dawno nieprzycinane krzewy. Wejście do domu było na poziomie wysokiego parteru, prowadziły do niego betonowe, ściemniałe schody, pokryte gdzieś mchem. Weszli po nich.

Komisarz zadzwonił do drzwi. Dźwięk był ostry, w starym stylu. Żadne nowomodne melodyjki czy miękkie, łagodne gongi. Przypominał odgłos dzwonka na lekcje w szkole.

Nikt nie otworzył. Zadzwonił po raz drugi. Znowu nic.

– Mówiłem, nie wszyscy otwierają – powiedział.

– Może nie ma nikogo w domu.

– Albo nie otwierają obcym. Myślą, że chcemy im coś sprzedać.

Zeszli z powrotem po schodkach. Komisarz zaszedł dom z przodu, stanął przed oknami, wyjął odznakę i uniósł ją na wyciągniętej ręce. Żadnej reakcji. Światła w środku były wyłączone, firanka wisiała nieruchomo, ani drgnęła.

– Zobaczmy od tyłu – powiedział.

Obeszli dom. Ogródek z tyłu wyglądał podobnie jak ten z przodu, był tylko trochę bardziej zagracony. W rogu leżała dnem do góry odrapana, żeliwna wanna, o płot oparte były stare deski, obok leżała kupa liści i gałęzi. Do tego dwa drzewa owocowe, których gatunku Sereżyńska nie potrafiła rozpoznać.

Z tyłu domu był taras pokryty starymi płytkami terakotowymi, których część już odpadła. Wychodziły na niego okna, w tym jedno balkonowe. Z drewnianych ram schodziła biała farba. Kraty były w nie lepszym stanie. Ciemne zasłony zaciągnięto.

Komisarz wszedł po schodkach od ogrodu i dostał się na taras. Poszła za nim. Zbliżyli się do okien. Komisarz przytknął twarz do szyby, osłaniając oczy dłońmi.

– Widzisz coś przez te zasłony? – spytała.

– Jest szpara – odparł. – Ale w środku też jest ciemno, nic nie widać.

– Zasunięte zasłony w dzień; czy to nie podejrzane? – spytała.

– Moja była żona tak robiła – odpowiedział. – Jak wyjeżdżaliśmy gdzieś na dłużej, zaciągała wszystkie zasłony. Żeby ludzie nie zaglądali i żeby się mieszkanie nie nagrzewało. Ale zgadzam się, to podejrzane. Nie jakoś bardzo, ale wystarczająco. Dlatego próbuję tam zajrzeć.

– Ciii... – Wydało jej się, że złowiła uchem jakiś dźwięk. – Słyszalesz to?

– Co?

– Nie wiem, jakiś odgłos.

– Skąd? Ze środka?

– Chyba tak.

Zamarli w bezruchu. Dźwięk się nie powtórzył.

– Nic nie słyszę – powiedział.

– Poczekaj...

Umilkli znowu. Nagle z działki obok dał się słyszeć wyraźny, choć cichy odgłos buczenia transformatora.

– To to? – spytał.

– Nie wiem, być może.

– Dobra, nic tu po nas – zdecydował Aleksanderski. – Powiem chłopakom, żeby tu jeszcze zajrzeli. Może wieczorem ktoś będzie.

Zeszli z tarasu, obeszli dom i wrócili na ulicę.

– Chcesz pójść dalej? – spytał.

– Dokąd teraz?

– Tam, bliżej Trasy AK, też są domy. Teraz tam się rozejrzemy.

Spojrzała jeszcze raz w ciemne okna. Zwykły, normalny dom, w którym mieszkają zapewne starsi ludzie. Stąd te zasunięte zasłony. Oprócz tej jednej rzeczy nie było w nim nic odbiegającego od normy. Jednak...

– Co? – spytał, widząc, że wciąż nie rusza się z miejsca.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Niech twoi ludzie koniecznie jeszcze raz tu zajrzą.

– Mamy tam wejść z buta?

– Nie, ale sprawdź, kto tam mieszka i tak dalej.

– To pilne?

– Nie. Tak.

– Zajmę się tym zaraz, jak wrócę na komendę.

Ciemne okna, żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Nic niepokojącego. Domy, z których wyszli właściciele, tak właśnie

wyglądają. Pewnie to tylko jej wyobraźnia podpowiada jej niestworzone rzeczy, ale skoro i tak nie mają na razie innych tropów, warto to sprawdzić.

ROZDZIAŁ 84

Patrzył przez firankę, jak odchodzą. Stał półtora metra od niej, na środku kuchni, by jego oddech albo przypadkowy gest nie poruszył materiału i nie zdradził jego obecności. To byli oni, przyszli. Poznał tę kobietę. To ona siedziała w restauracji wraz z jego ostatnią zdobyczą. Byli na jego tropie, krążyli wokół. Psy myśliwskie wyczuły jego zapach. Chcą odnaleźć zaginionego członka sfory. Tego, który wisiał na sznurze w jego salonie.

Musiał znowu założyć panu komisarzowi worek na głowę. I trochę go podduś, by dać do zrozumienia, że nie warto więcej próbować krzyczeć, mimo wepchniętej w usta szmaty. Jego więzień zrozumiał chyba tę lekcję aż nazbyt dobrze, bo znowu stracił przytomność. Nie szkodzi, dojdzie do siebie. Puls miał wciąż wyczuwalny, a zwieracze nie puściły. Czyli żyje, nie udusił się.

Ale to było dość nieprzyjemne uczucie – widzieć ich tak blisko. Już drugi raz tak się poczuł; po raz pierwszy, gdy zauważył ich pod salonem fryzjerskim. Teraz jednak było gorzej, bo podeszli bliżej. Niemal zajrzeli do jego gawry. Widział oczy tamtego policjanta, kiedy przez chwilę spojrzął w jego okna. Widział kolbę jego pistoletu, gdy tamten uniósł rękę, by pokazać swoją odznakę, i odchylił przez to połą marynarki.

Poczuł wtedy dławiący za gardło strach, jakby był już na muszce. Jakby czekał tylko, aż pocisk opuści lufę i rozerwie jego bok. Przez chwilę był wtedy znowu tamtym cieniem, frajerem. Zrozumiał, że gdyby ten starszy gliniarz wpatrywał mu się prosto w oczy, a nie

tylko w szybę jego okna, nie dałby rady, nie wytrzymałby tego spojrzenia.

Po tym strachu przyszła więc wściekłość. Ale też i chłodna myśl, że musi się spieszyć. Że nie ma już czasu celebrować zabawy, przeciągać gry z tamtym wiszącym jak szynka na strychu dupkiem. Co ma zrobić, musi zrobić niedługo. Bo oni prędzej czy później wrócą. Wyważą drzwi i wszystko pójdzie na nic. Nie zdąży przeprowadzić rytuału, nie zdąży się odrodzić.

Więc to powinno stać się dziś. Jutro już może być za późno. Tym bardziej że – jak sobie to właśnie uświadomił – dziś był szczególny dzień, idealny. Dwudziesty czerwca, najdłuższy dzień w roku. Usłyszał o tym rano w radiu. Trochę przypadkiem, ale jednak świetnie to się złożyło. Przesilenie letnie, Noc Kupały. Dziś szuka się kwiatu paproci. Czy może być lepszy termin, bardziej odpowiedni? Pójdzie zaraz do sklepu, żeby kupić potrzebne rzeczy. Tym razem bowiem nie może być żadnej ściemy. Wszystko musi odbyć się zgodnie ze ścisłymi regułami, których przecież tak naprawdę nie znał. Miał poszperać, doczytać, znaleźć analogie, ale nie było już na to czasu. Musi zaufać swojej intuicji, odnaleźć przedwieczne wzory i schematy. Takie, które kroczą przez epoki, wybijając jak wody gruntowe w coraz to nowych kultach i wierzeniach. Tego też się bał. Bał się, że coś pomyli, że chwilowy, przypadkowy byt jego umysłu zwiedzie go na manowce. Ale to było święte dzieło, więc może też coś go poprowadzi. Lub ktoś. W tym upatrywał nadziei.

Wyszedł z kuchni. Podszedł do wiszącego mężczyzny i zdjął mu worek z głowy. Pan komisarz wciąż żył, zaczynał już nawet półprzytomnie otwierać oczy. Po raz drugi musi zaryzykować, zostawić go, wiedząc, że kiedy tamci wrócą pod jego nieobecność, znowu może zacząć wyć, a oni go wtedy usłyszą. Cóż, nie miał wyjścia. Lepsze było to, niż gdyby miał się udusić. Potrzebował go przecież żywego.

Zbliżył się niepewnie do swojego fetysza. Zakrył go uprzednio starą zasłonką – święte nie powinno być cały czas na widoku, bo powszednie i traci swą moc. Uniósł delikatnie przykrycie. Wszystko było na swoim miejscu, tylko maska się lekko przekrzywiła. Poprawił ją, a potem klęknął nieporadnie na oba kolana. Znowu miał to uczucie: że to wszystko bzdura, a to, co jest przed nim, to tylko nieistotna zbieranina dziwnych przedmiotów. Wiedział jednak, że gdy nadejdzie czas, to uczucie minie. Czyż antena nie jest po prostu zwyczajnym drutem? Ale bierze udział w magicznej przemianie niewidocznych fal w dźwięk i obraz, a potem w znaczenie, które przenoszą.

Postarał więc się skupić, postarał się uwierzyć. Na razie trochę na siłę, na mocy świadomej decyzji. Słyszał, jak zwierzę ofiarne za jego plecami rusza się i jęczy, próbując poluzować pęta. Po raz pierwszy zobaczyło ołtarz, na którym ma zostać złożone. Pewnie dopiero teraz poczuło prawdziwy strach.

Spróbował się pomodlić, lecz słowa, które wychodziły z jego ust, były puste, konwencjonalne. Przez chwilę zwątpił, czy mu się uda, czy da radę, czy podoła. Jakby na potwierdzenie tego przeczucia powrócił ból, który od tak dawna przecież udawało mu się trzymać w ryzach. Znowu był chorą, umierającą kupą gówna. Przerazoną, niepewną, niewiedzącą, co zrobić. Gotową się poddać, odpuścić, a nawet umrzeć – tu i teraz. Lecz wtedy zrozumiał, że był to znak. Że właśnie w ten sposób przemawia do niego fetysz, czy też raczej to coś, czego jest przekaźnikiem. Oto zostało mu pokazane, czym jest bez niego. Czym byłby, gdyby on go nie odnalazł.

Wstał silniejszy niż kiedykolwiek. Podeszedł do wiszącego mężczyzny i spojrzał w jego przerażone, po raz pierwszy naprawdę przerażone oczy.

– Dziś jest nasz dzień, bracie – powiedział. – Szykuj się.

ROZDZIAŁ 85

Seredyńska odjechała. Sprawdzili wszystkie domy w tej okolicy; do tych, do których nie udało im się wejść, będą musieli wrócić wieczorem. Wsiadł do swojego samochodu. Przez chwilę siedział tak po prostu, nie odpalając silnika ani nie włączając radia. Minęły dwadzieścia cztery godziny od porwania Halickiego. Zastanawiał się, czy jego towarzysz z grupy śledczej jeszcze żył. Miał przecucie, że tak, ale nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Biorąc pod uwagę to, co już wiedzieli o człowieku, którego wspólnie tropili, niekoniecznie.

Aleksanderski nie lubił Halickiego, irytował go, konkurowali ze sobą, uważał go za aroganckiego, zarozumiałego gówniarza, lecz teraz nie miało to znaczenia. Zrobiłby wszystko, by go odnaleźć i uwolnić, lecz nie bardzo wiedział, co by to mogło być. Wszystkie tropy, na które dotąd trafili, prowadziły donikąd albo urywały się nagle. Jedyne, co mogli robić, robili właśnie teraz – szukali po omacku. Obawiał się jednak, że to może nie wystarczyć, że nie zdołają odnaleźć Halickiego żywego. Ten świr, który go porwał, nie miał specjalnego interesu, żeby go trzymać zbyt długo przy życiu. Ani nie chciał okupu, ani nie potrzebował niewolnika do zaspokajania swoich seksualnych potrzeb. Jego dotychczasowy model działania wskazywał wyraźnie, o co mu chodziło: o śmierć.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej marynarki. Ciągłe tkwiła tam złożona na czworo kartka. Wyciągnął ją i rozprostował. Papier był już lekko przybrudzony, zmiękczone i zmechacone od ciepła i wilgoci jego ciała; rogi nieco się przetarły. Dawno już nie czytał

tego wiersza. Może zawierał odpowiedź, wskazówkę, tylko nikt nie był jej w stanie dotychczas odczytać?

Zaczął wodzić wzrokiem po ciągach liter, czytać słowa, bezwiednie poruszając wargami.

*Odrobina nicości nigdy nie zaszkodzi
Od niej serce przyspiesza i krew raźniej krąży
Odrobina nicości nigdy nie zaciąży
Na twych butach jak ziemia
Kula z ciał i krwi*

*Odrobina nicości jest kucharzem który
Przygotuje potrawę z nudy twoich dni
Odrobina nicości szczypta strachu i
Życie lepiej smakuje
Błękitnieją sny*

*Odrobina nicości nie za wiele bowiem
Niejednego zabiło zbyt dosadne nic
Gdy jej zgodnie używasz z instrukcją obsługi
Jest bezpieczna a jakże
Ci pomaga żyć*

Nic. Zero. Nic tu do niego nie mówiło, nic nie puszczało oka, nic nie stanowiło zaczepienia dla jakichkolwiek myśli i przeczuć. „Kula z ciał i krwi”, „przygotuje potrawę”, „szczypta strachu”, „zgodnie z instrukcją obsługi”... O co tu mogło chodzić? Czy autor był kucharzem? Miał do czynienia z jedzeniem albo kuchnią? A może z rolnictwem, skoro pojawia się ziemia?

Bez sensu. Sam rozumiał, jak idiotyczne były te wszystkie próby interpretacji. Każdy to mógł napisać. Nie było w tym żadnych wskazówek dotyczących autora. Złożył kartkę z powrotem i schował ją do kieszeni.

Podniósł rękę, żeby przekręcić kluczyk w stacyjce, i wtedy to się stało. Poczuł ból, jakby naderwał sobie jakiś mięsień pod pachą. Z prawej strony, więc nic takiego, zlekceważył to. Odpalił silnik i ruszył. Ból nie przechodził, zaczął promieniować na szyję. Jechał dalej, starając się trzymać kierownicę lewą dłonią. Co jest? Czyżby go przewiało? Wieczorem musi posmarować się jakąś maścią dla starych ludzi. Albo to od kręgosłupa. Już ze trzy lata temu ortopeda zwracał mu na to uwagę. Kazał zrobić rezonans czy coś. Nie pamiętał dokładnie. Skierowanie ciągle leżało gdzieś w szufladzie, dawno już nieważne. Jak to się wreszcie skończy, trzeba się będzie tym zająć. Zadbać wreszcie o siebie. Łykanie tabletek z witaminami powoli już nie wystarcza. Nie ma już tak żelaznego zdrowia jak kiedyś. Zwłaszcza że pije za dużo i za często.

Cholera jasna, ale boli! Coraz bardziej. Zjechał na pobocze. Ból obejmował już całą klatkę piersiową i nasilał się przy każdym oddechu.

Połączył się z centralą przez radio.

- Przyślijcie karetkę. Róg Lektykarskiej i Podleśnej – powiedział.
- Co się stało? – usłyszał.
- Podejrzenie zawału – odpowiedział z trudem.
- O kogo chodzi?
- O mnie.

ROZDZIAŁ 86

Wrócił. Na wszelki wypadek nie pojechał samochodem, ale poszedł pieszo. Nie był idiotą, rozumiał, że jego auta mogą szukać. Ta rysa na drzwiach... Popełnił głupi błąd. Nie wtedy, gdy ją zrobił. W końcu nie da się przewidzieć i kontrolować wszystkiego, zwłaszcza gdy działa się pod presją czasu i okoliczności. Popełnił błąd, że nie zatarł śladów. Powinien był odłamać tę gałąź i zabrać ją ze sobą, a nie zostawiać na miejscu ze zdartym lakierem na czubku. Niestety pomyślał o tym dopiero poniewczasie. Teraz już było za późno, policja na pewno już do niej dotarła; wiedzą, jaki kolor ma jego samochód oraz to, że musi mieć rysę. Bardzo możliwe, że to jego właśnie szukali, chodząc po okolicy.

Musiał pójść dość daleko, aż do osiedlowego supermarketu przy ulicy Klaudyny. Tylko tam mógł kupić wszystkie potrzebne mu rzeczy; poza tym, im większy sklep, tym większa anonimowość. A tam mieli kasy samoobsługowe. Teraz, gdy wiedział już, że go tropią, powinien zwracać uwagę na takie szczegóły.

Idąc z powrotem do domu, zastanawiał się, czy taka ostrożność ma jeszcze w ogóle sens. Wcześniej na pewno tak, ale wcześniej lekceważył takie środki bezpieczeństwa. Wydawało mu się naiwnie, że działa w jakiejś próżni, a oni nie mają szans go namierzyć. Teraz być może byli już zbyt blisko. Ale o tym też pomyślał poniewczasie.

W każdym razie, gdy wrócił, był zmachany jak pies. Palce zdrętwiały mu od wrzynających się w nie siatek. Położył je na stole w kuchni i usiadł ciężko na krześle. Z salonu nie dobiegał żaden odgłos. Zanim wyszedł, zasunął drzwi, więc gdy wchodził do domu,

nie mógł sprawdzić, jak ma się jego gość. Ta cisza była trochę niepokojąca, ale był teraz zbyt zmęczony, by pójść i zobaczyć, co jest jej powodem.

Chwilę odpoczął, a potem zrobił sobie herbaty. Takiej babcinej, z cytryną i miodem; takiej, po której robi się ciepło w żołądku, a świat staje się przyjaźniejszym miejscem. Należało mu się to.

Choć może nie tylko o zmęczenie chodziło. Odczuwał dziwną niechęć przed tym, żeby tam wejść. Może był to po prostu wstyd, poczucie winy związane z tym, co zrobił? A także z tym, co zamierzał zrobić? Po raz pierwszy trwało to tak długo, było tak mocno rozciągnięte w czasie, więc po raz pierwszy miał szansę na jakąś refleksję. Dotychczas atak był zazwyczaj dość szybki, dokonywany pod wpływem silnych emocji, a te wyłączały myślenie. Teraz musiał swój plan zrealizować na zimno. A co innego być drapieżcą, a co innego katem. Co innego upolować zdobycz, a co innego dokonać na niej egzekucji. To są dwie zupełnie różne rzeczy.

W końcu jednak wstał, podszedł do drzwi i je rozsunął. Zrozumiał wtedy powód ciszy. Nie, jego więzień nie umarł. Patrzył na niego, choć jego wzrok wydawał się pusty i nieruchomy. Nie widział w nim nawet rezygnacji, nie było w nim nic. Mężczyzna stoczył walkę i ją przegrał. Próbował zedrzeć kajdanki z dłoni, próbował przełożyć je pod sobą, by mieć ręce z przodu, próbował wyswobodzić się jakoś, wyslizgnąć z uprzęży, lecz żadna z tych prób nic nie dała. Skórę na dłoniach i nadgarstkach zdarł do krwi, lewe ramię wykręcone było pod dziwnym, z pewnością sprawiającym ból kątem, całe jego ciało wisiało krzywo, jak zepsuta, zwichrowana marionetka. Na parkiecie pod nim widać było zaschnięte plamy krwi i potu.

Ale leżało tam jeszcze coś. Dowód ostatecznej klęski i prawdopodobna przyczyna kapitulacji. Mały metalowy kluczyk.

Podniósł go i przyłożył do zamka w kajdankach. Pasował. A więc pan komisarz miał go gdzieś schowanego. W kieszeni, a może w tym skórzanym etui na pasku. I próbował go wyjąć, by się uwolnić. Chciał wykorzystać szansę, którą on sam mu podarował;

nie pomyślał, że taki kluczyk może istnieć i że komisarz musi go mieć, skoro ma i kajdanki. Być może od początku taki był jego plan, gdy namawiał go, by zastąpić taśmę kajdankami. Co więcej, prawie mu się ten podstęp udał. Zdołał wykręconymi do tyłu dłońmi sięgnąć po kluczyk i go wyjąć. Był tak blisko zwycięstwa. Niestety w decydującym momencie wypuścił go z palców. Prawdopodobnie wtedy, gdy próbował włożyć go na ślepo do otworu w kajdankach za swoimi plecami. Kluczyk spadł na podłogę – nieodwołalnie i bezpowrotnie. Drugiej szansy już nie było i nie mogło być.

Zrobiło mu się go naprawdę żal. Niemal było mu przykro, że to się nie powiodło. Tyle nadziei, poświęcenia i takie rozczarowanie na koniec. Rozumiał go doskonale, potrafił wczuć się w tę sytuację – tak przecież wyglądało całe jego życie. Gdyby świat był sprawiedliwym miejscem, im obu powinno się udać. Ale nie był. I chociaż tym razem to on pozostawał zwycięzcą, to on miał szczęście, było w tym niepowodzeniu jego przeciwnika coś, co dotykało go osobiście.

Wiedziony jakimś impulsem poszedł do kuchni i wyjął z torby na zakupy butelkę ginu. Wrócił z nią do salonu i otworzył. Najpierw sam pociągnął spory łyk, a potem odkleił taśmę z ust mężczyzny, wyciągnął knebel i przytknął mu szyjkę do warg. Policjant chyba naprawdę był alkoholikiem, bo przyssał się do niej łapczywie i z wdzięcznością. A może po prostu rozumiał, co go czeka, i wolał się przedtem znieczulić. A może i to, i to.

Pozwolił mu pić długo; do rytuału wystarczy w zupełności ta połowa, która zostanie. Zrobił to nie tylko z litości, ale też i po to, żeby pokazać temu mężczyźnie, że w tym, co go czeka, nie będzie nic osobistego. Że jest między nimi jakaś wspólnota losów, że są niemal braćmi. To, co się stanie, musi się stać, i nikt już na to nic nie poradzi. Ale nie będzie w tym wydarzeniu, wbrew temu, co na początku sądził, ani nienawiści, ani złości, ani chęci odegrania się. Byli towarzyszami niedoli; takimi, których przeznaczenie obsadziło

w różnych rolach, lecz w tej samej sztuce. Łączyła ich więź, ta sama, która łączy lwa i antylopę. Więź przyjacielska, intymna, oparta na wzajemnym poszanowaniu i miłości. Mogliby teraz zapłakać nad sobą. Mogliby paść sobie w ramiona, gdyby nie to, że jeden z nich był związany. Mogliby wspólnie wyciągnąć w górę pięści i pogrozić obojętnemu niebu. Temu, którego na równi nie obchodzi los kata, jak i jego ofiary.

– Nie bój się – powiedział. – Postaram się nie sprawić ci więcej bólu, niż to jest absolutnie konieczne.

I może mu się wydawało, lecz dałby głowę, że policjant popatrzył na niego z wdzięcznością.

ROZDZIAŁ 87

Wenflon w łapie i jakieś głupie kabelki przyklejone do jego piersi. I maksymalny wkurw, że musi tu leżeć. Gdy weszła Seredyńska, o mało nie wyżył się na niej z tego powodu.

– Nie mówiłeś, że masz kłopoty z sercem – powiedziała.

– Nie mam – odpowiedział. – To tylko zawał.

Usiadła na krześle przy jego łóżku. Chyba była zmartwiona. Nie wiedział, nie patrzył na nią. Było mu wstyd, że tu tak leży przed nią w spranej, szpitalnej piżamie, wyglądając jak starzec na łożu śmierci. Nie był przyzwyczajony do takiego siebie. Co za upokorzenie! Kiedy to się stało? Kiedy z twardego faceta stał się umierającym dziadkiem? Nie mógł znieść siebie w tym szpitalu i nie mógł znieść tego, że ona to widzi.

– Jak się czujesz? – spytała.

I jeszcze ta troska w jej głosie! Jakby przyszła w odwiedziny do schorowanego wujka.

– Przewińmy może ten obowiązkowy wstęp z pytaniami o moje samopoczucie i przejdźmy od razu do rzeczy – rzucił przed siebie z irytacją.

– Nie przyszłam rozmawiać o śledztwie – odparła.

– To o czym?

– O tobie. Martwię się.

Powstrzymał się, żeby na nią nie warknąć.

– Niepotrzebnie – odpowiedział. – Już wszystko dobrze.

– Miałeś zawał.

– Ale niezbyt rozległy. Karetka szybko przyjechała. Nie ma uszkodzeń mięśnia sercowego.

– Dzwoniłeś do rodziny?

– Nie, i proszę, żebyś ty też ich nie zawiadamiała. Jeszcze mi ich tu brakuje.

– Może powinni wiedzieć? – Położyła mu dłoń na przedramieniu.

Dopiero po raz drugi, odkąd się poznali, dotknęła go w ten sposób. Ciepło przepływające z ciała do ciała pomimo tej szorstkiej piżamy spowodowało, że trochę złagodniał.

– Jeszcze nie umieram. – Ale tylko trochę. – Chyba że lekarze mi czegoś nie mówią?

– Wiesz przecież, że nie udzieliliby mi takich informacji.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Jak sobie radzisz? – spytał.

– Jak JA sobie radzę?

– Straciłaś w krótkim czasie dwóch współpracowników – zauważył.

– Nikogo nie straciłam – odpowiedziała z naciskiem. – Ani ciebie, ani jego.

– Wiesz przecież, o czym mówię.

– Och, nikt nie jest niezastąpiony, jak powiedział Ludwik XIV po śmierci Ludwika XIII – spróbowała obrócić to w żart. – Dostałam posiłki.

– Kogo?

– Od ciebie Wardęckiego.

Aleksanderski aż sapnął ze zdenerwowania.

– Przecież on nic nie wie o tej sprawie!

– Bo wszystko robiłeś sam. Może cię to czegoś nauczy na przyszłość.

Wolał tego nie komentować. Nie chciał się z nią teraz kłócić.

– A z CBS? – dopytał zamiast tego.

– Nie wiem, nie pamiętam nazwiska. Na razie do mnie tylko dzwonił. Zrobili to, o czym mówiła prokurator Walczak. Wyszukali

domy, które zostały niedawno kupione albo odziedziczone na terenie Starych Bielan i Marymontu. Jest kilka takich adresów. Teraz porównują dane ich właścicieli z danymi z urzędów komunikacyjnych ze wszystkich warszawskich dzielnic. Sprawdzają, czy któryś z nich nie ma zarejestrowanej skody octavii z interesujących nas roczników. Gdy to nic nie da, zajmą się miejscowościami ościennymi.

– A te domy, które są wynajmowane?

– Tu jest pewien problem – przyznała, krzywiąc się nieznacznie. – Nie ma takiej centralnej bazy. Umowy wynajmu nie są nigdzie rejestrowane. Mają je zainteresowane strony i agencje nieruchomości.

– A skarbówka?

– Po pierwsze różnie z tym bywa. Nie wszyscy to zgłaszają. A po drugie nie trzeba tam podawać adresu. Ale zajęli się tym. Sprawdzają najpierw miejscowe agencje i lokalne oddziały tych dużych, sieciowych. Ale taka umowa mogła zostać podpisana równie dobrze przez jakąś agencję z Mokotowa. Albo nawet z Siedlec.

– Cholera jasna. – Podciągnął się w górę na poduszkach. – To strasznie dużo roboty. Cała masa dłubaniny.

– Wiem.

– To może potrwać tygodnie. Nie mamy tyle czasu.

– Ale równie dobrze mogą na coś trafić dzisiaj.

Popatrzył na nią. Ewidentnie robiła dobrą minę do złej gry.

– A moi ludzie co robią?

– To samo, co im zleciłeś. Chodzą, węszą, pytają.

– Rozumiem.

Spojrzała mu w oczy.

– Nawet o tym nie myśl – powiedziała.

– O czym?

– Żeby stąd wyjść.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Akurat. Radzimy sobie, rozumiesz?
- Gównu sobie radzicie! - wybuchł nagle. - Nie mamy czasu czekać, aż ktoś coś wygrzebie w jakichś durnych bazach danych! Ten świr nie będzie siedzieć na dupie, aż coś znajdziemy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. To kwestia godzin, może doby. Trzeba wyjść w teren, coś zrobić!
- Co? - spytała spokojnie.
- Nie wiem. Jak wyjdę, to może się dowiem. Coś zobaczę, coś mi przyjdzie do głowy, coś skojarzę...
- A wcześniej dostaniesz drugiego zawału i narobisz wszystkim kłopotu. Odciągniesz nas od rzeczy, którymi powinniśmy się zajmować, bo zamiast szukać Halickiego będziemy ci ratować życie. Tego chcesz?
- Beze mnie go i tak nie znajdziecie.
- Bez dyskusji. Nie waż się stąd wypisywać, rozumiesz? Mam w perspektywie jeden pogrzeb, nie chcę mieć jeszcze jednego.

*

Wyszła. Musiała, inaczej mogłaby się rozplakać. Starła się grać spokój i opanowanie, ale w głębi duszy była kompletnie przerażona. Komisarz Aleksanderski miał rację: to, co robili, mogło nie wystarczyć. A ona nie miała pomysłu, co mogliby zrobić więcej. Nie tylko nie złapie swojego pierwszego mordercy, ale też pozwoli mu, by zabił jednego z jej współpracowników. I nie chodziło tu wcale o to, że pewnie wróci potem do oskarżania pijanych kierowców. Po prostu wiedziała, że nigdy sobie tego nie wybaczy i nigdy już potem sobie nie zaufa.

ROZDZIAŁ 88

Mężczyzna chyba zasnął po alkoholu, przynajmniej miał taką nadzieję. Obserwowanie przygotowań tylko przysporzyłoby mu stresu, więc jeśli można było tego uniknąć, to chyba tym lepiej. Gdy przyjdzie pora, ofiara powinna być przytomna, lecz na razie niech odpoczywa.

Nie był przecież sadystą, nie chciał się nad nią znęcać psychicznie. Chodził więc niemal na palcach i przygotowywał dekoracje do wieczornego obrzędu. Wokół fetysza, który znowu został nakryty materiałem, ustawił świeże bukiety kwiatów w wazonach. Naokoło, na półkach i na podłodze, zapachowe świece – wszystkie, jakie były w osiedlowym supermarkecie. Przed fetyszem, na podłodze, postawił trzy porcelanowe miski na ofiary – jeszcze nie wiedział, co się w nich znajdzie, nie podjął decyzji, na pewno w jednej będzie gin. Dlaczego właśnie gin, a nie na przykład whisky? To też była kwestia wyboru. Sprawdził to, zrobił research, w tym jednym przypadku zdążył: w kultach afrykańskich używa się głównie jego; na Karaibach preferuje się rum; szamani syberyjscy z kolei zdecydowanie wolą wódkę. Co prawda ten krótki przegląd wskazywał, że wykorzystuje się zwykle ten alkohol, który jest najpopularniejszy na danym terenie, lecz on mimo wszystko wybrał gin. Wydał mu się najlepszy, bo był najbardziej aromatyczny. Zawierał zioła i przyprawy, a one przecież nigdy nie zaszkodzą. Poza tym Afryka jest kolebką ludzkości, powinna mieć więc naturalne pierwszeństwo.

Gdy już wszystko poustawiał, poszedł do kuchni. Wyjął z siatki duży, kuchenny nóż, który też dziś kupił. Wydobył go z plastikowego, ochronnego opakowania i sprawdził ostrość. Była więcej niż zadowolająca. Miał już co prawda taki sam w szufladzie, ale ten był dziewiczy, jeszcze nieużywany. Nie wiedział, czy ma to jakieś znaczenie, ale wolał nie ryzykować. Oprócz tego ten nowy był ostrzejszy, a to już na pewno się liczyło.

Spojrzał za okno. Dzień jeszcze nie chylił się ku zachodowi, a wypadałoby przecież poczekać na mrok. To prawdopodobnie również nie miało znaczenia, lecz jakoś tak się przecież utarło, że tego typu obrzędy raczej odprawia się w nocy. Być może chodziło o to, by życiodajne światło słońca, tego najstarszego z dobrych bóstw, nie oświetlało czegoś, co ze swej natury zawsze przynależało bardziej do świata śmierci, zła i ciemności. I co swoją miłosierną mocą mogłoby coś popsuć, a przynajmniej mocno utrudnić. A może po prostu w grę wchodził nastrój. Nocą świece, pochodnie i ogniska zdają się płonąć intensywniej, a tajemnice są bardziej tajemnicze.

W każdym razie miał jeszcze parę godzin, z którymi nie za bardzo wiedział, co robić. Wrócił do salonu i dokładnie go zamiótł. Czytał kiedyś, że tak właśnie robili kapłani słowiańskiego Świętowita w rugijskiej Arkonie przed ważnymi ceremoniami, więc to również nie mogło zaszkodzić. Potem wykapał się, ogolił i zmienił wszystkie ubrania na czyste. Rytualne ablucje również należały do dziedzictwa wielu kultur. Mógł mieć co prawda wątpliwości, czy jego pokryty kurzem fetysz, karmiący się krwią i przystrojony od góry niewyprawionym ludzkim skalpem, potrzebuje aż takiej higienicznej skrupulatności, lecz przecież tak naprawdę nie chodziło tu wcale o niego. Chodziło o kapłana, celebransa; o to, by mógł okazać szacunek sile, z którą chciał wejść w kontakt, by mógł przygotować się i nastroić na jej spotkanie. On – który miał dziś stać się takim właśnie kapłanem – również potrzebował to zrobić. Potrzebował przestawić swoje myślenie na inny tryb. Taki,

w którym to, do czego dążył, stawało się możliwe i prawdopodobne. W którym nie zaatakują go nagłe wątpliwości.

Kiedy więc przebrał się już w spodnie od garnituru i białą, lekko żółkłą ze starości koszulę; kiedy już uczesał włosy i skropił kark, nadgarstki i szyję wodą toaletową; kiedy już wybrał najodpowiedniejszą muzykę i włożył płytę do odtwarzacza tak, że wystarczyło go tylko włączyć; kiedy już wreszcie zdecydował, co powinno się znaleźć w pustych dotąd miseczkach ofiarnych prócz ginu – w jednej miód, w drugiej woda zmieszana z mąką; kiedy już rozsypał wokoło sól i posypał podłogę oberwanymi płatkami kwiatów – wtedy wreszcie uznał, że jest gotowy.

Teraz wystarczyło już tylko czekać.

ROZDZIAŁ 89

Pielęgniarka przyszła, sprawdziła poziom kroplówki i wyszła. Chwilę później przyniesiono kolację: dwie kromki zwykłego chleba, plaster paszтетowej, małą kostkę zmrożonego na kamień masła i dwa plasterki ogórka. Wystawna ucztą, nie ma co. Ciekawe, czy przestępcy, których wsadził, żywią się lepiej, czy gorzej? Mógłby się założyć, że lepiej.

Posmarował jedną kromkę paszтетową, a na drugiej spróbował rozsmarować masło. Z mizernym skutkiem. W zasadzie tylko wcisnął je w głąb chleba, niemal rozrywając przy okazji kromkę. Położył na tym wszystkim ogórki, złożył całość na pół i tak zaczął jeść. Smakowało tak, jak wyglądało, za to paszтетowa była nawet całkiem dobra. Dawno jej nie jadł, a to jedna z tych prostych, tanich rzeczy, które mają swój urok. Gdyby jeszcze była do tego musztarda...

W połowie kromki jednak i tak odechciało mu się jeść. Przypomniwał sobie o Halickim. Niezbyt to były przyjemne myśli i na pewno średnio wspomagające apetyt. Co z nim teraz było? Żył czy nie? A jeśli żył, to w jakim był stanie? „Ty tu sobie, kolego, jesz paszтетową, a ja umieram”. Tak by mógł do niego powiedzieć i miałby rację.

Odłożył niedojedzoną kromkę na talerz. Po raz tysięczny spojrzął z nienawiścią na kroplówkę. Dziś był w pokoju jeszcze sam, lecz jutro, jak mu zapowiedziano, mieli przyjąć kogoś na planowaną operację i położyć go właśnie w tej sali. Jeszcze i to. Będzie tu leżał z jakimś starym, kaszlącym i jęczącym chłopcem, który do tego na

pewno będzie próbował z nim rozmawiać. Nie cierpiał tego. Dlatego zawsze, kiedy musiał, jeździł uberem, nie taksówką. Wszyscy ci Gruzini i Pakistańczycy przynajmniej się nie odzywali, bo nie umieli po polsku.

Im w ogóle był starszy, tym bardziej denerwowali go inni ludzie. W zasadzie mógłby ich mordować, jak tamten świr. Przynajmniej dość często miał na to ochotę. Zaskakująco często. Leżenie w jednym pokoju z obcym facetem raczej tego nie zmieni. Będzie go irytował choćby tylko tym, że oddycha.

Nawet teraz był podminowany, a przecież wciąż był sam. Co dopiero będzie, jak na łóżku obok ktoś będzie stękał, przewracał się albo chrapał w nocy? Bo że będzie chrapał, to pewne. Starzy ludzie chrapią. Dlatego powinni mieszkać sami, tak jak on.

Spojrzał na zamknięte drzwi. I na okno, w którym chyba tylko dla niepoznaki nie było kraty. Czuł się tu jak w więzieniu, jak w pułapce. Jak pies zaprzęgowy, który złamał nogę i nie może ciągnąć sań. Takie psy – pamiętał to z książek Jacka Londona – biegną obok zaprzęgu, dopóki nie zdechną. Nie są w stanie odpuścić, nawet wiedząc, że je to zabije.

Podciągnął się na poduszce. Było mu niewygodnie. Kiedy ta pieprzona kroplówka się wreszcie skończy? Płyn kapał w tempie chyba kropli na godzinę. Wszystko go tu denerwowało, nawet to. Człowiek po zawale powinien raczej unikać stresu, a jego wkurzało najbardziej to, że musiał tu leżeć beczynnym jak worek kartofli. Jak głupi worek głupich, nikomu niepotrzebnych ziemniaków. Jeszcze chwila i dostanie drugiego zawału tylko z tego powodu.

Żeby się uspokoić, zaczął myśleć o śledztwie. Może to dziwne, biorąc pod uwagę wielką dupę, w jakiej się teraz znaleźli, ale od razu pomogło. Tę rzeczywistość znał, rozumiał, czuł się w niej bezpiecznie. Nawet gdy było niewesoło, tak jak teraz.

Więc dobrze, co mieli? Halicki został porwany, ale raczej jeszcze żyje. Gdyby ten świr chciał go tylko zabić, zrobiłby to od razu. Podjął spore ryzyko, ładując go do samochodu i gdzieś wywożąc.

Ryzyko podejmuje się nie bez powodu. Do czegoś jest mu więc on potrzebny, tylko do czego?

Nie chodzi o okup, to już zostało ustalone. Aleksanderski nie sądził też, by w grę wchodziły jakieś seksualne ekscesy; dotychczasowy sposób działania sprawcy na to nie wskazywał. Może więc jakiś rodzaj tortur? To już było bardziej prawdopodobne. Poprzednie jego ataki cechowały spora gwałtowność i okrucieństwo. Chociaż nie, nie okrucieństwo, to chyba nie tak. Przypominało to bardziej szal, amok, nie świadome zadawanie bólu. Nie sprawiał wrażeń człowieka, który się w czymś takim lubuje. Spora część obrażeń u jego ofiar powstawała pośmiertnie. Więc chyba raczej nie chodziło o tortury. Komisarz nie był może profilerem ani psychologiem, ale wizja sprawcy wrywającego paznokcie wyjącemu z bólu Halickiemu w jakiejś ciemnej piwnicy nie bardzo do niego przemawiała.

Więc o co chodziło? Przypomniawszy sobie wszystko, co o sprawcy mówili Zemler oraz ten profesorek z uniwersytetu, jak mu tam było... Królikiewicz. Silnie odczuwany strach przed śmiercią. Spowodowany prawdopodobnie nieuleczalną chorobą. „Odrobina nicości” z wiersza znalezionej pod murem cementarza. Chęć ucieczki od tego wszystkiego, zapomnienia o tym strachu przez zabijanie innych ludzi. „Przygotuj potrawę z nudy twoich dni...”

Nagle uświadomił sobie, że sam znalazł się w podobnej sytuacji. Jemu też śmierć zajrzała w oczy. Może więc powinien spróbować przepuścić to przed siebie, wejść w skórę tamtego człowieka, skoro, jak wszystko na to wskazuje, mieli podobne doświadczenia? Nie spodobała mu się ta myśl. Nie lubił grzebać sobie w bebeczach, nie należał do tego typu ludzi. Ale może była to jedyna droga?

No dobrze, niech będzie. Zabawmy się w psychoanalizę. Doktor Aleksanderski bada przypadek komisarza Aleksanderskiego, samotnego mężczyzny po rozwodzie u kresu swojej zawodowej kariery, którego po raz pierwszy liznął ozór nicości, uświadamiając

mu, że jednak nie jest niezniszczalnym twardzielem. Pomówmy o tym, jakich uczuć przez to doświadcza.

Aż się wzdrygnął na tę perspektywę.

Ale trudno. Co lepszego miał do roboty, leżąc pod tym kocem obleczonym w sztywną, białą poszwę bez żadnego wzoru? Swoją drogą, w czym oni to piorą, że w dotyku przypomina namoczony w wodzie, a potem wysuszony karton? To również go niemożliwie irytowało.

A więc wyjdźmy od tego. Dlaczego wszystko go tak strasznie denerwuje? Dlaczego omal nie wyżył się na Seredyńskiej, mimo że jest jedną z naprawdę niewielu osób, na których mu zależy? Dlaczego prawie znenawidził tego biednego gościa, który tu jutro przyjdzie i którego przecież nawet nie widział na oczy? Musi spróbować na to spojrzeć obiektywnie, chłodno, odsuwając na bok to wkurwienie, które nawet teraz w nim wzbiera. Czy chodziło tylko o to, że musi tu leżeć beczynnienie? A może powód był inny? Taki sam, jak u tamtego świra? Może po prostu bał się, bał się śmierci, która po raz pierwszy z tak bliska zajrzała mu w oczy, a jego wściekłość była tak naprawdę skierowana na niego – wściekał się na siebie, że jest stary i niedługo umrze.

Nie pomogło mu to całe myślenie. To bzdura, co wygadują ci wszyscy magicy od głowy, że wystarczy zajrzeć w głąb siebie, żeby poczuć się lepiej i rozwiązać swoje problemy. On od tego poczuł się tylko gorzej. Poczucił się, jakby już umarł; jakby zmarnował, przepieprzył całe swoje życie, wszystko po drodze psując i niczego nie doprowadzając do zadowalającego końca, nawet swojego ostatniego śledztwa. Prawda jest taka, że zawiódł. Zawiódł przede wszystkim samego siebie; zawiódł swoją żonę, dla której nie musiał być aż tak nieczułym palantem; zawiódł swoich synów, bo pozwolił, by rozpadła im się rodzina; teraz zawiódł Seredyńską i Halickiego, któremu nie pomoże, bo właśnie zdycha. I nie mógł, nie miał już czasu, by to naprawić. Minęło, przepadło, nic się już nie da zrobić. Umrze z posmakiem klęski w gębie.

Nie, wróć. Nie wszystko jeszcze było stracone. Nie wszystkiego nie da się już naprawić. Miał jeszcze przed sobą swoją ostatnią walkę, mógł ją wygrać. I zrobi to, choćby miał zdechnąć na koniec.

Zerwał elektrody ze swoich piersi, a potem wyszarpał wenflon. Trochę krwi poleciało na białą, sztywną, kartonową pościel. Zrzucił tę zniechęconą szpitalną piżamę i przebrał się w swoje prywatne ciuchy. Potem wyszedł i ruszył do wyjścia. Pielęgniarka w dyżurce spojrzała na niego zdziwiona, lecz jego wzrok chyba powiedział jej wszystko.

– Na własną prośbę – rzucił jej tylko, wychodząc. Ten gość, który tu jutro przyjdzie, będzie miał przynajmniej całą salę dla siebie.

ROZDZIAŁ 90

Po wizycie w szpitalu wróciła do swojego gabinetu w prokuraturze. Co innego mogła zrobić? Przecież nie będzie chodziła po mieście i zaglądała ludziom w okna jak ostatnim razem. Tym zajmowało się CBS i policja z komendy na Żeromskiego. Musi wierzyć, że znają się na swojej robocie i że odnajdą Halickiego, jeśli im pomoże stąd, zza swego biurka.

Zadzwoiła do oficera, który został przydzielony do jej grupy śledczej w zastępstwie porwanego komisarza. Zapamiętała już jego nazwisko – Rudnicki. Podkomisarz. Miły głos, budzący zaufanie. Ale nie tak męski jak Halickiego. Poprosiła, żeby zreferował jej pokrótce owoce ich dotychczasowej pracy. Wyczuła skrywane zniecierpliwienie. Zapewne uważał, że rozmowa z prokuratorem w tym momencie to strata czasu. Czasu, który powinien poświęcić w całości poszukiwaniom swojego kolegi. Pewnie miał rację, ale nie mogła przecież siedzieć beczynnie. Musiała coś robić, a przynajmniej udawać, że robi.

Poza tym to ona formalnie kierowała śledztwem. Wiedział o tym, więc nie posunął się poza to lekkie danie jej do zrozumienia, że ma teraz ważniejsze rzeczy do roboty. Obiecał wysłać jej listę osób, które kupiły lub odziedziczyły domy na interesującym ich terenie w ciągu ostatnich kilku lat. Było ich podobno całkiem sporo. W końcu to Warszawa, a Bielany i Marymont to pod tym względem dość atrakcyjny teren. Można tu kupić dom położony w miarę blisko centrum i wciąż jeszcze za niezbyt wygórowaną cenę.

Gorzej przedstawiała się sprawa z porównaniem tych nazwisk z danymi z wydziałów komunikacji. Było po szesnastej, wszystkie warszawskie urzędy już pozamykano. Trzeba było odnajdywać odpowiedzialnych za to urzędników w domach, a potem jechać z nimi do ich pracy, by w swoich bazach danych odszukali interesujące policję informacje. Wszystko to zajmowało dużo czasu i jak na razie nie przyniosło żadnych efektów.

Rozłączyła się. Poczowała się nagle bardzo sama i bardzo bezradna. Ten ton zniecierpliwienia w głosie Rudnickiego w dziwny sposób ją dobił. Normalnie by się tym nie przejęła, jeszcze by go zrugowała i pokazała mu jego miejsce, ale w tym konkretnym przypadku była to o jedną rzecz za dużo. Nie było przy niej nikogo, kto byłby jej życzliwy. Halicki porwany, Aleksanderski w szpitalu, nawet prokurator Walczak gdzieś zniknęła, zajęta którąś z innych swoich spraw, choć za nią akurat Seredyńska niespecjalnie tęskniła. Straciła swoje wojsko, swoją drużynę. Nic dziwnego, że Rudnicki tak ją traktował. Wszyscy już wiedzieli o jej klęsce, zaczął się proces odsuwania jej i wypychania. Nie miała chłopaka, stosunki z ojcem, mimo jej starań, wciąż były dalekie od normalności, do tego jej kariera właśnie się sypała, i to z jej winy. Halicki, człowiek, w którym przed chwilą omal się nie zakochała, umierał gdzieś, a ona nie potrafiła mu pomóc. Prokurator Walczak miała rację: za szybko przeszła do okręgowej.

Zaczęła płakać. Rycząc już, wstała i zamknęła drzwi, by nikt nie był świadkiem jej upokorzenia, mimo iż o tej porze w prokuraturze nie było zbyt wielu ludzi. Potem wróciła do biurka. Łzy płynęły jej po policzkach i spływały po brodzie, tworząc u jej podstawy nieprzyjemnie mokre miejsce. Nie nadawała się do tej pracy. Powinna być twarda, a jest słaba. Ktoś taki ma łapać morderców i wsadzać ich za kraty? Wolne żarty.

Przyszedł w końcu mail od Rudnickiego. Spis adresów i nazwisk. Nie orientowała się, gdzie są te wszystkie miejsca, zbyt słabo jeszcze znała Warszawę. Żeby się czymś zająć i przestać płakać,

otworzyła w komputerze mapę i zaczęła po kolei sprawdzać poszczególne adresy. Nie wiedziała w sumie, po co ani co by to mogło dać. Policjanci z CBS i z Żeromskiego na pewno się przecież tym zajmą. Odwiedzą wszystkich tych ludzi, przeszukają ich domy; być może nawet teraz to robią. Chodziło tylko o to, by przestać myśleć i czymś się zająć. Czymkolwiek.

Ta mechaniczna w pewnym sensie praca w końcu ją uspokoiła. Brała po kolei każdy adres i odnajdywała go na mapie. Żadna z tych lokalizacji nic jej nie mówiła, ciągle nie wiedziała, gdzie to jest, znała w końcu tylko mniej więcej położenie głównych ulic, więc żeby choć trochę przybliżyć je sobie, przechodziła na widok z satelity albo na tryb *street view*. Oglądała te domy jeden po drugim. Niektóre nie miały garażu, więc odpadały. Ale pozostałe? Pozostałe wyglądały normalnie. Nie było w nich nic niepokojącego ani demonicznego. Żaden nie wyglądał na taki, w którego piwnicach mógł być przetrzymywany zakładnik.

Zaraz, jeden z domów w pewnym momencie zwrócił jednak jej uwagę. Coś jej przypominał; miała wrażenie, że była tam już kiedyś. Zdjęcia na *street view* są co prawda zazwyczaj sprzed kilku lat i czasami trudno poznać na nich rzeczywiste miejsca, ale ten dom wydał jej się znajomy. Sprawdziła jeszcze raz adres. Ulica Brochowska. Czy to nie tam byli z komisarzem Aleksanderskim? Niedługo przed tym, jak trafił do szpitala?

Tak, to ten dom. Miała tam wtedy dziwne przeczucie. Jakby coś było z nim nie tak. Poleciała nawet komisarzowi, by jeszcze raz go sprawdził. Czego pewnie nie zrobił, biorąc pod uwagę to, co się wkrótce stało. Ona też o nim zupełnie zapomniała, i to z tego samego powodu. A teraz się okazuje, że jest to jeden z tych budynków, które są na ich celowniku.

Podniosła komórkę i zadzwoniła jeszcze raz do Rudnickiego. Sposób, w jaki powiedział „słucham”, świadczył wyraźnie, że uznał ją już za upierdliwą babę. Tym razem jednak miała to w dupie. Spytała, czy zajmowali się już domem przy Brochowskiej. Nie,

jeszcze nie. Czy jego adres wypłynął w którymś urzędzie komunikacji? Też nie, ale tu są dopiero najwyżej w połowie roboty.

– Zajmijcie się nim w pierwszej kolejności – powiedziała.

– Dlaczego? – spytał. – Ma pani na jego temat jakieś informacje?

Zawahała się, lecz w końcu odpowiedziała:

– Nie, mam przeczucie.

– Przeczucie? – Ironia, tym razem nieukrywana.

– Tak, przeczucie – rzuciła ze złością. – Które w pana przypadku zamienia się w polecenie służbowe. Czy jasno się wyraziłam?

– Tak, oczywiście. Nie ma problemu.

Niemal zobaczyła, jak podkomisarz Rudnicki kładzie uszy po sobie.

ROZDZIAŁ 91

Wrócił taksówką do miejsca, gdzie stał zaparkowany jego samochód, wsiadł w niego i zaczął krążyć po mieście. Ulica Lektykarska, potem w górę Podleśną, dalej Podczaszyńskiego, Cegłowska, Babicka, Rytelska – wszystkie te małe uliczki z domami ciasno zbudowanymi przy sobie; przeciął Kasprowicza i z drugiej strony: Fontany, Lisowska, Hajoty... Jeździł bez celu, wolno, wypatrując czegokolwiek odbiegającego od normy, dziwnego albo w ogóle jakiegoś. Już nawet nie srebrnej skody z rysą na burcie, ale kurwa-nie-wiadomo-czego. Mając nadzieję, że coś przyjdzie mu do głowy, coś mu się z czymś skojarzy, coś zaskoczy w jego starej, przegranej łepetynie. Potem wjechał na Żeromskiego, wrócił w kierunku Słodowca, zahaczając po drodze o brzydkie, niskie domki przy ulicy Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej; przejechał koło swojej komendy, wyjechał na Marymoncką, skręcił w lewo, potem w prawo, koło banku PKO, przecinając tory tramwajowe i wjeżdżając na ulicę Zabłocińską.

Był teraz po drugiej stronie Marymonckiej, w tym dziwnym miejscu, gdzie nowe, luksusowe apartamentowce sąsiadowały, często ściana w ścianę, ze starymi, parterowymi ruderami jeszcze sprzed wojny. Gdzie wychodząc na taras swojego mieszkania za trzy miliony, można było zajrzeć na podwórko pełne rupieci, wybebeszonych pralek i przegniłych desek z nieodłącznym stojącym przy bramie wrakiem dużego fiata lub volkswagena golfa sprzed dwudziestu lat.

Zatrzymał się na końcu alei Słowiańskiej. Była to najdziwniejsza aleja w całej Warszawie. Przed wojną planowana jako główna, reprezentacyjna arteria tej części miasta, po wojnie została zapomniana, zamknięta ulicą Marymoncką i zdegradowana do kalekiego tworu – szerokiego, krótkiego i prowadzącego znikąd donikąd. Po jednej jej stronie wznosiły się opuszczone ruiny z zakrzaczonymi podwórkami, po drugiej nowe domy. Nikt tędy nie jeździł i rzadko kto chodził, bo i po co.

Wysiadł. Nabrał nagle strasznej ochoty na papierosa. Normalnie nie palił, paczka, którą trzymał w schowku w aucie, była tylko na specjalne, zazwyczaj niezbyt przyjemne okazje, lecz teraz, jak na złość, mimo tego, że w obecnej sytuacji już naprawdę nie powinien, poczuł przemożną chęć, by wciągnąć dym do płuc, a potem go wydmuchać. Gdzieś z dala dobiegały odgłosy muzyki. Samochodowe radio podało, że ta noc będzie najkrótszą w roku. W Parku Fontann nad Wisłą, u stóp Zamku Królewskiego, odbywał się z tej okazji koncert połączony z pokazem sztucznych ogni i czegoś jeszcze – współczesna popkulturowa wersja prasłowiańskich obrzędów.

Ruszył powoli w kierunku Stawów Kellera. Wciągał powietrze nosem, głęboko, jakby faktycznie był psem próbującym wyczuć, z którego domu unosi się zapach śmierci, agresji i przerażenia. Było już późno, choć jasno ciągle jak w dzień. Słońce zajdzie pewnie dopiero za jakąś godzinę. Po co tu w zasadzie przyjechał, czego szukał? Znaku, przecucia, nagłego rozbłysku zrozumienia? Żadnej z tych rzeczy nie znalazł.

Gdzieś tam, wiedział o tym, żarna CBS miały i przesiewały informacje o okolicznych mieszkańcach. Koledzy Halickiego w końcu odnajdą w tonach urobku jeden mały złoty samorodek – nazwisko zabójcy. To się na pewno, na sto procent stanie, choć dla ich szefa może już być za późno. Lecz w czym on mógł im pomóc? Jaka mogła być jego rola, prócz tego łożenia bez sensu? Poczuł się stary – stary i bezużyteczny. Jeśli to miała być jego ostatnia bitwa,

to nawet nie wiedział, gdzie miałby ją stoczyć. Niepotrzebnie wychodził ze szpitala. Wykonał jedynie pusty, dramatyczny gest bez żadnego znaczenia.

Doszedł do końca alei i skręcił w lewo, w ulicę Kolektorską. W zasadzie mógłby już wracać; przestał wierzyć, że to cokolwiek da. Ale aż tak bardzo, ostatecznie do porażki przyznać się nie potrafił. Szedł więc dalej.

To tu był ostatnio z Seredyńską, niedaleko stąd miał ten cholerny zawał. Źle mu się kojarzyła ta okolica, ale jednocześnie coś go tu przyciągało. Może próbował zacząć w miejscu, w którym wtedy skończył? Podjąć przerwany trop? Pewnie z psychologicznego punktu widzenia miało to jakieś wytłumaczenie, nie znał się na tym.

Jakikolwiek byłby tego powód, coś go pchało do przodu. Doszedł do schodków i zszedł nimi w dół. Zaczął krążyć po wszystkich tych wąskich uliczkach ciągnących się na tyłach zbudowanych wyżej apartamentowców. Małe domki wyglądały przy nich jak grzyby u stóp potężnych drzew. Ale jednocześnie było w nich coś romantycznego, swojskiego. Tak mogłyby wyglądać prawdziwe chaty hobbitów.

Łącząc tak bez celu, zaczął ponownie analizować sprawę. A w zasadzie nie analizować, to nie było odpowiednie słowo. Miał i międlął w głowie wszystkie informacje o niej, i robił to poniekąd bezwiednie. Pozwolił sobie nieco odpłynąć; pozwolił, by jego myśli krążyły tak samo bez celu i planu, jak robił to on sam. Przypominało mu się co i raz coś innego. Przed oczami stawały mu obrazy, które zapadły mu w pamięć podczas tego śledztwa: tamta kobieta z głową nakrytą poduszką, nacięcia na twarzy Różańskiego, słoiczek z krwią, którego przecież tak naprawdę nigdy nie widział, ale który pojawił się nagle przed nim, jakby był prawdziwym wspomnieniem. Jego mózg łączył je ze sobą, zestawiał w najrozmaitszych konfiguracjach, jakby próbował na ślepo

dopasować kluczyk do zamka. W tle cały czas brzęczała muzyka znad Wisły.

Najdłuższy dzień w roku powoli chylił się ku końcowi. Zamiast niego od wschodu nadciągała najkrótsza noc. Na złość władzom miasta i widzom koncertu zaczął padać deszcz. Być może przez to jego myśli odbiegły od zadanego tematu. Zaczął wyobrażać sobie płonące ogniska nocy kupały, skaczących przez nie chłopców i dziewczęta w wiankach, na których rozpalone od żaru twarze spadają chłodzące krople z nieba. Marna raczej szansa, by taki widok można było dziś zobaczyć w Parku Fontann, jeśli już, to raczej na jednej z plaż po drugiej stronie Wisły. Z tym że tam, do tego obrazka rodem ze *Starej Baśni*, trzeba by jeszcze dołożyć piwo w puszkach, wódkę i paloną w skrętach marihuanę. „Dawne obrzędy nie umierają, przekształcają się tylko, a ich forma trwa dłużej niż zapominana treść” – przypomniał sobie zdanie, które kiedyś usłyszał, oglądając jakiś film na Discovery. Samotne wieczory sprzyjają poszerzaniu horyzontów.

Dobrze, wróć, naprawdę za daleko odbiegł od tego, o czym powinien myśleć. Luźne skojarzenia luźnymi skojarzeniami, ale są pewne granice. Za chwilę zacznie przypominać sobie harcerstwo i kiełbasy pieczone na kijach nad ogniskiem.

Nagle stanął. Coś z czymś się połączyło, tylko nie wiedział co z czym. Jakby w jego głowie rozświetliły się synapsy. O czym ostatnio myślał? O kiełbasie. Nie, to nie chodziło o to. To o co? Spróbował wrócić po śladach swoich myśli. Ognisko, noc kupały, prastare obrzędy, najkrótsza noc w roku... A wcześniej? Krew w słoiczku, pocięta twarz, maska skradziona z atelier tej Mulatki – to akurat pojawiło się dopiero teraz. Już wiedział. Wiedział, po co temu świrowi Halicki. Żywy Halicki. Trzęsącymi się z emocji dłońmi wyciągnął z kieszeni telefon. Na rozświetlony w nadciągającym coraz szybciej zmroku ekran padały krople deszczu. Wybrał numer Seredyńskiej. Odebrała szybko, po drugim sygnale.

– Już wiem – powiedział. – Wiem, co się stanie, i wiem kiedy.

ROZDZIAŁ 92

Słońce już zaszło; mrok nadszedł szybko, przyspieszony jeszcze deszczowymi chmurami. Latarnie zaświeciły się, lecz niewiele to dało. Na tej czwartorzędnej, zapomnianej przez urzędników i służby miejskie ulicy nie było ich zbyt wiele, do tego ta przed jego domem od wielu tygodni już nie działała. Dźwięki dochodzące z salonu świadczyły o tym, że jego baranek ofiarny wreszcie się obudził. Chyba już pora, pomyślał. Czas się szykować.

Wciąż jednak się nie ruszał. Stał przed oknem w kuchni i patrzył na ulicę. Na chodniku i nawierzchni powoli znikwały wszystkie suche miejsca. Światła dalekich bloków błyszczały w wilgotnym powietrzu.

Spojrzał na termometr za szybą; szykowałą się ciepła noc. Zapragnął nagle wyjść na zewnątrz i ruszyć w tym deszczu gdzieś przed siebie. To mogłoby być naprawdę bardzo przyjemne. I odsunęłoby w czasie to, co nieuniknione.

Wiedział, że to tylko jego przerażony umysł próbuje wymyślić pretekst, by on sam nie musiał robić tego, co zrobić było trzeba. To była jego stara zagrywka, pamiętał ją jeszcze ze szkoły. Był taki chłopak, uwziął się na niego. A on codziennie rano próbował odwlec moment wyjścia z domu, by nie musieć go znowu spotykać.

W końcu jednak wychodził, nie miał przecież innej możliwości. Teraz też nie miał, wiedział o tym. Musiał doprowadzić do końca to, co zaczął, i to pomimo tego, że nawet zdążył polubić tego wiszącego kilka metrów stąd mężczyznę. Ale to nawet dobrze, w ten sposób

ofiara będzie miała większą wartość. Jeśli poświęca się coś, co nie jest ci obojętne, bogowie bardziej to doceniają.

Tak, nie jest łatwo zacząć. To zawsze jest najtrudniejszy moment. Zwłaszcza jeśli trzeba to zrobić tak, jak teraz – bez impulsu wynikającego z gniewu, bez zapalnika z rozzarzonej wściekłości, mocą zwykłej, świadomej decyzji. Jak wybrać odpowiednią chwilę? Dlaczego ta właśnie ma być lepsza niż wszystkie następne? Świetny moment wybrał sobie na takie filozofowanie, nie ma co. Prawda jest taka, że się bał i stąd te wszystkie myśli. Musi po prostu zacząć, zrobić pierwszy krok. Potem już jakoś pójdzie, a jego strach da mu napęd, zamieniając się w agresję.

Chwycił w dłoń nóż leżący na stole. Jeszcze raz palcem sprawdził jego ostrość. Potem odkaził go spirytusem salicylowym, choć, jak uświadomił to sobie już w trakcie, nie miało to najmniejszego sensu. Kolejna rzecz, którą jego mózg wymyślił, by jeszcze tam nie iść.

W końcu jednak odwrócił się i poszedł. Dość tego. Z każdym krokiem serce podchodziło mu coraz wyżej do gardła. Czuł treść, regularną treść, jakby wychodził na scenę przed wielotysięczną publicznością. A tymczasem widzów miało być tylko trzech: on, pan komisarz i to coś, czego znakiem był fetysz. Kameralne widowisko, można powiedzieć. Ale o jakim natężeniu emocji!

Podszedł do wiszącego mężczyzny. Ściągnął mu bawełnianą torbę z głowy i przyjrzał się odsłoniętej teraz twarzy. Komisarz zmrużył oczy, w ich kącikach widać było łzy i małe, żółte grudki ropy. Wciąż pozostawał półprzytomny, nie wiadomo, czy od alkoholu, czy ze zmęczenia i psychicznego wyczerpania.

Zostawił go na chwilę po to, by zapalić świece i uzupełnić zawartość ofiarnych misek. Potem zgasił światło i włączył muzykę. Na końcu ściągnął materiał z fetysza. Niechaj się zacznie, pomyślał.

Transowy rytm indiańskich śpiewów dobiegał z głośników. Żadnych instrumentów z wyjątkiem grzechotek i bębnów, do tego rytmiczne zawrodożenie w powtarzalnych sekwencjach. Specjalnie

wybrał taką płytę, długo jej szukał. Przywodziła mu na myśl szamańskie pieśni, bo tych znaleźć na płycie nie zdołał. To, co słyszał teraz, nie było jednak złe, wystarczało. Było dzikie i w pewnym sensie nieludzkie. Jakby te dźwięki dochodziły z zaświatów.

Podniósł odstawioną wcześniej na regał butelkę ginu. Najpierw nalał go trochę do miseczki, potem sam pociągnął solidny łyk. Poczuł, jak ciepło rozchodzi mu się po członkach, jak spowalniają i przytępiają się jego myśli. Dobrze, bardzo dobrze. Odrobina otępienia na pewno mu się teraz przyda.

Kolejny łyk, tym razem mniejszy. Rozpylił go na fetysz, wykorzystując usta. Drugim w taki sam sposób opluł twarz komisarza. Mężczyzna zamrugnął, skrzywił się lekko i chyba oprzytomniał, bo popatrzył na niego, jakby go właśnie dostrzegł. Przybliżył się do komisarza i spojrzał mu głęboko w oczy. Już się nie bał. Gin i ta monotonna muzyka robiły swoje. Poczuł, jak włoski podnoszą mu się na przedramionach i karku.

Mężczyzna rozejrzał się, jakby przypominał sobie, gdzie jest i o co w tym wszystkim chodzi. Do jego oczu powróciło przerażenie. Spróbował krzyknąć albo coś powiedzieć, lecz knebel i taśma skutecznie wytłumiły i zniekształciły dźwięk. Zabrzmiało to jak wycie w poduszkę. Nawet zabawnie.

Teraz to komisarz się bał, nie on. Ciekawe, czy każdy na jego miejscu odczuwałby taki strach? Wszyscy słyszeli chyba kiedyś opowieści o odwadze w obliczu śmierci, o harcie ducha i pogardliwej obojętności wobec nadciągającej kaźni. Ale czy były one prawdziwe? Czy rzeczywiście można nie pocić się z przerażenia w takiej chwili? A może, jak zwykle, wszystko zależy od okoliczności? I od konkretnego człowieka. Chociaż pan komisarz, twardy gliniarz, zawsze zwycięzca, powinien być raczej dobrym kandydatem na nieulekłego herosa.

A może było właśnie odwrotnie? Wieczne powodzenie nie przygotowało go do takiej chwili. Nie był przyzwyczajony do

sytuacji, gdy katastrofa nadciąga nieubłaganie i nieuchronnie.

Rozpiął, a potem rozdarł mu koszulę na piersi, odsłaniając szyję i tors. Tors męski, umięśniony, a nawet – co zauważył z pewnym zdziwieniem – wydepilowany. Pan komisarz dbał o swój wygląd. Jego ciało, jak to się ładnie mówi, było jego świątynią. Teraz ta świątynia zostanie zbezczeszczona i złożona na ołtarzu w innej świątyni. Było w tym coś ironicznego.

Już mu nie współczuł, nie czuł więzi z tym czymś przed nim. Z tym przerażonym, pocącym się, wyjąłym ze strachu zwierzęciem. Odczuwał wyższość i nawet coś w rodzaju pogardy. Jeszcze chwila i to zwierzę zleje się w gacie, potwierdzając ostatecznie, czym naprawdę jest: żalonym, nieszczęśliwym stworzeniem, skazanym na klęskę już od chwili narodzin – jak my wszyscy.

Chociaż nie, nie jak my wszyscy. Jak oni wszyscy. Dziś, w tym momencie, w tej jednej chwili, gdy trzymał w ręku nóż, nie czuł przynależności do tej niegodnej nawet litości kategorii. Był kimś, czymś innym. Stał po drugiej stronie. I bardzo mu się tu podobało.

Uśmiechnął się i przytknął mężczyźnie ostrze do szyi. Potem, nie przecinając jeszcze skóry, powiódł nim po jego piersi. Nigdy nie miał najmniejszych skłonności homoseksualnych, lecz w tym było coś podniecającego, coś nieomal seksualnego. Ciekawe i warte przeanalizowania. Nie teraz, oczywiście, kiedyś, bo teraz już za chwilę dosiądzie go demon. Czuł to bardzo wyraźnie, to nadchodziło. Musiał tylko poczekać, aż przemieni go całego, aż wyłączy resztki jego jestestwa, napełniając całkowicie ten pokraczny, przemijający dzban jego ciała potężną, wieczystą treścią.

ROZDZIAŁ 93

Wysłuchiwała uważnie, co miał jej do powiedzenia. Cholera, mógł mieć rację. Krwawa ofiara, najkrótsza noc w roku. To mogło dziać się już, teraz. Poczwała, jak po jej wnętrzu rozchodzi się zimno.

– Ja też coś znalazłam – powiedziała. – Pamiętasz ten dom, który oglądaliśmy przed twoim zawałem?

– Który? Byliśmy wtedy w kilku.

– Na Brochowskiej. Parterowy, z garażem w piwnicy. Nikogo w nim nie było. Kazałam ci go sprawdzić raz jeszcze.

– Szlag – odpowiedział. – Zapomniałem o tym.

– Miałeś dobry powód. Ja zresztą też o nim zapomniałam.

– I co z nim?

– W zeszłym roku zmarł jego właściciel. Parę miesięcy wcześniej umarła jego żona. Dom w wyniku postępowania spadkowego stał się własnością ich syna, Roberta Matczaka. Który wcześniej zameldowany był na Bemowie.

– Ma samochód?

– Jeszcze tego nie sprawdzili.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza.

– Jestem teraz bardzo blisko tego miejsca – usłyszała.

– Leżysz przecież w szpitalu... – powiedziała powoli.

– Nie leżę. Wszedłem na własne żądanie.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Zwariowałeś?! W twoim stanie? – krzyknęła do telefonu.

– Nie marudź. Idę tam.

– Poczekaj! Wezwij wsparcie. Nie idź tam sam!

– Wezwę, ale nie mogę czekać, aż dotrze. To może stać się w każdej chwili.

Zerwała się zza biurka.

– Też tam jadę. Będę za piętnaście minut.

– A ty tu po co? To nie jest zadanie dla prokuratora.

– Ani dla pacjenta oddziału kardiologicznego. – Ruszyła do wyjścia. – Poczekaj, rozumiesz? Niedawno miałeś zawał!

– Będę uważał, nie martw się.

– Akurat. Nie rób nic głupiego, słyszysz?

Rozłączył się. Zbiegła pędem po schodach, o mało nie łamiąc przy tym obcasów. Po chwili z piskiem opon wyjeżdżała z parkingu pod prokuraturą.

Gnała na złamanie karku przez miasto, próbując w międzyczasie dodzwonić się do tego dupka z CBS. Pewnie się na nią obraził, bo nie odbierał. Zaliczyła przez to kołem krawężnik i o mało nie straciła panowania nad pojazdem.

– Oddzwoń, do ciężkiej cholery! Chyba wiem, gdzie jest Halicki! – Nagrała mu się na sekretarkę. Miała nadzieję, że przynajmniej komisarz Aleksanderski zachował na tyle zdrowego rozsądku, żeby zadzwonić do swoich. – Jedź, debilu! – zwyzywała jakiegoś taksjarza, który blokował jej drogę. Pieprzona toyota prius! Tacy zawsze jeżdżą, jakby hybryda zastępowała im jaja.

Na Marszałkowskiej trochę się uspokoiła. Ruch o tej porze był niewielki, a jezdnia szeroka. Mogła dodać więcej gazu i chwilę pomyśleć.

No dobrze, a co, jeśli to jednak nie jest ten dom? Przyjęła to za pewnik, ale bardziej pod wpływem impulsu i presji wywołanej teorią Aleksanderskiego niż rzeczywistych przesłanek. Czym jej obecny stan wiedzy różnił się bowiem od tego sprzed zaledwie dwóch godzin, gdy tylko kazała Rudnickiemu przyjrzeć się temu domowi w pierwszej kolejności? Niczym tak naprawdę. A teraz pędziła na łeb na szyję, łamiąc po drodze wszelkie przepisy drogowe.

W porządku, musi tam jechać, choćby dlatego, że za chwilę komisarz Aleksanderski być może dostanie drugiego zawału, ale musi spróbować zachować zimną krew i obiektywną ocenę sytuacji.

– Jak jeździsz, durniu! – wrzasnęła na gościa, który nie zauważył jej podczas zmiany pasów. Być może dlatego, że jechała chyba z dwieście na godzinę. Wcisnęła klakson prawie w sam silnik. Czerwonym renault aż zakołysało na boki, gdy gwałtownie wróciło na swój pas ruchu.

Teraz jeszcze tylko to pieprzone rondo przy Arkadii. Białoczerwona flaga na maszcie pośrodku leniwie powiewała, zmoczona deszczem. Oczywiście było czerwone. Wjechała na nie, jeszcze zanim się zmieniło. Teraz to na nią ktoś zatrąbił. Nie miała czasu pokazać mu fucka. Dobrze, że nie jechał żaden tramwaj. Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Dotarcie tu zajęło jej sześć minut. Niezły czas, nawet jak na tę porę dnia.

Zjechała z ronda i ruszyła dalej ulicą Popiełuszki. Potem to głupie skrzyżowanie przy Hali Marymonckiej, gdzie zawsze tyle się stoi na światłach. Bogu dzięki tym razem miała szczęście. Zielone zapaliło się przed nią jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Musiała teraz włączyć GPS, nie pamiętała dokładnie, gdzie była ta cholerna Brochowska. Z Aleksanderskim doszła tam na piechotę. Znowu o mało nie zjechała na pobocze. Całe szczęście tu było pusto i nie zaliczyła przy okazji stłuczki.

Dobra, wpisała adres. Dalej prosto. Teraz w prawo, w Zabłocińską, przez tory. Potem w lewo, w Kolektorską. Nie, stój! Dostrzegła schodki, którymi wtedy schodzili. Wjechała z impetem na wysoki chodnik, o mało nie zrywając w ten sposób zawieszona. Zatrzymała się i wysiadła. Tak będzie szybciej.

Zbiegła po betonowych schodkach, przytrzymując się poręczy. Buty na obcasie naprawdę w tym nie pomagają. Zaraz, gdzie teraz, w prawo czy w lewo? Znowu musiała użyć GPS-u. W prawo. Biegiem. Jest! Dostrzegła dom, poznała go od razu. Policja już była, okazała się szybsza od niej. Na ulicy stały dwa radiowozy i karetka.

Karetka... co to mogło oznaczać? Albo znaleźli Halickiego, albo komisarz Aleksanderski... Jeśli znaleźli Halickiego, to znaczy, że żyje. Do trupa by nie wzywali. A jeśli znaleźli zwłoki, a karetka jest dla Aleksanderskiego? Zdjęła w końcu te przekłete szpilki i ruszyła biegiem po mokrym asfalcie. Czuła, jak pończochy drą jej się na piętach. Szybciej, szybciej. Gdzie są policjanci? W środku. Drzwi do domu były wyważone i otwarte. W karetce też nie było nikogo. Rozsunięte boczne drzwi ukazywały rozświetlone wnętrze. Pchnęła skrzypiącą furtkę i wpadła na zarośnięte podwórko. Znowu schody; dobrze, że nie miała już butów. Przy drzwiach wbiła sobie w stopę drzazgę z rozwalonej futryny. Jeszcze chwila i sama dostanie zawału. Usłyszała ze środka głosy. Aleksanderskiego? Halickiego? Wbiegła do środka.

ROZDZIAŁ 94

Widział ich z okna swojej kuchni. Biegających, wyważających drzwi, wbiegających do środka domu z wyciągniętymi przed siebie pistoletami. Był wściekły. Przeszkodzili mu. Przegonili demona. Narobili hałasu i go przepłoszyli. Musiał zgasić świece i wyłączyć muzykę.

Co ich podkusiło, by wybrać właśnie tamten dom? Odkąd umarł ten starszy mężczyzna, nikt w nim nie mieszkał. Raz czy dwa widział innego, młodszego, chyba jego syna, jak przyjechał tu i coś robił. Coś wynosił, coś sprawdzał. Dziwny człowiek, przypominał dzika. Niewysoki, krępy, krzaczaste brwi. Mógłby się założyć, że gdy jest sam, pofukuje i chrząka.

Potem na płocie zawisł baner agencji nieruchomości. Wisiał ze dwa miesiące i ktoś go zerwał. Nowy już się nie pojawił. Nie jest łatwo sprzedać taką ruderę. Miejsce może i dobre, ale działka niewielka. Trudno by było zbudować na niej coś sensownego, a to, co jest, nadawało się w zasadzie tylko do wyburzenia.

To dlatego nigdy nie próbował sprzedać swojego domu. Wcześniej, oczywiście, mieszkali w nim jego rodzice, ale nawet później. Dom należał do niego od dawna, przepisali go na niego, jeszcze gdy był na studiach. Chodziło o jakieś kwestie związane z dziedziczeniem; bali się, że gdy umrą, nie załatwiwszy tego wcześniej, rękę po spadek wyciągnie cała rzesza kuzynów i pociotków. W okolicy były co najmniej dwa domy, które rozpadły się, bo ich spadkobiercy nie zdołali porozumieć się co do ich losu.

Ale i tak był to spadek w zasadzie bezwartościowy. Ani go sprzedać, ani wynająć. Kiedyś na pewno pojawi się tu ktoś z dużymi pieniędzmi, kto wykupi te wszystkie małe działeczki, scali je, zburzy śmieszne domki i na ich miejscu wybuduje coś, w czym mieszkania będą kosztować grube miliony. Na razie jednak nikt taki się nie pojawił.

To dlatego, gdy zachorował, zdecydował się wynająć swoje mieszkanie na Ochocie i przenieść się tu, do tego domu, którego nigdy nie lubił. Miał w ten sposób pieniądze z wynajmu i dach nad głową – to wystarczyło, by żyć. Na jego potrzeby było tego nawet aż za dużo.

Zobaczył, jak ulicą biegnie kobieta. Poznał ją od razu. Ta sama, która siedziała w restauracji z jego późniejszą zdobyczą, i ta sama, która była tu potem z tym starym gliniarzem. To więc zapewne jej sprawka, ona się pomyliła. Dobrze celowała, ale źle trafiła. O jeden dom za daleko.

Uśmiechnął się. Ją też jakoś polubił. Wyglądała słodko, gdy tak biegła boso, trzymając buty w ręku. Chciałby jej pomóc, naprawdę, ale przecież nie mógł.

Ciekawe, co ją tu doprowadziło? Jaki tok rozumowania i dlaczego na końcu okazał się błędny? To, że trafiła do tamtej fryzjerki, potrafił zrozumieć, ale tu? Prawie jej się udało, był pod wrażeniem. Najwyraźniej nie doceniał policji i jej – pani prokurator. „Pani prokurator”... Zauważył, że lubi tak o niej myśleć. Było w tym sformułowaniu coś erotycznego.

Co nie zmienia oczywiście faktu, że wszystko popsuła. Rytuał został przerwany, i to w najmniej odpowiednim momencie. Nie potrafił już go dokończyć w skupieniu. Światła samochodów, głosy ludzi, hałas wyważanych drzwi i policyjne koguty, mimo że bez włączonych syren, wybiły go z rytmu, zniszczyły nastrój, zepsuły iluzję. Poza tym musiał się przycząić, udąć, że go nie ma. Dlatego zgasił świece i wyłączył muzykę. I szybko skończył, bez należytej staranności.

Wrócił do miejsca, gdzie jeszcze pachniało duchami. Jego kapcie plaskały w powoli tężejącej krwi. Czuł ją na skarpetkach, jak przesączała się przez tkaninę. Pan komisarz już się nie bał. Jego koleżanka skróciła mu cierpienia. To jedno było w tym wszystkim dobre. Wydawał się spokojny jak śpiący nietoperz, który przez pomyłkę zasnął nogami w dół. Wielki, ogromny nietoperz z flakami wywalonymi na spodnie. Matko, nie przypuszczał, że to aż tak może śmierdzieć! Trzeba będzie to jakoś uprzętnąć, tylko jak? Jego starego pomysłu ze spalaniem zwłok już się raczej nie da zastosować. Było zbyt ciepło. Dym z komina zwróciłby uwagę całej okolicy. Już nie mówiąc o zapachu.

Ale to nie był jego największy problem. O wiele bardziej martwił się o coś innego: czy to wystarczyło? Czy przerwany, zakłócony, skończony w pośpiechu rytuał zadziała? Czy ofiara się przyjęła, czy jest miła bogom?

Bo jeśli nie, to wszystko na próżno. Tyle przygotowań, starań, wysiłku. I to przez nią, tę rudą sikszę. Już chyba lepiej, żeby trafiła dokładniej. Przez nią śmierć jej kolegi, a z tego, co widział, chyba nawet kogoś więcej, mogła pójść na marne. Czy poszła? To się niedługo okaże. Głupia, głupia dziewczyna! Nie tylko nie uratowała go, ale i sprawiła, że poświęcił swoje życie po nic. Ktoś go przez czterdzieści nieomal lat hodował, najpierw jego rodzice, potem pewnie żona, a teraz jest do wyrzucenia. Co za marnotrawstwo! Gdy o tym myślał, brała go wściekłość.

Ale nie, spokojnie, jeszcze nie wiadomo... Jak to: nie wiadomo?! Aż mu się zacisnęły szczęki. Trzeba spojrzeć na to obiektywnie, bez uprzedzeń. Czy mógł nawet przypuszczać, że taka fuszerka spełni zamierzoną funkcję? Wszystko poszło nie tak, wszystko. Wiedział przecież, jakie znaczenie mogły mieć szczegóły. Rytuał, by był efektywny, musi być dokładny. Nawet gdyby mu nikt nie przeszkodził, mogłyby być z tym problemy, bo przecież wszystko odtwarzał, tworzył w zasadzie od nowa. Ale mogło to się udać, powinno. A tutaj? Jeden wielki bałagan, pośpiech, myślenie o czym

innym, robienie wszystkiego po łebkach... Jaka siła wyższa dałaby się tak oszukać? Tylko ją obraził, go, to coś.

A to znaczy, że z jego przemiany nici. To znaczy, że się nie odrodzi. Poczuł się nagle słaby i chory, aż musiał przysiąc. Zebrało mu się na płacz, lecz były to łzy zarówno żalu, jak i złości.

Odpowie mu za to. Ta ruda, chuda zdzira. A jak będzie trzeba, sama zostanie następną ofiarą. Bo że rytuał trzeba będzie powtórzyć, tego już był pewny. To nie ulegało wątpliwości. Tylko być może nie tutaj. Tu robiło się już zbyt niebezpiecznie. Z tymi wszystkimi radiowozami za oknem. A co, jeśli przed domem spotka tego starego gliniarza? Był niemal pewien, że domyśliłby się on wszystkiego tylko po wyrazie jego twarzy. Poza tym następnym razem pani prokurator może trafić dokładniej. W końcu teraz prawie jej się udało. Tak, trzeba będzie się stąd ewakuować. Prędzej czy później, a to znaczy raczej prędzej. Nie wiedział jeszcze gdzie, ale wiedział, że robi to bez żalu. Nigdy nie lubił tego zapyziałego domu. To, że tu musiał wrócić, było jego kolejną klęską.

Zmiana miejsca miała jeszcze jedną dobrą stronę: przynajmniej nie trzeba będzie sprzątać.

ROZDZIAŁ 95

Wbiegła do środka. Od razu rzuciło jej się w oczy, że nikt tu nie mieszka. Nie chodziło nawet o kurz, ale o rodzaj jakiegoś emocjonalnego zimna, jakim emanują wszystkie opuszczone budynki. Spłowiałe ubrania wiszące na wieszaku w przedpokoju, zaschnięte jakby i wypaczone buty stojące niżej... Takie mieszkania i domy wydają się mniejsze i bardziej puste niż w rzeczywistości.

Już widząc to, czuła, że źle trafili. Nie było tu Halickiego, bo dawno nie było tu żadnej żywej ludzkiej istoty. Ale wciąż biegła. W kierunku głosów.

Wpadła do czegoś, co wydawało się głównym pomieszczeniem tego budynku. Jeśli coś się tu wydarzyło, było już po wszystkim. Stało tam dwóch mundurowych policjantów. Pistolety mieli schowane w kaburach. Spojrzeli na nią jednocześnie. Była w tym spojrzeniu pełna demobilizacja, świadcząca o tym, że akcja, w której niedawno uczestniczyli, skończyła się niczym. Na jedynym krześle stojącym na środku siedział komisarz Aleksanderski. Na odsłoniętym przedramieniu miał założony rękaw do mierzenia ciśnienia. Rozchełstana koszula odsłaniała siwe, skręcone włosy na jego piersiach. On też na nią spojrzał, potem uśmiechnął się krzywo. Był blady i spocony, ale wyglądało na to, że nic mu nie jest. Obok klęczał mężczyzna w czerwonym stroju ratownika medycznego.

– Musi pan natychmiast wrócić do szpitala – usłyszała głos ratownika.

– Nic mi nie jest. – Komisarz machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

– Z takim ciśnieniem niech się pan cieszy, że jeszcze żyje.

Kolejny policjant wszedł do pokoju.

– Pusto – powiedział. – W całym domu nikogo nie ma. Żadnych podejrzanych śladów.

Nikt nie był zaskoczony.

– Spudłowaliśmy. – Komisarz Aleksanderski spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.

Postawiła buty na podłodze, potem je włożyła.

– Na to wygląda – odparła.

– On nie żyje – powiedział. – Halicki.

– Nie wiemy tego.

– Wiemy. To była nasza ostatnia szansa.

Odwróciła wzrok.

– Jedź do szpitala – powiedziała. – Jutro zaczniemy od nowa.

Wyszła, nie czekając na odpowiedź. Poranione stopy bolały ją, lecz nie zwracała na to uwagi. Stała na środku ulicy. Deszcz przestał padać i wszystko lśniło od wilgoci. Krople spadały z liści. Gdzieś z daleka słyhać było muzykę.

Jeden z policjantów również wyszedł na zewnątrz.

– Masz papierosa? – spytała go.

– Nie, ale wiem, kto ma – odpowiedział.

– Przynieś mi, bardzo cię proszę.

Wrócił do środka. Została znowu sama. Była kompletnie otepiała, już nawet nie miała ochoty płakać. Pomyliła się. Intuicja ją zawiodła. Spojrzała na dom, z którego przed chwilą wyszła. Dlaczego ubzdurzyła sobie, że coś z nim jest nie tak? Co za głupota! Zwykły dom, tyle że opuszczony. Poniosła ją wyobraźnia. Jakby była nastolatką jarającą się opowieściami o duchach, a nie magistrem prawa i prokuratorem. Co gorsza, pomyłka mogła kosztować życie Halickiego. Gdzieś w głębi duszy czuła bowiem, że komisarz Aleksanderski ma rację – nie odnajdą go już żywego. To rzeczywiście była ich ostatnia szansa. Nie wykorzystali jej. Może gdyby zamiast ganiać po nawiedzonych domach przysiadła

spokojnie i pomyślała, zdołałaby odkryć coś, co pomogłoby go uratować? Gdy odnajdą w końcu jego zwłoki, nie będzie się mogła uwolnić od tej myśli.

Ratownicy medyczni wyprowadzili Aleksanderskiego na zewnątrz i zaprowadzili go do karetki. Pożegnał się z nią smutnym spojrzeniem. Pewnie myślał o tym samym, co ona. Drzwi samochodu zasunęły się, ambulans ruszył. Obok niej pojawił się policjant z paczką papierosów.

– Proszę – powiedział, wyciągając ją w jej stronę.

Wzięła jednego, potem pozwoliła, by jej go odpalił.

– Co dalej? – spytała, wskazując głową na dom.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Zabezpieczymy drzwi i odjeżdżamy. Potem skontaktujemy się z właścicielem. Podwieźć panią gdzieś?

– Nie trzeba, mam samochód tam na górze. – Pokazała papierosem.

Odszedł do swojego radiowozu.

Cholerna intuicja. W pewnym momencie była tego tak bardzo pewna. Powiodła wzrokiem po okolicy. Kilka podobnych, równie ciemnych domków i jarzące się światła apartamentowca nad nimi. To prawdopodobnie w ogóle było gdzie indziej. Dała się zasugerować temu, co powiedział kiedyś Aleksanderski, że to idealna okolica. Zapyzała, na uboczu, lekko tajemnicza. Jeśli gdzieś miałby mieszkać seryjny zabójca, to tu, prawda?

Rzuciła niedopałek na ulicę i zgasiła go podeszwą buta. Machnęła ręką policjantowi w radiowozie i ruszyła w stronę schodków na górę. Jutro dla porządku trzeba będzie jeszcze sprawdzić tego właściciela, wezwać go na przesłuchanie. Ale to nic pilnego, to raczej nie on.

ROZDZIAŁ 96

Obserwował ją uważnie ze swojego okna. Stała najwyżej dwadzieścia metrów od jego furtki. Trzydzieści od jej wiszącego towarzysza. Jeśli się kiedyś o tym dowie, będzie jej smutno. Znowu pomyślał, że chciałby jej pomóc. Głupie. Nawet bardzo. Ale było w niej coś, co chwyciło go za serce. Zaczął naraz snuć kompletnie nierealistyczne marzenia o ich związku. Krew na jego klapkach zaschła i przykleiła mu skarpetki do plastikowych podeszw. Ciekawe, czy w innej sytuacji, w innych okolicznościach mogliby być razem. Skoro udało mu się z tamtą projektantką, to dlaczego nie z nią? Ale teraz było na to tak czy siak za późno.

Skończyła palić i rzuciła niedopałek na ziemię. Potem przydeptała go butem. Nawet w tym geście było coś zmysłowego, mimo iż nie wiedziała przecież, że ktoś ją obserwuje. Szpilki na dość wysokim obcasie i podarte pończochy na łydkach. Stała do niego tyłem, więc widział wyraźnie, jakie miała zgrabne nogi. To też było erotyczne. Ale i jednocześnie groźne. Skupiona, nienachalna seksualna energia, która z niej emanowała, tylko podkreślała, jaki z niej groźny przeciwnik.

Ruszyła w górę ulicy. Poczuł się nagle samotny i opuszczony. Wszyscy odchodzili. Najpierw pan komisarz, teraz ona. Został sam. Nigdy mu to specjalnie nie przeszkadzało, ale teraz – tak. Zapragnął nagle, żeby wróciła. Gdyby nie radiowóz stojący wciąż przed tamtym domem, być może nawet by za nią pobiegł. Obserwował ją, dopóki nie zniknęła mu w końcu z oczu. Potem usiadł ciężko na kuchennym krześle. Wszystko wydało mu się bez

sensu. Tyle miał nadziei związanych z dzisiejszą nocą i nic się nie spełniło.

Jakby za włączeniem jakiegoś przycisku, zaatakował go ból. Z wielu stron, od wewnątrz. Niemal czuł, jak choroba wyżera mu wnętrzności. Jakby był spróchniałym, pustym w środku drzewem, które trzyma się w pionie tylko ostatkiem sił. Jego poprzednie, w miarę dobre samopoczucie było tylko pożyczką na poczet dzisiejszego odrodzenia. Skoro więc ono nie nastąpiło, organizm zaczął domagać się spłaty.

Zgiął się wpół, potem wyprostował. Już nawet oddychał z trudnością. W płucach coś świszczało mu i bulgotało jednocześnie. Nie mógł wziąć pełnego wdechu, nawet gdy próbował ignorować ból. Umierał, taka była prawda. Krew komisarza nie zdołała go uleczyć. Zresztą czego się spodziewał, skoro zaszlachtował go w pośpiechu, patrząc w tym czasie z niepokojem w okno? Nawet to, że napił jej się w końcu, nie mogło pomóc.

Musi coś zrobić, i to szybko. Bardzo szybko. Nie miał już czasu na podkradanie się i czajenie, jak poprzednio. Długie tropienie zwierzyny nie wchodziło tym razem w grę. Musiał zaatakować błyskawicznie, jak sokół. Spaść na ofiarę z góry, nim się nawet zorientuje. I wiedział już, kim ma być jego nowa zdobycz. Wybór był prosty i oczywisty, a to wiele ułatwiało. Czekająca go ostatnia walka; musiał ją wygrać rzutem na taśmę. Inaczej wszystko przepadnie.

A skoro nie miał już sił na polowanie, pozostawało tylko jedno – wnyki. Musiał zwabić zwierzynę w pułapkę. Niezbyt to może szlachetne, ale walczył w końcu o najwyższą stawkę. Potrzebował tylko przynęty, ale wiedział, gdzie ją znaleźć. Co prawda spali za sobą mosty, naprawdę nie miał już jednak wiele do stracenia. Musi zagrać *va banque*, nie ma innego wyjścia.

Jeszcze raz spróbował wziąć się w garść. I – dziwna sprawa – znów mu się udało. Perspektywa działania i związana z nią nadzieja jak zwykle sprawiły, że zapomniał o bólu. Mózg to cudowne narzędzie, choć u niego podobno właśnie się psuje. Nie

odczuwał tego, wręcz przeciwnie. Mózg wydawał mu się jedynym jego dobrze funkcjonującym organem.

Wyprostował się, potem wstał. Było w miarę okej, aż zaczął się zastanawiać, który z tych stanów – ten czy poprzedni, gdy czuł, że niemal umiera – bardziej odzwierciedla rzeczywistość. Może to jego choroba była złudzeniem, może to ją sobie wmówił? Takie rzeczy się przecież zdarzały, czytał o tym. Czasami dopiero operacja ujawniała, że problemy miały podłoże tylko i wyłącznie psychosomatyczne.

Tak, może tak było, tak. Wcale nie jest chory, wcale nie umiera. Jak mógł na to wcześniej nie wpaść? A może rytuał jednak zadziałał i wszystko się naprawiło, a on okazał się po prostu człowiekiem małej wiary? Tak, to też było możliwe. Zważył, ale cud już się dokonał.

Jakkolwiek by było, musi robić dalej to, co robi. Bez oglądania się na konsekwencje. Porzuci to życie, by zacząć nowe. Czyż nie tak robili wielcy odkrywcy? Hernán Cortés spalił swoje okręty, by nie kusiła go możliwość ucieczki. On też tak zrobi.

Wyprostowany, pewnym krokiem ruszył do salonu. Posadzka była śliska, musiał uważać, by się nie przewrócić. Pan komisarz wisiał spokojnie, jego oczy pełne były zrozumienia. Wspierał go, nawet teraz, po swojej śmierci. Był po jego stronie i akceptował to, że po raz drugi musi się poświęcić.

Mimo wszystko zamknął mu oczy. Tak się przecież robi, a poza tym nie chciał mu sprawiać przykrości. Lepiej, żeby nie oglądał tego, co się za chwilę stanie. Nie było to łatwe, a przynajmniej nie tak łatwe, jak na filmach, gdy wystarczy przyłożyć dłoń do oczu nieboszczyka i już po kłopotcie. On musiał palcami ściągać powieki w dół; najpierw jedną, potem drugą. Później zgarnął jelita i wepchnął je z powrotem do jamy brzusznej. Podciągnął w górę pasek i zapiął guziki koszuli, by to wszystko jakoś się trzymało. Gdy prosi się przyjaciela o przysługę, trzeba mu też okazać wdzięczność, choćby takimi prostymi gestami.

Było to jednak dość obrzydliwe, więc po wszystkim poszedł umyć ręce do łazienki. Gdy wrócił, pan komisarz zdawał się uśmiechać.

Jeszcze raz ocenił jego wygląd. Nie było idealnie. Wnętrznosci wypychały koszulę nad paskiem, tworząc z niej brzydki, brunatno-czerwony worek. Nie wyglądało to zbyt ładnie, ale trudno. Tak już musiało zostać.

Potem podniósł z podłogi nóż. Jego rączka lepiła się od krwi. Pomyślał, że niepotrzebnie w sumie mył ręce, a jeśli już to zrobił, powinien przy okazji umyć i narzędzie. Ale nie chciało mu się teraz wracać do łazienki. Zresztą i tak zaraz wszystko będzie z powrotem zapaprane.

Ścisnął rękojeść, by nie ślizgała mu się w dłoni. Czekąca go ciężka fizyczna praca.

ROZDZIAŁ 97

Umówiła się z właścicielem domu na miejscu, na Brochowskiej. Mieszkał gdzieś pod Warszawą, jeszcze za Łomiankami, miał przyjechać, by spotkać się z policją, obejrzeć szkody i podpisać protokół. Uznała, że oszczędzi mu wizyty na Chocimskiej, tym bardziej że nie był przecież niczemu winny, a oni rozwalili mu drzwi, jak się okazuje, zupełnie bez potrzeby. Poza tym chciała jeszcze raz tam zajrzeć, nie wiedziała w sumie dlaczego. Coś ją tam ciągnęło, jakby jej głupiej intuicji nie wystarczyła jedna spektakularna wtopa i potrzebowała dla potwierdzenia też drugiej.

Właściciel, Robert Matczak, miał na szczęście czas już od rana. To dobrze, będzie to można szybko załatwić i zająć się innymi rzeczami. Nie bardzo co prawda wiedziała jakimi, ale zająć się będzie nimi można na pewno.

Pojechała tam od razu z domu, nie zajeżdżała do prokuratury. Wcześniej zadzwoniła tylko do szpitala, żeby spytać, jak się czuje komisarz Aleksanderski. Nie wydawał się zbyt rozmowny, ale z tego, co zrozumiała, wszystko było w porządku. Obiecała, że wieczorem do niego zajrzy; odfuknął coś, ale wyglądał na zadowolonego.

Na miejscu byli już wszyscy; poczekali na nią, choć wcale nie musieli. Właściciel, ktoś z komendy na Żeromskiego i pani z firmy ubezpieczeniowej, która na razie taktownie trzymała się z boku. Uścisnęli sobie dłonie i podeszli do drzwi. Policjant zerwał z nich taśmy, zrobili zdjęcia. Weszli do środka, żeby znaleźć miejsce, gdzie można by podpisać dokumenty.

W świetle dnia dom wydawał się jeszcze mniejszy i jeszcze bardziej opustoszały. Smutek bił z każdego jego obwieszonego pajęczynami kąta. Był stary, musiano go zbudować co najmniej przed wojną, to znaczy, że miał nieomal sto lat. Ale nie wyglądał z żadnej strony jak zabytek, już bardziej jak barak lub pozbawiona kół przyczepa mieszkalna. Nie to jednak było w nim tak przygnębiające. Jak we wszystkich opuszczonych domach najgorsze w nim były ślady przeszłego życia, pamiątki po dawnych jego mieszkańcach: przekrzywiony i pokryty kropkami muszych odchodów święty obrazek na ścianie, trupy książek, których nigdy już nikt nie przeczyta, wyszczerbiona filiżanka z niegdyś zapewne dość nawet eleganckiego kompletu.

Mijali to wszystko, idąc przed siebie. Zerknęła na twarz właściciela, nie wydawał się specjalnie wzruszony, lecz może po prostu tego nie okazywał. Siłą rzeczy pomyślała o sobie i o swoim ojcu. Jak też ona będzie się czuć, gdy wejdzie kiedyś do odziedziczonego po nim domu. Może dominującym w takich sytuacjach uczuciem jest nie wzruszenie, lecz pustka? Prędzej czy później się o tym przekona.

– Chyba w kuchni został jeszcze jakiś stół – powiedział właściciel i powiodł ich za sobą. Weszli do małego pomieszczenia, w którym tuż za drzwiami stała jeszcze stara radziecka lodówka. Była tak wielka, że wypełniała chyba połowę przestrzeni. Właściciel zatrzymał się nagle, blokując pozostałym drogę.

– Okno też żeście wyważyli? – spytał z pretensją w głosie.

Przecisnęła się koło niego. Okno było po lewej, w głębi. Jego szyby były całe, lecz futryna została rozłupana, a skrzydło otwarte. Na podłodze leżały jasne, świeże drewniane drzazgi.

– Nie, weszliśmy przez drzwi – odpowiedział zaglądnący im przez ramię policjant.

Poczuła nieprzyjemne, zimne mrowienie na karku.

– Niech nikt niczego nie dotyka – rzuciła szybko. – Zostańcie tu, gdzie stoicie. Aspirancie, proszę przeszukać resztę domu.

Policjant wyciągnął służbowy pistolet. Pani z ubezpieczalni zdusiła krzyk. Właściciel zbladł.

Ruszyła dwa kroki za policjantem. Nie powinna tego robić, to nie była jej rola. Prokurator nie jest od takich rzeczy. Gdyby coś się stało, trudno by jej było to wytłumaczyć. Ale po prostu nie mogła pozostać na miejscu.

Szli wąskim, zagraconym korytarzem. Tym samym, którym biegła wczoraj. Widziała przed sobą tył policyjnej czapki i pistolet trzymany oburącz w wyciągniętych rękach. Odległość nie była zbyt wielka, lecz czas nagle przyhamował i zwolnił. Miała wrażenie, że wszystkie jej zmysły wyostrzyły się do granic bólu.

Plecy policjanta zasłaniały jej sporą część widoku. Nie chciała się jednak przybliżyć; zachowała mimo wszystko resztki rozsądku. Nad jego ramionami zobaczyła wejście do pomieszczenia, w którym wczoraj na krześle siedział komisarz Aleksanderski. Policjant zatrzymał się w pół kroku.

– Co jest? – spytała.

– Coś tam leży – powiedział niepewnie.

– Co?

– Nie wiem. Jest czymś przykryte.

– Gdzie?

– Na krześle.

Przełknęła ślinę. Zaschło jej w ustach.

– Widzisz tam kogoś? – spytała. – Oprócz tego?

– Nie.

Ruszył dalej.

– Niech pani zostanie – rzucił za siebie.

Nie została.

Policjant zbliżył się do metalowej, pomalowanej na biało framugi, z której wyjęte były drzwi. Z lewej strony sterczały z niej dwa skierowane ku górze gołe bolce zawiasów. Tuż za nimi była ściana; cała reszta pomieszczenia znajdowała się po prawej stronie. Nie widzieli, co tam jest.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że to może po prostu jakiś przygodny złodziej włamał się do środka. Nie zrobiłby tego nikt, kto widział policyjne taśmy przy wejściu. To musiał być on, wiedziała to. Pytanie tylko, czy wciąż tam był.

Policjant musiał myśleć dokładnie to samo. Zobaczyła, jak spod czapki wypływa mu kropla potu i toruje sobie drogę wśród krótko obciętych włosów na karku. Potem usłyszała, jak wziął głęboki wdech.

– Policja! – krzyknął i z wyciągniętym pistoletem rzucił się do środka. Wyglądał, jakby robił to pierwszy raz w życiu.

Zamarła w oczekiwaniu.

ROZDZIAŁ 98

Straciła go z oczu. Przez chwilę nic się nie działo. Widziała teraz wyraźnie stare, drewniane krzesło z wygiętym w kabłąk oparciem, na którym wczoraj ratownik mierzył ciśnienie komisarzowi Aleksanderskiemu. Dziś nikt na nim nie siedział. Zamiast tego leżało na nim coś, co wyglądało jak niewielki pakunek przykryty materiałem. Niczym mały pomnik gotowy do odsłonięcia.

– Czysto – usłyszała. – Nikogo tu nie ma.

Wyraźna ulga w głosie.

Weszła do środka. Przekrzywiony kredens pod ścianą, a pod oknem zarwane łóżko. Zupełnie nie pamiętała tego z wczoraj. Zbliżyła się do krzesła. Policjant stanął obok niej.

– Masz rękawiczki? – spytała.

– Nie.

Ona też nie miała.

Pakunek nie wyglądał szczególnie niepokojąco. Był wielkości średniej doniczki. Jaki miał dokładnie kształt, trudno powiedzieć, materiał bowiem, którym go nakryto, był dość gruby i sztywny. Sprawiał wrażenie wydartego ze starej zasłony. Ciemny, nieokreślony, mocno już spłowiały kolor. Całość skojarzyła jej się z garnkiem pełnym gryczanej kaszy, który jej matka owijała kocem, by ziarna doszły i stały się sypkie.

– Może nie powinniśmy tego ruszać? – usłyszała głos policjanta. – Niech się tym zajmą technicy.

Bardzo rozsądna uwaga. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Na parapecie pod oknem leżał gruby drewniany ołówek. Był tak

pokryty kurzem, że na pewno nikt go nie dotykał od co najmniej paru lat. Podeszła do niego i ujęła go w dwa palce. Gdy go uniosła, został po nim wyraźny, niezakurzony, podłużny kształt.

Wróciła do pakunku i kucnęła przy nim. Z bliska na materiale widać było ciemniejsze plamy. Usłyszała coś za plecami i odwróciła głowę. We framudze drzwi stali właściciel domu i pani z agencji nieruchomości. Oboje z ciekawością zaglądali do środka.

– Wyjdźcie – rzuciła ostro. – Przed dom.

Nie ruszyli się. Patrzyli jak zahipnotyzowani na krzesło i to, co na nim leży.

– Aspirancie, proszę ich wyprowadzić – poleciła.

Wyszli. Usłyszała jeszcze głos mężczyzny na korytarzu, protestującego z powodu wypraszania go z własnego domu. Robił to jednak bez specjalnego przekonania, jakby tak naprawdę wcale nie chciał tu zostawać.

Rozumiała go bardzo dobrze. Ona również wolałaby teraz być gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie za chwilę nie musiałaby unieść tego materiału i sprawdzać, co pod nim jest. Gdzieś, gdzie moment, w której domyśla się prawdy, lecz jeszcze jej nie zna, nie zamienia się nigdy w ten, gdy nie można już dłużej udawać.

Ostrożnie wsunęła koniec ołówka pod materiał. Dziwny zapach, ale nie próbowała ustalić, z czym jej się kojarzy. Policjant wrócił, stanął za nią. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że to on. Powoli uniosła róg tkaniny. Jeszcze nic nie było widać, jeszcze cień zasłaniał to, co było pod nią. Może to jednak nic takiego, może...

– Jezus Maria! – usłyszała za swoimi plecami.

*

Wstała i podeszła do okna. Odłożyła ołówek dokładnie na swoje miejsce. Dokładnie. W jej głowie eksplodowało wielkie nic. Jakby w pobliżu wybuchł granat, a jego huk sprawił, że ona nic nie widzi, nie słyszy i nie czuje. Nie musieli już szukać Halickiego, był tu.

Ktoś potraktował go wręcz z czymś w rodzaju pietyzmu. Na twarzy, którą przed chwilą ujrzała, nie było śladów przemocy ani cierpienia. Została dokładnie umyta, a włosy ładnie ułożono. Wyglądał niemal tak jak wtedy, gdy żegnała się z nim przed tamtą restauracją. Jakby miał zaraz otworzyć oczy i się do niej uśmiechnąć. Jakby brał udział w jakiejś iluzjonistycznej sztuczce, w której magik przecina czyjeś ciało na części, a potem z powrotem je składa bez szkody dla zainteresowanego. Był tylko blady, bardzo blady. Jego skóra miała kolor kartki papieru.

Usłyszała, jak policjant za jej plecami mówi coś przez radio. Miał roztrzęsiony głos; zgłaszał, co się stało. Powinna teraz wyjść, opuścić scenę zbrodni, lecz zamiast tego patrzyła wciąż przez to głupie okno na porośniętą chwastami i pokrytą śmieciami skarpe. Jej uwagę przykuła zwłaszcza plastikowa butelka po fancie. Musiała tu już leżeć dosyć długo, bo kolory na etykiecie mocno zbladły, a sam plastik nieco zmatowiał. Tym właśnie jesteśmy po śmierci, pomyślała, takim śmieciem. Ciekawe zresztą, że te słowa są tak podobne. „Śmierć” i „śmieć”. I jeszcze słowo „śmierdzieć”. Odpad i smród – oto prawdziwe życie pozagrobowe.

– Musimy stąd wyjść – odezwał się policjant. – Ekipa już jedzie.

Przytaknęła. Wyszli.

Nie miała siły rozmawiać z właścicielem domu i z panią od ubezpieczeń. Policjant chyba to zauważył, bo zajął się nimi. Poszła więc do swojego samochodu i po prostu w nim usiadła. Była w szoku, niewątpliwie. Nie docierało do niej i szczerze mówiąc, nie miałyby nic przeciwko, gdyby tak pozostało. Kiedy w końcu dotrze, nie będzie lekko. Spektakularnie kończą się jej romanse, nie ma co.

Siedziała tak, gdy przyjechał kolejny radiowóz i gdy pojawili się technicy. Ciekawe, czy komisarz Aleksanderski już wie? Powinna do niego zadzwonić... ale co mogłaby mu powiedzieć? Albo co on mógłby powiedzieć jej?

ROZDZIAŁ 99

Dobrze, udało się. Widział ją teraz, jak siedziała w swoim samochodzie. Nie całą, tylko środek tułowia i dłonie na kierownicy. Głowę zasłaniał dach. Cierpiała, to też było widać. Było mu jej żal, chciałby tam podejść i ją przytulić. No trudno, tak musi być. Nie było innego wyjścia.

Niedługo się wszystko zacznie. Najpierw przeszukają tamtą rudę, a potem dojdą do nieuniknionego wniosku, że on – lis, na którego polują – musi mieszkać w pobliżu tego kurnika, do którego się tak bezczelnie zakradł. Zaczną wtedy sprawdzać okolicę. Dokładnie, systematycznie. Dom po domu. Niewiele czasu im zajmie, zanim do niego dotrą. Mieszkał w końcu niemal po drugiej stronie.

To też dobrze, czas ukrywania już się skończył. Jeśli okażą się zbyt tępi, jeszcze im coś podrzuci. Coś, co ich bardziej nakieruje. Ale nie sądził, żeby to było konieczne.

Znajdą wtedy resztę pana komisarza. I pamiątki po pozostałych przygodach. Oraz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Nie znajdą tylko jego.

On będzie to obserwował z ukrycia. Polował na tych, którzy na niego polują. Tu w okolicy jest taki opuszczony dom, wystarczająco daleko. To będzie jego baza. Noce są już ciepłe, zwykły śpiwór wystarczy, żeby się przespać. Zresztą wiele tych nocy nie będzie, najwyżej dwie.

Jemu też w końcu się spieszy, nie ma zamiaru tego przeciągać. Przyczai się dosłownie na chwilę. Tylko tyle, ile trzeba, by zdobyć

podeszła dostatecznie blisko.

Bo podejdzie, był tego pewien. Za bardzo się zaangażowała, za bardzo on ją w to zaangażował, by nadzorowała śledztwo gdzieś zza biurka w dalekim gabinecie. Będzie tu krążyć, zechce odkupić swoją wymyśloną winę. Spłacić dług wobec towarzysza, którego – jak sądzi – zawiodła.

A on będzie tu na nią czekał. Z ościeniem w garści. I siatką w pogotowiu. Spokojnie, choć z niecierpliwością. Pod wieloma względami była idealna. Młoda, piękna, u progu najlepszego okresu w swoim życiu, pełna energii i determinacji. I złości. Na pewno będzie walczyć. Do ostatniej chwili. Nie podda się jak pan komisarz. On był słaby, chociaż silny. Ona jest silna, chociaż słaba. Co za moc się uwolni, gdy będzie składana w ofierze!

Tym bardziej że ją kocha. A jeśli jeszcze nie, to niedługo będzie. To też należy zrobić, ale to nie powinno być trudne. Wtedy, gdy wyrwie jej serce, będzie to trochę tak, jakby wyrwał je sobie.

Aż się wzruszył, gdy o tym pomyślał. Piękne porównanie, poetyckie. Wzniosłe. Wzniosłość też nigdy nie zaszkodzi. Patos jest w końcu nieodłącznym składnikiem wszystkich obrzędów. Powoduje, że nawet zwykłe czynności i zwykłe słowa brzmią i wyglądają niezwykle.

Teraz trzeba się przeprowadzić. Spakuje tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Dla siebie prawie nic – stary śpiwór i poduszkę. Ale musi zabrać sporo przedmiotów potrzebnych do nowego obrzędu. Nie, nie całą tę kupkę ze stolika z Ikei. Już rozumiał, że nie ma takiej potrzeby. Weźmie tylko to, co emanuje największą mocą: maskę, skalp, odznakę pana komisarza i tamten nóż sprężynowy, od którego wszystko się zaczęło. Popełnił błąd, że go wczoraj nie użył. Może to przez to się wszystko posypało. Tak, na pewno przez to. Głupi był, gdy pomyślał, że można zastąpić tak potężny przedmiot kawałkiem metalu kupionym w sklepie. Duchy to zobaczyły i przerwały zabawę. Ale był to błąd do naprawienia.

Oprócz tego spakuje kilka przedmiotów potrzebnych do zbudowania nastroju. Świece, mały odtwarzacz CD, takie tam. To być może nie jest niezbędne, ale na pewno się przyda. W końcu planował coś w rodzaju randki. W takim razie musi kupić jeszcze wino. Należało przecież myśleć też i o jej potrzebach, nie tylko o swoich. Jemu powinna wystarczyć ta reszta ginu.

Szkoda tylko tej najkrótszej nocy. To była okazja, która się już nie powtórzy. Nie będzie przecież czekał do kolejnego roku. W grę wchodziła jeszcze równonoc jesienna, ale ona była aż we wrześniu. Nie miał ni cholery tyle czasu. Już nie mówiąc o najdłuższej nocy w roku, która przypadała w grudniu. Ona byłaby z tego wszystkiego najlepsza. Tego dnia w pogańskich czasach obchodzono słowiańskie święto zmarłych. Duchy przodków zstępowały na ziemię i biesiadowały wspólnie z żywymi. Jeszcze jego babcia zostawiała na noc po kolacji wigilijnej niesprzątnięte jedzenie na stole, by mogły się pożywić. Tak, ten termin byłby idealny. No cóż, może następnym razem. W tym nowym życiu, do którego się szykował.

Ale chwileczkę! Zaraz! Było coś jeszcze, o czym nie pomyślał. Jest słońce, ale jest też księżyc. Równie potężny, a może nawet bardziej, bo przecież bliższy. I od tysiącleci brany pod uwagę w tego typu kwestiach. Kiedy wypada pełnia? Trzeba to sprawdzić. Pełnia też byłaby niezła. Wilkołaki, wampiry, zbieranie ziół o najlepszych właściwościach – to wszystko działo się w końcu w czasie pełni. Pełnia to przyływy i odpływy morza, to odwieczny cykl kobiecej płodności... Tak, pełnia to jest dokładnie to, czego szukał.

Podniósł telefon i wszedł w internet. Wpisał w wyszukiwarkę „najbliższa pełnia”. Dwudziesty pierwszy czerwca. Dzisiaj. Zamrugał oczami. To nie mógł być przypadek ani zwykły zbieg okoliczności. To był znak. Na pewno. Może od początku chodziło właśnie o ten dzień, wcześniej po prostu się pomylił. I to przez to się nie udało.

Sprawdził jeszcze prognozę pogody. Przewidywania: pogodnie, ciepło, brak pokrywy chmur. Wspaniale. Tak.

Poczuł, jak wypełnia go euforia. Jak mógł być wcześniej aż taki głupi? To księżyc rządzi takimi sprawami, nie słońce! Może najdłuższa noc byłaby do tego dobra, ale nie najdłuższy dzień! To dlatego im przeszkadzono. Oczywiście...

To zmieniało postać rzeczy, to zmieniało wszystko. Znowu poczuł się silny, znów miał cel, a jego życie nabrało sensu. Cudowne uczucie, zwłaszcza po tym, co działo się wczoraj. Teraz już był pewien: wszystko się uda, na sto procent.

Zszedł do piwnicy po stary plecak. Nosił go, gdy jeszcze był nastolatkiem. Aluminiowy stelaż i zielony, brezentowy materiał. Niewygodny, ale pojemny. Wrócił z nim na górę i zaczął się pakować. Na dole najcięższe rzeczy, na górze lżejsze. Tak jak go uczyli jeszcze w harcerstwie. Na samym wierzchu owinięta folią bąbelkową maska i skalp.

Jednego tylko nie zabrał: leków. Zostały w tekturowych opakowaniach na lodówce w kuchni. Jeśli się wszystko uda, nie będą mu już potrzebne; jeśli nie, tym bardziej.

Wyruszał w podróż. Swoją ostatnią.

ROZDZIAŁ 100

– Jesteś pewien, że możesz tu być? – Spojrzała z troską na komisarza Aleksanderskiego.

– Tak, tym razem to lekarze mnie wypuścili. Mam pół bagażnika leków w samochodzie. Jestem tu na legalu.

– Nie chciałabym... – Zawahała się.

– Stracić kolejnego współpracownika? Spokojnie, nie ma takiego niebezpieczeństwa. Ja z kolei nie chciałbym cię teraz zostawiać samej.

– Dziękuję. Doceniam to. Naprawdę.

– Nigdy go jakoś specjalnie nie lubiłem. Będzie mi łatwiej niż tobie.

Spojrzała na niego. Zrozumiał, że zabrzmiało to chyba nie do końca tak, jak zaplanował. Jakby przypominał jej o tym, co widział na tamtym nagraniu. Wtedy, gdy zegnała się z Halickim tuż przed jego porwaniem.

– To znaczy... Nie to miałem na myśli...

– W porządku – przerwała mu. – Znasz podkomisarza Rudnickiego z CBS? – Wskazała na mężczyznę, który zastąpił ich kolegę z grupy śledczej.

– Nie miałem jeszcze przyjemności. Aleksanderski.

– Rudnicki.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Dorwiemy go – powiedział Rudnicki. – Nasza firma nie puszcza takich rzeczy płazem.

– Wydawało mi się, że pracujemy w tej samej firmie. Tylko w różnych oddziałach – odpowiedział Aleksanderski. Nawet teraz denerwowało go poczucie wyższości ludzi z CBS.

Podkomisarz Rudnicki wyglądał zupełnie inaczej niż Halicki. O ile tamten już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie rasowego gliniarza, o tyle ten równie dobrze mógłby być informatykiem albo pracownikiem agencji reklamowej. Krótka, wystylizowana starannie bródka na raczej dość pucołowatej twarzy, do tego włosy ufarbowane na wyraźnie inny od niej kolor... Szczerze mówiąc, podkomisarz Rudnicki nie był człowiekiem przesadnie budzącym zaufanie.

No ale pozory często mylą.

– Zabrali go już? – spytał Aleksanderski, wskazując ruchem głowy dom.

– Tak – odpowiedział Rudnicki. – Przed chwilą.

– A co z... resztą?

– Nic więcej nie znaleźliśmy. Mało śladów w ogóle. Framuga okienna wyważona prawdopodobnie łomem, narzędzia nigdzie nie ujawniono. Ale są odciski palców, i to dość wyraźne. Do tego ślad podeszwy buta odciśnięty w kurzu na parapecie.

– Nie założył rękawiczek? – spytał.

– Najwyraźniej.

Komisarz Aleksanderski się zastanowił.

– Wszedł tu na bezczela – powiedział. – Wyważył okno łomem i zostawił odciski palców. Co to oznacza?

Prokurator Sereżyńska przysłuchiwała im się do tej pory w milczeniu.

– Nic nie oznacza – odpowiedziała. – Wie, że nie mamy go w bazie, więc może zostawiać odciski, gdzie tylko chce i w dowolnej liczbie. I tak nam to nic nie daje. Poza tym zostawił je już przy okazji zabójstwa tej sprzedawczyni.

– Moim zdaniem chodzi o coś innego – odparł Rudnicki. – To wyzwanie.

– Wyzwanie?

– Rzucił nam rękawicę, jeśli można to tak górnolotnie ująć – sprecyzował. – Albo zaśmiał nam się prosto w twarz. Włamał się do domu, który dzień wcześniej błędnie wytypowaliśmy jako jego kryjówkę, i zostawił tam głowę zakładnika, którego szukaliśmy. To jakby nam powiedział: „jesteście beznadziejni, a ja was biję na głowę”. Tacy ludzie nie martwią się już takimi drobiazgami jak pozostawione ślady.

– Może ma rację? – spytała. – Może faktycznie jest od nas lepszy.

– Pani prokurator – odparł podkomisarz. – Wszystkim przestępcom tak się wydaje. I między innymi dlatego większość z nich w końcu łapiemy.

– Większość... – zauważyła.

– Tego złapiemy na pewno. I to nie tylko dlatego, że bardzo tego chcemy. On idzie na konfrontację. Podejmuje niepotrzebne ryzyko, żeby nam pokazać swoją wyższość. Prędzej czy później nam się podłoży.

– Może nawet już to zrobił – powiedział Aleksanderski.

Rudnicki odwrócił w jego stronę swoją okrągłą głowę.

– Co pan ma na myśli? – spytał z uwagą.

– Skąd wiedział, że weszliśmy do tego domu? Że go tu szukaliśmy? To była szybka, spontaniczna akcja, w dodatku oparta na błędnym rozpoznaniu, nie mógł tego przewidzieć. Albo więc nas w jakiś sposób podsłuchuje, co mimo wszystko wydaje mi się mało prawdopodobne, albo po prostu mieszka gdzieś w pobliżu i to widział.

Seredyńska spojrzała na niego spod opadających z jednej strony na czoło rudych włosów.

– Czyli trafiliśmy mimo wszystko, ale nie dokładnie?

– Coś w tym stylu.

Rozejrzeli się po okolicy. Było bardzo cicho i bardzo spokojnie. Odgłosy samochodów i tramwajów dobiegały tu przytłumione, jakby dochodziły zza ściany.

– Zakładając, że to prawda – powiedziała cicho – gdzie mógłby mieszkać, jak daleko?

– Gdzieś, skąd mógłby zobaczyć albo chociaż usłyszeć wczorajsze zamieszanie. Radiowozy, wyważanie drzwi... Ta ulica, te domy poniżej i te apartamentowce nad nami – powiedział Aleksanderski. On też mimowolnie zniżył głos, jakby się bał, że zabójca Halickiego go usłyszy.

– Mamy tu jakieś trafienie w okolicy? – spytała Rudnickiego.

– Nie – odpowiedział. – Tam w dole, za Lektykarską, ale to moim zdaniem za daleko.

– Czyli musimy sprawdzić te wszystkie domy – powiedziała. – To do roboty. Potem wystawię potrzebne nakazy. Gdyby w którymś domu nikogo nie było, sprawdźcie jeszcze raz wieczorem, a potem wchodźcie mimo to.

ROZDZIAŁ 101

Ten dom był zadziwiającym budynkiem. Nikt w nim nie mieszkał już od wielu lat; wiosną i latem, gdy na rozrośniętych ponad wszelką miarę drzewach i krzewach wokół niego rosły liście, nie było go nawet widać; dopiero jesienią, gdy liście opadały, ukazywała się jego sylwetka. A była to sylwetka szalona, wielobryłowa, niczym z koszmaru sennego architekta. Budynek musiał być wielokrotnie przerabiany, dostawiano do niego kolejne półpiętra i przybudówki; wszystko gospodarskim sumptem i najwyraźniej bez żadnego projektu ani planu. Dom rozrastał się więc jak forma organiczna, porost, huba albo rafa koralowa, wyposażony w dziesiątki okien i okienek różnego kształtu, kilka wyszczerbionych balustradek, przykryty dachem połamanym niczym w japońskim origami.

Wszystko to jednak było stare, pokruszone, powybijane, porośnięte mchem i przykryte grubymi kożuchami nawarstwionych przez lata przegniłych liści. Mogłaby w nim mieszkać czarownica z bajek dla dzieci, i to koniecznie taka, która zjada je tuż po złapaniu.

Był więc idealny.

Wejście do środka nie sprawiało problemów. Furtka co prawda obwiązana była grubym przerdzewiałym łańcuchem zakończonym kłódką, ale tuż obok niej siatka odstawała i jeśli się ją odgięło, można było się dostać na zarośnięte chwastami podwórko. Potem krótki chodnik, całkowicie zaanektowany przez płożące się po ziemi bluszcze, i było się już na niewielkim, betonowym, omszałym

ganku; drzwi zaś tak zmurszały, że wystarczyło je mocniej pchnąć ramieniem, by metalowy rygiel zamka wyskoczył ze swojego miejsca we framudze.

Wszedł do środka. Podłoga sieni pokryta była nawianymi przez wybite okno zeschniętymi liśćmi. Ruszył dalej. Cały parter przedstawiał sobą podobny widok. Większość szyb była stłuczona, a po posadzce walały się śmieci i butelki po niegdysiejszych dzikich libacjach. Zobaczył schody wiodące na piętro. Drewniane, niestety, ale wyglądające jeszcze w miarę solidnie. Wszedł ostrożnie na pierwszy stopień. Ten zaskrzypiał, ale nie pękł. Potem drugi, trzeci i czwarty. Piąty ominął, bo wyglądał niepewnie. W końcu dotarł na górę.

Sytuacja tu była inna, co nie znaczy wcale, że wiele lepsza. Większość okien co prawda była cała – widocznie nastolatkom zabawiającym się w wybijanie szyb nie chciało się rzucać tak wysoko – za to woda spływająca z licznych zapewne dziur w dachu zrobiła swoje. Zacieki na ścianach, odpadający tynk, zmurszała i przegniła podłoga, dziury w suficie – katalog zniszczeń był doprawdy obfity. Zaczął chodzić po niezliczonych pomieszczeniach tego gargamelicznego przybytku w poszukiwaniu jednego chociaż, które pozostawało we w miarę dobrym stanie. W końcu takie znalazł.

Był to dość spory pokój położony pośrodku tego wszystkiego. Widocznie dach nad nim był w nieco lepszym stanie, bo niszczycielska siła wody go oszczędziła. Okna też były całe, a na podłodze nie było śmieci. Co równie ważne, wychodziło się z niego na niewielki, lecz nie taki znowu mały taras otoczony zmurszałą, betonową barierką. Taras ten znajdował się nie od strony ulicy, ale od sąsiedniej działki. Budynek na niej stojący od tej strony zakończony był ślepą ścianą bez okien, a dodatkową osłonę zapewniały rozrośnięte drzewa. W nim zresztą też nikt nie mieszkał. Kiedyś coś tam było, jakiś warsztat samochodowy lub coś podobnego – już nie pamiętał. Teraz straszył powybijanymi,

wielkimi oknami z resztkami matowych szyb. Gdy stanął na tym tarasie, pozostawał praktycznie niewidoczny dla wszelkich obserwatorów z zewnątrz. Zresztą w tym rejonie i tak ich nie było.

Tak, to miejsce nadawało się doskonale. Wrócił do środka i zdjął plecak. Potem zaczął szukać szczotki. Jak podejrzewał, musiała gdzieś tu być. Takich rzeczy się nie kradnie. Dożywają swoich dni zostawione gdzieś w kącie i porośnięte pajęczynami. Miał rację – stała wciśnięta w szparę pod schodami. Taka w starym stylu, jakich już dziś się nie robi. Wiązka cienkich gałązek ściśnięta drutem naokoło kija. Uśmiechnął się – dokładnie na takich latają czarownice. Wziął ją i wrócił na górę. Potem zamiótł dokładnie pomieszczenie i rozłożył swoje rzeczy. Odtwarzacz CD, karimatę i śpiwór. Obok tego kilka świec i pół butelki ginu. Przedmioty mocy na razie zostawił w plecaku.

Przyjrzał się swojemu nowemu domowi – całkiem przytulnie. Otwarte drzwi na taras wpuszczały świeże, ciepłe powietrze. Musi tylko kupić baterie do odtwarzacza, bo prądu w gniazdkach oczywiście tu nie było. No i wino.

Usiadł ciężko na karimacie i położonym na niej śpiworze. Pachniał stęchlizną; nie wyciągał go z pokrowca chyba z dwadzieścia lat. Ciekawe, czy policja dotarła już do jego starego domu. I czy odnalazła jego wiadomość. Jeśli nie, niech się pospieszy, bo czuł się coraz gorzej. Ten marsz z plecakiem zupełnie go wykończył. To, co czuł, to nie było wyłącznie zmęczenie, a przynajmniej nie tego zwykłego rodzaju. Nie wystarczyło odpocząć, by wrócić do formy. Wyczerpywała mu się bateria, jechał na oparach benzyny. Płytki, świszczący i bulgoczący jednocześnie mokro oddech i ten wieczny pot na ciele mówiły o tym wyraźnie. Nie miał zbyt wiele czasu, pani prokurator musi się streszczać.

Pozostawało jedno pytanie: jak ją tu dostarczyć? Nie miał jeszcze planu; szczerze powiedziawszy, myślało mu się też coraz gorzej. Nie tylko ciało odmawiało mu powoli posłuszeństwa. Samochodu nie mógł już użyć, został w garażu w tamtym domu. Wyjechanie nim

teraz na ulicę pełną policji byłoby zbyt ryzykowne. Więc co? Musi szybko coś wymyślić, to był słaby punkt tego wszystkiego. Chyba że po prostu położy się tutaj i umrze. Pozwoli, by jego tułów osunął się po ścianie na bok, i przestanie się miotać. To też była opcja, i to bardzo, ale to bardzo kusząca. Coraz bardziej. Zamknął oczy. Ta cała walka – to w zasadzie po co? I tak jądrem, esencją wszystkiego jest nic. Po prostu zjednoczy się z tym szybciej. Wróci do matczynej, ciepłej, bezpiecznej nicości. Ostatnia walka, śmiechu warte. Czyż wolna wola nie zakłada też możliwości odpuszczenia sobie, rezygnacji, położenia się tuż przed metą? Być może jest to wręcz najdoskonalszy jej wyraz.

ROZDZIAŁ 102

Wróciła do prokuratury tylko na chwilę, raptem na trzy godziny. Nie potrafiła tam wytrzymać. Siedzenie przy biurku generowało nieprzerwany potok myśli, nad którym nie potrafiła zapanować. Widok głowy komisarza Halickiego leżącej na krześle prześladował ją w zasadzie przez cały czas. Jej szefowa, prokurator Kostrzewska, zasugerowała jej kilka dni wolnego i przekazanie sprawy prokurator Walczak, ale Seredyńska przecież nie mogła się na to zgodzić. Po wszystkim, gdy to się skończy, na pewno odpocznie, pójdzie na jakąś terapię, być może nawet weźmie dłuższe zwolnienie, ale na pewno nie teraz. Teraz musiała być ze swoimi ludźmi, doprowadzić sprawę do końca, była to winna tej dziewczynie ze sklepu i Halickiemu. I przede wszystkim sobie.

Tak więc teraz parkowała przed domem na Brochowskiej, które to miejsce stało się nieformalnym centrum zarządzania akcją. Na wąskiej ulicy prawie nie było już miejsca, musiała postawić samochód na samym jej ślepych końcu, przed przegradzającą ją metalową barierką, tuż przed wejściem do parku z dwoma stawami.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę radiowozów. Przed jednym z nich spotkała komisarza Aleksanderskiego.

– Jak sytuacja? – spytała.

– Na razie nic – odparł. – Chodzimy i sprawdzamy. Chłopców z CBS wysłałem do tych apartamentowców na górze, bo nie sądzę, że to tam. – Uśmiechnął się pod nosem. – Moi ludzie szukają tu.

– Ktoś nie otworzył?

– Tak. Na przykład w tamtym domu nikogo nie było. – Wskazał budynek po drugiej stronie ulicy, trochę dalej w kierunku parku.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Pasowałby – zauważyła. – Blisko, musi być widać nas stamtąd jak na dłoni, do tego jest garaż. Wiemy, kto tam mieszka?

– Jeszcze nie, sprawdzają to. Jak się dowiedzą, mają do niego zadzwonić i go tu ściągnąć.

– Kiedy tam byliście?

– Z godzinę temu.

– A w pozostałych? – spytała.

– W większości ktoś był – odpowiedział. – Mieszkają tu zazwyczaj starsi ludzie. W tych na górze pewnie gorzej. – Wskazał apartamentowce. – Ale jak powiedziałem, nie sędzę, żeby to było tam.

Zastanowiła się.

– Jesteś pewien, że Halicki nie zginął właśnie tu? Sprawdziliście dokładnie cały budynek? – Pomachała w stronę domu, w którym znaleźli głowę.

Przytaknął.

– Od dachu po piwnice. Łącznie z ogrodem. Żadnych śladów krwi ani nawet śladów zacierania śladów. Gość wszedł, zostawił, co chciał, i wyszedł.

Znowu ten cholerny obraz przed oczami. Już nigdy go nie zapomni, wiedziała o tym.

– Myślisz, że naprawdę rzucił nam wyzwanie? – spytała. – Jeśli tak, to po co?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, może jest już zmęczony i w głębi duszy chce, żebyśmy go złapali. Większość zabójców prędzej czy później ma dość.

Rozejrzała się po okolicy. Znowu miała ochotę zapalić.

– Mam wrażenie, że nie wszystko ogarniamy – powiedziała. – Za dużo tego. Skupiamy się na jednych kwestiach, a zapominamy o innych.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Na przykład to, że jest chory. Podobno. Zapomnieliśmy o tym. Może po prostu czuje, że kończy mu się czas, i stąd to wszystko? A ta sprawa z najkrótszą nocą w roku? To, o czym mówiłeś, zanim... – Nie potrafiła jeszcze tego powiedzieć na głos. – Co, jeśli miałeś rację? To, że popełniliśmy błąd, typując jego kryjówkę, nie oznacza, że tamto nie było prawdą. Halicki zginął dokładnie tej nocy. To nie mógł być przypadek.

– No dobrze – odparł Aleksanderski, przeciągając ręką po podbródku. – Tylko co to nam mówi na temat jego dalszych działań? Spróbujmy zebrać to do kupy. Krew w słoiku, kradzież maski, skalp, teraz ta obcięta głowa. Najkrótsza noc w roku, czyli jakiś rodzaj obrzędu. Do tego choroba, być może śmiertelna. – Sapnął. – Czyli co, ześwirował z powodu choroby i wydaje mu się, że jest jakimś czarownikiem, tak?

Zastanowiła się nad jego słowami.

– W każdym szaleństwie jest jakaś metoda. Nawet paranoicy i schizofrenicy działają racjonalnie w ramach świata, w który wierzą. Musimy dowiedzieć się, w co on wierzy i jakie są jego motywy.

– No właśnie, jakie?

Kurwa, naprawdę chciało jej się zapalić.

– Pomyślmy: po co odprawia się obrzędy?

Uniósł brwi.

– No nie wiem, żeby uzyskać przychylność jakiejś wyższej siły?

– Po co jeszcze?

– Żeby o coś prosić albo uzyskać przebaczenie...

Pokręciła głową.

– Do tego służą modlitwy. Modlimy się, żeby o coś prosić, a bóstwo może się przychylić do tej prośby lub nie. Zależy to wyłącznie od jego dobrej woli. Obrzędy służą do tego, żeby wpłynąć bezpośrednio na rzeczywistość. Jeśli są dobrze wykonane, muszą

zadziałać. Jak w czarnej magii. Wbijasz szpilkę w laleczkę przedstawiającą twojego byłego, a jego kłuje wątroba, rozumiesz?

– To już wiem, dlaczego mnie kłuje. – Uśmiechnął się.

– Nie żartuj, skup się. – Nie miała nastroju na takie rzeczy. – Na co on próbuje wpłynąć?

– Okej, przepraszam. – Spoważniał w jednej chwili. – Cóż, to chyba proste. Skoro jest chory, to pewnie chce wyzdrowieć.

Spojrzała na niego.

– No tak, to ma sens – powiedziała. – Poświęca czyjeś życie, żeby ocalić własne. Jak w tej baśni.

– Jakiej baśni?

– Braci Grimm. Chyba. Nie pamiętam dokładnie, mogę coś mylić. Śmierć zaprowadziła umierającego człowieka w miejsce, gdzie paliły się świece. Każda świeca to było ludzkie życie. Im dłuższa, tym więcej go zostało. Świeca tego człowieka dopalała się już, został z niej tylko ogarek. Śmierć pozwoliła człowiekowi nałożyć ten ogarek na inną świecę i w ten sposób przedłużyć sobie życie. Człowiek wybrał najdłuższą z tych, które znalazł. Gdy wrócił szczęśliwy do domu, dowiedział się, że właśnie umarł jego syn.

– Mocne. Myślisz, że on tak robi?

– Tak. – Nagle wszystko rozjaśniło jej się w głowie, jakby zobaczyła całą sytuację z góry. – Myślę, że to w nim narastało. Nie od początku tak to odbierał. Pierwsze zabójstwa były z wściekłości. Dowiedział się, że umiera, i w ten sposób wyładował swoją złość. Ale w którymś momencie zaczął wierzyć, że odbieranie komuś życia przedłuża jego własne. Kiedy zebrał krew do słoika, chodziło już pewnie o to.

– No dobrze, ale wciąż nie wiemy, po co podrzucił nam głowę Halickiego. Po co zadał sobie ten trud, podjął ryzyko, zamiast siedzieć cicho i szukać następnej ofiary?

– Nie sądzę, żeby było tak, jak mówi Rudnicki – odpowiedziała. – Że poczuł się zbyt pewnie i chce nam pokazać swoją przewagę. Myślę, że jest wręcz odwrotnie. Ten człowiek jest bezustannie,

śmiertelnie przerażony. Tak jak mówił Zemler: umiera i się boi. Wszystko, co robi, wynika tylko i wyłącznie z tego. Tylko jaki był konkretny powód? W tym świecie, który sobie stworzył, by zapomnieć o zbliżającym się w nieunikniony sposób końcu, co chciał osiągnąć?

– Może podbija stawkę?

– Co masz na myśli?

– Jestem samotnym człowiekiem, który wieczory spędza przed telewizorem. Lubię oglądać zwłaszcza programy historyczne. Wiesz, dlaczego Japonia zaatakowała Stany Zjednoczone pod Pearl Harbor? Właśnie dlatego. Była w sytuacji bez wyjścia i postanowiła wyjść z impasu, eskalując konflikt. Może on robi dokładnie to samo? Może zapędziliśmy go w kozi róg i właśnie w ten sposób próbuje się wywinąć? Liczy, że pod presją popełnimy błędy, które dadzą mu przewagę. Dlatego poszedł na całość. Postanowił zrobić coś, co nas przerazi, przez co przestaniemy myśleć jasno.

Jeśli taki był jego plan, pomyślała, to chyba mu się udało.

ROZDZIAŁ 103

Zadzwoił telefon. Komisarz Aleksanderski odszedł machinalnie na bok, potem jednak zreflektował się i wrócił. Przez chwilę słuchał w skupieniu.

– Chyba już wiemy, kto tam mieszka – powiedział, chowając telefon do kieszeni. Miał dziwny wyraz twarzy.

– Kto? – spytała.

Spojrzał na nią.

– Michał Porycki.

– Kto to? – Nie mogła sobie przypomnieć, ale jego mina świadczyła o tym, że powinna znać to nazwisko.

– Były mąż Anny Jabłońskiej, kochanki Różańskiego.

Zamrugła powiekami.

– Co? – myślała, że się przesłyszała.

– Michał Porycki, były mąż...

– *Fuck!* – przerwała mu. – Jak mogliśmy coś takiego przegapić?!

– Jest zameldowany na Ochocie, tam ma mieszkanie i ten adres podał podczas przesłuchania. Ten dom należał do jego rodziców. Przepisali go na niego w dziewięćdziesiątym czwartym.

– *Fuck!!!* – powtórzyła. – A co z DNA?! Nie sprawdzaliśmy go przy okazji zabójstwa tej projektantki?

– Na pewno był na liście – odpowiedział. – Wszyscy, którzy przewinęli się w sprawie Różańskiego, byli. I wszystkim zrobiono testy. Naprawdę nie wiem, co się stało. Widocznie ktoś coś pomylił...

– Kurwa mać! – Wprost nie mogła w to uwierzyć. Ktoś coś pomylił... Naprawdę?! Zginął człowiek, bo jakiś kretyń nie dopilnował swoich obowiązków? Chciało jej się płakać z wściekłości. – To on! Był cały czas w naszym zasięgu! Gdybyśmy to wiedzieli wcześniej, Halicki by żył! A może i ta dziewczyna ze sklepu!

Odwrócił wzrok. Cóż mógł powiedzieć?

– Wchodzimy tam! Natychmiast! – krzyknęła.

Aleksanderski wyciągnął pistolet. Machnął nim w kierunku najbliższego policjanta.

– Ściągnij wszystkich z okolicy! – zawołał w jego stronę.

– Mnie też daj – powiedziała Seredyńska.

– Co mam ci dać? – odwrócił się do niej.

– Broń, kurwa, mi daj, a co? – Czuła, że trzęsą jej się dłonie.

– Nie wygłupiaj się, nie masz pozwolenia.

– Mam. Od paru lat.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale i z szacunkiem.

– Nic z tego – odpowiedział. – Nie mam w bagażniku walizki z zapasowymi gnatami. Poza tym nie mogę ci oddać służbowej broni, chyba to rozumiesz.

– Dobra, nieważne. Wchodzimy!

Położył jej ręce na ramionach.

– Słuchaj, uważam, że nie powinnaś tam iść.

– Bo co? – Już nie tylko dłonie jej dygotały.

– Bo dobrze wiesz, co tam znajdziemy. Jedna trauma w tygodniu chyba ci wystarczy? Nie dasz rady, rozsypiesz się. Ja jestem starym skurwysynem, ale dla ciebie to może być za dużo.

Wiedziała, że ma rację. Ale tak bardzo chciała coś zrobić z tą wściekłością i bezsilnością, z tym poczuciem, że mogła temu wszystkiemu zapobiec, uratować ich. Gdyby tylko wszystkiego dopilnowała...

Nie czekał na jej odpowiedź.

– Idziemy! – powiedział.

Została sama na środku ulicy. Widziała, jak podchodzą z wyciągniętymi pistoletami do furtki, jak otwierają ją i wchodzą po betonowych schodach; widziała, jak wyważają drzwi i znikają we wnętrzu domu. W tym momencie nic już nie czuła, myślała tylko o tym, co tam znajdą. Którego z nich – a może obu? W jakim stanie będzie ciało Halickiego, co ten skurwiel mu zrobił? I czy on będzie tam obok? Będzie zaskoczony? Czeka na nich z uśmiechem? A może zastawił tam pułapkę? Powinni poczekać na antyterrorystów; nie zrobili tego. Może to kolejny błąd, który popełniła. Chciała tam pobiec, zatrzymać ich, ale było na to za późno. Znaleźli się już wewnątrz.

Nie słyszała strzałów. To dobrze; gorzej, że nie wiedziała, co się dzieje w środku. Miała wrażenie, że za chwilę wyskoczy z własnej skóry. Aleksanderski miał rację, przestała myśleć jasno. Ten skurwiel przejął inicjatywę, rozstawiał ich po kątach jak dzieci. Robili dokładnie to, czego chciał. Chciał, żeby tam weszli, zrozumiała to. Dlatego zostawił im głowę Halickiego. To było zaproszenie. Zaproszenie, z którego właśnie skorzystali. Tylko po co to zrobił? Co chciał przez to osiągnąć? Co tam, do cholery, było? Bomba? Zaminował swoją kryjówkę? Po tym wszystkim, co do tej pory zrobił, nie było to wcale takie nieprawdopodobne. Nie wiedziała, kim był z zawodu, nie pamiętała nawet, czy go o to spytała. A może to kolejny fałszywy alarm, szlag by to trafił!

Przez to wszystko nie usłyszała, jak ktoś podchodzi do niej od tyłu i jak uderza ją w tył głowy skarpetą wypełnioną piaskiem. Nie czuła, jak łapie ją pod ramiona i wciąga w krzaki po drugiej stronie ulicy. Nie mogła wiedzieć, że przeciąga ją jak bezwładny worek przez jakieś opuszczone podwórko, gubiąc po drodze jej buty, do przekrzywionej furtki na jego tyłach, jak ją wiąże, knebluje i ładuje do rowerowej przyczepki na dwóch kołach; takiej, w jakiej przewozi się dzieci. A potem przykrywa kocem, by nikt nie widział, co wiezie. Była chuda, drobna, zwinięta w kłębek; zmieściła się bez problemu.

Nie widziała też, jak rusza przez labirynt uliczek, na których nie było już policjantów ściągniętych przez Aleksanderskiego do domu, w którym nikt na nich nie czekał. Jak jedzie, nie budząc niczyich podejrzeń, po jednej z wielu ścieżek rowerowych w tej okolicy – ot, po prostu ojciec, który wybrał się na wycieczkę z synem lub córką w to ciepłe, czerwcowe popołudnie – a później znika za kolejnym zakrętem.

ROZDZIAŁ 104

Pierwsze, co do niej dotarło, gdy już odzyskała przytomność, to ból w piętach. Być może to właśnie dzięki niemu się ocknęła. Potem usłyszała oddech – ciężki, płytki, świszczący – tuż przy swoim uchu. Chwilę później poczuła jego zapach.

Nie wiedziała jeszcze do końca, co się dzieje, ale instynktownie wyczuła, że coś jest z nim nie tak. Był słodkawy, lekko kwaśny, niezdrowy; nie był jednoznacznym smrodem, jaki dobywa się z ust ludzi, którzy mają popsute zęby albo kłopoty z żołądkiem, ale czuć w nim było chorobę, a nawet rozkład.

Potem zrozumiała, że ktoś ją trzyma pod ramiona od tyłu i ciągnie. Ciągnie po schodach, w górę, a ból bierze się stąd, że jej stopy raz za razem uderzają w drewniane kanty stopni. Ten ból działał otrzeźwiająco, był jak pukanie do drzwi. Choć też z drugiej strony przerywał krótkimi, intensywnymi wybuchami proces ponownego odnajdywania się w rzeczywistości.

Człowiek, który ją trzymał, rzeził, jakby miał za chwilę umrzeć. Jego pot kapał jej na włosy i kark i było to tak obrzydliwe, że w jednej chwili całkowicie oprzytomniała. Schody się skończyły, teraz jej pięty szorowały po podłodze. Znowu miała podarte pończochy. I kilka drzazg zebranych po drodze.

Nic nie widziała, miała coś na głowie. Jakiś worek, ale płócienny, bo przesączało się przez niego nieco światła. Co się stało? Nic nie pamiętała. Stała przed tamtym domem i patrzyła, jak komisarz Aleksanderski wraz z policjantami wchodzi do środka, a teraz znajdowała się tu. Pomiedzy tymi dwiema chwilami nic nie było.

Poczuła ból z tyłu głowy, ktoś ją więc musiał uderzyć. To dlatego straciła przytomność. A teraz ją gdzieś ciągnął z tym workiem na głowie. Została porwana, i to dokładnie tak samo, jak Halicki. Przez tego samego człowieka. Po raz drugi uderzył w ten sam sposób. A oni znowu niczego się nie spodziewali. Zaskoczył ich tym, że to powtórzył. Nawet przez myśl im nie przeszło, że może to zrobić. To jakby napadł po raz drugi na ten sam bank. I to w momencie, gdy trwa jeszcze sprzątanie po poprzednim napadzie. Czy może być coś bardziej niespodziewanego?

Na razie nie dała mu jednak poznać, że się ocknęła. Pozwalała się dalej ciągnąć jak worek kartofli. Zagryzła wargę, gdy uderzył nią o coś, chyba o framugę. Czuła, słyszała, że jest mu ciężko, że wlecze ją ostatkiem sił. Jej, jeśli nie liczyć tego bólu w potylicy, nic nie było. Gdyby nie miała związanych rąk i nóg, pokonałaby go bez trudu; tak przynajmniej sądziła. Może nadejdzie odpowiedni moment? Teraz szarpanie się byłoby kompletnie bez sensu.

Dotarli chyba w końcu na miejsce, bo opuścił ją na podłogę i oparł plecami o kaloryfer. Wyraźnie czuła pod plecami jego żeliwne żebra. Potem stanął nad nią i długo dyszał. Nawet nie drgnęła. Czuła, że się jej przygląda. Ocenia, czy wciąż jest nieprzytomna. Pozwoliła mu uwierzyć, że tak.

Nachylił się nad nią wreszcie i sięgnął do jej rąk, związanych taśmą za plecami. Poczuła chłód metalu przy nadgarstkach, gdy przecinał taśmę nożem. Miał nóż, niedobrze. Ale z drugiej strony, czym ryzykowała? Jeśli nic nie zrobi, czeka ją taki sam los, jak Halickiego. Poczekała, aż przetnie do końca taśmę, i zaatakowała.

Popęłniła jednak błąd. Powinna była najpierw zerwać z głowy ten worek. Nie pomyślała, zbyt szybko podjęła decyzję. Te kilka sekund dałyby mu co prawda czas na zrozumienie, co się dzieje, ale jej dałyby coś znacznie ważniejszego – widziałyby przeciwnika, tak jak on widział ją. Element zaskoczenia nie zdołał zniwelować tej przewagi. Uderzyła go mocno, trafiła w głowę, drugi cios już jednak chybił, uchylił się od niego. Mimo wszystko zdołała go złapać za

ubranie, chyba za kołnierz przy koszuli, i pociągnąć do siebie. Efekt był taki, że stracił równowagę i przewrócił się na nią całym ciężarem swojego ciała. Dostała bardzo boleśnie łokciem w pierś, raczej przypadkiem. Dopiero teraz, poniewczasie, spróbowała zerwać z głowy worek.

To był drugi błąd, bo wykorzystał okazję, łapiąc ją za rękę. Uczepił się jej obiema dłońmi i zaczął odciągać na bok. Drugą ręką wreszcie udało jej się ściągnąć ten cholerny worek. Na grzejniku wisiały kajdanki przyczepione z jednej strony do rury. Drugi ich koniec był wciąż otwarty. To w jego stronę ciągnął jej rękę. Zaparła się wszystkimi siłami. Zaczęła bić go pięścią po plecach i głowie. W szale walki zdawał się nie zwracać na to żadnej uwagi. Usiłowała kopać, ale nogi miała wciąż związane w kostkach, poza tym leżał na nich, ograniczając dodatkowo jej ruchy. Jedyne, co dobre, to to, że nie potrafił w tej pozycji pociągnąć jej dłoni z odpowiednią siłą. Ale też ona nie dawała rady mu jej wyrwać. Walczyli tak przez dłuższy czas, jęcząc i postępując. Chwyciła go za włosy, spróbowała sięgnąć do oka, lecz okazało się, że jest za daleko.

Wreszcie przestali. Zastygli, dysząc w tym impasie, czekając, które z nich pierwsze podejmie znowu walkę. Które pierwsze i jak zaatakuje. Z napiętymi mięśniami, czując przez ubrania ciepło swoich ciał i rwany rytm przeplatających się oddechów. Czekali, zbierając i oceniając swoje siły, jak dwójka zapaśników znieruchomiałych podczas zwarcia w parterze.

Ona pierwsza przerwała ten chwilowy rozejm. Miała więcej sił i więcej do stracenia; on był bardziej zmęczony. Spróbowała wyslizgnąć się spod przygniatającego ją ciała, tak by zyskać więcej swobody ruchów. I to był jej trzeci błąd. Mimo że śmiertelnie zmęczony i wyczerpany chorobą, ciągle był od niej prawie dwa razy większy i sporo cięższy. Wykorzystał to, że przez chwilę zajęła się czymś innym, pozwolił jej zrzucić swoje ciało z nóg, i kiedy napawała się tym sukcesem, podniósł się szybko na kolana i pociągnął jej rękę z całej swojej siły w górę. Usłyszała metaliczny

dźwięk zatrzasnkujących się kajdanek. Szach i mat, pani prokurator!

Jednak nie do końca, bo teraz to on popełnił błąd. Odsunął się od niej, by chwilę odpocząć, pewny ostatecznego zwycięstwa. Ale nie było ono wcale takie ostateczne. Biec z całych sił trzeba aż do mety, nawet jeśli pozostali zawodnicy wydają się daleko w tyle. On też powinien tak zrobić. Chwycić teraz jej drugą rękę i przywiązać przygotowanym kawałkiem sznurka z drugiej strony kaloryfera. Gdyby tak zrobił, byłaby już praktycznie martwa.

Jednak nie da się wszystkiego kontrolować ani przewidzieć. Zwłaszcza w szale walki, gdy pot zalewa ci oczy, a serce jest na granicy zawału. Można wtedy czegoś nie dostrzec albo o czymś zapomnieć. Na przykład tego, że przyszło się tu z nożem, który teraz leży na podłodze tuż obok nogi przykutej do kaloryfera kobiety.

Zauważyli go praktycznie w tym samym momencie. Najpierw chyba on, ona po prostu podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Miał więc sekundę przewagi. Tylko że on stał, a ona siedziała. Wystarczyło sięgnąć.

Nie zdążył nawet się ruszyć, a ona już trzymała go w dłoni. Nóż sprężynowy z długim, wąskim ostrzem. Pewnie pasowałby do ran w piersi Różańskiego. Potem tą samą dłonią szybkim, gwałtownym ruchem zerwała sobie taśmę z ust. Zapieкло jak cholera, jak gdyby zdarła sobie całą skórę z warg.

– Zbliź się do mnie, a wypruję ci flaki – powiedziała.

ROZDZIAŁ 105

Odszedł jeszcze dalej, potem osunął się wzdłuż ściany na podłogę i usiadł na rozłożonym tam śpiworze.

– Tylko nie krzycz – powiedział. – I tak nikt cię tu nie usłyszy. Daj odpocząć.

Ciężko dyszał. Spojrzała na okno. Było zamknięte, za nim rozciągała się tylko ściana liści. Gdzie ją wywiózł? Do jakiegoś lasu? Pokój, w którym siedzieli, był zapuszczony i zniszczony, jakby od dawna nikt go nie używał. Ile mogła być nieprzytomna? Pół godziny? Godzinę? Jeśli wiózł ją samochodem, jak Halickiego, mogli być teraz gdzieś w Puszczy Kampinoskiej, w jakiejś opuszczonej leśniczówce, albo w pustym domu na skraju wymarłej wsi. Mała szansa, że ktoś ich tu znajdzie.

Ręka trzymająca nóż zaczęła jej omdlewać. Opuściła ją więc i oparła o ugięte kolana. Potem, cały czas patrząc na niego, przecięła taśmę krępującą jej nogi. Gdyby nie dłoń przykuta kajdankami do kaloryfera, byłaby wolna. Mała rzecz, a nie do przejścia.

– Gdybyś się zastanawiała, kluczyk jest tutaj. – Pokazał jej mały, lśniący przedmiot w swojej dłoni. – Nauczyłem się go pilnować podczas krótkiej znajomości z twoim kolegą z policji.

– Następnym razem pilnuj też noża – odpowiedziała.

Cholera, głupio to zabrzmiało. Następnym razem. No świetnie. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Dobrze. Obiecuję.

Znowu odwrócił wzrok. Nie patrzył teraz na nią. Ona z kolei wpatrywała się w niego intensywnie, badała spojrzeniem każdy milimetr jego twarzy. To naprawdę był ten sam człowiek, którego przesłuchiwała kiedyś w prokuraturze? Nie pamiętała go dokładnie, w końcu tyle twarzy się przez to śledztwo przewinęło, ale tamten mężczyzna wyglądał w miarę normalnie. Był przygnębiony i poszarzały na twarzy, jakby miał kaca, ale ten? Ten już prawie nie żył. Wychudzony i opuchnięty jednocześnie, z dużymi, ciemnymi cieniami pod szklanymi, pustymi w środku oczami, z wysuszonymi, popękkanymi wargami, z grubą, siwą, sterczącą z policzków szczecina i ciałem, które tak ciążyło ku ziemi, jakby już chciało się tam znaleźć.

Ile mogło minąć od tego przesłuchania? Miesiąc? Raczej nie dłużej. Choroba, która go toczyła, musiała go zżerać w zastraszającym tempie. Przypomniała sobie portret pamięciowy, który sporządzili. Był podobny do tego mężczyzny tylko w najogólniejszych zarysach. Jeszcze ten wyraz twarzy, jakby wiecznie wykrzywionej w jakimś nieokreślonym grymasie... Czy wygląd ludzi może się zmieniać aż tak bardzo?

– Co to jest, rak? – spytała.

Ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami.

– A jakie to ma znaczenie? – spytał.

Przypomniała sobie wszystko, o czym mówili ostatnio z Aleksanderskim.

– Jakkolwiek to leczysz, nie działa – powiedziała.

Nawet nie drgnął.

– O to chodzi, prawda? – spytała. – Chcesz się uleczyć. Nic z tego, przykro mi. Patrzyłeś ostatnio w lustro? Ile osób zabiłeś? Sześć? Siedem? I co, lepiej ci? Bo wyglądasz jak trup. Umrzesz niedługo, choćbyś wymordował pół miasta.

Znowu zero reakcji. Jakby to, co mówiła, nie docierało do jego świadomości.

Postanowiła spróbować z innej strony.

– Zaczęło się od Różańskiego, tak? – Każdy przestępca lubi opowiadać o swoich czynach. Jeśli wie, że nic mu za to nie grozi, będzie to robił, wystarczy spytać. A on nie musiał już się bać wyroku. – Od zwykłej zemsty?

– Znowu mnie pani przesłuchuje, pani prokurator?

Nareszcie coś.

– A masz jakiś lepszy pomysł na wspólne spędzenie czasu? – spytała.

– Na razie nie – przyznał. – Chociaż mam pewne plany na wieczór.

Przeszedł ją dreszcz. Przez chwilę zapomniała, jaka jest stawka w tej grze.

– To dawaj, opowiedz mi o tym. – Nie dała mu poznać, jak bardzo się boi. – Ta pierwsza ofiara, w Grójcu, była pewnie na próbę. Chciałeś zobaczyć, czy dasz radę. Ale od początku chodziło ci o Różańskiego.

Chyba się zaśmiał. Tak to przynajmniej wyglądało, choć z prawdziwym śmiechem niewiele miało to wspólnego.

– Pani prokurator... – powiedział. – Myśli pani, że tak łatwo ocenić obiektywnie motywy własnego działania? Nie planowałem zabójstwa Różańskiego, nie poszedłem go szukać. Ale kiedy zobaczyłem go pod tamtym blokiem, jak wysiada z tego swojego wypasionego samochodu, postanowiłem skorzystać z okazji. Uznałem to za szczęśliwy zbieg okoliczności. Jakby ktoś nagle dał mi niespodziewany prezent. Trudno byłoby się oprzeć czemuś takiemu, prawda? Pomyślałem, że to nawet w pewien sposób zabawne, wyrównać tak stare porachunki. Nie poznał mnie, chyba nigdy tak naprawdę wcześniej się nie spotkaliśmy. Ja wiedziałem, jak on wygląda. – Uśmiechnął się, choć jego oczy pozostawały dziwnie puste. – To też było zabawne, bo do końca niczego się nie spodziewał, wydawało mu się, że jest panem sytuacji. A tu taka przykra niespodzianka. Spora satysfakcja, pani prokurator, muszę to szczerze przyznać. Ale gdyby przyjechał wtedy wcześniej albo później, zapewne zabiłbym kogoś innego.

– Jeśli tak, to sporo ryzykowałeś – zauważyła. – To był jedyny trop, który mógł nas do ciebie doprowadzić.

– Tak? A to dlaczego?

To pytanie zadał raczej obojętnym tonem.

– Mieliśmy twoje DNA, a wszyscy mężczyźni, którzy przewinęli się przez sprawę zabójstwa Różańskiego, zostali pod tym kątem sprawdzeni. Gdyby nie jakieś głupie niedopatrzenie, leżałbyś już w więziennym szpitalu.

– Nie było żadnego niedopatrzenia, pani prokurator – odparł zmęczonym głosem. – Proszę się nie winić.

– Jak to? – Nie bardzo rozumiała, o czym on mówi.

– Byłem na komendzie i zostawiłem tam swoją próbkę. Sądzę więc, że prawdopodobnie poszła do analizy i została porównana z tą, którą znaleźliście w tamtej pracowni.

– To dlaczego niczego nie stwierdzono? – Teraz kompletnie już zgłupiała.

– Parę lat temu przeszedłem operację przeszczepu szpiku – zaczął. – Wtedy, gdy jeszcze miałem nadzieję, że świat nauki, w który całe swoje życie tak bardzo wierzyłem, jest w stanie mi pomóc. Mało kto wie, a już na pewno nie w tym niedouczonej społeczności, że taki zabieg zmienia kod DNA. Nie w całym ciele, tylko w płynach fizjologicznych. Po kilku latach kod genetyczny obecny we krwi i spermie zamienia się na kod dawcy. Śmieszne, prawda? Można być ojcem nie swojego dziecka. Wiedziałem o tym; zawsze byłem prymusem, przed operacją obsesyjnie czytałem wszystkie artykuły na temat tego, co mnie czeka, i gdzieś na to trafiłem. Więc kiedy przyszedłem zostawić swoją próbkę, przekonałem miłą, młodą policjantkę, która mnie przyjęła, że cierpię na bardzo bolesne owrzodzenie jamy ustnej, i poprosiłem, żeby zamiast wymazu z ust wzięła do badania mój włos. – Rozłożył ręce. – Włosy zachowują dawne DNA. Zgodziła się bez problemu. Nie mieliście szans mnie złapać, bo obie próbki były inne. Nauka

jest niesamowita, pani prokurator. Szkoda tylko, że gdy jest
naprawdę potrzebna, zawodzi.

ROZDZIAŁ 106

Spojrzał za okno.

- Napijesz się wina? – spytał. – Mamy jeszcze trochę czasu.
- Do czego? – Znowu uniosła nóż.
- Do nocy.

Sprawiał wrażenie sympatycznego, kulturalnego człowieka. Zachowywał się, jakby przyszła do niego w gości, a on proponował jej aperitif przed kolacją. Nie wyglądał jak ktoś, kto ma zamiar za parę godzin ją zabić.

Mimo tego ponownie przeszedł ją dreszcz. Chcąc nie chcąc, ona też spojrzała za siebie. Która mogła być? Czwarta? Piąta?

– Znowu noc? – spytała z ironią. – Co jest dziś tym razem? Koniunkcja Marsa i Wenus?

- Pełnia – odpowiedział najnormalniej w świecie.

Pełnia, no tak. Najkrótsza noc w roku, teraz to. Była jego kolejnym barankiem do zarżnięcia. Musi szybko coś wymyślić.

– A co, chcesz się zmienić w wilkołaka? – zakpiła. – Wierzysz w te wszystkie bzdury? – Strach powodował, że stawała się zaczepna.

Wzruszył ramionami.

– Przez całe dotychczasowe życie wierzyłem w inne bzdury – odparł od niechcienia. – Sporo ich było. Teraz dla odmiany postanowiłem uwierzyć w te.

– Tylko jest pewien problem. – Wyciągnęła w jego stronę ostrze. – Bo nie zamierzam dać ci się zabić ani przy pełni, ani przy nowiu, ani przy czarnej, kurwa, dziurze.

Spojrzał kątem oka na wycelowany w swoją stronę nóż.

– Odpocznę trochę i coś wymyślę – odpowiedział spokojnie. – Mam pewną przewagę taktyczną. Jesteś unieruchomiona – zauważył.

– Ale kurewsko zmotywowana – odparła. – A ty nie. W głębi duszy nie wierzysz w to, co chcesz zrobić. Jesteś na to zbyt inteligentny.

Popatrzył tym razem na nią. Coś w tym spojrzeniu dostrzegła. Czyżby miała rację?

– Nic pani o tym nie wie, pani prokurator – odpowiedział. – Nie wie pani, jak to jest, gdy po kilku latach walki, odwiedzania wszelkich możliwych specjalistów, bolesnych i wyniszczających zabiegów, ktoś ci mówi, że to wszystko nic nie dało i że zostało ci parę miesięcy życia. Że ta cała cudowna medycyna, ze wszystkimi tymi szpitalami, rezonansami magnetycznymi i Bóg wie czym jeszcze, nie jest ci w stanie pomóc. Nie wie pani, w co wtedy można uwierzyć, a w co nie. Ale spokojnie, być może niedługo się pani tego dowie. Pani też pozostało już niewiele życia. Paradoksalnie znacznie mniej niż mnie. Zobaczymy, co pani będzie myśleć za parę godzin. W co pani uwierzy, a w co wierzyć przestanie. Szkoda, że nie zdążyłem spytać o to pani kolegi z policji. Trochę nam przeszkodziliście, więc to poniekąd pani wina. – Westchnął teatralnie. – A mógł mieć bardzo ciekawe przemyślenia. Wyglądał na człowieka, który dość gwałtownie przewartościował swoje rozumienie świata. Zafundowałem mu, że tak zażartuję, przyspieszoną ścieżkę autorozwoju. Odnalazł w końcu siebie. I wie pani, kim był ten ktoś, kogo odnalazł? – Przechylił się nieco w jej stronę, jakby miał zamiar wyjawić jej sekret. – Sparaliżowanym ze strachu zwierzęciem modlącym się o przeżycie do wszystkiego, co tylko mu przyszło do głowy. Mógłby się modlić wtedy nawet do stołka, gdyby uwierzył, że ten stołek może go ocalić. – Zaśmiał się krótko, szczekliwie, lecz śmiech ten przerwała odrywająca się gdzieś w jego płucach wydzielina; musiał odkaszlnąć. – Wszyscy jesteśmy takimi zwierzętami, pani prokurator – zaczął znowu po chwili. – Pani też, tylko jeszcze pani o tym nie wie. Gdy obedrze się

nas z tych wszystkich iluzji, które umożliwiają nam w miarę spokojną egzystencję... iluzji sensu życia, iluzji religii, iluzji racjonalnego rozumu panującego nad chaosem losu... zostaje tylko ono: przerażone, zdychające zwierzę. Wkrótce się pani o tym przekona, tak jak ja się o tym przekonałem. I pan komisarz jakiś czas temu. Więc niech mi pani nie mówi, w co wierzę, a w co nie. Gdy zawodzi nas jeden sposób, szukamy innego, prawda? Rozum mnie zawiódł, pani prokurator. Więc proszę się do niego nie odwoływać. Nic to pani nie da.

Patrzył jej teraz prosto w oczy. Z trudem wytrzymała ten wzrok. Poczowała, że jej ręka trzymająca nóż drży. Zauważył to.

– O tym właśnie mówię, pani prokurator. Jest pani na dobrej drodze – skomentował z uśmiechem. – To co? Może jednak odrobinę wina?

Nie czekając na jej odpowiedź, sięgnął do plecaka stojącego pod ścianą. Wyjął z niego butelkę białego wina.

– Jeszcze nawet w miarę chłodne – powiedział. – Kupiłem takie z lodówki.

Potem wyciągnął ze środka dwa owinięte w papierowe ręczniki kieliszki.

– Jak pani widzi, przygotowałem się – rzucił z uśmiechem. – Mam jeszcze świece, ale to bardziej na wieczór. Teraz i tak nie byłoby nastroju.

Odwinął kieliszki z papieru i postawił je na podłodze. Otworzył wino i nalał. Jeden z nich podsunął po podłodze w jej stronę.

– Tylko mnie nie dźgnij – powiedział. – Wino dobrze ci zrobi.

– Wal się – odpowiedziała. Miała ochotę kopnąć ten kieliszek mu prosto w twarz. Powstrzymała się jednak. Ten pusty gest nic by jej nie dał.

– Drugi etap żałoby: gniew i bunt. Czekają cię jeszcze trzy. Ostatnim jest akceptacja. – Podniósł swój kieliszek. – I na nią przyjdzie czas.

Opuściła wreszcie rękę z nożem i z powrotem oparła ją o kolano. Kieliszek stał przed nią, wystarczyło po niego sięgnąć. Wino miało ładny, słomkowy kolor. Na szklanej czaszy zaczynała pojawiać się rosa. Naprawdę miała na nie ochotę. Przede wszystkim chciało jej się pić.

– Śmiało – zachęcił ją. – To tylko wino. Przed chwilą je otworzyłem, słyszałaś chyba dźwięk odkręcanej zakrętki. Nie ma w nim środka usypiającego.

Cholera, nawet o tym nie pomyślała. Musi być bardziej czujna. Ale faktycznie usłyszała charakterystyczny trzask. Miał rację, to tylko wino.

Spojrzała na niego. Nie zdawał się czekać z napięciem na jej decyzję. Poczęstował ją po prostu, bo tak robią uprzejmi gospodarze. Taka ilość alkoholu raczej jej też nie upije. Pytanie tylko, czy powinna zacząć grać z nim w tę grę. Grę, której istotą było udawanie, że wszystko jest w porządku, a to jest zwykłe towarzyskie spotkanie. Jemu na pewno było to do czegoś potrzebne, a jej?

Uznała w końcu, że nie ma nic do stracenia. I tak już siedziała przykuta do kaloryfera w jednym pomieszczeniu z kilkukrotnym zabójcą, więc raczej niewiele więcej ryzykowała, a kto wie, może dzięki temu pojawią się jakieś nowe, niespodziewane możliwości, które pozwolą na wyjście z tego impasu.

Położyła nóż przy swojej nodze i sięgnęła po kieliszek.

Wtedy zaatakował. Czekał na to. Chlusnął jej w twarz winem i rzucił się na jej rękę. Całe szczęście trzymała już wtedy kieliszek w dłoni, więc pchnęła go z całej siły do przodu, celując w jego twarz. Szkło pękło, raniąc ją w dłoń, ale jego zraniło jeszcze mocniej. Odruchowo złapał się za to miejsce. Ale tylko jedną ręką, drugą chwycił ją za nadgarstek. Próbowała się wyrwać, lecz wtedy pokonał ból i złapał ją też drugą dłonią. Zobaczyła wtedy, że trafiła go w oko. Cały oczodół i połowę twarzy miał zalane krwią. Mimo to trzymał ją mocno, w żelaznym uścisku; nie dawała mu rady, choć

walczyła zaciekle. Wtedy zrobiła ostatnią rzecz, jaka jej pozostała. Odchyliła głowę i całym impetem, na jaki było ją stać, walnęła go czołem w zakrwawione miejsce. Jęknął i puścił jej rękę. Chwytał się obiema dłońmi za twarz. Zaczęła szukać noża, który wciąż leżał gdzieś na podłodze. Nie mogła go jednak znaleźć, widocznie podczas walki któreś z nich musiało go odepchnąć.

Szybciej, szybciej, gdzie on jest?! Gdyby go teraz miała, wbiłaby mu go w ten głupi ryj i załatwiła sprawę raz na zawsze.

Jest! Dostrzegła go wreszcie! Leżał za nią, trochę z boku, pod kaloryferem. Sięgnęła ręką do tyłu i wreszcie go złapała. Zanim jednak zdołała zadać mu cios, zaczął odsuwać się od niej, odpychając nogami od podłogi. Po chwili był już poza zasięgiem jej ramienia.

– Ty suko... – usłyszała stłumiony, pełen bólu głos.

– Mówiłam: nie podchodź – syknęła, ciężko dysząc.

ROZDZIAŁ 107

Minęło już kilka godzin od jej zniknięcia, a oni ciągle nic nie wiedzieli. Przeszukali oczywiście cały bliższy i dalszy teren, wszystkie domy w okolicy, zadzwonili na wszelkie numery telefonów, pod którymi mogła być dostępna – nic to nie dało. Jej samochód wciąż stał zaparkowany tam, gdzie go zostawiła, jej komórka była wyłączona, nie wróciła też do prokuratury ani do swojego mieszkania – to również sprawdzili. Ile czasu spędzili w tym domu? Najwyżej dziesięć minut. Znaleźli Halickiego od razu, potem tylko trzeba było przeszukać resztę pomieszczeń. Jednak gdy wyszli, jej już nie było. Jakby zapadła się nagle pod ziemię. Odkryli wyłącznie jej porzucone buty leżące w trawie na posesji obok i ślady wleczenia po ziemi. Psy tropiące sprowadzone na miejsce już jednak za furtką zgubiły trop.

Na domiar złego na tej pieprzonej, gównianej uliczce nie było monitoringu. Ani miejskiego, ani prywatnego. Żaden z tych malutkich, zapuszczonych domków nie miał nawet pół kamery, bo i po co? Apartamentowce nad nimi oczywiście szczyli się profesjonalnymi elektronicznymi systemami ochrony, ale żaden z ich elementów nie był skierowany w dół, na nikogo nieinteresującą ulicę Brochowską.

Aleksanderski był tym kompletnie rozbity, załamany; czuł się, jakby ktoś porwał mu dziecko. Nie wiedział, szczerze mówiąc, co robić. Wciąż miał przed oczami to, co zostało z komisarza Halickiego, i wiedział, że ona będzie następna. Jakby tego było mało, kłuło go w piersiach i miał problemy z oddychaniem.

Okłamał Seredyńską, mówiąc, że tym razem lekarze go wypuścili. Znowu nawiał ze szpitala, a teraz, choćby miał zdechnąć, nie może tam przecież wrócić. Musi jej szukać, bo zaraz będzie za późno.

Dopiero niedawno, po ponad trzech godzinach od porwania, wyjaśniło się choć trochę, co dokładnie się wydarzyło. Ktoś zgłosił kradzież roweru z doczepianą z tyłu przyczepką dla dziecka. Złodziej ukradł go z podwórka jednego z domów poniżej. Stał tam podobno od wiosny, widoczny z ulicy, właściciele dość często z niego korzystali. Każdy, kto tamtędy przechodził, musiał go widzieć.

Rudnicki to skojarzył, połączył oba fakty, trzeba mu to oddać. Do tej pory nie wiedzieli, jak porywaczowi udało się wywieźć nieprzytomną lub związaną (jak zakładali) Seredyńską tak, żeby jej nikt nie widział, tym bardziej że jego samochód stał ciągle w garażu. Gondola takiego wózka byłaby do tego idealna – zakryta z każdej strony, do tego nieoczywista i niebudząca podejrzeń. Ta konkretna miała do tego opuszczane z boku i z przodu nieprzezroczyste zasłonki mające chronić dzieci przed nadmiernym słońcem.

Natychmiast rozpoczęli poszukiwania takiego pojazdu na nagraniach z monitoringu. Znaleźli go na jednej z nowych ścieżek rowerowych biegnących wzdłuż ulicy Rudzkiej. Załapał się w obręb widzenia kamery zamontowanej w oddanym już do użytku bloku powstającym tam osiedla. Niestety potem rower z przyczepką zniknął. Widać go było jeszcze przez moment na nagraniu z kamery przed salonem Toyoty, lecz później rozplynął się, jakby go nigdy nie było – widocznie wjechał w którąś z bocznych uliczek, jakich w tym rejonie miasta było bez liku. Rudnicki zlecił swoim ludziom, by szukali go na nagraniach z innych ulic i tras rowerowych w pobliżu, ale to mogło potrwać. Poza tym, jeśli porywacz w dalszym ciągu poruszał się niewielkimi ulicami poza zasięgiem kamer, mogli go wcale nie znaleźć.

Aleksanderski wiedział więc, że jeśli chce ją odnaleźć żywą, musi wymyślić coś sam; na efekty standardowych policyjnych metod nie było co czekać – po prostu trwały one zbyt długo. Tylko co mógłby zrobić, do jasnej cholery? Raz już mu się nie udało; efekty tej porażki wisiały jeszcze pod sufitem w domu za jego plecami, czekając, aż technicy zbiorą wszystkie ślady i pozwolą je wreszcie zdjąć. Siedział więc teraz w swoim samochodzie i wpatrywał się w rozłożoną na kierownicy mapę Warszawy, którą całe szczęście woził ciągle w schowku, mimo że już od dawna używał GPS-u. Znał tę całą okolicę jak własną kieszeń, w końcu kilkanaście już lat pracował w komendzie przy ulicy Żeromskiego. To była jego supermoc: był stąd, mógłby z pamięci opisać niemal każdy dom.

No więc gdzie ten skurwiel mógłby ją wywieźć? Mieszkanie na Ochocie odpadało, było wynajęte. Z tego, co wiedzieli, nie miał już innych nieruchomości; Rudnicki sprawdził to bardzo dokładnie. Mógł co prawda wynająć coś, mieszkanie albo garaż, i jeśli zrobił to bez pośrednictwa żadnej agencji, na gębę, nie mieliby szans do tego dotrzeć. Ale komisarzowi nie wydawało się to prawdopodobne. Musiałby to zrobić wcześniej, a nie mógł chyba przewidzieć, że trafią do tego pierwszego domu na Brochowskiej i wykurzą go z jego nory obok.

Ale gdzieś musiał ją przewieźć, gdzieś musiał ją trzymać. Na dobrą sprawę miał trzy możliwości: las, jakiś pustostan albo rozległe, ciągnące się niemal od Cytadeli praktycznie aż do samego dalekiego morza zarośla nad Wisłą. Las chyba odpadał. Te, które znajdowały się w miarę blisko, były dość mocno uczęszczane. Spacerowicze, rowerzyści, biegacze – praktycznie ciągle kręciło się w nich pełno ludzi, więc trudno byłoby się tam ukryć. Dalsze, jak Puszcza Kampinoska, były chyba jednak za daleko. Musiałby tam dojechać rowerem z przyczepką, a to trwałoby zbyt długo i byłoby zbyt ryzykowne. Poza tym przy jego stanie zdrowia – a dość dobrze go już poznali, bo w jego domu znaleźli pełną dokumentację medyczną – mógłby najzwyczajniej nie dać rady. Pozostawały

opuszczone domy i zarośla na brzegu rzeki. Zarośla były pod pewnymi względami idealne. Gęste, niezagospodarowane, objęte ochroną unijnego programu Natura 2000, do tego naprawdę bardzo duże, były jak nadbrzeżna dżungla rosnąca tuż pod bokiem dwumilionowego miasta. Ale i tam pojawiali się ludzie: wędkarze, koczujący tam o tej porze roku bezdomni, amatorzy off-roadu rozjeżdżający swoimi terenowymi smokami przybrzeżne łąchy piasku. Ktoś mógłby coś zauważyć, usłyszeć, powiadomić policję albo wprosić się na imprezę. Mimo wszystko tyraliery policjantów już je przeszukiwały.

Najbardziej prawdopodobnym miejscem był więc jakiś opuszczony dom, i to w miarę blisko. Może nie w bezpośredniej okolicy, ale – powiedzmy – w odległości pół godziny jazdy rowerem. Taki dom zapewniał osłonę przed ciekawskimi spojrzeniami i ochronę przed warunkami atmosferycznymi, był więc lepszy niż obozowisko w krzakach. Adresy wszystkich, które przysły mu do głowy, Aleksanderski już przekazał swoim ludziom. Patrole właśnie teraz przeszukiwały je po kolei. Lecz może jest gdzieś jeszcze jakiś, o którym nie pomyślał?

ROZDZIAŁ 108

Siedział pod ścianą, na zmiętym, ściągniętym śpiworze, przyciskając lewą dłoń do twarzy. Spod palców wyciekały mu strużki krwi. Nie było jej zbyt wiele, więc oko powinno być całe, najwyżej trochę zranione. Ale boleć musiało, była tego pewna.

Ona też zastygła w bezruchu, próbując uspokoić oddech. Tę rundę wygrała, lecz daleko jej było do euforii. Szczerze mówiąc, znajdowała się w dość nieciekawym położeniu. Sama z nim w domu na odludziu, przykuta kajdankami do kaloryfera... Nawet gdyby go zabiła, nie zdołałyby się raczej uwolnić.

Musiała więc podjąć z nim grę, nie miała chyba wyjścia. Choć w tym momencie będzie pewnie mniej do tego skłonny. Przed chwilą niemal wykłuła mu oko.

– Sorry – powiedziała. – Bez urazy. Sam zacząłeś.

Nie odpowiedział. Wyglądał, jakby był w stanie jakiejś katatonii.

Jej też krew kapała z dłoni. Ciężkie, brunatne krople odrywały się od ręki i spadały na podłogę, rozpryskując się malowniczo. Nie powinna na to patrzeć, od razu robiło jej się słabo. Skupiła się więc na nim. Tam krwi było znacznie więcej, ale to jej z kolei jakoś specjalnie nie ruszało.

– Powinieneś pójść do szpitala – powiedziała. – Nie wygląda to zbyt dobrze.

Skrzywił się, chyba w uśmiechu. Rozlane wino intensywnie pachniało.

– Odyn też stracił oko – wycharczał w odpowiedzi. – W zamian zyskał wielką mądrość.

– Odyn? – Wiedziała, kim był, ale chciała wciągnąć go w rozmowę.
– Bóg z mitologii nordyckiej – wyjaśnił. – Największy i najmądrzejszy.

– Syn Borra, mąż Frigg, ojciec Thora i Baldura, najlepszego z bogów – wyrecytowała.

Zaskoczony, łypnął na nią swoim zdrowym okiem.

– No proszę – powiedział. – Nie spodziewałem się. Brawo, pani prokurator. Tego uczą na wydziale prawa?

– Uczą, że nieładnie jest kogoś zabijać.

– Przykro mi – odparł. – Tym razem mnie – dodał.

– Czemu to robisz? – spytała. – Naprawdę uważasz, że to cię uleczy? Przecież to głupie.

Nie odpowiedział. Przynajmniej nie od razu.

– Przejmuję energię życiową – odpowiedział. – Ich życie. Twoje też przejmę.

Już ją zaczęło irytować to ciągle przypominanie o nieuchronnej śmierci.

– Matko, naprawdę w to wierzysz? – wypaliła ze złością. – Słyszałeś, jak to kretyńsko zabrzmiało? Dopóki to sobie myślałeś, to może jeszcze jakoś się broniło, ale teraz, gdy powiedziałeś to na głos? „Przejmuję ich energię życiową” – przedrzeźniła go. – No weź, nie osłabiaj mnie...

Nic. Zero reakcji. Wzrok wbity w przeciwległą ścianę.

– I co, gdzie jest ta energia? – ciągnęła dalej. – Bo jakoś w tobie jej nie widzę. Chowasz ją gdzieś w słoiku? Życia zbyt wiele też już w tobie nie ma. Coś mi się wydaje, że gdzieś w tym rozumowaniu jest błąd. Nie sądzisz?

Znowu katatonia. A nie, jakiś mięsień drgnął na jego nieruchomej twarzy.

– Oczyść swój umysł – powiedział. – Wyzbądź się gniewu. Niedługo umrzesz.

Znowu... Cholera! Naprawdę miała już tego serdecznie dosyć.

– Może. – Wzruszyła ramionami. – Ale ty umrzesz wkrótce po mnie. Moja śmierć w niczym ci nie pomoże. Zdechniesz, być może nawet w tym domu. Ale zanim mnie zabijesz, o jedno cię proszę: nie sprzedawaj mi już więcej takich tandetnych tekstów. „Oczyść swój umysł!” Ja pierdolę! Kim ty jesteś? – podniosła głos. – Podstarzałą celebrytką z mózgiem na Instagramie? Naprawdę nie stać cię na więcej? Mam oddać swoje życie dla takich bzdetów?

Zaczęło go to ruszać, widziała to. Stąpała po cienkiej linie, ale niewiele miała do stracenia.

– Bardzo dobrze – odpowiedział. – Gniew, który we mnie wzbudzasz, przyda mi się do dokończenia dzieła.

– A co, masz zamiar postawić kloca? – Teraz to ona była tandetna, a nawet wulgarna, ale nie dbała o to. – Wiesz co, widziałam wielu takich jak ty – rozkręciła już się na dobre. – Wydawało im się, że są bóg wie kim. Gotowi byli poświęcić innych dla swoich celów. Ale na końcu zawsze było tak samo: cele, do których dążyli, nie oglądając się na innych, okazywały się nic niewarte. Były iluzją, a oni dowiadawali się w pewnym momencie, że próbując je osiągnąć, poświęcili po drodze wszystko, co tak naprawdę jest cenne. – Zorientowała się nagle, że mówi o swoim ojcu. – I wiesz co? Sram na takich ludzi! Ale też żal mi was, bo każdy prędzej czy później zrozumie, że walczył w wymyślonej wojnie. I nawet jeśli wygra, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Mięsień na jego twarzy drgał już na całego. Przypomniała sobie słowa komisarza Aleksanderskiego. Te o eskalacji konfliktu w poszukiwaniu wyjścia z impasu. Chyba właśnie dokładnie coś takiego robiła. Niebezpieczna zabawa. Ale, poza wszystkim, naprawdę była wkurwiona.

– Przegrasz, rozumiesz? – Jej głos brzmiał ostro, dobitnie, bezwzględnie. – Umrzesz niedługo i nic na to nie poradzisz. Już pozamiatane. Nie będzie żadnego przejmowania energii, nie naładujesz się moim życiem ani żadnym innym. To bzdury, iluzje, wymyśliłeś to sobie ze strachu przed śmiercią. Ale ona cię i tak

dopadła, nie zdołałeś przed nią uciec. Odrobina nicości zamieniła się w cholernie dużo nicości. Niedługo już ta nicość całkiem cię pochłonie. Jedyne, co możesz zrobić, to... czekaj, żeby pozostać na twoim poziomie... pogodzić się z sobą i z własnym losem. I odpuścić, odpocząć. Nie jesteś już tym wszystkim zmęczony?

Poruszył się wreszcie. Opuścił dłoń, którą trzymał dotąd przy twarzy. Rana była paskudna. Cała gałka oczna była czerwona od krwi, a rozcięta dolna powieka zwisała nieco na policzek. Zaczął szukać czegoś niemal po omacku. Ręce mu drżały. Wyglądał żałośnie.

W końcu to znalazł. Plecak. Przyciągnął go do siebie i zaczął wyjmować ze środka różne przedmioty. Świeczki, butelkę, jakiś pakunek owinięty folią bąbelkową. Na końcu wyjął coś, co nie od razu poznała. Wyglądało to jak fragment kozucha, tylko że z bardzo długim włosiem. Gdy zrozumiała, co to jest, zrobiło jej się niedobrze. Poczula strach. Pierwotny, paraliżujący, ściskający zimnymi obcęgami żołądek i serce. Był to kawałek ludzkiej skóry z włosami. Skalp.

Dopiero teraz rozumiała chyba naprawdę, o co w tym wszystkim chodzi. Jaka jest prawdziwa stawka w tej grze. Jak to się mówi: lepszy przykład niż wykład.

Dobrze, że teraz nie musiała nic mówić, bo jej głos nie byłby już taki mocny. Nie zdołałaby ukryć w nim przerażenia. Całe szczęście jej porywacz zajęty był sobą. On także wyglądał na przerażonego. Chociaż nie, bardziej raczej na zagubionego, bezradnego. Jakby rozkładając dokoła swoje skarby, próbował przywrócić porządek i przypomnieć sobie, po co tu jest.

W końcu zaczął rozwijać folię bąbelkową. W środku była maska. Nigdy jej nie widziała, ale poznała od razu, że jest to maska skradziona z pracowni tamtej projektantki. Założył ją sobie na twarz i przywiązał z tyłu głowy postrzępionymi wstążkami. Potem na nią spojrzał. Znowu poczuła uścisk lodowatych obcęgów. Wyglądał teraz naprawdę upiornie. Zakrwawione lewe oko patrzące

na nią przez otwór przypominało oko demona. Chciała eskalacji, to chyba zaraz będzie ją miała.

ROZDZIAŁ 109

Raporty spływały do niego jeden po drugim. Wszystkie opuszczone domy, które wskazał, okazały się puste. Przeszukiwanie zarośli nad Wisłą także nic nie dało. Czas biegł nieubłaganie. Do nocy zostały raptem dwie godziny.

Po raz kolejny rozłożył mapę na kierownicy. Może to jednak jest gdzieś dalej? Może za bardzo zawęził obszar? Puszcza Kampinoska? Nie, to chyba jednak mimo wszystko za daleko. Dalej, ale nie aż tak daleko. Łomianki, Dąbrowa, Izabelin? Okolice Cmentarza Północnego? Te tereny znał gorzej. „Myśl, człowieku, myśl!” – powtarzał sobie w duszy. Miał dziwne, paraliżujące przeczucie, że wszystko zależy od niego, że jeśli on nie da rady, nikt inny jej nie pomoże.

Spróbował wejść w buty porywacza. Czego szukał? Te domy, które na początku wytypował, chyba nie bez powodu były puste. Każdy z nich stał we w miarę zwartej zabudowie, wśród innych zamieszkałych domów. Można by się w nich ukryć, ale niebezpieczeństwo, że ktoś coś zobaczy lub usłyszy, było dość spore. To musiał więc być budynek na uboczu, ale nie w jakiejś strasznej głuszy. Gdzieś, gdzie można by dojechać rowerem z przyczepką. Otworzył w telefonie mapę i zmienił widok na ścieżki rowerowe. Pół godziny. Gdzie można by dojechać w pół godziny? Mniej więcej oczywiście. Wólczyńska, Estrady, tam było sporo ruder, zrujnowanych i opuszczonych zakładów, może tam? Sprawdził, ile czasu jechałoby się tam rowerem. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut.

Wszystko to jednak znowu były przeczucia, gdybania oparte do tego na założeniach, które wcale nie musiały być prawdziwe. Na przykład to cholerne pół godziny. Skąd mu się to wzięło? Wymyślił to sobie. Brzmiało prawdopodobnie, ale niekoniecznie było prawdą.

Zawsze jednak lepiej jest robić coś niż nic. Ta stara zasada wciąż jest aktualna. Odłożył mapę na siedzenie obok i odpalił silnik. Wcześniej jednak zadzwonił do Rudnickiego. Poprosił, by w pierwszej kolejności przejrzał nagrania z kamer umieszczonych przy ulicach i trasach rowerowych wiodących w kierunku Cmentarza Północnego i centrum handlowego w Łomiankach. Usłyszał w odpowiedzi, że Rudnicki sam już na to wpadł. Bardzo dobrze. Rozłączył się.

Ruszył przed siebie. Dojechał do końca Żeromskiego i wjechał na Wólczyńską. Minął hipermarket E. Leclerc i Cmentarz Wawrzyszewski, na którego tyłach znaleźli ciało Różańskiego. Dalej, musi jechać dalej, tu jeszcze było zbyt cywilizowanie. Tu jeszcze wyrastały bloki, niektóre nawet całkiem nowe. Ale podskórnie czuł, że jedzie w dobrą stronę. To naturalny kierunek, jeśli mieszka się po tej stronie Warszawy. Te okolice były jak zaniedbana i zagracona najdalsza część podwórka na wsi.

Minął wreszcie ostatnie bloki i ostatnie skarłałe biurowce. Wjechał pomiędzy domki, warsztaty, hurtownie, składy budowlane i zakłady kamieniarskie obsługujące pobliski cmentarz. Co i raz trafiała się tu zdziczała kępa krzaków, jakiś cherlawy niby-lasek, pusta parcela, na którą najwyraźniej nikt nie miał żadnego pomysłu, ale wciąż było tu za gęsto, za dużo ludzi mieszkało i pracowało wokół. Przejechał jedno minirondo, potem drugie. Minął ogromny teren zajmowany przez jedną z firm zajmujących się odbiorem i segregacją śmieci z Warszawy. Cholera, czy to już nie za daleko? Ulice były dość wąskie, o ścieżkach rowerowych można było zapomnieć. Ktoś, kto tu wjechał rowerem z przyczepką, rzucał się w oczy na kilometr i musiał się liczyć z solidnym i wielokrotnym obtrąbieniem przez niezadowolonych z blokowania drogi kierowców.

Jechał jednak dalej. Rozglądając się na wszystkie strony, mając coraz bardziej dojmujące uczucie, że szuka igły w stogu siana i że robi to tak naprawdę, tylko macając jego brzeg, bo przecież nie wjeżdżał w te wszystkie malutkie boczne uliczki prowadzące nie wiadomo dokąd, wciąż poruszał się główną.

Potem zadzwonił Rudnicki. Komisarz zjechał na pobocze, by móc spokojnie odebrać. Jest. Namierzyli go. Rower z przyczepką pojawił się na nagraniu z kamery przy wejściu do stacji metra Młociny. Rudnicki był pewny, że to porywacz. Wysoki, chudy mężczyzna; marka roweru i kolory wózka też się zgadzały. Jechał ścieżką rowerową na północ, w kierunku Huty.

Znowu rozłożył mapę, drugą odpalił w komórce. Ścieżka rowerowa, o której mówił Rudnicki, niedaleko stamtąd się kończyła. Przez teren Huty nie dało się przejechać, porywacz musiał skręcić w lewo albo w prawo. Gdyby skręcił w prawo, trafiłby w końcu na wylotówkę z Warszawy w kierunku Gdańska. Po dwa pasy w obie strony, dużo samochodów. Jechanie nią rowerem z przyczepką byłoby trudne, jeśli nie niemożliwe.

Musiał więc skręcić w lewo. I trafić na Wólczyńską. Nie było innego wyjścia. Aleksanderski miał więc rację. Zadzwonił do Rudnickiego. Ten zgodził się z jego oceną. Wszystkie siły miały zostać teraz przerzucone w te rejony. Policyjny śmigłowiec, który krążył dotąd nad brzegiem Wisły, też miał tu przylecieć.

Dobrze. Bardzo dobrze. Byli coraz bliżej. Ale wciąż jeszcze za daleko. Aleksanderski chciałby być teraz w tym śmigłowcu, może z góry zobaczyłby coś, czego nie widział stąd. Coś, co pilot mógłby przeoczyć, a co on NA PEWNO by dostrzegł. Cholera, cholera... Znowu zakłuło go serce. Tego mu jeszcze brakowało, by dostał tu kolejnego zawału.

Otworzył schowek i wyjął swoje leki. Brał już je co prawda dzisiaj, ale trudno. Musi być teraz na chodzie. Najwyżej później zdechnie, bo wysiądzie mu wątroba.

Nie miał nic do popicia. Drugie trudno. Wsypał tabletki do ust i spróbował połknąć. Usta i gardło miał suche jak wiór. Jakoś w końcu przeszło, ale łatwo nie było. Cholernie gorzkie są takie tabletki, gdy próbuje się je przełknąć bez łyku wody. I zostaje po nich długo nieprzyjemny posmak.

Dobrze, i co teraz? Mapa, komórka, komórka, mapa... Patrzył to na jedno, to na drugie i próbował znaleźć ukrytą gdzieś tam odpowiedź. Nic nie zobaczył. Pozostawało po prostu jechać dalej. Za cmentarzem był las. Mały, odcięty Łomiankami i centrum handlowym fragment Puszczy Kampinoskiej. Może tam?

ROZDZIAŁ 110

Wyjął z plecaka niewielki, przenośny odtwarzacz, a potem go włączył. Rozległy się dźwięki, lecz trudno je było nazwać muzyką. Dudniący, wibrujący, głęboki ton wypełnił pomieszczenie. Poznała go. Kto raz to usłyszy, nigdy już się nie pomyli. Didgeridoo, instrument australijskich Aborygentów, bardziej przypominał monotonny odgłos jakiejś pracującej maszyny niż cokolwiek innego.

Jego dźwięk wypełnił jej głowę, powodował, że rezonowała razem z nim. Trudno było mu się oprzeć, trudno było go zignorować. Wwiercał się w myśli, rozgniatał je i rozganiał, nie dawał się skupić. Był jak bzyczenie odkurzacza lub jak poranne wycie kosiarki za oknem, tylko niższe, odczuwalne nawet w jelitach. Słyszała go, mimo że starała się nie słuchać. Nawet gdyby zatkała uszy, i tak nic by to nie dało. Takie częstotliwości odbiera się całym ciałem.

Zrobiło jej się słabo, sennie. Od dawna chciało jej się pić, lecz teraz to uczucie stawało się już nieznośne. Temperatura w tym niewielkim pomieszczeniu z zamkniętymi oknami powoli zaczynała przypominać saunę. Mężczyźni w masce to najwyraźniej nie przeszkadzało. Pewnie jak wszystkim umierającym było mu już wiecznie zimno.

Musiała naprawdę mocno się starać, żeby nie odpłynąć. Transowy, powtarzalnie zmieniający się dźwięk dochodzący z odtwarzacza nie pomagał jej w tym. Hipnotyzował ją niczym fakir kobrę. Wiedziała, że nie może mu się poddać, bo byłby to jej koniec.

Powieki same jej opadały, źrenice znieruchomiały utkwione w jednym punkcie. Chwilami miała wrażenie, że śpi pomimo otwartych oczu. Dobrze, że nie wypła tego wina, wtedy byłoby jeszcze gorzej. Gryzła się w wargę, by choć trochę się rozbudzić.

Mężczyzna w masce za to sprawiał wrażenie, jakby nagle odżył. Może to przez to, że nie widziała teraz jego twarzy, a może przez to, że sama czuła się, jakby jej myśli zastygły niczym komar w bursztynie. Wstał z pomiętego śpiwora, wyprostował się. I może to znowu był efekt tej maski przysłaniającej mu twarz, lecz wyglądał teraz zupełnie inaczej. Wyjął z plecaka kolejne przedmioty. Ujrzała błysk płomienia zapalniczki. Podpalił coś. Chyba jakiś rodzaj kadzidła, bo po chwili w pokoju rozszedł się intensywny, duszący zapach.

Podszedł do niej, stanął blisko, tuż za zasięgiem jej noża. Musiała unieść głowę, by móc spojrzeć mu w twarz. Oczy widoczne w otworach maski błyszcząły – jedno na czerwono, drugie na biało. Muzyka dudniła, a on wciąż wbijał w nią to swoje spojrzenie. Jakby zastanawiał się, co z nią zrobić, albo czekał na odpowiedni moment do ataku. Jak już opadnie z sił, straci czujność, przyśnie...

Zaczęła ją boleć szyja od ciągłego zadzierania głowy. Miała ochotę opuścić ją, poddać się, zamknąć oczy. Zupełnie jak wtedy, gdy sen dopada nas podczas jazdy samochodem. Mózg wie, że nie może zasnąć, zna cenę i rozumie niebezpieczeństwo, lecz mimo to nie jest w stanie oprzeć się przemożnej chęci przymknięcia choć na chwilę powiek.

On chyba to wyczuwał, a może po prostu widział, co się z nią dzieje. Stał więc nad nią i czekał. Cierpliwie niczym krokodyl znieruchomiały pod powierzchnią wody. Jego maska przypominała jej jakieś zwierzę, pawiana albo lamparta. Stopniowo zapominała o ukrytej za nią ludzkiej twarzy. To już nie jego oczy na nią patrzyły, patrzyły na nią oczy maski. To nie on nad nią stał, był to już ktoś zupełnie inny. Ktoś z wykrzywionym gniewem obliczem, z odsłoniętymi zębami. Ktoś ludzko-nieludzki, ale w kogo realność

nie miała powodu nie wierzyć. Jakby dokonała się jakaś przemiana, której momentu nie zauważyła.

Nagle w jego rękę pojawił się jakiś przedmiot – butelka. Zupełnie nie wiedziała, skąd się tam wzięła; musiał ją cały czas trzymać, tylko ona tego nie widziała. Zdołała przeczytać na niej napis: „gin”. Odkręcił ją, zsunął swoją maskę nieco na czoło i przytknął szyjkę do ust. Potem wszystko, co do nich wlał, wypłuł na nią z góry, rozpylając płyn niczym chmurę aerozolu. Poczuła na twarzy, włosach, powiekach i wargach wilgoć. Korzenna woń alkoholu wypełniła jej nozdrza. Stłumiła odruch wytarcia twarzy, bojąc się, że wykorzysta ten moment do ataku. Smak ginu dotarł do jej ust. Mimowolnie oblizwała wargi.

Zaczynało być tego o wiele za dużo. Ledwo trzymała się w garści. Ta muzyka, ten zapach, świadomość, że ma na skórze jego ślinę... Jeszcze chwila i się załamie, była od tego ledwie o krok. Zbierało jej się na płacz. Czy naprawdę jeszcze dziś rano leżała w swoim bezpiecznym łóżku? Wydawało jej się, jakby minęły całe miesiące, lata od tamtej chwili. Po co się w ogóle w to pakowała; źle jej było, gdy zajmowała się drobnymi kradzieżami? Gdyby ktoś, nawet on, obiecał jej w tej chwili, że jeśli zamknie oczy, będzie mogła po ich otwarciu wrócić do tych szczęśliwie nudnych dni, zgodziłaby się bez wahania. A może faktycznie wystarczyłoby to zrobić? Przecież na dobrą sprawę to wszystko wygląda jak sen. Coś takiego nie mogło chyba dziać się naprawdę.

Zsunął z powrotem maskę na twarz. Wydał jakiś odgłos, ni to jęk, ni to krzyk; tym bardziej niezrozumiały, że stłumiony przez drewno. Dopiero po chwili pojęła, że próbuje śpiewać, naśladować swoim głosem linię melodyczną wygrywaną przez aborygeński instrument. Robił to w jakimś nieistniejącym, wymyślanym na bieżąco języku. Było to nieporadne, dziwne, chore; po prostu straszne. Znowu przeszedł ją dreszcz. Naprawdę chciałyby znaleźć się daleko stąd. Zaczęła szarpać rękę uwięzioną w kajdankach, próbując ją z nich wyrwać. Powoli zaczynała ogarniać ją panika. Bała się każdym

najmniejszym fragmentem swojego ciała. Umrze dzisiaj, miał rację, kiedy tak mówił, dotarło to do niej teraz. Jej przerażenie zdawało się go karmić. Śpiewał coraz głośniej, pewniej, zaczął nawet tańczyć. Nie potrafiła się temu wszystkiemu oprzeć, wygrywał z nią, jeszcze chwilę, a ją pokona. W odruchu desperacji spróbowała dosięgnąć go ostrzem noża. Machnęła raz, drugi, trzeci, niestety był za daleko. Tylko go to rozochociło. Nie przypominał już kogoś, kto ma niedługo umrzeć. Była bliska tego, by uwierzyć w tę jego głupią teorię. Na jej oczach dokonywała się przecież przemiana. Najprawdziwsza, jakby coś w niego wstąpiło. Nie miała z tym czymś najmniejszych szans.

Ciągle trzymał w dłoni butelkę. Nagle chwycił ją za szyjkę i rozbił o ścianę. W dłoni został mu szklany, ostro zakończony odłamek. Miał więc już wreszcie swoją broń.

I co teraz? Rzuci się z tym na nią? Wyglądał na kogoś, kto byłby do tego zdolny. Chyba już nie obchodził go nóż, który ciągle wyciągała w jego stronę. To coś, czym się stał, nie dbało o takie szczegóły. Było nieśmiertelne, więc metal nie mógł go zranić. Jeśli to zrobi, zabije ją, nawet jeśli ona zdoła go wcześniej dźgnąć kilka razy. W tym stanie nie odczuje bólu, nawet tego nie zauważy. I nawet jeśli potem zdechnie z rozprutym brzuchem, dla niej będzie już za późno.

ROZDZIAŁ 111

Zabudowania były coraz rzadsze, po chwili z obu stron drogi pojawił się las. Las dziwny, ani prawdziwy jak Puszcza Kampinoska, ani gładko ucywilizowany jak inne warszawskie lasy. Być może przez to, że usytuowany był z boku i na tyłach wszystkiego, nie truchtali po nim biegacze ani nie jeździli rowerzyści. Pełno za to było w nim śmieci – w przydrożnym rowie i głębiej. I chaszczki. W zasadzie nie był to las, tylko jedna wielka, splątana kupa gałęzi i krzaków.

Jechał wzdłuż jego zielonej ściany, próbując wypatrzyć coś przez tę zasłonę z liści. Powinny go przeczesać policyjne tyraliery, wiedział, że sam nic w ten sposób nie zdoła. Zwlekał jednak z zadzwonieniem do Rudnickiego. Intuicyjnie czuł, że porywacz nie ukrywa się w tej gęstwinie. Chyba że w środku jest jakaś zapomniana chatka.

Zaraz. Uświadomił sobie właśnie, że nie potrzebuje policyjnego helikoptera, żeby to sprawdzić. Współczesna technologia oferowała mu przecież podobne możliwości. Nie pomyślał o tym w pierwszej chwili, widocznie był już za stary. Zjechał na pobocze i sięgnął po telefon. Otworzył Google Maps i zmienił widok na satelitę. Zdjęcia były słabej jakości i nie pokazywały oczywiście stanu obecnego, ale rozmieszczenie budynków nie zmienia się przecież tak szybko.

Znalazł kompleks leśny, przy którym przystanął, i rozpoczął jego wirtualne przeczesywanie. Nie, w jego środku, pomiędzy pikselowymi plamkami drzew, nie było widać żadnych budynków.

Kilka za to stało na jego obrzeżach. Co prawda nie zawsze dało się poznać, czy są opuszczone, czy nie, ale bez dwóch zdań tam były.

Rzucił telefon na siedzenie i ruszył w tamtą stronę. Mijał po drodze kolejne zabudowania – niektóre mieszkalne, niektóre użytkowe – wszystkie jednak niewątpliwie wykorzystywane były przez ludzi. Stały przed nimi samochody, na płotach wisiały reklamy przeróżnych usług, trawniki były wystrzyżone. Dojechał do ronda i skręcił w prawo, w kierunku centrum handlowego. Po jego lewej stronie znajdował się niewielki dyskont, gdyby zaś pojechał prosto, dotarłby już do Łomianek. Było tam co prawda wiele domów, lecz te osiedla wybudowano całkiem niedawno, więc żaden z nich nie był raczej opuszczony. Skręt w prawo był więc jedynym wyborem. Tu ciągle był las, i to po obu stronach jezdni.

Po kilkuset metrach dostrzegł wreszcie coś, co go zainteresowało. Krótką, asfaltową drogę wiodącą w głąb lasu, na której końcu widać było jakieś budynki. Od strony drogi zasłaniał je pas drzew, dostrzec można je było tylko w zasadzie przez ten niewielki prześwit.

Zatrzymał się przy nim. Budynki wydawały się zniszczone, nie stał przed nimi też żaden samochód. Z tego, co widział, oczywiście, bo większość wciąż zasłaniały drzewa.

Skręcił kierownicę, wrzucił jedynekę i wjechał na tę drogę.

Był to w zasadzie podjazd, dojazd do tych zabudowań, bo asfalt urywał się nagle i płynnie przechodził w pokryte betonowymi płytami podwórko. Stały przy nim dwa budynki: dom i coś, co wyglądało na porzucony warsztat samochodowy lub niewielki zakład produkcyjny. Jego duże, powybijane, dzielone na wiele części okna pokrywały resztki matowych szyb, a wielkie, metalowe, przerdzewiałe wrota otwarte były na oścież i ukazywały puste i ograbione z wszelkich maszyn wnętrza.

Znacznie ciekawszy wydawał się jednak dom. Ewidentnie starszy i chyba dawniej opuszczony. Tu również okna były powybijane, choć tylko na parterze. Na pierwszym piętrze i wyżej, w małych

okienkach na poddaszu, szyby się uchowały, choć nawet stąd było widać, że są brudne i zakurzone. Cała bryła tak obrosła przeróżnymi dobudówkami, że trudne wydawało się określenie, jak wyglądała pierwotnie. Gdzieniedzie na dachu i w rynnach rosły samosiejki drzew. Tylko czekać, aż jego więźba się zawali, a cały dom obróci się już w kompletną ruinę.

Zarówno na tym podwórku, jak i w obu budynkach nie było widać żadnych śladów bytności człowieka. Oprócz oczywiście licznych śmieci i pustych butelek walających się dookoła. Dokładnie czegoś takiego chyba szukał.

Wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Ruszył w stronę zabudowań. Najpierw zajrzał przez wielkie metalowe drzwi, ale tam nie było nawet po co wchodzić. Wnętrze tej niewielkiej hali było zupełnie puste. Złomiarze dokładnie wyczyścili je z wszelkich znajdujących się tam niegdyś rzeczy.

Potem poszedł w stronę domu. Stał on trochę z tyłu i w głębi w stosunku do zrujnowanego warsztatu. Obrosnięty drzewami i krzakami, wtapiał się nieomal w las. Otaczał go płot z pordzewiałej i powichrowanej siatki. Jediną furtkę wiodącą na jej drugą stronę zamknięto za pomocą dość grubego łańcucha. Drzwi wiodące do wnętrza domu były jednak lekko niedomknięte, a gruby kożuch z martwych liści zaścielający ścieżkę do nich prowadzącą wydawał się poruszony, jakby ktoś nią niedawno szedł.

Komisarz chwycił za siatkę i pociągnął ją do siebie. Tak jak podejrzewał, nie trzymała się sztywno i nie była zbyt mocno napięta. Spróbował jeszcze w paru miejscach i w końcu znalazł takie, gdzie można ją było dość mocno odgiąć i przejść na drugą stronę. Skorzystał z tej możliwości i znalazł się na podwórku. Nie poszedł jednak od razu w kierunku drzwi, najpierw postanowił obejść dom dookoła. Ruszył w prawo, obszedł ganek i przedostał się na jego tyły. Gdyby nie płot z siatki, który również i tu biegł, nie dałoby się dostrzec miejsca, gdzie kończy się las, a zaczyna odgradzona nim posesja.

Aż tak daleko Aleksanderski się jednak nie zapuszczał. Szedł wzdłuż ściany domu, brodząc po kostki w zbutwiałych liściach i igłach z pobliskiego lasu. Nagle przystanął. Zobaczył coś, co go zatrzymało. Mniej więcej pośrodku długości domu ktoś zgarnął liście i usypał z nich niewielki kopczyk. Musiało to stać się stosunkowo niedawno, być może nawet dzisiaj, bo ciemnobrązowe, zbutwiałe blaszki leżące pierwotnie blisko ziemi, a teraz wyrzucone na wierzch, lśniły jeszcze od nieobeschłej wilgoci.

Podszedł bliżej i zanurzył rękę w tym pachnącym zgnilizną kopczyku. Natrafił na coś twardego. Chwycił to i pociągnął do siebie. Wyciągnął rower. Nowy, błyszczący, lekko tylko przybrudzony. Nie mógł tu leżeć dłużej niż dzień.

Brakowało już tylko przyczepki. Komisarz opuścił rower delikatnie z powrotem na liście. Rozejrzał się dookoła. Gdzie można by tu ukryć taki wózek? Na końcu domu była jedna z przybudówek. Mała, zbita z desek, przyklejona bokiem do muru, wielkości wychodka. Podszedł do niej. Pordzewiała kłódka wisiała niezatrzaśnięta na skoblu. Zdjął ją i otworzył drzwi. W środku, na samej górze stosu z desek, starych donic, drewnianych skrzynek i połamanych narzędzi ogrodniczych, leżała na boku przyczepka. Rower by tu się już nie zmieścił.

Nadszedł chyba czas, żeby zadzwonić do Rudnickiego.

ROZDZIAŁ 112

Adrenalina i strach przed śmiercią potrafią jednak zdziałać cuda. Coś nagle przeskoczyło w jej głowie i to raczej nie w świadomej, racjonalnej części jej umysłu, lecz gdzieś głębiej, na poziomie pierwotnych, zwierzęcych jeszcze odruchów. Otrząsnęła się z paralizującego lęku i dla odmiany odnalazła w nim swoją siłę. Jakby stała się szcurem zapędzonym w kąt i gotowym do obrony za wszelką cenę.

Podciągnęła nogi do siebie i uczyniła z nich swoją tarczę. Ludzkie piszczele są twarde, a w łydkach nie ma ważnych narządów ani specjalnie dużych tętnic. Zasłoniła więc nimi swoje ciało, a brodę oparła na kolanach, chroniąc w ten sposób szyję. Tylko ręka uzbrojona w nóż wyciągnięta była tak samo jak przedtem – jak najdalej w jego stronę.

Potem zaczęła śpiewać. Zadziałała instynktownie, nie myśląc nawet o tym. Jakby chciała wybić go z tego transu, w który powoli wpadał. Wybrała wulgarną przeróbkę jednego z przebojów z czasów swoich studiów. Śpiewali to po pijaku podczas imprez przy ognisku. Dziwna sprawa, że takich rzeczy się nie zapomina. Sporo skatologii i niewybrednych aluzji. Sacrum najlepiej zwalcza się za pomocą profanum. Skoro urządził tu sobie quasi-religijny obrzęd, ona będzie rzucać w niego łajnem.

Ten pojedynek trwał przez jakiś czas. On tańczył, a ona śpiewała. Każde w swoim rytmie i z inną melodią. Jakby byli kibicami dwóch przeciwnych drużyn próbującymi przekrzyczeć nawzajem swoje hymny. To śpiewanie pobudziło ją jeszcze bardziej, robiła to coraz

głośniej i pewniej. I rzeczywiście czuła się, jakby ta piosnka o cycach była jej pieśnią bojową.

Wreszcie zauważyła, że zaczyna go to wytrącać z równowagi. Poruszał się coraz bardziej kanciasto, rzucał jej krótkie spojrzenia zza swojej maski. Iluzja, którą tworzył, pękała, rozsypywała mu się w rękach. To coś, co w niego wstępowało, powoli zaczynało się wycofywać.

Lecz było to niebezpieczne, widziała to. Coraz bardziej się denerwował, irytowała go tym swoim śpiewaniem. Była niedobrą ofiarą, nieposłuszną i niekomfortową. Zamiast pokornie czekać na poderżnięcie gardła, wszystko mu psuła i mieszała.

Stąpała tuż nad urwiskiem, lecz musiała zaryzykować. Gdyby do końca wpadł w ten trans, nic nie zdołałoby go powstrzymać. Teraz był tylko wściekły, lecz wciąż pozostawał sobą. Mógł popełnić błąd, a potem cofnąć się przed jego konsekwencjami. Gdyby przekroczył linię, na której go zatrzymała, konsekwencje by go nie obchodziły.

Zaczął gubić krok i łamać rytm. W końcu stanął. Patrzył na nią, ciężko dysząc, i niemal czuła, jak jej teraz nienawidzi. Lecz znów był tamtym zmęczonym, chorym człowiekiem. Wciąż groźnym, lecz już nie do pokonania.

Lecz wciąż miał maskę, ciągle miał nadzieję wrócić na tamtą stronę szaleństwa. Szukał tylko sposobu, jak ją uciszyć. Spróbował zaatakować trzymaną w ręku szyjką od butelki, lecz zrobił to bez przekonania, nieporadnie, z łatwością go odgoniła. Rozejrzał się po pokoju, próbując znaleźć inne rozwiązanie. I znalazł je, było tu. W kącie stała szczotka na długim kiju. Dopiero teraz ją zauważyła. Podeszedł tam i wziął ją w ręce. Wcześniej odłożył ostrożnie swoją szklaną broń, jakby zostawiał ją sobie na później.

Odwrócił się i ruszył w jej stronę. Cholera, i co teraz? Kij może nie jest tak śmiertelny jak nóż, ale ma sporą przewagę długości. Jeszcze bardziej skuliła się w sobie, zasłaniając wolną ręką głowę.

Podszedł do niej i uniósł szczotkę nad głowę. Potem zamachnął się i uderzył. Zacisnęła odruchowo powieki w oczekiwaniu na cios. Zamiast tego usłyszała jednak głuchy trzask, a potem coś posypało jej się na głowę. Otworzyła oczy. Pomieszczenie okazało się za niskie. Nie wziął tego pod uwagę. Koniec kija uderzył w sufit i odłupał z niego nieco tynku.

Spróbował jeszcze raz, tym razem uderzając na skos. Ten cios ją dosięgnął, lecz niewygodna pozycja napastnika spowodowała, że uderzenie nie było zbyt mocne i z łatwością je sparowała. Przy trzeciej próbie podobnie. Oberwała co prawda boleśnie w przedramię, lecz nie było to w żaden sposób groźne.

Zatrzymał się teraz, myśląc, co dalej. W końcu znalazł odpowiedź. Chwycił teraz kij inaczej, jak dzidę, i skierował jego koniec w jej stronę.

Potem dźgnął. Na początku na próbę, więc zdołała się obronić. Potem mocniej, lecz tym razem wziął za duży zamach, więc dał jej sporo czasu na reakcję. Ten cios również udało jej się sparować przedramieniem. Lecz on uczył się, myślał, wyciągał wnioski z tych niepowodzeń. Przybliżył się do niej najbardziej, jak tylko się dało, i zaczął dźgać ją krótkimi pchnięciami, trudnymi do przewidzenia.

Celował w głowę i zaczął trafiać. Dostała raz, drugi, trzeci. Boleśnie, mocno, w czaszkę; całe szczęście udało jej się obronić oczy. Osłoniła głowę ramieniem, lecz przecież musiała na niego patrzeć, by widzieć, co robi.

Zaczynał zyskiwać przewagę i wiedział to. Jeszcze kilka albo kilkanaście takich ciosów i będzie ją miał. Ogłuszy, zmęczy, oszołomi lub – jeśli dobrze i mocno trafi – pozbawi przytomności. Mogła co prawda spróbować złapać koniec tego kija, lecz wcześniej musiałaby odłożyć nóż. Starła się za to go kopnąć, gdy zbliżał się za bardzo, i ze dwa razy nawet jej się to udało.

Ale on też był coraz bardziej zmęczony. Wiedział to i czuł, więc postanowił przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Tym razem

dźgnął ją mocno, i to nie w głowę, lecz w samo zgięcie ręki. Tej, którą miała wyciągniętą i przykutą do kaloryfera.

Aż jęknęła z bólu. Wykorzystał ten moment jej rozproszenia i uderzył tym razem w drugą dłoń, tę, w której trzymała nóż. Zaskoczona nie zdołała go utrzymać, narzędzie poleciało w bok, pod drugą ścianę. Była teraz znowu bezbronna, lecz mogła za to chwycić kij. Skorzystała z tej możliwości, łapiąc go niemal tuż przy samym końcu. Siłowali się tak przez chwilę, lecz ponieważ on trzymał go obiema rękami, na dłuższą metę nie miała z nim szans. Walcząc, nie zachował jednak należytej czujności i przybliżył się zbyt mocno. Dostrzegła to i z całej siły kopnęła go między nogi. Zawył i puścił kij. Jego uwolniona nagle końcówka wystrzeliła w górę, jak ramię katapulty. Usłyszała brzęk tłuczonej szyby za swoimi plecami. Kawałki szkła posypały jej się na głowę.

ROZDZIAŁ 113

Usłyszał dźwięk bitej szyby gdzieś nad swoją głową. Odruchowo się skulił, lecz nic na niego nie spadło. Spojrzał w górę. Okna na parterze były całe lub już powybijane; tych z pierwszego piętra nie widział. Odszedł parę kroków od muru. Tuż nad nim był mały tarasik otoczony omszałą, betonową balustradą. To za nim musiała być stłuczona przed chwilą szyba. Odszedł jeszcze dalej, aż oparł się plecami o siatkę. Teraz to zobaczył: brudne kawałki szkła u góry framugi, poniżej ziejąca dziura o ostrych krawędziach. Coś tam mu w niej mignęło, lecz nie wiedział co. Usłyszał jakiś głos, lecz nie rozpoznał, co mówił. Głos wysoki, podniesiony, kobiecy. To była ona!

Nie czekał już dłużej. Rzucił się pędem w kierunku drzwi z przodu budynku. Biegając, wyszarpał z kieszeni komórkę. Musi zawiadomić Rudnickiego, poprosić o wsparcie. Lecz tam na górze toczyła się walka. Walka, którą ona w każdej chwili może przegrać. Nie mógł ryzykować i zatrzymać się, by zadzwonić. Te pół minuty, które by na to stracił, mogło być na wagę jej życia.

Spróbował więc wybrać numer, nie przerywając biegu. Nie było to łatwe, tym bardziej że nie miał okularów. Dobiegł do drzwi i naparł na nie ramieniem. Otworzyły się z oporem, szorując dolną krawędzią o posadzkę. Wpadł do niewielkiego wiatrołapu, przebiegł przez drugie, wewnętrzne drzwi. Dokąd teraz? Jakiś korytarz, jakieś wejścia do pomieszczeń po bokach. Ale gdzie były schody? Dostrzegł je i rzucił się w tamtą stronę. Po drodze znalazł numer Rudnickiego. Chyba. Ostatnie z połączeń, które wykonywał, było

chyba do niego. Zadzwoił i przełożył telefon do lewej ręki. Był już na schodach, wbiegał na górę. Prawą ręką sięgnął do kabury. Nagle coś się stało, w pierwszej chwili nie zrozumiał co. Usłyszał trzask i poleciał do przodu. Osłonił się ręką przed upadkiem. Poczuł silny, przeszywający ból w łokciu. A drugi, nie tak mocny, w kostce. Pierdolony stopień! Złamał się pod jego ciężarem! Telefon poleciał gdzieś w cholerę, chyba spadł na dół. Nie miał czasu teraz schodzić i go szukać.

Podniósł się i wkuśtykał na górę. Ręka była chyba złamana, na nic mu się już nie przyda. Pod materiałem marynarki widniało wybrzuszenie, ale krew, całe szczęście, nie leciała, więc złamanie nie było otwarte.

Na górze też znajdował się korytarz. Ruszył nim, utykając i próbując jednocześnie wyciągnąć lewą dłoń policyjnego walthera. Które drzwi? Tylko jedno były zamknięte. Podeszedł do nich, to musiało być tam. Cholera, trzecie źródło bólu, tym razem w piersiach. Wyszarpał wreszcie pistolet. Lewą ręką też powinien poradzić sobie ze strzelaniem. Odległość będzie mała; nie trzeba będzie dokładnie celować. Pozostawał tylko jeden problem. Jego broń była nieprzeładowana. Żeby to zrobić, musi, trzymając jedną dłoń rękojęść, drugą pociągnąć za zamek. Drugą, złamaną ręką. Nie było wyjścia. Przybliżył pistolet do zwisającego bezwładnie ramienia. Czy uda mu się dostatecznie mocno chwycić palcami zamek? Jeśli jakieś nerwy uległy uszkodzeniu, może to być niemożliwe. Poczuł na opuszkach chłodny dotyk metalu. Czyli nie jest źle, czucia w palcach nie stracił. Teraz wystarczyło je tylko zacisnąć.

Aaaaaa... O mało nie stracił przytomności z bólu. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Chyba krzyknął, nawet na pewno. Ale udało się, nabój wszedł do zamka. Broń była teraz gotowa do strzału.

Szlag! Kolejna przeszkoda. Drzwi otwierały się gałką, nie klamką. Klamkę mógłby nacisnąć dłoń, w której trzymał pistolet, gałkę musi chwycić i przekręcić. Nie da rady drugi raz użyć złamanej

ręki. Ale drzwi były stare, nie wyglądały zbyt solidnie. Spróbuje je po prostu wyważyć. Odsunął się od nich o kilka kroków, by nabrać rozpędu.

ROZDZIAŁ 114

Teraz to ona trzymała kij. Za to nie miała noża. Człowiek w masce, skulony z bólu, odsunął się znowu na bezpieczną odległość. Patrzył na nią przez otwory na oczy, lecz jego źrenice już nie błyszczały. Widać było, że jest naprawdę wyczerpany. Co teraz? Kto uczyni następny ruch? Didgeridoo z odtwarzacza wciąż dudniło. Poszukała wzrokiem noża, który niedawno wytrącił jej z ręki. Nie mogła go dostrzec. Czy i on go nie widział? Gdyby go teraz znalazł i podniósł, nie byłaby w zbyt ciekawej sytuacji. Ile czasu zdołałaby się przed nim odganiać tym kijem? Pewnie niezbyt długo.

Jego wzrok zatrzymał się na czymś za jej plecami. Szybko odwróciła głowę, by spojrzeć w tamto miejsce. Tu jest! Znalazła się zguba. Nóż leżał pod ścianą, na prawo od niej. Za daleko, by sięgnęła go ręką, ale trzymała przecież szczotkę. Mężczyzna uczynił ruch, jakby próbował tam podejść, zagroziła mu jednak drogę kijem wymownie wycelowanym w jego przyrodzenie. Nie zaryzykował.

Teraz z kolei to ona spróbowała sięgnąć po nóż. Musiała to jednak zrobić tym końcem szczotki, na którym wciąż tkwiły związane drutem gałązki. Drugim końcem ciągle starała się go szachować. Nie było to łatwe. Musiała chwycić szczotkę w połowie długości i niebezpiecznie ją pochylić, dość znacznie się przy tym odslaniając. Do tego musiała przecież widzieć, co robi, a więc patrzeć w tamtą stronę, jego też jednak nie spuszczać z oka. Efekt był taki, że zerkała raz tu, raz tu albo próbowała ogarnąć

swoim polem widzenia oba te oddalone od siebie miejsca naraz, żadnego tak naprawdę wyraźnie wtedy nie widząc.

Zrozumiał, co chce zrobić, i rozumiał też, jakie mogą być tego konsekwencje. I te dobre dla niego, i te złe. Być może teraz był ostatni dogodny moment, by ją zaatakować. Jeśli uda jej się z powrotem dostać w swoje ręce nóż, będzie już po wszystkim.

Kątem oka dostrzegła jego ruch, po nim usłyszała cichy brzęk szkła. Błyskawicznie przeniosła spojrzenie na jego postać. Schylał się i po chwili już wiedziała po co. Podniósł coś z podłogi. Coś, co zalśniło w świetle wpadającego przez rozbite okno słońca. Znowu trzymał w dłoni szyjkę rozbitej butelki. Zobaczyła, jak zbiera się do skoku, jak jego mięśnie napinają się, by za moment uwolnić energię.

Potem usłyszała huk. Odrobinę za wcześnie i o wiele za głośny w stosunku do tego, co miało się wydarzyć. Była właśnie w trakcie rozpaczliwej próby przyciągnięcia z powrotem do siebie szczotki, gdy zobaczyła, jak zamknięte drzwi wylatują z futryny i wpadają do pokoju.

Była tym zbyt zaskoczona, by choć w przybliżeniu móc określić, co się stało. Drzwi upadły tuż przy niej, o mało nie uderzając ją w nogę, a tuman kurzu, który wzbiły z podłogi, dostał się do jej oczu. Odruchowo zacisnęła powieki, czując pod nimi drobinki pyłu. Otworzyła je natychmiast z powrotem, lecz łzy, które momentalnie do nich napłynęły, zamazywały obraz. Zobaczyła dwie sylwetki i coś, co było chyba walką między nimi. Potem usłyszała strzał. Przerazająco głośny w tej małej przestrzeni. Zaczęła mrugać, by odzyskać z powrotem możliwość widzenia. Między kolejnymi opadnięciami powiek widziała, jak sylwetki szepiają się z sobą, jak splątane odbijają się od ścian. Usłyszała głuchy, pełen bólu jęk, potem kolejny strzał. Gdy zobaczyła wreszcie, co się dzieje, serce o mało nie stanęło jej z przerażenia.

Komisarz Aleksanderski stał, opierając się o ścianę. Lewą dłoń, w której trzymał pistolet, przyciskał do szyi, a spod jego palców

płynęła krew. Był bardzo blady, włosy miał mokre od potu, a jego otwarte usta zrobiły się całkiem sine. Przed nim, odwrócony do niej plecami, stał mężczyzna w masce. On także był zakrwawiony. Cały bok jego koszuli całkowicie przesiąknął krwią. Widziała dziurę po pocisku na jego plecach, tuż nad paskiem od spodni. Trzymał się z przodu za brzuch.

Aleksanderski spojrzał na nią. Były w tym spojrzeniu bezbrzeżny smutek i jakby prośba o wybaczenie. Czuł, że nie jest w stanie zrobić już nic więcej. Zobaczyła, jak osuwa się po ścianie, a jego oczy stają się coraz bardziej zamglone.

Mężczyzna w masce odwrócił się w jej stronę. Niemal ujrzała, jak uśmiecha się pod tym kawałkiem drewna zakrywającym mu twarz. W prawej dłoni ciągle trzymał szyjkę od butelki. Nadepnął stopą na leżącą teraz na podłodze szczotkę. Było w nim coś niehumanicznego, paraliżującego, budzącego grozę. Jakby ta rana w brzuchu, która powinna go zabić, tylko dodawała mu sił.

Zbliżył się do niej powoli, potem uklęknął na oba kolana. Puścił ranę na brzuchu i uwolnioną dłonią chwycił ją za włosy. Dostrzegła, jak z dziury po kuli wypływa mały bąbel krwi. Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

Rękę z ułamkiem butelki uniósł ku górze, potem twarz w masce zadarł w kierunku widniejącego za rozbitą szybą nieba. Jakby poświęcał mu ofiarę, którą za chwilę złoży. Zobaczyła jego bladą, chudą szyję, poprzecinaną z jednej strony zasychającymi coraz bardziej strużkami krwi. Dostrzegła nawet tętnicę pulsującą pod niemal przezroczystą skórą. W nią właśnie wbiła długie ostrze noża.

ROZDZIAŁ 115

Podeszła do pielęgniarki siedzącej za kontuarem.

– Piotr Aleksanderski – powiedziała. – Leży na waszym oddziale. Podobno można go już odwiedzić.

Pielęgniarka podniosła na nią wzrok.

– Jest pani członkiem rodziny? – spytała.

– Nie. Prokurator Gabriela Seredyńska – przedstawiła się. – Jestem tu służbowo.

– Sala numer sześć – odpowiedziała pielęgniarka. – Ale chyba jest teraz u niego lekarz. Proszę poczekać pod drzwiami.

Ruszyła długim, szpitalnym korytarzem. Kiedy była tu ostatnio? Parę dni temu, tydzień? Ostatnio tyle się działo, że wszystko jej się mieszało.

Gdy dotarła pod szóstkę, lekarz, a w zasadzie lekarka właśnie wychodziła. Ładna kobieta mniej więcej w jej wieku, z mocno kręconymi blond włosami. Podeszła do niej.

– Dzień dobry, prokurator Seredyńska. – Pokazała jej legitymację. – Mogłabym poznać stan pacjenta?

Lekarka uśmiechnęła się. Dobry znak.

– Jak na tę ilość obrażeń, to chyba całkiem niezły – odparła. – Wszczepiliśmy mu stent do aorty, ale raczej konieczne będą by-passy. Ale to później, zobaczymy, jak ten stent będzie się zachowywał.

– A inne rzeczy?

– No cóż. – Lekarka wydeła usta. – Sporo tego jest, przyznaję. Złamanie kości przedramienia w obrębie stawu łokciowego,

zwichnięta kostka... Tu całe szczęście obeszło się bez złamania...

– Co z raną szyi?

– Nie najgorzej. Wyglądało to dość przerażająco, ale okazało się, że nie było to nic specjalnie groźnego. Został zaatakowany tak zwanym tulipanem, prawda?

– Tak. Szyjką butelki.

– Taki przedmiot zadaje dużo, ale raczej dość powierzchownych obrażeń. Szkło jest za mało ostre, by przeciąć głęboko skórę, zwłaszcza u dorosłego mężczyzny. Tkanka tłuszczowa też spełniła swoją funkcję. Mieliśmy sporo szycia, ale żadne żyły czy tętnice nie zostały uszkodzone.

Przypomniała sobie nóż wbity w szyję tamtego. O nim nie można było tego raczej powiedzieć.

– Ale pacjent jest w stanie ogólnym dobrym – kontynuowała lekarka. – Jest oczywiście osłabiony i trochę otumaniony po tym wszystkim, ale zaczął się już awanturować, co niewątpliwie można uznać za dobry objaw. – Uśmiechnęła się ponownie. – Chce go pani przesłuchać?

– Nie, tylko porozmawiać. Prowadziliśmy razem śledztwo.

Lekarka spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Zapewne nie może mi pani powiedzieć, czego dotyczyło, ale jeśli oceniać po efektach, musiało być dość spektakularne.

Tym razem to Seredyńska się uśmiechnęła. Trochę ze smutkiem, a trochę z satysfakcją.

– Tak – odpowiedziała. – Można tak to ująć. Ale oczywiście obowiązuje mnie tajemnica.

– Rozumiem. Szkoda. Proszę do niego wejść w takim razie. Tylko niech pani nie siedzi zbyt długo. I proszę mu powiedzieć, żeby się tak nie wściekał. Trochę tu u nas jeszcze poleży.

– Nie wiem, czy mam wystraszający autorytet, żeby go do tego przekonać.

Lekarka odeszła. Seredyńska zapukała do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, weszła.

Komisarz Aleksanderski leżał na szpitalnym łóżku obwiązany bandażami niczym egipska mumia. Zerknął na nią z ukosa, nie odwracając głowy, i uniósł lewą dłoń w geście powitania. Prawa ręka była niemal cała w gipsie.

– Cześć – powiedziała.

Mruknął coś w odpowiedzi.

– Jak się czujesz?

– Ale głupie pytanie – wycharczał przez zaschnięte gardło. – Kurwa, znakomicie! Jakbyś jeszcze mogła mi włożyć drinka w łapę i posadzić na mnie tę ładną lekarkę, byłoby wprost idealnie.

Podeszła do łóżka i usiadła na krześle stojącym obok.

– Podobno wykpiłeś się tanim kosztem – powiedziała. – A już miałam nadzieję, że będę mieć cię z głowy.

– Niedoczekanie – odparł. – Jeden pieprznięty seryjny zabójca to za mało, żeby mnie załatwić. Pić mi daj, zamiast się wymądrzać – dodał po chwili. – Na szafce jest kubek.

Wzięła biały, szpitalny kubek i nabrała nieco wody na tkwiącą w nim łyżeczkę. Potem przytknęła mu ją do warg.

– Co to jest, do cholery? – prychnął. – Będziesz tym kotka poić? Przystaw mi to do ust i przechyl jak człowiek. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak mnie suszy! Jakbym chlał wodę przez miesiąc.

Zrobiła, co kazał. Upił kilka łyków.

Odetchnął z ulgą.

– Co mówiła ta w białym? – spytał. – Słyszałem, jak rozmawiałyście pod drzwiami.

– Mówiła, że to dobrze, że jesteś taki gruby. Nie jest łatwo poderżnąć takie tłuste gardło.

Znowu spojrzał na nią z ukosa.

– Wypchaj się – mruknął. Ale już znacznie pogodniejszym tonem dodał: – Poważnie pytam.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Na pewno tobie powiedziała to samo.

– Mniej więcej – przyznał. – A jak u ciebie? Jak się trzymasz?

Wzruszyła ramionami.

– Całkiem nieźle. Nie wiem, może jeszcze mnie to trzepnie, ale na razie jest zupełnie dobrze.

– Myślę, że nie trzepnie – stwierdził. – A przynajmniej nie jakoś bardzo. To tak jak na wojnie: nie wszyscy żołnierze mają syndrom stresu pourazowego i nie wszystkim śnią się potem koszmary. Niektórzy przyjmują to normalnie.

Zerknęła na niego z rozbawieniem.

– I ja jestem takim żołnierzem?

– Tak. Byłabyś dobrym gliną.

Uśmiechnęła się.

– Takim jak ty?

– Takim jak ja kiedyś.

Położyła mu dłoń na przedramieniu.

– Jesteś najlepszym policjantem, jakiego kiedykolwiek nosiła ta umęczona ziemia – powiedziała żartobliwie. Ale tylko trochę żartobliwie. – Uratowałeś mi życie, wiesz? Jeszcze trochę, a by mnie dorwał.

Znowu coś mruknął. Ale chyba go to połechtalo.

– Właśnie, a jak to się w ogóle skończyło? – spytał po chwili. – Ostatnie, co pamiętam, to jak dźgnęłaś go nożem.

– Nie mówili ci? – zdziwiła się.

– Nikt u mnie jeszcze nie był. Jesteś pierwsza. A mój telefon gdzieś szlag trafił. Jak ty się w ogóle uwolniłaś?

– Nie uwolniłam się. Zadzwoiłeś przed tym wszystkim do Rudnickiego. Telefon ci wypadł na schodach, ale połączenie całe szczęście nie zostało przerwane. Rudnicki zorientował się, że coś jest nie tak, namierzył aparat i wysłał kawalerię. Radiowóz był po piętnastu minutach. A to z kolei uratowało życie tobie.

Komisarz wykonał ruch, jakby chciał pokiwać głową. Syknął jednak z bólu i zrezygnował.

– Mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu – zauważył.

– Ja miałam – powiedziała. – Ty zrobiłeś, co trzeba. Znalazłeś mnie. Nikt inny by tego nie potrafił.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Poczwała... Kurczę, naprawdę chciałyby mieć takiego ojca.

W tym momencie zadzwonił telefon. Poczwała jego wibracje w torebce. Sięgnęła po niego wdzięczna, że ma pretekst, by przerwać tę krępującą chwilę nieporadnych podziękowań. Dzwonił jej ojciec. Ten prawdziwy. Przez chwilę wpatrywała się w podświetlony wyświetlacz, potem odrzuciła połączenie. Niedługo przyszedł esemes. „Może byśmy się znowu spotkali? Fajnie było ostatnio”.

– Z firmy? – spytał komisarz. – Coś nowego?

– Nie – odpowiedziała. – Sprawa prywatna.

„Nie mam teraz czasu” – odpisała. „Może kiedyś”. Włożyła telefon z powrotem do torebki.

– Ty, a co z tym wierszem? – spytał komisarz. – Wyjaśniło się coś?

– Tak. Rudnicki znalazł w domu Poryckiego gazetkę literacką wydawaną w latach pięćdziesiątych na uniwersytecie. Taką odbijaną na ksero, wyszło tylko kilka numerów. W tamtych czasach podobno był wysyp takich rzeczy.

– Tam był ten wiersz?

– Tak.

– Porycki go napisał?

– Nie. Autorem był jego kolega ze studiów, który wkrótce potem popełnił samobójstwo. Wskoczył z okna pokoju w akademiku. Napisał wcześniej jeszcze parę takich tekstów, wszystkie w podobnym klimacie. Tylko jeden był opublikowany w jakimś normalnym czasopiśmie. Nie mieliśmy szans tego znaleźć.

Komisarz znowu chyba miał zamiar pokiwać głową, w porę się jednak zreflektował.

– Porycki przykleił go też nad swoim łóżkiem – dodała. – Na dokładnie takiej samej kartce jak ta, którą znalazłeś pod murem cmentarza. Nie widziałeś go, gdy przeszukiwaliście ten dom?

– Skupialiśmy się wtedy na nieco innych rzeczach – odparł z przekąsem.

– Musiał być w każdym razie dla niego bardzo ważny. Rzeczywiście traktował go chyba jako rodzaj manifestu.

Wstała.

– Dobra – powiedziała. – Lecę już. Miałam nie siedzieć zbyt długo. Słuchaj... – Zatrzymała się jeszcze przy wyjściu. – Może jak już wyzdrowiejesz, zabierzesz mnie na ryby na tę swoją działkę nad Bugiem?

– Lubisz wędkować? – zdziwił się.

– Nie – odparła. – Uważam, że to jedna z nudniejszych rzeczy na świecie. Ale lubię pić wódkę i patrzeć na rzekę.

Spojrzał na nią poważnie.

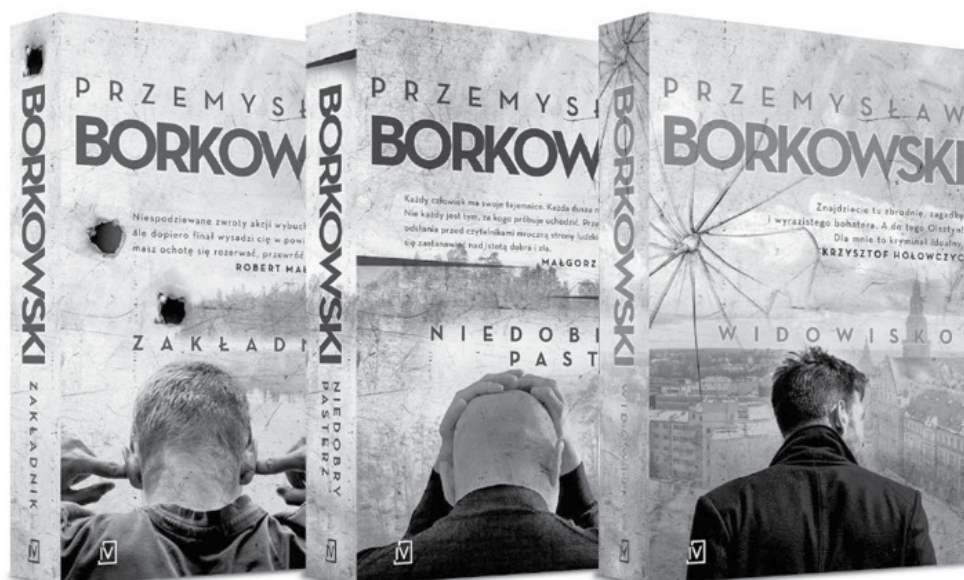
– Nie dam ci wódki – powiedział. – Porządne kobiety nie powinny jej pić. Załatwię bimber.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym serdecznie podziękować moim pierwszym czytelnikom: pani Agacie Bomze, Karolinie Rabendzie, Annie Orszulak, Gabrieli Baszak i Joannie Pierożak. Dzięki ich życzliwym uwagom ta książka jest znacznie lepsza. Szczególne podziękowania należą się też Agnes Manzon, której opowieści o roli fetysza w magii łowieckiej na terenach Mali zainspirowały jeden z głównych wątków w tej książce.

KRYMINALNA SERIA Z ZYGMUNTEM ROZŁUCKIM



*Niespodziewane zwroty akcji wybuchają jak bomby,
ale dopiero finał wysadzi cię w powietrze.*

ROBERT MAŁECKI

*Borkowski odślania przed czytelnikami mroczną
stronę ludzkiej natury.*

MAŁGORZATA ROGALA

Dla mnie to kryminał idealny.

KRZYSZTOF HOŁOWCZYC

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58
ROZDZIAŁ 59
ROZDZIAŁ 60
ROZDZIAŁ 61
ROZDZIAŁ 62
ROZDZIAŁ 63
ROZDZIAŁ 64
ROZDZIAŁ 65
ROZDZIAŁ 66
ROZDZIAŁ 67
ROZDZIAŁ 68
ROZDZIAŁ 69
ROZDZIAŁ 70
ROZDZIAŁ 71
ROZDZIAŁ 72
ROZDZIAŁ 73
ROZDZIAŁ 74
ROZDZIAŁ 75
ROZDZIAŁ 76
ROZDZIAŁ 77
ROZDZIAŁ 78
ROZDZIAŁ 79
ROZDZIAŁ 80

ROZDZIAŁ 81
ROZDZIAŁ 82
ROZDZIAŁ 83
ROZDZIAŁ 84
ROZDZIAŁ 85
ROZDZIAŁ 86
ROZDZIAŁ 87
ROZDZIAŁ 88
ROZDZIAŁ 89
ROZDZIAŁ 90
ROZDZIAŁ 91
ROZDZIAŁ 92
ROZDZIAŁ 93
ROZDZIAŁ 94
ROZDZIAŁ 95
ROZDZIAŁ 96
ROZDZIAŁ 97
ROZDZIAŁ 98
ROZDZIAŁ 99
ROZDZIAŁ 100
ROZDZIAŁ 101
ROZDZIAŁ 102
ROZDZIAŁ 103
ROZDZIAŁ 104
ROZDZIAŁ 105
ROZDZIAŁ 106
ROZDZIAŁ 107
ROZDZIAŁ 108
ROZDZIAŁ 109

ROZDZIAŁ 110

ROZDZIAŁ 111

ROZDZIAŁ 112

ROZDZIAŁ 113

ROZDZIAŁ 114

ROZDZIAŁ 115

PODZIĘKOWANIA

Polecamy również